

Fantastyka • **Wojna** • 1999



KRÓLEWSKA KREW
WIEŻA ELFÓW

MICHAEL J. SULLIVAN

Przełożyła: Irena



Sullivan Michael J.

Odkrycia Riyrii tom 1-2

Królewska krew

Wieża elfów

Pościgi, pojedynki, magia, spiski i zamachowcy – w tej książce znajdziecie wszystko, za co pokochaliście fantasy!

Zamordowany został król. Władza przeszła w ręce spiskowców, którzy sądzili, że każdy element ich planu był doskonały. Poza jednym. Winą próbowali obarczyć Royce'a i Hadriana. Ci nie są jednak byle złodziejaskami i nie pójdą dobrowolnie pod pręgierz. To okryty złą sławą duet Riyira, i nikt nie powstrzyma ich przed krwawą zemstą!

Los królestwa spoczywa w rękach dwóch najemników.

KRÓLEWSKA KREW

Tom pierwszy

Odkryć Riyrii

Mojej żonie Robin (najwspanialszej wielbicielce, recenzentce, konsultantce i agentce prasowej), której ciężka praca i zaangażowanie sprawiły, że to wszystko stało się możliwe.

I mojej córce Sarah, która nie chciała przeczytać niniejszej opowieści przed jej opublikowaniem.

Rozdział 1

Skradzione listy

W ciemności Hadrian niewiele mógł dostrzec, ale słyszał

trzask gałązek, chrzęst liści i szelest trawy. Zorientował się, że napastników jest kilku, więcej niż trzech, i że się zbliżają.

- Niech żaden z was się nie rusza - rozkazał szorstki głos dobiegający z mroku. - Mierzymy do was z łuków i zabijemy was w siodłach, jeśli spróbujecie uciekać.

Hadrian zauważył jedynie niewyraźny ruch wśród nagich gałęzi.

- Po prostu trochę was odciążymy. Nikomu nie musi się stać krzywda. Wykonujcie moje polecenia, jeśli wam życie miłe, bo inaczej zginiecie.

Hadrian czuł ucisk w dołku, ponieważ wiedział, że to jego wina. Zerknął na Royce'a, który siedział na siwku obok niego z twarzą ukrytą pod kapturem. Przyjaciel pochylił głowę i lekko nią pokręcił. Hadrian nie musiał widzieć wyrazu jego twarzy, by wiedzieć, co Royce myśli.

- Przepraszam - powiedział.

Royce nie odpowiedział i dalej kręcił głową. Z przodu drogę zagradała im ściana wzniesiona ze świeżo ściętych krzewów.

Za plecami mieli długi

pusty trakt skąpany w blasku księżyca. W zagłębieniach i parowach zebrała się mgła, w oddali szumiał strumyk.

Znajdowali się na starej południowej drodze przypominającej tunel wyrąbany pośród lasu. Zwisające nad nią smukłe gałęzie dębów i jesionów trzeszczały teraz na zimnym jesiennym wietrze. Od najbliższego miasta dzielił ich dzień drogi i Hadrian nie przypominał sobie, by ostatnio mijali jakieś gospodarstwo. Byli zdani na siebie - na tym odludziu, w jednym z tych miejsc, gdzie ciał się nigdy nie znajduje.

Szelest deptanych liści robił się coraz głośniejszy, aż w końcu w wąskim pasie światła księżyca ukazali się złodzieje z obnażonymi mieczami. Hadrian naliczył czterech. Mieli szorstkie, nieogolone twarze i szorstkie ubrania ze skóry i wełny - poplamione, znoszone i brudne. Jedyna wśród nich dziewczyna trzymała łuk z naciągniętą cięciwą, celując prosto w nich. Tak jak kompani nosiła spodnie i buty z cholewami.

Miała splątane włosy i była cała ubłocona, jakby sypiali w ziemiankach.

- Chyba nie mają dużo pieniędzy - ocenił ich mężczyzna ze spłaszczonym nosem.

Przewyższa! Hadriana wzrostem o kilka centymetrów i by!

największym członkiem bandy. Miał gruby kark i ręce jak bochenki. Wydawało się, że rozcięcie na jego dolnej wardze pochodzi z tego samego okresu co złamanie nosa.

- Ale mają torby z ekwipunkiem - zauważyła dziewczyna.

Tembr jej głosu zaskoczył Hadriana. Była młoda i mimo tego całego brudu ładna, prawie jak dziecko, lecz mówiła tonem agresywnym, a nawet wrednym.

- Tylko patrzcie, co tu mają. Po co tyle sznura?

Hadrian nie wiedział, czy pytanie było skierowane do niego, czyjej kompanów. W każdym razie nie zamierzał odpowiadać.

Zastanawiał się, czy nie zażartować, ale dziewczyna nie wyglądała na taką, którą można oczarować komplementem i uśmiechem. Na dodatek teraz celowała w niego, a jej ręka mogła już być zmęczona.

- Zamawiam wielki miecz, który ten tu ma na plecach -

oświadczy! plaskonosy. - Będzie w sam raz dla mnie.

- Ja wezmę jego pozostałe dwa - oznajmił napastnik z blizną, która zaczynała się na brodzie, biegła lekko na skos przez policzek i mostek nosa i kończyła się nad okiem.

Dziewczyna skierowała strzałę na Royce'a.

- Ja chcę pelerynę tego małego. Będę ładnie wyglądać w takim eleganckim czarnym kapturze.

Stojący najbliżej Hadriana mężczyzna z głęboko osadzonymi oczami i spaloną od słońca skórą wydawał się najstarszy z nich. Zrobił krok w jego stronę i chwycił konia za wędzidło.

- A teraz uważaj. Sprzątnęliśmy masę ludzi na tej drodze.

Głupich, którzy nie chcieli słuchać. Nie chcesz być głupi, co?

Hadrian pokręcił głową.

- Dobra. To teraz rzućcie broń - rozkazał złodziej - i złaźcie z koni.

- Co ty na to, Royce? - spytał Hadrian. - Może dajmy im trochę grosza, żeby nikomu nie stała się krzywda.

Royce podniósł głowę i spojrzał spod kaptura. W jego oczach płonął gniew.

- Nie chcemy przecież kłopotów, prawda?

- Mnie lepiej nie pytaj o zdanie - odpowiedział Royce.

- A więc nie ustąpisz?

Cisza. Hadrian znów pokręcił głową i westchnął.

- Dlaczego musisz wszystko tak utrudniać? To nie są źli ludzie, tylko biedni. Kradną, żeby mieć na chleb dla rodziny.

Jak możesz im tego żałować? Nadchodzi zima, a czasy są ciężkie. - Spojrzał na złodziei. - Mam rację?

- Ja nie mam rodziny - odpowiedział płaskonosy - a większość pieniędzy przepijam.

- Nie ułatwiasz sprawy - ostrzegł go Hadrian.

- Nawet nie próbuję. Albo zrobicie, co każe, albo wypatroszymy was na miejscu - oznajmi! i w celu podkreślenia groźby wyjął zza pasa długi sztylet i przeciągnął nim ze zgrzytem po ostrzu swojego miecza.

Zimny wiatr wył wśród drzew, targając gałęziami i zrywając listowie. Czerwonozłote liście fruwały i wirowały, gnane podmuchami wzdłuż wąskiego traktu. Gdzieś w mroku odezwała się sowa.

- Może damy wam połowę naszych pieniędzy? Moją połowę. W ten sposób nie będziecie całkowicie stratni.

- Nie prosimy o połowę - rzekł rabuś trzymający wierzchowca Hadriana. - Chcemy wszystko, razem z tymi końmi.

- Chwileczkę. Zabieranie niewielkich pieniędzy to nic złego, ale kradzież koni? Jeśli was złapią, zawieście. A zapewne wiecie, że zgłosimy napad w najbliższym miasteczku.

- Pochodzicie z północy, tak?

- Tak, wczoraj wyjechaliśmy z Medfordu. Złodziej skinął

głową i Hadrian zauważył mały

czerwony tatuaż na jego szyi.

- Widzicie, to jest wasz problem. - Na jego twarzy pojawił

się wyraz współczucia, co sprawiało, że

wydawał się jeszcze groźniejszy. - Pewnie jedziecie do Colnory. To ładne miasto. Mnóstwo sklepów. Mnóstwo wyfiokowanych bogaczy. Mnóstwo interesów i mnóstwo podróżnych na tej drodze, przewożących najróżniejsze towary na sprzedaż dla gogusiów. Ale chyba jeszcze nie byliście na południu, co? W Melen-garze król Amrath każe żołnierzom patrolować drogi. Ale tu, w Warric, jest trochę inaczej.

Płaskonosy podszedł bliżej i oblizał rozciętą wargę, przyglądając się mieczowi na plecach Hadriana.

- Chcesz powiedzieć, że kradzież jest legalna?

- Nie, ale król Ethelred mieszka w Aqueście, a to strasznie daleko stąd.

- A hrabia Chadwick? Nie zarządza tymi ziemiami w imieniu króla?

- Archie Ballentyne? - Na wspomnienie tego nazwiska pozostali złodzieje zachichotali. - Archie ma gdzieś, co się dzieje z prostym ludem. Jest za bardzo zajęty dobieraniem sobie fatałaszków. - Rabuś uśmiechnął się szeroko, ukazując pożółkłe krzywe zęby. - Więc rzućcie miecze i złażcie z koni.

Potem możecie iść do zamku Ballentyne'ów, zapukać do drzwi starego Archiego i przekonać się, co postanowi. -

Kolejna salwa śmiechu. - Jeżeli to miejsce nie wydaje się wam najlepsze na rozstanie ze światem, to róbcie, co każę.

- Miałeś rację, Royce - przyznał Hadrian zrezygnowanym głosem. Odpiął pelerynę i przewiesił przez siodło z tyłu. -

Powinniśmy zjechać z drogi, ale przecież jesteśmy na kompletnym odludziu. Jakie mieliśmy szanse?

- Zważywszy, że teraz nas okradają, to chyba całkiem spore.

- Co za ironia. Riyria ofiarą rabunku. To prawie zabawne.

- Wcale nie zabawne.

- Powiedziałaś „Riyria”? - spytał złodziej trzymający konia Hadriana i ten przytaknął, zdjął rękawice i zatknął je za pas.

Mężczyzna puścił wędzidło i zrobił krok do tyłu.

- Co się dzieje, Will? - spytała dziewczyna. - Co to jest Riyria?

- Tak się zowie dwóch ludzi w Melengarze. - Spojrzał w stronę pozostałych i trochę zniżył głos. - Mam tam znajomych, pamiętasz? Mówią, że dwóch facetów, którzy się nazywają Riyria, pracuje poza Medfordem i że kazali mi zejść sobie z drogi, gdybym ich kiedykolwiek spotkał.

- To jak myślisz, Will? - spytał rabuś z bliźną.

- Może powinniśmy usunąć krzaki i pozwolić im przejechać.

- Co? Czemu? Nas jest piątka, a ich tylko dwóch - zauważył

płaskonosy.

- Ale to Riyria.

- Co z tego?

- Moi koledzy na północy nie są głupi i radzili wszystkim trzymać się z dala od nich. Nie są też strachliwi. Więc jeśli każą ich unikać, to nie bez powodu.

Płaskonosy znów spojrzął na nich krytycznie.

- Dobra, ale skąd wiecie, że to są właśnie ci dwaj?

Wierzycie im na słowo?

Will skinął w kierunku Hadriana.

- Popatrz na jego miecze. Człowiek z jednym mieczem może umieć się nim posługiwać, ale równie dobrze i nie. Z

dwoma mieczami raczej nie ma pojęcia o sztuce walki, ale chce, żebyś myślał inaczej. Ale ktoś z trzema mieczami... To spory ciężar i nikt nie dźwiga z sobą tyle żelastwa, jeśli nie zarabia nim na życie.

Hadrian zgrabnym ruchem dobył dwa miecze przypięte po swoich bokach. Obrócił rękojeść jednego w dłoń.

- Muszę dać do wymiany uchwyt. Znów zaczyna się strzępić. - Spojrzął na Willa. - Możemy zaczynać? Zdaje mi się, że zamierzaliście nas obrabować.

Rabusie spojrzeli niepewnie po sobie.

- Will? - spytała dziewczyna wciąż z naciągniętym łukiem w dłoniach, ale teraz wyglądająca na znacznie mniej pewną siebie.

- Usuńmy krzaki z drogi i dajmy im przejechać

- postanowił Will.

- Na pewno? - spytał Hadrian. - Ten miły jegomość z przetrąconym nosem wydaje się zdecydowany chwycić za miecz.

- W porządku - zgodził się płaskonosy, spojrzawszy na klingi Hadriana, kiedy wypolerowana stal błysnęła w świetle księżyca.

- Skoro jesteście pewni.

Wszyscy rabusie skinęli głowami i Hadrian schował broń.

Will wbił swój miecz w ziemię i idąc pospiesznie do tarasującej drogę zapory z gałęzi, przywołał skinieniem pozostałych.

- Złe się do tego zabieracie - oznajmił głośno Royce.

Złodzieje się zatrzymali i podnieśli z niepokojem głowy. - Nie chodzi o uprzątnięcie krzaków, tylko napad.

Wybraliście ładne miejsce, przyznaję. Ale powinniście nas zająć z obu stron.

- I, Williamie... bo masz na imię William, prawda?

- spytał Hadrian.

Mężczyzna skrzywił się i przytaknął.

- Williamie, większość ludzi jest praworęczna, więc należy zachodzić ich z lewej strony. To postawiłoby nas w niekorzystnym położeniu, bo musielibyśmy uderzać w niewygodnej pozycji. A łucznicy powinni być z prawej strony.

- I dlaczego tylko jeden łuk? - spytał Royce. - Mogłaby trafić tylko jednego z nas.

- Nawet tego by nie mogła - zaprzeczył Hadrian. -

Zauważyłeś, jak długo trzymała napiętą cięciwę? Albo jest niewiarygodnie silna - w co wątpię - albo to łuk własnej roboty, z lichego drewna i strzała z niego nie polecą nawet na metr. Robiła to tylko na pokaz. Wątpię, czy kiedykolwiek wypuściła z niego strzałę.

- Właśnie że tak - odparła. - Świetnie strzelam. Hadrian pokręcił głową, patrząc na nią z uśmiechem.

- Trzymałaś palec wskazujący na wierzchu promienia, słonko. Gdybyś puściła strzałę, lotki otarłyby ci się o niego i trafiłabyś wszędzie, tylko nie tam, gdzie celowałaś.

Royce skinął głową.

- Kupcie kusze. Następnym razem nie wychodźcie z ukrycia i wbijcie po kilka bełtów w pierś każdej z ofiar. Ta cała gadanina to głupota.

- Royce! - skarcił go Hadrian.

- No co? Zawsze powtarzasz, że powinienem być miłszy dla ludzi. Staram się być pomocny.

- Nie słuchajcie go. Jeżeli chcecie rady, to budujcie lepsze przeszkody.

- Tak, następnym razem zatarasujcie drogę drzewem -

potwierdził Royce i wskazując ręką gałęzie, dodał: - To jest żałosne. I na litość Maribora, zasłońcie twarze. Warric to niezbyt duże królestwo i ludzie mogą was zapamiętać. Być może Ballentyne nie pofatyguje się, żeby was ścigać za kilka drobnych rozbojów na gościńcu, ale pewnego dnia wejdziecie do gospody i ktoś

wam wbije nóż w plecy. Byłeś w Szkarłatnej Ręce, prawda?

- zwrócił się Royce do Williama.

Ten drgnął zaskoczony i puścił gałąź, którą właśnie odciągał.

- Nikt o tym nie wspominał - powiedział.

- Nie było potrzeby. W Ręce każdy członek gildii musi obowiązkowo zrobić sobie ten głupi tatuaż na szyi. - Royce zwrócił się do Hadriana: - Mają przez to wyglądać na twardzieli, ale jedyny skutek jest taki, że łatwo rozpoznać w nich złodziei. Malowanie każdemu czerwonej ręki na szyi to głupota, jeśli się nad tym głębiej zastanowić.

- To ma być wytatuowana ręka? - zdziwił się Hadrian. -

Myślałem, że to czerwony kogucik. Ale skoro już o tym mowa, ręka ma większy sens.

Royce spojrział z powrotem na Willa i przechylił głowę na jedną stronę.

- Faktycznie przypomina kogucika.

Will zakrył dłonią szyję. Po usunięciu ostatniego krzaka spytał:

- Kim wy naprawdę jesteście? Co to właściwie jest Riyria?

W Ręce nigdy mi nie powiedzieli. Kazali tylko trzymać się z daleka.

- Nie jesteśmy nikim niezwykłym - odparł Hadrian. - Ot, dwóch podróżnych rozkoszujących się przejażdżką w chłodny jesienny wieczór.

- Ale mówiąc poważnie - dodał Royce - musicie nas posłuchać, jeśli zamierzacie dalej się tym zajmować. My skorzystamy z waszej rady.

- Jakiej rady?

Royce spiął lekko konia i ruszył naprzód drogą.

- Zamierzamy złożyć wizytę hrabiemu Chadwick, ale nie martwcie się, nie wspomnimy o was.

Archibald Ballentyne trzyma! w rękach klucz do wielkiego świata - piętnaście skradzionych listów. Każdy pergamin zapisany był z wielką starannością drobnym, ładnym pismem.

Patrząc na nie, odnosił wrażenie, że dla ich autora słowa miały głęboki sens i przekazywały piękną prawdę. Archibald zaś uważał treść za bzdury, ale zgadzał się, że listy miały nie-zmierną wartość. Wziął łyk koniaku, przymknął oczy i się uśmiechnął.

- Milordzie?

Spojrzał chmurnie na zbrojnego.

- O co chodzi, Bruce?

- Przyjechał markiz.

Na usta Archibalda wrócił uśmiech. Starannie złożył listy, obwiązał je niebieską wstążką i włożył do sejfu. Zamknął

ciężkie żelazne drzwiczki, przekręcił klucz w zamku i dla pewności szarpnął dwukrotnie za uchwyt. Następnie ruszył na dół, aby przywitać gościa.

W holu dostrzegł z daleka Wiktora Lanaklina. Przystanął i obserwował, jak stary człowiek chodzi tam i z powrotem.

Sprawiało mu to satysfakcję. Choć markiz posiadał wyższy tytuł, nigdy mu nie imponował. Może kiedyś był dumnym, przerażającym czy nawet mężnym człowiekiem, ale ten czas dawno minął i przymioty te zastąpiły siwe włosy i przygarbione plecy.

- Czy mogę zaproponować coś do picia waszej lor-dowskiej mości? - zapytał markiza nieśmiały major-domus, skłoniwszy się ceremonialnie.

- Nie, ale możesz przyprowadzić swojego hrabiego - odparł

władczym tonem markiz. - A może mam go sam poszukać?

Majordomus aż się skulił.

- Jestem pewien, że mój pan wkrótce tu przyjdzie, sir -

odpowiedział na to i wyszedł pospiesznie przez drzwi po drugiej stronie holu.

- Markizie! - zawołał Archibald uprzejmie, podchodząc do gościa. - Tak się cieszę, że przyjechałeś... I to tak szybko.

- Wydajesz się zdziwiony - rzekł Wiktor ostrym tonem, po czym potrząsnął pięścią, w której trzymał zmięty pergamin, i dodał: - Przysyłasz mi taką wiadomość i sądzisz, że będę zwlekał? Archie, żądam, abyś mi wyjaśnił, co się dzieje.

Archibald ukrył pogardę, jaką wywołał u niego przydomek z dzieciństwa. Wymyśliła go nieżyjąca już matka i nigdy jej tego nie wybaczy. W młodości tak się do niego zwracali wszyscy, od rycerzy po służących, i zawsze dotykało go takie spoufalenie się. Kiedy otrzymał godność hrabiego, ustanowił

w Chadwick prawo, zgodnie z którym każdy, kto użyje tego przydomka, zostanie ukarany chłostą. Nie miał jednak takiej władzy, aby wyegzekwować je na markizie, i był pewny, że Wiktor celowo użył tego określenia.

- Spróbuj się uspokoić, Wiktorze.

- Przestań mnie uspokajać! - Głos markiza odbił się echem od kamiennych ścian. Podszedł bardzo blisko do hrabiego i spojrzął mu groźnie w oczy. - Napisałeś, że chodzi o przyszłość mojej córki Alendy, i wspomniałeś o dowodzie.

Muszę wiedzieć, czy coś jej grozi, czy nie.

- Niewątpliwie tak - odparł hrabia spokojnie - ale nie bezpośrednio. Nikt nie planuje porwania jej ani zabicia, jeżeli tego się obawiasz.

- To po co przysłałeś mi tę wiadomość? Przez ciebie kazałem gnać stangretowi na złamanie karku. Jeżeli nie było ku temu powodu, pożałujesz...

Archibald uniósł rękę, nie pozwalając markizowi na dokończenie groźby.

- Zapewniam cię, Wiktorze, że jest powód. Przejdźmy jednak najpierw do zacisza mojego gabinetu, gdzie ci go przedstawię.

Wiktor spojrział na niego ponuro, ale skinął głową na znak zgody.

Przemierzyli hol i dużą salę przyjęć, a następnie przeszli do części mieszkalnej zamku, gdzie wystrój wewnątrz radykalnie się zmienił. W sali recepcyjnej ściany upiękzone były misternymi gobelinami i ozdobną kamieniarką, a podłogi wyłożone marmurem. Poza nią jednak nie było widać przepychu; dominowały gołe mury z kamienia.

Zamek Ballentyne'ów był pospolity pod każdym względem.

Żaden wielki król czy bohater nie nazwał go nigdy domem, nie wiązała się też z nim żadna legenda, opowieść o duchach czy bitwa. Był to doskonały przykład przeciętności i prozaiczności.

Po kilku minutach wędrówki korytarzami hrabia zatrzymał

się przed masywnymi żeliwnymi drzwiami, których zawiasy przykręcono imponująco wielkimi śrubami. Nie było widać zasuw ani klamki. Po obu stronach wejścia stało dwóch dużych ciężkozbrojnych strażników z halabardami. Gdy hrabia się zbliżył, jeden z nich zastukał trzy razy w drzwi.

Otworzyło się okienko i po chwili na korytarzu rozległy się szcęk odsuwanego rygla i przeraźliwe zaskrzypienie meta-łowych zawiasów.

Wiktor zasłonił rękami uszy.

- Na Mara! Każ służącemu się tym zająć!

- Przenigdy - odparł Archibald. - To wejście do Szarej Wieży, mojego prywatnego gabinetu. To moja, że tak powiem, bezpieczna przystań. Chcę słyszeć odgłos otwierania tych drzwi z każdego

miejsca w zamku.

Stojący po drugiej stronie Bruce powitał obu mężczyzn głębokim ukłonem. Trzymając przed sobą latarnię, poprowadził ich w górę szerokimi spiralnymi schodami.

W połowie wysokości wieży Wiktor zwolnił kroku i wydawało się, że z trudem oddycha. Archibald z grzeczności się zatrzymał.

- Muszę przeprosić cię za tę wyczerpującą wspinaczkę. Ja sam już tego nie zauważam, bo wchodziłem tymi schodami z tysiąc razy. Gdy mój ojciec piastował godność hrabiego, tylko tutaj mogłem być przez chwilę sam. Nikomu nie chciało się tracić czasu ani sił na wdrapywanie się po tych schodach na górę. Choć wieża ta nie jest tak majestatyczna jak Koronna w Ervanonie, jest najwyższa w moim zamku.

- Czy niektórzy nie przychodzą tu tylko po to, żeby podziwiać widok ze szczytu? - zastanawiał się głośno Wiktor.

Hrabia się zaśmiał.

- Można by tak pomyśleć, ale nie ma tu okien, dzięki czemu to doskonale miejsce na prywatny gabinet. Kazałem wstawić dodatkowe pary drzwi, aby zabezpieczyć drogie mi rzeczy.

Po dotarciu na szczyt schodów napotkali jedne z nich.

Archibald wyjął z kieszeni duży klucz, otworzył drzwi i gestem zaprosił markiza do środka. Bruce pozostał na zewnątrz.

Znaleźli się w dużym kolistym pomieszczeniu z rozległym sufitem. Było w nim niewiele mebli: wielkie zagracone biurko, dwa wyściełane krzesła przy niewielkim kominku i filigranowy stolik między nimi. Za prostą mosiężną siatką osłaniającą palenisko płonął ogień oświetlający większą część gabinetu. Rozmieszczone wzdłuż ścian świece dostarczały światła do pozostałych miejsc i wypełniały komnatę przyjemnym, intensywnym zapachem miodu i sa-lifanu.

Zauważywszy, że Wiktor przygląda się stosowi różnych zwojów i map na biurku, Archibald się uśmiechnął.

- Bez obaw, panie. Wszystkie naprawdę kompromitujące plany zawładnięcia światem ukryłem przed twoim przybyciem. Usiądź, proszę. - Wskazał krzesła przy kominku.

- Odpręż się po długiej podróży, a ja przygotuję trunek.

Starszy mężczyzna nachmurzył się i mruknął:

- Dość już tych wybiegów i ceregieli. Wyjaśnij, o co chodzi.

Archibald zignorował ton markiza. Tuż przed triumfem mógł sobie pozwolić na łaskawość. Zaczekał, aż markiz usiądzie.

- Zapewne wiesz, że od jakiegoś czasu interesuję się twoją córką Alendą - stwierdził, podchodząc do biurka, aby nalać dwa kieliszki koniaku.

- Tak, wspominała mi o tym.

- Czy powiedziała, dlaczego odrzuciła moje zaloty?

- Nie lubi cię.

- Słabo mnie zna - skontrował Archibald, unosząc palec wskazujący.

- Archie, czy to jest powód twojego zaproszenia?

- Markizie, byłbym wdzięczny, gdybyś zwracał się do mnie po imieniu. Niestosowne jest używanie przydomka, ponieważ mój ojciec nie żyje i teraz ja noszę tytuł. W każdym razie twoje pytanie ma związek ze sprawą. Jak wiesz, jestem dwunastym hrabią Chadwick. Przyznaję, nie jest to wielki majątek, a Ballenty-ne'owie nie należą do najbardziej wpływowych rodów, ale moja pozycja nie jest bez znaczenia.

Podlega mi pięć wsi i dwanaście przysiółków, a także ważne strategicznie wyżyna Senon. Obecnie mam pod komendą ponad sześćdziesięciu zawodowych zbrojnych i mogę liczyć na lojalność dwudziestu rycerzy - w tym sir Endena i sir Brecktona, być może dwóch najznakomitszych spośród w ogóle żyjących. Eksport wełny i skór z Chadwick stanowi obiekt zazdrości całego Warric. Mówi się

O urządzeniu igrzysk letnich na trawniku, przez który przechodziłeś w drodze do mojego zamku.

- Tak, Archie, to znaczy, Archibaldzie, dobrze znam pozycję Chadwick w świecie. Nie musisz mnie w tej kwestii pouczać.

- Czy wiesz również, że bratanek króla Ethelreda niejednokrotnie gościł tu na obiedzie? Lub że księżę i księżna Rochelle chcieli zjeść o obiad ze mną na tego-rocznych zimionaliach?

- Archibaldzie, to już się robi męczące. O co ci chodzi?

Hrabia zmarszczył czoło, widząc, że jego słowa nie zrobiły na markizie wrażenia. Podał mu kieliszek, usiadł

na drugim krześle i wypił mały łyk trunku.

- Zważywszy na moją pozycję, reputację i obiecującą przyszłość... Dlaczego Alenda miałaby mnie odrzucać? Na pewno nie z powodu mojego wyglądu. Jestem młody, przystojny i noszę najwytworniejsze importowane stroje z najdroższych jedwabii. Pozostali zalotnicy są starzy, grubi lub łysi, a niektórzy uosabiają wszystkie te przywary naraz.

- Może zwraca uwagę nie tylko na wygląd i bogactwo -

zasugerował Wiktor. - Kobiety nie zawsze myślą o polityce i władzy. Alenda należy do dziewcząt,

które idą za głosem serca.

- Ale spełnia też życzenia ojca, prawda?

- Nie rozumiem.

- Gdybyś jej zasugerował, wyszłaby za mnie. Mógłbyś jej to nakazać.

- A więc dlatego mnie tu ściągnąłeś? Przykro mi, Archibaldzie, ale zmarnowałeś swój i mój czas. Nie zamierzam jej zmuszać do poślubienia kogokolwiek, a zwłaszcza ciebie. Nienawidziłaby mnie do końca życia. A ja bardziej dbam o uczucia mojej córki niż polityczne implikacje jej małżeństwa. Tak się składa, że hołubię Alendę. Ze wszystkich moich dzieci to ona jest moją największą radością.

Archibald, rozważając słowa Wiktora, upił kolejny łyk koniaku. Postanowił podejść do tematu z innej strony.

- A gdyby to było dla jej dobra? Żeby ocalić ją przed nieszczęściem.

- Przyjechałem tu, bo ostrzegłeś mnie o niebezpieczeństwie.

Wyjaśnisz mi w końcu, o co chodzi, czy chciałbyś się przekonać, czy staruszek potrafi jeszcze włączyć mieczem?

Archibald zignorował groźbę, bo wiedział, że jest bez pokrycia.

- Po kilkakrotnym odrzuceniu moich zalotów domyśliłem się, że coś jest nie w porządku. Jej zachowanie było nieracjonalne. Spójrz na mnie. Jestem bogaty i przystojny.

Mam koneksje i moja gwiazda świeci coraz jaśniej. I odkryłem prawdziwy powód odmowy twojej córki: już się związała z kimś innym. Ma romans, potajemny romans.

- Trudno mi w to uwierzyć - oznajmił Wiktor. - O nikim mi nie wspominała. Gdyby ktoś ją zainteresował, powiedziałyby mi o tym.

- Nic dziwnego, że trzyma jego tożsamość w tajemnicy.

Wstydzi się. Wie, że ich związek zhańbi twoją rodzinę.

Zadaje się z człowiekiem z gminu, w którego żyłach nie płynie ani jedna kropla błękitnej krwi.

- Łżesz!

- Zapewniam cię, że nie. Ale problem jest jeszcze po-ważniejszy. Ten człowiek nazywa się Degan Gaunt. Słyszałeś o nim, prawda? Jest dość sławny. To przywódca ruchu nacjonalistów z Delgos. Wiesz, że na południu podburzył

współziomków. Upajają się pomysłem wyrżnięcia szlachciców i ustanowienia własnych rządów. Gaunt i twoja córka spotykają się nad Windermere nieopodal klasztoru.

Umawiają się, kiedy jesteś w podróży i zajmujesz się sprawami wagi państwowej.

- To niedorzeczne. Moja córka nigdy by...

- Czy nie przebywa tam twój syn? - zapytał Archibald. - To znaczy w opactwie. Jest mnichem, prawda?

Wiktor skinął głową.

- Mój trzeci syn Myron.

- Może im pomaga. Dowiedziałem się, że to bardzo inteligentny jegomość. Może to on planuje schadzki ukochanej siostry i zajmuje się przekazywaniem kore-spondencji? To wygląda bardzo źle, Wiktorze. Oto córka markiza popierającego imperialistycznego króla zadaje się z rewolucjonistą i spotyka z nim w rojalistycznym królestwie Melengaru, podczas gdy wszystko to organizuje jego syn.

Wielu mogłoby to uznać za rodzinną znowę. Co by powiedział na ten temat król Ethelred?

My wiemy, że jesteś lojalny, ale inni mogą w to powątpiewać. Źle ulokowane uczucia niewinnej dziewczyny mogą zszargać honor twojej rodziny.

- Oszalałeś - odparował Wiktor. - Myron poszedł do opactwa, kiedy miał zaledwie cztery lata. Alenda nigdy z nim nawet nie rozmawiała. Ta cała konfabulacja to bez wątpienia próba wywarcia na mnie nacisku, abym zmusił ją do poślubienia ciebie. I znam powód. Nie zależy ci na niej.

Chcesz jej posagu, doliny Rilan, która tak ładnie graniczy z twoją ziemią. O to ci właśnie chodzi. A także o podniesienie swojego statusu poprzez to małżeństwo. Jesteś żaloszny.

- Żaloszny, tak?

Archibald odstawił kieliszek i wyjął spod koszuli klucz, który miał zawieszony na srebrnym łańcuszku na szyi. Wstał i podszedł do gobelinu przedstawiającego scenę uprowadzenia jasnowłosej szlachcianki przez jadącego konno caliskiego księcia. Odchylił tkaninę, odsłaniając ukryty sejf. Przekręcił klucz w zamku i otworzył metalowe drzwiczki.

- Na dowód tego mam plik listów napisanych własnoręcznie przez twoją cenną córeczkę. Świadczą one ojej dozgonnej miłości do odrażającego wiejskiego rewolucjonisty.

- Jak je zdobyłeś?

- Ukradłem. Chciałem poznać rywala, więc kazałem ją śledzić. Zorganizowałem przechwycenie jej listów posyłanych do opactwa. - Wyjął z sejfu plik pergaminowych kartek i rzucił go Wiktorowi na kolana. - Proszę! - powiedział z nutą triumfu w głosie. - Poczytaj o knowaniach swojej córki i sam zdecyduj, czy na małżeństwie ze mną wyszłaby lepiej, czy nie.

Wrócił na swoje miejsce i uniósł kieliszek w zwycięskim geście. Wygrał. W celu uniknięcia politycznej zguby Wiktor Lanaklin, wielki markiz Glouston, rozkaże córce poślubić hrabiego. Markiz nie miał wyboru. Gdyby wieść o tym dotarła do Ethelreda, możliwe, że zarzucono by mu nawet zdradę.

Imperialistyczni królowie żądają, aby ich szlachcice mieli takie same poglądy polityczne i okazywali takie samo posłuszeństwo Kościołowi jak oni. Archibald wątpił, aby Wiktor naprawdę sympatyzował z rojalistami czy nacjonalistami, ale każda oznaka niewłaściwych przekonań byłaby dla króla wystarczającym powodem do okazania swojego niezadowolenia.

W końcu Ballentyne będzie miał pogranicze, a z czasem być może uzyska kontrolę nad całą marchią. Dzięki Chadwick i Glouston zyska też nie mniejsze wpływy na dworze niż księżę Rochelle.

Spoglądając teraz na siwego starca w wykwintnym stroju podróznym, Archibald nieomal mu współczuł. Dawno temu markiz cieszył się opinią mężczyzny inteligentnego i odważnego, co częściowo wynikało z jego tytułu, gdyż człowiek o godności markiza nie był zwykłym szlachcicem jak hrabia. Do jego obowiązków należało strzeżenie królewskich granic, czemu podołać mógł tylko zdolny, czujny przywódca zaprawiony w boju. Czasy jednak się zmieniły i Warric miało pokojowo nastawionych sąsiadów. Tym samym wielki strażnik się rozleniwił, a jego siły zmalały, bo przestał ich potrzebować.

Kiedy Wiktor otwierał listy, Archibald rozmyślał o swojej przyszłości. Markiz miał rację. Chodziło mu o ziemię, którą by zyskał wraz z jego córką, ale myśl o zaciągnięciu Alendy do łóżka też sprawiała

mu niemałą przyjemność, ponieważ dziewczyna była naprawdę atrakcyjna.

- Archibaldzie, czy to jakiś żart? - spytał Wiktor. Wyrwany z zadumy hrabia odstawił kieliszek.

- Jak to?

- Na tych pergaminach nic nie ma.

- Co takiego? Oślepieś? To... - Archibald urwał, zobaczywszy puste kartki w ręku markiza. Chwycił garść listów i pospiesznie je otworzył. Ujrzał jedynie kolejne czyste pergaminy. - To niemożliwe!

- Może napisano je znikającym atramentem? - zadrwił

Wiktor.

- Nie... nie rozumiem... To nie są nawet te same pergaminy!

Zajrzał do sejfu, ale nic tam nie było. Jego konsternacja przerodziła się w panikę. Otworzył gwałtownie drzwi i zaniepokojonym głosem zawołał Bruce'a. Zbrojny wbiegł z dobytym mieczem.

- Co się stało z listami, które miałem w sejfie?! - wrzasnął

Archibald do żołnierza.

- Ja... nie wiem, milordzie - wyjąkał Bruce, po czym schował miecz do pochwy i stanął na baczność przed hrabią.

- Jak to: nie wiesz? Czy dziś wieczorem schodziłeś z posterunku?

- Oczywiście, że nie.

- Czy ktokolwiek wchodził do gabinetu podczas mojej nieobecności?

- Nie, milordzie, to niemożliwe. Tylko ty masz klucz.

- To gdzie, na litość Maribora, są te listy? Osobiście je tu włożyłem. Czytałem je, kiedy przyjechał markiz. Nie było mnie tylko przez kilka minut. Jakim cudem mogły zniknąć?

Archibald myślał gorączkowo. Trzymał listy w ręku nitkiem niedawno. Zamknął je w sejfie pod kluczem. Był o tym przekonany. Gdzie więc się podziały?

Wiktor dopił koniak i wstał.

- Jeżeli pozwolisz, Archie, pójdę już. To była koszmarna strata mojego czasu.

- Wiktorze, zaczekaj. Nie odchodź. Listy naprawdę istnieją.

Zapewniam cię, że je miałem!

- Naturalnie, Archie. Przy następnej próbie szantażu proponuję przygotować lepszy bluff.

Markiz wyszedł z komnaty i zniknął na schodach.

- Lepiej rozważ moje słowa, Wiktorze! - krzyknął za nim Archibald. - Odnajdę te listy. Na pewno! Przywiozę je do Aquesty! Pokażę na dworze!

- Co mam zrobić, milordzie? - zapytał Bruce.

- Zaczekaj, głupcze. Muszę pomyśleć. Przeczesał drżącą ręką włosy i zaczął krążyć po

komnacie. Obejrzał dokładnie kartki. Pergamin rzeczywiście trochę się różnił od tego, na którym powstały wielokrotnie przeczytane przez niego listy. Choć nie miał

wątpliwości, że schował je do sejfu, zaczął zaglądać do szuflad i przerzucać papiery na biurku. Dolał sobie koniaku i podszedł do kominka. Zerwał siatkę i pogmerał pogrzebaczem w popiele w poszukiwaniu tłących się skrawków pergaminu.

Sfrustrowany, wrzucił puste listy do ognia. Wychylił kieliszek jednym haustem i usiadł ciężko na krześle.

- Przecież tu były - powiedział zbity z tropu. Powoli coś zaczęło mu świtać w głowie. - Bruce, ktoś musiał je ukraść.

Złodziej nie mógł uciec daleko. Przetrząśnij cały zamek.

Zabezpiecz każde wyjście. Nie wypuszczaj nikogo, ani personelu, ani strażników. Nikt nie może stąd wyjść.

Przeszukaj każdego!

- W tej chwili, milordzie - odpowiedział Bruce, po czym dodał: - A co z markizem, milordzie? Jego też mam zatrzymać?

- Oczywiście, że nie, idioto! On nie ma tych listów.

Archibald wpatrywał się w ogień, słuchając cichnącego odgłosu kroków zbiegającego po schodach Bruce'a. W głowie kłębiło mu się sto pytań bez odpowiedzi. Łamał sobie głowę, ale nie potrafił odkryć, w jaki sposób złodziej zdołał tego dokonać.

- Wasza lordowska mość? - wyrwał go z zamyślenia nieśmiały głos stojącego w drzwiach majordomusa.

Archibald spiorunował go spojrzeniem i służący zaczerpnął

głęboko powietrza, zanim ośmielił się ponownie odezwać.

- Milordzie, przykro mi, że cię niepokoję, ale na dziedzińcu jest jakiś problem, który wymaga twojej interwencji.

- Jaki problem? - warknął Archibald.

- Nie znam szczegółów, ale ma to związek z markizem, sir.

Mam cię poprosić, abys przyszedł. To znaczy, uniżenie poprosić...

Na schodach Archibald się zastanawiał, czy przypadkiem staruszek nie padł martwy, zanim zdążył wyjechać z zamku. I nie byłoby to wcale takie straszne. Wkrótce jednak okazało się, że markiz żyje, ale jest wściekły.

- Nareszcie, Ballentyne! Co zrobiłeś z moim powozem?!

- Czym?

Bruce zbliżył się do Archibalda i szepnął mu na ucho:

- Wasza lordowska mość, wygląda na to, że nie ma powozu i koni markiza.

Archibald uniósł palec w kierunku Lanaklina.

- Zaraz do ciebie przyjdę, Wiktorze - oznajmił głośno, a następnie szepnął do Bruce'a: - Jak to: nie ma?

- Nie wiem, sir, ale strażnik przy bramie twierdzy, że markiz i jego woźnica, a raczej dwóch ludzi, którzy na nich wyglądali, już wyjechali przez frontową bramę.

Hrabiemu zrobiło się nagle niedobrze. Odwrócił się do czerwonego ze złości Lanaklina.

Rozdział 2

Spotkania

Kilka godzin po zmroku Alenda Lanaklin przyjechała powozem do ubogiej Dzielnicy Dolnej w Medfordzie.

Niepozorna gospoda Róża i Cierń stała wśród ruder z krzywymi dachami na ulicy bez nazwy, która wydawała się Alendzie niewiele szersza od alejki. Bruk był jeszcze mokry po niedawnej burzy i w wielu miejscach stały kałuże.

Przejeżdżające powozy rozchlapwały brudną wodę, która spływała po frontowym wejściu do karczmy, pozostawiając smugi brudu na zmatowiałym kamieniu i rozeschniętym drewnie.

Z pobliskich drzwi wynurzył się spocony, łysy mężczyzna bez koszuli, za to z dużym miedzianym garnkiem, który bezceremonialnie opróżnił na ulicy, wywalając na ziemię kostki kilku gotowanych zwierząt. Na ochłapy od razu rzuciła się sfora psów. Nędznie wyglądający włóczędzy, słabo widoczni w migoczącym świetle padającym z okien gospody, wrzasnęli ze złością na kundle w języku, którego Alenda nie rozpoznała. Kilku z nich rzuciło kamieniami w wychudłe zwierzęta, a te zaskowyczały i odskoczyły. Żebracy dobiegli do pozostawionych resztek i zaczęli je sobie wpychać do ust i chować do kieszeni.

- Jesteś pewna, że dobrze trafiłyśmy, pani? - spytała Emily, przyglądając się temu wszystkiemu. - Wicehrabiemu Winslowowi nie mogło chodzić o spotkanie w takim miejscu.

Alenda jeszcze raz przyjrzała się róży namalowanej na wypaczonym szyldzie. Czerwony kwiat był poszarzały, a zwinięta w spiralę łodyga wyblakła.

- To musi być tutaj. Nie sądzę, aby w Medfordzie było kilka zajazdów o takiej nazwie.

- Nie mogę uwierzyć, że sprowadził nas w takie... miejsce!

- Mnie też się tu nie podoba, ale takie były uzgodnienia. Nie mamy wyboru. - Alendę zdziwiła własna dzielność.

- Wiem, że masz już dość wysłuchiwania tego, pani, ale wciąż uważam to za błąd. Nie powinnyśmy się zadawać ze złodziejami. Nie można im ufać. Zapamiętaj sobie, pani, moje słowa: wynajęci przez ciebie ludzie okradną cię tak samo, jak okradają innych.

- Skoro już tu jesteśmy, możemy zrobić następny krok -

oznajmiła Alenda i otworzyła drzwi, by wysiąść. Dostrzegła jednak z niepokojem, że kilku łazęgów bacznie ją obserwuje.

- Należy się srebrny tenent - zażądał woźnica, starszawy gbur z kilkudniowym zarostem. Miał wąskie oczy, a wokół

nich tyle zmarszczek, że Alenda się zastanawiała, czy widzi na tyle, aby móc powozić.

- Zamierzałam zapłacić na koniec podróży - wyjaśniła Alenda. - Przyjechałyśmy tu tylko na chwilę.

- Za czekanie jest dodatkowa opłata. A należność za przyjazd chcę już w tej chwili, bo możecie się rozmyślić i nie wrócić.

- To niedorzeczne. Zapewniam, że wrócimy.

Z wyrazu jego twarzy można było wywnioskować, że nie ustąpi. Splunął Alendzie pod nogi.

- No nie, coś takiego!

Kobieta wyjęła monetę z torebki i podała ją woźnicy.

- Oto zapłata, ale nie odjeżdżaj. Nie wiem dokładnie, ile czasu tu zabawimy, na pewno jednak wrócimy.

Emily wysiadła z powozu. Poprawiła kaptur Alendy, sprawdziła, czy jej pani ma zapięte guziki, i wygładziła jej pelerynę. Następnie powtórzyła wszystkie te czynności przy własnym stroju.

- Szkoda, że nie mogę powiedzieć temu głupiemu furmanowi, kim jestem - szepnęła Alenda. - Usłyszałby jeszcze kilka innych rzeczy.

Obie miały na sobie podobne wełniane peleryny i przy nasuniętych na głowę kapturach prawie nie było widać ich twarzy. Alenda spojrzała groźnie na Emily i odepchnęła jej ręce.

- Za bardzo mi matkujesz, Emmy. Jestem pewna, że kobiety też tu zachodzą.

- Kobiety tak, ale wątpię, czy damy.

Po wejściu do gospody od razu uderzył w nie ostry odór dymu, alkoholu i tego, co Alenda do tej pory mogła poczuć tylko w wygodce. Ze dwadzieścia grup dyskutantów wzajemnie się przekrzykiwało, podczas gdy skrzypek grał

skoczną melodię. Przed barem tańczyła spora grupa ludzi, którzy utrzymywali się w rytmie jiga, stukając głośno obcasami w wypaczoną drewnianą podłogę. Słychać było pobrzękiwanie kieliszków i odgłosy uderzeń pięścią w stół, a wszyscy śmiali się i śpiewali znacznie głośniej, niż Alenda uważała za stosowne.

- Co teraz? - rozległ się głos Emily spod wełnianego kaptura.

- Poszukamy wicehrabiego. Trzymaj się blisko mnie.

Alenda chwyciła Emily za rękę i ruszyły, klucząc między stolikami, omijając tancerzy i psa, który beztrąsko zlizywał rozlane piwo. Alenda nigdy w życiu nie była w takim miejscu. Otaczali ją ludzie o odstręczającym wyglądem, zasadniczo w łachmanach, a i często bez butów. Dostrzegła tylko cztery kobiety. Wszystkie były barmankami odzianymi w postrzępione suknie z nieprzyzwoicie głębokimi dekoltami.

Jakiś bezzębny, owłosiony typek złapał jedną z nich w pasie, przyciągnął na swoje kolana i przesunął dłońmi wzdłuż jej ciała. Zaskakujące było to, że dziewczyna nie krzyczała, tylko chichotała.

Wreszcie Alenda dostrzegła wicehrabiego Alberta Winsłowa. Miał na sobie prostą płócienną koszulę, wełniane spodnie i starannie odszytą kamizelkę z zamszu, a nie jak zwykle kubrak i pludry. Nie zrezygnował jednak z wykwintnej ozdoby. Włożył przepiękny, choć może trochę zbyt krzykliwy kapelusz z piórami. Siedział przy stoliku w towarzystwie krępego mężczyzny z czarną brodą i w tanim roboczym ubraniu.

Kiedy podeszły do stolika, Winslow wstał i odsunął dla nich krzesła.

- Witam panie - odezwał się z wesołym uśmiechem. -

Bardzo się cieszę, że mogliście się ze mną dziś spotkać.

Usiądźcie, proszę. Czy mogę zamówić wam coś do picia?

- Nie, dziękuję - odmówiła Alenda. - Liczę, że to nie potrwa długo. Woźnica, który nas przywiózł, nie jest uczynny i chciałabym zakończyć naszą sprawę, zanim postanowi odjechać bez nas.

- Rozumiem i pozwolę sobie dodać, że to bardzo mądrze z twojej strony, pani. Ale z przykrością muszę poinformować, że twoja dostawa jeszcze nie dotarła.

- Nie? - Alenda poczuła na swej dłoni pokrzepiający uścisk Emily. - Coś się stało?

- Niestety nie wiem. Nie znam szczegółów technicznych tej operacji. Nie kłopotuję się o takie drobiazgi. Powinnaś jednak rozumieć, że to nie było łatwe zadanie. Do opóźnienia mogło dojść z wielu powodów. Na pewno nie mogę wam nic zamówić?

- Nie, dziękuję - odparła Alenda.

- Przynajmniej usiądźcie, proszę.

Alenda spojrzała na Emily i zobaczyła w jej oczach niepokój. Kiedy zajęły miejsca, od razu do niej szepnęła:

- Wiem, wiem. Nie powinnam się zadawać ze złodziejami.

- Nie martw się, pani - uspokoił ją wicehrabia. - Nie marnowałbym twojego czasu i pieniędzy ani nie narażałbym twojej reputacji, gdybym nie miał absolutnej pewności co do rezultatu.

Brodacz przy stole cicho zachichotał. Miał ciemną cerę i był

zaniedbany. Jego skóra wyglądała, jakby przeszła proces garbowania, a olbrzymie ręce były zrogowaciałe i brudne.

Alenda patrzyła, jak przykłada kufel do ust. Gdy odsunął go od twarzy, krople piwa spłynęły mu

swobodnie po zarośniętym podbródku i skapnęły na stolik. Ten człowiek zdecydowanie jej się nie podobał.

- To Mason Grumon - wyjaśnił Winslow. - Przepraszam, że nie przedstawiłem go wcześniej. Mason jest kowalem w Dzielnicy Dolnej w Medfordzie i... przyjacielem.

- Ci najemnicy są bardzo dobrzy - oznajmił Mason głosem, który przypominał Alendzie zgrzyt kół powozu toczących się po żwirze.

- Naprawdę? - spytała. - Potrafiliby ukraść antyczne skarby Glenmorgana z Wieży Koronnej Ervanonu?

- A co to takiego? - zapytał Winslow.

- Kiedyś słyszałam plotkę o złodziejach, którzy ukradli skarb z Wieży Koronnej Ervanonu i na drugi dzień odnieśli go na miejsce - wtrąciła się Emily.

- Czemu ktoś miałby to robić? - zainteresowała się Alenda.

Wicehrabia zachichotał.

- To na pewno tylko legenda. Żaden rozsądny złodziej by tak nie postąpił. Ludzie przeważnie nie rozumieją motywów ich działania. Większość z nich kradnie dla pieniędzy.

Włamują się do domów albo napadają na podróżnych na drodze. Zuchwalsi porywają szlachciców i przetrzymują ich dla okupu. Czasami nawet ucinają palec ofierze i wysyłają go bliskim, pokazując w ten sposób, jacy są niebezpieczni, i skłaniając rodzinę do poważnego traktowania ich żądań. Na ogół to nieprzyjemni ludzie. Zależy im tylko na dorobieniu się jak najmniejszym wysiłkiem.

Alenda znów poczuła uścisk na ręce. Tym razem tak mocny, że aż się skrzywiła.

- Porządniejsi złodzieje tworzą gildie, podobnie jak murarze albo stolarze, tylko że potajemnie. Są bardzo dobrze zorganizowani i traktują złodziejstwo jak zawód. Ustalają terytoria, na których działają. Często wchodzą w układy z lokalną gwardią albo można-władcą i w zamian za opłatę mogą pracować względnie spokojnie, jeśli tylko unikają określonych zleceń i stosują się do zasad.

- Czy zasady ustalane między urzędnikami prowincji a przestępcami mogą być w ogóle etycznie akceptowalne? -

powątpiewała Alenda.

- Zdziwiłabyś się, ile zawiera się kompromisów, aby królestwo sprawnie funkcjonowało. Jest jednak jeszcze jeden typ złodzieja - działający na własną rękę, czyli, mówiąc bez ogródek, złodziej do wynajęcia. Takich przestępców zatrudnia się do konkretnego zadania, na przykład zdobycia przedmiotu będącego w posiadaniu innego szlachcica. Kodeks honorowy albo obawa przed wstydem - mówiąc to, Winslow mrugnął -

zmuszają niektórych arystokratów lub bogatych kupców do zwrócenia się właśnie do takiego fachowca.

- A więc ci, których dla mnie wynająłeś, ukradną wszystko dla każdego? - spytała Alenda.

- Nie każdego. Tylko dla skłonnych do zapłacenia odpowiedniej sumy.

- Nieważne, czy klient jest przestępcą, czy królem?

- wtrąciła Emily.

Mason się zachnął.

- Przestępca czy król, co za różnica?

Po raz pierwszy od przybycia kobiet uśmiechnął się szeroko, ukazując braki w uzębieniu. Zdegustowana Alenda odwróciła wzrok i z powrotem spojrzała na Winsłowa.

Wicehrabia zerkał w stronę drzwi, wypatrując czegoś nad głowami klientów gospody.

- Panie wybaczą - powiedział i szybko wstał. - Chcę się jeszcze napić, a obsługa jest zajęta. Zajmij się paniami, Mason.

- Nie jestem przekłętą mamką, ty głupi ramolu!

- krzyknął Mason za wicehrabią, który już przedzierał się przez tłum.

- Ja... nie pozwolę, żebyś tak się odnosił do jaśnie pani -

oświadczyła odważnie Emily. - Moja pani nie jest niemowlakiem, tylko szlachcianką, a ty powinieneś pamiętać, gdzie jest twoje miejsce.

Mason spochmurniał.

- To jest moje miejsce. Mieszkam pięć cholernych domów dalej. Mój ojciec pomagał przy budowie tej piekielnej karczmy, brat jest tu przeklętym kucharzem, a matka też pracowała w kuchni dopóty, dopóki nie zginęła pod kołami jednego z waszych wielkopańskich powozików. To jest moje miejsce i to ty musisz pamiętać, gdzie jest twoje. - Walnął

pięścią w stół.

Nie tylko świeczka podskoczyła. Panie również.

Alenda przysunęła się do Emily. W co ja się wdałam? -

pomyślała. Zaczynała sądzić, że Emily miała rację. Nie powinna ufać temu nieponiowi Winslowowi. W zasadzie niewiele o nim wiedziała poza tym, że uczestniczył w jesiennej gali w Aqueście jako

gość lorda Darefa. Kto jak kto, ale Alenda powinna już wiedzieć, że szlachectwo nie zawsze idzie w parze ze szlachetnością.

Siedzieli w milczeniu, aż wrócił Winslow - bez trunku.

- Zechcą panie pójść ze mną? - skinął ręką.

- O co chodzi? - zaniepokoiła się Alenda.

- Proszę, tędy.

Alenda i Emily wstały od stolika i ruszyły za nim. W

oparach dymu fajkowego omijały tancerzy, psy i pijaków, aż dotarły do tylnego wyjścia. W porównaniu z tym, co zobaczyły na tyłach gospody, dotychczasowe niemiłe wrażenia wydawały się sielanką. Wszędzie wały się odchody i wyrzucane przez okna śmieci zmieszane z biotem w szerokim rynsztoku. Przez tę obrzydliwą rzekę szlamu przerzucono deski pełniące funkcję mostków. Przy przechodzeniu na drugą stronę kobiety i tak musiały unieść suknie powyżej kostek. Z drewnianego pala zeskoczył duży sznur, żeby dołączyć do dwóch innych buszujących w rynnie ściekowej.

- Po co tu przyszliliśmy? - szepnęła Emily do podopiecznej drżącym głosem.

- Nie wiem - odparła Alenda, rozpaczliwie usiłując zapanować nad własnym strachem. - Chyba miałaś rację, Emmy. Nie powinnam się zadawać z tymi ludźmi. W nosie mam to, co mówi wicehrabia. Ludzie z naszych kręgów nie powinni robić interesów z takimi jak oni.

Wicehrabia zaś prowadził je teraz przez furtkę w drewnianym płocie i wokół kilku chałup do kiepsko wyglądającej stajni. W zasadzie do budy z czterema stanowiskami; przy każdym leżało na ziemi siano i stał kubek

wody.

- Miło cię znów widzieć, jaśnie pani - odezwał się człowiek stojący przed stajnią.

Alenda rozpoznała w nim tego większego z pary, ale nie pamiętała jego imienia. Widziała się z nimi bardzo krótko na zaaranżowanym przez wicehrabiego spotkaniu, do którego doszło na odludnej drodze w nocy jeszcze ciemniejszej niż ta.

Teraz świecił półksiężyc, a mężczyzna miał zdjęty kaptur, więc Alenda lepiej widziała jego twarz. Był wysoki, miał

nieregularne rysy, ale nie wyglądał na groźnego. W kącikach oczu miał zmarszczki, które mogły świadczyć o tym, że lubi się często śmiać. Mimowolnie pomyślała, że jest przystojny -

nie spodziewała się po sobie takiej refleksji w odniesieniu do osoby spotkanej w takim miejscu. Miał na sobie ubłocone rzeczy ze skóry i wełny i był dobrze uzbrojony: przy lewym boku nosił krótki

miecz z rękojeścią bez zdobień, a przy prawym podobny, ale dłuższy i szerszy. Przez plecy przewiesił sobie masywny oręż sieczny, długością prawie dorównujący jego wzrostowi.

- Mam na imię Hadrian, jeżeli zapomniałaś, pani -

przedstawił się i stosownie uklonił. - A kim jest twoja urocza towarzyszka?

- To Emily, moja służąca.

- Służąca? - Hadrian udał zdziwienie. - Sądząc po urodzie, przypuszczałbym, że to księżna.

Emily pochyliła głowę i po raz pierwszy w trakcie tej wyprawy Alenda zobaczyła na jej twarzy uśmiech.

- Mam nadzieję, że nie czekałyście zbyt długo. Podobno wicehrabia wraz z Masonem dotrzymywali wam towarzystwa.

- To prawda.

- Czy pan Grumon opowiedział wam tragiczną historię o tym, jak jego matkę przejechał królewski powóz?

- No tak. I muszę przyznać...

Hadrian uniósł ręce w udawanym geście obronnym.

- Matka Masona żyje i miewa się dobrze. Mieszka przy ulicy Rzemieślników, w domu znacznie ładniejszym od rudery Masona. Nigdy nie była kucharką w gospodzie Róża i Cierń. Opowiada tę bajeczkę każdemu napotkanemu dzentelmenowi lub damie, aby wywołać w nich poczucie winy. Przyjmijcie moje przeprosiny.

- Cóż, dziękuję. Zachowywał się po chamsku i jego uwagi wytrąciły mnie z równowagi, ale teraz... - Alenda urwała. -

Czy... zdołaliście je odzyskać?

Hadrian uśmiechnął się ciepło, a następnie zawołał przez ramię w stronę stajni:

- Royce!

- Gdybyś umiał prawidłowo wiązać węzeł, nie trwałoby to tak długo - dobiegł ich ze środka głos, a po chwili dołączył do nich drugi członek tandemu.

Alenda pamiętała go lepiej, ponieważ robił bardziej niepokojące wrażenie od Hadriana. Był niższy od współnika i miał ładne rysy, ciemne włosy oraz ciemne oczy. Teraz ubrany był na czarno: w tunikę do kolan i długą pelerynę. Nie nosił broni, lecz Alenda bała się go bardziej niż Hadriana.

Miał w sobie coś z drapieźnika: zimne oczy, kamienną twarz i pewną szorstkość w zachowaniu.

Wyjął spod tuniki plik listów obwiązanych niebieską wstążką.

- Nie było łatwo do nich dotrzeć, zanim Ballentyne nie pokazał ich twojemu ojcu - oznajmił, podając je Alendzie. -

Wyścig był wyrównany. Wygraliśmy, ale niewiele brakowało.

Może lepiej je spalić, zanim znów dojdzie do takiej sytuacji.

Patrząc na paczuszkę, uśmiechnęła się z ulgą.

- Nie mogę uwierzyć! Nie wiem, jak tego dokonaliście ani jak wam dziękować!

- Zapłata byłaby mile widziana - odparł Royce.

- Naturalnie.

Podala listy Emily, po czym odwiązała od pasa sakiewkę i wręczyła ją złodziejowi. Ten szybko zajrzał do środka, a potem ściągnął tasiemki i rzucił woreczek Hadrianowi, który w drodze do stajni wsunął go do kamizelki.

- Lepiej uważaj - ostrzegł ją Royce. - Prowadzicie z Gauntem niebezpieczną grę.

- Przeczytałeś moje listy? - zapytała przestraszona.

- Nie. Niestety za mało nam zapłaciłaś.

- To skąd wiedziałeś...

- Podśluchaliśmy rozmowę twojego ojca z Ballentyne'em.

Markiz udawał, że nie wierzy w oskarżenia hrabiego, ale jestem pewien, że dało mu to do myślenia.

Twój ojciec będzie cię teraz bacznie obserwował. Jest dobrym człowiekiem i postąpi właściwie. Tak mu ulżyło, że Ballentyne nie ma z czym iść do sądu, że nie przejmie się twoim romanssem. Powtarzam jednak: w przyszłości lepiej bądź ostrożniejsza.

- Skąd ktoś taki jak ty mógłby cokolwiek wiedzieć o moim ojcu?

- O, przepraszam. Powiedziałem „twój ojciec”? Chodziło mi o innego markiza, tego, którego córka potrafi okazywać wdzięczność.

Alenda poczuła się, jakby Royce ją spoliczkował.

- Zawierasz nowe przyjaźnie, Royce? - zapytał Hadrian, prowadząc dwa konie ze stajni. - Musisz wybaczyć mojemu przyjacielowi. Nie odebrał należytego wychowania.

- To konie mojego ojca! Hadrian skinał głową.

- Zostawiliśmy powóz za malinowym chruśniakiem przy moście. Nawiasem mówiąc, wyciągnąłem jeden z kubraków twojego ojca. Wraz z innymi rzeczami zostawiłem go w powozie.

- Włożyliście ubranie mojego ojca?

- Już mówiłem - powtórzył Royce. - Niewiele brakowało.

*

Nazywali go ciemnym pokojem z powodu załatwianych tam interesów, ale w pokoiku na zapleczu gospody Róża i Cierń wcale nie panował mrok. Świece w lichtarzach na ścianach i stole oraz spory ogień w kominku dawały ciepłe, przyjazne światło. Z gołej

belki pod sufitem zwisał rząd miedzianych garnków, które przypominały czasy, kiedy ciemny pokój pełnił też funkcję magazynu kuchennego. Miejsca wystarczało tam tylko na jeden stół i kilka krzeseł, ale dla nich to było aż nadto.

Otworzyły się drzwi i do środka weszło kilka osób. Royce nalał sobie kieliszek wina, zajął miejsce przy kominku, po czym zdjął buty i poruszał palcami u nóg, skierowawszy je w stronę paleniska. Hadrian, wicehrabia Albert Winslow, Mason Grumon i ładna młoda kobieta wybrali miejsca przy stole.

Gwen, właścicielka gospody, zawsze urządziła wspaniałą ucztę, kiedy wracali po wykonaniu zadania, i tym razem nie było inaczej. Tego wieczoru zaserwowała dzban piwa, dużą pieczeń, bochenek świeżo upieczonego słodkiego chleba, gotowane ziemniaki, słoik białego sera, marchewki, cebule i wielkie kiszzone ogórki z beczki trzymanej zwykle za barem.

Dla Royce'a i Hadriana nie szczędziła kosztów, co dotyczyło także czarnej butelki wina Montemorcey, które sprowadzała aż z Vandon. Zawsze miała je na stanie, bo należało do ulubionych trunków Royce'a. Ale choć wszystko wyglądało apetycznie, Hadrian nawet nie spojrzał najedzenie. Skupił

uwagę na kobiecie.

- Jak wczoraj poszło? - spytała Emerald, siedząc Hadrianowi na kolanach i nalewając mu kufel pianistego piwa warzonego w gospodzie.

Ta w dzieciństwie porzucona przez rodziców dziewczyna w rzeczywistości nazywała się Falina Brockton, ale dla własnego bezpieczeństwa, jak i inne kobiety pracujące w Róży i Cierniu lub w sąsiednim Domu Medford, używała pseudonimu. Inteligentna i wesoła, była tu starszą barmanką i jedną kobietą, której

wolno było przebywać w ciemnym pokoju w trakcie ich spotkań.

- Było zimno - odparł, obejmując ją w talii. - Tak samo jak wtedy, gdy tu jechałem, więc

rozpaczliwie potrzebuję, aby ktoś mnie teraz rozgrzał.

Przyciągnął ją do siebie i zaczął całować po szyi, zanurzając twarz w morzu falowanych, czarnych włosów.

- Dostaliśmy zapłatę, nie? - zapytał Mason.

Nie zdążył jeszcze dobrze usiąść, a już zaczął nakładać sobie na talerz furę jedzenia. Był synem najlepszego kowala w Medfordzie i odziedziczył po ojcu warsztat, ale go stracił z powodu hazardowego nałogu połączonego z pechem.

Zmuszony do wyprowadzki z ulicy Rzemieślników wylądował w Dzielnicy Dolnej, gdzie wykuwał podkowy i gwoździe. To, co zarabiał, starczało mu na dzierżawę kuźni, trunki i sporadyczne posiłki. Royce i Hadrian widzieli w nim trzy zalety: był tani, mieszkał w okolicy i żył samotnie.

- Owszem - potwierdził Royce. - Alenda Lanaklin zapłaciła nam okrągłe piętnaście złotych tenentów.

- Niezła sumka - ucieszył się Winslow, klaszcząc w ręce.

- A moje strzały? - zapytał Mason. - Jak się spisały? Wbiły się w ścianę?

- Jak się patrzy! - odparł Royce. - Problem był z ich wyjęciem.

- Zawiódł zwalniak liny? - zaniepokoił się Grumon. Ale myślałem... Nie robię strzał Trza było iść do ich wytwórcy. Przecież mówiłem, nie? Jestem kowalem. Robię w stali, a nie w drewnie. A ta piłka do metalu, którą zrobiłem, była dobra, nie? Na Mara, właśnie

takie rzeczy kupuje się u kowala! A nie strzały, i już na pewno nie takie, o jakie wam chodziło. Nie, sir. Mówiłem, trza było iść do wytwórcy strzał i koniec.

- Spokojnie, Mason - powiedział Hadrian, wynurzając twarz spomiędzy włosów Emeraldy. - Grunt, że się wbiły.

- No pewnie. Groty są metalowe, a ja się znam na metalu.

Tylko nie podoba mi się, że nie zadziałał zwalniak. Jak odczepiliście linę? Chyba jej nie zostawiliście, co?

- Nie mogliśmy, bo strażnik by ją zauważył przy następnym obchodzie - wyjaśnił Royce.

- To co zrobiliście?

- Ja też chciałbym wiedzieć - wtrącił Winslow. Podobnie jak Royce, siedział wygodnie z zadartymi nogami i kuflem w ręku. - Nigdy mnie nie wtajemniczacie w szczegóły.

Wicehrabia Albert Winslow pochodził ze starego rodu szlacheckiego bez ziemi. Przed wieloma laty jeden z jego przodków stracił rodowe lenno i pozostał mu jedynie tytuł, który mimo wszystko

otwierał przed nim drzwi zamknięte dla pospólstwa i klasy kupieckiej i stawiał go w hierarchii o szczebel wyżej od zwykłego barona, przynajmniej tak się wydawało. Royce i Hadrian poznali go, gdy mieszkał w stodole w Colnorze. Zainwestowali trochę gotówki w ubranie dla niego i powóz i od tej pory zajmował się delikatną sprawą kontaktów ze szlachcicami. Dzięki otrzymanemu od nich funduszowi uczęszczał na wszystkie bale, gale i ceremonie, na których wypatrywał ewentualnych klientów z pełnego afery świata polityki.

- Jesteś zbyt widoczny, Albercie - wyjaśnił Hadrian. - Nie możemy sobie pozwolić na to, że gdy zawloką cię do jakiegoś lochu i zaczną ci odcinać powieki albo wyrwać paznokcie, wyjawisz im nasze zamiary.

- Ale jeśli będą mnie torturować, a ja nie będę znał planu, jak zdołam się uratować?

- Na pewno uwierzą ci po czwartym paznokciu - powiedział

Royce ze złośliwym uśmiechem.

Albert skrzywił się i pociągnął kolejny długi łyk piwa.

-Ale teraz możecie mi już powiedzieć, prawda? Jak sforsowaliście żelazne drzwi? Na spotkaniu z Ballentyne'em odniosłem wrażenie, że nawet krasnolud z kompletem narzędzi nie dałby rady ich otworzyć. Nie miały nawet zamka ani zasuw.

- Twoje informacje bardzo nam pomogły - odparł Royce. -

Dlatego drzwi w ogóle nie braliśmy pod uwagę.

Wicehrabia był skonfundowany. Chciał coś powiedzieć, ale się rozmyślił i ukroił sobie kawałek rostbefu. Royce wziął łyk wina i w tym momencie Hadrian przejął opowieść:

- Wspięliśmy się po drabinie na wschodnią wieżę od zewnętrznej strony, a właściwie Royce to zrobił i rzucił mi linę. Wieża nie była wysoka, ale znajdowała się najbliżej tej, która nas interesowała. Przywiązaliśmy linę do strzały Masona i wstrzeliliśmy ją w drugą wieżę. Uchwyciliśmy linę rękami i opletliśmy ją nogami, po czym powoli przedostaliśmy się po niej na drugą stronę.

- Ale w wieży nie ma okien - zauważył Albert.

- A kto mówi o wchodzeniu przez okno? - wtrącił Royce. -

Wbiliśmy strzały w dach wyższej wieży.

- Tak jak mówiłem, były zrobione po mistrzowsku - nie krył

dumy Mason.

- Dotarliście na dach, ale jak weszliście do środka?

- dopytywał się Albert. - Przez komin?

- Nie, był za mały, a poza tym wczoraj w kominku palił się ogień - wyjaśnił Hadrian. - Użyliśmy drugiego narzędzia Mazona - piłki. Zrobiliśmy okrągłe nacięcie w dachu, tnąc nią pod skosem. Wszystko szło zgodnie z planem, dopóki Archibald nie postanowił odwiedzić gabinetu. No ale wiedzieliśmy, że w końcu stamtąd wyjdzie, więc cierpliwie czekaliśmy.

- Powinniśmy się wślizgnąć, podciąć mu gardło i zabrać listy - upierał się Royce.

- Ale za to nam nie zapłacono, prawda? - przypomniał mu Hadrian.

W odpowiedzi Royce przewrócił oczami. Hadrian nie zwracał na niego uwagi.

- Tak więc czekaliśmy, a wiatr na dachu wiał dokuczliwie.

Drań musiał tam siedzieć ze dwie godziny.

- Biedactwo - zamruczała Emeralda jak kotka i trąciła go nosem w policzek.

- Na szczęście przeglądał listy, kiedy go obserwowaliśmy przez szparę, więc od razu wiedzieliśmy, gdzie jest sejf.

Potem na dziedziniec zajechał powóz i nie zgadniecie, któż to się zjawił.

- Markiz przyjechał, kiedy siedzieliście na dachu?

- zapytał Albert z pełnymi ustami.

- Tak. I zaczął się wyścig z czasem. Archibald poszedł

przywitać markiza, a my przystąpiliśmy do działania.

- A więc - domyśliła się Emeralda - otworzyliście dach, jakbyście zdejmowali czubek z dyni.

- Właśnie. Opuściłem Royce'a do gabinetu i ten otworzył

sejf wytrychem, podłożył fałszywe listy. Potem podciągnąłem go z powrotem na dach. Archibald

i Wiktor weszli do komnaty w chwili, kiedy odkładaliśmy kawałek poszycia na miejsce. Zaczekaliśmy, żeby się upewnić, że nas nie usłyszeli. Ku naszemu zdziwieniu hrabia od razu wyjął listy z sejfu. Muszę przyznać, że rozbawiła mnie jego reakcja, kiedy zobaczył puste kartki. Zrobiło się dość głośno, więc postanowiliśmy wykorzystać okazję i opuściliśmy się na linie na dziedziniec.

- To niesamowite! Powiedziałem Alendzie, że czasem pojawiają się problemy, ale nie miałem pojęcia, że mówię prawdę - wtrącił Albert. - Powinna nam dopłacić.

- Też mi to przyszło do głowy - odrzekł Royce - ale znasz Hadriana. Mimo wszystko nieźle

zarobiliśmy na obu klientach.

- Zaraz, zaraz, nie wyjaśniliście, jak odczepiliście linę od wieży, skoro nie zadziałały moje zwalniaiki.

Royce westchnął.

- Nie pytaj.

- Dlaczego? - Kowal przeniósł wzrok z jednego na drugiego. - To tajemnica?

- Chcą wiedzieć, Royce - powiedział Hadrian z szerokim uśmiechem.

Royce zmarszczył czoło.

- Hadrian ją odstrzelił.

- Co zrobił? - zapytał Albert, wyprostowując się na krześle tak gwałtownie, że uderzył głośno nogami o podłogę.

- Użył strzały, żeby odciąć linę przy linii dachu.

- Ale to niemożliwe - oświadczył Albert. - Nikt nie potrafi trafić w coś tak wąskiego z odległości... ile tam mogło być...

może sześćdziesięciu metrów. I to w całkowitych ciemnościach.

- Świeci! księżyc - zauważył Royce. - Ale nie róbmy z tego większego wyczynu, niż na to zasługuje. Zapominasz, że muszę współpracować z Hadrianem. Poza tym wcale nie trafi!

za pierwszym razem.

- Ile razy strzela!? - spytała Emeraldalida.

- Cóż to ma być, skarbie? - zdziwił się Hadrian, ścierając rękawem pianę z ust.

- Ile potrzebowałeś strzał, żeby odciąć linę, głuptasie?

- Bądź szczery - doradził Royce. Hadrian spochmurniał.

- Czterech.

- Czterech? - powtórzył Albert. - Wyobrażałem sobie jeden strzał, mimo to...

- Myślisz, że hrabia się domyśli? - spytała Emeraldalida.

- Przy najbliższym deszczu, jak mi się zdaje - odezwał się Mason.

Ktoś zapukał trzy razy do drzwi. Przysadzisty kowal wstał, odpychając krzesło do tyłu, i przeszedł przez pokoik.

- Kto tam? - zapytał groźnym tonem.

- Gwen.

Odsunął rygiel i otworzył drzwi, wpuszczając do środka egzotycznie wyglądającą kobietę o długich, gęstych czarnych włosach i olśniewających zielonych oczach.

- No, ładne rzeczy, żebym nie mogła wejść do własnego pokoiku na zapleczu.

- Przepraszam, dziewczyno - powiedział Mason, zamykając za nią drzwi - ale Royce obdarłby mnie żywcem ze skóry, gdybym kiedykolwiek otworzył drzwi bez pytania.

Gwen DeLancy była zagadką Dzielnicy Dolnej. Przyjechała do Avrynu z odległego Calisu. Przetrwiała w Medford, parając się prostytutką i wróżbiarstwem. Ciemna karnacja, oczy w kształcie migdałów i wysokie kości policzkowe jednoznacznie wskazywały na jej obce pochodzenie. Zaś talent do makijażu i wschodni akcent czyniły z niej ponętą i tajemniczą kobietę, której szlachcice nie mogli się oprzeć. Nie była jednak zwykłą ulicznicą. W ciągu trzech lat odwróciła swój los, wykupując prawa do własności w okolicy. Tylko arystokraci mogli być właścicielami ziemi, ale kupcy handlowali prawami do prowadzenia interesu. I tak niedługo stała się właścicielką sporej części ulicy Rzemieślników i większej części Dzielnicy Dolnej. Dom Medford, powszechnie znany jako Dom, był jej najbardziej dochodowym przedsięwzięciem. Pomimo usytuowania na uboczu odwiedzali go szlachcice z bliska i z daleka. Gwen cieszyła się opinią osoby dyskretnej, w szczególności zaś dbała o anonimowość mężczyzn, którzy nie mogli sobie pozwolić na to, aby ktoś zobaczył, jak idą do burdelu.

- Royce - przeszła do interesów Gwen. - Dziś wieczorem Dom odwiedził potencjalny klient. Zależało mu na rozmowie z którymś z was. Umówiłam was na spotkanie jutro wieczorem.

- Znasz go?

- Popytałam dziewczyny. Żadna go nigdy nie widziała.

- Skorzystał z usługi? Gwen pokręciła głową.

- Nie, przyszedł tylko po informacje o złodziejach do wynajęcia. Zabawne, że mężczyźni oczekują, iż prost y tutki udzielą im odpowiedzi na wszystkie pytania o innych, ale jednocześnie zakładają, że ich tajemnice dziewczyny zabiorą z sobą do grobu.

- Która z nim rozmawiała?

- Lilia. Powiedziała, że jest nietutejszy, ma ciemną karnację i obcy akcent. Może pochodzić z Calisu, ale nie natknęłam się na niego, więc nie mam pewności.

- Był sam?

- Lilia nie mówiła o innych.
- Mam z nim porozmawiać? - spytał Albert.
- Nie, ja to załatwię - odparł Hadrian. - Skoro kręci się w okolicy, to szuka raczej kogoś takiego jak ja, a nie ty.
- Jeśli chcesz, Albercie - doda! Royce - możesz tu jutro przyjść i obserwować, czy wejdzie ktoś obcy. Ja będę pilnował ulicy. Czy teraz są jacyś nowi klienci?
- Panuje spory ruch i jest kilku ludzi, których nie rozpoznaję
- odparła Gwen. - W tej chwili czterech siedzi przy głównym barze, a kilka godzin temu była inna piątka.
- To prawda - potwierdziła Emerald. - Obsługiwałam pięciu.
- Jak wyglądali? Na podróżnych? Gwen pokręciła głową.
- Raczej wojskowych. Mieli zwyczajne ubranie, ale ja się domyśliłam.
- Najemnicy? - zapytał Hadrian.
- Nie sądzę. Ci zwykle rozrabiają: podszczypują dziewczyny, krzyczą, wszczynają bójki. Znasz ich. Ci faceci zaś zachowywali się spokojnie i jeden wyglądał mi na szlachcica. W każdym razie niektórzy zwracali się do niego „baronie jakiś tam”... chyba Trumbul.
- Wczoraj widziałem podobnych ludzi na ulicy Przekornej -
odezwał się Mason. - Ze dwunastu.
- Coś się kroi w mieście? - spytał Royce. Spojrzeli po sobie niepewnie.
- Myślicie, że ma to związek z plotkami o zabójstwach w pobliżu rzeki Nidwalden? - zapytał Hadrian.
- Może król zwraca się do szlachty o pomoc.
- Chodzi ci o elfy? - dociekał Mason. - Coś mi się obilo o uszy.
- Mnie też - dodała Emerald. - Krążą pogłoski, że elfy napadły na wioskę. Podobno wszystkich wyrznęły.
Niektórych nawet we śnie.
- Kto tak twierdzi? To mi nie wygląda na prawdę

- skomentował Albert. - Jeszcze nie słyszałem, żeby elf odważył się spojrzeć człowiekowi prosto w oczy, nie mówiąc już o napaści.

Royce włożył buty i pelerynę i ruszył do drzwi.

- Nie znasz elfów, Albercie - powiedział i szybko wyszedł.

- Co ja takiego powiedziałem? - zapytał wicehrabia, patrząc na wszystkich z niewinnym wyrazem twarzy.

Emeralda wzruszyła ramionami. Hadrian wyjął sakiewkę Alendy i rzucił ją Winslowowi.

- Ja bym się nie przejmował. Royce czasami miewa humory. Podziel zyski.

- Ale Royce ma rację - orzekła Emeraldą, która wyglądała na zadowoloną, że wie więcej od nich.

- Na wioskę napadły dzikie elfy, czystej krwi. Tutejsi mieszkańcy to banda leniwych pijaków.

- To skutek tysiąca lat niewoli - zauważyła Gwen.

- Możesz mi dać moją część, Albercie? Muszę wracać do pracy. Dziś do Domu zajadą biskup, sędzia i członkowie Bractwa Baronów.

*

Hadrian, wciąż jeszcze obolały po karkołomnym wyczynie z poprzedniego dnia, siedział przy pustym stoliku w barze i obserwował klientów w Sali Rombowej. Nazwa ta wzięła się z jej nietypowego kształtu zwichrowanego prostokąta, wynikającego z konieczności wpasowania pomieszczenia w przestrzeń między gospodą a sąsiednim burdelem. Hadrian znalazł prawie wszystkich obecnych. Lampiarze, woźnice, druciarze - typowi wieczorni klienci, którzy zaszli do szynku po pracy na posiłek. Siedzieli z głowami pochylonymi nad talerzami i wyglądali na brudnych i zmordowanych. Każdy miał na sobie zgrzebną koszulę i luźne bryczesy przewiązane w pasie jak worek. Wybrali tę salę, ponieważ było tu ciszej i mogli zjeść w spokoju. Jeden z nich jednak się wyróżniał.

Siedział na drugim końcu sali, plecami do ściany. Na jego stoliku stała tylko świeczka, która była standardowym elementem wystroju gospody. Nie zamówił niczego ani do picia, ani do jedzenia. Nosił filcowy kapelusz z szerokim rondem, z jednej strony upiętym okazałym niebieskim piórem, kubrak z czarnego i czerwonego brokatu z wypchanymi ramionami, a pod nim błyszcząca złota koszulę z atłasu. U jego boku wisiała szabla przypięta do nabitego ćwiekami skórzanego pasa dobranego do czarnych butów do jazdy konnej. Kimkolwiek był, nie zależało mu na anonimowości.

Hadrian zauważył także, że pod stołem leży tobołek, na którym mężczyzna trzyma nogę.

Gdy Royce przysłał Emeraldę z wiadomością, że przybysz pojawił się sam, Hadrian wstał i przeszedł

przez salę, zatrzymując się przy pustym krześle stojącym przed nieznanym.

- Można się przysiąc? - zagaił.

- To zależy - odparł tamten i po nucie impertynencji w jego głosie Hadrian rozpoznał caliski akcent.

- Szukam przedstawiciela organizacji o nazwie Riyria.

Mówisz w jej imieniu?

- To zależy, czego chcesz - odrzekł Hadrian z nieznacznym uśmiechem.

- W takim razie usiądź, proszę. Hadrian zajął miejsce i czekał.

- Jestem baron Dellano DeWitt i szukam uzdolnionych ludzi do wynajęcia. Słyszałem, że w tej okolicy można kilku takich znaleźć za pewną sumę.

- Jakie uzdolnienia cię interesują?

- Umiejętność odzyskiwania przedmiotów - odparł DeWitt bez ogródek. - Chcę, aby pewna rzecz zniknęła. Jeżeli to możliwe, na zawsze. Ale to się musi stać dziś wieczorem.

Hadrian się uśmiechnął.

- Przykro mi, ale jestem pewny, że Riyria nie podejmie się wykonania zadania pod taką presją. To zbyt niebezpieczne.

Mam nadzieję, że rozumiesz.

- Przepraszam za ten pośpiech. Próbowałem skontaktować się z waszą organizacją wczoraj, ale powiedziano mi, że to niemożliwe. Jestem gotów wynagrodzić ryzyko.

- Przykro mi, ale oni mają bardzo surowe zasady

- odrzekł Hadrian i zaczął wstawać.

- Proszę posłuchać. Popytałem ludzi. Od osób zo-rientowanych w sprawach miasta dowiedziałem się o dwóch niezależnych fachowcach, którzy podejmują się takich zadań za odpowiednią sumę. Jak im się

udaje bezkarnie działać poza gildiami, można się tylko domyślać, ale takie są fakty. To potwierdza ich reputację, nieprawdaż? Jeśli ich znasz, członków tej Riyrii, błagam, poproś ich, żeby mi pomogli.

Hadrian przyjrzał się nieznajomemu. Z początku uznał go za jednego z wielu egocentrycznych szlachciców szukających rozrywki na królewskim bankiecie, ale teraz w jego głosie usłyszał desperację.

- Dlaczego ten przedmiot jest taki ważny? - spytał, siadając z powrotem. - I dlaczego musi zniknąć dziś wieczorem?

- Słyszałeś o hrabim Pickeringu?

- Mistrz szermierki, zdobywca Srebrnej Tarczy i Złotego Lauru. Ma niewiarygodnie piękną żonę o imieniu... chyba Belinda. Podobno zabił w pojedynku co najmniej osiem osób, gdyż nie podobało mu się, jak na nią patrzyli. Przynajmniej taka krąży o nim plotka.

- Jesteś niezwykle dobrze poinformowany.

- Taka praca - przyznał Hadrian.

- W pojedynku na miecze hrabiego pokonał tylko Braga, arcyksiążę Melengaru. Stało się to na pokazowym turnieju, w jedynym dniu, w którym Pickering nie miał swojego miecza i musiał walczyć innym.

- No tak - powiedział Hadrian ni to do siebie, ni to do DeWitta. - To on ma niezwykle rapier, bez którego nigdy nie walczy, przynajmniej na serio.

- Tak! Hrabia jest bardzo przesądny, jeśli chodzi o ten miecz.

DeWitt umilkł. Widać było, że czuje się nieswojo.

- Za długo patrzyłeś na żonę hrabiego? - zapytał Hadrian.

Baron skinął głową i zgarbił się nieco.

- Zostałem wyzwany na pojedynek jutro w południe.

- I chcesz, żeby Riyria ukradła jego miecz.

To nie było pytanie, tylko stwierdzenie, ale DeWitt i tak przytaknął.

- Należę do świty księcia DeLorkana z Dagastanu.

Przybyliśmy do Medfordu przed dwoma dniami na negocjacje handlowe pod egidą króla Amratha. Po naszym przyjeździe wyprawiono ucztę, na której pojawił się Pickering. - Baron otarł nerwowo twarz. - Nigdy wcześniej nie byłem w Avrynie.

Na litość Maribora, nie miałem pojęcia, kim on jest! Nie wiedziałem nawet, że to jego żona, dopóki nie uderzył mnie rękawicą w twarz. Mam się z nim pojedynkować jutro w południe, więc miecz musi zniknąć dziś wieczorem.

Hadrian westchnął.

- Niełatwo ukraść dobrze strzeżony przedmiot sprzed nosa...

- Ułatwiłem to nieco - wtrącił DeWitt. - Hrabia podobnie jak ja przyjechał na negocjacje. Jego kwatery znajduje się w pobliżu komnaty mojego księcia. Dziś wieczorem zakradłem się do jego

pokoju i zabrałem miecz. Ale w pobliżu kręciło się tylu ludzi, że wpadłem w panikę i porzuciłem go w pierwszym otwartym pomieszczeniu, na jakie natrafiłem.

Trzeba go wydostać z zamku, zanim hrabia zauważy, że zniknął, bo podczas przeszukiwania wszystkich pokoi na pewno go znajdą.

- Gdzie jest teraz?

- W królewskiej kaplicy - odparł baron. - Nikt go nie pilnuje. Niedaleko znajduje się pusta sypialnia z oknem.

Mogę dopilnować, aby było dziś otwarte. Przy ścianie pod nim rośnie bluszcz. Nie powinno być kłopotów.

- To czemu sam tego nie zrobisz?

- Złodziejom złapanym z mieczem tylko utną ręce, natomiast jeśli mnie złapią, stracę dobre imię!

- Rozumiem twój niepokój - stwierdził ironicznie Hadrian, ale DeWitt tego nie zauważył.

- Właśnie! Zważywszy, że tyle już zrobiłem, sprawa nie wygląda tak źle, prawda? Zanim odpowiesz, pozwól, że coś dodam do propozycji. - Z pewnym wysiłkiem wysunął spod stołu tobolek i położył go na blacie. Kiedy sakwa uderzyła o drewno, rozległ się wyraźny brzęk metalu. - W środku jest sto złotych tenentów.

- Rozumiem - powiedział Hadrian, patrząc na torbę i usiłując oddychać rytmicznie. - I płacisz z góry?

- Naturalnie. Nie jestem głupcem. Wiem, jak to się robi.

Płacę połowę teraz i połowę po otrzymaniu miecza.

Hadrian zaczerpnął głęboko powietrza, kiwając głową i próbując zachować spokój.

- Oferujesz zatem dwieście złotych tenentów?

- Tak - potwierdził DeWitt z wyrazem zaniepokojenia na twarzy. - Jak widzisz, sprawa jest dla mnie bardzo ważna.

- Widocznie tak, skoro zadałeś sobie tyle trudu, żeby ułatwić zadanie.

- Myślisz, że się zgodzą? - zapytał baron z przejęciem.

Hadrian wyprostował się na krześle akurat w chwili, kiedy DeWitt pochylił się z niepokojem nad stołem. Przypominał

teraz człowieka stojącego przed sędzią i oczekującego wyroku w sprawie o morderstwo.

Gdyby się zgodził, Royce by go zabił. Jedną z podstawowych zasad Riyrii było nieprzyjmowanie nagłych zleceń. Potrzebowali czasu na sprawdzenie szczegółów historii i rozpoznanie potencjalnych celów. Ale DeWitt zawinił jedynie tym, że w niewłaściwym momencie spojrzął

na piękną kobietę, i Hadrian wiedział, że los barona spoczywa w jego rękach. Nie było szans, aby udało mu się wynająć kogokolwiek innego. Jak sam wspomniał, żadni niezależni złodzieje poza nimi nie ośmieliliby się przyjąć zlecenia na terenie gildii. Przywódcy Szkarłatnej Ręki nie pozwoliliby na to swoim chłopcom z tego samego powodu, dla którego Hadrian czuł, że powinien odrzucić propozycję. Ale Hadrian nie był złodziejem i nie orientował się we wszystkich zasa-dach, jakimi kierowali się ci ludzie. To Royce dorastał na ulicach Ratiboru, obrabiając ludziom kieszenie, aby przeżyć.

Był zawodowym włamywaczem, eksczłon-kiem niesławnej gildii Czarny Diament. Hadrian natomiast był wojownikiem, żołnierzem, który wolał walczyć jawnie i uczciwie.

Większość zadań wykonywanych na zlecenie szlachciców wywoływała w nim mieszane uczucia, bo najczęściej chodziło o skompromitowanie rywala, odegranie się na byłym kochanku lub poprawienie swojej pozycji w pokręconym świecie wielkiej polityki. Ludzie ci wynajmowali ich, ponieważ byli bogaci i stać ich było na zapłacenie za swoje gierki. Traktowali życie jak partię szachów z prawdziwymi końmi, królami i pionkami. Nie było tu miejsca na dobro ani zło, prawo ani bezprawie. Wszystko stanowiło element polityki. Grą w grze, z własnym zestawem zasad i bez żadnych wartości.

Ale szlacheckie zatargi stanowiły źródło dużych zysków Riyrii. Ludzie ci byli bowiem nie tylko bogaci i małostkowi, lecz również głupi. Jak inaczej Royce i Hadrian mogliby otrzymać zapłatę od hrabiego

Chadwick za przejęcie listów, które Alenda Lanaklin wysiała do Degana Gaunta, a następnie podwoić zysk dzięki odzyskaniu ich i przekazaniu pierwotnej właścicielce?

Poprosili Alberta, aby poinformował Alendę, że to Ballentyne posiada jej listy, i zaoferował jej pomoc w ich przejęciu.

Interes ten był dochodowy, ale obrzydliwy. Jeszcze jedna gra w świecie, w którym bohaterowie żyją tylko w legendach, a honor jest mitem.

Hadrian próbował sobie wytłumaczyć, że to, co robią z Royce'em, jest dopuszczalne. W końcu Alendę z pewnością było na to stać, a Mason czy Emeraldal potrzebowali pieniędzy bardziej niż córka zamożnego markiza. Poza tym dziewczyna dostała nauczkę, dzięki której jej ojciec być może zachowa dobre imię i ziemie. Ale nadal było to tylko okłamywanie siebie. Próba przekonania własnego sumienia, że postępuje się właściwie, a przynajmniej nie czyni zła. Pragnął bowiem wykonywać pracę godną pochwały, dzięki której mógłby uratować komuś życie i której cele byłyby szlachetne.

- Pewnie - powiedział.

Kiedy Hadrian skończył mówić, w Ciemnym Pokoju zapadła cisza i zapanował nastrój oczekiwania.

Były tam tylko trzy osoby. Hadrian i Albert spojrzeli na Royce'a. Zgodnie z ich oczekiwaniami złodziej nie wyglądał na zadowolonego i zaczął kręcić powoli głową, zanim się odezwał.

- Nie mogę uwierzyć, że przyjąłeś to zlecenie - zbeształ

wspólnika.

- Wiem, że to nagła sprawa, ale jego opowieść się zgadza, prawda? - odrzekł Hadrian. - Śledziłeś go w drodze powrotnej do zamku. Gości u króla Amra-tha. Z nikim się nie spotykał.

Wydaje się, że pochodzi z Calisu. Żadna z dziewczyn Gwen nie słyszała nic, co by przeczyło jego słowom. Robota wygląda na czystą.

- Dwieście złotych tenentów za wyniesienie miecza przez otwarte okno... Nie wydaje ci się to podejrzanym?

- zapytał Royce z niedowierzaniem.

- Ja bym to nazwał spełnieniem marzenia - wtrącił Albert.

- Może w Calisie załatwia się sprawy inaczej - przekonywał

Hadrian. - To dość daleko stąd.

- Nie aż tak bardzo - odrzekł Royce. - I jakim cudem ten DeWitt chodzi z taką furą pieniędzy? Zawsze jeździ na rozmowy handlowe z torbami wypchanymi złotem? Po co je przywiózł?

- Może nie przywiózł. Może sprzedał dziś drogocenny pierścień albo dostał pożyczkę, powołując się na dobre imię księcia DeLorkana. Możliwe nawet, że dostał to złoto od samego księcia. Na pewno nie przyjechali tu na kucykach.

Księżę prawdopodobnie podróżuje w karawanie liczącej mnóstwo wozów. Kilkaset złotych monet to może dla nich nic wielkiego. Nie było cię tam - dodał Hadrian poważniejszym tonem. - Nie widziałeś go. Jutro czeka go właściwie egzekucja. Jaką wartość ma złoto dla trupa?

- Dopiero co skończyliśmy jedną sprawę. Liczyłem na kilka dni wolnego, a ty przyjąłeś następne zlecenie.

- Royce westchnął. - Mówisz, że DeWitt był przestraszony?

- Pocił się.

- Już kapuję. Chcesz tę robotę, bo sprawa jest słuszna.

Według ciebie warto nadstawić karku, jeżeli później będziemy mogli poklepać się po plecach.

- Pickering go zabije, wiesz o tym. I nie będzie pierwszym.

- Ani ostatnim.

Hadrian westchnął. Skrzyżował ręce na piersiach i odchylił

się na krześle.

- Masz rację, będą następni. Wyobraź więc sobie, że kradniemy miecz i pozbywamy się cholerstwa. Hrabia już go nie zobaczy. Pomyśl o wszystkich szczęśliwych facetach, którzy w końcu będą mogli spojrzeć bez strachu na Belinę.

Royce zachichotał.

- A więc teraz chodzi o służbę publiczną?

- No i jeszcze te dwieście złotych tenentów... - dodał

Hadrian. - To więcej niż zarobiliśmy przez cały rok.

Nadchodzą chłody, a z taką forszą moglibyśmy spokojnie przeczekać zimę.

- Nareszcie gadasz do rzeczy. To by było mile - przyznał

Royce.

- Tylko kilka godzin pracy. Szybko wejdziemy i za-bierzemy, co trzeba. Zawsze gadałeś o kiepskich za-bezpieczeniach w zamku Essendonów. Uwiniemy się i przed świtem będziemy już kimać.

Royce przygryzł dolną wargę i się skrzywił. Nie chciał

spojrzeć na współnika. Hadrian dostrzegł szansę i kuł żelazo, póki gorące.

- Pamiętaj, jak zmarzliśmy na dachu tamtej wieży? Tylko pomyśl, jak będzie zimno za kilka miesięcy. Możesz spędzić zimę w bezpiecznym ciepełku, opychając się i popijając ulubione wisko. No i - pochylił się w stronę Royce'a - jeszcze ten śnieg. Przecież nie cierpisz śniegu.

Dobra, dobra. Bierz klamoty. Spotkamy się w alejce. I Hadrian się uśmiechnął.

Wiedziałem, że gdzieś tam głęboko bije serce.

*

Na zewnątrz noc była jeszcze zimniejsza. Ziemię pokryła warstewka lśniącego szronu. Zanosiło się na rychle opady śniegu. Wbrew przekonaniu Hadriana to nie była prawda, że Royce nie cierpiał śniegu. Lubił pójść na Dzielnicę Dolną okrytą aksamitną szatą białego puchu. Ale to piękno miało swoją cenę: ścieżki ginęły pod śniegiem, a to utrudniało mu pracę. Hadrian dobrze mówił. Po tej nocy będą mieli dość gotówki, aby spędzić całą zimę w spokojnej hibernacji. A nawet rozważyć otwarcie legalnego interesu. Myślał o tym po każdym dużym zarobku i często omawiał tę kwestię z

Hadrianem. Przed rokiem poważnie dyskutowali o otwarciu winiarni, ale coś im nie pasowało. Zawsze mieli ten sam problem: nie potrafili wymyślić legalnej działalności, która by im pasowała.

Zatrzymał się przed Domem Medford. Wyglądał tak, jakby wyrastał z gospody Róza i Cierń. Wielkością prawie jej dorównywał. Gwen połączyła oba budynki przybudówką, aby klienci mogli swobodnie przechodzić z jednego do drugiego bez narażania się na kaprysy Miry i wścibskie spojrzenia.

Gwen DeLancy była genialna. Nigdy wcześniej nie spotkał osoby tak mądrej i inteligentnej, otwartej i szczerzej. Była dla niego zagadką, tajemnicą, której nie potrafił rozwikłać - była uczciwa.

- Pomyślałam, że może do mnie wstąpisz - odezwała się Gwen z ganku Domu. - Wypatrywałam cię przez drzwi -

dodała, narzucając pelerynę na ramiona.

- Masz koci wzrok. Większość ludzi mnie nie widzi, kiedy idę ciemną ulicą.

- Czyli chciałeś zostać zauważony. Szedłeś do mnie, prawda?

- Chciałem się upewnić, że dostałaś wczoraj swoją dolę.

Gwen się uśmiechnęła. Royce widział, jak pięknie lśnią jej włosy w świetle księżyca.

- Royce, przecież wiesz, że nie musicie mi płacić. I tak dałabym wam wszystko, o co byście poprosili.

- Nie - upierał się Royce. - Mamy tu bazę, a to jest niebezpieczne, dlatego należy ci się część zysku. Już o tym rozmawialiśmy.

Podeszła do niego i chwyciła go za rękę. Na zimnym powietrzu jej dotyk był kojąco ciepły.

- Gdyby nie ty, nie miałabym tej gospody. Najpewniej nawet bym nie żyła.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz, jaśnie pani. - Royce uklonił się ceremonialnie. - Mogę dowieść, że tamtej nocy nawet nie było mnie w mieście.

Patrzyła na niego z uśmiechem. Uwielbiał, kiedy była szczęśliwa, ale teraz jej błyszczące zielone oczy czegoś szukały i Royce się odwrócił, puszcżając jej rękę.

- Słuchaj, bierzemy tę robotę. Musimy to zrobić dzisiaj wieczorem, więc potrzebuję...

- Jesteś dziwnym człowiekiem, Roysie Melbornie. Ciekawe, czy kiedykolwiek naprawdę cię poznam.

Royce przez chwilę milczał, po czym powiedział spokojnie:

- Już mnie znasz lepiej, niż powinnaś. To zaczyna być niebezpieczne dla nas obojga.

Oszroniona ziemia zaskrzypiała pod butami Gwen, kiedy ta podeszła do złodzieja.

- Uważaj na siebie, dobrze? - Patrzyła na niego błagalnym wzrokiem.

- Zawsze uważam.

Gdy się oddalał, jego peleryna falowała na wietrze. Gwen patrzyła za nim, aż jego cień zniknął w ciemnościach.

Rozdział 3

Spiski

Na najwyższej wieży zamku Essendonów powiewał

sztandar z sokołem w koronie, co oznaczało, że król jest na miejscu. Twierdza ta była siedzibą króla Melengaru i choć królestwo to nie zaliczało się ani do specjalnie dużych, ani potężnych, było stare i szanowane. Zamek, imponująca budowla ze starannie wykończonymi szarymi murami i wieżami, stał w centrum Medfordu, otoczony z czterech stron placem Szlacheckim, ulicą Rzemieślników, Dzielnicą Dolną i Wspólną. Jak większość avryńskich miast Medford posiadał

solidny mur obronny. Zamek zaś dysponował własnym, zwieńczonym blankami osłaniającymi wprawnych łuczników trzymających straż. Na tyłach twierdzy usytuowana była warowna baszta, która wraz z szeroką fosą dobrze zabezpieczała siedzibę króla.

Za dnia pod tę basztę podjeżdżali kupcy furmankami i ustawiali się po obu jej stronach, gdzie tworzyli miasteczko namiotowe, po którym kręcili się sprzedawcy, sztukmistrze i lichwiarze usiłujący dobić targu z mieszkańcami zamku.

Handel zamierał o zachodzie słońca, gdyż od zmierzchu do świtu obywatelom

miasta nie wolno było podchodzić do murów zamku na odległość mniejszą niż piętnaście metrów. Ograniczenie to egzekwowali królewscy łucznicy i patrole złożone z dwóch strażników ubranych w kolczugi i stalowe hełmy z namalowanym sokołem - godłem Melengaru. Spacerowali oni niespiesznie, z kciukami zatkniętymi za pas, często omawiając wydarzenia minionego dnia lub to, co planowali robić po służbie.

Royce i Hadrian przez godzinę obserwowali rutynowy obchód takiego patrolu, zanim ruszyli na tyły baszty. DeWitt miał rację: niedbali ogrodnicy nie usunęli pajęczyny grubych pnączy, które pięły się po kamiennym murze. W tę lodowatą późnojesienną noc przepłynięcie fosy oznaczało przemarznięcie do szpiku kości. I choć bluszcz nie sięgał okien, okazał się mocny i wspinaaczka przypominała wejście po drabinie.

- Już wiem, czemu DeWitt nie chciał tego sam zrobić -

szepnął Hadrian do współnika, wisząc na ścianie.

Gdybym teraz spadł, po przemarznięciu w wodzie, chybabym się rozleciał na kawałki.

- Tylko pomyśl, ile wyrzucają nocników do fosy każdego dnia - zauważył Royce, wbijając hak z kółkiem w fugę między kamiennymi blokami.

Hadrian podniósł wzrok. Skrzywił się, gdy zobaczył nad sobą sporą liczbę okien przypuszczalnie prowadzących do sypialni.

- Ta wiedza nie była mi niezbędna do życia. Wyjął z torby uprząż i przymocował ją do kółka.

- Tylko staram się odwrócić twoje myśli od zimna wyjaśnił

Royce, wbijając kolejny hak.

Choć wspinaczka ta była męcząca i niewygodna, zadziwiająco szybko dotarli do najniższego okna gdy strażnicy nie zdążyli jeszcze dokończyć obchodu.

Royce wyciągnął rękę i sprawdził okiennicę. Zgodnie z obietnicą była otwarta. Odchylił ją delikatnie, tylko troszeczkę, i zerknął do środka. Po chwili wślizgnął się przez okno i przywołał Hadriana skinieniem ręki.

Na środku ściany stało niewielkie łóżko z baldachimem w kolorze czerwieni burgundzkiej, a obok niego komoda z miednicą. Poza tym było tu jeszcze tylko proste drewniane krzesło i skromny gobelin przedstawiający scenę pościgu ogarów za sarną. Wszystko wyglądało schludnie, wręcz sterylne. Przy drzwiach nie dojrzeliby butów, na krześle nie wisiła peleryna, a pościel nie była zmięta. Nikt nie korzystał

z tego pokoju.

Hadrian stał w milczeniu przy oknie, podczas gdy Royce podszedł do drzwi. Obserwował, jak współnik sprawdza stopą podłogę przed postawieniem nogi. Royce kiedyś wspomniał, jak podczas jednej z akcji nadepnął na strychu na słabą deskę i wleciał przez sufit do sypialni. Ta podłoga była kamienna, ale w fugach mogła skruszeć zaprawa, a kamienie mogły skrywać pomysłowe pułapki lub alarmy. Gdy Royce w końcu dotarł do drzwi, przykucnął i zaczął nasłuchiwać. Dał znak ręką Hadrianowi i odliczał na palcach jego kroki. Przerwał na chwilę, po czym powtórzył sygnał. Hadrian dołączył do przyjaciela i obaj siedzieli w milczeniu przez kilka minut.

W końcu Royce podniósł zasuwę, nie otwierając drzwi.

Usłyszeli stukot ciężkich butów, najpierw jednej osoby, potem drugiej. Kiedy kroki ucichły, Royce wyjrzał na korytarz. Był

wąski i pusty. Oświetlony jedynie rozstawionymi w dużych odstępach pochodniami, których płomienie rzucały na ściany migotliwe cienie, stwarzając wrażenie ruchu. Wyszli z pokoju, zamykając za sobą cicho drzwi, i szybko przemierzili około piętnastu metrów, kierując się do podwójnych drzwi ozdobionych złożonymi zawiasami i metalowym zamkiem.

Royce nacisnął na klamkę i pokręcił głową. Uklęknął i wyjął z torby u pasa mały zestaw narzędzi, a Hadrian zaś podszedł do narożnika, skąd widział korytarz w obu kierunkach, a także część schodów z prawej strony. Miał stawić czoło wszelkim kłopotom - które pojawiły się wcześniej, niż oczekiwał.

Royce wciąż klęczał, próbując otworzyć drzwi, gdy usłyszeli przybierający na sile odgłos uderzeń ciężkich butów o kamienną posadzkę. Hadrian położył dłoń na rękojeści miecza, ale przyjaciel w końcu pokonał opór zamka. Licząc na szczęście, że w środku jest pusto, wślizgnęli się do pomieszczenia. Royce zamknął po cichu drzwi, a kroki się oddaliły.

Znajdowali się w królewskiej kaplicy. Po obu stronach dużego pomieszczenia paliły się rzędy świec. Marmurowe kolumny podpierały wspaniały sufit, tworząc na środku nawę z czterema rzędami ławek po bokach. Ściany udekorowane były typowymi dla Kościoła Nyphrona ozdobami w kształcie pięciolistnej rozety i ślepych maswerkami. Za ołtarzem stały alabastrowe posągi Maribora i Novrona. Ten drugi, przedstawiony jako silny, przystojny mężczyzna w kwiecie wieku, klęczał z mieczem w ręku, a Maribor - potężna figura nadnaturalnej wielkości, z długą brodą i zwiewnymi szatami -

wkładał mu koronę na głowę. Sam ołtarz zaś, składający się z nastawy szafkowej z dwoma skrzydłami, umieszczony został

na podstawie z różowego marmuru, na której spoczywały kolejne dwie świece i otwarta złociona księga.

DeWitt powiedział Hadrianowi, że ukrył miecz za ołtarzem, ruszyli więc w tamtym kierunku, ale zaraz zamarli w pół

kroku. W pobliżu pierwszego rzędu

ławek zobaczyli ciało mężczyzny leżące twarzą do ziemi w kałuży świeżej krwi. Z jego pleców wystawała okrągła rękojeść sztyletu. Royce rozejrzał się szybko za mieczem Pickeringa, a Hadrian sprawdził, czy mężczyzna daje oznaki życia. Był martwy, a miecza nigdzie nie było widać. Royce klepnął Hadriana w ramię i wskazał na złotą koronę, która potoczyła się za filar. Obaj uświadomili sobie powagę sytuacji

- musieli stąd natychmiast uciekać.

Podeszli do drzwi, i Royce przez chwilę nasłuchiwał

hałasów na zewnątrz. Wyślizgnęli się na korytarz i ruszyli w stronę sypialni.

- Mordercy!!!

Krzyk rozległ się tak blisko i był tak przerażający, że obaj odwrócili się na pięcie z dobytą bronią. Przed otwartymi drzwiami kaplicy stał brodaty karzeł.

- Mordercy!!! - krzyknął ponownie krasnolud, ale nie było to konieczne.

Już słyszeli zbliżające się do nich odgłosy kroków, a po chwili z obu stron wpadli na korytarz gotowi do walki żołnierze.

- Mordercy! - powtórzył krasnolud, wskazując ich palcem. -

Zabili króla!

Royce podniósł zasuwę drzwi do sypialni i pchnął je, ale nie ustąpiły. Ponowił czynność, lecz drzwi ani drgnęły.

- Rzućcie broń albo zarżniemy was na miejscu! - rozkazał

żołnierz.

Był wysoki i miał krzaczaste wąsy, które najeżył, zgrzytając zębami.

- Jak sądzisz, ilu ich jest? - szepnął Hadrian.

Od ścian odbiło się echo kroków kolejnych nadbiegających strażników.

- Zbyt wielu - odrzekł Royce.

- Ale za chwilę byłoby ich znacznie mniej - zapewniał go Hadrian.

- Nie damy rady. Nie mogę otworzyć drzwi, nie mamy jak wyjść. Ktoś musiał je zablokować od środka. Nie możemy walczyć z całą strażą zamku.

- Rzućcie natychmiast broń! - krzyknął dowódca i zrobił

krok w ich kierunku, unosząc ostrze miecza.

- Do diabła.

Hadrian upuścił broń. Royce zrobił to samo.

- Brać ich! - warknął żołnierz.

*

Alrica Essendona zbudziły jakieś hałasy. Nie był w swojej komnacie. Leżał w znacznie mniejszym łóżku, któremu brakowało aksamitnego baldachimu. Kamienne ściany były gołe, a jedyną ozdobę pomieszczenia stanowiły komoda i stół

z miednicą. Alric usiadł i przetarł oczy. Po chwili przypomniał sobie, gdzie jest. Musiał zasnąć.

Spojrzał na Tillie, na jej gołe plecy i ramię wystające spod kołdry. Zastanawiał się, jak mogła spać przy tych wszystkich wrzaskach. Wstał z łóżka i poszukał ręką swojej koszuli nocnej. Łatwo było odróżnić jego ubranie od jej. Jej rzeczy były lniane, jego - jedwabne.

Ruch obudził Tillie.

- Co się stało? - zapytała zaspanym głosem.

- Nic, nie wstawaj - odparł.

Mogła spać nawet podczas huraganu, ale kiedy Alric wychodził, zawsze się budziła. To nie była jej wina, że zasnął, ale i tak ją o to winił. Nie cierpiał tego miejsca. A jeszcze bardziej nienawidził Tillie. I miał świadomość tego paradoksu. W ciągu dnia pociągało go w niej to, że go potrzebuje, ale

nad ranem czuł do siebie odrazę. Ze wszystkich służących jednak była najładniejsza. Alric nie dbał o szlachcianki, które jego ojciec zapraszał na dwór.

Zachowywały się wyniośle i sztywno, a swoje dziewictwo uważały za cenniejsze od korony. Uważał je za nudne i irytujące, choć jego ojciec był innego zdania - już na niego naciskał, aby wybrał sobie żonę, choć Alric miał dopiero dziewiętnaście lat. „Kiedyś zostaniesz królem”, powiedział

mu Amrath. „A twoim najważniejszym obowiązkiem wobec królestwa będzie spłodzenie następcy”. Ojciec mówił o małżeństwie jak o powinności i Alric też je tak widział. Choć według niego tej i wszelkiej innej pracy najlepiej było unikać za wszelką cenę - lub przynajmniej na tyle oddalić ją w czasie, na ile się dało.

- Żałuję, że nie możesz spędzić ze mną całej nocy, milordzie

- wyszeptała Tillie, kiedy wkładał koszulę przez głowę.

- Powinnaś być raczej wdzięczna, że w ogóle tu spałem.

Palcami u nóg wymacał na podłodze pantofle z ciepłą wełnianą wyściółką i wsunął w nie stopy.

- Jestem, milordzie.

- Dobrej nocy, Tillie - pożegnał się, wychodząc.

- Dobrej...

Zanim zdążyła dokończyć, młodzieniec już zamknął za sobą drzwi.

Tillie zwykle spała z pokojówkami we wspólnej sypialni przy kuchni, ale ze względu na dyskrecję Alric zabierał ją do wolnego pokoiku na trzecim piętrze zamku. Nie lubił

przyprowadzać dziewczyn do swojej komnaty - obok bowiem była alkowa ojca. A ponieważ

pokoik ten znajdował się w północnej części zamku i zawsze było w nim chłodniej niż w królewskich komnatach, owinał się szczelnie koszulą i poczłapał korytarzem w kierunku schodów.

- Sprawdziłem wszystkie górne piętra, kapitanie. Nie ma go tam - usłyszał czyjś głos na schodach powyżej.

Sądząc po urywanym tonie, domyślił się, że to wartownik.

Rzadko z nimi rozmawiał, ale kiedy już się to zdarzyło, zawsze mówili bardzo szybko, jakby słowa były towarem deficytowym.

- Szukajcie dalej. W razie konieczności zejście nawet do więziennych lochów. Przeszukajcie wszystkie komnaty, każdą spiżarnię, szafę i garderobę. Zrozumiano?

Ten głos Alric znał dobrze - należał do Wylina, kapitana straży.

- W tej chwili, panie!

Alric usłyszał, jak wartownik zbiega po schodach, i zobaczył, jak staje jak wryty, napotykając jego spojrzenie.

- Znalazłem go! - zawołał z ulgą w głosie.

- Co się tu dzieje, kapitanie? - zapytał Alric, jeszcze zanim Wylin wraz z trzema kolejnymi strażnikami zamku zdążył

zbiec po schodach.

- Wasza Królewska Wysokość! - Kapitan przyklęknął, skłaniając głowę, po czym gwałtownie wstał.
- Benton! -

warknął na żołnierza. - W tej chwili chcę pięciu ludzi do ochrony księcia.

- Tak jest! - Żołnierz zasalutował energicznie i wbiegł po schodach.

- Do mojej ochrony? - zdziwił się Alric. - O co tu chodzi?

- Zamordowano twojego ojca, Wasza Wysokość.

- Mojego ojca? Co takiego?!

- Jego Królewska Mość, król... Znaleźliśmy go z nożem w plecach w kaplicy. Aresztowaliśmy dwóch sprawców.

Magnus to potwierdził. Widział, jak mordują twojego ojca, Wasza Wysokość, ale nie mógł ich powstrzymać.

Alric słyszał głos Wylina, ale nie rozumiał słów. Nie miały sensu. Jego ojciec nie żył? Rozmawiał z nim, zanim zaszedł

do Tillie, zaledwie przed kilkoma godzinami... Jak to możliwe, że nie żyje?

- Muszę nalegać, abys tu pozostał pod opieką straży, Wasza Wysokość, dopóki nie przeczeszę całego zamku. Może zamachowców jest więcej. Obecnie przeprowadzam...

- Nalegaj, na co chcesz, Wylin, ale zejdz mi z drogi. Chcę zobaczyć mojego ojca! - domaga! się Alric, przepychając się obok zbrojnego.

- Ciało króla Amratha zaniesiono do jego sypialni, Wasza Wysokość.

Jego ciało!? Alric nie chciał już nic więcej słyszeć. Wbiegł

po schodach, gubiąc po drodze pantofle.

- Nie odstępujcie księcia! - usłyszał za sobą krzyk Wylina.

Dotarł do skrzydła królewskiego, gdzie na korytarzu stał już tłum. Wszyscy się przed nim rozstąpili. Drzwi do kaplicy były otwarte, a w środku zebrało się kilku głównych ministrów.

- Książę! - usłyszał głos wuja Percy'ego, ale się nie zatrzymał.

Musiał zobaczyć ojca. To niemożliwe, że nie żyje!

Skręcił za róg, minął własną komnatę i wbiegł do apartamentów królewskich, gdzie podwójne drzwi również były otwarte. Przed nimi stało kilka łkających dam w koszulach nocnych i szlafrokach. W środku para starszych kobiet wyzynała w miednicy zabarwione na różowo kawałki płótna.

Przy łożu stała jego siostra Arista, odziana w suknię w kolorze czerwieni burgundzkiej i złota. Zaciskała ręce na słupku baldachimu tak mocno, że palce jej pobieleły, i wpatrywała się w ciało leżące na materacu oczami szeroko otwartymi ze zgrozy.

Król Amrath Essendon miał na sobie te same rzeczy, w których Alric widział go po raz ostatni. Jego twarz była blada, oczy zamknięte, a w kącie ust zaschła kropelka krwi.

- Książę... to znaczy Wasza Królewska Wysokość

- poprawi! się wuj, który podążył za nim do sypialni królewskiej.

Zawsze wyglądał na starszego od Amratha - miał bardzo siwe włosy i pomarszczoną twarz. Tylko jego sylwetka ciągle była zgrabna i elegancka jak sylwetka szermierza. Wchodząc, wciąż zawiązywał sobie szlafrok.

- Mariborowi dzięki, że jesteś bezpieczny. Myśleliśmy, że może spotkał cię taki sam los.

Alric nie wiedział, co powiedzieć. Stał i wpatrywał się w nieruchome ciało ojca.

- Wasza Królewska Mość, nie martw się. Wszystkim się zajmę. Wiem, jakie to dla ciebie trudne. Wciąż jesteś młody i...

- O czym ty mówisz? - Alric spojrzał na wuja.

- Czym się zajmiesz? Czym się zajmujesz?

- Wieloma sprawami, Wasza Wysokość. Trzeba zabezpieczyć zamek, dowiedzieć się, jak do tego doszło, zatrzymać winnych, poczynić przygotowania do pogrzebu i, naturalnie, koronacji.

- Koronacji?

- Jesteś teraz królem, Wasza Wysokość. Musimy przygotować ceremonię, ale dopiero, co oczywiste,

po załatwieniu wszystkich innych spraw.

-Ale myślałem... Wylin mi powiedział, że pojmał morderców.

- Dwóch. Chcę się upewnić, że nie ma ich więcej.

- Co się z nimi stanie? - Spojrzał na nieruchome ciało ojca. -

Co się stanie z zabójcami?

- To zależy od ciebie, Wasza Królewska Mość. Ty decydujesz o ich losie, chyba że wolałbyś, abym to ja się tym zajął, bo sprawa może być dość nieprzyjemna.

Alric odwrócił się do wuja.

- Chcę ich śmierci. Chcę, żeby straszliwie cierpieli, a potem długo umierali.

- Oczywiście, Wasza Królewska Mość, oczywiście.

Zapewniam cię, że tak będzie.

*

Lochy zamku Essendonów znajdowały się kilka metrów pod ziemią. Woda gruntowa przesączała się przez pęknięcia w ścianach i spływała po kamieniu. W zaprawie między blokami rósł grzyb, a drewniane drzwi, stołki i kubły pokrywała pleśń.

Wstrętny zapach stęchlizny mieszał się z fetorem rozkładu, a korytarze rozbrzmiewały echem żalonych jęków skazańców.

Wbrew pogłoskom krążącym w gospodach w Medfordzie pojemność lochów była ograniczona, lecz straż więzienna znalazła miejsce dla królobójców - przeniesiono innych więźniów, aby Royce i Hadrian mieli własną celę.

Wieść o śmierci króla rozniosła się lotem błyskawicy i po raz pierwszy od lat osadzeni mogli porozmawiać o czymś ekscytującym.

- Kto by pomyślał, że przeżyję starego Amratha -

wymamrotał ktoś o szorstkim głosie, po czym roześmiał się, ale śmiech szybko przerodził się w kasłanie i odpluwanie.

- Może w związku z tym książę zmieni nasze wyroki? -

zapytał ktoś młodszy. - To chyba możliwe, prawda?

Odpowiedzią były długa cisza, kolejne pokasztywania i kichnięcie.

- Strażnik powiedział, że dźgnęli drania w plecy w jego kaplicy. Jak to się ma do jego pobożności? - zastanawiał się zgorzkniały więzień. - Coś mi się widzi, że chciał trochę za dużo od tego na górze.

- Ci, co to zrobili, są w naszej starej celi. Przenieśli mnie i Danny'ego, żeby zrobić im miejsce. Widziałem ich. Dwóch.

Jeden duży, drugi mały.

- Ktoś ich zna? Może próbowali nas uwolnić, ale ktoś ich namówił do zmiany planów, co?

- Muszą mieć tupet, żeby zabić króla we własnym zamku.

Nie będzie procesu, nawet na pokaz. Dziwię się, że jeszcze żyją.

- Ludzie będą chcieli publicznych tortur przed egzekucją.

Już dawno nic się nie działo.

- Jak myślicie, czemu to zrobili?

- Sam ich zapytaj.

- Hej, wy tam! Jesteście przytomni w tej swojej celi czy stłukli was do nieprzytomności?!

- Może nie żyją.

Nie byli martwi, tylko milczeli. Stali przykuci łańcuchem do ściany w głębi celi. Nogi mieli w dybach, a usta zakryte skórzaną opaską z kneblem. Byli tam zaledwie od godziny, a Hadriana już bolały mięśnie. Żołnierze zabrali im ekwipunek, peleryny, buty i tuniki, pozostawiając jedynie bryczesy, które musiały im wystarczyć do ochrony przed wilgotnym chłodem.

Słuchali rozmów pozostałych więźniów, ale na odgłos zbliżających się kroków w lochach zaległa cisza. Główne drzwi do bloku otworzyły się z impetem do wewnątrz, uderzając w ścianę.

- Tędy, Wasza Wysokość... to znaczy Wasza Królewska Mość - powiedział szybko komendant.

W zamku zgrzytnął klucz i drzwi do ich celi otworzyły się ze skrzypnięciem. Do środka weszli książę i jego wuj Percy Braga w otoczeniu czterech członków królewskiej straży przybocznej. Hadrian rozpoznał arcyksięcia i lorda kanclerza Melengarę, ale Alrica nigdy wcześniej nie widział. Wyglądał

na dwadzieścia lat, był niski i chudy, o delikatnych rysach twarzy, kasztanowatych włosach do ramion i z ledwo widocznym zarostem. Posturę i rysy odziedziczył zapewne po matce, gdyż jego ojciec był zwalistym mężczyzną. Miał na sobie tylko jedwabną koszulę nocną, a wśród jej fałd komicznie zwisał masywny miecz przytroczony do szerokiego skórzanego pasa.

- To oni?
- Tak, Wasza Królewska Mość - odparł Braga.
- Dajcie pochodnię - rozkazał Alric, strzelając niecierpliwie palcami.
- Żołnierz wyjął jedną z pochodni z uchwytu na ścianie i chciał ją podać księciu, ale Alric spiorunował go spojrzeniem.
- Przysuń ją do nich. Chcę zobaczyć ich twarze. Zerknął na więźniów.
- Nie mają żadnych śladów? Nie zostali wychlostani?
- Nie, Wasza Królewska Mość - odrzekł Braga. - Poddali się bez walki i kapitan Wylin uznał, że najlepiej będzie zamknąć ich pod kluczem na czas przeszukiwania pozostałej części zamku. Zaaprobowałem jego decyzję. Nie mamy pewności, czy ci dwaj działali sami.
- Naturalnie. Kto rozkazał ich zakneblować?
- Nie wiem, Wasza Królewska Mość. Czy wyjąć im kneble?
- zapytał Percy.
- Nie, wuju... Chyba nie mogę już tak do ciebie mówić, prawda?
- Jesteś teraz królem, Wasza Królewska Mość. Możesz do mnie mówić, jak sobie życzysz.
- Ale tak się nie godzi władcy. Z kolei „arcyksiążę” to takie formalne. Będę się zwracał do ciebie „Percy”, dobrze?
- Już nie do mnie należy aprobowanie twoich decyzji, panie.
- A zatem zostaje „Percy”. I nie wyjmować im knebli. Nie mam ochoty wysłuchiwać ich kłamstw. Cóż innego powiedzą poza tym, że tego nie zrobili? Schwytani zabójcy zawsze się wypierają swoich zbrodni. Jaki mają wybór? Ewentualnie wykorzystają ostatnie chwile życia na to, żeby napluć swojemu królowi w twarz. Nie dam im tej satysfakcji.
- Mogliby nam powiedzieć, czy działali sami, czy na czyjeś zlecenie. Mogliby nawet wyjawić nam tożsamość zleceniodawcy.

Alric wciąż im się przyglądał. Jego uwagę przykuł

wykrzywiony znak w kształcie litery M na lewym ramieniu Royce'a. Zmrużył oczy, a następnie wziął pochodnię od strażnika i przysunął ją do twarzy złodzieja tak blisko, że Royce skrzywił się z bólu.

- Co to ma być? Przypomina tatuaż.

- To piętno, Wasza Królewska Mość - wyjaśnił Braga. -

Znak Manzantu. To by świadczyło, że ten osobnik kiedyś siedział w więzieniu Manzant.

Alric miał zakłopotaną minę.

- Nie sądziłem, że z Manzantu wypuszcza się więźniów albo że ktoś stamtąd kiedykolwiek uciekł.

Braga też był zmieszany.

Następnie Alric podszedł do Hadriana. Zauważywszy srebrny medalik na jego szyi, uniósł go, obrócił z pewnym zaciekawieniem, a potem puścił z pogardą.

- To bez znaczenia - powiedział młodzieniec. - Nie wyglądają na takich, którzy dobrowolnie udziela informacji.

Każ ich rano wywlec na plac i poddać torturom. Jeżeli wyjawią coś ważnego, mają być ścięci.

- A jeśli nie?

- Ćwiartować ich powoli. Wypruć im flaki i kazać królewskiemu chirurgowi, aby utrzymał ich jak najdłużej przy życiu. Aha, i jeszcze dopilnuj, żeby heroldzi zdążyli to rozgłosić. Chcę, aby przyszło wielu ludzi. Niech wszyscy wiedzą, jaka jest kara za zdradę.

- Wedle życzenia Waszej Królewskiej Mości. Alric odwrócił się jeszcze raz i uderzył Royce'a grzbietem dłoni w twarz.

- To był mój ojciec, ty plugawy śmieciu! - rzekł i pozostawił

obu więźniów w celi bezradnie czekających na świt.

*

Hadrian mógł się jedynie domyślać, jak długo stali przykuci do ściany - dwie czy trzy godziny. Anonimowe głosy w końcu umilkły. Pozostali więźniowie albo

się znudzili, albo pozasypiali. Opaska zakrywająca jego usta nasiąkła śliną i utrudniała oddychanie. Kajdany dotkliwie ocierały nadgarstki. Bolały go nogi i plecy. Na domiar złego z zimna zeszywniały mu mięśnie, co tylko potęgowało ból. Nie chcąc patrzeć na Royce'a, na przemian zamykał i otwierał

oczy, wpatrując się w przeciwległą ścianę. Starał się nie myśleć o tym, co się wydarzy o świcie, natomiast nie mógł się pozbyć poczucia winy. Wylądowali tutaj przez niego, gdyż postanowił złamać zasady. Odpowiadał za śmierć Royce'a i własną.

Otworzyły się drzwi i do celi znów wszedł strażnik królewski, tym razem w towarzystwie wysokiej, szczupłej kobiety odzianej w bordowo-złotą jedwabną suknię, mieniającą się w świetle pochodni. Kobieta była ładna, miała kasztanowe włosy i jasną cerę.

- Zdejmijcie im kneble - rozkazała energicznie. Dozorcy pospiesznie wykonali polecenie.

- A teraz zostawcie nas. Ty też, Hilfredzie.

- Wasza Wysokość, jestem twoim strażnikiem przybocznym. Muszę zostać, żeby...

- Są przykuci do ściany, Hilfredzie - warknęła, a potem głęboko odetchnęła, żeby się uspokoić. - Nic mi nie będzie.

Wyjdź, proszę, i pilnuj drzwi. Nie chcę, żeby ktokolwiek mi przeszkadzał. Rozumiesz?

- Jak sobie życzysz, Wasza Wysokość. Strażnik się skłonił i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Kobieta bacznie przyjrzała się obu więźniom. Przy pasku miała wysadzany klejnotami kris. Po długiej wężykowatej klindze Hadrian rozpoznał, że to sztylet używany przez wschodnich okultystów do obrzędów magicznych. Ale teraz bardziej interesowało go inne

jego ewentualne zastosowanie - jako śmierniczości narzędzia. Kobieta bawiła się rękojeścią w kształcie smoka, jakby za chwilę miała dobyć broni i zadźgać ich na miejscu.

- Wiecie, kim jestem? - zapytała Hadriana.

- Księżniczka Arista Essendon - odparł najemnik.

- Brawo. - Uśmiechnęła się do niego. - Kim wy jesteście? I lepiej nie kłamcie, za niecałe cztery godziny zginiecie, więc po co oszukiwać?

- Hadrian Blackwater. - A ty?

- Royce Melbom.

- Kto was przysłał?

- Człowiek o nazwisku DeWitt - odrzekł Hadrian. - Należy do świty księcia DeLorkana z Dagestanu. Ale nie przysłał nas po to, żebyśmy zabili twojego ojca.

- A po co?

Przyglądała im się bacznie, stukając wypielęgnowanymi paznokciami o srebrną rękojeść sztyletu.

- Żeby ukraść miecz hrabiego Pickeringa. DeWitt powiedział, że wczoraj na bankiecie hrabia wyzwał go na pojedynek.

- A co robiliście w kaplicy?

- DeWitt powiedział, że właśnie tam go ukrył.

- Rozumiem..

Umilkła, tracąc kamienny wyraz twarzy. Usta zaczęły jej drżeć, a pod powiekami wezbrały łzy. Odwróciła się od nich, próbując zapanować nad emocjami. Pochyliła głowę i Hadrian zobaczył, jak jej drobne ciało się zachwiało.

- Może to niewielkie pocieszenie, ale nie zabiliśmy króla.

- Wiem - odparła, wciąż odwrócona do nich plecami.

Royce i Hadrian spojrzeli po sobie.

- Przysłano was tu dziś, żeby obciążyć was tym morderstwem. Jesteście niewinni.

- Czy... - zaczął Hadrian, ale urwał.

Po raz pierwszy od chwili pojmania poczuł nadzieję, ale zaraz znów ogarnęło go zwątpienie.

- Czy ona z nas drwi? - zwrócił się do Royce'a. - Zwykle to ty lepiej rozpoznajesz sarkazm ode mnie.

- Nie tym razem - odparł Royce w napięciu.

- Nie mogę uwierzyć, że naprawdę nie żyje - powiedziała Arista cicho. - Pocałowałam go na dobranoc... zaledwie kilka godzin temu. - Zaczepnęła głęboko powietrza i wyprostowała się, a następnie odwróciła do nich twarzą. - Mój brat postanowił o waszym losie. Dziś rano zostaniecie zamęczeni na śmierć. Budują szafot, na którym was poćwiartują.

- Znamy szczegóły - powiedział Royce przygnębionym tonem.

- Jest teraz królem. Nie mogę go powstrzymać. Koniecznie chce was ukarać.

- Mogłabyś, jaśnie pani, z nim porozmawiać - zaproponował

Hadrian z nadzieją w głosie. - Wyjaśnić, że jesteśmy niewinni. Powiedzieć o DeWitcie.

Arista otarła oczy wewnętrzną stroną nadgarstków.

- Nie ma żadnego DeWitta. Nie było tu wczoraj bankietu ani księcia z Calisu, a hrabia Pickering od miesięcy nie gościł

w tym zamku. Nawet gdyby coś z tego było prawdą, Alric by mi nie uwierzył. Nikt mi nie uwierzy. Powiedzą, że kierują mną emocje. Jestem strapiona, zdenerwowana... Nie mogę powstrzymać waszej egzekucji, podobnie jak dziś nie mogłam ocalić ojca.

- Wiedziałaś, o pani, że zginie? - spytał Royce. Skinęła głową, tłumiąc łzy.

- Wiedziałam. Powiedziano mi, że zostanie zabity, ale nie uwierzyłam. - Przerwała na chwilę i

przyjrzała się ich twarzom. - Co byście zrobili, żeby ujść z życiem z tego zamku?

Wspólnicy spojrzeli po sobie w osłupieniu.

- Ja wszystko - odparł Hadrian. - A ty, Royce? Wspólnik skinął głową.

- Tak samo.

- Nie mogę powstrzymać egzekucji - wyjaśniła Arista - ale mogę sprawić, że wydostaniecie się z tego lochu. Zwrócę wam ubranie i broń i powiem, jak dotrzeć do kanałów biegnących pod zamkiem. Sądzę, że nimi dotrzecie za mury.

Nie myślcie tylko, że sama po nich chodziłam.

- Ja... Nie przyszłoby mi to do głowy - zapewnił Hadrian, ciągle wątpiąc w to, co słyszy.

- Po ucieczce musicie koniecznie opuścić miasto.

- Nie będzie z tym problemu - obiecał Hadrian. - I tak pewnie byśmy to zrobili.

- Jeszcze jedno. Musicie uprowadzić mojego brata.

Spojrzeli na nią w milczeniu.

- Zaraz, chwileczkę. Mamy porwać księcia Melengaru?

- Ściślej mówiąc, króla - poprawił Royce wspólnika.

- A tak, rzeczywiście - wymamrotał Hadrian. Arista podeszła do drzwi celi, wyjrzała przez okienko, po czym wróciła.

- Dlaczego mamy uprowadzić twego brata, jaśnie pani? -

spytał Royce.

- Bo morderca ojca zabije go w następnej kolejności. I to przed koronacją, jak sądę.

- Dlaczego?

- Żeby zniszczyć ród Essendonów. Royce wpatrywał się w Aristę.

- Czy w takim razie ty też, jaśnie pani, jesteś w niebezpieczeństwie?

- Tak, ale nic mi się nie stanie dopóty, dopóki Alric będzie żył. To on jest następcą tronu. Ja jestem tylko jego głupią siostrą. Poza tym jedno z nas musi tu zostać, żeby dbać o królestwo i znaleźć mordercę ojca.

- A nie mógłby tego zrobić twój brat, o pani? - zapytał

Hadrian.

- Jest przekonany, że to wy go zabiliście.

- No tak, proszę o wybaczenie. Przed chwilą szykowałem się na egzekucję, a teraz zastanawiam się nad uprowadzeniem króla. Jak dla mnie to sytuacja zmienia się dość szybko.

- Co mamy zrobić z twoim bratem, o pani, kiedy już wyprowadzimy go z miasta? - chciał wiedzieć Royce.

- Musicie go zawieźć do więzienia Gutaria.

- Nigdy o nim nie słyszałem - oznajmił Royce i spojrział na Hadriana, który pokręcił głową.

- To mnie nie dziwi - stwierdziła Arista. - To potajemne więzienie prowadzone przez Kościół Nyphrona. Znajduje się na północ od jeziora Windermere. Wiecie, gdzie to jest?

Obaj potaknęli głową.

- Jedźcie wzdłuż jego brzegu. Między wzgórzami znajdziecie starą drogę biegnącą pod górę. Podążajcie nią.

Tam mój brat powinien się spotkać z więźniem o imieniu Esrahaddon.

- A co potem?

- To wszystko - odparła. - Mam nadzieję, że Esrahaddon wyjaśni Alricowi, co się stało, i zdoła go przekonać.

- A więc, jaśnie pani - podsumował Royce - chcesz, abyśmy uciekli z tego więzienia, uprowadzili króla, przejechali z nim szmat drogi, wymykając się

żołnierzom, których

niekoniecznie przekona nasza wersja zdarzeń, i dotarli do potajemnego więzienia, gdzie brat jaśnie pani spotka się z pewnym pensjonariuszem?

Arista nie wyglądała na rozbawioną.

- Do wyboru macie tortury i śmierć za cztery godziny.

- To mi wygląda na świetny plan - oświadczył Hadrian. -

Royce?

- Mnie podoba się każdy, który sprawi, że, nie zginę straszliwą śmiercią.

- Dobrze. Przyślę do was dwóch zakonników, aby odprawili ostatni obrządek. Każę zdjąć wam

łańcuchy i otworzyć dyby, abyście mogli ukłęknać. Zabierzecie im habity, uwięzicie ich w celi i zakneblujecie. Wasze rzeczy są niedaleko, w pokoju zarządcy więzienia. Powiem, że zakonnicy chcą je zabrać dla biednych. Potem mój strażnik Hilfrid odprowadzi was do dolnych kuchni. Będą puste jeszcze przez godzinę. Krata przy zlewie jest ruchoma, bo tamtędy zmiata się resztki do ścieku.

Porozmawiam z bratem i przekonam go, żeby się spotkał ze mną w kuchni bez ochrony. Zakładam, że umiecie walczyć.

- On tak. - Royce kiwnął głową w stronę Hadriana.

- Mój brat nie umie, więc powinniście go obezwładnić bez problemu. Uważajcie tylko, żeby nie zrobić mu krzywdy.

- To chyba naprawdę głupie pytanie - powiedział Royce -

ale dlaczego, jaśnie pani, sądzisz, że po prostu nie zabijemy go, a jego zwłok nie porzucimy w kanale, a potem nie znikniemy?

- Podobnie jak wy - odparła - zwyczajnie nie mam wyboru.

*

Mnisi nie stanowili większego problemu. Po przebraniu się w ich habity i narzuceniu kapturów na głowy, Hadrian i Royce wyslizgnęli się z celi. Hilfred czekał tuż za drzwiami i odprowadził ich szybko do wejścia do kuchni, gdzie bez słowa ich zostawił. Royce, który zawsze lepiej widział w ciemnościach, szedł pierwszy, klucząc między masywnymi garnkami i stosami talerzy. W niewygodnych długich strojach z luźnymi rękawami musieli bardzo uważać, by nie stracić ich i nie wszcząć alarmu.

Na razie plan Aristy sprawdzał się doskonale. Kuchnia była pusta. W końcu zrzucili habity i włożyli własne rzeczy.

Odnaleźli centralny zlew, pod którym znajdowała się żelazna krata. Sporo ważyła, ale zdołali ją przesunąć bez większego hałasu. Byli mile zaskoczeni, kiedy ujrzeli żelazną drabinkę prowadzącą w dół. W czeluściach kanału ciekła woda.

Hadrian znalazł spizarnię. Pomacał w ciemnościach w środku, aż znalazł płócienny worek z ziemniakami. Po cichu go opróżnił i wytrząsnął do czysta, a następnie poszukał

szpagatu.

Jeszcze sporo brakowało im do wolności, ale przyszłość rysowała się znacznie lepiej niż przed kilkoma minutami.

Choć Royce nie odezwał się słowem,

Hadrianowi dokuczało poczucie winy, tak że cisza wydawała mu się nie do zniesienia.

- Nie powiesz: „A nie mówiłem?”? - szepnął.

- Co by to dało?

- A więc zachowasz to na później, kiedy więcej na tym zyskasz?

- Pretensje w tej chwili nie mają większego sensu, nie uważasz?

Drzwi do kuchni były lekko uchylone i niebawem dostrzegli w szparze blask pochodni. Hadrian usłyszał zbliżające się głosy. Na ten sygnał zajęli pozycje. Royce usiadł przy stole, zwrócony plecami do wejścia. Włożył kaptur peleryny i udawał, że pochyla się nad talerzem jedzenia. Hadrian stanął

obok drzwi, trzymając krótki miecz za ostrze.

- Na litość Maribora, dlaczego tutaj?

- Bo oferowałam staruszkowi talerz jedzenia i miejsce, gdzie może się umyć.

Hadrian rozpoznał głosy Alrica i Aristy i domyślił się, że znajdują się tuż za drzwiami kuchni.

- Nie rozumiem, dlaczego musieliśmy zostawić strażników, Aristo. Nie wiemy, czy... nie ma więcej zamachowców.

- Właśnie dlatego musisz z nim porozmawiać. Twierdzi, że wie, kto ich wynajął, ale nie chce rozmawiać z kobietą.

Powiedział, że przekaże to tylko tobie i to pod warunkiem że będziesz sam. Ja też nie jestem pewna, komu teraz możemy ufać. Ale nie martw się, jest stary, a ty jesteś zręcznym szermierzem.

- Ale dlaczego sądzisz, że ma jakąś wskazówkę?

- Nie wiem niczego na pewno. Ale nie prosi o pieniądze.

Chce tylko znowu jakoś żyć. A propos, to ubrania dla niego.

Przez chwilę słyszeli tylko ciszę.

- Wydaje mi się godny zaufania. Gdyby kłamał, domagałby się złota albo ziemi.

- To takie... dziwne. Nie ma tu nawet Hilfrida. Jakbyś nagle przestała rzucać cień. To mnie niepokoi. Zejście tu z tobą... ty i ja... no wiesz. Jesteśmy rodzeństwem, ale rzadko się widzimy. Przez ostatnich kilka lat rozmawiałem z tobą zaledwie kilkanaście razy i to tylko podczas wizyt w Drondil Fields w święta. Zawsze się zamykasz w tej wieży i robisz tam nie wiadomo co...

- Wiem, że to dziwne - oznajmiła Arista. - Zgadza się. To jakby powtórka tamtego pożaru. Zresztą wciąż miewam koszmary z nim związane. Ciekawe, czy będę śnić również dzisiaj wieczór.

- Nie o to mi chodzi - powiedział Alric łagodniejszym tonem. - Po prostu nigdy się między nami nie układało. Teraz jednak jesteś najbliższą mi osobą. Dziwnie się czuję, kiedy to mówię, ale nagle stwierdzam, że to dla mnie ważne.

- To znaczy, że chcesz, abyśmy byli przyjaciółmi?

- Powiedzmy, że chcę, abyśmy przestali być wrogami.

- Nie wiedziałam, że nimi jesteśmy.

- Byłaś o mnie zazdrosna, od kiedy matka powiedziała ci, że starsze siostry nie zostają królowymi, jeśli żyją ich młodszy bracia.

- Wcale nie!

- Nie chcę się kłócić. Ale tak, chcę, abyśmy byli przyjaciółmi. Jestem teraz królem i będę potrzebował twojej pomocy. Poza tym jesteś bardziej rozgarnięta od większości ministrów. Ojciec zawsze to powtarzał. I masz akademickie wykształcenie, którego ja nie zdobyłem.

- Zaufaj mi, Alricu. Jestem nie tylko twoją przyjaciółką.

Jestem twoją starszą siostrą i będę się troszczyć o ciebie. A teraz idź i zobacz, co ten człowiek ma do powiedzenia.

Kiedy Alric przekroczył próg, Hadrian uderzył go rękojeścią miecza w tył głowy. Książę upadł z głuchym hukiem na podłogę. Arista wbiegła do środka.

- Mówiłam, żeby nie robić mu krzywdy! - zbesztła ich.

- Inaczej wołałby strażników - wyjaśnił Hadrian. Założył

opaskę na usta księcia i wsunął worek

na głowę. Royce już wstał z krzesła i wiązał szpagatem jego nogi.

- Ale nic mu nie jest?

- Przeżyje - powiedział Hadrian, zabezpieczając ręce i ramiona nieprzytomnego władcy.

- W przeciwieństwie do tego, co zaplanował dla nas - dodał

Royce, zaciskając pętlę wokół kostek księcia.

- Był pewien, że zabiliście jego ojca - przypomniała księżniczka. - A ty jak byś zareagował?

- Nie znałem mojego ojca, jaśnie pani - odparł Royce obojętnym tonem.

- A więc gdyby chodziło o twoją matkę.

- Royce jest sierotą, o pani - wyjaśnił Hadrian, nadal krępując księcia szpagatem.

- To wiele tłumaczy. A zatem pomyśl, jak potraktowałbyś człowieka, który wysłał cię dziś do kaplicy. Wątpię, czy zlitowałbyś się nad nim, gdybyś stanął z nim twarzą w twarz.

W każdym razie daliście słowo. Proszę, zatroszczcie się o mojego brata. Nie zapominajcie, że uratowałam wam dziś życie. Mam nadzieję, że dzięki temu dotrzymacie obietnicy. -

Podawała im upuszczony przez brata tobołek. - To rzeczy, które powinny

na niego pasować. I zdejmijcie mu pierścień, ale dobrze go schowajcie. Jest na nim królewska pieczęć Melengaru, dowodząca jego tożsamości. Bez niego będzie uznawany za zwykłego wieśniaka. Zwróćcie mu go po dotarciu do więzienia. Będzie go potrzebował, żeby się dostać do środka.

- Wypełnimy nasze zobowiązanie - zapewnił ją Hadrian, przesuwając z Royce'em skrupowane ciało księcia w stronę otworu pod zlewem.

Przyjaciel zdjął okazały ciemnoniebieski pierścień z palca Alrica i włożył go sobie do kieszeni na piersiach, po czym zszedł na dno kanału. Hadrian, trzymając księcia za obwiązaną wokół kostek linę, opuścił go głową w dół do Royce'a, a następnie rzucił współnikowi pochodnię. Na koniec sam wszedł do dziury i ułożył kratę na miejscu.

Znaleźli się w szerokim na półtora i wysokim na niewiele ponad metr tunelu, którym płynęła płytka rzeka nieczystości.

- Pamiętajcie - szepnęła księżniczka przez metalową kratę. -

Jedźcie do więzienia Gutaria i spotkajcie się z Esrahaddonem.

I proszę, dbajcie o bezpieczeństwo mojego brata.

*

Spod worka dobiegła seria niezrozumiałych mruknięć.

Royce i Hadrian nie byli pewni, co Alric usiłuje powiedzieć, ale widzieli, że ze wszystkich sił próbuje krzyknąć i jest zdecydowanie niezadowolony ze swojej sytuacji.

Obudziła go zimna woda cofająca się z rzeki Galewyr do kanału ściekowego. Stali teraz zanurzeni w niej po pas i choć zapach był znośniej szy, temperatura wcale nie. W okrągłym otworze wylotowym dostrzegli blade promyki świtu, uwypuklające różnicę między czernią lasu a niebem na horyzoncie. Noc się szybko kończyła i usłyszeli dzwony katedry Mares wzywające na poranne nabożeństwo.

Niebawem zbudzi się całe miasto.

Hadrian oszacował, że znajdują się pod placem Szlacheckim, niedaleko ulicy Rzemieślników. Doszedł do tego z łatwością, gdyż tylko tutaj kanały ściekowe były zamknięte. Wyjście blokowała im

metalowa krata.

Hadrianowi jednak ulżyło, kiedy zobaczył zamek, a nie śruby.

Royce uporał się z nim szybko, a Hadrian kilkoma kopniakami pokonał opór zardzewiałych zawiasów. Następnie Royce poszedł na zwiady, a Hadrian i Alric usiedli przy wylocie ścieku.

Księżę zdołał poluzować knebel i Hadrian rozpoznawał jego słowa:

- Każę cię zachłostać na śmierć! W tej chwili mnie uwolnij!

- Albo będziesz cicho - odrzekł Hadrian - albo wrzucę cię do rzeki i przekonamy się, jak sobie poradzisz w wodzie ze związanymi rękami i nogami.

- Nie ośmieliłbyś się! Jestem królem Melengaru, ty świnio!

Hadrian podciął Alricowi nogi i ten upadł twarzą w wodę.

Najemnik pozwolił, żeby księżę poszamotał się przez chwilę, i dopiero wtedy go podniósł.

- A teraz trzymaj buzię na kłódkę, bo następnym razem mogę poczekać, aż się utopisz.

Alric zakasłał, ale już się nie odezwał. Wrócił Royce.

- Jesteśmy nad rzeką. Przy przystani rybackiej znalazłem łódkę i pozwoliłem sobie zarekwirować ją w imieniu Jego Królewskiej Mości. Ukryłem ją w kępie trzcina.

- Nie! - zaprotestował księżę i potrząsnął gwałtownie ramionami. - Musicie mnie uwolnić. Jestem królem!

Hadrian chwycił go za gardło.

- Co ci powiedziałem o gadaniu? - szepnął mu do ucha. -

Ani słowa albo pójdiesz popływać.

-Ale...

Hadrian znów zanurzył Alrica, uniósł mu na chwilę głowę, by zaczerpnął powietrza, i ponownie włożył ją do wody.

- Ani słowa więcej - warknął kilka sekund później, wlokąc krztuszącego się księcia i kierując się za Roycc'em w dół

zbocza.

Łódka była trochę większa od wiosłowej, wyblakła od słońca i zarzucona sieciami oraz kolorowymi bojkami. Silny zapach ryb maskował smród rynsztoków. Nad dziobem był

rozwieszony brezent, tworząc rodzaj namiotu, pod którym można było przechowywać sprzęt lub schronić się w razie niepogody. Właśnie tam schowali księcia, krępując go sieciami i linkami od bojek.

Hadrian odepchnął łódź od brzegu drągiem znalezionym na pokładzie. Kiedy prąd zaczął nieść ich w dół rzeki, Royce chwycił za drewniany ster. W górze nurt był silny i pchał ich energicznie do przodu, musieli się wysilać, aby utrzymać łódkę na jego środku. Gdy kolor nieba zmienił się z grafitowego w matowoszary, przepływali w cieniu Medfordu.

Dostrzegli wielką wieżę zamku Essendonów i sztandar z sokołem opuszczony do połowy masztu. Flaga była dobrym znakiem, ale ile jeszcze czasu minie, zanim odkryją zniknięcie księcia i ją zdejmą?

Rzeka opływała południową część miasta, biegnąc wzdłuż ulicy Rzemieślników. Na brzegu stał rząd dużych, dwupiętrowych magazynów z szarej cegły. Wodę męły ogromne drewniane koła, napędzające kamienie młyńskie i tartaki. Płytkie wody Galewyru uniemożliwiały żeglugę statkom o dużym zanurzeniu, dlatego przystanie obsługiwały zasadniczo płaskodenne barki przywożące towary z wioski portowej Roe. Były tam również pomosty rybackie prowadzące bezpośrednio na targi rybne. Mimo wczesnej pory mewy już zaczęły krążyć wokół przystani, gdzie rybacy klarowali liny. Nikt nie zwrócił szczególnej uwagi na dwóch mężczyzn w łódce dryfującej w dół rzeki, choć Royce i Hadrian i tak się nie wychylali dopóty, dopóki miasto nie zniknęło zupełnie za coraz wyższym nabrzeżem.

Teraz prąd stał się silniejszy. Pojawiły się skały, a rzeka wyglądała na głębszą. Ani Royce, ani Hadrian nie mieli wprawy w sterowaniu łodzią, ale starali się omijać zatory i płycizny - Royce siedział przy rumplu, a Hadrian drągiem odpychał łódź od przeszkód. Kilkakrotnie otarli się o niewidoczne głazy i kadłub podskoczył gwałtownie, wydając głuchy, nieprzyjemny odgłos. W takich chwilach rozlegały się pojękiwania księcia, ale poza tym Alric zachowywał się cicho i podróż przebiegała spokojnie.

Nad ich głowami wisiała już pełna tarcza słońca, gdy rzeka znacznie się poszerzyła, a jej nurt stał się łagodniejszy. Za piaszczystymi brzegami rozciągały się soczyście zielone pola.

Galewyr rozdzielał dwa królestwa. Na południu leżało Glouston, północna marchia królestwa Warric, a na północy -

Galilin, największa prowincja w Melengarze zarządzana przez hrabiego Pickeringa. Niegdyś rzeka była obiektem gorących sporów między dwoma krewkami dygnitarzami, ale obecnie na obu jej brzegach obserwować można było uroczą i niczym niezmaconą sielankę - wszędzie stały stogi siana i pasły się krowy.

Dzień zrobił się niezwykle ciepły jak na jesień. Nie było już jednak zbyt wielu owadów. Ucichły nawet cykady i żaby.

Słychać było jedynie szum wiatru przeczesującego suche trawy. Hadrian położył się w poprzek łodzi,

opierając głowę na tobołku z ubraniami i przewieszając nogi przez nadburcie.

Wcześniej zdjął pelerynę i buty oraz rozpiął koszulę. Royce też postanowił odpocząć i z nieco uniesionymi nogami leniwie kierował łodzią. W powietrzu unosił się silny słodki zapach dzikiego salifanu, który stał się ostrzejszy po pierwszych mrozach. Gdyby nie głód i fakt, że zaledwie kilka godzin wcześniej groziła im straszliwa śmierć, dzień mogliby uznać za wspaniały.

Hadrian odchylił głowę i wystawił twarz do słońca.

- Może powinniśmy zostać rybakami.

- Rybakami? - zdziwił się Royce.

- To miłe, prawda? Nie zdawałem sobie dotąd sprawy, jak bardzo mi się podoba plusk wody o burtę. To mi sprawia przyjemność: brzęczenie ważki, widok bazi i leniwie przesuwanego się brzegu.

- Ryby nie wskakują ot tak, po prostu, do łodzi - zauważył

Royce. - Trzeba zarzucić sieci, wyciągnąć je, wypatroszyć ryby, oskrobać je z łusek i odciąć ich łby. Nie wystarczy samo dryfowanie.

- To za bardzo kojarzy mi się z pracą.

Hadrian nabrał dłonią wody z rzeki i opryskał sobie rozgrzaną twarz. Przeczesał włosy mokrymi palcami i westchnął z zadowoleniem.

- Myślisz, że jeszcze żyje? - spytał Royce, kiwając głową w stronę Alrica.

- Pewnie - odparł Hadrian, nie racząc nawet spojrzeć na księcia. - Prawdopodobnie śpi. Czemu pytasz?

- Właśnie się nad czymś zastanawiam. Nie wydaje ci się, że człowiek może się udusić w mokrym worku na ziemniaki?

Hadrian uniósł głowę i spojrzał na nieruchomego mężczyznę.

- Nie przyszło mi to do głowy.

Wstał i potrząsnął Alrikiem, ale ten ani drgnął.

- Czemu wcześniej nic nie mówiłeś?! - zzymał się, wyciągając sztylet.

Przeciął liny i zdjął worek z głowy księcia.

Alric leżał nieruchomo. Hadrian pochylił się, żeby sprawdzić, czy oddycha. W tym momencie książę mocno go kopnął, posyłając w kierunku Royce'a, i zaczął gorączkowo odwiązywać linę krępującą mu nogi, ale Hadrian doskoczył

do niego, zanim zdążył rozplątać pierwszy supeł.

Przygwoździł Alrica do pokładu, przytrzymując mu ręce nad głową.

- Podaj mi szpagat - warknął do Royce'a, który obserwował

ich zapasy w milczeniu i z rozbawieniem. Rzucił mu jednak sznurek.

Kiedy Hadrian wreszcie unieruchomił księcia, usiadł, żeby odpocząć.

- Widzisz - odezwał się Royce. - Mniej więcej tak wygląda rybołówstwo, tylko że ryby oczywiście nie kopią.

- W porządku, to był zły pomysł.

Hadrian roztarł sobie bok, w który uderzył go książę.

- Brutalnym potraktowaniem mojej osoby skazaliście się na śmierć! Wiecie o tym, prawda?

- To nieistotne, nie sądzisz, Wasza Królewska Mość? -

powiedział Royce. - Bo już raz skazałeś nas dziś na śmierć.

Książę obrócił się na bok i odchylił głowę, mrużąc oczy w jaskrawym świetle słońca.

- To wy?! - krzyknął zdumiony. - Ale jak wam się udało...

Arista! - Oczy zwęziły mu się ze złości. - Akurat! Nie jest zazdrosna! Za tym wszystkim stoi moja droga siostra?!

Wynajęła was, żebyście zabili mojego ojca, a teraz planuje wyeliminować mnie, aby mogła rządzić sama!

- Król był także jej ojcem, o panie. Poza tym gdybyśmy chcieli cię zabić, książę, nie sądzisz, że już byś nie żył? -

spytał Royce. - Po co mielibyśmy robić sobie tyle kłopotu i wlec cię z sobą? Już wiele godzin temu mogliśmy poderznąć Waszej Wysokości gardło, obciążyć zwłoki kamieniami i wrzucić je do wody. Pozwolę sobie dodać, że taki los byłby o wiele lepszy od tego, jaki Wasza Wysokość zaplanował dla nas.

Książę przez chwilę się nad tym zastanawiał.

-A więc chodzi o okup. Zamierzacie mnie sprzedać temu, kto da najwięcej? Obiecała wam zysk z mojej sprzedaży?

Jeżeli w to wierzycie, jesteście głupcami. Arista nigdy do tego nie dopuści. Dopilnuje, żebym zginął.

Musi, żeby zapewnić sobie tron. Nie dostaniecie złamanego grosza!

- Słuchaj, ty królewski upierdliwcu, nie zabiliśmy twojego ojca. Może to niewielkie pocieszenie, ale uważałem starego Amratha za sprawiedliwego króla. Nie więzimy cię dla okupu ani nie zamierzamy sprzedać.

- Na pewno nie zwiążaliście mnie jak świnie po to, żeby wkraść się w moje łaski. Właściwie to co chcecie ze mną zrobić?

Księżę usiłował rozerwać więzy, ale w końcu dał za wygraną.

- Jeśli chcesz naprawdę wiedzieć - odparł Hadrian

- to chociaż brzmi to dziwnie, usiłujemy uratować ci życie.

- Co takiego? - zapytał oszołomiony.

- Twoja siostra chyba sądzi, że ktoś mieszkający na stałe w zamku - ten, kto zabił króla - knuje morderstwo wszystkich członków waszej rodziny. A ponieważ prawdopodobnie byłbyś następnym celem, uwolniła nas, abyśmy cię wywieźli dla twojego bezpieczeństwa.

Alric podciągnął nogi i z trudem usiadł, opierając się plecami o stos bojek w biało-czerwone paski. Przez chwilę przyglądał się z powątpiewaniem obu porywaczom.

- Jeżeli Arista nie wynajęła was do zamordowania ojca, to co dziś robiliście w zamku?

Hadrian szybko streścił swoje spotkanie z DeWittem.

Księżę nie przerwał mu ani razu.

- I potem Arista przysłała do was z tą historią, prosząc, abyście mnie porwali dla mojego bezpieczeństwa?

- Wierz mi - powiedział Hadrian. - Gdyby istniał inny sposób wydostania się stamtąd, zostawilibyśmy cię na miejscu.

-A więc wierzycie jej? Jesteście głupszy, niż sądziłem

- orzekł Alric, kręcąc głową. - Nie widzicie, do czego ona zmierza? Chce zagarnąć królestwo dla siebie.

- Gdyby tak było, po co mielibyśmy cię uprowadzać? -

zapytał Royce. - Czemu nie kazała cię zabić tak jak króla?

Alric zastanowił się, opuszczając wzrok na dno łodzi, a potem kiwnął głową.

- Pewnie próbowała. - Podniósł na nich oczy. - Zeszłej nocy nie byłem w swojej komnacie. Wymknąłem

się na schadzkę. Spałem, aż obudził mnie hałas. Podejrzewam, że wysłano zamachowca również do mojej komnaty, tylko że mnie tam nie było. Później przez cały czas towarzyszył mi strażnik, aż w końcu Arista przekonała mnie, bym poszedł sam do kuchni. Powinienem się domyślić, że to zdrada. - Kopnął ze złości związanymi nogami w stos sieci. -

Nigdy nie myślałem, że może być aż taka bezwzględna... I niezwykle sprytna. Opowiedziała wam historyjkę o zdrajcy i mieliście prawo w nią uwierzyć. Skłamała tylko, że nie wie, o kogo chodzi. Po nieudanym zamachu na mnie wykorzystała was. Wiedziała, że prędzej zgodzicie się na porwanie mnie niż na morderstwo.

Royce nie odpowiedział, ale spojrział na Hadriana.

- Na przykład ta łódź - ciągnął księżę, rozglądając się dokoła. - Idealna na wasze potrzeby, pozostawiona akurat na skraju rzeki. - Alric dotknął głową pałatki. I to wspaniałe przykrycie, pod którym można mnie schować. Płynąc taką wygodną łodzią, nie chce się schodzić na ląd. Poza tym nie możecie podróżować w górę rzeki, bo wody przy górnych dopływach są zbyt wzburzone. Musicie płynąć do morza. I moja siostra dokładnie wie, gdzie jesteśmy i gdzie będziemy.

Czy powiedziała, dokąd macie mnie zabrać? Czy to gdzieś w dole rzeki?

- Nad jeziorem Windermere.

- W Wichrowym Opactwie? To niedaleko Roe, a ta rzeka płynie właśnie w tamtym kierunku. Jakie to wygodne!

Oczywiście nigdy tam nie dotrzemy - stwierdził księżę ironicznie. - Na brzegu będą czekać zabójcy. A później ona powie, że zabiliście mnie tak jak mojego ojca. I naturalnie jej strażnicy zabiją was podczas próby ucieczki. W końcu urządzi mnie i ojcu

piękny pogrzeb, a nazajutrz wezwie biskupa Saldura, aby ją koronował.

Royce i Hadrian siedzieli w milczeniu.

- Potrzeba wam więcej dowodów? - ciągnął księżę. -

Mówicie, że ten, kto was wynajął, nazywa się DeWitt? Że pochodzi z Calisu? Arista wróciła stamtąd nie dalej niż dwa miesiące temu. Może poznała tam nowych przyjaciół. Może obiecała im ziemię w Melenga-rze w zamian za pomoc w uporaniu się z kłopotliwymi ojcem i bratem, którzy zagradzali jej drogę do tronu?

- Musimy zejść na ląd - postanowił Royce.

- Myślisz, że ma rację? - zapytał Hadrian.

- W tej chwili to nieważne. Nawet jeśli jest w błędzie, właściciel łodzi zgłosi jej kradzież. A kiedy rozejdzie się wieść o zniknięciu księcia, połączą te dwa fakty.

Hadrian wstał i spojrzał w dół rzeki.

- Na ich miejscu wysłałbym grupę jeźdźców brzegiem na wypadek, gdybyśmy zrobili postój, i drugi oddział drogą Zachodniopólną, żeby nas złapał przy Brodzie Wicenda. To by im zajęło najwyżej trzy lub cztery godziny.

- Czyli mogą już tam być - podsumował Royce.

- Musimy uciekać z tej rzeki - orzekł Hadrian.

*

Łódź znalazła się w zasięgu wzroku z Brodu Wicenda -

skalistego obszaru, gdzie rzeka gwałtownie się rozszerzała i dostatecznie spłycała, by można ją było przejść pieszo. W

pobliżu wody farmer Wicend zbudował z desek niewielką szopę dla bydła, pozwalając swoim zwierzętom paść się tam i poić bez dozoru. Miejsce

było śliczne. Wzdłuż brzegu rosły gęste krzewy heldagronu i kilka żółknących wierzb, pochylonych ku rzece tak nisko, że dotykały gałęziami wody, powodując zmarszczki na jej powierzchni i chaotyczne wiry.

Gdy łódź wpłynęła na płyciznę, ukryci w zieleni łucznicy wystrzelili deszcz strzał. Jedna wbiła się z głuchym odgłosem w górną krawędź nadburcia. Dwie następne trafiły w królewskiego sokoła wyhaftowanego na plecach książęcej peleryny. Odziana w nią postać zniknęła z widoku, upadając na dno łodzi. Kolejne strzały dosięgły piersi sternika, który wpadł do wody, i mężczyzny z drągiem, który tylko zwałił się na bok.

Z kryjówki wynurzyło się sześciu mężczyzn odzianych w stroje w kolorach brązu, brudnej zieleni i starego złota. Weszli do rzeki i zatrzymali dryfującą łódź.

- Oficjalnie jesteśmy martwi - oświadczył Royce hu-morystycznie. - Co ciekawe, pierwsza strzała trafiła Alrica.

Leżeli ukryci w wysokiej trawie na wschodnim wzgórzu, skąd mieli dobry widok na nurt. Mniej niż sio metrów od nich po prawej stronie znajdowała się droga Zachodniopólną, która biegła wzdłuż koryta aż do Roe, gdzie rzeka wpadała do morza.

- Teraz mi wierzycie? - zapytał książę.

- To tylko dowodzi, że ktoś usiłuje cię zabić, i nie jesteśmy to my. Ani też żołnierze. No przynajmniej ci nie noszą mundurów, więc mogą być kimkolwiek - zawyrokował

Royce.

- Jakim cudem on tyle widzi? - dociekał Alric. - Strzały, ubranie... Ja z tej odległości dostrzegam tylko ruch i kolory.

Hadrian wzruszył ramionami.

Księżę miał na sobie rzeczy z zawiniątka - stary strój syna majordomusa: szarą tunikę, znoszone i wypłowiałe wełniane bryczesy, brązowe pończochy i postrzępioną oraz zdecydowanie za długą pelerynę. Jego buty przypominały skórzane worki związane wokół kostek. Choć nogi i ręce miał wolne, Hadrian trzymał w ręku koniec sznura obwiązanego wokół jego pasa. Najemnik niósł także miecz księcia.

- Idą do łodzi - oznajmił Royce, ale Hadrian zdołał dostrzec jedynie niewyraźne ruchy pod drzewami. W końcu jeden z mężczyzn wyszedł na słońce i chwycił dziób łodzi.

- Niedługo odkryją, że zabili jedynie trzy słomiane kukły w starych łachmanach - zauważył Hadrian.

- Proponuję się pospieszyć.

Royce skinął głową i zbiegł szybko po zboczu do szopy dla bydła.

- Co on wyprawia? - spytał Alric zaskoczony. - Nie tylko sam zginie, ale na nas też sprowadzi śmierć!

- To tylko tobie się tak wydaje - odrzekł Hadrian.

- Siedź i się nie ruszaj.

Royce wszedł w cień drzew i Hadrian od razu stracił go z oczu.

- Gdzie się podział? - zapytał księżę z przerażeniem.

Hadrian znów wzruszył ramionami.

Poniżej ludzie zebrali się przy łodzi i na wzgórzu słychać było ich krzyki. Hadrian nie zdołał rozpoznać słów, ale widział, że ktoś podnosi naszpikowaną strzałami kukłę Alrica.

W wodzie pozostało dwóch ludzi, natomiast reszta ruszyła na brzeg. W tym momencie Hadrian dostrzegł ruch między drzewami i po chwili wybiegły stamtąd powiązane z sobą konie, które ruszyły w górę zbocza w ich kierunku. Na brzegu rozległy

się wrzaski i przekleństwa. Małe sylwetki pobiegły pędem przez pole, a następnie na wzgórze.

Kiedy zwierzęta się przybliżyły, Hadrian dostrzegł między dwoma pierwszymi wierzchowcami przygarbionego Royce'a.

Schwycił oba konie, zdjął uzdę jednemu z nich i szybko przywiązał lonżę do kantara drugiego. Kazał Alricowi wsiąść.

Gdy ich dostrzegli łucznicy, rozległy się gniewne krzyki.

Kilku wypuściło nawet strzały, ale nie zdołały one dolecieć do celu. Zanim odległość między nimi groźnie zmalała, trzech uciekinierów dosiadło wierzchowców i pogalopowało w stronę drogi.

Royce poprowadził ich półtora kilometra na północny zachód do miejsca, w którym przecinały się drogi Zachodniopólna i Kamiennomłyńska. Tu Hadrian i Alric skręcili na zachód, a Royce z porwanymi końmi pozostał w tyle, żeby zatrzeć ślady. Ruszył na północ. Po godzinie dogonił ich, ale już bez pozostałych wierzchowców. Zjechali z drogi na pole i oddalili się od rzeki, wciąż kierując się na zachód.

Konie były bardzo spocone i sapały. Po dotarciu do krainy żywopłotów zwolnili. W końcu dojechali do gąszczów i tam się zatrzymali. Alric znalazł miejsce bez kolczastych krzewów i usiadł, poprawiając tunikę, która nie leżała na nim zbyt dobrze. Royce i Hadrian skorzystali z okazji, by przeszukać siodła. Nie znaleźli żadnych oznaczeń, symboli, pergaminów ani emblematów, które pozwoliłyby im zidentyfikować napastników, jedynie zapasową kuszę i garść bełtów pozostawionych na wierzchowcu Hadriana.

- Można by się spodziewać, że będą mieli przynajmniej trochę chleba - narzekał Hadrian. - Kto podróżuje bez wody?

- Liczyli, że długo nie zabawią.

- Dlaczego jeszcze mnie nie rozwiązaliście? - spytał

poirytowany książe. T TO W najwyższej mierze upokarzające.

- Nie chcę, żebyś się zgubił - odparł Hadrian z szerokim uśmiechem.

- Nie ma powodu, żeby dalej wlec mnie z sobą. Uznaję, że nie zabiliście mojego ojca. A moja przebiegła siostra zwyczajnie wyprowadziła was w pole. Nic dziwnego, jest bardzo inteligentna. Nawet mnie zdołała nabrać. Jeżeli zatem nie macie nic przeciwko temu, chciałbym wrócić do zamku, aby się nią zająć, zanim umocni swoją władzę i wyśle całe wojsko, żeby mnie wytropiło. Wy z kolei możecie iść, dokąd was Maribor poprowadzi. Nic mnie to nie obchodzi.

- Ale twoja siostra powiedziała... - zaczął Hadrian.

- Właśnie próbowała nas zabić. Nie zauważyliście?

- Nie mamy dowodu, że to ona. Jeśli zaś pozwolimy ci wrócić na zamek Essendonów, zgodnie z tym, co mówiła, zginiesz.

- A jaki mamy dowód, że to nie była jej sprawka? Wciąż zamierzacie mnie eskortować tam, gdzie wam przykazała?

Nie sądzicie, że zastawi tam na nas kolejną pułapkę?

Przypuszczam, że właśnie na tej drodze zginę prędzej niż na jakiegokolwiek innej. Słuchajcie, chodzi o moje życie. To chyba uczciwe, żebym sam o nim decydował. Poza tym co ja was obchodzi? Zamierzałem przecież was torturować do śmierci. Zapomnieliście?

- Wiesz... - Royce zawiesił na chwilę głos. - On ma rację.

- Obiecaliśmy jej - przypomniał mu Hadrian. - I ona uratowała nam życie.

Alric wyrzucił ręce w górę i przewrócił oczami.

- Na Mara! Jesteście złodziejami, prawda? Przecież nie musicie dbać o honor. Zresztą to ona was zdradziła i naraziła was na niebezpieczeństwo.

Hadrian zignorował księcia.

- Nie wiemy, czy jest za to odpowiedzialna. A złożyliśmy obietnicę...

- Kolejny dobry uczynek? - zapytał Royce. - Przypominasz sobie, dokąd nas zaprowadził poprzedni?

Hadrian westchnął.

- No i, proszę! Nie musiałeś z tym zbyt długo czekać, prawda? Tak, zawałem sprawę, ale to nie znaczy, że tym razem się mylę. Windermere jest zaledwie piętnaście kilometrów stąd. Moglibyśmy tam dotrzeć przed zmrokiem.

Moglibyśmy zajrzeć do opactwa. Mnisi mają obowiązek pomagać zabłąkanym wędrowcom. Tak nakazuje ich doktryna czy kodeks. Naprawdę przydałoby nam się trochę jedzenia, nie uważasz?

- Może też wiedzą coś o więzieniu - zastanawiał się Royce.

- Jakim więzieniu? - zapytał z niepokojem Alric, wstając.

- Gutaria. To właśnie tam twoja siostra kazała nam cię zabrać.

- Żeby mnie uwięzić?

- Skądże znowu. Masz z kimś porozmawiać, z jakimś Esra...

Jak to było?

- Chyba Haddon - podsunął Hadrian.

- Nieważne. Wiesz coś o tym więzieniu?

- Nigdy o nim nie słyszałem - odparł Alric. - Choć nazwa brzmi tak, jakby tam właśnie znikali niewygodni członkowie rodziny królewskiej, kiedy podstępna siostra postanawia ukraść bratu tron.

Koń trącił Royce'a w ramię i ten pogłaskał zwierzę po łbie, rozważając sytuację.

- Jestem zbyt zmęczony, żeby jasno myśleć. W tej chwili żaden z nas nie jest w stanie podjąć mądrej decyzji, a przy takiej stawce lepiej nie działać pochopnie. Dojedziemy przynajmniej do opactwa. Porozmawiamy z mnichami i zobaczymy, co nam powiedzą o więzieniu. Potem zdecydujemy, co robić dalej. Brzmi sensownie?

Alric westchnął ciężko.

- Jeśli muszę jechać, to czy mogę przynajmniej prowadzić własnego wierzchowca? - Przerwał na chwilę, po czym dodał:

- Daję słowo króla, że nie będę próbował ucieczki przed dotarciem do opactwa.

Hadrian spojrział na Royce'a, a ten skinął głową. Najemnik wyjął kuszę zza siodła. Postawił ją na ziemi, zaczepił cięciwę o pierwszy karb i włożył bełt.

- Nie chodzi o to, że ci nie ufamy - wyjaśniał Royce, kiedy Hadrian przygotowywał kuszę. - Wieloletnie doświadczenie nauczyło nas, że im wyższa pozycja, tym mniejszy honor.

Dlatego wolimy polegać na mniej niezawodnych motywatorach - na przykład instynkcie samozachowawczym.

Już wiesz, że nie chcemy twojej śmierci, ale jeżeli kiedyś galopowałeś i twój koń się potknął, to zapewne rozumiesz, że nie można jej wykluczyć, a pogruchotane kości to w takim wypadku pewnik.

- Istnieje też niebezpieczeństwo, że mogę trafić, ale nie w konia - dodał Hadrian. - Dobrze strzelam, lecz nawet najlepsi łucznicy miewają gorsze dni. Tak więc odpowiedź na twoje pytanie brzmi: Tak, możesz prowadzić własnego wierzchowca.

*

Przez pozostałą część dnia posuwali się w umiarkowanym, ale równomiernym tempie. Royce prowadził ich przez pola i gęstwiny oraz leśnymi traktami. Trzymali się z dala od dróg i wiosek, aż w końcu zniknęły i jedne, i drugie, a nawet gospodarstwa, kiedy krajobraz stał się surowszy, i wjechali na dzikie pogórze Melengar. W borach coraz trudniej było o przejezdne szlaki. U podnóża wąwozów rozciągały się bagna, a wzgórza tworzyły klify. Ta niegościnna kraina stanowiła jedną z trzech części Melengar, zamieszkaną głównie przez wilki, łosie, jelenie i niedźwiedzie, a także banitów i innych ludzi szukających samotności, jak mnisi z Wichrowego Opactwa. Przesądni wieśniacy bali się mrocznych ostępów i strzelistych gór, gdyż krążyło tu wiele mitów o nimfach wodnych kuszących rycerzy, aż wpadną w śmiertelną pułapkę, wilkołakach pożerających zbłąkanych wędrowców i odwiecznych złych duchach ukazujących się w postaci fruujących ogników w gęstym lesie i zwabiających dzieci do swoich mrocznych pieczar pod ziemią. Bez względu jednak na ogrom nadprzyrodzonych niebezpieczeństw naturalne przeszkody również były na tyle trudne do pokonania, że zwykli podróżnicy także unikali tych rejonów.

Hadrian nie kwestionował wyboru drogi przez Royce'a.

Wiedział, dlaczego przyjaciel trzyma się z dala od Zachodniopólnego traktu, jakim łatwo można było dotrzeć do Roe - wioski rybackiej, która mimo odcięcia od świata rozrosła się z sennej osady do dobrze prosperującego portu morskiego. Z jednej strony mogliby tam liczyć najedzenie i zakwaterowanie, ale z drugiej istniało niebezpieczeństwo, że trafią pod obserwację.

Innym łatwym rozwiązaniem była podróż na północ, drogą Kamiennomłyńską. I Royce tak zmylił ich trop, aby przekonać pogoń, że właśnie tam się skierowali i zdążają do Pól Drondila. Obie trasy dawały korzyści oczywiste dla wszystkich. Dlatego przedzierali się przez dzikie ostępy, podążając wydeptanymi przez zwierzęta szlakami, jakie udało im się znaleźć.

Po pokonaniu szczególnie uciążliwego odcinka leśnej gęstwiny nagle wyszli na grzbiet, z którego roztaczał się wspaniały widok na zachodzące słońce, oblewające swym blaskiem dolinę i odbijające się w tafli jeziora. Windermere było jednym z najgłębszych jezior w całym Avrynie, całkowicie pozbawionym z tego powodu roślinności i dzięki temu kryształowo czystym. Miało kształt rozciągniętego, postrzępionego trójkąta. Wznoszące się powyżej linii drzew okoliczne wierzchołki były zasadniczo łyse. Jedynie od strony południowej na jednym z nich dostrzegli niewyraźny zarys kamiennej budowli - Wichrowe Opactwo, oprócz Roe jedyna oznaka cywilizacji na tym olbrzymim obszarze.

Ruszyli w jego kierunku. Zeszli do doliny, ale zanim przebyli połowę drogi, zapadła noc. Na szczęście odległe światło klasztoru było dla nich punktem orientacyjnym.

Znużenie i dwa dni pełne napięcia w połączeniu z trudną wędrówką i brakiem snu oraz jedzenia dawały się we znaki Hadrianowi, który przypuszczał, że Royce czuje się podobnie, choć po nim nie było tego tak bardzo widać. Najgorzej wyglądał książę. Przy każdym kroku konia jego głowa opadała coraz niżej, aż młodzieniec prawie spadał z siodła i wtedy się budził, by zacząć wszystko od nowa.

W dzień było ciepło, ale noc zrobiła się lodowato zimna i w łagodnym świetle wschodzącego księżyca

widać było, jak z ust ludzi i pysków koni przy oddychaniu wydobywa się para. Gwiazdy wyglądały jak diamentowy pył

rozrzucony po niebie, a dolinę wypełniały pohukiwania sów i przenikliwe cykanie świerszczy. Gdyby mężczyźni nie byli tacy wyczerpani, mogliby opisać tę wyprawę jako przepiękną.

Zamiast tego po prostu zgrzytali zębami i starali się nie tracić ścieżki z oczu.

Zaczęli się wspinać na południowe wzgórze. Royce prowadził ich z niesamowitą wprawą krętym szlakiem, który widziały tylko jego sokole oczy. Ubranie syna majordomusa kiepsko chroniło przed chłodem i niebawem książę zaczął

dygotać. Na domiar złego wzmógł się wiatr. Wkrótce drzewa ustąpiły miejsca karłowatym krzewom, a ziemię pokryły kamienie porośnięte mchem i porostami. Wreszcie dotarli do schodów Wichrowego

Opactwa.

Nadciągnęły chmury i księżyc zniknął. W ciemnościach niewiele widzieli z wyjątkiem stopni i światełka, do którego podążali. Zsiedli z koni i podeszli do otwartej bramy osadzonej w kamiennym łuku ze spiczastym zwieńczeniem.

Już nie było słycać świerszczy ani sów, jedynie powiewy niestrudzonego wiatru.

- Jest tam kto? - odezwał się Hadrian raz i drugi. Już miał

krzyknąć po raz trzeci, kiedy dostrzegł

poruszające się w środku światełko, które niczym świetlik kluczący między drzewami zniknęło za filarami i ścianami, po czym za każdym razem pojawiała się coraz bliżej. Był to niski mężczyzna w starym habicie i z latarnią w ręku.

- Kto tam? - zapytał cicho i bojaźliwie.

- Wędrowcy - odparł Royce. - Zziębnięci, skonani i liczący na odpoczynek.

- Ilu was jest? - Mężczyzna wysunął głowę i pomachał

latarnią. Przyjrzał się po kolei ich twarzom. - Tylko trzech?

- Tak - odrzekł Hadrian. - Wędrowaliśmy przez cały dzień bez jedzenia. Mieliśmy nadzieję, że skorzystamy ze słynnej gościnności legendarnych mnichów Maribora. Przyjmiecie nas?

Zakonnik zawahał się, zanim odpowiedział:

- Tak sądzę. - Cofnął się, aby mogli wejść. - Proszę...

- Mamy konie - przerwał mu Hadrian.

- Naprawdę? To niezwykle - odparł mnich i widać było, że jest pod wrażeniem. - Chciałbym je zobaczyć, ale jest bardzo późno i...

- Chciałem tylko zapytać, czy jest tu jakaś stajnia, w której mogłyby zostać na noc. Stodoła albo może szopa?

- Rozumiem. - Zakonnik umilkł, stukając w zamyśleniu palcem w usta. - Mieliśmy piękną stajnię, w której trzymaliśmy krowy, owce i kozy, ale dziś nic z tego nie będzie. Mieliśmy również zagrody dla zwierząt, gdzie trzymaliśmy świnię, ale z tego też nic nie wyjdzie.

- Więc może przywiążemy je gdzieś w pobliżu, jeśli nie sprawi to kłopotu - zaproponował Hadrian. - Chyba mijaliśmy po drodze jakąś kępę drzew.

Mnich skinął głową. Sprawiał wrażenie, jakby mu ulżyło, że problem zniknął. Gdy położyli siodła na

ganku, wprowadził

ich na coś, co przypominało duży dziedziniec.

W bladym blasku latarni zakonnika Hadrian niewiele widział poza kamiennym chodnikiem, ale nawet gdyby mnich bardzo chciał się pochwalić swoim domostwem, był zbyt zmęczony na zwiedzanie. W opactwie

unosił się silny zapach dymu, który wywoływał skojarzenia z ciepłym ogniem w kominku i nasuwał myśl o łóżku.

- Nie chcieliśmy cię zbudzić - powiedział Hadrian łagodnie.

- Nie zbudziliście - zapewnił mnich. - Niewiele sypiam.

Zajmowałem się książką. Byłem w środku zdania, kiedy was usłyszałem. Aż ciarki przeszły mi po plecach. W tej okolicy rzadko się słyszy kogoś za dnia, a co dopiero w nocy.

W ciemnościach majaczyły wolno stojące kolumny i sylwetki posągów. Jeszcze silniej poczuli zapach dymu, choć wydawało się, że jedynym jego źródłem może być latarnia w ręku mnicha. W końcu doszli do schodków, po których zakonnik sprowadził ich do pomieszczenia przypominającego wykutą w kamieniu piwnicę.

- Możecie tu przenocować - powiedział im. Rozejrzeli się po klitce, która Hadrianowi wydawała się

jeszcze mniej kusząca od lochów Essendonów i zagracona do granic możliwości - upchano tam wiązki drewniaków, gałęzi i wrzosów, dwie beczki, nocnik, stolik

i składane łóżko. Przez chwilę nikt się nie odzywał.

- Wiem, że to niewiele - przyznał mnich z żalem ale w tej chwili nic więcej nie mogę zaoferować.

- To nam wystarczy, dziękujemy - zapewnił go Hadrian. Był

tak zmęczony, że zależało mu jedynie na miejscu osłaniającym ich przed wiatrem. - Możemy dostać kilka koców? Jak widzisz, naprawdę nie mamy z sobą zapasów.

- Koców? - Mnich miał zmartwioną minę. - Tu jest jeden. -

Wskazał na łóżko, na którym leżał równo złożony cienki pled.

- Naprawdę mi przykro, że nie mogę

więcej zaoferować. Ale zostawię wam latarnię. Ja znam tu każdą piędź ziemi - oznajmił zakonnik i wyszedł, być może z obawy, że poproszą o coś jeszcze.

- Nawet nas nie zapytał o imiona - stwierdził książę.

- Co za miła niespodzianka - zauważył Royce, chodząc z latarnią po pomieszczeniu.

Hadrian przyglądał się współnikowi, który po chwili znalazł

kilkanaście butelek wina, niewielki worek ziemniaków ukryty pod słomą i kawałek liny.

- To nie do zniesienia - oburzył się Alric. - W tak dużym opactwie na pewno są lepsze kwatery od tej nory.

- Zgadzam się z Jego Królewską Mością - oznajmił Hadrian, trzepiąc wyszperaną skądś przed chwilą parę starych płóciennych butów. - Słyszałem niestworzone historie o gościnności tych mnichów. A nas traktują jak przybłądy.

- Pytanie brzmi: „dlaczego?” - zastanawiał się Royce. - Kto tu jeszcze jest? Skoro wylądowaliśmy w tej budzie, to oprócz nas musiało tu zjechać kilka sporych grup albo jedno ogromne towarzystwo. A tylko szlachta podróżuje z takim orszakiem.

Może nas szukają? Albo są powiązani z tamtymi łucznikami.

- Wątpię. W Roe mielibyśmy większy powód do zmartwienia - doszedł do wniosku Hadrian, przeciągając się i ziewając. - Poza tym ktokolwiek tu jest, przyjechał

przenocować i prawdopodobnie nie spodziewa się dodatkowych nocnych atrakcji.

- I tak wstanę wcześniej i się rozejrzę. Może trzeba będzie wyjeżdżać w pośpiechu.

- Nie przed śniadaniem - zaproponował Hadrian, siadając i zzuwając buty. - Musimy coś zjeść, a opactwa słyną ze smacznego jedzenia. W najgorszym razie możesz im trochę podkraść.

- Świetnie, ale Jego Wysokość nie powinien się tu wałęsać.

Musi się trzymać na uboczu.

- Nie mogę uwierzyć, że coś takiego mnie spotykało skarżył

się Alric, stojąc na środku piwnicy ze zde gustowaną miną.

- Potraktuj to jak wakacje - zasugerował Hadrian.

Przynajmniej przez jeden dzień udawaj zwykłego wieśniaka, na przykład syna kowala.

- Nie - sprzeciwił się Royce, przygotowując sobie miejsce do spania, ale nie zdejmując butów. - Ktoś mógłby oczekiwać od niego umiejętności posługiwania się młotkiem. A tylko spójrz na jego rękę. Od razu by się zorientowali, że kłamie.

- Większość ludzi ma pracę wymagającą używania rąk, Royce - zauważył Hadrian, przykrywając się peleryną i odwracając na bok. - Jaki fach mógłby wykonywać, którego by nie znali mnisi i od którego

nie robiłyby się odciski?

- Mógłby kraść albo się łajdaczyć za pieniądze. Obaj spojrzeli na księcia, który aż się skulił na te słowa.

- Śpię w łóżku - oświadczył.

Rozdział 4

Windermere

Poranek był zimny i mokry. Z szarego nieba lały się strugi deszczu. Po kamiennych schodach spływał potok wody, która zbierała się w zagłębieniu na progu. Kiedy kałuża dosięgła nóg Hadriana, stwierdził, że pora wstawać. Odwrócił się na plecy i przetarł oczy. Nie spał dobrze. Był zeszywniały i zamroczony, a ranny chłód przenikał go do szpiku kości.

Usiadł, przesunął dużą dłoń po twarzy z góry w dół i się rozejrzał. W ołowianym świetle świtu kłitka wyglądała jeszcze posępniej niż w nocy. Odsunął się od kałuży i poszukał butów. Alric spał w łóżku, ale niewiele mu to dało. Mimo że był szczelnie owinięty kocem, dygotał. Royce już gdzieś zniknął.

Książę otworzył oko i zerknął z ukosa na Hadriana, kiedy ten wkładał buty.

- Dzień dobry, Wasza Wysokość - powiedział kpiącym tonem najemnik. - Przyjemnie się spało?

- To była najgorsza noc w moim życiu - warknął Alric przez zaciśnięte zęby. - Nigdzie nie czułem się tak paskudnie jak w tej wilgotnej i lodowatej norze. Bola mnie wszystkie mięśnie, krew mi pulsuje w skroniach

i nie mogę przestać szcząkać zębami. Dziś wracam do domu. Zabij nie, jeśli musisz, ale inaczej mnie nie powstrzymasz.

- Czyżby to znaczyło „nie”?

Hadrian wstał, roztarł energicznie ramiona i poparł się na deszcz.

- Zrób coś pożytecznego i rozpal ogień, zanim tu umrzemy z zimna - mruknął książę, naciągając cienki koc na głowę i spoglądając spod niego, jakby to był kaptur.

- Chyba nie powinniśmy rozpalać ogniska w tej piwnicy.

Pobiegnijmy do refektarza. Za jednym zamachem rozgrzejemy się i zdobędziemy jedzenie. Na pewno huczy tam miły ogień. Ci mnisi wcześniej wstają. Prawdopodobnie pracują już od wielu godzin, wypiekając chleb, zbierając jajka i wyrabiając masło dla takich jak my. Wiem, że Royce wolał, żebyś nie wychodził, ukrycia, ale chyba nie przewidział

takiego szybkiego nadejścia zimy ani tego, że będzie taka mokra. Jeśli nałożysz kaptur, wszystko będzie dobrze.

Książę usiadł z ochoczą miną.

- Byle jaki pokój z drzwiami byłby lepszy od tego.

- Możliwe - usłyszeli głos Royce'a z zewnątrz - ale tu go nie znajdziesz.

Po chwili złodziej się pojawił z naciągniętym na głowę kapturem i przemoczoną peleryną. Potrząsnął

energicznie ramionami jak pies otrzepujący sierść z wody. Na Hadriana i Alrica poleciała fontanna kropli i obaj się wzdrygnęli. Z

grymasem na twarzy książę otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale się powstrzymał. Royce nie był sam. Za nim stał ten sam mnich, który wpuścił ich do opactwa poprzedniej nocy. Przemoczony wełniany habit wisiał na nim jak ciężki wór, do czoła

przykleiły mu się włosy. Miai bladą skórę, posiniałe drżące usta, a jego palce były takie pomarszczone, jakby za długo przebywał w wodzie.

- Znalazłem go, jak spał na dworze - wyjaśnił Royce, chwytając szybko pęk drewniak. - Myron, zdejmij habit.

Musimy cię wysuszyć.

- Myron? - zaciekawił się Hadrian. - Myron Lanaklin?

Najemnikowi wydawało się, że mnich skinął głową, ale dygotał tak mocno, że trudno było mieć pewność.

- Znacie się? - spytał Alric.

- Nie, ale znamy jego rodzinę - odparł Royce. - Daj mu koc.

Alric wyglądał na zaskoczonego. Kurczowo przycisnął

okrycie do ciała.

- Daj mu - nalegał Royce. - To jego koc. Głupiec odstąpił

nam wczoraj własną kwaterę, a sam skulił się w smaganym wiatrem narożniku klasztoru i przy-
marzał.

- Nie rozumiem - powiedział Alric, niechętnie zsuwając z ramion pled. - Dlaczego spałeś na deszczu, kiedy...

- Opactwo spłonęło - wyjaśnił im Royce. - Pozostało tylko to, co wzniesiono z kamienia. Wczoraj nie szliśmy przez dziedziniec - to był klasztor. Nie ma dachu. Z budynków zewnętrznych pozostały jedynie kupy popiołu. Kompletna ruina.

Zakonnik zdjął habit i Alric podał mu koc. Myron szybko zarzucił go na ramiona. Usiadł, podciągnął kolana do klatki piersiowej i je też owinał pledem.

-A co z pozostałymi mnichami? - zapytał Hadrian. - Gdzie się podziali?

Ja... pochowałem ich. Większość w ogrodzie - od-p.nl Myron, szczękając zębami. - Ziemia jest tam mięk-s/.a. Chyba nie będą mieli nic przeciwko temu. Wszyscy uwielbialiśmy to miejsce.

- Kiedy to się stało?

- Przedwczoraj - odrzekł Myron.

Hadrian, wstrząśnięty taką wiadomością, nie chciał dłużej męczyć zakonnika i w pomieszczeniu zaległa cisza. Royce dalej rozpalał ogień. Ułożył stos z kawałków drewna i podpalił go od środka. Dolał trochę nafty z latarni i niebawem przy wejściu zapłonęło ognisko. Ciepło odbijało się od kamiennych ścian i pomieszczenie zaczęło się nagrzewać.

Przez długi czas nikt się nie odzywał. Kiedy Royce przewrócił kijkiem żarzące się węgle, strzeliły z nich iskry.

Wpatrywali się w ogień, słuchając jego trzasku, podczas gdy na zewnątrz wył wiatr i deszcz smagał szczyt wzgórza.

- Byliście wszyscy zamknięci w kościele, kiedy podłożono ogień, prawda, Myronie? - spytał Royce posępnym głosem, nie patrząc na mnicha.

Ten nie odpowiedział. Nie odrywał wzroku od ognia.

- Zauważyłem w popiele poczerniały łańcuch z kłódką. Była zamknięta na klucz.

Myron objął ramionami kolana i zaczął się powoli kołysać.

- Co się wydarzyło? - spytał Alric.

Mnich wciąż milczał. Dopiero po kilku minutach odwrócił

wreszcie wzrok od ognia, ale nie spojrzał na nich, lecz zapatrzył się w jakiś odległy punkt na dworze.

- Przyszli i oskarżyli nas o zdradę - zaczął cichym głosem. -

Jakichś dwudziestu rycerzy w hełmach zasłaniających całe twarze. Otoczyli nas i zapędzili do kościoła. Zamknęli za nami drzwi. Potem wybuchł pożar. Kościół wypełnił się dymem w okamgnieniu. Słyszałem kasłanie braci usiłujących zaczerpnąć oddechu. Opat prowadził modlitwę, dopóki nie upadł. Kościół płonął bardzo szybko. Nie wiedziałem, że jest w nim tyle suchego drewna - zawsze wydawał mi się taki mocny. Pokaśływania były coraz cichsze i rzadsze. W końcu przestałem cokolwiek widzieć. Oczy wypełniły mi łzy, a potem zemdlałem. Obudziłem się w deszczu. Najeźdźcy i ich konie zniknęli, tak jak wszystko inne. Byłem pod marmurowym pulpitem w najniższej nawie, a wokół mnie leżeli moi bracia. Rozejrzałem się, żeby sprawdzić, czy ktoś jeszcze przeżył, ale wszyscy zginęli.

- Kto to zrobił? - dopytywał się Alric.

- Nie znam ich imion ani nie wiem, kto ich przysłał. Ale mieli na sobie tuniki z berłem i koroną - odparł Myron.

- Imperialiści - wynioskował Alric. - Ale czemu by mieli napadać na opactwo?

Mnich nie odpowiedział, tylko patrzy! przez okno na deszcz.

- Myronie? - zapyta! Hadrian łagodnym głosem. -

Powiedziałeś, że oskarżyli was o zdradę. Jakie czyny wam zarzucili?

Mężczyzna milczał skulony pod kocem i patrzył przed siebie. W końcu Alric przerwał ciszę:

- Nie pojmuję. Nie wydałem rozkazu spalenia tego opactwa i nie wierzę, żeby mój ojciec to zrobił. Dlaczego któryś z moich szlachciców miałby się dopuścić takiego czynu, zwłaszcza bez mojej wiedzy?

Royce rzucił księciu ostre niespokojne spojrzenie.

- O co chodzi? - zapytał Alric.

- Myślałem, że omówiliśmy, jakie to ważne, żeby się nie wychylać.

- No nie, proszę. - Książę zbył złodzieja machnięciem ręki. -

Nie sądzę, żebym zginął, jeśli ten mnich się dowie, że jestem królem. Spójrzcie na niego. Nawet utopione szczury wyglądają groźniej.

- Królem? - wymamrotał Myron. Alric nie zwrócił na niego uwagi.

- Poza tym komu to wyjawi? I tak wracam dziś rano do Medfordu. Nie tylko muszę się zająć siostrą zdrajczynią, ale też królestwem, w którym dzieją się niepojęte rzeczy.

- Może to nie był twój szlachcic - zauważył Royce. - Tak się zastanawiam... Myronie, czy napad mógł mieć jakiś związek z Deganem Gauntem?

Mnich poruszył się nerwowo, a na jego twarzy pojawił się wyraz niepokoju.

- Muszę rozwiesić sznurek, żeby wysuszyć habit powiedział, wstając.

- Deganem Gauntem? - powtórzył Alric. - Tym obłąkanym rewolucjonistą? Czemu o nim wspominasz?

- To jeden z przywódców ruchu nacjonalistów i krążą pogłoski, że kręci się w tych stronach - potwierdził Hadrian.

- Ruch nacjonalistów... ha! Cóż za pretensjonalna nazwa dla tego motłochu - zadrwił Alric. - Przypominają bardziej partię wieśniaków. To radykałowie, którzy chcą, aby plebs mógł się wypowiadać w kwestii sposobu rządzenia nim.

- Może Degan Gaunt wykorzystywał opactwo nie tylko do romantycznych schadzek - zastanawiał się

Royce. - Może spotykał się tu także ze swoimi zwolennikami. Może twój ojciec o tym wiedział albo miało to jakiś związek z jego śmiercią.

- Zbiorę trochę wody do przygotowania śniadania. Na pewno jesteście wszyscy głodni - oznajmił Myron po rozwieszeniu habitu i zaczął zbierać różne naczynia, które zamierzał napęlić wodą deszczową.

Alric nie spojrzął na zakonnika. Skupił uwagę na Roysie.

- Mój ojciec nigdy by nie rozkazał popełnić takiego ohydneho czynu! Bardziej martwiłby go napad imperialistów na opactwo niż wykorzystywanie klasztoru jako miejsca spotkań przez nacjonalistów. Marzenia tych rewolucjonistów to mrzonki, ale imperialiści są dobrze zorganizowani. Mają poparcie Kościoła. Moja rodzina zawsze należała do wiernych rojalistów, którzy wierzą w pochodzące od boga prawo króla do rządzenia za pośrednictwem swoich szlachciców i w suwerenność każdego królestwa. Naszym największym zmartwieniem nie jest motloch, któremu się wydaje, że może się zorganizować i obalić rządy prawa. Martwi nas to, że pewnego dnia imperialiści odnajdą spadkobiercę Novrona i zażądają, aby wszystkie królestwa czterech narodów Apeladornu przysięgły wierność nowemu imperium.

- Tak, to oczywiste, że chciałbyś, aby wszystko pozostało po staremu - zauważył Royce. - Jesteś przecież królem.

- A ty bez wątpienia nacjonalistą, który popiera ścięcie wszystkich szlachciców i rozdanie ich ziemi wieśniakom oraz wyzwolenie plebsu, aby mógł się wypowiedzieć w kwestii rządu - zaperzył się Alric. - To by rozwiązało wszystkie problemy świata, prawda?

Właściwie - odparł Royce - to polityka mnie nie zajmuje.

Przeszkadzały mi w pracy. Szlachcic czy chłop wszyscy ludzie kłamią, oszukują i płacą mi, żebym wykonał

za nich brudną robotę. Bez względu na to, kto rządzi, i tak słońce wstaje, zmieniają się pory roku, a ludzie spiskują.

Jeżeli już nadajemy nazwy postawom, wolę myśleć o sobie jako o indywidualiście.

- I dlatego nacjonalisci nigdy nie zdołają się zorganizować tak, aby stanowić realne zagrożenie.

- Delgos zdaje się dość dobrze sobie radzić. A jest republiką rządzoną przez ludzi.

- To zgraja zwyczajnych sklepikarzy.

- Może nie tylko.

- To bez znaczenia. Liczy się to, dlaczego imperialistów tak bardzo niepokoi kilku rewolucjonistów,

którzy się spotykają w Melengarze.

- Może Ethelred pomyślał, że jego markiz coś knuje, aby im pomóc - jak to ująłeś - ściąć wszystkich szlachciców?

- Lanaklin? Mówisz poważnie? Wiktor Lanaklin nie jest nacjonalistą. Nacjoniści to prości ludzie usiłujący odebrać władzę szlachcom. Lanaklin to imperialista jak cała szlachta Warric. To religijni fanatycy pragnący jednego rządu pod kontrolą spadkobiercy Novrona. Sądzą, że on ich wszystkich w cudowny sposób zjednoczy i wprowadzi w jakąś mityczną rajska erę. To takie samo pobożne życzenie jak marzenia nacjonalistów.

- Może w tym wszystkim chodziło o zwykły romans -

podsunął Hadrian.

Alric westchnął i pokręcił głową zrezygnowany. Wstał i wyciągnął ręce do ognia.

- Kiedy będzie śniadanie, Myronie? Umieram z głodu.

- Niestety, nie mam wiele do zaoferowania - odrzekł mnich.

Ustawił nad ogniem małą kratkę wspartą na nóżkach.

- Mam kilka ziemniaków w worku w narożniku.

- To wszystko? - zapytał Royce.

- Bardzo mi przykro - powiedział Myron z wyrazem prawdziwego bólu na twarzy.

- Nie to mam na myśli. Te ziemniaki to wszystko, co posiadasz, prawda? Jeśli je zjemy, nic ci nie zostanie.

- Cóż - wzruszył ramionami - jakoś dam sobie radę. Nie martwcie się o mnie - oznajmił z optymizmem.

Hadrian przyniósł worek, zajrzał do środka i podał go zakonnikowi.

- Jest tylko osiem. Jak długo zamierzałeś tu zostać?

Myron milczał przez chwilę, aż wreszcie rzucił w przestrzeń:

- Nigdzie nie idę. Muszę tu zostać. Muszę to naprawić.

- Co? Opactwo? To kupa roboty dla jednego człowieka.

Pokręcił głową.

- Biblioteka, książki, tym właśnie się wczoraj zajmowałem, kiedy przybyliście.

- Biblioteki już nie ma, Myronie - przypomniał mu Royce. -

Wszystkie książki spłonęły. Pozostał z nich popiół.

- Wiem, wiem - powiedział mężczyzna, odgarniając mokre włosy z oczu. - Dlatego muszę je zastąpić.

- Jak zamierzasz to zrobić? - zapytał Alric z uśmiechem wyższości. - Napiszesz wszystkie ponownie z pamięci?

Myron skinął głową. Kiedy przybyliście, pracowałem nad pięćdziesiątą trzecią stroną *Historii Apeladornu* autorstwa Antuna Bularda.

Podszedł do prowizorycznego biurka i wyjął małe pudełko.

W środku było około dwudziestu pergaminowych kartek i kilka wygiętych arkuszy z cienkiej kory.

- Skończył mi się pergamin. Niewiele ocalało po pożarze, ale kora sprawdza się świetnie.

Przerzucili kartki. Pismo Myrona było drobne i staranne.

Litery biegły od brzegu do brzegu strony - zakonnik nie zostawił ani odrobiny wolnego miejsca, tekst był kompletny, nawet numery stron znajdowały się nie u dołu pergaminu, ale tam, gdzie umieszczono je w oryginalnym dokumencie.

- Jak zdołałeś to wszystko zapamiętać? - zapytał Hadrian, podziwiając ogrom pracy mnicha.

Myron wzruszył ramionami.

- Pamiętam wszystkie przeczytane książki.

- I przeczytałeś wszystkie książki z waszej biblioteki?

Mnich skinął głową.

- Miałem mnóstwo czasu dla siebie.

- Ile ich było?

- Trzysta osiemdziesiąt dwie książki, pięćset dwadzieścia cztery zwoje i tysiąc dwieście trzynaście pojedynczych pergaminów.

- I znasz je wszystkie na pamięć? Myron znów skinął

głową.

Patrzyli na niego z pełnym szacunku podziwem.

- Byłem bibliotekarzem - oznajmił, jakby to wszystko wyjaśniało.

- Myronie - zapytał nagle Royce - czy w którejkolwiek z tych ksiązek natrafiłeś kiedyś na miejsce o nazwie Gutaria lub wzmiankę o więźniu, który się nazywa Esra... haddon?

Mnich pokręcił głową.

- Mało prawdopodobne, aby ktokolwiek wspomniał o tajnym więzieniu - stwierdził Royce z rozczarowaniem na twarzy.

- Ale natrafiłem na kilka wzmianek na zwoju u i jedną na pergaminie. Na pergaminie jednak nazwę Esrahaddon zmieniono na „więzień”, a Gutaria figurowała pod nazwą

„więzienie imperialne”.

- Na brodę Maribora! - wykrzyknął Hadrian, patrząc na mnicha z podziwem. - Ty naprawdę znasz całą bibliotekę na pamięć, prawda?

- Dlaczego „imperialne”? - zdziwił się Royce. - Arista mówiła, że było kościelne.

Myron wzruszył ramionami.

- Może dlatego, że w imperialnych czasach Kościół

Nyphrona i imperium były powiązane. „Nyphron” to starożytna nazwa imperatora, wywodząca się od nazwiska pierwszego władcy, Novrona. Tak więc „Kościół Nyphrona”

to „czciciele imperatora” i wszystko związane z imperium mogło być również uważane za przynależne Kościołowi.

- To dlatego członkom Kościoła Nyphrona tak bardzo zależy na odnalezieniu spadkobiercy - dodał Royce. - Byłby ich, że tak powiem, bogiem, a nie tylko władcą.

- Znam kilka bardzo ciekawych ksiązek o spadkobiercy imperium - powiedział z podekscytowaniem Myron - i wiele domysłów na temat jego losów...

- A co z więzieniem? - spytał Royce.

Cóż, o nim było niewiele. Jedyna bezpośrednia wzmianka znajdowała się w wyjątkowym zwoju o nazwie *Listy zebrane Dioyliona*. Oryginał dotarł do nas pewnej nocy przed dwudziestoma laty. Miałem wtedy zaledwie piętnaście lat, ale byłem już pomocnikiem bibliotekarza. Przywiózł go ranny i bliski śmierci kapłan. Padało wtedy, podobnie jak teraz.

Zabrali nieszczęśnika do klasztornej szpitala i kazali mi pilnować jego rzeczy. Wziąłem jego przemoczoną torbę i znalazłem w niej najrozmaitsze zwoje. Bałem się, że wilgoć może je uszkodzić, więc rozwinąłem je, żeby wyschły. A skoro już były rozwinięte, nie mogłem się powstrzymać przed ich przeczytaniem. Zwykle zawsze ulegam tej pokusie, gdy tylko widzę pismo. Choć po dwóch dniach

duchowny wyglądał

niewiele lepiej, wyjechał razem z dokumentami. Nikt nie potrafił go przekonać do pozostania. Wyglądał na przestraszonego. A same zwoje to była korespondencja arcybiskupa Venlina, głowy Kościoła Nyphrona w okresie rozpadu imperium. Znalazłem między innymi postimperialny edykt o budowie więzienia, który uznałem za dokument o wielkim znaczeniu historycznym, ponieważ wynikało z niego, że Kościół zaczął sprawować rządy bezpośrednio po zniknięciu imperatora. To mnie zafascynowało. Ciekawe było także to, że budowa więzienia stała tak wysoko w hierarchii działań, zważywszy na panujący wówczas zamęt. Teraz wiem, że był to bardzo rzadki zwyczaj, ale wtedy nie zdawałem sobie z tego sprawy.

- Chwileczkę - wtrącił Alric. - Więc to więzienie zbudowano dziewięćset lat temu i nadal działa, a ja nic o tym nie wiem?

Cóż, z daty zwoju wynika, że budowę rozpoczęto dziewięćset dziewięćdziesiąt sześć lat i dwieście pięćdziesiąt cztery dni temu. To było ogromne przedsię-

wzięcie. Jeden list dokładnie traktował o zwerbowaniu mistrzów rzemiosła z całego świata do jego zaprojektowania i wzniesienia. W jego tworzeniu uczestniczyły najtęższe umysły i wykorzystano najnowocześniejszą technikę. Wykuto je w litej skale, wybierając na ten cel góry usytuowane na północ od jeziora. Wejścia do niego broniły nie tylko metal, kamień i drewno, lecz również starożytnie i potężne zaklęcia.

Po zakończeniu budowy uważano, że to najbezpieczniejsze więzienie na świecie.

- Musieli mieć w tamtych czasach kilku naprawdę paskudnych przestępców, skoro zadali sobie tyle trudu -

stwierdził Hadrian.

- Nie - zaprzeczył rzeczowo Myron - tylko jednego.

- Jednego? - zdziwił się Alric. - Całe więzienie do przetrzymywania tylko jednego człowieka?

- Nazywał się Esrahaddon.

Hadrian, Royce i Alric spojrzeli po sobie.

- Cóż on, u licha, przeskrobał? - zapytał Hadrian.

- Wyczytałem, że był odpowiedzialny za zniszczenie imperium. Więzienie zaprojektowano właśnie dla niego.

-A niby jak mógł odpowiadać za zburzenie najpotężniejszego imperium, jakie ten świat widział? - powątpiewał

Alric.

- Esrahaddon był kiedyś zaufanym doradcą imperatora, ale go zdradził, mordując całą królewską rodzinę z wyjątkiem, oczywiście, jednego syna, który w jakiś cudowny sposób zdołał uciec. Krążą nawet pogłoski, że zniszczył stołeczne miasto Percepliauis. Po śmierci imperatora kraj pogrążył się w chaosie i wojnie domowej. Esrahaddona schwytano, osądzono i uwięziono.

Czemu go po prostu nie stracono? - zapytał Alric, narażając się tym samym na lodowate spojrzenia złodziei.

- Egzekucja to twoja odpowiedź na każdy problem? Zadrwił

Royce.

- Czasami to najlepsze rozwiązanie - odrzekł książę. Myron przyniósł z dworu garnki i przelał wodę do jednego, po czym włożył do niego ziemniaki i umieścił go nad ogniem.

- Zatem Arista wysłała nas na spotkanie z więźniem, który ma ponad tysiąc lat. Czy jeszcze ktoś dostrzega w tym problem? - zapytał Hadrian.

- Widzicie?! - wykrzyknął Alric. - Arista kłamie.

Prawdopodobnie usłyszała to imię na uniwersytecie w Sheridanie i nawet nie wie, że Esrahaddon zmarł setki lat temu. Wykluczone przecież, żeby Esrahaddon mógł jeszcze żyć.

- Niekoniecznie - zauważył Myron, mieszając ziemniaki w garnku nad ogniem.

- Słucham? - zapytał Alric.

- Jest czarnoksiężnikiem.

- Mówiąc, że był czarnoksiężnikiem - spytał Hadrian - masz na myśli to, że był uczonym mędrcom czy że był biegły w sztuczkach karcianych i żonglerce albo potrafił uwarzyć miksturę na sen? Royce i ja znamy takiego jednego, który po trosze zna się na wszystkim, ale nie potrafi przekładać śmierci na później.

- Według przeczytanych przeze mnie relacji - wyjaśnił

Myron - czarnoksiężnicy w tamtych czasach byli inni.

Nazywali magię sztuką. Po upadku imperium jednak większa część ich wiedzy przepadła. Na przykład pradawny kunszt walki teshlor, czyniący wojowników niepokonanymi, albo techniki budowy umożliwiające

konstruowanie olbrzymich kopuł czy umiejętność wykuwania mieczy przecinających kamienie. Wraz ze zniknięciem prawdziwych czarnoksiężników zaginęła też prawdziwa magia. Z przekazów wynika,

że w czasach Novrona cenzarowie - tak wtedy nazywano czarnoksiężników

- byli niewiarygodnie potężni. Podobno wywoływali trzęsienia ziemi i burze, a nawet zaciemniali Słońce.

Najwięksi z nich tworzyli Wielką Radę Cenzarów i rządili imperium.

- Coś takiego - powiedział Alric w zamyśleniu.

- Czy natrafiłeś na informację, gdzie dokładnie usytuowano to więzienie? - zapytał Royce.

- Nie, ale wspomina o tym Mantuar w *Rozprawie na temat symbolizmu architektury w novrońskim imperium*. To pergamin, na którym wymieniono imię Esrahaddon. Tkwił

wepchnięty na tylnej półce przez wiele lat, aż pewnego dnia znalazłem go podczas sprzątanía starej części biblioteki. Tekst był pogmatwany, ale zawierał datę rozpoczęcia prac i garść wiadomości na temat budowniczych. Gdybym wpierw nie przeczytał listów Dioyliona, nigdy bym nie skojarzył, o co chodzi, bo jak wspominałem, nie zawierał ani nazwy więzienia, ani imienia skazańca.

- Nie pojmuję, jak mogło ono istnieć bez mojej wiedzy -

powiedział Alric, kręcąc głową. - I skąd Arista o mm wie? I dlaczego chce, abym je znalazł?

- Myślałem, że już to ustaliłeś - przypomniał mu Hadrian. -

Chce cię zabić albo uwięzić.

- To bardziej mnie przekonuje niż spotkanie z tysiącletnim czarnoksiężnikiem - orzekł Royce.

- Być może - wymamrotał Alric - ale... - Wpatrzył się w ziemię, jakby na niej szukał odpowiedzi. W zamyśleniu stuknął

się palcem w usta. - Rozważcie taki

wariant: gdyby pragnęła mojej śmierci, po co miałaby wybierać takie dziwne miejsce? Mogła was wysłać do klasztoru, w którym czekałaby cała armia. Nikt by nawet nie usłyszał naszego krzyku. To zbędna komplikacja wlec mnie w odludne miejsce, o którym nikt nigdy nie słyszał. Po co by miała w ogóle wspominać o tym Esrahaddonie czy Gutarii?

- Teraz uważasz, że mówiła prawdę? - zapytał Royce. -

Myślisz, że tam naprawdę czeka na ciebie jakiś tysiąclatek?

- Nie wyciągałbym aż tak daleko idących wniosków, ale...

rozważcie możliwości, jeżeli taki człowiek naprawdę istnieje.

Wyobraźcie sobie, czego mógłbym się od niego dowiedzieć, od doradcy ostatniego imperatora.

Hadrian zachichotał.

- Zaczynasz mówić jak prawdziwy król.

- Może to z powodu ciepła albo zapachu gotujących się ziemniaków, ale rośnie we mnie ochota, by przekonać się, dokąd to wszystko prowadzi. Spójrzcie, burza cichnie.

Niedługo przestanie padać. A jeżeli Arista nie usiłuje mnie zabić? A jeśli tam naprawdę znajdę jakieś informacje na temat morderstwa naszego ojca?

- Twojego ojca zamordowano? - zapytał Myron. - Bardzo mi przykro.

Alric zignorował mnicha.

- Ciekawe, czy o tym więzieniu wiedział mój ojciec lub jego ojciec. Może żaden z Essendonów nie był świadkiem jego istnienia. Tysiąc lat to kilka wieków przed założeniem Melengaru. Więzienie zbudowano, kiedy na tych ziemiach toczyła się wielka wojna domowa, leżeli to możliwe, to chciałbym pomówić z tym Esrahaddonem. Każdy szlachcic w Apeladornie oddałby

lewe oko za możliwość spotkania z prawdziwym imperialnym doradcą. Mnich ma rację. Tyle wiedzy przypadło po upadku imperium, tak wiele rzeczy z czasem zapomniano.

Jaką wiedzę może posiadać Esrahaddon! Ile by przyniósł

korzyści młodemu królowi!

- Nawet jeżeli jest tylko duchem? - zapytał Royce.

- To nieprawdopodobne, aby w więzieniu na północ od tego jeziora od tysiąca lat żył człowiek.

- Jeśli duch umie mówić, to co za różnica?

- Ano taka, że bardziej mi się podobało, kiedy nie chciałeś tam iść - odrzekł Royce. - Myślałem, że Esrahaddon to jakiś wygnany przez twojego ojca baron, który zlecił wasze zabójstwo, albo może matka nieślubnego dziecka króla, twojego przyrodniego brata, którą uwięziono, aby milczała.

Ale to? To niedorzeczność!

- Nie zapominaj, że złożyliście obietnicę mojej siostrze. -

Alric się uśmiechnął. - A teraz jedźmy. Ziemniaki na pewno się już ugotowały. Chętnie zjadłbym wszystkie.

Royce znów spojrział na Alrica z wyrzutem.

- Nie martw się o nie - zaczął Myron. - Na pewno jest ich więcej w ogrodzie. Te znalazłem, kiedy wykopywałem... -

Urwał w pół zdania.

- Ja się nie martwię, braciszku, bo idziesz z nami

- oznajmił Alric.

- Co takiego?

- Widać, że masz dużą wiedzę. Przydasz się w wielu sytuacjach, w jakich możemy się znaleźć. Będziesz służył

swojemu królowi.

Myron utkwiał wzrok w księciu, szybko zamrugał i nagle pobladł.

- Przykro mi, aleja... nie mogę - odpowiedział łagodnie.

- Może tak rzeczywiście byłoby najlepiej - zwrócił się do niego Hadrian. - Nie powinieneś tu zostawać. Nadchodzi zima. Umrzesz z chłodu.

- Nie rozumiecie - zaprotestował mnich. Mówił z coraz większym niepokojem, kręcąc zdecydowanie głową. - Ja... nie mogę stąd odejść.

- Wiem, wiem. - Alric uniósł rękę, żeby go uspokoić. -

Masz do napisania te wszystkie książki. To piękne i szlachetne z twojej strony. Z całego serca popieram. Więcej ludzi powinno czytać. Mój ojciec gorąco wspomagał uczelnię w Sheridanie. Nawet posiał tam Aristę. Wyobrażasz sobie?

Dziewczyna na uniwersytecie! Ale zgadzam się z jego poglądami na edukację. Rozejrzyj się, człowieku! Nie masz pergaminu i prawdopodobnie brakuje ci atramentu. Jeśli napiszesz te tomy, to gdzie je będziesz przechowywał? Tutaj?

Nic ich nie ochroni przed deszczem i mrozem, a wiatr rozniesie je na cztery strony świata. Po wizycie w tym więzieniu odwiozę cię do Medfordu i dopilnuję, abys mógł

dokończyć dzieła. Dostaniesz odpowiednie skryptorium, może nawet kilku pomocników...

- To bardzo uprzejmie, ale nie mogę. Przykro mi. Nie rozumiesz...

- Doskonale rozumiem. Jesteś trzecim synem markiza Lanaklina, który odesłał cię z domu, aby uniknąć nieprzyjemnego obowiązku podzielenia swoich ziem. Jesteś niezwykły - uczony zakonnik z wyobraźnią ej-detyczną, a do tego szlachetnie urodzony. A skoro ojciec cię nie chce, mnie z pewnością byś się przydał.

- Nie - zaprzeczył Myron. - To nie o to chodzi.

- Więc o co? - spyta! Hadrian. - Siedzisz zziębnięty i przemoczony w tej kamiennej norze, opatulony jednym kocem, wyczekując wspaniałej uczyty złożonej z kilku gotowanych ziemniaków. Twój król proponuje, że urządzi cię jak ziemianina, a ty protestujesz?

- Nie chcę być niewdzięczny, ale... cóż, nigdy dotąd nie opuszczałem opactwa.

- Jak to? - zdziwił się Hadrian.

- Nigdy stąd nie wychodziłem, od kiedy przybyłem tu w wieku czterech lat.

- Ale chyba jeździłeś do Roe, wioski rybackiej? - spytał

Royce.

Myron pokręcił głową.

- Nie byłeś nigdy w Medfordzie? A co z najbliższą okolicą?

Musiałeś chodzić nad jezioro na ryby albo na spacer...

Myron znów zaprzeczył.

- Nigdy nie opuściłem terenu opactwa. Nie byłem nawet u podnóża wzgórza. Nie jestem pewien, czy potrafię stąd wyjść.

Na samą myśl o tym dostaję mdłości.

Myron sprawdził, czyjego habit już wysechł. Hadrian zauważył, że jego ręka drży, choć zakonnik na pewno w tej chwili nie marzył.

- To dlatego tak cię zafascynowały konie - domyślił się. -

Ale już kiedyś je widziałeś, prawda?

- Widywałem je z okien opactwa, gdy przy rzadkich okazjach przyjmowaliśmy gości. Nigdy jednak żadnego nie dotykałem. Zawsze mnie ciekawiło, jak się na nich siedzi.

Wszystkie książki opowiadają o tych zwierzętach, turniejach, walkach i pościgach. Jeden król, Be-thamy, kazał nawet pochować się razem ze swoim koniem. Jest wiele rzeczy, o których czytałem, a których nigdy nie widziałem. Na przykład kobiety. Też są bardzo popularne w książkach i wierszach.

Hadrian szeroko otworzył oczy.

- Nie widziałeś nigdy kobiety?

Myron pokręcił głową.

- Cóż, widziałem tylko rysunki, ale... Hadrian wskazał

kciukiem na Alrica.

- A ja myślałem, że to księcia trzymają pod kloszem.

- Ale spotykałeś się przynajmniej ze swoją siostrą

- zauważył Royce. - Bywała w opactwie.

Myron nic nie powiedział. Odwrócił wzrok, zdjął garnek z ognia i wyłożył ziemniaki na talerze.

- To znaczy, że widywała się tu z Gauntem i nigdy nawet nie próbowała się z tobą zobaczyć? - spytał Hadrian.

Myron wzruszył ramionami.

- Mój ojciec przyjechał zobaczyć się ze mną mniej więcej rok temu. Opat musiał mi powiedzieć, kto to jest.

- A więc nie uczestniczyłeś w ich spotkaniach?

- zdumiał się Royce.

- Nie! - wrzasnął Myron i kopnął pusty garnek, który poleciał na drugą stronę piwnicy. - Ja nic nie wiem o jakichś listach i mojej siostrze!

Przywarł plecami do ściany. Do oczu nabiegły mu łzy i z trudem łapał oddech. Nikt się nie odezwał, kiedy stał tak, nieruchomo, ściskając koc i wpatrując się w ziemię.

- Przepraszam - wyszeptał, ocierając twarz. - Nie powinienem na was krzyczeć. Wybaczcie. Nigdy nie widziałem mojej siostry i tylko raz spotkałem się z ojcem.

Kazał mi przysiąc milczenie. Nie wiem dlaczego.

Nacjonaści, rojaliści, imperialiści - nic mi na ten temat nie wiadomo - zakończył żałośnie.

- Myronie - zaczął Royce - nie przeżyłeś dlatego, że leżałeś pod kamiennym pulpitem, prawda?

Mnichowi znów napłynęły do oczu łzy, a usta zaczęły drżeć. Pokręcił głową.

- Na początku zmusili nas do patrzenia, jak bili opata do krwi - odpowiedział Myron więźnącym w gardle głosem. -

Chcieli się dowiedzieć o Alendzie i jakichś listach. W końcu powiedział im, że moja siostra wysyła wiadomości zawołowane w formie listów miłosnych, ale z nikim się nie spotyka. To był wymysł. Listy przekazywał mój ojciec, a odbierał je posłaniec z Medfordu. A kiedy dowiedzieli się o wizycie

mojego ojca, zaczęli mnie przesłuchiwać. - Myron przełknął ślinę i z trudem wziął oddech. - Ale nie zrobili mi krzywdy. Nawet mnie nie tknęli. Zapytali tylko, czy mój ojciec popiera rojali-stów i spiskuje z Melengarem przeciw Warric i Kościołowi. Chcieli wiedzieć, kto jeszcze jest w to zamieszany. Nie powiedziałem ani słowa. Nie miałem o tym zielonego pojęcia. Przysięgam. Ale mogłem skłamać: „Tak, mój ojciec jest rojalistą, a moja siostra to zdrajczyni!”. Nie zrobiłem jednak tego. Milczałem jak zakłęty. Wiecie dlaczego? - Myron spojrzał na nich, a po policzkach spływały mu łzy. - Bo ojciec kazał mi przysiąc milczenie. Patrzyłem w milczeniu, jak zamykają kościół na klucz. Patrzyłem w milczeniu, jak go podpalają. I w milczeniu słuchałem krzyków moich braci. To była moja wina. Pozwoliłem im umrzeć z powodu przysięgi, jaką złożyłem obcemu mi człowiekowi.

Myron zaczął płakać spazmatycznie. Osunął się po ścianie i skulił na ziemi, zakrywając rękami oczy.

Hadrian skończył podawać ziemniaki, ale Myron odmówił

jedzenia. Hadrian odłożył jego porcję na bok w nadziei, że może później mnich się posili. Gdy skończyli jeść, zakonnik włożył suchy już habit. Hadrian podszedł do niego i położył

mu ręce na ramionach.

- Ciężko mi to przyznać, ale księżę ma rację. Musisz z nami iść. Jeśli cię zostawimy, prawdopodobnie umrzesz.

- Ale ja... - Wyglądał na przestraszonego. - To jest mój dom.

Tu jestem u siebie. Tu są moi bracia.

- Wszyscy nie żyją - powiedział Alric bez ogródek i Hadrian spiorunował księcia spojrzeniem, a następnie zwrócił się do Myrona:

- Posłuchaj, nadszedł czas, abyś lepiej poznał życie. Na świecie jest wiele innych rzeczy poza książkami. I pewnie chętnie byś niektóre z nich zobaczył. Zresztą potrzebuje cię twój król. - Ostatnie słowo z wypowiedział sarkazmem.

Myron westchnął ciężko, przełknął ślinę i skinął

głową.

Deszcz zelżał, a w południe ustał. Po spakowaniu pergaminów i zapasów, jakie udało im się zebrać w zniszczonym opactwie, byli gotowi do drogi. Royce, Hadrian i Alric czekali przy bramie, ale Myrona nigdzie nie było widać. Wreszcie Hadrian poszedł go poszukać i znalazł w otoczonym osmalonymi arkadami ogrodzie, który dawniej stanowił główny dziedziniec klasztoru. Po obu stronach wyłożonej kamieniami ścieżki, którą teraz pokrywała warstwa popiołu, widać było pozostałości po klombach i krzewach. W

środkowym punkcie klasztoru na piedestale stał duży zegar słoneczny. Hadrian wyobrażał sobie, że przed pożarem klasztor musiał być piękny.

- Boję się - odezwał się Myron, kiedy Hadrian do niego podszedł.

Siedział na poczerńiałej ławce. Z łokciami wspartymi na kolanach i podbródkiem spoczywającym na dłoniach wpatrywał się w spalony trawnik.

- To na pewno wydaje ci się dziwne - ciągnął. - Ale tutaj wszystko znam. Mógłbym ci powiedzieć, z ilu kamiennych bloków składa się ten chodnik albo skryptorium. Lub ile szyb było w opactwie. Znam też dzień i porę dnia, kiedy słońce góruje w zenicie nad kościołem. Mogę ci opowiedzieć, jak brat Ginlin jadał dwoma widelcami, bo ślubował, że nigdy nie tknie noża, a brat Heslon zawsze pierwszy wstawał i zasypiał

na nieszporach. - Wskazał poczerńiałą kikut drzewa. - Razem z bratem Renianem pochowałem tam wiewiórkę, kiedy mieliśmy dziesięć lat. W następnym tygodniu drzewo zakwitło. Wiosną wypuściło białe kwiaty i nawet opat nie wiedział, jaki to gatunek. Wszyscy więc nazywali je Drzewem Wiewiórki. Pomyśleliśmy, że to cud, że być może wiewiórka była sługą Maribora, który nam podziękował za to, że tak się zatroszczyliśmy o jego przyjaciela. - Umilkł na chwilę i otarł

rękawem twarz. Odwrócił wzrok od pniaka i spojrzał jeszcze raz na Hadriana. - Mógłbym ci opisać, jak zimą śnieg podchodził aż pod okna na drugim piętrze i wydawało się nam, że sami jesteśmy wiewiórkami żyjącymi w przytulnym gniazdku, w bezpiecznym ciepełku. I każdy z nas w czymś się specjalizował. Ginlin robił wino takie lekkie, że parowało na języku, pozostawiając jedynie posmak cudu. Fenitilian szyi najcieplejsze, najmiększe buty. Można było chodzić w nich po śniegu i nie zauważyć, że się wyszło na dwór. Nazwanie Heslona mianem kucharza to obraza. Przyrządzał parującą jajecznicę z dodatkiem serów, papryk, cebul i boczku, polewając całość lekko

pikantnym sosem śmietanowym. Po tym serwował słodki chleb z polewą miodowo-cynamonową, wędzoną wieprzowinę, kielbaski salifanowe, puszyste pieczywa, świeżo ubite masło i dzbanek ciemnej herbaty miętowej. A to było dopiero śniadanie. - Myron się uśmiechnął z przymkniętymi oczami i wyrazem rozmarzenia na twarzy.

- Czym się zajmował Renian? - spytał Hadrian. - Ten, z którym pochowałeś wiewiórkę?

Myron otworzył oczy, ale zwlekał z odpowiedzią. Znow spojrzał na kikut drzewa.

- Renian zmarł w wieku dwunastu lat - powiedział cicho. -

Dostał febry. Pochowaliśmy go przy tym drzewie. To było jego ulubione miejsce na świecie. - Przerwał, oddychając nierówno. Zmarszczył czoło i zacisnął usta. - Od tamtej chwili nie było dnia, żebym mu nie powiedział „dzień dobry”.

Zwykle siadałem tu i opowiadałem mu, jak się miewa jego drzewo. Ile wypuściło nowych pąków albo kiedy pożółkł lub spadł pierwszy liść. Przez kilka ostatnich dni kłamałem, bo nie miałem siły mu powiedzieć, że drzewa już nie ma. - Kiedy spojrzał na pień, z oczu poleciały mu łzy, a usta zadrżały. -

Od samego rana próbuję się z nim pożegnać. Usiłuję... -

przerwał, żeby otrzeć oczy. - Usiłuję wyjaśnić, dlaczego muszę go opuścić, ale Renian ma dopiero dwanaście lat i nie sędzę, żeby to zrozumiał. - Ukrył twarz w dłoniach i zatkał.

Hadrian uścisnął j ego ramię.

- Zaczekamy na ciebie przy bramie. Nie musisz się spieszyć

- zapewnił, ale gdy wynurzył się z ruin, Alric warknął do niego:

- Czemu to, u licha, tak piekielnie długo trwa? Jeżeli ma sprawiać tyle kłopotu, to lepiej go zostawić.

- Nie zostawimy i zaczekamy tyle, ile będzie trzeba -

oznajmił Hadrian.

Alric i Royce wymienili spojrzenia, ale żaden się nie odezwał.

Myron dołączył do nich zaledwie po kilku minutach. Niósł

małą torbę z całym swoim dobytkiem i choć był

przygnębiony, trochę się rozpogodził na widok koni.

- O rany! - wykrzyknął.

Hadrian chwycił go za rękę jak dziecko i zaprowadził do swojej srokatej klaczy. Koń, którego masywne ciało kiwało się do przodu i do tyłu, kiedy zwierzę przenosiło ciężar z nogi na nogę, spojrzał na Myrona dużymi ciemnymi oczami.

- Czy konie gryzą?

- Zwykle nie - odparł Hadrian. - Możesz go poklepać po karku.

- Jest... taki wielki - stwierdził Myron z panicznym strachem widocznym na twarzy. Przysunął rękę do ust, jakby miał

mdłości.

- Proszę, po prostu wsiądź, Myronie. - W głosie Al-rica słychać było irytację.

- Nie zważaj na niego - powiedział Hadrian. - Możesz siedzieć za mną. Wsiądem pierwszy i cię podciągnę, dobrze?

Myron potaknął głową, ale wcale nie wyglądał na przekonanego do tego pomysłu.

Hadrian dosiadł wierzchowca i wyciągnął rękę. Mnich przymknął oczy i podał mu dłoń. Usadowiwszy się już na grzbiecie konia, mocno objął Hadriana i przycisnął twarz do jego szerokich pleców.

- Nie zapomnij o oddychaniu - zażartował Hadrian i ruszył

krętym szlakiem w dół.

Poranek był chłodny i choć w końcu się ociepliło, nie było tak przyjemnie jak poprzedniego dnia. Zjechali do doliny i skierowali się do jeziora. Wszystko było jeszcze mokre od deszczu i kiedy pokonywali pola wysokiej zbrązowiałej trawy, nogi przemokły im do kolan. Wiatr od północy wiał im prosto w twarz. Gdy nad głowami rozległ się krzyk dzikich gęsi przelatujących w kluczu na tle szarego nieba, Myron w końcu przezwyciężył strach i uniósł głowę, żeby się rozejrzeć.

- Dobry Mariborze, nie miałem pojęcia, że trawa rośnie tak wysoko. A drzewa są takie duże! Widziałem obrazki z drzewami o takich rozmiarach, ale zawsze myślałem, że artyści nie umieli dobrze oddać proporcji.

Zaczął się kręcić w lewo i prawo, żeby lepiej wszystko widzieć, i Hadrian zachichotał.

- Myron, wiercisz się jak szczeniak.

Jezioro Windermere przypominało zbiornik szarego metalu położony u podnóża jałowych wzgórz. Choć był to jeden z największych akwenów w Avrynie, dużą jego część zasłaniały urwiska wcinające się w taflę wody. Jego olbrzymia powierzchnia wyglądała na zimną i pustą. Z wyjątkiem kilku ptaków nic się nie poruszało w przybrzeżnych rozpadlinach.

Dotarli do niego od zachodu. Tysiące wygładzonych przez wodę otoczków tworzyły dość łatwą do pokonania płaszczyznę, po której stąpali, słuchając cichego plusku wody.

Zrywająca się co jakiś czas ulewa przesuwiała się po powierzchni jeziora, a horyzont za nią stawał się wtedy rozmazany.

Jak zwykle prowadził ich Royce. Gdy dotarli do północnej części jeziora, znalazł szczątkowe ślady bardzo starego i zapomnianego traktu wiodącego w widoczne w oddali góry.

Zakonnik przestai się wiercić i siedział teraz w takim bezruchu za Hadrianem, że ten się zaniepokoił.

- Myron, nic ci nie jest? - spytał.

- Mhm? Przepraszam. Obserwowałem chód koni.

Przyglądam im się od kilku kilometrów. To fascynujące zwierzęta. Wydaje się, że stawiają tylne stopy dokładnie w tych miejscach, w których chwilę wcześniej znajdowały się ich przednie stopy. Choć przypuszczam, że to wcale nie są stopy, prawda? Kopyta! No właśnie! To są kopyta! „Enylina”

w starej mowie.

- Starej mowie?

- To starożytny język imperialny, praktycznie martwy.

Obecnie poza duchowieństwem zna go niewielu ludzi, ale nawet w dawniej używano go tylko podczas nabożeństw.

Hadrian poczuł, jak Myron opiera mu głowę na plecach, i przez pozostałą część drogi pilnował, żeby mnich nie zasnął i nie spadł z konia.

*

Skręcili, oddalając się od jeziora. Wjechali w szeroki parów, który wraz z wysokością stawał się coraz bardziej kamienisty.

Im dłużej jechali, tym wyraźniej Alric widział, że musiał to być kiedyś trakt. Ścieżka była zbyt gładka jak na całkowicie naturalny twór, choć znaczyły ją pęknięcia od uderzeń spadających skał, a z powstałych w ten sposób szczelin wyrastały chwasty. Stulecia zebrały swoje żniwo, ale pozostał niewielki ślad czegoś prastarego i zapomnianego.

Alric pomimo zimna, przelotnych opadów deszczu i dziwnych okoliczności nie był aż tak nieszczęśliwy, jak utrzymywał. Podróż ta przepełniała go niezwykłym spokojem. Zazwyczaj raczej nie zdarzało mu się wędrować tak słabo przygotowanym do surowych warunków pogodowych, ale właśnie ta nietypowość sytuacji go urzekała.

Głęboka cisza, przyćmione światło, miarowy stukot końskich kopyt - wszystko przywodziło mu na myśl przygodę, jakiej jeszcze nigdy nie przeżył, .lego wszelkie eskapady, nawet wyglądające na śmiałe, były zawsze zaplanowane i zorganizowane z udziałem służących. Nigdy nie był zdany na samego siebie - i nigdy nie był tak naprawdę w niebezpieczeństwie.

Gdy się ocknął związany na łodzi, wpadł we wściekłość. Do tej pory nikt nie potraktował go tak obcesowo. Za uderzenie członka rodziny królewskiej karano śmiercią i dlatego większość ludzi starała się nawet go nie dotykać. Skrępowanie było dla niego w najwyższym stopniu poniżające. Ale nigdy nie przyszło mu do głowy, że może mu się stać jakaś krzywda. Z jakiegoś powodu oczekiwał, że lada chwila zostanie oswobodzony. Nadzieja ta jednak zgasła, kiedy się zagłębili w leśne ostępy w drodze nad Windermere.

Mówił poważnie, kiedy stwierdził, że to była najgorsza noc w jego życiu. Ale nazajutrz rano, kiedy deszcz zelżał, a on sam zjadł posiłek, chwycił drugi oddech. Perspektywa odnalezienia tajemniczego więzienia i jego legendarnego pensjonariusza nęciła prawdziwą przygodą. To najbardziej zaprzętało jego myśli - usiłował utrzymać się przy życiu i ustalić tożsamość zabójcy, a dzięki temu nie rozpamiętywał

śmierci ojca.

Czasami tylko, gdy towarzysze podróży dłużej milczeli, wracał wyobraźnią do tego tragicznego wydarzenia. Znów stał

w królewskiej alkowie i patrzył na bladą twarz ojca oraz kropelkę zaschniętej krwi w kącie jego

ust. Spodziewał się, że coś poczuje, że

się rozplącze, ale nic takiego się nie stało. Nic nie czuł i zastanawiał się, co to oznacza.

W zamku wszyscy na pewno chodzą w czerni, a korytarze wypełnia szloch - tak było po śmierci jego matki. Wydawało się, że przez ponad miesiąc nie świeciło słońce. Poczuł

prawdziwą ulgę, niemal szczęście, kiedy okres żałoby dobiegł

końca, jakby zdjęto z niego straszliwy ciężar. I tak właśnie by było teraz, gdyby znajdował się w zamku - widziałby poważne, zapłakane twarze, a kapłani podaliby mu świecę, z którą powinien obchodzić trumnę, podczas gdy oni recytowałiby modlitwy. Robił to w dzieciństwie i nie cierpiał

tęgo. Cieszył się więc, że nie jest teraz na zamku i nie tonie w studni smutku, którego nikt nie potrafiłby ukoić. Jutro się tym zajmie. Dziś odczuwał wdzięczność za to, że jest na odległym szlaku w towarzystwie tych ludzi o znikomym znaczeniu.

Royce zatrzymał konia. Księżę był tuż za nim, Hadrian i Myron zaś zostali z tyłu, gdyż ich wierzchowiec musiał

dźwigać podwójny ciężar.

- Dlaczego stajemy? - spytał Alric.

- Wjeżdżamy na płaski teren, więc prawdopodobnie jesteśmy blisko. Zapomniałeś, że ktoś może nas ścigać?

- Nie - odparł księżę. - Jestem w pełni tego świadomy.

- Świetnie, zatem powodzenia, Wasza Królewska Mość -

powiedział Royce.

Alric był zaskoczony.

- Nie jedzicie ze mną?

- Twoja siostra prosiła, abyśmy cię dowieźli tylko do tego miejsca. Jeśli chcesz się dać zabić, to twoja sprawa. My wypełniliśmy swój obowiązek.

Alric od razu poczuł się głupio z powodu wcześniejszej myśli o małym znaczeniu tych obcych mu ludzi. Nie mógł

sobie pozwolić na ich utratę, bo nie zdołałby nigdy odnaleźć drogi powrotnej.

- A zatem - oznajmił po chwili namysłu - to doskonały moment, aby ogłosić, że oficjalnie nadaję tobie i Hadrianowi tytuł królewskich obrońców. Przekonałem się, że nie usiłujecie mnie zabić, od tej

chwili więc będziecie odpowiedzialni za życie swojego króla.

- Doprawdy? Jakie to uprzejme z twojej strony, Wasza Wysokość. - Royce wyszczerzył zęby w uśmiechu. - A zatem to doskonały moment, aby ogłosić, że nie służę królom.

Chyba że mi zapłacą.

- Tak? - Alric uśmiechnął się kwaśno. - Rozważ to z takiej strony: jeżeli przeżyję i wrócę na zamek Essendonów, z radością odwołam waszą egzekucję i puszcę w niepamięć bezprawne wtargnięcie do mojej siedziby. Gdybym jednak tu zginął lub został osadzony na zawsze w tym więzieniu, nigdy nie wrócicie do Medfordu. Mój wuj już was okrzyknął

największymi mordercami w królestwie. I choć może sprawiać wrażenie starszego dżentelmena, to - wierzcie mi -

poznałem jego mroczną stronę i powiem tylko, że potrafi budzić strach. To najlepszy szermierz w Melengarze.

Wiedzieliście o tym? Jeżeli zatem nie wystarcza wam sama lojalność wobec władcy, weźcie pod uwagę praktyczne korzyści wynikające z utrzymania mnie przy życiu.

- Zdolność przekonywania innych, że życie króla jest warte więcej niż ich własne, musi być warunkiem wstępnym piastowania tej godności.

- Nie jest warunkiem wstępnym, ale z pewnością pomaga -

odparł Alric z szerokim uśmiechem.

- To cię będzie kosztować - oznajmił Royce i księżę natychmiast spoważniał. - Powiedzmy, sto złotych tenentów.

- Sto? - zaprotestował Alric.

- Wyceniasz swoje życie na mniej? Zresztą tyle obiecał

DeWitt, więc kwota wydaje się uczciwa. Ale jest jeszcze jedna rzecz. Jeżeli mamy dbać o twoje bezpieczeństwo, będziesz musiał wykonywać moje polecenia. W przeciwnym razie nie zdołam cię ochronić.

Alric się zachnął. Nie podobał mu się sposób, w jaki go traktowano. Powinni się czuć zaszczytzeni wykonywaniem jego rozkazów, a ten człowiek, zamiast okazać mu wdzięczność za to, że uznał jego niewinność, domagał się zapłaty. Czegóż jednak mógł się spodziewać po złodziejach.

- Każdy dobry władca rozumie, że czasami należy słuchać mądrych doradców. Pamiętajcie tylko, kim jestem i kim będę po powrocie do Medfordu.

Kiedy Hadrian i mnich zrównali się z nimi, Royce oznajmił:

- Właśnie awansowaliśmy na królewskich obrońców.

- To lepiej płatne? - zapytał przyjaciel.

- Właściwie tak. A przy tym lżejsze. Oddaj księciu broń.

Hadrian podał Alricowi olbrzymi miecz Amratha, a ten włożył na ramię szeroki skórzany pas i przyczepił go do niego.

- Kapitan straży odpiął go ojcu i przekazał mi. Aż trudno uwierzyć, że od tej chwili minęły zaledwie dwa dni. Ten miecz należał do Tolina Essendona. Od siedmiu wieków królowie przekazują go synom. Jesteśmy jednym z najstarszych rodów w Avrynie.

Miecz był za długi dla niego i księżę czuł się trochę głupio, ale pomyślał, że przynajmniej teraz, ubrany i na grzbiecie konia, już nie wygląda z nim tak niedorzecznie.

Royce zeskoczył na ziemię i podał swoje wodze Hadrianowi.

- Pójdę na zwiad i upewnię się, czy nie czekają tam na nas niespodzianki.

Puścił się w dół zadziwiająco szybkim biegiem i niebawem zniknął w cieniu wąwozu.

- Jak on to robi? - spytał Alric.

- Aż ciarki przechodzą, prawda? - odrzekł Hadrian.

- O czym mówicie? - zapytał Myron, przyglądając się bazi, którą zerwał nad wodą. - Nawiasem mówiąc, te rośliny są cudowne.

Po kilku minutach usłyszeli śpiew ptaka i Hadrian rozkazał

ruszać naprzód. Szlak wił się zygzakiem i po pewnym czasie znów ujrzeli jezioro. Było daleko w dole i wyglądało jak duża błyszcząca kałuża. Droga zaczęła się zwężać, aż w końcu się urwała. Po bokach wznosiły się łagodne stoki wzgórz, ale przed sobą zobaczyli stromą ścianę skalną biegnącą kilkaset metrów w górę.

- Źle trafiliśmy? - zapytał Hadrian.

- To ma być ukryte więzienie - przypomniał im Alric.

- Zakładałem - sprecyzował Hadrian - że „ukryte” oznacza właśnie takie odludzie. No bo gdybyście nie wiedzieli, że tu jest więzienie, to czy przyjeżdżalibyście w takie miejsce?

- Jeżeli jest ono dzieleni najtęższych umysłów schyłku imperium - orzekł księżę - prawdopodobnie trudno będzie je znaleźć, a jeszcze trudniej wejść do środka.

- Według legend głównymi konstruktorami były krasnoludy

- objaśnił Myron.

- Ślicznie - stwierdził z przekąsem Royce. - Zapowiada się kolejny Drumindor.

- Kilka lat temu mieliśmy kłopoty z dostaniem się do zbudowanej przez krasnoludy fortecy w Tur Del Fur -

wyjaśnił Hadrian. - Lepiej się tu rozgościmy, bo to może potrwać.

Royce obejrzał urwisko. Podczas gdy wszystkie ściany były popękane i porośnięte mchem oraz małymi roślinami, ściana klifu była gładka i czysta, jakby niedawno odcięto od niej kamienny blok.

- Wiem, że tu są drzwi - powiedział złodziej, przesuwając dłońmi po skale. - Przeklęte krasnoludy. Nie widzę żadnego zawiasu, pęknięcia ani szwu.

- Myronie - zapytał Alric - czy natrafiłeś na wzmiankę o tym, jak otworzyć te drzwi? Słyszałem opowieści o tym, że krasnoludy kochają zagadki. Że często ich budowle otwierają klucze z dźwięków.

Myron pokręcił głową, zsiadając z konia.

- Słowa, które otwierają drzwi? - Royce spojrzał

sceptycznie na księcia. - Słuchasz bajek?

- A te niewidzialne drzwi to jak nazwać, jeśli nie bajką? -

odrzekł Alric. - Nie widzę w tym żadnej przesady.

- Nie są niewidzialne. Przecież widać urwisko, prawda? Są po prostu dobrze ukryte. Krasnoludy umieją ciąć kamień z taką precyzją, że nie widać szczeliny.

Hadrian się uśmiechnął.

- Royce nie przepada za tym małym ludkiem.

- Otwórzcie się w imię Novrona! - krzyknął nagle Alric rozkazującym tonem, a jego głos odbił się echem od skał.

Royce odwrócił się na pięcie i utkwiał w księciu mordercze spojrzenie.

- Nigdy więcej tego nie rób!

- Cóż, twoje postępy były mizerne. Pomyślałem, że skoro to było kościelne więzienie, to może zadziała tu religijny rozkaz.

Myronie, czy istnieje jakaś standardowa religijna formułka otwierająca drzwi? Powinieneś coś o tym

wiedzieć.

- Nie jestem kapłanem Nyphrona. Wichrowe Opactwo było klasztorem Maribora.

- Racja - przyznał Alric z rozczarowaną miną.

- Ale znam Kościół Nyphrona - dodał Myron. - Tylko żadnych jego sekretnych kodów czy haseł.

- Naprawdę? - zdziwił się Hadrian. - Myślałem, że zakon to jakby biedniejszy młodszy brat Kościoła Nyphrona.

Myron się uśmiechnął.

- Jeżeli już, to starszy, choć biedniejszy brat. Imperatora Novrona zaczęto czcić stosunkowo niedawno, kilka dekad po jego śmierci.

- A więc wy, mnisi, czcicie Maribora, a nyphronczycy Novrona?

- Mniej więcej - potwierdził zakonnik. - Wyznawcy Nyphrona też wierzą w Maribora, tylko że kładą większy nacisk na Novrona. Główna różnica tkwi w tym, czego się szuka. My wierzymy w osobiste oddanie Mariborowi -

rozpoznawanie jego woli w spokojnych miejscach. To właśnie w tej ciszy przemawia do nas w naszych sercach poprzez prastare rytuały. Staramy się lepiej go poznać. Z kolei członkowie Kościoła Nyphrona usiłują zrozumieć wolę Maribora. Wierzą, że narodziny Novrona świadczą o tym, iż Maribor chce mieć bezpośredni wpływ na losy ludzkości. I dlatego bardzo angażują się w politykę. Znasz historię Novrona, prawda?

Hadrian zacisnął usta.

- Mhm... Był pierwszym imperatorem i pokonał elfy w jakiejś starej wojnie. Nie wiem tylko, czemu to czyni z niego boga.

- Właściwie nim nie jest.

- To dlaczego czci go tylu ludzi?

- Wierzą, że Novron jest synem Maribora i został przysłany po to, aby nam pomóc w najczarniejszej godzinie. Jest sześcioro bogów. Erebus jest ojcem wszystkich i to On stworzył Elan. Wydał na świat trzech synów i córkę.

Najstarszy syn, Ferroł, to mistrz magii, który stworzył elfy.

Drugi syn to Drome, mistrz rzemiosła, który stworzył

krasnludy. Najmłodszym jest Maribor, który oczywiście stworzył człowieka. Zwierzęta, ptaki i ryby

w morzu stworzyła córka Erebusa, Muriel.

- To pięcioro.

- Tak, jest jeszcze Uberlin, syn Erebusa i Muriel.

- Bóg ciemności - wtrącił Alric.

- Tak, słyszałem o nim. Ale chwileczkę, mówisz, że ojciec spłodził dziecko z własną córką?

- To była straszna pomyłka - wyjaśnił Myron. - Erebus zgwałcił Muriel w pijackim szale. Z tego związku zrodził się Uberlin.

- Na spotkaniach rodzinnych musiała panować skrepowana atmosfera, gwałt na własnej córce i tak dalej... - stwierdził

Hadrian.

- Właśnie. Z tego powodu Ferrol, Drome i Maribor zabili Erebusa. Gdy Uberlin próbował go bronić,

wszyscy trzej zwrócili się przeciwko niemu i pojмали siostrzeńca - a może brata? Właściwie chyba i tego, i tego prawda? W każdym razie uwięzili go w czeluściach Elanu.

Choć Uberlin był dzieckiem gwałtu, Muriel rozpacziała po jego stracie i nie chciała już więcej rozmawiać z braćmi.

- A więc wracamy do pięciorga bogów.

- Niezupełnie. Wielu ludzi wierzy, że bogowie są nieśmiertelni i nie mogą umrzeć. Według wyznawców niektórych kultów Erebus wciąż żyje i wędruje po Elanie pod postacią człowieka szukającego przebaczenia za swoją zbrodnię.

Zapadał zmrok i wznagał się wiatr zwiastujący kolejną burzę. Konie robiły się niespokojne, więc Hadrian poszedł

sprawdzić, czy są dobrze przywiązane. Alric wstał i chodził

bez celu, rozcierając sobie nogi i mamrocząc coś o obolałym siedzeniu.

- Myron?! - zawołał Hadrian. - Chciałbyś mi pomóc w ich rozsiedlaniu?! Zbyt szybko to my stąd nie wyjedziemy.

- Oczywiście - zgodził się mnich ochoczo. - Co mam robić?

Razem wyswobodzili zwierzęta z siodła i pakunków, a ekwipunek ułożyli pod małą skalną półką. Ponieważ Myron co jakiś czas zdobywał się na odwagę, by pogłaskać wierzchowce po karku, Hadrian zaproponował mu, by narwał

dla nich trawy, a sam podszedł porozmawiać z Royce'em.

Wspólnik siedział na ścieżce i wpatrywał się w kłit. Co jakiś czas wstawał, dokładnie oglądał kawałek ściany, po czym znów siadał, mrużąc coś pod nosem.

- Jak idzie?

- Nienawidzę krasnoludów - odparł Royce.

- Jak większość ludzi.

- Tak, aleja mam powód. Tylko te dranie potrafią robić skrzynki, których nie umiem otworzyć.

- Otworzysz te drzwi. Nie pójdzie to larwo i nie stanie się szybko, aleje otworzysz. Nie rozumiem tylko dlaczego Arista nas tu przysłała, wiedząc, że sami nie zdołamy wejść?

- Gdybym znalazł choć pęknięcie... - narzekał w odpowiedzi sfrustrowany Royce - Ale jak mam otworzyć zamek, skoro nie mogę nawet znaleźć drzwi?

Hadrian klepnął go uspokajająco w ramię, po czym podszedł do Alrica siedzącego pod urwiskiem w towarzystwie Myrona, który skończył już karmić konie

- Są już jakieś efekty? - spytał księżę z odrobiną poirytowania w głosie.

- Na razie żadnych, ale trzeba dać mu czas. Royce to rozgryzie. Po prostu musi mieć trochę spokoju - odrzekł

Hadrian i spojrzał na Myrona. - Zastanawiam się nad tym, co mi wcześniej powiedziałaś. Skoro Uberlin jest uważany za boga, to dlaczego Novron nie? W końcu obaj są dziećmi bogów, tak?

- Nie. Technicznie biorąc, Novron jest pół bogiem pół

człowiekiem. Został wysłany przez Maribora żeby Coz, pozwól, że się trochę cofnę. Ferrol był najstarszy i kiedy stworzył elfy, te się rozprzestrzeniły aczkolwiek powoli, na cały Elan. Drome dał swoim dzieciom panowanie nad podziemnym światem. Tym samym dla dzieci Maribora nie było już miejsca. Ludzkość musiała bardzo się starać, żeby przeżyć w najnędniejszych zakamarkach, jakie nam pozostawiono.

-A więc elfy otrzymały wszystkie najlepsze miejsca a nam zostały ochłapy? To niesprawiedliwe - stwierdził Hadrian.

Cóż, naszym przodkom też się to nie podobało. Nie mówiąc już o tym, że ludzie się rozmnażają znacznie szybciej od elfów, które żyją znacznie dłużej. Zrobiło się tłoczno, a sytuacja jeszcze się pogorszyła po wypędzeniu krasnoludów na powierzchnię.

- Kto ich wypędził?

- Pamiętasz, że bogowie uwięzili Uberlina w podziemnym świecie? Cóż, stworzył on własną rasę, tak jak Drome, Maribor i Ferrol.

-Ach... chochliki. Rozumiem, czemu w podziemnym świecie zrobiło się nieprzyjemnie.

- Właśnie. I nasi przodkowie znaleźli się w trudnym położeniu z powodu coraz większej ich liczby i wyjścia krasnoludów na powierzchnię. Dlatego poprosili Maribora o pomoc. Ten wysłuchał ich błagań i namówił Drome'a do wykucia wielkiego miecza Rhelacana. Polem przekonał

drugiego brata, Ferroła, do zaczarowania go. Potrzebował

jedynie wojownika, który będzie nim władał, więc przybył do Elanu w przebraniu i legi w łożu ze śmiertelniczką. Z tego związku zrodził się Novron Wielki, który zjednoczył

wszystkie plemiona ludzkości i poprowadził je w wojnie z elfami. Uzbrojony w Rhelacan zwyciężył i tak rozpoczęła się era dominacji ludzi pod wodzą Novrona.

- W porządku, to ma sens, ale kiedy zaczęliśmy czcić Novrona jako boga?

- Po jego śmierci. W celu złożenia mu hołdu jako zbawcy ludzkości ustanowiono Kościół Nyphrona, a głoszone przez niego przekonania stały się oficjalną religią imperium. Ale z dala od Percepliauis ludzie żyli jak dawniej i pamiętali stare obyczaje. Jak zawsze więc czcili Maribora.

- Chodzi o was, mnichów Maribora?

Myron skinął głową.

W trakcie ich rozmowy niebo zakryły burzowe chmury i w wąwozie zrobiło się prawie zupełnie ciemno. Na przełęczu zaczął hulać wiatr, wzbijając w powietrze kurz, i okolica sprawiała wrażenie nierealnej. W oddali rozległ się grzmot.

- Jak idzie z drzwiami, Royce? - spytał Hadrian. Siedział

płasko na ziemi, oparty plecami o ścianę urwiska, i stukał

czubkami butów o siebie. - Wygląda mi na to, że czeka nas kolejna zimna i mokra noc, tylko że tym razem nie mamy schronienia.

Royce wymamrotał coś pod nosem.

W dole powierzchnia jeziora lśniła niczym lustro ustawione naprzeciwko nieba. Co pewien czas rozświeślały ją eksplodujące w dali błyskawice.

Royce znów coś mruknął.

- O co chodzi? - spytał Hadrian.

- Zastanawiam się nad czymś, co wcześniej powiedziałeś.

Czemu Arista miałaby nas tu przysłać, skoro wiedziała, że nie zdołamy wejść? Musiała więc myśleć, że zdołamy. Pewnie dla niej było to oczywiste.

- Może chodzi o magię - zasugerował Alric, owijając się szczelniej peleryną.

- Ani słowa więcej na temat zaklęć - ostrzegł go Royce. -

Zamki to mechanizmy. Wierz mi, coś o tym wiem.

Krasnoludy są bardzo sprytnie i bardzo zręczne, ale nie robią drzwi otwieranych za pomocą słowa.

- Wspomniałem o takiej możliwości, bo Arista trochę się na tym zna.

- Na czym się zna? - spytał Hadrian.

- Na magii.

- Twoja siostra jest czarodziejką? - zaniepokoił się Myron.

Alric się roześmiał.

- Można tak powiedzieć. Przez kilka lat studiowała teorię magii na uniwersytecie w Sheridanie. Nic wielkiego, ale nauczyła się kilku rzeczy. Na przykład magicznie zamyka na klucz drzwi do swojej komnaty i myślę, że to przez nią hrabina Amril się kiedyś rozchorowała po kłótni o jakiegoś chłopaka. Biedna Amril chodziła przez tydzień z czyrakami.

Royce spojrzał na Alrica.

- Jak to „magicznie zamyka na klucz” swoje drzwi?

- Choć nie mają zamka, tylko ona potrafi je otworzyć.

- Widziałeś kiedyś, jak to robi? Alric pokręci! głową.

- Żałuję, ale nie.

- Myron - zwrócił się Royce do mnicha - czy kiedykolwiek czytałeś o niezwykłych zamkach albo kluczach? Lub krasnoludach?

- Jest taka opowieść o Iberiusie i olbrzymie, w której Iberius używa wykutego przez krasnoludy klucza do otwarcia skrzyni ze skarbami olbrzyma, ale to zwykły klucz. Mit zapomnianych zaś wspomina o kołnierzu Liema, który nie chciał się otworzyć dopóty, dopóki nosząca go osoba żyła, ale to chyba nie na wiele się tu zda, prawda? Hm... Niech pomyślę... Może tu chodzi o klejnotozamki.

- Co takiego?

- Też nie są magiczne, ale wynalazły je krasnoludy.

Oddziałują na inne kamienie, wytwarzając delikatne drgania.

Klejnotozamki na ogół stosuje się wtedy, gdy do szkatułki musi mieć dostęp wielu ludzi. Potrzebny jest wtedy jedynie odpowiedni kamień. W wypadku

szczególnie cennej zawartości zamkowi nadawano konkretny szlif modyfikujący rezonans. Wybitnie uzdolnieni rzemieślnicy tworzyli zmieniające się zamki, które otwierano różnymi klejnotami w zależności od pory roku. W ten sposób zaczęto wierzyć w kamienie talizmany dysponujące różną mocą w poszczególnych miesiącach. Ja...

- O to właśnie chodzi - wtrącił Royce.

- O co? - spytał Alric.

Royce wyjął z kieszeni na piersi ciemnoniebieski pierścień.

Alric zerwał się na nogi.

- To pierścień mojego ojca! Oddawaj!

- Proszę - powiedział Royce, rzucając go w stronę księcia. -

Twoja siostra kazała ci go oddać po dotarciu na miejsce.

- Naprawdę? - zdziwił się Alric.

Włożył go, a pierścień - podobnie jak miecz - niezupełnie mu pasował. Obrócił się na palcu pod wpływem ciężaru klejnotu.

- Myślałem, że go zabrała. Jest na nim królewska pieczęć.

Mogłaby go użyć do zwołania szlachciców, ustanowienia prawa lub ogłoszenia siebie namiestniczką. Z nim mogłaby przejąć kontrolę nad wszystkim.

- Może jednak mówiła prawdę - zasugerował Hadrian.

- Nie wyciągajmy pochopnych wniosków - przestrzegł ich Royce. - Przede wszystkim sprawdźmy, czy to zadziała.

Arista mówiła, że bez pierścienia nie wejdiesz do środka.

Myślałem, że chodziło jej o potwierdzenie twojej tożsamości, ale jej słowa należy chyba rozumieć dosłownie. Jeśli się nie mylę, dotknięcie ściany pierścieniem otworzy ogromne wrota.

Zebrali się wokół Alrica w oczekiwaniu na niezwykle wydarzenie.

- Śmiało, Alricu, do dzieła.

Książę obrócił sygnet na palcu klejnotem do góry, zacisnął

dłoń w pięść i przyłożył ją do ściany. W tym momencie jego dłoń zaczęła zagłębiać się w skale. Wzdrygnął się i cofnął z krzykiem.

- Co się stało? - zapytał Royce. - Bolało?

- Nie, poczułem zimno, ale właściwie nie dotknąłem skały.

- Spróbuj jeszcze raz - zachęcił go Hadrian. Alricowi nie podobała się ta propozycja, ale skinął

głową. Tym razem wsunął rękę głębiej i pozostali obserwowali, jak cała jego pięść aż do nadgarstka ginie w kamieniu.

- Fascynujące - wymamrotał Royce, dotykając litej skały. -

Tego się nie spodziewałem.

- To znaczy, że musi wejść sam? - spytał Hadrian.

- Nie uśmiecha mi się wchodzenie tam w pojedynkę -

oznajmił Alric ze strachem w głosie.

- Może nie masz wyboru - odrzekł Royce - jeśli wciąż chcesz porozmawiać z czarnoksiężnikiem. Ale jeszcze nie rezygnujmy. Daj mi pierścień na chwilę.

Pomimo wcześniejszych obaw Alric oddał go teraz bez większych oporów. Royce wsunął pierścień na palec i przycisnął dłoń do klifu. Weszła w zbocze równie łatwo jak pięść Alrica. Cofnął rękę i zdjął sygnet. Trzymając go w lewej dłoni, prawą dotknął kamienia, a ta ponownie w niego wniknęła.

- A więc nie trzeba być księciem i nie trzeba mieć pierścienia na palcu. Wystarczy go dotykać. Myron, mówiłeś coś o wytwarzaniu wibracji przez klejnot...

Myron przytaknął.

- Klejnoty wpadają w określony rezonans z określonymi kamieniami.

- Chwyćcie się za ręce - zaproponował Hadrian i po chwili Alric i Royce mogli zatopić dłonie w skale.

- O to właśnie chodzi - oświadczył Royce. - Ostatnia próba.

Chwytny się wszyscy za ręce. Upewnijmy się, że to tak samo zadziała w wypadku czterech osób.

Każdy z nich mógł wniknąć w urwisko.

- Nie zrywajcie łańcucha - ostrzegł ich Royce - zanim nie wyjmiecie rąk ze ściany. - Po chwili dodał:

- Przed dalszą drogą musimy podjąć pewne decyzje.

Widziałem już kilka niezwykłych rzeczy, ale żadna nie dorównywała tej. Nie mam pojęcia, co się stanie, gdy tam wejdziemy. Jak myślisz, Hadrian?

Najemnik potarł podbródek.

- To na pewno ryzykowne. Dlatego pamiętając o swoich niedawnych decyzjach, zdaję się na ciebie. Jeśli twoim zdaniem powinniśmy wejść, to nie mam zastrzeżeń.

- Muszę przyznać - odrzekł Royce - że zżera mnie ciekawość, więc jeśli chcesz kontynuować wyprawę, Alricu, pójdziemy z tobą.

- Gdybym miał to zrobić sam, zrezygnowałbym

- wyznał Alric. - Ale też jestem ciekawy.

- Myron? - spytał Royce.

- A co z końmi? Nic im nie będzie?

- Na pewno sobie poradzą.

-A jeśli nie wrócimy? Umrą z głodu, prawda? Royce westchnął.

- My albo one. Musisz wybrać.

Myron ciągle się wahał, gdy niebo przeszła błyskawica, rozległ się grzmot i zaczął padać deszcz.

- Czy nie możemy ich odwiązać na wypadek, gdybyśmy mieli nie...

- Nie zamierzam zakładać, że zginiemy. Będziemy potrzebowali koni po wyjściu. Zostają. A ty?

Silny podmuch wiatru sprawił, że deszcz smagnał mnicha po twarzy, kiedy po raz ostatni spojrzął ukradkiem na konie.

- Idę - postanowił ostatecznie. - Mam nadzieję, że nic im nie będzie.

- W porządku - orzekł Royce. - Zrobimy to tak. Ja wejdę pierwszy z pierścieniem. Za mną będzie Alric, potem Myron, a na końcu Hadrian. W środku rozłączamy się w odwrotnej kolejności: najpierw Hadrian, potem Myron i na końcu Alric.

Wchodźcie w tym samym miejscu co ja i nie wysuwajcie się przede mnie. Nie chcę, żeby ktoś uruchomił pułapkę. Jakies pytania?

Oprócz Myrona wszyscy pokręcili głowami.

- Chwileczkę - powiedział zakonnik i pobiegł do miejsca, w którym schowali bagaż. Zabrał z niego lampkę i zestaw do krzesania ognia. Zatrzymał się na chwilę i jeszcze raz poklepał konie po wilgotnych chrapach. - Jestem gotowy -

oświadczył, dołączywszy do pozostałych.

- Zaczynamy. Trzymajcie się i idźcie za mną - poinstruował

ich Royce, kiedy chwycili się za ręce i ruszyli naprzód.

Gęsiego przeszli przez skałę. Hadrian zamykał pochód.

Kiedy jego ramię znalazło się przy urwisku, zaczerpnął

głęboko powietrza, jakby miał zanurkować, po czym wsadził

głowę w kamień.

Rozdział 5

Esrahaddon

Wkroczyli w całkowitą ciemność. Powietrze było suche, nieruchome i stęchłe. Jedynym dźwiękiem, jaki się tu rozlegał, był odgłos kropli deszczu kapiących z ich rzeczy na podłogę. Hadrian zrobił kilka kroków po omacku naprzód, żeby się upewnić, że cały przeszedł przez barierę. Dopiero wtedy puścił rękę Myrona.

- Widzisz coś, Royce? - spytał ledwie słyszalnym szeptem.

- Zupełnie nic. Nie ruszajcie się dopóty, dopóki Myron nie zapali latarni.

Hadrian słyszał, jak mnich grzebie w woreczku z zestawem do krzesania ognia. Przechylił głowę na bok, na próżno szukając punktu, na którym mógłby skupić wzrok. Nie dojrzał

niczego. Równie dobrze mógłby zamknąć oczy. Myron potarł

krzesiwem o krzemień. Buchnął snop iskier, w których blasku Hadrian przez chwilę widział twarze towarzyszy.

Czekali w milczeniu, aż zakonnik powtórzy czynności. Tym razem hubka się zapaliła i mnich przysunął ją do knota lampki. Ujrzeni wąski korytarz o szerokości zaledwie półtora metra. Jego sufit zaś znajdował się

tak wysoko, że ginął w ciemności. Na ścianach po obu stronach wyrzeźbiono twarze, jak gdyby ludzie stojący po drugiej stronie szarej kurtyny pchali się do przodu, aby na nich zerknąć. Szeroko rozwarte usta i dzikie oczy świadczyły o tym, że ci nieszczęśnicy zastygli na zawsze w kamieniu w chwili udręki.

- Podajcie światło - rozkazał cicho Royce.

Kiedy latarnia wędrowała od Myrona do niego, z mroku wyłaniały się kolejne twarze i Hadrianowi wydawało się, że krzyczą na nich, ale na korytarzu panowała cisza.

- Dekorator miał spaczony gust - skomentował ten pomysł

Royce, biorąc latarnię.

- Cieszę się, że to tylko rzeźby - powiedział Alric. -

Wyobraźcie sobie, jakby to było, gdybyśmy mogli ich słyszeć.

- Dlaczego sądzisz, że to rzeźby? - zapytał Hadrian, tlotykając lekko nosa kobiety o piorunującym spojrzeniu.

Miał pewne obawy, że jej skóra nie będzie ciepła, więc ulżyło mu, kiedy wyczuł pod palcami zimny kamień. - Może za szybko puścili swoje szlachetne kamienie.

Royce uniósł latarnię.

- Korytarz biegnie dalej.

- Są kolejne twarze? - spytał Alric.

- Tak - potwierdził złodziej.

- Przynajmniej na nas nie pada - uzna! Hadrian, usiłując zachować pogodę ducha. - Możemy jeszcze wrócić... -

zapropozował, ale gdy spojrzął za siebie, doznał wstrząsu.

Wydawało się, że korytarz ciągnie się za nimi bez końca. -

Gdzie ściana, przez którą przeszliśmy? - Zrobił krok i wyciągnął rękę. - To nie złudzenie. Zniknęła.

Royce nacisnął dłonią na ścianę korytarza, ale jego ręka nie wniknęła w kamień.

- To nieco komplikuje sytuację - wymamrota! złodziej.

- Musi być inne wyjście, prawda? - zapyta! Alric drżącym głosem.

Złodziej spojrzął do tyłu, następnie do przodu, po czym westchnął.

- Równie dobrze możemy iść w kierunku, z którego przyszliśmy. Proszę, Alricu, weź pierścień, choć nie wiem, na co ci się tu przyda - stwierdził Royce i poprowadził ich dalej.

Sprawdzał i badał wszystko, co wyglądało podejrzanie.

Korytarz ciągnął się w nieskończoność. Choć wydawał się idealnie prosty, Hadrian zastanawiał się, czy krasnoludy nie zbudowały go wzdłuż niedostrzegalnej krzywizny, dzięki której skręcał, tworząc koło. Martwił się także o ilość nafty, jaka pozostała w latarni Myrona. Nie chciał pograć się z powrotem w całkowitych ciemnościach.

Z powodu braku elementów charakterystycznych nie potrafili dokładnie ocenić, jak długo idą. W końcu w oddali pojawił się kołyszący się na boki jaśniejszy punkt. Kiedy światełko zbliżyło się do nich, usłyszeli towarzyszące mu echo różnych, pewnych kroków. Wreszcie Hadrian dostrzegł

postać z lampą w ręku. Był to wysoki, szczupły człowiek w szkarłatno-złotym kaftanie, pod którym nosił kolczugę z długim kapturem. Na tabardzie widniał królewski herb przedstawiający tarczę podzieloną na ćwiartki i podpartą z obu stron przez stojące na tylnych łapach lwy, a nad nią koronę z gwiazdkami i wysadzaną klejnotami berło. U boku mężczyzna nosił wypolerowany miecz z tłoczonymi ornamentami, a na głowie spiczasty srebrny hełm, na którym misternie wytrawiono złote zdobienie w postaci bluszczu. Gdy podszedł bliżej, jego ciemne oczy spojrzały na nich ponuro.

- Po co tu przyszliście? - zapytał groźnie i z wyrzutem.

- Żeby się zobaczyć z więźniem - odpowiedział Royce dopiero po chwili.

- To zabronione - odrzekł tamten stanowczo.

- A więc Esrahaddon żyje? - zapytał Alric.

- Nie wymawiajcie tego imienia!!! - zagrział wartownik. Z

napięciem spojrzął przez ramię w ciemność.

Nie tutaj, nigdy w tym miejscu. Nie powinniście tu w ogóle wchodzić.

- Być może, ale już tu jesteśmy i musimy się zobaczyć z Esra... więźniem - odrzekł Royce.

- To niemożliwe.

- Uczyń tak, aby stało się możliwe - rozkazał Alric głośno, wysuwając się przed pozostałych. - Jestem Alric, król Melengaru, pan ziemi, na której stoisz. Nie będziesz mi mówił, co jest, a co nie jest możliwe w granicach mojego królestwa.

Wartownik cofnął się o krok i obrzucił Alrica krytycznym spojrzeniem.

- Brakuje ci korony, królu.

Alric dobył miecza. Mimo że broń była wielka, uniósł ją swobodnie i skierował ostrze ku nieznajomemu.

- Brak korony nadrabiam z nawiązką mieczem.

- Miecz ci nic nie da. Nikt z mieszkających tutaj już się nie lęka śmierci.

Hadrian nie potrafił powiedzieć, czy z powodu wagi słów wartownika, czy wagi miecza, ale dość, że Alric opuścił

ostrze.

- Możesz dowieść swojej pozycji? - zapytał mężczyzna.

Alric wyciągnął zaciśniętą dłoń przed siebie.

- Oto pieczęć Melengaru, symbol rodu Essendonów i godło tego królestwa.

Wartownik przyjrzał się mu i skinął głową.

- Jeżeli jesteś panującym władcą królestwa, masz prawo wejść. Wiedz jednak, że działa tu magia. Najlepiej idź za mną.

Odwrócił się i poprowadził ich w kierunku, z którego przyszedł.

- Rozpoznajesz godło strażnika? - szepnął Hadrian do Myrona, drepząc za wartownikiem.

- Tak, to herb novrońskiego imperium noszony przez imperialną gwardię miasta Percepliquis. Jest bardzo stary.

Strażnik wyprowadził ich z korytarza pełnego twarzy i Hadrian był wdzięczny, że nie musi już na nie patrzeć. Teraz znaleźli się w ogromnej jaskini z sufitem wspartym na kamiennych filarach. W blasku pochodni rozmieszczonych na ścianach widać było wspaniałą przestrzeń. Wydawało się, że zmieściłby się tu nawet cały Medford. Przechodzili przez wąskie mosty nad przepaściami i łuki wznoszące się niczym duże drzewa wspierające swoimi gałęziami skałę piętrzącą się powyżej.

Nie było widać śladu drewna, tkaniny czy skóry. Wszystko

- krzesła, ławki, biurka, stoły, półki i drzwi

- wykonano z kamienia. Olbrzymie fontanny tryskały wodą z niewidocznych źródeł. Ścian i podłóg nie zdobiły gobeliny ani dywany. Zamiast tego dosłownie każdy centymetr powierzchni pokrywały zawile rytzy

- dziwne symbole o wymyślnych kształtach. Niektóre z nich wyglądały prymitywnie, inne zaś świadczyły o mistrzostwie autora. Czasami Hadrianowi zdawało się, że gdy je mija, zmienia się ich wzór. I gdy przyjrzał się im bliżej, odkrył, że to nie było złudzenie, choć zmiany były subtelne, jak nieznaczne ruchy pajęczyny pod wpływem lekkiego podmuchu.

. Przewodnik nie przystawał ani nie zwalniał. Szedł rażnym krokiem, prowadząc ich coraz głębiej w jaskinię, przez co Myron, który miał najkrótsze nogi z nich wszystkich, musiał

chwilami podbiegać, aby nie zostać w tyle. Ich kroki odbijały się echem od ścian pieczary. Poza tym odgłosem Hadrian słyszał jeszcze odległe szepty prowadzonych w ukryciu rozmów, zbyt słabe, by zdołał rozróżnić słowa. Nie umiał

powiedzieć, czy osoby te stały tuż za niewidocznym narożnikiem, czy też padał ofiarą sztuczek wykorzystanych przez krasnoludy.

Po chwili dostrzegli wartowników ustawionych wzdłuż ścieżki. Większość była ubrana tak samo jak ich przewodnik, ale znajdujący się głębiej nosili czarną zbroję z prostym białym godłem w postaci pękniętej korony. Ich twarze skrywały złowieszczo wyglądające hełmy. Stali na baczność i żaden się nie poruszył! ani nie odezwał słowem.

Hadrian jeszcze raz zapytał Myrona o ich godło,

- Używa go starożytny zakon rycerzy Sereta - wyjaśnił

szeptem mnich. - Założył go osiemset lat temu lord Darius Seret, któremu patriarcha Linnev powierzył zadanie odnalezienia zaginionego spadkobiercy Novrona. Pęknięta korona symbolizuje rozbite imperium, które usiłują restytuować.

W końcu dotarli do czegoś, co według Hadriana wyglądało na ich cel - owalnej komnaty z niewiarygodnie wysokimi drzwiami zajmującymi całą przeciwległą ścianę.

Wyrzeźbione z kamienia wrota pokrywały migoczące wzory, sprawiające wrażenie organicznych. Podobne do żyłek liścia lub delikatnych wąsów desenie biegly od środka drzwi do futryny, a następnie niknęły w cieniu. Po obu stronach wrót znajdowały się imponujące obeliski pokryte runami, a między nimi i skrzydłami wrót stały wysokie postumenty z misami, w których igrały niebieskie płomienie.

Na wysokim krześle za kamiennym, wysokim na dwa metry biurkiem, również pokrytym zawiłymi wzorami, siedział

mężczyzna. Po obu stronach blatu płonęły grube jak beczka świece o wysokości kilku metrów. Widząc zastygłe na nich strugi stopionego wosku, Hadrian pomyślał, że mogły kiedyś dorównywać wysokością wrotom.

- Goście - oznajmił przewodnik urzędnikowi, który zapisywał coś czarnym piórem w masywnej księdze.

Mężczyzna podniósł wzrok. Jego szara broda zwisała do samej podłogi, a poorana głębokimi zmarszczkami twarz wyglądała jak kora bardzo starego drzewa.

- Jak się nazywacie? - zapytał.

- Jestem Alric Brendon Essendon, syn Amratha Essendona, król Melengaru, Pan Królestwa. Żądam spotkania z więźniem.

- A oni? - dopytywał się urzędnik, wskazując ręką pozostałych.

- To moi słudzy, królewscy obrońcy i kapelan. Urzędnik podniósł się z miejsca i pochylił ku nim, aby dokładniej przyjrzeć się poszczególnym członkom grupy. Przez chwilę patrzył każdemu w oczy, po czym z powrotem usiadł. Zanurzył pióro w kałamarzu i przewrócił

kartkę. Po chwili zapytał:

- Dlaczego chcesz się zobaczyć z więźniem? Czekal na odpowiedź, trzymając pióro w powietrzu.

- To nie twoja rzecz - odrzekł Alric władczym tonem.

- Możliwe, ale ten więzień to moje zmartwienie i jeśli masz z nim jakieś sprawy do załatwienia, to jest to moja rzecz. Albo poznam twój cel, albo nie pozwolę ci wejść, czy jesteś królem, czy nie.

Alric spiorunował wzrokiem urzędnika, ale ustąpił:

- Chcę go zapytać o śmierć mojego ojca. Urzędnik zastanawiał się przez chwilę, po czym zapisał coś w wielkiej księdze. Po chwili podniósł wzrok.

- Dobrze. Możecie wejść do celi, ale musicie przestrzegać zasad. To dla waszego bezpieczeństwa. Ten, z którym chcecie rozmawiać, nie jest zwykłym człowiekiem. Jest stworzeniem, prastarym złem, demonem, którego udało nam się tu uwięzić.

Nasze główne zadanie polega na tym, by nigdy nie opuścić

tego miejsca. Zapewne się domyślacie, jak bardzo pragnie stąd uciec. Jest chytry i bez przerwy nas sprawdza. Ciągłe szuka słabości, wylotu w szeregu lub pęknięcia w kamieniu.

Po pierwsze, idźcie ścieżką bezpośrednio do miejsca jego odosobnienia, nie zwlekajcie. Po drugie, pozostaniecie na galerii i nie próbujcie zejść do klatki. Po trzecie, i najważniejsze, nie róbcie niczego, o co was poprosi.

Nieważne, jaki to będzie drobiazg. Nie dajcie mu się oszukać.

Jest inteligentny i przebiegły. Zadajcie mu swoje pytania, a potem wyjdźcie. Nie odstępujcie od tych zasad. Rozumiecie?

Alric skinął głową.

-A zatem niech Novron się nad wami zlituje - orzekł i w tej samej chwili na środku wielkich wrót powstała szpara i drzwi zaczęły się otwierać.

Zgrzyt kamienia długo odbijał się echem od ścian, aż wreszcie wrota stały przed nimi otworem. Za nimi dostrzegli długi kamienny most przerzucony nad przepaścią. Miał metr szerokości, był gładki jak szkło i cienki jak pergamin. Na jego drugim końcu wznosiła się kolumna z czarnej skały - podobna do wyspy wieża połączona ze światem tylko za pomocą tej delikatnej konstrukcji.

- Możecie zostawić latarnię - oznajmił urzędnik. - Nie będzie wam potrzebna.

Royce skinął głową, ale nie odstawił latarni.

Kiedy przeszli przez drzwi, Hadrian usłyszał dźwięk przypominający śpiew - cichą, żalobną pieśń intonowaną ponuro przez tysiąc głosów, która wydobyła z jego pamięci najgorsze wspomnienia i przepełniła go tak wielką zgryzotą, że stracił pewność siebie. Stopy ciążyły mu, jakby były z ołowiu, a w duszy czuł lodowaty chłód. Zrobienie kroku wymagało od niego wysiłku.

Po przekroczeniu progu przez wędrowców wrota zaczęły się zamykać, aż zatrzasnęły się z hukiem. W pomieszczeniu było jasno, choć trudno było wskazać źródło światła. Podobnie nie dało się określić ani wysokości, ani głębokości jaskini, gdyż po obu stronach mostu widać było jedynie pustkę.

- Czy inne więzienia też tak wyglądają? - zapytał Myron drżącym głosem, kiedy przechodzili powoli przez most.

- Zaryzykowałbym stwierdzenie, że to jest wyjątkowe -

odrzekł Alric.

- Jest wyjątkowe - potwierdził Royce. - Wierzcie mi, niejedno widziałem.

Umilkli i posuwali się dalej. Hadrian szedł na końcu, skupiając się na stawianiu kroków. W pewnej chwili przystanął i podniósł głowę, żeby zobaczyć, jak radzą sobie inni. Myron rozłożył ramiona na boki, jakby spacerował po linie, Alric przygarbił się i trzymał ręce przed sobą, jakby w każdej chwili był gotów pełzać mi czworakach, Royce zaś szedł swobodnie, z uniesioną głową i często spoglądał na boki, żeby się przyjrzeć otoczeniu.

Mimo pozornej kruchości most był solidny. Wędrowcy pokonali go bez kłopotu i kiedy dotarli do niewielkiego kolebkowo sklepionego wejścia do czarnej wieży, Royce odwrócił się do Alrica.

- Dość niefrasobliwie ujawniłeś swoją tożsamość, Wasza Królewska Mość - zganił monarchę. - Nie przypominam sobie, abyśmy uzgadniali, że wejdiesz i bez ogródek oznajmisz: „Hej, jestem nowym królem. Chodźcie mnie zabić”.

- Chyba nie sądzisz, że tu są skrytobójcy? Wiem, że początkowo myślałem, że to pułapka, ale tylko się rozejrzyjcie! Arista nie mogłaby tego zaaranżować. A może myślisz, że ktoś jeszcze by zdołał wślizgnąć się przez te same drzwi w skale co my?

- Uważam, że nie ma powodu niepotrzebnie ryzykować. . .

- Niepotrzebnie ryzykować? Mówisz poważnie? Uważasz, że przechodzenie po śliskim wąskim moście nad przepaścią o nieznanym głębokości to nie ryzyko? Skrytobójcy to nasze najmniejsze zmartwienie.

- Zawsze sprawiasz tyle kłopotu ludziom, którzy cię ochraniają?

W odpowiedzi Alric jedynie spojrział na niego z pogardą.

Znaleźli się teraz w wąskim tunelu, który wychodził na duże okrągłe pomieszczenie przypominające amfiteatr z rzędami kamiennych ławek, zapewniającymi dobry widok ze wszystkich stron na znajdującą się sześć metrów niżej okrągłą scenę, i biegnącymi w dół schodami, zakończonymi balkonem. Na scenie Hadrian zauważył tylko krzesło, na którym siedział jakiś mężczyzna.

Nie wyglądał bardzo staro. Jego czarne włosy sięgające ramion dopiero zaczynały siwieć. Spod wypukłego czoła spoglądały ciemne, zamyślane oczy. Twarz o wysokich kościach policzkowych była bez zarostu, co zdziwiło Hadriana, ponieważ broda - i to długa - była jego zdaniem oznaką czarnoksiężskiej profesji. Mężczyzna ubrany był we wspaniałą szatę, której koloru Hadrian nie umiał określić. Jej odcień mieścił się gdzieś pomiędzy ciemnym błękitem a przydymioną szarością, ale w miejscach zmarszczeń wyglądał

na szmaragdową zieleń, a nawet turkus. Ręce mężczyzna skrył w fałdach na kolanach. Z wysoka padał na niego silny promień białego światła, a ponieważ cały czas siedział

nieruchomo jak posąg, trudno było stwierdzić, czy jest świadom obecności gości.

- Co teraz? - szepnął Alric.

- Porozmawiaj z nim - odrzekł Royce. Książę rozejrzał się w zamyśleniu.

- Ten człowiek nie może mieć tysiąca lat, prawda? -

powątpiewał.

- Nie wiem - odparł Hadrian. - Tutaj wszystko wydaje się możliwe.

Myron rozejrzał się po pomieszczeniu, a potem uniósł

głowę. Na jego twarzy malował się ból.

- Ten śpiew - odezwał się - przypomina mi opactwo, pożar.

Jakbym znów słyszał krzyki braci.

Hadrian położył mu delikatnie rękę na ramieniu.

- Nie zwracaj na niego uwagi - poradził mu Royce, po czym spojrzał ostro na Alrica. - Musisz z nim porozmawiać. Inaczej stąd nie wyjdziemy.

- Jak mam go zagadnąć? Jeżeli naprawdę jest czarnoksiężnikiem starego imperium i służył ostatniemu cesarzowi, jak mam się do niego zwrócić?

- Spróbuj zapytać, jakie ma plany - zaproponował Hadrian, na co Alric uśmiechnął się z wyższością.

- Mówię poważnie.

Spójrz tam - wyjaśniał. - Jest tylko on i krzesło. Nie ma książek, kart, niczego. Ja prawie zwariowałem z nudów, kiedy zeszłej zimy podczas silnej śnieżycy utknąłem w gospodzie.

Jak ci się wydaje, jak się czuł przez tysiąc lat siedzenia na tym krześle?

- I jak nie oszalał, słuchając przez cały czas tego dźwięku? -

dodał Myron.

- Dobrze, coś mi przyszło do głowy. - Alric zwrócił się do czarnoksiężnika: - Przepraszam, panie.

Mężczyzna na krześle powoli podniósł głowę. W jaskrawym świetle wyglądał na znużonego.

- Przepraszam, że przeszkadzam. Jestem Alric Ess...

- Wiem dobrze, ktoś zacz - przerwał mu Esrahad-don spokojnym, wręcz kojącym głosem. - Gdzież to twa siostra?

- Kto?

- Twa siostra. Arista.

- Aha, siostra.

- Siostra - powtórzył starannie czarnoksiężnik i westchnął, kręcąc głową.

- Nie ma jej tu.

- Czemuż to nie przychodzi?

Alric spojrział najpierw na Royce'a, a potem na Hadriana.

- Poprosiła, żebyśmy przyszli w jej zastępstwie

- odparł Royce.

Czarnoksiężnik spojrział na złodzieja i zapytał:

- A tyś kto zacz?

- Ja? Nikt - odpowiedział Royce.

Esrahaddon popatrzył na niego zmrużonymi oczami i uniósł

brew.

- Może tak, może nie.

- Moja siostra poleciła mi tu przyjść i porozmawiać z tobą -

wyjaśnił Alric. - Wiesz dlaczego?

- Jam to jej kazał przysłać cię tu.

- Niezła sztuczka, bo przecież jesteś tu zamknięty

- zauważył Hadrian.

- Niezła? - zapytał Esrahaddon. - Zamyślasz, że to była dobra rzecz? Boć nie widzę zła na tej sprawie.

Na twarzach całej czwórki pojawił się wyraz dezorientacji.

- Toć nie punkt, nad którym nam się rozwodzić. Arista zaszczycała mnie swą obecnością nadobną rok, a może i więcej, boć trudno odgadnąć drogę słońca w tej zaciemnionej dziurze. Za adepta sztuki się ma, lecz szkół dla czarnoksiężników twój świat nie zna. Polać biedy ją zmusiła szukać u mnie rady. Kazała mi uczyć się tych sztuk już dawno zapomnianych. W tych ścianach jestem zamknięty, gdy czas przeskakuje przez me palce rozplątane, a pociechę mi daje tylko dźwięk własnego głosu. Więc zgodę dałem z litości.

Wieści o nowym świecie twa księżniczka dostarczyła. W

zamian jej dary wiedzy odwzajemniłem własnymi.

- Wiedzy? - zapytał Alric zaniepokojony. - Jakiej?

- Błahostki. Niedawno temu twój ojciec zapadł na chorobę.

Zorop nauczyłem ją robić.

Wszyscy spojrzeli na niego z zaintrygowaniem. Esrahaddon odwrócił od nich wzrok. Wydawało się, że czegoś szuka.

- Inną nazwą to określiła. Toć było... - Zmarszczył czoło w skupieniu, ale w końcu pokręcił głową.

- Syrop? - podsunął Myron. Czarnoksiężnik przyjrzał się bacznie mnichowi. -Zaiste!

- Nauczyłeś ją, jak zrobić syrop dla ojca?

- Przerazające, tak? Taki diabeł jak ja preparujący mikstury dla twojego króla. Nie trucizny przepis jej jednak podałem ani śmierci nie zaaplikowałem. Podobnego zdania była ona.

Dlatego wyzwanie mi rzuciła, więc wypilo każde z nas z tego samego kubka, by udowodnić, że nic złego w tym nie było.

Ani rogi nam nie wyrosły, ani śmierć nas nie dopadła, a twemu panu było lepiej po zażyciu.

- To nie tłumaczy, dlaczego Arista mnie tu przysłała.

- Śmierć twój dom nawiedziła?

- Skąd o tym wiesz? Tak, zamordowano mojego ojca -

potwierdził Alric.

Czarnoksiężnik westchnął i skinął głową.

- Przestrzegałem przed taką straszną klątwą wiszącą nad twojej rodziny losem, ale posłuchu twa siostra mi nie dała.

Mimo to kazałem jej cię przysłać, gdyby śmierć zagroziła albo wypadek pisany był rządzącemu rodowi Essendonów.

Esrahaddon spojrzał wymownie na Hadriana, Royce'a i Myrona.

- Niewinni są twoi oskarżeni towarzysze? Bo tak jej mówiłem: godni zaufania są tylko ci, którym wina będzie przypisana za najohydniejsze czyny.

- A więc wiesz, kto zabił mojego ojca?

- Nazwiska nie mam ani jasnowidzem nie jestem. Ale jasny jest łuk, z którego strzała wyleciała. Twój ojciec zginął z ręki człowieka będącego w zмовie z przeciwnikiem, który mnie więzi.

- Kościół Nyphrona - wymamrotał Myron cicho, lecz czarnoksiężnik i tak dosłyszał i znów spojrzał na mnicha zmrużonymi oczami.

- Dlaczego Kościół Nyphrona chciałby zabić mojego ojca?

- Bo głuche i ślepe są namiętności ludzkie. Czuje są i dobrze słuchają te ściany, i choć czyn miłosierny, a zamiar dobroczynny był, uwierzyli, że swoją ręką wskazałem i twój ojciec to spadkobierca Novronu.

- Chwileczkę - przerwał Alric. - Kościół nie chce zamordować spadkobiercy. Przecież jego istnienie zależy od przywrócenia spadkobiercy na tron i nastania nowej ery.

- Tysiąc lat nie rozdzieliło prawdy od kłamstwa. Śmierć zażądała i śmierć poszukała krwi boga. To powód prawdziwy, że uwięziony jestem.

- Mianowicie?

- Sam, z kagańcem i głęboko pogrzebany, przykuty jestem łańcuchem do kamiennego grobu. Bo świadkiem tego fałszerstwa prawdy jestem, jedyną lampą w nieustannej nocy.

Kościół, ten bastion wiary, niegodziwy wąż jest, którego kły jadowite wydarły życie imperatorowi i jego rodzinie -

wszystkim oprócz jednego. Gdyby spadkobiercę odnaleziono, zyskam potwierdzenie i dowód potwarzy. Boć jam walczył, aby uratować pana naszego.

- My słyszeliśmy, że zabiłeś imperialną rodzinę i odpowiadasz za zniszczenie całego imperium - powiedział

Hadrian.

- Skąd takie opowieści spłynęły? Z jadowitego języka żmij w infułach? Prawdziwie wierzysz, że taka siła spoczywa w jednym człowieku?

- Dlaczego sądzisz, że to Kościół zabił imperatora?

- zapytał Alric.

- To nie domysł, to nie przypuszczenie, ale wspomnienie -

wyraźne jakby z wczoraj. Ja wiem. Tam to było i jam to był, który uchronił jedyne syna imperatora od śmierci z pobożnych rąk.

- Mówisz nam, że żyłeś w czasach imperatora. Mamy ci uwierzyć, że masz ponad dziewięćset lat?

- spytał Royce.

- Ty mówisz o wątpliwości, ale ja nie mam żadnej. Pytanie postawiono, na pytanie odpowiedziano.

- Odpowiedź nie mniej tajemnicza niż to więzienie

- odciął się Royce.

- Wciąż nie rozumiem, co to wszystko ma wspólnego z moim ojcem. Dlaczego przedstawiciele Kościoła mieliby go zabić?

- Utrzymany przy życiu siłą czarów jestem, bo tylko ja spadkobiercę mogę znaleźć. Te węże obserwują mnie i mają nadzieję, że się poślizgnę i rzucę im w ręce owoc Novrona.

Zainteresowanie nim wykazałem. Przez grzeczność zaproponowałem szacunek dla twego ojca, a Kościół zabił

twego króla w pośpiechu, żeby uwolnić obciążone dusze od śladów winy. Więcej krwi splami czerwone ręce. Nigdy się nie spodziewałem

z dumie nie mniej ich występne pragnienie, więc Ariste przestrzegłem przed niebezpieczeństwami i omenami mrocznymi.

- I dlatego chciałeś, abym tu przybył? Żeby mi to wszystko wyjaśnić? Żebym zrozumiał?

- Nie! Ja wysłałem wezwanie, ale z innego powodu.

- Mianowicie?

Czarnoksiężnik spojrział na nich rozbawiony.

- Ucieczki.

Nikt się nie odezwał. Myron usiadł na kamiennej ławce.

- Miałeś rację - szepnął do Hadriana. - Życie poza opactwem jest bardziej podniecające od książek.

- Mamy ci w niej pomóc? - zapytał Royce z niedowierzaniem. Wyciągnął ręce i rozejrzał się po kamiennej fortecy. - Stąd?

- Toć konieczne.

- Toć także niemożliwe. Wydostawałem się już z wielu trudnych sytuacji, ale nie z takiej jak ta.

- I świadomość twoja mała. Środki, które widzisz, to drobnostki. Ściany, strażnicy i przepaść to najmniejsze wyzwanie. Więzi mnie to, co magia ożywia! Wszystkich drzwi strzegą tu tajemne zamki,

co jak dym i sen znikają po ich przejściu. Na dodatek most, bo uschnął już. Zobaczcie i stwierzcie sami - zniknął.

Royce uniósł z niedowierzaniem brew.

- Alricu, potrzebuję twojego pierścienia.

Książę podał go złodziejowi, który wszedł po schodach i zniknął w tunelu. Wrócił po kilku minutach i oddał pierścień Alricowi. Nieznacznie pokręcił głową, potwierdzając to, co Hadrian już wcześniej podejrzewał.

- Bardziej nieszczęsne i jeszcze poważniejsze są runy na ścianach tego więzienia - kontynuował czarnoksiężnik. -

Magia broni tego odrażającego kamienia,

której ani siła ciosu, ani odrobina czarów nie zdejmie z portalu tej znieawidzonej klatki. Toć ta spaczona eufonia, którą słyszycie, to żałobne zawodzenie, które dręczy ucho. W

granicach tego zaklętego kręgu żadna nowa magia nie może się objawić. Ponadto, co bardziej podkopuje nadzieję i gnębi umysł, sam czas jest uwięziony w tym znieawidzonym uścisku i tym samym zawieszony nieruchomo. Toć dlatego lata przelatują, nigdy nie tykając tej jaskini i jej mieszkańców.

Przychodząc do mnie, nie postarzałeś się o jedno okamgnienie, ani głodu czy pragnienia nie poczujesz - przynajmniej nie bardziej niż gdy tu wchodziłeś. Szokujący ten wyczyn to arcydzieło kolosalne, zbudowane dla jednej duszy.

- Że co? - spytał Alric.

- Mówi, że nie można tu wykonać żadnych działań magicznych i... i... czas tu nie upływa - wyjaśnił Myron.

- Nie wierzę w to - oświadczył Alric.

- Połóż rękę na swą pierś i wyczuj bicie swego serca. Myron przesunął palce po klatce piersiowej i pisnął.

- Skoro istnieje tyle przeszkód, jak możesz liczyć, że pomożemy ci uciec? - zapytał Hadrian.

W odpowiedzi czarnoksiężnik uśmiechnął się chytrze.

- Choć mnie język świerzbi, żeby zapytać: jak - odezwał się Royce - jeszcze bardziej mnie korci, żeby zapytać: dlaczego.

Jeśli zadali sobie tyle trudu, aby cię tu uwięzić, to może mieli ważny powód. Powiedziałeś nam to, co chcieliśmy wiedzieć.

Sprawa zakończona. Czemu więc mielibyśmy głupio postąpić i pomagać ci w ucieczce?

- Mały wybór mają wybierający.

- Mamy wiele możliwości - zaproponował butnie Alric. -

Jestem królem i to ja tu rządę. A ty jesteś bezsilny.

- Toć nie ja zagradzam ci drogę, o książę. Rozumujesz słusznie - bezradny jestem, więzień spętany. Toć z naszymi dozorcami musisz sprawę swą załatwić, którzy każdą nutę w naszych słowach mierzą i notują. Proszę, zawołaj o wypuszczenie cię stąd i przywitaj ciszę, jaka zalegnie po twym wezwaniu. Krzyknij i usłysz, jak echo pozostaje bez odpowiedzi. Uwięziony będziesz ze mną w tych skałach albo śmierć szykują dla ciebie.

-Ale jeżeli słuchają, to również wiedzą, że nie jestem spadkobiercą - odpowiedział Alric, ale już z mniejszą pewnością siebie.

- Zawołaj i przekonaj się, która prawda wygra. Na twarzy Alrica malował się niepokój, kiedy spojrzał najpierw na Hadriana, a potem na Royce'a.

- Może mieć rację - przyznał złodziej cicho. Wtedy niepokój przerodził się w paniczny strach

i książę zaczął wykrzykiwać rozkazy, aby ich wypuszczono.

Nie było odpowiedzi, nie rozległ się zgrzyt wrót ani odgłos kroków nadchodzących strażników, którzy mieliby ich odprowadzić do wyjścia. Oprócz czarnoksiężnika wszyscy mieli zmartwione twarze. Alric załamywał ręce, a Myron kurczowo trzymał się poręczy balkonu, jakby się bał, że gdy ją puści, świat odleci od niego jak bąk.

- Czyli była to pułapka - stwierdził Alric i zwrócił się do Royce'a: - Przepraszam, że powątpiewałem w twoje domysły.

-Ale nawet ja się tego nie spodziewałem - przyznał złodziej.

- Może jest inne wyjście.

Royce usiadł na jednej z ławek i na jego twarzy pojawił się ten sam wyraz zamyślenia co wcześniej, kiedy próbował

ustalić, w jaki sposób dostać się do więzienia. Przez pewien czas wszyscy milczeli. W końcu Hadrian podszedł do Royce'a.

- W porządku, stary - szepnął - teraz mi powiedz, że jakimś cudownym zrzędzeniem losu przyszedł ci do głowy plan, jak nas stąd wydostać.

- Mam taki plan. Ale jest równie przerażający jak pozostanie tu na wieki.

- To znaczy ?

- Zrobimy tak, jak mówi czarnoksiężnik.

Spojrzeli na mężczyznę siedzącego na krześle, którego szata miała teraz kolejny odcień błękitu. Hadrian przywołał gestem pozostałych i objaśnił plan Royce'a.

- A może to teraz jest podstęp? - spytał Alric cicho.

Urzędnik ostrzegł nas, żebyśmy nie wykonywali żadnych jego poleceń.

- Mówisz o tym miłym panu, który zlikwidował most i nie chce nas wypuścić? - odparł Royce. - Nie widzę innego wyjścia, ale jeśli ktoś ma jakiś pomysł, lo chętnie go wysłucham.

- Chciałbym znów poczuć bicie swojego serca - powiedział

Myron, trzymając dłoń na piersi. Wyglądał niezdrowo. - To bardzo niepokojące. Prawie jakbym był martwy.

- Wasza Królewska Mość?

Alric podniósł głowę i spojrzał groźnie na złodzieja.

- Gwoli formalności, chcę tylko powiedzieć, że jako królewscy obrońcy nie spisujecie się najlepiej.

- To mój pierwszy dzień - odrzekł Royce sarkastycznie.

-1 od razu wpadłem w zasadzkę wiecznego więzienia. Boję się pomyśleć, co mogłoby się stać za tydzień.

- Słuchajcie, nie widzę tu dla nas wyboru - oznajmił Royce, zwracając się do wszystkich. - Albo zrobimy to, co mówi czarnoksiężnik, i będziemy mieli szansę na wydostanie się stąd, albo zgodzimy się na wieczny pobyt w tym więzieniu i wysłuchiwanie tego okropnego śpiewu.

Hadrian wiedział, że to nieszczęsne zawrodozenie w końcu doprowadzi go do obłądu. Próbował nie zwracać na nie uwagi, ale tak jak w wypadku Myrona przywoływało ono przykre wspomnienia. Stał mu teraz przed oczami wyraz niezadowolenia na twarzy ojca, kiedy wstąpił do wojska.

Przypomniał sobie zalanego krwią tygrysa, który, konając, z trudem łapał powietrze, i wrzask setek ludzi skandujących:

„Galen-ti!”. Podjął decyzję. Wszystko było lepsze od pozostania tutaj.

Royce wstał i wrócił na balkon, pod którym spokojnie czekał czarnoksiężnik.

- Rozumiem, że jeśli pomożemy ci uciec, dopilnujesz, żebyśmy też się stąd wydostali?

- W rzeczy samej.

- I nie możemy sprawdzić, czy w tej chwili mówisz prawdę?

Czarnoksiężnik się uśmiechnął.

- Niestety, nie.

Royce westchnął ciężko.

- Co musimy zrobić?

- Bardzo niewiele. Twój książę, ten krnąbrny i świeży król, musi wyrecytować krótki wiersz.

- Wiersz? - Alric przepchnął się obok Hadriana, żeby dołączyć do Royce'a na balkonie. - Jaki?

Czarnoksiężnik wstał i kopnął krzesło, które upadło na bok, odsłaniając cztery strofy tekstu wydrapanego niezgrabnie na podłodze.

- Toć zdumiewające, jakiego piękna może przydać czas -

powiedział czarnoksiężnik z nieskrywaną dumą.

Powiedz i tak się stanie. Hadrian przeczytał po cichu linijki wydobyte z mroku przez padający z góry snop światła.

W królestwie moim od wielu już dni doradca w lochu więziony do dziś.

Niestuszenie, mówię, i nadszedł już czas puścić tę duszę, niech frunie jak ptak.

Na mocy daru i z racji mej krwi królewski werdykt należny jest mi.

Ogłaszam zatem ten dekret, a w nim, że Esrahaddon jest wolny od dziś.

- Jak to możliwe? - spytał Alric. - Mówiłeś, że zaklęcia tu nie działają.

- Zaiste, i ty nie rzucasz zaklęcie. Ofiarowujesz wolność, jak zezwala prawo prawowitemu władcy tej krainy - prawo władania ustanowione przed narodzinami Melengaru, prawo oparte na fałszywych założeniach dotyczących długotrwałości władzy i tego, kto w odpowiednim czasie nią dysponuje. W

tej chwili, w tym miejscu - ty. Jesteś prawowitym i niekwestionowanym władcą tej krainy i dzięki temu to ty otwierasz zamki. Boć rygiel i zasuwę wykuto tu ze słów-czarów - słów, które z czasem zmieniły swe znaczenie. Więzienie to, wzniesione na ziemi onegdaj będącej w mocy imperialnej, pod nieobecność zabitego imperatora przeszło pod wyłączną władzę patriarchy Kościoła Nyphrona. W murach tych nigdy nie spadło piasku ziarnko, by zaznaczyć upływ czasu, lecz na zewnątrz zadudniły grzmoty wojny. Wojska wymasze-rowały i ziemie podzielono

- imperium padło ofiarą kaprysu dygnitarzy wojskowych.

Potem w krwawym konflikcie wzgórza te zrodziły Melengar -

królestwo suwerenne pod dumnym królem. Przywilej ongiś zastrzeżony tylko dla kogoś z infułą na głowie przypadł teraz tobie. Tobie, dobremu Melengarowi królowi, który władzę posiada, by naprawić zło tak długo tolerowane. Dziewięć stuleci kurzu pogrzebało rozum, drogi królu, boć ci dozorczy zapomnieli, jak mają czytać własne runy!

Hadrian usłyszał w oddali zgrzyt kamienia o kamień.

Otwierały się wielkie wrota.

- Wypowiedz te słowa, milordzie, a zakończysz dziewięćset lat niesprawiedliwego uwięzienia.

- W czym to pomoże? - spytał Alric. - Tu się roi od strażników. Jak to nas uwolni?

Czarnoksiężnik uśmiechnął się szeroko.

- Twe słowa odczarują barierę i umożliwią mi zastosowanie sztuki.

- Rzucisz zaklęcie i znikniesz.

Zadudniły kroki na moście, który najwidoczniej znów się pojawił. Hadrian wbiegł po schodach galerii, żeby spojrzeć do tunelu.

- Nadchodzą strażnicy! I nie wyglądają na szczęśliwych.

- Jeśli zamierzasz to zrobić - powiedział Royce do Alrica -

to lepiej się pośpiesz.

- Dobyli mieczy! - krzyknął Hadrian. - A to nigdy nie wróży nic dobrego.

Alric spojrzał w dół na czarnoksiężnika.

- Daj mi słowo, że nas tu nie zostawisz.

- Z chęcią daję, milordzie. - Esrahaddon skłonił głowę z szacunkiem.

- Lepiej, żeby to zadziałało - wymamrotał Alric i zaczął

czytać na głos słowa zapisane na podłodze.

Royce pobiegł do wspólnika, który zajął pozycję przy wylocie tunelu, zamierzając wykorzystać ograniczoną przestrzeń, ażeby zniwelować przewagę liczebną st raży.

Stanął nieco za nim. Równocześnie dobyli broni, przygotowując się na atak. Co najmniej dwudziestu

ludzi szturmowało galerię. Hadrian widział ich oczy i rozpoznał to, co w nich płonęło. Stoczył w życiu wiele bitew i znał ich różne oblicza. Do walki prowadziły strach, lekkomyślność, nienawiść, a nawet obłąd. Teraz szła na niego wściekłość -

ślepa, zjadła wściekłość. Hadrian przyjrzał się pierwszemu napastnikowi. Przeanalizował jego kroki, żeby ustalić, na którą nogę przeniesie ciężar ciała, kiedy znajdzie się w zasięgu ciosu. To samo zrobi! w odniesieniu do drugiego strażnika. Przygotowując się do ataku, podniósł miecze, ale napastnicy się zatrzymali.

- Oddalmy się stąd - usłyszał głos Esrahaddonem za plecami.

Odwrócił się na pięcie i zobaczył czarnoksiężnika, który minął go swobodnie i wszedł między nieruchomych strażników.

- Chodźcie! - zawołał.

Ileż słowa pospieszyli za Esrahaddonem, który przeprowadził ich przez tunel i nowy most. W więzieniu panowała głucha cisza - i Hadrian uświadomił sobie, że nie słyszy muzyki, jedynie odgłos ich kroków na kamiennej podłodze.

- Nie martwcie się minionymi niebezpieczeństwami. Nie zwlekajcie i dotrzymujcie mi kroku - powiedział do nich uspokajająco Esrahaddon.

Zastosowali się do jego polecenia bez słowa. Oficjela stojącego w wielkich drzwiach mijali tak blisko, że wyraźnie widzieli jego zaniepokojoną twarz. Hadrian zauważył, że oko mężczyzny się porusza.

- Czy oni nas widzą albo słyszą? - zapytał nieco zesztywniały ze strachu.

- Nie. Oddechem ducha jedynie jesteście dla ich zmysłów, wirem chłodnego powietrza.

Esrahaddon prowadził ich, jakby znał drogę na pamięć. Ani razu się nie zawahał, kiedy skręcał, przechodził przez most lub wchodził po stopniach.

- Może jesteśmy martwi? - szepnął Myron, spoglądając na każdego zastygłego w bezruchu strażnika, którego mijał. -

Może teraz wszyscy jesteśmy martwi. Może jesteśmy duchami.

Hadrian pomyślał, że mnich może mieć rację. Wszystko było tak dziwnie nieruchome, takie puste. Atmosferę nierealności potęgowały jeszcze płynne ruchy czarnoksiężnika i powiewającej wokół niego szaty, która teraz emitowała łagodne srebrzyste światło, znacznie silniejsze od wszelkich latarni czy pochodni.

- Nie rozumiem. Jak to możliwe? - zapytał Alric, obchodząc parę odzianych na czarno strażników pilnujących trzeciego mostu. Pomachał ręką przed twarzą jednego z nich. - To twoja sprawka?

- Toć *ithinal*. -Co?

- Magiczne pudełko. Zdolność zmiany czasu wymyka się ludzkiemu pojmowaniu, boć zbyt olbrzymi jest zakres, zbyt ogromne pole. Ale zamknij przestrzeń, ogranicz skutek i ujarzmij dziki świat w środku. Na te ściany moi starzy druhowie nałożyli czary skomplikowane, przeznaczone do wpływania na magię i czas. Musiałem tylko dostroić kilka włókien w splocie, aby wytrącić nas z fazy.

- A więc strażnicy nas nie widzą. Ale to nie tłumaczy, dlaczego zwyczajnie tam stoją - powiedział Hadrian. -

Zniknęliśmy, a ty jesteś wolny. Czemu nas nie szukają? Nie powinni pozamykać drzwi na klucz, żeby nas złapać w sidła?

- Między tymi murami zatrzymane są piaski czasu dla wszystkich oprócz nas.

- Wywróciłeś to na zewnątrz! - wykrzyknął Myron.

Esrahaddon spojrzał na niego przez ramię.

- Toć trzykrotnie wrazenie na mnie zrobiłeś. Jakie powiedziałaś, że jest twe imię?

- Nie powiedział - wyręczył Myrona Royce.

- Nie ufasz ludziom, mój przyjacielu w czarnym kapturze?

Toć całkiem mądre. Ostrożnie trzeba postępować z mądrymi i czarnoksiężnikami. - Esrahaddon mrugnął do złodzieja.

- O co chodzi z tym wywracaniem na zewnątrz? - spytał

Alric. - Czas się dla nich zatrzymał, kiedy my jesteśmy wolni?

- Zaiste. Choć czas wciąż postępuje, toć w bardzo wolnym tempie. Nieświadomi pozostaną ci, których zamknięto w utraconej chwili.

- Zaczynam rozumieć, dlaczego się ciebie bali - powiedział

Alric.

- Dziewięćset lat spędziłem w niewoli, aby uratować syna człowieka, któremu wszyscy na życie przysięgliśmy służbę i ochronę. Niezmiernie uprzejma jest ta nagroda, boć są gorsze chwile, w których można być schwytanym w sidła na wieczność.

Dotarli do wielkich schodów prowadzących do korytarza połączonego z głównym wejściem i zaczęli wyczerpującą wspinaczkę.

- Jak ci się udało pozostać przy zdrowych zmysłach? -

spytał Hadrian. - A może ten czas przemknął ci jak jedna chwila, tak jak teraz dla nich?

- Przemknął, ale nie tak szybko, mierząc w stuleciach.

Każdego dnia walkę prowadziłem. Cierpliwość to umiejętność nabywana przez praktykujących sztukę. Jednakże chwile były, że... Cóż możesz powiedzieć, co znaczą zdrowe zmysły?

Dotarli do korytarza z wyrzeźbionymi w ścianach twarzami i Esrahaddon spojrzął w głąb tunelu. Hadrian zauważył, że czarnoksiężnik zeszywniał.

- O co chodzi? - zapytał.

- Te twarze... Zastygli tu są robotnicy, którzy zbudowali to więzienie. Przybyłem tutaj przy stawianiu końcowych ścian.

Miasto namiotów otaczało jezioro. Setki rzemieślników z rodzinami odpowiedziało na wezwanie, żeby wypełnić swój obowiązek wobec imperatora. Taki miał charakter Jego Imperialna Mość. Wszyscy opłakiwali jego odejście i niewielu nie oddałoby za niego z chęcią życia. Napiętnowany mianem zdrajcy widziałem nienawiść w ich oczach. Dumni by byli z budowy mojego grobu. - Czarnoksiężnik spojrzął po kolei na twarze na ścianie. - Rozpoznaję niektórych: kamieniarze, rzeźbiarze, kucharze i ich żony. Kościół z obawy przed wyjawieniem tajemnicy przez niewinnych tak ich zapieczętował. Wszyscy przed wami usidleni przez kłamstwo.

Ilu martwych? Ilu przepadło, żeby ukryć jedną tajemnicę, której nawet milenium nie wymazało?

- Tam nie ma drzwi - ostrzegł Alric czarnoksiężnika.

Esrahaddon spojrzął na niego jakby zbudzony ze snu.

- Nie bądź głupcem, przecież przez nie przeszedłeś -

powiedział i poprowadził ich różnym krokiem przez korytarz.

- Po prostu nie byliście z nimi w fazie.

Tutaj, w najciemniejszej części więzienia, jego szata jaśniała jeszcze bardziej i czarnoksiężnik wyglądał jak olbrzymi robaczek świętojański. Gdy po jakimś czasie doszli do kamiennej ściany, Esrahaddon przeniknął przez nią bez wahania. Pozostali szybko ruszyli za nim.

Na zewnątrz prawie oślepiło ich światło słonecznego jesiennego poranka. Błękitne niebo i chłodne świeże powietrze stanowiły miłą odmianę. Hadrian zaczerpnął

głęboko powietrza i upajał się zapachem trawy oraz opadłych liści, zapachem, na którego do tej pory nie zwraca! uwagi.

- Dziwne. Wydawało mi się, że powinna być deszczowa noc. Nie mogliśmy być przecież w środku dłużej niż kilka godzin. Mam rację?

Esrahaddon wzruszył ramionami i uniósł głowę, żeby spojrzeć w słońce. Również kilkakrotnie głęboko odetchnął, mruczając z zadowoleniem za każdym razem, gdy wypuszcza!

powietrze.

- Niespodziewane są korzyści ze zmiany czasu. Jaki to dzionek, toć lepiej zapytać. Dziś, jutro czy pojutrze, lóć możliwe, że przeleciały dziesiątki lub setki dni.

Ich przerażone twarze ubawiły czarnoksiężnika.

- Nie martwcie się, toć pewnie tylko godziny wam uciekły.

- To niepokojące - powiedział Alric - tracić czas w taki sposób.

- Zaprawdę, przez dziewięćset lat go traciłem. Wszyscy, których znałem, nie żyją, imperium zniknęło i któż wie, w jakim stanie jest świat. Jeśli opowieści twej siostry są prawdziwe, toć wieleż się na nim zmieniło.

- A tak przy okazji - wtrącił Royce. - Już nikt nie używa słów „toć” i „wieleż”, a już na pewno nie „boć” albo

„zaprawdę”.

Czarnoksiężnik zastanawiał się nad tym przez chwilę, po czym skinął głową.

- Za moich czasów na lekcjach częstokroć mówiono inaczej.

Założyłem, że niższego stanu jesteście. A król najwyraźniej słabo wyedukowany.

Alric spiorunował go wzrokiem.

- To ty mówisz dziwnie, nie my.

- Zaiste. Zatem będę musiał mówić tak jak wy wszyscy.

Choć to dla mnie nieco prymitywne.

Hadrian, Royce i Myron zaczęli siodłać konie, które czekały na nich tam, gdzie je zostawili. Myron się uśmiechnął, oczywiście szczęśliwy, że znów jest ze zwierzętami. Poklepał

je, dopytując się, jak dopiąć popręgów.

- Nie mamy dodatkowego konia, a Hadrian już i tak ma pasażera - wyjaśnił Alric. Zerknął na Royce'a, ale ten nie zamierza! zgłosić się na ochotnika. - Esrahaddon chyba będzie musiał jechać ze mną.

- Zbędne to będzie, bo własną drogą pójdę.

- Wcale nie. Wracasz ze mną do zamku. Jest wiele rzeczy, o których muszę z tobą porozmawiać. Byłeś doradcą imperatora. Widać, że jesteś bardzo utalentowany i znasz się na rzeczy. Bardzo potrzebuję kogoś takiego jak ty. Będziesz moim królewskim doradcą.

- Nie, toć... - westchnął, po czym ciągnął: - Nie, to cię zapewne zaskoczy, ale nie uciekłem po to, aby pomóc ci rozwiązać twoje małe problemy. Spraw bardziej nagłych muszę dopilnować, bo zbyt długo odsunięty od nich byłem.

Księżę rzeczywiście wyglądał na zaskoczonego.

- Jakież mógłbyś mieć sprawy po dziewięciuset latach?

Przecież nie musisz wracać do domu, żeby zarządzać gospodarstwem. Jeśli to kwestia wynagrodzenia, dostaniesz sowitą zapłatę i zapewnię ci życie w luksusie. Ale jeżeli myślisz o konkurencyjnych propozycjach, to tylko Ethelred z Warric zaoferuje ci tyle samo. Lecz wierz mi, nie chciałbyś pracować dla niego. To ortodoksyjny imperialista i lojalny poplecznik Kościoła.

- Nie szukam wynagrodzenia.

- Nie? Spójrz na siebie. Nic nie masz - ani jedzenia, ani miejsca do spania... Zanim odrzucisz moją ofertę, powinieneś dokładniej rozważyć swą sytuację. Zresztą sama wdzięczność powinna ci nakazywać, byś mnie wspierał.

- Wdzięczność? Czy znaczenie tego słowa też się zmieniło?

Za moich czasów nazywano tak okazanie uznania za przysługę.

- I wciąż tak jest. Uratowałem cię. Uwolniłem z tego miejsca.

Esrahaddon uniósł brew.

- Pomogłeś mi uciec, żeby wyświadczyć mi przysługę? Nie sędzę. Uwolniłeś mnie, żeby uratować siebie. Nie jestem ci nic winny, a jeśli byłem, to spłaciłem dług, wydostając cię stamtąd.

- Ale ja tu przyszedłem po twą pomoc. Dziedziczący tron sphywający krwią! Zostałem uprowadzony przez złodziei, którzy wlekli mnie przez pół królestwa tutaj. Wciąż jednak nie wiem, kto zabił mego ojca ani jak znaleźć zabójcę. Bardzo potrzebuję twojej pomocy. Na pewno wiesz setki rzeczy, o których największe współczesne umysły nie mają pojęcia...

- Co najmniej tysiące, ale i tak z tobą nie idę. Ty musisz ochronić królestwo. Moja droga wiedzie gdzie indziej.

Alric poczerwieniał z frustracji.

- Nalegam, abyś wrócił ze mną i został mym doradcą. Nie mogę pozwolić, abyś tak zwyczajnie odszedł. Kto wie, jakie mógłbyś wywołać zamieszanie. Jesteś niebezpieczny.

- W rzeczy samej, drogi książę - potwierdził czarnoksiężnik, po czym dodał poważnym tonem: - Pozwól zatem, że udzielę ci darmowej rady: nie używaj słowa „nalegać” w odniesieniu do mnie. Zmagasz się teraz jedynie ze strumykiem - nie kuś potoku.

Alric zeszywniał.

- Ile minie czasu, zanim zaczną cię ścigać monarchowie Kościoła? - spytał Royce od niechcienia.

- Cóżes... - Czarnoksiężnik westchnął. - Co masz na myśli?

- Pozostawiłeś więzienie zamknięte i nikt się nie dowie o twojej ucieczce. Ale gdybyśmy wrócili i zaczęli opowiadać, jak cię z niego wydostaliśmy, ludzie mogliby się zacząć zastanawiać.

Czarnoksiężnik utkwiał w nim wzrok.

- To groźba?

- Czemu miałbym ci grozić? Byłaby to głupota z mojej strony. Ale ten król tutaj nie jest taki bystry jak ja i w pierwszej gospodarce, do której zawita, może się upić i wygadać, jak to mają w zwyczaju szlachcice. Esrahaddon spojrzał na Alrica, który teraz pobladł.

- Przebyliśmy taki szmat drogi - ciągnął najemnik - żeby się dowiedzieć, kto zabił jego ojca, a wiemy w tej chwili niewiele więcej niż przed tą wyprawą.

Czarnoksiężnik zachichotał cicho.

- Dobrze. Przeto, proszę, rzeknij, jak zginął twój ojciec.

- Dźgnięty nożem - wyjaśnił Alric.

- Jakim?

- Zwykłym sztyletem tarczowym, jakiego używają żołnierze. - Alric rozsunął dłonie na trzydzieści centymetrów.

- Mniej więcej takim długim. Z płaskim ostrzem i okrągłą rękojeścią.

Esrahaddon skinął głową.

- Gdzie go dźgnięto?

- W prywatnej kaplicy.

- Chodzi o część ciała.

- W plecy, chyba z lewej strony u góry.

- Czy w kaplicy są okna albo inne drzwi? -Nie.

- Kto znalazł ciało?

- Oni. - Alric wskazał na Royce'a i Hadriana.

Czarnoksiężnik uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Nie. Kto poza nimi ogłosił śmierć króla? Kto wszczął alarm?

- Kapitan Wylin, mój zbrojny. Zjawił się na miejscu bardzo szybko i ich zaaresztował.

Hadrian przypomniał sobie noc, kiedy zamordowano króla Amratha.

- Nie, było inaczej. Był tam krasnolud. Musiał stać za rogiem, kiedy wyszliśmy z komnaty. Zobaczył ciało króla na podłodze kaplicy i krzyknął. Zaraz po tym zjawili się żołnierze. I dodam, że zadziwiająco szybko.

- To był Magnus - powiedział Alric. - Od wielu miesięcy wykonuje roboty kamieniarskie w zamku.

- Czy widzieliście, jak nadchodzi korytarzem? - spytał czarnoksiężnik.

- Nie - odparł Hadrian, a Royce to potwierdził, kręcąc głową.

- A czy z progu wejścia do kaplicy widać było ciało króla?

Teraz obaj pokręcili głowami.

- Oto rozwiązanie - oznajmił Esrahaddon, jakby sprawa była jasna jak słońce.

Wszyscy spojrzeli na niego zdezorientowani. Westchnął.

- Krasnolud zabił Amratha.

- To niemożliwe - zaproponował Alric. - Mój ojciec był postawnym mężczyzną, a sztylet był skierowany z góry w dół.

Krasnolud nie mógł go dźgnąć w górną część pleców.

- Twój ojciec był w kaplicy i jako pobożny król klęczał z pochyloną głową. Zabił go w trakcie modlitwy.

- Ale drzwi były zamknięte na klucz, kiedy przyszliśmy - powiedział Hadrian. - A w środku oprócz króla nikogo nie było.

- To wy nikogo nie widzieliście. Czy w kaplicy jest ołtarz z szafą?

-Tak.

- Tysiąc lat temu również takie były. W tej dziedzinie zmiany następują powoli. W szafie nie zmieściłby się człowiek, ale krasnolud z łatwością. Po zamordowaniu króla zamknął drzwi na klucz i czekał, aż wy dwaj jak znalazł

znajdziecie ciało. - Esrahaddon umilkł na chwilę. - To nie może być poprawne: „jak znalazł znajdziecie”. - Przewrócił

oczami i pokręcił głową.

Jeśli ludzie tak się obeszli z językiem, to boję się zapytać, jaki los spotkał inne rzeczy. A ponieważ drzwi były zamknięte na klucz - wrócił do tematu - żaden strażnik ani służący nie mógł znaleźć ciała wcześniej, tylko zręczny złodziej umiałby tam wejść. Zakładam, że co najmniej jeden z was posiada takie umiejętności.

- Przy ostatnich słowach spojrzał wprost na Royce'a.

- Po waszym wyjściu krasnolud się wyslizgnął, otworzył

drzwi i krzyknął na alarm.

- A więc krasnolud jest szpiegiem Kościoła?

- Nie. - Czarnoksiężnik westchnął z frustracją. - Nie chodziłby przecież ze zwykłym sztyletem. Zwyczajnie krasnoludów zmieniają się jeszcze wolniej od zachowań religijnych. Sztylet dał mu ten, kto go wynajął. Jeśli znajdziecie tę osobę, złapiecie prawdziwego zabójcę.

Wszyscy spojrzeli na czarnoksiężnika w osłupieniu.

- To niewiarygodne - powiedział Alric.

- Wcale nie takie trudne. - Czarnoksiężnik kiwnął głową w stronę urwiska. - Uciec było, jak wy to mówicie, ciężko.

Ustalić mordercę króla Amratha było... było... lekko?

- Lekko? - powtórzył Hadrian. - Masz na myśli „łatwo”.

- Jak to jest, że przeciwieństwem „ciężko” jest „łatwo”?

Sensu to nie ma.

Hadrian wzruszył ramionami.

- Niestety. To cała pomoc, jakiej mogę udzielić w tej sprawie. Dlatego ruszam w drogę. Jak mówiłem, muszę dopilnować pewnych spraw. Czy to wystarczy, aby powstrzymać długie języki?

- Na potwierdzenie podaję ci rękę - odparł Alric.

Czarnoksiężnik spojrział na jego otwartą dłoń i się uśmiechnął.

- Twoje słowo wystarczy.

Odwrócił się i po pożegnalnym geście zaczął schodzić po zboczu.

- Zamierzasz iść pieszo?! - krzyknął za nim Hadrian. - Stąd jest wszędzie daleko.

- Nie mogę się doczekać tej podróży! - odrzekł czarnoksiężnik, nie odwracając głowy, po czym skręcił i zniknął

im z oczu.

Pozostali mężczyźni wsiedli na konie. Myron już czuł się swobodniej przy zwierzętach i pewny siebie zajął miejsce za Hadrianem. Chwycił się najemnika dopiero wtedy, gdy zaczęli schodzić wąwozem w kierunku, z którego przyszli.

Hadrian spodziewał się, że po drodze miną Esrahaddona, ale dotarli na dno parowu, nie napotkawszy czarnoksiężnika.

- Nietuzinkowy gość, prawda? - rzucił, rozglądając się za magiem.

- Zobaczywszy, w jaki sposób wydostał się z tego więzienia

- powiedział Royce - zastanawiam się, jakie będą konsekwencje tego, że go dziś wypuściliśmy.

- Nic dziwnego, że imperatorowi wiodło się tak dobrze -

stwierdził Alric, po czym zmarszczył czoło i ściągnął wodze. -

Choć nieco mnie uraził. Nieczęsto wyciągam do kogoś rękę, ale kiedy już to robię, oczekuję, że zostanie przyjęta.

Uważam, że jego zachowanie było obraźliwe.

- Nie jestem wcale tego pewien - oznajmił Myron. - Wydaje mi się, że po prostu nie mógł.

- Dlaczego?

- W listach Dioyliona czytałem, że Kościół kazał mu obciąć obie ręce, aby ograniczyć jego zdolność do rzucania zaklęć.

- Ach tak - odrzekł Alric.

- Czemu odnoszę wrażenie, że ten Dioylion nie zmarł

naturalną śmiercią? - zadumał się Hadrian.

- Prawdopodobnie wśród twarzy zastygłych w korytarzu znajdzie się i jego - stwierdził Royce, po czym popędził konia w dół zbocza.

Rozdział 6

Odkrycia przy świetle księżycy

Słyszałam, że mnie szukasz, wuju? Księżniczka Arista weszła zwawym krokiem do jego gabinetu. Jak zwykle towarzyszył jej Hilfred, który posłusznie został przy drzwiach.

Wciąż w żałobie po śmierci ojca Arista nosiła wytworną czarną suknię ze srebrnym stanikiem. Wysoka, wyprostowana i z podniesionym czołem nie utraciła nic ze swojej kró-

lewskiej godności.

Arcyksiążę Percy Braga wstał po jej wejściu.

- Tak, mam do ciebie kilka pytań.

Też był ubrany na czarno. I na tle kubraka, peleryny i czapki z ciemnego aksamitu jego złoty łańcuch urzędowy wyróżniał się bardziej niż zwykle. Miał zmęczone oczy z braku snu, a twarz ocieniał mu gęstniejący zarost.

- W tej chwili? - zapytała, patrząc na niego groźnie. - Od kiedy lord kanclerz wzywa urzędującą królową, aby odpowiedziała na jego pytania?

Percy podniósł wzrok, żeby spojrzeć księżniczce w oczy.

- Nie ma dowodu, że twój brat nie żyje, Aristo. Nie jesteś jeszcze królową.

- Nie ma dowodu?

Podeszła do stołu, na którym leżały rozrzucone mapy królestwa naszpikowane małymi flagami wskazującymi miejsca stacjonowania patroli, kompanii i garnizonów. Obok zauważyła ubłoconą szatę z herbem Essendonów. Podniosła ją, włożyła palce w dziury na plecach, po czym rzuciła strój na biurko wuja.

- A to jak nazwiesz?

- To szata - odpowiedział krótko arcyksiążę.

- Należała do mojego brata, a te otwory wyglądają na dziury po ranach zadanych sztyletem albo strzałą. Mordercy mojego ojca zabili również Ałrica, a jego ciało wyrzucili do rzeki.

Mój brat nie żyje, Braga! Nie ogłosiłam jeszcze swojej koronacji tylko dlatego, że czekam, aż się skończy żałoba.

Lecz to nastąpi niedługo, więc powinieneś uważać, jak się do mnie odnosisz, wuju, bo zapomnę, że jesteśmy rodziną.

- Dopóki nie mam ciała twojego brata, Aristo, dopóty muszę go uznawać za żywego. Tym samym jest wciąż prawowitym władcą, a ja nadal będę robił wszystko, co w mojej mocy, aby go odnaleźć, bez względu na twoje poczynania. Tyle jestem winien twojemu ojcu, który powierzył mi to stanowisko.

- Jeśli nie zauważyłeś, to mój ojciec nie żyje. Powinieneś zwracać większą uwagę na żywych albo wkrótce przestaniesz być lordem kanclerzem Melengar.

Braga już chciał coś powiedzieć, ale się powstrzymał.

- Odpowiesz na moje pytania czy nie? - zapytał.

- Zdecyduję, kiedy je usłyszę.

Podeszła swobodnym krokiem do stołu z mapami i usiadła na nim. Skrzyżowała w kostkach długie nogi i studiowała z roztargnieniem paznokcie.

- Kapitan Wylin zgłosił, że zakończył przesłuchiwanie personelu lochów. - Braga wstał i wyszedł zza biurka, żeby stanąć na wprost Aristy. Trzymał w ręce pergamin, na którym sprawdzał informacje. - Píše, że odwiedziłaś więźniów po tym, jak twój brat i ja stamtąd wyszliśmy. Twierdzi, że przyprowadziłaś dwóch zakonników, których później znaleziono zakneblowanych i przykutych do ściany zamiast tamtych. Czy to prawda?

- Tak - odparła bez ogródek.

Arcyksiążę wpatrywał się w nią w napięciu. Między nimi narastała cisza.

- Jestem z natury przesądna - oznajmiła w końcu - chciałam mieć pewność, że odprawiono ostatnie obrządki, aby po egzekucji nie pozostały tu ich duchy.

- Jest informacja, że kazałaś ich rozkuć. - Braga przybliżył

się do niej o krok.

- Mnisi mi powiedzieli, że więźniowie muszą uklęknąć. Nie widziałam w tym niebezpieczeństwa. Znajdowali się w celi, a na zewnątrz była armia strażników.

- Zeznano także, że weszłaś z zakonnikami i kazałaś zamknąć za sobą drzwi.

Arcyksiążę zrobił kolejny krok. Stał teraz niewygodnie blisko, studiując jej gesty i mimikę.

- Czy wspomniano również, że wyszłam przed mnichami?

Albo że mnie tam nie było, kiedy brutale ich obezwładnili?

Arista wstała z biurka tak gwałtownie, że wuj musiał się cofnąć. Minęła go bezceremonialnie i podeszła do okna wychodzącego na dziedziniec zamkowy.

Ktoś rąbał na nim i układał drewno na nadchodzącą zimę.

- Przyznaję - podjęła córka Amratha. - To nie była najmądrzejsza rzecz, jaką zrobiłam w życiu, ale nie przyszło mi do głowy, że zbiegną. Przecież to byli tylko dwaj mężczyźni! - Wciąż wyglądała przez okno z roztargnieniem.

Przeniosła wzrok z drwała na drzewa, z których już opadły wszystkie liście. - To wszystko, co chciałeś wiedzieć? -

zapytała. - Czy mam pozwolenie kanclerza na powrót do swoich obowiązków jako władczyni tego królestwa?

- Oczywiście, moja droga - odrzekł Braga cieplejszym tonem.

Księżniczka odwróciła się od okna i ruszyła do wyjścia.

- Jeszcze ostatnia rzecz - usłyszała. Zatrzymała się w drzwiach i spojrzała przez ramię.

- - O co chodzi?

- Wylin zeznał także, że z magazynu zniknął sztylet, którym zabito twojego ojca. Nie wiesz przypadkiem, gdzie może być?

Odwróciła się do Bragi.

- Teraz oskarżasz mnie o kradzież?

- Tylko pytam, Aristo - zachnął się arcyksiążę. - Nie musisz się tak zaperzać. Po prostu staram się wykonywać swoją pracę.

- Swoją pracę? Robisz znacznie więcej. Nic nie wiem o sztylecie i przestań mnie nękać oskarżeniami ubranymi w formę pytań. Zrób to jeszcze raz, a przekonamy się, kto tu rządzi!

Arista wypadła z gabinetu Bragi. Hilfred musiał się postarać, żeby ją dogonić. Przeszła przez warownię do części mieszkalnej, gdzie zostawiwszy go na straży, wbiegła po schodach do swojej prywatnej wieży. Zatrzasnęła drzwi do komnaty i zamknęła je na klucz, stukając w nie klejnotem z naszyjnika.

Zdyszana, oparła się plecami o drzwi, próbując odzyskać równowagę. Miała wrażenie, że komnata kołysze się niczym drzewko na wietrze. Ostatnio często wydawało się jej, że świat nieustannie wokół niej wiruje. Tu jednak był jej azyl.

Tylko tutaj czuła się bezpiecznie, tutaj trzymała swoje tajemnice, tutaj mogła praktykować magię i snuć marzenia.

Chociaż Arista była księżniczką, jej komnata wyglądała skromnie. Mogła wybierać spośród największych i naj efektowniej udekorowanych sypialni w królewskim skrzydle, ale nad przepych ceniła sobie odosobnienie wieży i widok roztaczający się z jej trzech okien na okoliczne ziemie.

Kamienne ściany od sufitu do podłogi kazała przykryć kotarami w kolorze czerwieni burgundzkiej, mając nadzieję, że dzięki temu w komnacie zrobi się nieco cieplej, ale stwarzały one jedynie takie złudzenie. W zimowe noce często panował tu przejmujący chłód, chociaż dbała o to, aby w kominku stale huczał ogień. Na małym łóżku z baldachimem -

na większe nie było tu miejsca - leżały cztery olbrzymie poduszki. Obok niego stał stolik z dzbankiem w miednicy i szafa, którą odziedziczyła po matce, wraz ze skrzynią z wyprawą. Solidnie wykonany kufer z ogromnym zamkiem umieszczono w nogach łóżka. Oprócz niego do wyposażenia pokoju należały jeszcze jedynie toaletka, lustro i krzeselko.

Arista usiadła właśnie przed nią. Spojrzała w lustro o lśniącej tafli, obramowane rzeźbą dwóch eleganckich łabędzi odpływających w przeciwnie strony. Należało kiedyś do jej matki. Z rozczuleniem wspominała wieczory, kiedy przed nim siadywała i wpatrywała się w odbicie matki czeszącej włosy.

Na toalecie leżała kolekcja szczotek do włosów - po jednej z każdego królestwa, które ojciec odwiedził w sprawach wagi państwowej. Była wśród nich szczotka z perłową rączką z Wesbaden i hebanowa, z delikatnymi zębami z rybich ości, przywieziona z egzotycznego portowego miasta Tur Del Fur.

Widok ich przywołał natychmiast wspomnienia dni, kiedy ojciec wracał do domu z radosną miną i ręką schowaną za plecami. Tylko tyle jej pozostało po rodzicach.

Nagłym zamaszystym ruchem ręki zrzuciła szczotki z toaletki na drugą stronę komnaty. Dlaczego tak się stało?

Zapłakała cicho. Ale to było bez znaczenia. Miała teraz coś do zrobienia. Musiała dokończyć to, co zaczęła. Braga z dnia na dzień stawał się coraz bardziej podejrzliwy - miała więc coraz mniej czasu.

Odblokowała i otworzyła skrzynię. Wyjęła z niej kawałek złożonej fioletowej tkaniny, który wcześniej tam ukryła. Co za ironia, pomyślała, że użyła tego materiału. Ojciec schował

w nim ostatnią szczotkę, jaką jej podarował. Położyła pakunek na łóżku i ostrożnie rozwinęła, odsłaniając sztylet.

Na ostrzu były jeszcze ślady krwi króla Amratha.

- Pozostało ci jeszcze tylko jedno zadanie do wykonania -

zwróciła się do noża.

*

Karczma Pod Srebrnym Dzbanem była zwykłą chatą usytuowaną na peryferiach Galilinu. Jej podmurówkę stanowiły kamienie polne, a górną część - bielone belki dębowe. Pokryto ją grubą strzechą, która z czasem poszarzała, a w bocznych ścianach wstawiono okna z lichymi szybami w kształcie rombu. Przed karczmą stało kilka koni przywiązanych do słupków, a kilka kolejnych w małej stajni obok.

- Spory ruch jak na takie odludzie - zauważył Royce.

Przez cały dzień jechali na wschód i tak jak poprzednio podróż przez te dzikie ostępy okazała się wyczerpująca. Gdy zapadł zmrok, dotarli do rolniczego obszaru Galilinu, gdzie natrafili w końcu na wiejską drogę. Żaden z nich nie wiedział

na pewno, gdzie się znajdują, postanowili więc podążać nią do jakiegoś punktu orientacyjnego. Ku ich miłemu zaskoczeniu pierwszym okazała się karczma Pod Srebrnym Dzbanem.

- No, Wasza Królewska Mość - powiedział Hadrian

- stąd powinieneś bez kłopotu trafić do zamku, jeśli nadal chcesz się tam udać.

- Najwyższy czas, żebym wrócił - zgodził się Alric

- ale wpierw muszę się posilić. Mają tu przyzwoite jedzenie?

- Czy to ważne? - Hadrian zachichotał. - W tym momencie zadowolilibym się kawałkiem cuchnącej myszy polnej. Ale zgoda, możemy zjeść ostatni wspólny posiłek, za który ja zapłacę, skoro ty jesteś bez grosza. Mam nadzieję, że pozwolisz mi to odliczyć od podatku.

- Nie ma takiej potrzeby. Doliczmy to do ekstra-wydatków za robotę - wtrącił Royce, po czym spojrzał na Alrica i dodał:

- Chyba nie zapomniałeś, że jesteś nam dłużny sto tenentów?

- Dostaniecie je. Każę wujowi Percy'emu przygotować pieniądze. Możecie je odebrać w zamku.

- Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko, aby odczekali z tym kilka dni. Ot tak, dla pewności.

- Jak chcecie - zgodził się książę.

- I jeśli wyślemy przedstawiciela, żeby odebrał je za nas? -

drażył Royce, lecz Alric wlepił w niego wzrok. - Takiego, który nie będzie miał pojęcia, jak nas znaleźć, gdyby go pojmano?

- No nie, proszę, czy nie przesadzacie z tą ostrożnością?

- W żadnym razie - zaprzeczył Royce.

- Patrzcie! - krzyknął raptem Myron, wskazując na stajnię.

Wszyscy trzej podskoczyli przestraszeni tym nagłym wybuchem.

- Brązowy koń!!! - zdumiał się mnich. - Nie wiedziałem, że są też brązowe!

- Na Mara, braciszku!

Alric pokręcił głową z niedowierzaniem, które Royce i Hadrian w pełni podzielili.

- Naprawdę nie wiedziałem - powtórzył z zakłopotaniem Myron, ale wciąż słyhać było w jego głosie podniecenie, kiedy dodał: - W jakich kolorach jeszcze występują? Czy są zielone? Niebieskie? Chętnie bym zobaczył niebieskiego.

Royce wszedł do karczmy i wrócił po kilku minutach.

- Wszystko wygląda dobrze. Jest dość tłoczno, ale nie zauważyłem nic niezwykłego. Alricu, nie zdejmuj kaptura i albo obróć pierścień na palcu tak, by nie było widać insygniów, albo - jeszcze lepiej - zdejmij go i schowaj, dopóki nie wrócisz na zamek.

W małym przedsionku na kołkach wbitych w ścianę wisiało kilka peleryn i płaszczy, a w stojaku czekało kilka lasek o różnych kształtach i rozmiarach. Na półce nad nimi można było znaleźć niezły wybór postrzępionych kapeluszy i rękawic.

Myron stanął tuż za progiem i rozejrzał się dokoła.

- Czytałem o karczmach - powiedział. - W *Opowieściach pielgrzyma* grupa zbłąkanych wędrowców spędza noc w karczmie, gdzie postanawiają opowiedzieć o swoich podróżach. Zakładają się o to, czyja historia będzie najlepsza.

To jedna z moich ulubionych książek, choć opatowi nie bardzo się podobało, że ją przeczytałem. Była trochę sprośna.

W kilku miejscach wspomniano o kobietach, i to wcale nie w superlatywach. - Spojrzał podekscytowany na kompanów. -

Czy są tu kobiety?

- Nie - odrzekł Hadrian ze smutkiem.

- Miałem nadzieję, że jakąś zobaczę. Czy trzyma się je w zamknięciu jak skarby?

Mężczyźni zwyczajnie wybuchnęli śmiechem. Myron spojrzał na nich zdumiony, po czym wzruszył ramionami.

- I tak jest cudownie. Tyle do zobaczenia! Co to za zapach?

Chyba nie jedzenia?

- Dymu z fajki - wyjaśnił Hadrian. - W opactwie palenie pewnie nie było zbyt popularne.

W niewielkim pomieszczeniu znajdowało się pół tuzina stołów. Jedną ścianę zajmował trochę krzywo ustawiony kamienny kominek. Na haczykach wbitych w jego gzyms wisały srebrne kufle. Obok stał bar zbudowany z nieokorowanych kłód. Przy stołach siedziało piętnastu klientów i kilku z nich zerknęło na wchodzących z przelotnym zainteresowaniem. W większości byli to prości ludzie -

drwale, robotnicy czy wędrowni druciarze. Fajkowy dym puszczało kilku gburowatych mężczyzn siedzących przy barze. Jego kłęby unosiły się w całym pomieszczeniu na wysokości oczu, rozsiewając ziemisty zapach mieszający się z wonią drewna palącego się w kominku i słodkim aromatem pieczonego chleba. Royce zaprowadził ich do okrągłego stolika przy oknie, skąd mogli spoglądać na konie na zewnątrz.

- Złożę zamówienie - zaofiarował się Hadrian.

- Piękne miejsce - zachwycił się Myron, rozglądając się na wszystkie strony. - Tyle się dzieje, tyle rozmów. W opactwie nie wolno było rozmawiać przy posiłku, więc przy stołach zawsze panowała martwa cisza. Naturalnie obchodziliśmy tę zasadę, używając języka migowego, ale to doprowadzało opata do obłędu, bo mieliśmy się skupiać na Mariborze.

Zdarza się jednak przecież, że trzeba po prostu poprosić kogoś o sól.

Stojący przy barze Hadrian wyczuł, że ktoś się do niego zbliża.

- Powinieneś bardziej uważać, przyjacielu - usłyszał czyjś głos dobiegający z tyłu.

Odwrócił się powoli i zaśmiał cicho, kiedy zobaczył twarz mężczyzny.

- Nie muszę, Albercie. Mam cień, który pilnuje moich pleców - wyjaśnił i wskazał na Royce'a podkradającego się do wicehrabiego.

Albert - w kapturze i zniszczonej pelerynie - odwrócił się do Royce'a, który patrzył na niego chmurnie.

- Tylko żartowałem - powiedział.

- Co tu robisz? - spytał go szeptem Royce.

- Ukrywam się... - zaczął Albert, ale umilkł, kiedy podszedł

barman z dzbanem spienionego piwa i czterema kufkami.

- Pewnie jeszcze nie jadłeś - domyślił się Hadrian.

- Nie.

Albert spojrział tęsknie na dzban.

- Jeszcze jeden kufel i talerz - zwrócił się Hadrian do krzepkiego mężczyzny za barem.

- Jasne - odrzekł tamten i dołożył kufel. - Podam jedzenie, kiedy będzie gotowe.

Wrócili do stolika. Albert przez chwilę patrzył z zaciekawieniem na Myrona i Alrica.

- To Albert Winslow, nasz znajomy - wyjaśnił Hadrian, kiedy wicehrabia przysuwał krzesło do ich stolika. - A to są...

- ...klienci - wtrącił Royce szybko. - Nie będziemy rozmawiać o interesach, Albercie.

- Przez kilka dni byliśmy w podróży - wyjaśnił Hadrian. -

Coś nowego w Medfordzie?

- Sporo - odparł Albert cicho, kiedy Hadrian nalewał mu piwa. - Król Amrath nie żyje.

- Coś podobnego. - Hadrian uśmiechnął się zdziwienie.

- Zamknięto Różę i Cierń, a żołnierze przemarszerowali przez Dzielnicę Dolną i posłali do więzienia garstkę wyłapanych ludzi. Niewielka armia otoczyła zamek Essendonów i obstawiała wejścia do miasta. Ledwo zdążyłem się wydostać.

- Armia wokół zamku? - spytał Alric. - Po co? Royce pokazał mi, żeby się uspokoił.

- A co z Gwen?

- Nic jej nie jest - odrzekł Albert, spoglądając z zaciekawieniem na Alrica. - Przynajmniej tak było, kiedy wyjeżdżałem. Przesłuchali ją i naubliżali kilku dziewczynom, ale to wszystko. Martwiła się o ciebie. Chyba się spodziewała, że wrócisz kilka dni wcześniej.

- Co to byli za jedni? - zapytał Royce lodowatym tonem.

- Część z nich należała do straży królewskiej, ale była z nimi cała zgraja nowych koleżków. Pamiętasz obcych, o których rozmawialiśmy kilka dni temu? Maszerowali z kilkoma wartownikami, więc przypuszczam, że są na usługach następcy tronu. - Albert znów zerknął na Alrica. -

Przeczesał całe miasto i rozpytywał o dwóch złodziei działających poza Dzielnicę Dolną. Wtedy się ulotniłem -

wyjechałem z miasta i pojechałem na zachód. Wszędzie było tak samo. Wszędzie są patrole. Przetrasają karczmy i gospody, wywlekając ludzi na ulice. Na razie wyprzedzam ich o krok. Ostatnio słyszałem, że podobno w Medfordzie wprowadzono zakaz wychodzenia z domu po zmroku.

- A więc jechałeś cały czas na zachód? - spytał Hadrian.

- Aż dotarłem tutaj. To pierwsze miejsce, w jakim się zatrzymałem, a którego jeszcze nie wywrócono do góry nogami.

- To by tłumaczyło duży ruch - wywnioskował Hadrian. -

Szczury uciekają z tonącego statku.

- Tak, wielu ludzi uznało, że w Medfordzie już nie jest przyjemnie - wyjaśnił Albert. - Pomyślałem sobie, że pobędę tu przez kilka dni, a potem wrócę, ostrożnie badając grunt.

- Słyszałeś coś o księciu lub księżniczce? - spytał Alric.

- Nic szczególnego - odparł wicehrabia i napił się piwa, nie spuszczać z niego wzroku.

Otworzyły się tylne drzwi i do karczmy weszła szczupła postać - brudna, w podartych łachach i zdeformowanym kapeluszu. Do piersi przyciskała sakiewkę. Przybysz przystanął tylko na chwilę, rozglądając się nerwowo po malej sali, i zaraz szybko skierował się na tył baru, gdzie karczmarz w zamian za sakiewkę napelnił worek jedzenia.

- Co my tu mamy? - spytał jakiś pękaty jegomość, wstając od swojego stolika. - Zdejmij kapelusz, elfie. Pokaż nam swoje uszy.

Obdarty nędzarz chwycił kurczowo worek i spojrzał w stronę drzwi. W tym momencie drugi mężczyzna ruszył od baru, aby zagrozić mu drogę.

- Zdejmuj, powiedziałem! - rozkazał pierwszy.

- Daj mu spokój, Drake - próbował uspokoić go karczmarz.

- Przyszedł po jedzenie. Nie będzie tu siedział.

- Nie mogę uwierzyć, że im sprzedajesz, Hall. Nie słyszałeś, że mordują ludzi w Dunmore? Plugawcy.

- Drake chciał mu zdjąć kapelusz, ale elf zrobił unik.

- Widzisz? Kiedy chcą, potrafią być szybcy, ale pracować tym leniwym draniom się nie chce. Są z nimi same kłopoty.

Wpuścisz ich tu, a pewnego dnia dźgną cię w plecy i okradną ze wszystkiego.

- On niczego nie kradnie - wyjaśnił Hall. - Przychodzi raz w tygodniu, żeby kupić jedzenie i inne rzeczy dla rodziny. Ma żonę i dzieciaka. Biedaki ledwie utrzymują się przy życiu.

Mieszkają w lesie. Miesiąc temu wypędziła ich straż z Medfordu.

- Tak? - nie dowierzał Drake. - Jeśli mieszka w lesie, to skąd bierze pieniądze najedzenie? Kradniesz, chłopcze, prawda? Okradasz porządnych ludzi? Włamujesz się do gospodarstw? To dlatego szeryfowie wyrzucają ich z miast, bo to złodzieje i pijacy. Straż Medfordu nie chce ich widzieć u siebie, a ja nie chcę ich tutaj!

Milczący do tej pory mężczyzna zdarł elfowi kapelusz z głowy, odsłaniając jego gęste, splątane czarne włosy i spiczaste uszy.

- Plugawy mały elf - powiedział Drake. - Skąd masz pieniądze?

- Powiedziałem, żebyś dał mu spokój, Drake - nie ustępował

Hall.

- Myślę, że je ukradł - stwierdził Drake i wyjął zza pasa sztylet.

Nieuzbrojony elf stał bez ruchu, patrząc tylko ze strachem to na napastnika, to na tego, który blokował mu drogę do drzwi.

- Drake?! - zawołał Hall poważniejszym tonem. - Zostaw go albo przysięgam, że już nigdy więcej nie zostaniesz tu obsłużony.

Drake podniósł wzrok na Halla, który był znacznie większy od niego. Karczmarz trzymał w ręku rzeźniczy nóż.

- Jeśli znajdziesz go później w lesie, twoja sprawa. Ale tutaj nie chcę żadnych bójek.

Drake schował sztylet.

- Dalej, zwijaj się stąd - powiedział Hall do elfa, który ostrożnie przeszedł obok mężczyzny i wyslizgnął się przez drzwi.

- To był naprawdę elf? - spytał zdumiony Myron.

- Są mieszańcami - odparł Hadrian. - Większość ludzi nie wierzy, że jeszcze żyją elfy czystej krwi.

- Żal mi ich - powiedział Albert. - W czasach imperium byli niewolnikami. Wiedziałaś?

- Prawdę mówiąc... - zaczął Myron, ale przerwał, zobaczywszy minę Royce'a, który lekko pokręcił głową.

- Po co ich żałować? - zapytał Alric. - Nie mieli gorzej niż obecni chłopcy pańszczyźniani i dzierżawcy. A teraz są wolni.

Dzierżawcy nie mogą się za takich uważać.

- Dzierżawcy są przywiązani do ziemi, to prawda, ale nie są niewolnikami - sprostował Albert. - Nie

można ich kupować i sprzedawać. Ich rodzin się nie

rozdziela i nie są hodowani jak bydło albo trzymani w zagrodach i zarzynani dla rozrywki, a słyszałem, że tak postępowano z elfami. Pewnie są teraz wolne, ale nadal nie stanowią części społeczeństwa. Nie mogą znaleźć pracy i widzieliście, przez co muszą przechodzić, żeby zdobyć jedzenie.

Twarz Royce'a bardziej stężała niż zwykle i Hadrian wiedział, że czas zmienić temat.

- Choć nie widać tego po nim - odezwał się - Albert jest szlachcicem. To wicehrabia.

- Wicehrabia Winsłow? - zapytał Alric. - Z jakim majątkiem?

- Smutno powiedzieć, ale żadnym - odrzekł Albert, biorąc spory łyk piwa. - Dziadek, Harlan Winsłow, stracił rodzową ziemię, kiedy przestał się cieszyć łaskami króla Warric. Choć, prawdę powiedziawszy, nie sądzę, aby kiedykolwiek można się było tym majątkiem chwalić. Słyszałem, że był to skalisty skrawek ziemi nad rzeką Bernum. Kilka lat temu zawłaszczył

go sobie król Ethelred. Ach, cóż za historie opowiadał mi ojciec o procesach i udrękach dziadka, który musiał żyć z po-czuciem wstydu, że jest szlachcicem bez ziemi. Ojciec odziedziczył po nim trochę pieniędzy, ale je roztrwonił, próbując zachować pozory, że wciąż jest zamożnym szlachcicem. Ja nie mam kłopotu ze schowaniem dumy do kieszeni, jeśli w ten sposób mogę zapełnić żołądek. - Albert zerknął na Alrica. - Wyglądasz mi znajomo. Czy my się nie znamy?

- Jeżeli tak, to na pewno przelotnie - odparł Alric.

Przyniesiono posiłek i rozmowa się urwała. Jedzenie nie było nadzwyczajne: porcja lekko przypalonej szynki, gotowane ziemniaki, kapusta, cebule i bochenek starego chleba. Ale prawie po dwóch dniach przeżytych na kilku ziemniakach Hadrian uważał, że to prawdziwa uczta. Kiedy na zewnątrz zapadł zmrok, pomocnik karczmarza zapalił

świeczki na wszystkich ławach i wędrowcy skorzystali z okazji, żeby zamówić kolejny dzban piwa.

Hadrian rozsiadł się wygodnie i odpoczywał, ale zauważył, że Royce co rusz wygląda przez okno. Po trzecim razie postanowił się dowiedzieć, co tak ciekawi współnika, ale na dworze było ciemno i w oknie zobaczył jedynie odbicie własnej twarzy.

- Kiedy zrobiono najazd na Różę i Cierń? - spytał Royce.

Albert wzruszył ramionami.

- Dwa albo trzy dni temu.

- O jakiej porze dnia?

- Wieczorem. Chyba tuż po zachodzie słońca. Przypuszczam, że chcieli złapać tych, co przychodzą na kolację. ...

- Albert urwał i nagle się wyprostował, a wyraz zadowolenia na jego twarzy ustąpił niepokoju. - Nie cierpię uciekać zaraz po jedzeniu, ale jeśli nie macie nic przeciwko temu, chłopcy, to znów się ulotnię. - Wstał i szybko wyszedł przez tylne drzwi.

Royce znów wyjrzał na zewnątrz. I teraz wyraźnie był poruszony.

- Co się stało? - spytał Alric.

- Mamy towarzystwo. Zachowajcie spokój, dopóki nie ustalimy, z której strony wieje wiatr.

Drzwi do Srebrnego Dzbana nagle się rozwarły i do środka weszło ośmiu mężczyzn w kolczugach i pelerynach z sokołem Melengar. Przewrócili kilka ław stojących przy drzwiach, rozrzucając na wszystkie strony naczynia i jedzenie.

Wymachując mieczami, spojrzeli groźnie na klientów. Nikt w obojętnej nawet nie drgnął.

- W imieniu króla mamy przeszukać tę gospodę i wszystkie obecne w niej osoby. Ci, którzy będą stawiali opór lub spróbują uciec, zostaną straceni!

Żołnierze rozdzielili się na grupki. Jedni zaczęli odciągać ludzi od stołów i ustawiać ich w szeregu pod ścianą, drudzy wbiegli po schodach na strych, a pozostali zeszli do piwnicy.

- Prowadzę uczciwy interes! - zaprotestował Hall, kiedy pchnęli go wraz z innymi pod ścianę.

- Stul pysk albo każę spalić tę budę - zażądał mężczyzna, który właśnie wszedł do karczmy.

Nie nosił zbroi ani godła Melengar. Miał na sobie ładne i wygodne ubranie w różnych odcieniach szarości.

- Miło mi było w waszym towarzystwie, panowie -

powiedział Alric - ale przybyła moja eskorta.

- Bądź ostrożny - doradził mu Hadrian, kiedy książe wstał.

Alic ruszył na środek sali, zdjął kaptur i stanął wyprostowany, z uniesionym podbródkiem.

- Czego szukacie, zacni ludzie z Melengar? - zapytał

głośno i wyraźnie, przyciągając uwagę wszystkich.

Ubrany na szaro mężczyzna odwrócił się na pięcie. Kiedy zobaczył twarz Alrica, uśmiechnął się zaskoczony.

- Właśnie ciebie, Wasza Wysokość - odrzekł z uprzejmym ukłonem. - Słyszeliśmy, że zostałeś

porwany, a może nawet nie żyjesz.

- Jak widzisz, nic takiego się nie stało. A teraz uwolnij tych zacnych ludzi.

Żołnierze przez chwilę się wahali, ale ich dowódca skinął

głową i stanęli na baczność. Mężczyzna podszedł szybko do Alrica i zlustrował go od stóp do głów z wyrazem zakłopotania na twarzy.

- Dobrałeś sobie trochę niekonwencjonalny strój, Wasza Królewska Mość...

- Mój strój to nie twoje zmartwienie, mości...

- Jestem baronem, Wasza Wysokość. Baron Trumbul.

Wasza Królewska Mość jest potrzebny na zamku Essendonów. Arcyksiążę Percy Braga rozkazał nam cię odszukać i eskortować. Martwi się o ciebie, zważywszy na wszystkie ostatnie wydarzenia.

- Tak się składa, że właśnie tam zmierzałem. Dlatego możesz sprawić przyjemność arcyksięciu i mnie, zapewniając mi eskortę.

- Cudownie, milordzie. Czy podróżujesz sam? Trumbul spojrział na jego towarzyszy, którzy wciąż siedzieli przy stoliku.

- Nie - odparł Alric. - Ten mnich wróci ze mną do Medfordu. Myronie, pożegnaj się z tymi miłymi ludźmi i dołącz do nas.

Myron wstał i z uśmiechem pomachał ręką do Royce'a i Hadriana.

- To wszystko? Tylko ten jeden? - Baron spojrział na pozostałą dwójkę przy stoliku.

- Tak, tylko on.

- Na pewno? Krążą pogłoski, że uprowadziło cię dwóch ludzi.

- Drogi baronie - odpowiedział Alric surowym głosem -

chyba bym coś takiego zapamiętał. A następny raz, kiedy odważysz się wypytywać swojego króla, może być twoim ostatnim. Masz szczęście, że jestem w dobrym nastroju.

Właśnie się posiliłem i jestem zbyt zmęczony, by poczytać to za poważną obrazę. A teraz daj karczmarzowi złoty tenent za mój posiłek i zamieszanie, jakie wywołałeś.

Przez chwilę nikt się nie poruszał, po czym baron oznajmił:

- Naturalnie, Wasza Królewska Mość. Wybacz mi zuchwalstwo.

Skinął głową do żołnierza, który wyjął monetę z sakiewki i rzucił ją Hallowi.

- A teraz, Wasza Wysokość, czy możemy już iść?

- Tak - odparł Alric. - Mam nadzieję, że macie dla mnie powóz. Dość się najeździłem konno i liczę, że całą drogę powrotną będę mógł przespać.

- Przykro mi, Wasza Królewska Mość, ale nie mamy powozu. Możemy go jednak zarekwirować, gdy tylko dotrzemy do wioski, a także, mam nadzieję, zdobyć dla ciebie lepszy strój.

- Chyba muszę się tym zadowolić.

Alric, Myron, Trumbul i żołnierze opuścili karczmę.

Podczas rozdzielania wierzchowców prowadzili krótką dyskusję, którą słychać było tylko częściowo przez otwarte drzwi. Niebawem odgłos kopyt ich koni ucichł w mrokach nocy.

- To był książę Alric Essendon? - spytał Hall, podchodząc do stolika Royce'a i Hadriana i wyglądając przez okno.

Żaden nie odpowiedział. Ale gdy Hall wrócił do baru, Hadrian zapytał:

- Myślisz, że powinniśmy za nimi pojechać?

- Nie zaczynaj znowu. Spełniliśmy jeden dobry uczynek na ten miesiąc, a właściwie dwa, jeśli liczyć hrabiego DeWitta.

Odpowiada mi siedzenie tutaj i odpoczywanie.

Hadrian skinął głową i osuszył kufel piwa, lecz gdy siedzieli tak w milczeniu, wyglądał przez okno, bębniąc niespokojnie palcami po stole.

- O co chodzi?

- Zauważyłeś przypadkiem, jaką broń mieli żołnierze z patrolu?

- A bo co? - spytał Royce poirytowany.

- Mieli rapiery Tilinera zamiast standardowych falcjonów królewskiej straży. Trzonki były ze stali, a nie z żelaza, ale gałki na rękojeściach nieoznakowane. Albo w królewskiej zbrojowni podwyższono standardy, albo to najemnicy, najprawdopodobniej ze wschodniego Warric. Nie takich ludzi wysyła się na poszukiwanie zaginionego króla popierającego rojalistów. I jeśli mnie pamięć nie myli, Gwen wspomniała, że podejrzany człowiek, który się zjawił w Róży i Cierniu na dzień przed morderstwem, nazywał się Trumbul.

- Widzisz - powiedział Royce rozdrażniony. - Taki jest właśnie problem z tymi twoimi dobrymi uczynkami: nigdy nie mają końca.

*

Księżyc dopiero wstawał, kiedy Arista położyła sztylet na parapecie okna. Choć miało jeszcze minąć trochę czasu, zanim srebrne promienie go oświetlą, wszystkie pozostałe przygotowania były już zakończone. Przez cały dzień pracowała nad zaklęciem. Rano zebrała zioła z kuchni i ogrodu. I choć znalezienie korzenia mandragory o odpowiedniej wielkości zabrało jej prawie dwie godziny, najtrudniejszym zadaniem jednak było zakradnięcie się do kostnicy w celu odcięcia kosmyka włosów z głowy ojca.

Wieczorem rozdrobniła składniki tłuczkiem w moździerz, intonując formuły potrzebne do ich związania, następnie posypała skrwawione ostrze powstałym w ten sposób proszkiem

i wyrecytowała ostatnie słowa zaklęcia. Teraz potrzebne było już tylko światło księżyca.

Podskoczyła, usłyszawszy pukanie do drzwi.

- Wasza Wysokość?! Arista?! - zawołał arcyksiążę.

- O co chodzi, wuju?

- Mogę wejść na słówko, moja droga?

- Tak, chwileczkę.

Zaciągnęła zasłonę, ukrywając za nią sztylet, po czym tłuczek i moździerz schowała do kufra i zamknęła go na klucz. Starła z rąk kurz i sprawdziła w lustrze fryzurę.

Podeszła do drzwi i otworzyła je dotknięciem naszyjnika.

Arcyksiążę wciąż był w czarnym kubraku. Wszedł do jej komnaty z kciukami wsuniętymi za pas od miecza. Jego ciężki złoty łańcuch połyskiwał w świetle ognia. Rozejrzał się po sypialni z wyrazem dezaprobaty na twarzy.

- Twój ojciec nigdy nie pochwalał tego, że tu mieszkasz.

Zawsze chciał, abys była na dole, z resztą rodziny. Zabolało go, że postanowiłaś tak się odseparować, ale zawsze byłaś odludkiem, prawda?

- Czy przyszedłeś po to, by mi to powiedzieć, czy w jakimś konkretnym celu? - spytała z rozdrażnieniem, siadając na łóżku.

- Ostatnio mnie zbywasz, moja droga. Czymś cię obraziłem? Jesteś moją bratanicą i niedawno straciłaś ojca, a być może też i brata. Tak trudno zrozumieć, że się o ciebie martwię? O twój stan psychiczny? Zdarzało się już, że ludzie robili... nieoczekiwane rzeczy w chwilach smutku - lub gniewu.

- Mój stan psychiczny jest dobry.

- Naprawdę? - spytał, unosząc brew. - Większą część dni spędzasz tutaj, w odosobnieniu, co nie

może być dobre dla młodej kobiety. Raczej bym się spodziewał, że będziesz chciała przebywać z rodziną.

- Już nie mam rodziny - odrzekła stanowczym tonem.

- Ja jestem twoją rodziną, Aristo. Jestem twoim wujem, ale nie chcesz tego uznać, prawda? Wolisz widzieć we mnie wroga. Choć, kto wie, może w taki sposób radzisz sobie ze smutkiem. Siedzisz w wieży przez cały dzień, a jeśli wychodzisz z niej, to tylko po to, żeby napaść na mnie za to, że próbuję odnaleźć twojego brata. Nie rozumiem ciebie. Nie widziałem też, żebyś płakała po stracie ojca. Byliście sobie bliscy, prawda?

Braga podszedł do toaletki z lustrem i przystanął, kiedy na coś nadepnął. Podniósł z podłogi szczotkę ze srebrną rączką.

- To prezent od twojego ojca. Byłem z nim, kiedy go kupował. Nie pozwolił, żeby w wyborze wyręczył go służący.

Osobiście obszedł sklepy w Dagastanie, żeby znaleźć odpowiednią. Naprawdę uważam, że to była dla niego najmiłsza chwila w tamtej podróży. Powinnaś bardziej dbać o takie ważne rzeczy.

Położył szczotkę obok pozostałych na toalecie, po czym znów spojrzał na księżniczkę.

- Aristo, wiem, że się bałaś, że spróbuje cię zmusić do poślubienia jakiegoś starego króla. Podejrzewam też, że przerażała cię myśl o zamknięciu w niewidzialnej celi małżeństwa. Ale on cię naprawdę kochał. Dlaczego po nim nie płaczesz?

- Mogę cię zapewnić, wuju, że czuję się zupełnie dobrze. Po prostu próbuję się czymś zająć.

Braga chodził po małym pomieszczeniu, lustrując je dokładnie.

- To kolejna sprawa - oznajmił. - Jesteś bardzo zajęta, ale nie próbujesz znaleźć zabójcy ojca. Ja na twoim miejscu bym go szukał.

- Czy to nie twoje zadanie?

- Tak. Zapewniam cię, że od kilku dni pracuję na tym nieustannie. Powinnaś jednak wiedzieć, że bardziej skupiam się na odnalezieniu twojego brata w nadziei, że uratuję mu życie. Mam nadzieję, że rozumiesz, dlaczego właśnie jego stawiam na pierwszym miejscu. Ty zaś niewiele robisz, chociaż nazywasz się urzędującą królową.

- Przyszedłeś mi zarzucać lenistwo? - spytała Arista.

- Apróżnowałaś? Wątpię. Podejrzewam, że od kilku dni, a może nawet tygodni, ciężko pracujesz.

- Sugerujesz, że to ja zabiłam ojca? Pytam o to, bo taka insynuacja byłaby bardzo niebezpieczna.

- Niczego nie sugeruję, Wasza Wysokość, próbuję jedynie ustalić, dlaczego okazujesz tak mały

smutek po śmierci ojca i taki mały niepokój o brata. Powiedz, droga bratanico, co robiłaś dziś po południu w dębinie? Wróciłaś z zakrytym koszykiem. Słyszałem też, że kręciłaś się koło spiżarni.

- Kazałeś mnie śledzić?

- Zapewniam cię, że dla twojego dobra - przyznał

uspokajającym tonem, klepiąc ją po ramieniu. - Jak powiedziałem, niepokoję się o ciebie. Słyszałem o ludziach, którzy odebrali sobie życie po takiej stracie jak twoja. Dlatego cię obserwuję. Ale w twoim wypadku to chyba nie jest konieczne, prawda?

- Dlaczego tak mówisz? - spytała Arista.

- Zbieranie korzeni i podkradanie ziół z kuchni bardziej wskazuje na przygotowywanie jakiejś receptury. Wiesz, że nigdy nie pochylałem tego, iż ojciec posłał

cię na studia w Sheridanie, a jeszcze bardziej oburzało mnie, że pozwolił ci pobierać nauki u tego głupiego magika Arcadiusa. Ludzie mogą cię wziąć za czarownicę. A prostych ludzi łatwo przeraża to, czego nie rozumieją. Myśl, że ich księżniczka jest czarownicą, mogłaby być iskrą prowadzącą do katastrofy. Ostrzegałem w tej sprawie twojego ojca, ale i tak dał ci wolną rękę. - Arcyksiążę obszedł łóżko, wygładzając w roztargnieniu narzutę.

- Cieszę się, że ojciec cię nie posłuchał.

- Naprawdę? Choć to właściwie nie miało znaczenia.

Przecież Arcadius jest nieszkodliwy. Czego mógł cię nauczyć? Karcianych sztuczek? Usuwania kurzajek?

Przynajmniej dotychczas tak myślałem. Ale teraz jestem...

zaniepokojony. Może przekazał ci coś ważnego? Na przykład imię... Esrahaddon?

Arista podniosła gwałtownie głowę, ale na nic się zdały już próby ukrycia zaskoczenia.

- Tak myślałem. Chciałaś się dowiedzieć więcej, prawda?

Chciałaś poznać prawdziwą magię, tylko że sam Arcadius niewiele wie. Zna jednak kogoś dobrze zorientowanego.

Opowiedział ci o Esrahaddonie, prastarym czarnoksiężniku z dawnych czasów, który zna tajemnice wszechświata i umie kontrolować pierwotne siły żywiołów. Mogę sobie tylko wyobrazić, z jaką radością odkryłaś, że czarnoksiężnik ten jest uwięziony tak blisko, w obrębie twojego królestwa. Jako księżniczka masz prawo zobaczyć się z więźniem, ale nigdy nie prosiłaś ojca o pozwolenie na to, prawda? Bałaś się, że może odmówić. Lecz powinnaś go poprosić, Aristo.

Powiedziałby ci wtedy, że do tego więzienia nie wolno nikomu wchodzić. Kościół wyjaśnił to

wszystko Amrathowi w dniu jego koronacji. Król dowiedział się, jak niebezpieczny jest Esrahaddon i co może zrobić z takimi niewinnymi ludźmi jak ty. Ten potwór nauczył cię prawdziwej magii, prawda, Aristo? Nauczył cię czarnej magii, mam rację? - Arcyksiążę zmrużył oczy, a w jego głosie nie było już nawet śladu ciepła.

Arista nie odpowiedziała. Siedziała w milczeniu.

- Ciekaw jestem, czego cię nauczył. Na pewno nie trików nadających się do zabawiania towarzystwa czy sztuczek kuglarskich. Prawdopodobnie nie pokazał ci, jak wywołać błyskawicę albo rozszcześcić ziemię, ale jestem pewny, że poznałaś część prostych zaklęć. Prostych, ale pożytecznych, prawda?

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz - powiedziała, wstając.

W jej głosie słychać było nutę strachu. Chciała wytworzyć dystans między nimi, więc podeszła do toaletki, wzięła szczotkę i zaczęła czesać włosy.

- Tak? Powiedz, moja droga, co się stało ze sztyletem, którym zabito twojego ojca i na którym wciąż są ślady jego krwi?

- Mówiłam ci, że nic o tym nie wiem. Obserwowała go w lustrze.

- Tak, mówiłaś, ale jakoś trudno mi w to uwierzyć. Jesteś jedyną osobą, która mogłaby chcieć go wykorzystać. Do czegoś niedobrego. Do czegoś bardzo złego.

Arista odwróciła się w jego kierunku, ale zanim zdążyła coś powiedzieć, Braga dodał:

- Zdradziłaś ojca. Zdradziłaś brata. Teraz zdradziłabyś i mnie, i to przy użyciu tego samego sztyletu! Naprawdę uważałaś mnie za takiego głupca?

Arista spojrzała w stronę okna i mimo grubej zasłony zobaczyła, że światło księżyca w końcu padło na broń. Braga podążył za jej spojrzeniem i na jego twarzy wykwitł wyraz zaskoczenia.

- Dlaczego zasłona jest zaciągnięta tylko na jednym oknie?

Odwrócił się, chwycił kotarę i szarpnął ją na bok, odsłaniając skąpany w świetle księżyca sztylet. Zachwiał się na jego widok i Arista wiedziała, że zaklęcie działa.

*

Nie ujechali daleko, zaledwie kilka kilometrów. Poruszali się powoli, a brak snu i pełny żołądek sprawiły, że Alric poczuł się tak senny, iż bał się, że spadnie z siodła. Myron wyglądał niewiele lepiej. Jechał obok księcia, za strażnikiem, i głowa co rusz mu opadała. Podążali odludnym traktem, mijając po drodze kilka gospodarstw i przejeżdżając przez parę kładek. Po lewej stronie rozpościerało się skoszone pole kukurydzy, na którym pozostały gołe brązowe łodygi. Po prawej były tereny leśne porośnięte choinami i dębami, któ-

rych liście już dawno rozwiał wiatr, a ich nagie gałęzie zwieszały się aż nad drogę.

To była kolejna chłodna noc i Alric przysięgł sobie, że już nigdy więcej nie wybierze się w podróż po zmroku. Marzył o własnym łóżku, trzasku ognia w kominku i być może szklanicy grzanego wina, kiedy baron nieoczekiwanie zarządził postój.

Sam Trumbul i pięciu żołnierzy podjechało do niego, by chwycić uzdy jego konia i konia Myrona. Czterech kolejnych ruszyło naprzód, znikając Alricowi z oczu, natomiast trzech zawróciło.

- Dlaczego stajemy? - spytał Alric, ziewając. - Czemu żołnierze się rozdzielili?

- To zradliwa droga, Wasza Królewska Mość - wyjaśnił

Trumbul. - Musimy zachować ostrożność. W dzisiejszych czasach przy eskortowaniu takiej ważnej osoby straż przednia i tylna to konieczność. W nocy może tu czyhać wiele niebezpieczeństw: rozbójnicy, chochliki, wilki - trudno przewidzieć, co można napotkać. Krąży nawet legenda o bezgłowym duchu nawiedzającym tę okolicę. Znasz ją?

- Nie - odparł książę.

Nie spodobał mu się swobodny ton, jakim baron zaczął się nagle do niego zwracać.

- Powiadają, że to duch króla, który zginął właśnie w tym miejscu. Choć właściwie nie był królem, lecz następcą tronu, który pewnego dnia mógł nosić koronę. Widzisz, podobno książę wracał pewnej nocy do domu w towarzystwie swoich dzielnych żołnierzy, kiedy jeden z nich uciął biedakowi głowę i włożył ją do worka... - Trumbul przerwał na chwilę, zdejmując z konia jutowy worek i wyciągając go w kierunku księcia -

...właśnie takiego.

- W co ty się bawisz, Trumbul? - spytał Alric nerwowo.

- Wcale się nie bawię, Wasza Królewska Wysokosc Wszchemocność. Właśnie sobie uświadomiłem, że nie muszę cię odstawić do zamku, żeby dostać zapłatę. Wystarczy, że przywiozę część twojego ciała. Głowa świetnie się nada.

Zaoszczędzę koniowi wysiłku, bo zawsze miałem słabość do koni.

Alric spał wierzchowca ostrogami, ale żołnierz mocno trzymał jego wodze i zwierzę tylko wykonało ostry obrót.

Trumbul natychmiast wykorzystał to

szarpnięcie i ściągnął księcia z siodła. Alric zgiął się wpół

na ziemi, usiłując złapać oddech. W tym samym czasie Trumbul spojrział na Myrona, który siedział w siodle ze zdumioną miną. Podszedł do niego i zagadnął:

- Wyglądasz mi znajomo.

Po czym również jego ściągnął brutalnie z konia i odwrócił

jego głowę w stronę księżyca.

- Przypominam sobie. To ty byłeś tym niezbyt pomocnym zakonnikiem w opactwie, które puściliśmy z dymem.

Prawdopodobnie mnie nie pamiętasz, prawda? Miałem na głowie hełm z przyłbicą. Tak jak wszyscy moi żołnierze. Nasz pracodawca nalegał, żebyśmy zamaskowali twarze. - Spojrzał

na mnicha, do którego oczu zaczęły napływać łzy. - Nie wiem, czy powinienem cię teraz zabić. Wcześniej kazano mi oszczędzić ci życie, abys mógł przekazać wiadomość ojcu, ale nie wydaje mi się, że zdążasz w tym kierunku. Zresztą pozostawienie cię przy życiu było jednym z warunków zlecenia i na nieszczęście dla ciebie już nam zapłacono za jego wykonanie. Wydaje się więc, że mogę zrobić, co mi się podoba.

Myron bez ostrzeżenia kopnął barona w kolano z taką siłą, że Trumbul poluźnił uścisk i mnich się oswobodził, przeskoczył przez kłodę leżącą na ziemi i zniknął w ciemności między drzewami. Rozległ się odgłos pękających gałązek, kiedy biegł jak najdalej od nich. Baron upadł na ziemię, krzycząc z bólu.

- Łapać go! - wrzasnął i dwóch żołnierzy popędziło za mnichem.

Między drzewami się zakotłowało. Alric usłyszał wołanie o pomoc, a następnie dźwięk miecza dobywanego z pochwy.

Kolejny krzyk urwał się gwałtownie

i znów nastąpiła cisza. Trumbul przeklinał zakonnika, wciąż trzymając się za kolano.

- To będzie nauczka dla tej gnidy!

- Jesteś cały, Trumbul? - spytał strażnik trzymający wierzchowca Alrica.

- Nic mi nie jest, daj mi chwilę. Psiakrew, ten zakonnik ma niezłą siłę w nogach.

- Już nigdy więcej nikogo nie kopnie - dodał inny żołnierz.

Baron powoli wstał i obejrzawszy bolące miejsce, podszedł

do leżącego Alrica, wydając po drodze miecz.

- Chwyćcie go za ramiona i mocno przytrzymajcie.

Dopilnujcie, żeby nie sprawiał kłopotów, chłopcy.

Strażnik, za którym jechał Myron, zsiadł z konia i chwycił

księcia za lewe ramię. Drugi unieruchomił mu prawe, mówiąc:

- Tylko uważaj, żebyś przez przypadek nie trafił któregoś z nas.

Trumbul wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Nigdy nie robię nic przez przypadek. Jeśli cię trafię, to znaczy, że zasłużyłeś.

- Jeśli mnie zabijesz, mój wuj cię wytropi - oznajmił księżę.

- Nieważne, gdzie się ukryjesz.

Trumbul zachichotał na te słowa.

- To on nam zapłaci za twoją głowę. Chce twojej śmierci.

- Co takiego? Kłamiesz!

- Wierz, w co chcesz. - Baron wybuchnął śmiechem. -

Pochylcie go, żebym trafił prosto w kark. Chcę ładne trofeum.

Nie cierpię, kiedy muszę potem rąbać jak drwal.

Alric się szamotał, ale żołnierze byli silniejsi od niego.

Wykręcili mu ręce i zmusili go, żeby uklęknął, a potem przysunęli jego głowę do ziemi.

Z gęstwiny dobiegł odgłos pękających gałązek.

- Najwyższy czas. Już myślałem, że nigdy nie wrócicie -

powiedział Trumbul w stronę dwóch strażników wyłaniających się z mroku. - Zdążyliście w samą porę na finał

wieczoru.

Żołnierze trzymający Alrica wykręcili mu ręce jeszcze mocniej, żeby się nie ruszał, ale księżę wyrwał się ze wszystkich sił, krzycząc:

- Nie!!! Stójcie!!! Nie możecie! Stójcie!

Jego wysiłki jednak były nadaremne. Lata machania mieczem jedną ręką i trzymania tarczy w drugiej przemieniły mięśnie żołnierzy w stal. Księżę nie miał z nimi żadnych szans.

Zwiotczał więc, czekając na cios. Ale zamiast świstu ostrza Trumbula w nocnym powietrzu usłyszał dziwny charkot, a potem łoskot. Strażnicy poluźnili uścisk. Jeden nawet zupełnie puścił księcia i Alric usłyszał odgłos jego szybkich kroków, kiedy uciekał drogą. Drugi podciągnął go do pozycji

stojącej, przytrzymując mocno od tyłu. Baron leżał martwy na ziemi.

Po bokach jego zwłok stało dwóch mężczyzn. W ciemności Alric widział jedynie ich sylwetki i nie pasowały one do żół-

nierzy, którzy puścili się w pogoń za Myronem. Spomiędzy drzew dobiegi ich odgłos pękających gałązek.

- Wszyscy do mnie! - krzyknął żołnierz kryjący się za Alrikiem.

Dwaj inni, trzymający konie, puścili wodze i dobyli mieczy.

Ich twarze jednak zdradzały strach.

Z lasu wyszedł Myron i stanął w świetle księżyca, oddychając szybko. Nocne powietrze było zimne i z ust mnicha wydobywały się obłoczki pary.

- Twoi przyjaciele nie przyjdą - usłyszał Alric głos Royce'a.

- Już nie żyją.

Dwaj strażnicy z mieczami w ręku spojrzeli na siebie, po czym popędzili drogą w kierunku karczmy. Ostatni, przytrzymujący Alrica, rozejrzał się dziko. Kiedy Royce i Hadrian zrobili duży krok w jego stronę, nagle zaklął, puścił

księcia i rzucił się do ucieczki.

Alric nie potrafił opanować drżenia, kiedy ścierał z twarzy łzy i brud. Hadrian i Royce pomogli mu wstać. Chwiejąc się na nogach, spojrzął na pozostałych.

- Zamierzali mnie zabić - powiedział. - Zamierzali mnie zabić! - krzyknął.

Odepchnął szorstko Royce'a i Hadriana, wyciągnął miecz ojca i wbił go głęboko w ciało martwego Trum-bula. Zatoczy!

się, ale odzyskał równowagę i dysząc, wpatrywał się w zwłoki, a zatopiony w plecach barona miecz kołysał się lekko do przodu i do tyłu.

Niebawem z obu stron zaczęli nadchodzić ludzie. Wielu przyszło z karczmy, z prymitywną bronią w ręku. Niektórzy byli zakrwawieni, ale nikt nie wyglądał na rannego. Dwóch przyprowadziło konie, na których Royce, Hadrian i Alric jechali od Brodu Wi-cenda. Była wśród nich również chuda postać w łachmanach i bezkształtnym kapeluszu tylko z ciężkim kijem w ręku.

- Ani jeden nam nie uszedł - oświadczył Hall, podchodząc do Alrica. - Jeden próbował nas zmylić, ale mieszaniec go znalazł. Teraz rozumiem, czemu chcieliście, żeby do nas dołączył. Drań widzi w ciemnościach lepiej niż sowa.

- Zgodnie z obietnicą możecie zatrzymać konie ze wszystkim, co na nich jest - oznajmił Hadrian. - Ale jeszcze dziś zakopcie trupy, bo rano moglibyście mieć kłopoty.

- To naprawdę księżę? - spytał ktoś, wpatrując się w Alrica.

- Prawdę mówiąc - odparł Hadrian - patrzcie na nowego króla Melengaru.

Między ludźmi przeszedł szmer uznania i niektórzy zadali sobie nawet fatygę, żeby się uklonić, ale Alric tego nie zauważył. Wyjął miecz z ciała Trumbula i zaczął

przeszukiwać barona. Hall zajął się podziałem łupów i zaczął

je rozdzielać najlepiej, jak umiał.

- Daj półelfowi konia - poprosił go Royce.

- Co takiego? - spytał karczmarz zaskoczony.

- Chcesz, żebyśmy mu dali konia? Jesteś pewny? Większość z tych ludzi tutaj go nie ma.

- Słuchaj - wtrącił się Drake. - Wszyscy dziś walczyliśmy z równym poświęceniem. Może mieć w łupach taki sam udział

jak inni, ale ten nędzny plugawiec nie odejdzie stąd z koniem.

- Nie zabijaj go, Royce - powiedział pospiesznie Hadrian.

Księżę podniósł głowę i zobaczył, jak Drake się cofa, kiedy Royce zrobił krok w jego stronę. Twarz złodzieja była spokojna, ale oczy mu płonęły.

- Jakie jest zdanie króla? - spytał Drake szybko.

- To znaczy... jest królem i tak dalej, no nie? Te konie są teraz jego, co? To jego żołnierze na nich jechali. Niech on zdecyduje... Dobrze?

Nastąpiła przerwa, w czasie której Alric stanął przed tłumem. Nie czuł się za dobrze. Nogi miał słabe, ramiona go bolały i krwawił z zadrapań na czole, podbródku i policzku.

Był ubłocony. Jeszcze się nie otrząsnął ze strachu przed śmiercią, której umknął w ostatniej chwili. Dostrzegł, że Hadrian oddala się w kierunku Myrona. Mnich płakał i Alric wiedział, że on też był

o włos od śmierci, ale jako syn Amratha był królem.

Zacisnął więc zęby i spojrzał na jakieś dwadzieścia brudnych, poplamionych krwią twarzy. Nie potrafił jednak jasno myśleć.

Wciąż przed oczami miał Trumbula. Wciąż był wściekły i czuł upokorzenie. Zerknął na Royce'a i

Hadriana, a potem znów na ludzi.

- Róbcie tak, jak wam każe tych dwóch - oznajmił powoli, wyraźnie, beznamiętnie. - To moi królewscy obrońcy. Każdy, kto się rozmyślnie im sprzeciwi, zostanie stracony.

Po jego słowach zaległa cisza. Alric wsiadł na konia.

- Jedźmy - powiedział.

Hadrian i Royce wymienili zdziwione spojrzenia, a potem dosiedli swych wierzchowców. Mnich milczał i szedł w oszołomieniu dopóty, dopóki Hadrian nie wciągnął go na grzbiet swojego konia.

Kiedy ruszyli, Royce zatrzymał się jeszcze na chwilę przy Hallu i Drake'u i powiedział cicho:

- Dopilnujcie, żeby mieszaniec dostał konia na własność, bo w przeciwnym razie uznam winnymi wszystkich w tym przysiółku. - Po czym dogonił resztę swych towarzyszy.

Przez jakiś czas jechali w milczeniu.

- To mój wuj - syknął w końcu Alric.

Choć starał się panować nad sobą, z oczu zaczęły mu spływać łzy.

- Zastanawiałem się nad tym - odezwał się Hadrian. -

Arcyksiążę jest następny w kolejce do tronu. Tylko że nie jest twoim prawdziwym wujem. Nazywa się Braga, a nie Essendon.

- Ożenił się z siostrą mojej matki.

- Czy ona żyje?

- Nie, zmarła wiele lat temu w pożarze. - Alric uderzył pięścią w łęk siodła. - Nauczył mnie szermierki! Nauczył

mnie jazdy konno! To mój wuj, a próbuje mnie zabić!

Przez pewien czas nikt się nie odzywał, aż w końcu Hadrian spytał:

- Dokąd jedziemy?

Alric pokręcił głową, jakby się budził ze snu.

- Co? Do Pól Drondila, zamku hrabiego Pickeringa. To jest... był jeden z najbardziej zaufanych szlachciców mojego ojca i nasz najbliższy przyjaciel. A także najpotężniejszy przywódca w królestwie. Zbiorę tam wojsko i przed upływem tygodnia ruszę na Medford. I niech Maribor dopomoże człowiekowi lub wujowi, który spróbuje mnie powstrzymać!

*

- To chciałaś zobaczyć? - spytał arcyksiążę Aristę, podnosząc sztylet.

Wysunął go do przodu, aby mogła przeczytać nazwisko

„Percy Braga” napisane wyraźnie na ostrzu krwią jej ojca.

- Rzeczywiście nauczyłaś się kilku rzeczy od Esra-haddona.

To jednak niczego nie dowodzi. Na pewno nie dźgnąłem nim twojego ojca. Nawet nie było mnie w pobliżu kaplicy, kiedy został zamordowany.

- Ale to ty wydałaś rozkaz. Może nie wbiłaś sztyletu w jego ciało, ale to ty odpowiadasz za śmierć króla! - Arista otarła łzy z oczu. - Ufał ci. Wszyscy ci ufaliśmy. Należałaś do rodziny!

- Są ważniejsze rzeczy od rodziny, moja droga. Tajemnice, straszne tajemnice, do których ujawnienia nie wolno dopuścić. Choć może trudno ci w to uwierzyć, naprawdę zależy mi na tobie, twoim bracie i twoim...

- Nie waż się tego powiedzieć! - krzyknęła do niego. -

Zamordowałaś mojego ojca!

- To było konieczne. Gdybyś tylko znała prawdę, zrozumiałabyś, o jaką stawkę tu chodzi. Istnieją powody, dla których musiał zginąć twój ojciec, a także brat.

- A ja?

- Niestety, też. Ale takie sprawy trzeba załatwiać delikatnie.

Jedno morderstwo to nic niezwykłego, a zniknięcie Alrica okazało się właściwie bardzo korzystną okolicznością - gdyby wszystko poszło zgodnie z planem, sprawa wyglądałaby znacznie bardziej podejrzanie. Przypuszczam, że śmierć dosięgnie go w jakimś odludnym miejscu, daleko stąd.

Właściwie ułatwiłaś mi zadanie. Bez trudu przekonam innych, że wynajęłaś tych dwóch złodziei do zamordowania swojego ojca i brata. Widzisz, już zasiałem ziarno podejrzania, z którego kiełkuje przekonanie, że coś jest nie w porządku. Tej nocy, kiedy zginął twój ojciec, kazałem czekać w gotowości kapitanowi Wylinowi z oddziałem żołnierzy. Po prostu powiem, że kiedy nie wyszło ci podwójne morderstwo, usiłowałaś naprawić sytuację, uwalniając zabójców. Mamy kilku świadków, którzy mogą o tym zaświadczyć.

Niezwłocznie ogłoszę twój proces i wezwę na dwór wszystkich szlachciców. Usłyszą o twoim wiarołomstwie, zdradach i niegodziwych uczynkach. Dowiedzą się, jak wykształcenie i czary przemieniły cię w żądną władzy zabójczynię.

- Nie ośmielisz się! Jeśli mnie postawisz przed szlachcicami, wyjawię im prawdę!

- To będzie trudne, bo każę cię zakneblować. Przecież -

spojrzał na swoje nazwisko połyskujące na klindze -jesteś czarodziejką i nie możemy pozwolić, abyś rzuciła na nas zaklęcie. Kazałbym ci uciąć teraz język, ale przed procesem mogłoby to wyglądać podejrzanie.

- Rozejrzał się jeszcze raz po sypialni i skinął głową.

- Pomyliłem się. W sumie pochwałam twój wybór kwatery.

Kiedyś miałem inne plany co do tej wieży, ale teraz sądzę, że to będzie idealne miejsce dla ciebie na oczekiwanie na proces w odosobnieniu. Zważywszy na to, ile czasu tu spędzasz, praktykując swoje sztuki, nikt nie zauważy różnicy.

Ruszył do wyjścia, zabierając sztylet. Kiedy otworzył drzwi, zauważyła, że stoi za nimi brodaty krasnolud z młotkiem w ręku. Wkrótce usłyszała stukanie i wiedziała już, że jest zamknięta na dobre.

Rozdział 7

Polą Drondilą

Jechali przez większą część nocy. W końcu stanęli, kiedy Myron spadł z konia, zasnęwszy za plecami Hadriana. Nie rozsiodławszy zwierząt, przespali się krótko w zaroślach i niebawem wrócili na drogę. Kiedy przejeżdżali przez sad, każdy zerwał kilka jabłek i zjadł po drodze. Niewiele było widać, dopóki nie wstało słońce. Wtedy zaczęli się pojawiać robotnicy. Jakiś starzec wiozł zaprzężonym w woły wozem mleko i ser. Kawałek dalej na drodze młoda dziewczyna niosła kosz jajek. Myron bacznie się jej przyglądał, kiedy ją mijali, a ona spojrzała na niego, uśmiechając się nieśmiało.

- Nie gap się, Myron - ostrzegł go Hadrian. - Pomyślą, że coś knujesz.

- Są jeszcze ładniejsze od koni - zauważył mnich, co rusz spoglądając przez ramię na dziewczynę, która zostawała coraz bardziej w tyle.

Hadrian wybuchnął śmiechem.

- To prawda, ale im bym tego nie mówił.

Przed nimi wznosiło się wzgórze, na którym stał zamek, zgoła odmienny od siedziby Essendonów - bardziej przypominał fortecę niż szlachecki pałac.

- Polą Drondilą - oznajmił Alric.

Księżę właściwie milczał od ciężkiej próby, którą przeszedł

poprzedniej nocy. Nie skarżył się ani na długą podróż, ani na zimne nocne powietrze. Zamiast tego wpatrywał się w zadumie w ścieżkę przed sobą.

- Dziwna nazwa jak na zamek - zauważył Hadrian.

- Brodic Essendon zbudował go po upadku panowania namiestnika, gdy przez kraj przetaczały się wojny - wyjaśnił

Myron. - Jego syn Tolin Wielki dokończył dzieła, pokonał

Lothomada Łysego i ogłosił się pierwszym królem Melengar. Stoczyli bitwę na polach należących do gospodarza o nazwisku Drondil i później ten cały obszar stał

się znany pod nazwą Polą Drondilą. Tak przynajmniej głosi legenda.

- Kim był Lothomad? - spytał Hadrian.

- Królem Trentu. Po straceniu Glenmorgana III Lothomad wykorzystał okazję i wysłał swoje wojska na południe. Gdyby nie Tolin Essendon, Ghent i Melengar należałyby dziś do Trentu.

- Zakładam, że dlatego nazwali go Wielkim.

- Właśnie.

- Ładna konstrukcja. Kształt pięcioramiennej gwiazdy uniemożliwia znalezienie ślepej ściany, na którą można by się wspiąć po drabinie.

- To najmocniejsza forteca w Melengarze - potwierdził

Alric.

- Zatem dlaczego Essendonowie przenieśli się do Medfordu? - spytał Royce.

- Po wojnach - wyjaśnił Myron - Tolin uznał, że życie w takiej ponurej fortecy jest przygnębiające. Postawił zamek w Medfordzie, a Galilin powierzył swojemu najlojalniejszemu generałowi Seadricowi Pickilerinonowi.

- Syn Seadrica skrócił nazwisko do Pickering - dodał Alric.

Hadrian zauważył na jego twarzy wyraz zadumy i melancholijny uśmiech na ustach.

- Moja rodzina zawsze była w zażyłych stosunkach z Pickeringami. Nie łączą nas węzły krwi, ale Mauvin, Fanen i Denek zawsze byli dla mnie jak bracia. Spędzamy z nimi prawie każde zimonia i latonia.

- Założę się, że innych szlachciców to nie cieszy - zauważył

Royce. - Zwłaszcza tych spokrewnionych.

Alric przytaknął.

- Z ich zazdrości jednak nic nigdy nie wynikło - powiedział.

- Nikt by się nie odważył rzucić wyzwania Pickeringowi.

Zdolności szermiercze mężczyzn z tego rodu przeszły już do legendy. Podobno Seadric nauczył się pradawnej sztuki tek'chin od ostatniego żyjącego członka zakonu fauldów.

- Kogo? - spytał Hadrian.

- Z tego, co słyszałem - co mi powiedział Mauvin - było to postimperialne bractwo usiłujące zachować przynajmniej część prastarych umiejętności rycerzy Teshlor.

- A co to byli za jedni?

- Teshlorowie? - Alric spojrzał na niego zdumiony. - To najwięksi wojownicy w historii. Kiedyś strzegli samego imperatora. Ale jak wszystko inne ich kunszt zniknął wraz z imperium. To jednak, czego Seadric nauczył się od rycerzy zakonu fauldów, a przypuszczam, że był to tylko niewielki fragment umiejętności Tesh-lorów, uczyniło z niego legendę.

I wiedzę tę przekazywano z ojca na syna przez wiele pokoleń i daje ona Pickeringom niesamowitą przewagę w walce.

- Wszyscy dobrze o tym wiemy - wymamrotał Hadrian.

- Ale jak już powiedziałem, forteca została dobrze rozplanowana, z wyjątkiem tych drzew. - Wskazał na sad. -

Ten lasek stanowiłby dobrą osłonę dla nacierającej armii.

- To wzgórze nigdy tak nie wyglądało - wyjaśnił Alric. -

Dawniej wszystkie drzewa były wycięte. Pickeringowie zasadzili ten sad zaledwie kilka pokoleń temu. Tak samo te krzewy różane i rododendrony. Pola Drondila nie były świadkiem wojny od pięciuset lat i przypuszczam, że hrabiowie nie widzieli niczego złego w owocach, cieniu i kwiatach. Dlatego forteca Seadrica Pickilerinona przypomina teraz bardziej posiadłość wiejską.

Podjechali do wejścia i Alric prowadził ich bez zatrzymywania się.

- Hej! Wy tam! Stać! - rozkazał otyły strażnik stojący przy bramie. Trzymał kawałek ciasta w jednej ręce i półlitrową szklankę mleka w drugiej. Jego broń leżała z boku. - A wy dokąd? Wydaje wam się, że urządzicie tu sobie piknik?

Alric zdjął kaptur i strażnik upuścił ciasto i mleko.

- Ja... przepraszam, Wasza Wysokość - wyjąkał, stając na baczność. - Nie miałem pojęcia, że dziś Wasza Wysokość przyjeżdża. Nikt mi nie powiedział. - Wytarł ręce i strzepnął

okruszki z munduru. - Czy przyjadą także pozostali członkowie rodziny królewskiej?

Alric go zignorował, przejeżdżając przez bramę i drewniany most prowadzący do zamku. Pozostali pojechali za nim bez słowa, a strażnik gapił się za nimi ze zdumieniem.

Wewnętrzny dziedziniec również nie nasuwał skojarzeń z fortecą. Był to ładny ogród ze zgrabnie przyszyzonymi krzewami i pojedynczymi, starannie przyciętymi drzewkami.

Poranny wietrzyk marszczył

kolorowe chorągwie w odcieniach zieleni i złota wiszące po obu stronach kolumnowego wejścia do warowni. Trawa wyglądała na zadbaną, choć pożółkła już z powodu chłódów.

Pod zieloną markizą czekały wozy i furmanki, przeważnie z pustymi koszami wykorzystywanymi do zbierania owoców.

Na dnie jednego z nich leżało kilka jabłek. Obok stodoły, w której krowy domagały się głośno porannego dojenia, stała stajnia. Włochaty pies w biało-czarne łaty obgryzał kość przy studni zbudowanej z kamienia polnego, a rodzina białych kaczek maszerowała gęsiego, wesoło przy tym

kwacząc.

Robotnicy zwawo wykonywali swoje obowiązki: przynosili wodę, rąbali drewno, doglądali zwierząt. Czasami niewiele brakowało, by nadepnęli na spacerujące kaczki.

Na podwórku niedaleko kuźni, w której muskularny mężczyzna uderzał młotem w podłużny kawał rozżarzonego metalu, dwóch młodzieńców ćwiczyło walkę na miecze. Mieli hełmy i małe trójkątne tarcze. Trzeci młodzian siedział oparty plecami o schody do warowni i kawałkiem kredy zapisywał

na tabliczce wynik pojedynku.

- Tarcza wyżej, Fanen! - krzyknął wyższy.

- A co z moimi nogami?

- Nie będę atakował twoich nóg. Nie chcę opuszczać miecza i dawać ci przewagi, za to ty musisz trzymać tarczę wysoko, żeby sparować cios z góry. To twoje najsłabsze miejsce. Jeśli uderzę cię wystarczająco mocno, a ty nie będziesz przygotowany, upadniesz na kolana. Na co ci wtedy nogi?

- Ja bym go posłuchał, Fanen! - zawołał Alric do chłopca. -

Mauvin to osioł, ale zna się na ciosach.

- Alric!

Wyższy młodzieniec zdjął hełm i podbiegł uścisnąć księcia, kiedy ten zsiadł z konia. Na dźwięk tego imienia kilku służących podniosło głowę ze zdziwieniem.

Mauvin miał prawie tyle samo lat co Alric, ale był wyższy i znacznie szerszy w ramionach. Czupryna ciemnych włosów spadała mu na czoło, a olśniewająco białe zęby zaśniły, kiedy się uśmiechnął szeroko do przyjaciela.

- Co tu robisz i, na Mara, za kogo ty się przebrałeś?

Wyglądasz strasznie. Jechałeś przez całą noc? I twoja twarz...

Upadłeś?

- Mam kiepskie wieści. Muszę niezwłocznie porozmawiać z twoim ojcem.

- Nie jestem pewien, czy już wstał, a jest zły jak osa, kiedy się go wcześniej zbudzi.

- To pilna sprawa.

Mauvin przyjrzał się księciu i przestał się uśmiechać.

- A więc to nie jest nieformalna wizyta?

- Bardzo żałuję, ale nie.

Mauvin odwrócił się do najmłodszego brata.

- Denek - polecił. - Idź obudzić ojca. Chłopiec z tabliczką pokręcił głową.

- Ja tego nie zrobię. Mauvin wlepił w niego wzrok.

- W tej chwili! - krzyknął tak głośno, że tamten się przestraszył i pobiegł do zamku.

- O co chodzi? Co się stało? - spytał Fanen, upuszczając helm i tarczę na trawę i podchodząc do Alrica, żeby też go uścisnąć.

- Czy ostatnio dotarły tu do was jakieś wieści z Medfordu?

- Nic o tym nie wiem - odparł Mauvin z wyrazem jeszcze większego zaniepokojenia na twarzy.

- Nie było jeźdźców? - spytał Alric. - Listów do hrabiego?

- Nie, Alricu. O co chodzi?

- Mój ojciec nie żyje. Został zamordowany przez zdrajcę.

- Co takiego?! - wykrzyknął Mauvin, robiąc krok do tyłu.

To nie było pytanie, lecz reakcja na szokującą wiadomość.

- To niemożliwe! - wykrzyknął Fanen. - Król Am-rath martwy? Kiedy to się stało?

- Szczerze mówiąc, nie wiem, ile minęło czasu. Dni po jego śmierci były pełne wydarzeń i straciłem rachubę. Jeżeli wieść tu jeszcze nie dotarła, to przypuszczam, że minęło najwyżej kilka dni.

Wszyscy robotnicy przerwali pracę i stanęli wkoło, przysłuchując się bacznie. Odgłos rytmicznych uderzeń kowala ucichł i jedynie odległe muczenie krowy i kwakanie kaczek przerywało ciszę, jaka zaległa na dziedzińcu.

- Co to za zamieszanie? - spytał hrabia Pickering, wychodząc z zamku. Przystawił dłoń do czoła, by osłonić oczy przed jaskrawym porannym słońcem. - Chłopak wpadł

zdyszany i wysapał, że chodzi o pilną sprawę.

Hrabia był szczupłym mężczyzną w średnim wieku, z haczykowatym nosem i przystrzyżoną, przedwcześnie posiwiąłą brodą. Miał na sobie złoto-fioletowy szlafrok narzucony na koszulę nocną. Za nim szła jego żona Belinda, spoglądając nerwowo po zgromadzonych na dziedzińcu.

Hadrian wykorzystał to, że Pickering był oślepiiony przez słońce, i zaryzykował i Hugie spojrzenie na nią. Pogłoski o jej urodzie okazały się prawdą. Była o kilka lat młodsza od męża, szczupła i

nadzwyczajnej figury. Złote włosy spływały jej uroczo na ramiona. Normalnie nie pokazałaby się publicznie, nie upiawszy ich wcześniej. Hadrian zrozumiał, dlaczego hrabia tak zazdrośnie jej strzegł.

- O retę - powiedział Myron do Hadriana, wierząc się w siodle, żeby mieć lepszy widok. - Kiedy na nią patrzę, zapominam o koniach.

Hadrian zsiadł z wierzchowca i pomógł zeskoczyć mnichowi.

- Podzielam twoją opinię, przyjacielu, ale wierz mi, na tę kobietę lepiej się nie gapić.

- Alric? - spytał hrabia. - Co ty tu, u licha, robisz o tej porze?

- Ojczy, zamordowano króla Amratha - oznajmił drżącym głosem Mauvin.

Pickering stanął w oszołomieniu. Powoli opuścił rękę i spojrzał wprost na księcia.

- To prawda? - spytał. Alric skinął poważnie głową.

- Przed kilkoma dniami. Zdrajca wbił mu sztylet w plecy w trakcie modlitwy.

- Zdrajca? Kto taki?

- Mój wuj, arcyksiążę i lord kanclerz Percy Braga.

*

Alric udał się na spotkanie w cztery oczy z hrabią Pickeringiem, a Royce, Hadrian i Myron, kierując się węchem, ruszyli w stronę kuchni. Tam poznali Elle, białowłosą kucharkę, która poczęstowała ich obfitym śniadaniem, ciesząc się z okazji do poplotkowania.

Jedzenie w Polach Drondila znacznie przewyższało jakością posiłek Pod Srebrnym Dzbanem. Ella nie skąpiła jajek, puszystego pieczywa, świeżego masła, steków, bekonu, biszkopcików, doprawionych pieprzem ziemniaków i sosu mięsnego, a na deser postawiła dzbanek jabłecznika i jabłka zapiekane w cieście z syropem klonowym.

Najedli się do syta w zacisznej kuchni. Hadrian niewiele dodał do tego, co Alric już ujawnił na dziedzińcu. Wspomniał

jednak, że Myron spędził życie w odosobnieniu w klasztorze.

Ella wydawała się tym zafascynowana i bezlitośnie wypytywała o to mnicha.

- A więc do dzisiaj nie widziałeś kobiety, kochaniutki? -

spytała Myrona, który kończył jeść ciastko. A pochłaniał je z takim apetytem, że nie czuł, iż wokół ust przykleiły mu się okruchy.

- Jesteś pierwszą, z jaką kiedykolwiek rozmawiałem -

odparł, jakby się chwalił wielkim osiągnięciem.

- Coś podobnego - powiedziała Ella z uśmiechem i udawanym zawstydzeniem. - Jestem zaszczycona. Już od dawna nie byłam pierwszą dla żadnego mężczyzny. -

Wybuchnęła śmiechem, ale Myron tylko spojrzał na nią zaskoczony.

- Masz śliczny dom - stwierdził, by ukryć zmieszanie. -

Wygląda bardzo... solidnie.

Znów się roześmiała.

- Nie jest mój, kurczaczku, ja tu tylko pracuję. Należy do arystokratów, tak jak wszystkie ładne miejsca. My, zwykli ludzie, mieszkamy w szopach i chałupach i bijemy się o to, co oni wyrzucają. Przypominamy pod tym względem psy, prawda? Ale ja się nie skarżę. Pickeringowie nie są źli.

Niektórzy szlachcice zaś myślą, że słońce wschodzi i zachodzi tylko dlatego,

że to sprawia im przyjemność. Hrabia nawet nie ma pokojówki. I sam się ubiera. Nieraz widziałam, jak sam sobie przynosi wodę. A jego synowie wdali się w niego. Widać to po sposobie, w jaki siodłają konie. Niedawno widziałam, jak Fanen macha młotem kowalskim. Kazał Vernowi pokazać, jak się naprawia klingę. Pytam się, ilu szlachciców próbuje się nauczyć fachu kowalskiego? Ktoś jeszcze chce jabłecznika?

Wszyscy pokręcili głowami i po kolei ziewnęli.

- Za to Lenare wdala się w matkę. Są jak bliźniaczki. Obie pięknie wyglądają i pachną słodko jak róże, ale nie są pozbawione cierni. Obie mają straszny temperament, a córka jest jeszcze gorsza od matki. Dawniej ćwiczyła z braćmi i bezlitośnie pokonywała Fanena dopóty, dopóki nie odkryła, że jest damą i że damie to nie wypada.

Oczy same się Myronowi zamknęły, głowa mu opadła i nagle krzesło się przewróciło, kiedy mnich z niego spadł.

Zbudził się ze wzdrygnięciem i z trudem podniósł na kolana.

- Strasznie przepraszam, nie chciałem...

Ella tak się zaśmiewała, że nie mogła odpowiedzieć i po prostu machnęła do niego ręką.

- Miałeś ciężką noc, skarbie - zdołała w końcu powiedzieć. -

Idź się położyć na zapleczu, zanim to krzesło znów cię zrzuci.

Myron zwiesił głowę.

- Mam ten sam problem z końmi - wyznał cicho.

*

Alric opowiedział swoją historię Pickeringom przy śniadaniu. Gdy tylko skończył, hrabia odesłał synów i kazał podwładnym rozpocząć przygotowania do pełnej mobilizacji Galilinu. Kiedy wydawał rozkazy, Alric opuścił

wielki hol i zaczął się przechadzać po korytarzach zamku. Po raz pierwszy od śmierci ojca był sam. Czuł się tak, jakby porwał go prąd rzeki, jakby się unosił na fali wydarzeń, które się wokół niego rozgrywały. Nadszedł czas, by wziąć sprawy w swoje ręce.

Choć siedziba Pickeringów była mniejsza od zamku Essendonów, wydawała się większa, gdyż jej najniższy poziom był rozleglejszy - zajmował większą część wzgórza.

Zamek Alrica oprócz wysokich komnat miał też kilka wież wznoszących się na wiele pięter, natomiast Pola Drondila w najwyższym punkcie sięgały wysokości zaledwie czwartego.

Jako forteca musiały być zabezpieczone przed ogniem, dlatego nie pokryto ich drewnianym dachem, lecz kamiennym, który trzeba było podeprzeć grubymi murami.

Przez małe i głęboko osadzone okna wpadało niewiele światła, co sprawiało, że wnętrza przypominały jaskinie.

Alric przypomniał sobie, jak w dzieciństwie biegał tymi korytarzami za Mauvinem i Fanenem. Urządzali razem udawane walki, które niezmiennie wygrywali Pickeringowie.

A on zawsze przebijał ich atutem, że kiedyś zostanie królem.

W wieku dwunastu lat cudownie było dopiec przyjacielowi, który go pokonał, mówiąc: „W porządku, ale to ja zostanę królem. A ty będziesz musiał mi się kłaniać i robić to, co każe”. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że aby tak się stało, musi umrzeć jego ojciec.

Nie miał pojęcia, co naprawdę oznacza bycie królem.

Chociaż teraz nim był. Zawsze wyobrażał sobie, że nastąpi to w bardzo odległej przyszłości. Jego ojciec był silnym człowiekiem i Alric ufał, że będzie księciem jeszcze przez wiele lat. Zaledwie kilka miesięcy temu, na festynie latonaliowym razem z Mauvinem zaplanował roczną wyprawę do czterech narożników Apela-dornu. Chcieli odwiedzić Delgos, Calis, Trent, a nawet odnaleźć baśniowe Percepliaus. Ich marzeniem z dzieciństwa było odkrycie i zbadanie starożytnej stolicy dawnego imperium novrońskiego.

Mauvin miał nadzieję, że natrafi na inne sztuki rycerzy Teshlor, a Alric zamierzał odszukać starożytną koronę Novrona. Kiedy mówili o tym ojcom, nie wspomnieli o Percepliaus. Ale to i tak nie miało większego znaczenia, gdyż nikt nie wiedział, gdzie leżało to zaginione miasto. Poza tym samo

poszukiwanie starożytnej stolicy imperium uważano za herezję. Dla Alrica jednak zarówno te chłopięce marzenia, jak i młodzięczy etap życia dobiegły końca. Jestem teraz królem

- pomyślał znowu.

Wyobrażenia o niebezpiecznych przygodach, kiedy to przedzierałby się przez tereny graniczne, pijąc kiepskie piwo, śpiąc pod gołym niebem i kochając się z ciągle nowymi kobietami, rozwiały się jak dym na wietrze. Zamiast tego zaczął myśleć o komnatach pełnych starców z rozgniewanymi twarzami. Kilka razy przyglądał się zwołanemu przez ojca posiedzeniu dworu i słyszał, jak kler i szlachta domagają się obniżenia podatków i więcej ziemi. Któryś hrabia zażądał

nawet stracenia jakiegoś księcia i przekazania mu jego ziem z powodu zabicia przez tamtego jednej z jego hołubionych krów. Alric miał wrażenie, że ojciec siedział przygnębiony, kiedy nadworny sekretarz odczytywał liczne petycje i skargi, których rozstrzygnięcie należało do obowiązków monarchy.

Wtedy zrozumiał, że bycie królem nie oznacza samowoli, ale umiejętność zawierania kompromisów i łagodzenia sporów.

Król nie mógł rządzić

bez wsparcia szlachciców, a ci nigdy nie byli całkowicie zadowoleni. Zawsze oczekiwali czegoś więcej.

A teraz ja jestem królem - powtórzył po raz kolejny i zabrzmiało to jak wyrok więzienia. Resztę życia, podobnie jak jego ojciec, spędzi na służeniu poddanym, szlachcicom i rodzinie. Zastanawiał się, czy Amrath czuł to samo, kiedy umierał jego ojciec. Nigdy wcześniej o tym nie myślał, nie zastanawiał się, czy ojciec był szczęśliwy, czy czuł ciężar marzeń, jakie być może poświęcił. Ale pierwszym obrazem, jaki mu się nasuwał na wspomnienie ojca, była jego krzaczasta broda i jasne, uśmiechnięte oczy. Amrath często się uśmiechał. Alric jednak nie wiedział, czy dlatego że cieszyło go bycie królem, czy że przebywanie z synem stanowiło dla niego niezbędne wytchnienie od spraw wagi państwowej. Alric nagle zatęsknił, aby jeszcze raz go zobaczyć. Żałował, że nigdy nie porozmawiał z nim jak mężczyzna z mężczyzną, nie poprosił o wskazówki, które by go przygotowały na ten dzień. Był całkowicie osamotniony i niepewny, czy podoła zadaniom, które przed nim stały.

Najbardziej jednak żałował tego, że nie może po prostu zniknąć.

*

Hadriana zbudził ostry szczęk metalu.

Po śniadaniu wyszedł na dziedziniec, gdzie mimo coraz większego chłodu znalazł miejsce na drzemkę na skrawku miękkiego trawnika skąpanego w promieniach słońca. Myślał, że przymknął oczy zaledwie na chwilę, ale po ich otwarciu zobaczył, że było już dobrze po południu. Po drugiej stronie dziedzińca znów ćwiczyli synowie Pickeringa.

-Atakuj, Fanen! - rozkazał Mauvin przytłumionym przez hełm głosem.

- Po co? Znów mnie trzaśniesz!

- Musisz się nauczyć.

- Nie widzę powodu - zaprotestował Fanen. - Nie zamierzam być zawodowym żołnierzem ani żyć z wy-stępowania w turniejach. Jestem drugim synem. Skończę na układaniu ksiązek w jakimś klasztorze.

- To nie drudzy synowie idą na zakonników, tylko trzeci. -

Mauvin podniósł przyłbicę, żeby wyszczerzyć zęby do Deneka. - Drudzy są zapasowi - wyjaśnił.

- Musisz umieć walczyć na wypadek, gdybym zmarł na jakąś rzadką chorobę. A jeśli nie umrę, będziesz się włóczył

po kraju i sam sobie radził. A to oznacza życie najemnika lub uczestnika turniejów. Jeżeli zaś ci się poszczęści, wylądujesz na posiadzie szeryfa, marszałka lub zbrojnego w służbie jakiegoś hrabiego albo księcia. Obecnie to niewiele gorsze od tytułu ziemskiego. Ale nie dostaniesz żadnej z tych posiad albo długo nie pożyjesz, jeśli nie będziesz umiał walczyć. A więc zaatakuj mnie jeszcze raz i tym razem wykonaj obrót, zrób krok i zadaj pchnięcie.

Hadrian zbliżył się do miejsca, gdzie walczyli, i usiadł na trawie obok Deneka, żeby popatrzeć. Dwunastoletni chłopiec zerknął na niego z zaciekawieniem.

- Kim jesteś?

- Mam na imię Hadrian - odparł, wyciągając rękę, którą chłopiec uściśnął mocniej, niż to było konieczne.

- Jesteś Denek, prawda? Trzeci syn Pickeringa. Może powinieneś porozmawiać z moim przyjacielem Myronem, skoro masz iść do klasztoru.

- Nie! - krzyknął. - Nie pójdę do klasztoru. Umiem walczyć nie gorzej od Fanena.

- Wcale mnie to nie dziwi - powiedział Hadrian. - Fanen ma płaskostopie i kłopoty z utrzymaniem równowagi. I niewiele się poprawi, bo uczy go Mauvin, który z kolei za bardzo oszczędza swoją prawą i za bardzo się kołysze na lewej nodze.

Denek uśmiechnął się szeroko do Hadriana, a następnie zwrócił do braci:

- Hadrian mówi, że walczyście jak baby!

- Co to ma znaczyć? - zdziwił się Mauvin, odparowując kolejny raz słaby atak Fanena.

- Nic takiego. - Hadrian usiłował zbagatelizować sprawę i spojrzał groźnie na Deneka, który nie

przestawał szczerzyć zębów. - Wielkie dzięki - powiedział do chłopca.

- A więc myślisz, że zdołasz mnie pokonać w pojedynku? -

spytał Mauvin.

- Nie, nie o to chodzi. Wyjaśniałem tylko Denekowi, że moim zdaniem nie będzie musiał iść do klasztoru.

- Bo walczymy jak baby - dodał Fanen.

- Nic podobnego.

- Daj mu swój miecz - powiedział do brata Mauvin. Fanen rzucił miecz, który wbił się w murawę mniej niż pół metra od nóg Hadriana. Rękojeść kołysała się do przodu i do tyłu jak koń na biegunach.

- Jesteś jednym ze złodziei, o których Alric nam opowiadał, tak? - Mauvin machnął zręcznie mieczem w powietrzu.

Takich ciosów nie wykonywał w udawanych walkach z bratem. - Pomimo wielkiej przygody, którą przeżyliście, nie przypominam sobie, żeby Alric wspominał o twojej nadzwyczajnej umiejętności fechtowania.

- Chyba zwyczajnie zapomniał - zażartował Hadrian.

- Znasz legendę o Pickeringach?

- Powiadają, że twoja rodzina dobrze walczy na miecze.

- A więc słyszałeś? Mój ojciec jest drugim szermierzem w Avrynie.

- Jest najlepszy - warknął Denek. - Pokonałby arcyksięcia, gdyby miał własny miecz, ale musiał skorzystać z innego, który był za ciężki i nieporęczny.

- Denek, ile razy mam ci powtarzać, że człowiek nie poprawia swojej reputacji poprzez szukanie usprawiedliwień po przegranej walce. Arcyksiążę wygrał potyczkę. Musisz się z tym pogodzić - upomniał go Mauvin i zwrócił się znów do Hadriana: - Skoro już mowa o walkach, to weź miecz, a zademonstruję ci tek'chin.

Hadrian podniósł broń i wszedł na plac ćwiczeń.

Zamarkował cios, po czym wykonał pchnięcie, które Mauvin z łatwością zbił.

- Spróbuj jeszcze raz - zachęcał młodzieniec.

Hadrian spróbował wykonać trochę bardziej wyrafinowany manewr. Tym razem wyrzucił ramię w prawo, zrobił nim obrót w lewą stronę i wykonał cięcie od dołu w stronę uda Mauvina. Syn

Pickeringa poruszał się szybko i precyzyjnie.

Przewidział pozorowany atak i jeszcze raz odbił klingę.

- Walczysz jak uliczny zbir - ocenił.

- Bo nim jest - zapewnił ich Royce, nadchodząc od strony warowni. - To wielki, tępy, uliczny zbir. Kiedyś widziałem, jak staruszka sprąła go na kwaśne jabłko maselnicy. A teraz w co się wplątałeś? - spytał Hadriana. - Wygląda na to, że ten dzieciak ci dołoży.

Mauvin zeszywniał i spiorunował Royce'a spojrzeniem.

- Chciałbym ci przypomnieć, że jestem synem hrabiego i dlatego masz o mnie mówić „lord” lub przynajmniej „pan”, ale nie „dzieciak”.

- Lepiej uważaj, Royce, bo będziesz następny w kolejce -

ostrzegł go Hadrian, zataczając koło i szukając luki w obronie Mauvina.

Spróbował kolejnego ataku, ale też został zablokowany.

Mauvin zrobi! szybki krok do przodu, zasłonił miecz Hadriana swoim, podłożył najemnikowi nogę i przewrócił go na ziemię.

- Jesteś dla mnie za dobry - przyznał Hadrian, kiedy chłopak wyciągnął rękę, by pomóc mu wstać.

- Spróbuj jeszcze raz! - krzyknął Royce. Hadrian spojrzał na niego z poirytowaniem i wtedy

dostrzegł młodą kobietę wchodzącą na dziedziniec. To była Lenare. Miała na sobie długą suknię w kolorze zgaszonego złota, który był zbliżony do barwy jej włosów. Bez wątplenia dorównywała urodą matce.

- Kto to jest? - spytała, podchodząc do nich i wskazując na Hadriana.

- Hadrian Blackwater - przedstawił się najemnik, pochylając głowę w ukłonie.

- Cóż, panie Blackwater, wygląda na to, że mój brat cię pokonał.

- Na to wygląda - przyznał Hadrian, otrzepując się z kurzu.

- Nie ma się czego wstydzić. Mój brat jest bardzo dobrym szermierzem - właściwie zbyt dobrym. Ma paskudny zwyczaj odstraszenia wszystkich potencjalnych zalotników.

- Nie są ciebie warci, Lenare - powiedział Mauvin.

- Spróbuj jeszcze raz - powtórzył Royce. W jego głosie pobrzmiwała nutka złości.

- Możemy? - spytał uprzejmie Mauvin, kłaniając się.

- Zgódź się - poprosiła go Lenare, klaszcząc w ręce z zachwytem. - Nie bój się, on cię nie zabije. Ojciec nie lubi, kiedy robią komuś krzywdę.

Hadrian uśmiechnął się do Royce'a z wyższością, po czym odwrócił się do Mauvina. Tym razem nie próbował się bronić.

Stał nieruchomo, z opuszczonym mieczem, wpatrując się chłodnym wzrokiem w oczy Mauvina.

- Zastój się, głupcze - powiedział do niego młodzieniec. -

Przynajmniej spróbuj się bronić. Hadrian uniósł powoli miecz bardziej w odpowiedzi na prośbę Mauvina niż po to, żeby podjąć walkę. Chłopak zrobił krok do przodu, wykonując szybkie machnięcie, które miało spowodować, że Hadrian straci równowagę, następnie obrócił się wokół własnej osi i postawił nogę za najemnikiem, próbując ponownie go podciąć. Hadrian jednak też się obrócił wokół własnej osi i robiąc wymach nogą, trafił Mauvina pod kolana. Młodzieniec upadł na ziemię. Spojrzał na Hadriana z zaciekawieniem, kiedy ten pomagał mu wstać.

- Nasz uliczny zbir ma w zanadrzu kilka niespodzianek -

wymamrota! z uśmiechem.

Tym razem wykonał serię szybkich ciosów, ale tylko raził

powietrze, gdyż Hadrian robił udane uniki. Syn Pickeringa parł naprzód, wykonując tak szybkie wymachy, że oko nie nadążało za ostrzem jego miecza. Teraz Hadrian parował

ciosy i słychać było zgrzyt stali.

- Mauvin, uważaj! - krzyknęła Lenare. Przyjacielska potyczka nagle zmieniła się w zaciętą

walkę. Uderzenia były coraz szybsze, mocniejsze i bliższe celu. Ostry szcęk zaczął się odbijać echem od ścian dziedzińca. Pomruki i przekleństwa stawały się coraz groźniejsze. Przez pewien czas walczyli w zwarciu, nagle Mauvin wykonał błyskotliwy manewr. Markując cios z lewej strony, zrobił półobrót i stanął do przeciwnika plecami. W tym momencie Hadrian chciał go ciąć w pasie, ale chłopak genialnie się zastonił, przekładając miecz nad głowę tak, że zablokował klingę najemnika. Wykonując kolejny półobrót, młodzieniec odepchnął miecz przeciwnika na bok i chciał zadać cios z góry w odkryty bok Hadriana. Zanim jednak zdążył opuścić ostrze, najemnik skrócił odległość między nimi i miecz Mauvina przeciął powietrze za jego plecami. Hadrian uwięził pod swoją pachą rękę chłopca trzymającą miecz i przyłożył własne ostrze do jego gardła.

Braciom i siostrze Mauvina aż zaparło dech z wrażenia.

Royce tylko zachichotał ze złośliwą satysfakcją. Hadrian natychmiast zwolnił uścisk i puścił Mauvina.

- Jak to zrobiłeś? - spytał Mauvin. - Wykonałem bezbłędnie atak vi'shin. To jeden z najbardziej zaawansowanych manewrów tek'chin. Nikomu wcześniej nie udało się przed nim obronić.

Hadrian wzruszył ramionami.

- Zawsze jest ten pierwszy raz.

Rzucił miecz, który wbił się w ziemię między stopami Fanena. Tym razem ostrze weszło pod takim kątem, że rękojeść się nie zakołysała. Denek spojrział na Hadriana z nabożną czcią, po czym odwrócił się do Royce'a:

- To musiała być bardzo wredna stara pani z wielką maselnicą.

*

- Alric?

Księżę zawędrował do jednego z zamkowych magazynów i siedział w beczkowo sklepionej niszy, spoglądając przez okno na zachodnie wzgórza. Dźwięk głosu przyjaciela wyrwał go z głębokiego zamyślenia i dopiero wtedy uświadomił sobie, że płacze.

- Przepraszam - powiedział Mauvin - ale ojciec cię szuka.

Zaczęli zjeżdżać miejscowi szlachcice i sądzą, że chce, abyś z nimi porozmawiał.

- W porządku - odrzekł Alric, ocierając policzki i jeszcze raz spoglądając tęsknym wzrokiem na zachodzące słońce. -

Jestem tu dłużej, niż myślałem. Chyba straciłem poczucie czasu.

- Łatwo tu o to - zapewnił go Mauvin, po czym obszedł

pomieszczenie i wyjął ze skrzyni butelkę wina. - Pamiętasz, jak się tu zakradliśmy w nocy i wypiliśmy trzy takie butelki?

Alric skinął głową.

- Było mi naprawdę niedobrze - przypomniał sobie.

- Mnie też, ale udało nam się wziąć udział w polowaniu na jelenie na drugi dzień.

- Nie mogliśmy dopuścić, żeby ktokolwiek się o tym dowiedział.

- Myślałem, że umrę, a po powrocie okazało się, że

[jopzedniego wieczoru już nas sypnęli Arista, Lenare i Fanen.

- Pamiętam.

Mauvin spojrział uważnie na przyjaciela.

- Będziesz dobrym królem, Alricu. I jestem pewien, że twój ojciec byłby z ciebie dumny.

Alric przez chwilę nic nie mówił. Wziął butelkę ze skrzyni i zważył ją w ręku.

- Lepiej wrócę. Mam teraz obowiązki. Nie mogę się tu ukrywać i popijać wino jak za dawnych czasów.

- Przypuszczam, że moglibyśmy, gdybyś naprawdę chciał. -

Mauvin wyszczerzył zęby w szatańskim uśmiechu.

Alric też się uśmiechnął i objął młodego Pickeringa.

- Jesteś dobrym przyjacielem. Przykro mi, że już nigdy nie odnajdziemy Percepliaus.

- Nic nie szkodzi. Zresztą nigdy nic nie wiadomo. Może kiedyś nam się uda.

Kiedy wychodzili z magazynu, Alric starł z rąk ziemię, którą się pobrudził, obejmując Mauvina.

- Fanen już się tak wyrobił, że zdołał cię przewrócić?

- To ten złodziej, który z tobą przyjechał. Ten duży. Skąd go wzięłeś? Jeszcze nigdy nie widziałem takich umiejętności.

Jego styl jest dość niezwykły.

- Naprawdę? W ustach Pickeringa to wielka pochwała.

- Jeśli tak dalej pójdzie, to z naszej legendy niedługo nic nie zostanie: najpierw ojciec przegrał z Percym Bragą, a teraz mnie przewraca pospolity zbój. Ile czasu minie, zanim inni szlachcice bez obaw wyciągną ręce po nasze ziemie i tytuły?

- Gdyby twój ojciec miał wtedy swój miecz... - urwał Alric.

- Dlaczego go nie miał?

- Gdzieś go zapodział - wyjaśnił Mauvin. - Był pewny, że ma go w pokoju, ale rano nie było po nim śladu. Służący znalazł go później tego samego dnia w jakimś dziwnym miejscu.

- Z mieczem czy bez i tak uważam twojego ojca za najlepszego szermierza w królestwie.

*

Royce, Hadrian i Myron nadal cieszyli się gościnnością Pickeringów. W ciepłej, przytulnej kuchni Ella podała im obfity obiad, a także kolację. Większą część dnia przespali, nadrabiając braki w tym względzie. Wieczorem więc poczuli się wypoczęci.

Hadrian zyskał nowy cień w postaci Deneka, który wszędzie za nim chodził. Po kolacji

zapropował jemu, Royce'owi i Myronowi wspólne obejrzenie przybywających wojsk. Zaprowadził ich do jednego ze swoich ulubionych miejsc - parapetu nad główną bramą, skąd, nie płacząc się nikomu pod nogami, widzieli zarówno teren poza zamkiem, jak i wewnętrzny dziedziniec.

Wczesnym wieczorem zaczęły zjawiać się grupki rycerzy, baronów, giermków, żołnierzy i urzędników ziemskich, którzy rozlokowali się w obozach poza zamkiem. Na dziedzińcu stały wysokie słupy ze sztandarami, sygnalizujące obecność różnych rodów szlacheckich. Kiedy wzeszedł

księżyc, wokół ognisk rozpalonych w obozach zgromadziło się już około trzystu ludzi należących do ośmiu chorągwi. Ich namioty zajmowały całe zbocze i sady.

Vern wraz z pięcioma kowalami z różnych wiosek pracował

do późna, używając pozostałym swojego ogniska i kowadła.

Realizowali zlecenia z ostatniej chwili. Na pozostałej części dziedzińca też się wiele działo. Paliły się wszystkie lampy i pracowały wszystkie warsztaty. Rymarze dopasowywali strzemię i hełmy, szycarze wyrabiali pęki strzał, które opierali o ścianę stajni jak porąbane drzewo. Drwale wykonywali duże prostokątne tarcze dla łuczników. Nawet rzeźnicy i piekarze ciężko pracowali, przygotowując prowiant, na który składały się wędzone mięso, chleb, rzepa i cebula.

- Zielony sztandar z miotem należy do lorda Jerla - objaśnił

im Denek. Znów zrobiło się przejmująco

zimno i jego oddech od razu zamienił się w parę. - Dwa lata temu spędziłem lato w ich posiadłości. Mieszkają na skraju Lasu Dłużycowego i uwielbiają polować. Chyba mają dwa tuziny najlepszych ogarów w królestwie. To tam nauczyłem się strzelać z łuku. Założę się, że dobrze strzelasz z łuku, prawda, Hadrian?

- Zdarzyło mi się już trafić z pola w las.

- Założę się, że pokonałbyś każdego z sześciu synów Jerla, którzy się uważają za najlepszych strzelców w prowincji.

Ojciec nigdy nas nie nauczył tej sztuki. Powiedział, że to nie ma sensu, bo nigdy nie będziemy walczyć w zwartym szyku.

Kazał nam skupić się na mieczu. Choć nie wiem, co mi to da, jeśli pójdę do klasztoru. Przez cały dzień nie będę robił nic innego, tylko czytał.

- W opactwie jest więcej rzeczy do robienia - wyjaśnił

Myron, otulając się szczelniej pledem. - Wiosną większość czasu spędza się w ogrodzie, a jesienią są żniwa, smaży się konfitury i warzy piwo. Nawet w zimie wykonuje się naprawy i robi porządki. Oczywiście lwią część czasu poświęca się na modlitwę: albo wspólną w kaplicy, albo samotną w ciszy na krużganku. Dalej jest...

- Wolalbym być piechurem - westchnął Denek, krzywiąc się. - Albo mógłbym się przyłączyć do was dwóch i zostać złodziejem! To musi być cudownie podniecające życie włóczyć się po całym świecie i wykonywać niebezpieczne zadania dla króla i kraju.

- Tak ci się wydaje - wymamrotał Hadrian.

Do frontowej bramy zbliżył się szybko samotny jeździec.

- Czy to nie sztandar Essendonów? - spytał Royce, wskazując na trzymaną przez niego flagę z sokołem.

- Tak - potwierdził zdziwiony Denek. - To królewski sztandar. Przyjechał posłaniec z Medfordu.

Spojrzeli na siebie z zaskoczeniem, kiedy posłaniec wszedł

do zamku. Przysłuchiwali się właśnie Myro-nowi, który na próżno usiłował przekonać Deneka, że życie w klasztorze wcale nie jest złe, kiedy po wąskich schodach wbiegł Fanen.

- Tu jesteście! - krzyknął do nich. - Ojciec postawił na nogi pół zamku, żeby was znaleźć.

- Nas? - upewnił się Hadrian.

- Tak. - Fanen skinął głową. - Chce w tej chwili widzieć w swoich komnatach obu złodziei.

- Nie ukradłeś sreber albo czegoś innego, prawda, Royce? -

spytał Hadrian.

- Założyłbym się, że tu raczej chodzi o twoje flirtowanie z Lenare dziś po południu i narażenie życia Mauvina, żeby się tylko popisać - odciął się Royce.

- To była twoja wina - powiedział Hadrian, dźgając palcem w stronę współnika.

- Nic podobnego - przerwał im Fanen. - Jutro rano księżniczka Arista zostanie stracona za zdradę!

*

Dawno temu w wielkiej sali Pól Drondila mieścił się pierwszy dwór Melengar. To tutaj król Tolin sporządził i podpisał statut Drondila, oficjalnie powołujący królestwo do życia. Stary i wypłowiały pergamin wisiał teraz na honorowym miejscu na ścianie, obramowany z obu stron ciężkimi bordowymi kotarami upiętymi złotymi sznurami z jedwabnymi frędzlami, ieraz sala ta służyła za pokój narad hrabiego Pickeringa. Royce i Hadrian weszli z wahaniem do środka.

Przy długim stole na środku pomieszczenia siedziało dwunastu mężczyzn odzianych w bogate szlacheckie stroje.

Hadrian rozpoznał większość z nich, a tożsamość tych, których nie znał, mógłby łatwo odgadnąć. Byli

to hrabiowie, baronowie, szeryfowie i marszałkowie - krótko mówiąc, najbardziej wpływowe osoby we wschodnim Melengarze. U

szczytu stołu siedział Alric, po jego prawej stronie - hrabia Pickering. Za ojcem stał Mauvin, a po wejściu Hadriana i Royce'a miejsce obok niego zajął Fanen. Alric miał na sobie wspaniałe ubranie, niewątpliwie pożyczone od któregoś z Pickeringów. Nie minął jeszcze dzień od chwili, kiedy Hadrian widział go po raz ostatni, a księżę już wyglądał znacznie starzej.

- Wyjaśniłeś im, dlaczego zostali wezwani? - zapytał hrabia Pickering syna.

- Powiedziałem im, że księżniczka ma być stracona - odparł

Fanen. - Nic więcej.

- Arcyksiążę Percy Braga wezwał mnie - wyjaśnił hrabia, unosząc pismo - do stawienia się w zamku Essendonów w charakterze świadka na procesie księżniczki Aristy oskarżonej o czary, zdradę stanu i morderstwo. Zarzuca jej, że zabiła nie tylko Amratha, ale również Alrica. - Upuścił pismo na stół i z oburzeniem walnął weń pięścią. - Szubrawiec chce zagarnąć królestwo!

- Jest gorzej, niż się obawiałem - streścił zdarzenia Alric. -

Mój wuj zaplanował zabić mnie i mojego ojca, a potem zrzucić winę za oba morderstwa na Aristę. Straci ją i zagarnie królestwo. Nikt się w tym nie połapie. Zwiedzie wszystkich.

Ludzie pomyślą, że jest wielkim obrońcą królestwa. Jestem pewien, że jego plan się powiedzie. Nawet ja podejrzewałem przecież siostrę zaledwie kilka dni temu.

- To prawda - potwierdził Pickering. - Od dawna krążą plotki, że Arista bawi się w sztuki tajemne. Braga nie będzie miał kłopotu z uznaniem jej za winną. Ludzie boją się tego, czego nie rozumieją. A starców na stanowiskach przeraża myśl o kobiecie posiadającej magiczne moce. Ale nawet bez tego myśl o monarchini sprawia, że większość szlachciców czuje się nieswojo. Werdykt będzie oczywisty. Wyrok zapadnie szybko.

- Ale gdyby przyjechał księżę - zaczął baron Enild

- udowadniając, że żyje, wówczas...

- O to właśnie chodzi Bradze - wtrącił sir Ecton.

- Nie mógł odnaleźć Alrica. Szukał przez wiele dni i nic.

Chce więc go wywabić, zanim księżę zdoła zebrać przeciwko niemu armię. Liczy na jego młodość i brak doświadczenia.

Chce zmanipulować księcia tak, aby ten uległ emocjom i zapomniał o rozumie. Skoro nie może odnaleźć Alrica, zwabi go do siebie.

- Na razie zebraliśmy mniej niż połowę naszych sił

- mruknął Pickering z przygnębieniem w głosie.

Podszedł do wielkiej mapy Melengaru, która wisiała naprzeciwko prastarego statutu, i uderzył dłonią w jej zachodnią połowę.

- Nasi najpotężniejsi rycerze są najdalej stąd, a ponieważ mają do skrzyknięcia najwięcej ludzi, dużo czasu upłynie, zanim się tu zjawią. Nie spodziewam się ich wcześniej niż za osiem godzin. A niewykluczone, że przybędą dopiero za szesnaście. Ale nawet jeśli się ograniczymy tylko do sił

Galilinu, będziemy gotowi do ataku nie wcześniej niż jutro wieczorem. A wtedy Arista będzie już martwa. Mógłbym ruszyć tylko z tymi żołnierzami, których mam, pozostawiając rozkazy, aby pozostali podążyli w ślad za mną, ale podział

naszych sił byłby ryzykowny dla całej armii.

Nie możemy narażać na niebezpieczeństwo królestwa z powodu jednej kobiety, nawet księżniczki.

- Sądząc po najemnikach, których spotkaliśmy w karczmie -

przemówił Alric - przypuszczam, że arcyksiążę, spodziewając się napaści, wzmocnił swoje siły żołnierzami, których wierność kupił.

- Prawdopodobnie każe wysiać zwiadowców i rozstawić zasadzki - orzekł Ecton. - Gdy tylko nas zobaczą, powie pozostałym przybyłym na proces szlachcicom, że jesteśmy po stronie Aristy i że muszą bronić przed nami zamku Essendonów. Nie możemy wyruszyć dopóty, dopóki nie zbierzemy większych sił.

- A jeśli będziemy czekać - zauważył Alric ze smutkiem -

Arista na pewno spłonie na stosie. Teraz bardziej niż kiedykolwiek czuję się winny, że jej nie ufałem. Uratowała mi życie. Teraz sama znajduje się w niebezpieczeństwie, a ja nie mogę wiele zrobić. - Spojrzał na Hadriana i Royce'a. - Nie potrafię siedzieć beczynnym i pozwolić, żeby zginęła. Lecz pochopne działanie byłoby szaleństwem. - Książę wstał i podszedł do swych niedawnych towarzyszy. - Po przyjeździe tutaj rozpytałem się o was. Nie powiedzieliście mi wszystkiego.

Uważałem was za pospolitych złodziei. Wyobraźcie sobie moje zdziwienie, kiedy odkryłem, że jesteście sławni. -

Rozejrzał się po pozostałych szlachcicach w komnacie. -

Jesteście podobno niezwykle utalentowanymi agentami, znanymi z tego, że bierzecie trudne, czasami prawie niemożliwe do wykonania zadania związane z sabotażem, kradzieżą, szpiegostwem, a nawet zabójstwem. Nie zaprzeczajcie. Wiele obecnych na tej sali osób już mi wyjawiało, że skorzystało z waszych usług w przeszłości.

Hadrian spojrział na Royce'a, a następnie na pozostałych mężczyzn. Skinął z zakłopotaniem głową. Nie tylko widział tu dawnych zleceniodawców, ale i swoje ofiary.

- Słyszałem, że nie należycie do żadnej gildii. A taka samodzielna działalność to niemały wyczyn. W ciągu paru godzin dowiedziałem się o was znacznie więcej niż przez kilka dni wspólnej podróży. Sam jednak też coś odkryłem.

Dwukrotnie uratowaliście mi życie. Raz, by dotrzymać obietnicy złożonej mojej siostrze, a raz z powodu, który pozostaje dla mnie zagadką. Zeszłej nocy przeciwstawiliście się potędze lorda kanclerza Melengaru i przyszlście mi z pomocą przeciw przeważającej sile wyszkolonych zabójców.

Nikt was o to nie prosił i nikt by was nie obwiniął, gdybyście pozwolili, abym zginął. Nie mogliście się spodziewać nagrody za uratowanie mi życia, ale to zrobiliście. Dlaczego?

Hadrian spojrział na Royce'a.

- Cóż - zaczął, spuszczać wzrok. - Chyba po prostu cię polubiliśmy.

Alric się uśmiechnął i zwrócił do pozostałych:

- Życia księcia Melengaru, przyszłego króla, nie uratowała jego armia, lojalna straż przyboczna ani wspaniała forteca, tylko dwóch zuchwałych złodziei, którzy nie mieli dość oleju w głowie, żeby pojechać w swoją stronę. - Książę zrobił krok do przodu i położył rękę na ramieniu każdego z nich. - Już zaciągnąłem u was ogromny dług i nie mam prawa o nic więcej prosić, ale muszę was błagać, abyście znów wykazali się słabą bystrością umysłu. Proszę, uratujcie moją siostrę i żądajcie za to każdej ceny.

- Kolejna robota z cyklu dobrych uczynków w ostatniej chwili - mruknął Royce, wkładając zapasy do juka.

- Prawda - potwierdził Hadrian, zawieszając na ramieniu pas z mieczem - ale ta przynajmniej jest płatna.

- Powinieneś mu powiedzieć, że uratowaliśmy go przed Trumbulem tylko dlatego, że w przeciwnym razie nie zobaczylibyśmy na oczy stu tenentów.

- To był twój motyw. Zresztą jak często dostajemy królewskie zlecenia? Jeśli wieść się rozejdzie, będziemy mogli podnieść stawki.

- Jeśli wieść się rozejdzie, to nas powieszają.

- W porządku, masz rację. Ale pamiętaj, Arista uratowała nam skórę. Gdyby nam nie pomogła wydostać się z lochu, już byśmy byli ozdobami na jesiennym festynie w Medfordzie.

Royce westchnął.

- Przecież nie powiedziałem, że tego nie zrobimy, prawda?

Powiedziałem? Nie. Powiedziałem, że to zrobimy. Tylko nie oczekuj, żebym skakał z radości.

- Chcę, żebyś nie czuł się tak źle z powodu swojej decyzji -

zaśmiał się Hadrian.

Royce spiorunował go spojrzeniem.

- Dobrze, dobrze, zajrzę do koni.

Wziął ekwipunek i ruszył na dziedziniec, gdzie zaczynał

prószyć śnieg.

Pickering dał im dwa ze swoich najszybszych ogierów i wszelkie wyposażenie, jakiego mogli potrzebować. Ella przygotowała dla nich późnowieczorną przekąskę i spory prowiant na drogę. Wzięli ciężkie wełniane peleryny, żeby się ochronić przed zimmem, i ciemne szale, którymi się owinęli do połowy twarzy, aby osłonić policzki przed chłodnym wiatrem.

- Mam nadzieję, że wkrótce znów się zobaczymy

- powiedział do nich Myron, kiedy przygotowywali wierzchowce. - Jesteście najbardziej fascynującymi ludźmi, jakich w życiu spotkałem, choć to pewnie żaden komplement, prawda?

- Liczą się intencje - stwierdził Hadrian i wziął go w niedźwiedzi uścisk, co zaskoczyło mnicha.

Kiedy wsiadali na konie, Myron pochylił głowę i wymamrotał cichą modlitwę.

- No - powiedział do Royce'a Hadrian - mamy Maribora po swojej stronie. Teraz możesz się odprężyć.

- Właściwie - wyznał w zakłopotaniu zakonnik - to modliłem się za konie. Ale za was też się zaraz pomodłę

- dodał pospiesznie.

Alric i Pickeringowie wyszli na dziedziniec, żeby ich odprowadzić. Dołączyła do nich nawet Lenare w pelerynie z białego futra. Dolną część jej twarzy zasłaniał puszysty szalik, dlatego widać było tylko jej oczy.

- Jeśli nie zdołacie jej wydostać - powiedział Pickering -

spróbujcie opóźnić egzekucję do czasu, aż dotrą nasze siły.

Ale zapewnijcie jej bezpieczeństwo. Jestem pewien, że Braga będzie chciał ją zabić z desperacji. I

jeszcze jedno, nie próbujcie z nim walczyć. To najlepszy szermierz w Melengarze. Zostawcie go mnie.

- Hrabia klepnął elegancki rapier. - Tym razem będę miał

własny miecz i arcyksiążę poczuje jego ukłucie.

- Poprowadzę atak na zamek Essendonów - poinformował

ich Alric. - To mój obowiązek jako władcy. Tak więc jeśli dotrzecie do mojej siostry, a ja bym zginął, zanim to wszystko się skończy, przeproście ją

w moim imieniu za to, że jej nie ufałem. Powiedzcie jej... -

zawahał się na chwilę - powiedzcie jej, że ją kochałem i że będzie wspaniałą królową.

- Sam jej to powiesz, Wasza Królewska Mość - zapewnił go Hadrian.

Alric skinął głową, po czym dodał:

- I przepraszam za to, co wam wcześniej powiedziałem.

Jesteście najlepszymi królewskimi obrońcami, jakich mógłbym gdziekolwiek znaleźć. A teraz jedźcie. Uratujcie moją siostrę albo wtrąć was z powrotem do lochu!

Skłonili się z szacunkiem, po czym odwrócili konie i puścili się galopem. Wyjechali przez bramę, pogrążając się w mrokach chłodnej nocy.

Rozdział 8

Procesy

Wraz z nadejściem poranka w dniu procesu Aristy Essendon spadł pierwszy śnieg. Pomimo braku snu Percy Braga nie czuł się ani trochę zmęczony. Puściwszy maszynę w ruch poprzedniego dnia, musiał teraz osobiście dopilnować mnóstwa szczegółów. Właśnie sprawdzał listę świadków, kiedy rozległo się pukanie do drzwi i do gabinetu wszedł

służący.

- Przepraszam, że przeszkadzam, sir - powiedział, pochylając się w ukłonie. - Przyszedł biskup Saldur. Chciałeś, panie, się z nim widzieć.

- Naturalnie, wprowadź go - odrzekł arcyksiążę.

Do środka wszedł starszy duchowny ubrany w odświętne szaty koloru czarnego i czerwonego. Braga pochylił głowę w ukłonie i wstał, by ucałować pierścień biskupa.

- Dziękuję za takie szybkie przybycie, Wasza Ekscelencjo.

Czy jesteś głodny? Może każe przynieść śniadanie?

- Nie, dziękuję, już jadłem. W moim wieku człowiek wcześniej się budzi, czy tego chce, czy nie. W jakiej sprawie mnie wezwałeś?

- Chciałem się tylko upewnić, czy nie masz pytań na temat zeznania, które dziś złożysz. Jeśli masz, to moglibyśmy je teraz przejrzeć. Przeznaczyłem na to trochę czasu.

- Ach tak - odparł biskup, kiwając powoli głową.

- Sądzę, że to nie będzie konieczne. Dobrze rozumiem, co jest wymagane.

- Cudownie, zatem myślę, że wszystko jest w porządku.

- Wyśmienicie - powiedział biskup i zerknął w stronę karafki. - To koniak?

- Tak, poczęstować Waszą Ekscelencję?

- Zwykle nie robię sobie tej przyjemności tak wcześnie, ale okazja jest szczególna.

- Bez wątpienia, Wasza Ekscelencjo.

Biskup zajął miejsce przy kominku, a Braga nalał dwa kieliszki koniaku i podał jeden duchownemu.

- Za nowe rządy w Melengarze - zaproponował toast.

Kryształowe szkło zadźwięczało jak dzwonek, kiedy stuknęli się kieliszkami. Każdy sporo upił.

- Nie ma to jak odrobina koniaku w śnieżny dzień

- zauważył Saldur z zadowoleniem.

Duchowny miał białe włosy i łagodne oczy. Kiedy siedział

w blasku ognia, swobodnie trzymając kieliszek w pomarszczonej ręce, wydawał się kwintesencją dobrodusznego dziadka. Braga jednak nie był naiwny. Saldur nie osiągnąłby tej pozycji, gdyby nie był bezwzględny. Jeżeli chodzi o wpływy duchownego, to Braga oceniał, że na dziewiętnastu biskupów przewodzących wiernym Saldur musiał się zaliczać do pierwszej trójki. Pracował i mieszkał na stałe w wielkiej katedrze Mares, budowli równie imponującej co zamek Essendonów, ale z pewnością bliższej jego sercu.

- Ile zostało czasu do procesu? - spytał biskup.

- Zaczniemy mniej więcej za godzinę.

- Muszę przyznać, że świetnie to załatwiłeś, Percy. - Saldur się uśmiechnął. - Namiestnicy kościelni są zadowoleni. Sporo w ciebie zainwestowaliśmy i wygląda na to, że podjęliśmy mądrą decyzję. Działając w takich ramach czasowych jak my, trudno mieć pewność, że się postawiło na właściwych ludzi.

Każdą z tych anek-sji trzeba załatwić delikatnie. Nie chcemy, żeby ktokolwiek podejrzewał nas o manipulacje. Musi to wyglądać tak, jakby wszystkie monarchie dobrowolnie się zgadzały na utworzenie nowego imperium. Choć muszę przyznać, że miałem co do ciebie pewne wątpliwości.

Braga uniósł brew.

- Kiedy aranżowaliśmy twoje małżeństwo z siostrą Amratha, nie było widać po tobie zadatków na króla. Byłeś pretensjonalnym, małym...

- To było prawie dwadzieścia lat temu - przerwał mu Braga.

- Prawda. Ale już wtedy dostrzegłem u ciebie umiejętność walki mieczem i niezachwiane przekonania imperialistyczne.

Bąłem się, czy taki młodzieniaszek pozostanie lojalny, ale dowiodłeś, że się pomyliłem. Wyrosłeś na zdolnego zarządcę, a twoje możliwości adaptacyjne w obliczu nieoczekiwanych zdarzeń, na przykład tego opóźnienia spowodowanego przez Aristę, dowodzą talentu skutecznego rozwiązywania problemów.

- Cóż, przyznaję, że nie wszystko poszło dokładnie tak, jak zaplanowałem. Ucieczka Alrica była zaskoczeniem. Wyraźnie nie doceniłem księżniczki, ale

przynajmniej dała mi wygodną podstawę do wplątania jej w morderstwo.

- Co zamierzasz zrobić w sprawie jej braciszka? Wiesz, gdzie przebywa?

- W Polach Drondila. Otrzymałem kilka raportów o mobilizacji w Galilinie. Przy zamku Pickeringa zbierają się żołnierze.

- To cię nie martwi?

- Powiedzmy, że wolałbym złapać smarkacza, zanim dotarł

aż tam. Ale zajmę się nim, gdy tylko skończę z jego siostrą.

Mam nadzieję, że zdążę, zanim zdoła zorganizować silne wsparcie. Ma szczęście. Wymknął mi się przy Brodzie Wicenda. Nie tylko uciekł, lecz również zabrał moim ludziom konie i na kilka dni po prostu przepadł.

- To wtedy przedzierał się do Pickeringa?

- Skądże - zaprzeczył Braga. - Prawdę mówiąc, udało mi się go potem złapać. Mój patrol znalazł go Pod Srebrnym Dzbanem.

- No to nie rozumiem. Czemu go tu nie ma?

- Jeszcze nie wiem. Posłaniec przywiózł wiadomość o schwytaniu Alrica, ale reszta żołnierzy zniknęła. Zbadałem sprawę i usłyszałem zdumiewające pogłoski. Wynika z nich, że dwóch mężczyzn podróżujących z księciem skrzyknęło miejscowych i urządziło zasadzkę na eskortujących go ludzi.

- Znasz ich?

- Nie mam nazwisk, ale ksiązę nazwał ich swoimi królewskimi obrońcami. Jestem pewien, że to ci sami złodzieje, których oskarżyłem o morderstwo Amratha.

Księciu jakoś udało się pozyskać ich wsparcie. Musiał im zaofiarować bogactwa, może nawet ziemię i tytuł. Chłopak jest sprytniejszy, niż myślałem. Ale mniejsza

oto, odpowiednio przywitamy i jego, i jego przyjaciół, i w

kilku tygodni wzmocnim szeregi armii Melengarów najemnikami wiernymi pieniądзом. Amrath nic o tym nie wiedział. Jedną z prerogatyw lorda kanclerza to brak konieczności uzyskiwania pieczęci królewskiej na wszystkich rozkazach.

Rozległo się pukanie do drzwi i znów pojawił się w nich służący.

- Przyszedł hrabia Chadwick, milordzie.

- Archibald Ballentyne? Co on tu robi? Pozbądź się go.

- Nie, zaczekaj - wtrącił się biskup. - To ja poprosiłem go o przybycie. Wprowadź go.

Służący się uklonił i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

- Szkoda, że tego ze mną nie omówiłeś - powiedział Braga.

- Wybacz, Ekscelencjo, ale za dużo się tu dziś dzieje, abym miał czas na wizytę szlachcica z sąsiedztwa.

- Tak, tak. Wiem, że jesteś zajęty, lecz Kościół musi dopilnować własnych spraw. Dobrze wiesz, że twoje królestwo nie jest jedynym, jakie obsługujemy. Hrabia Chadwick z pewnych względów nas interesuje. Jest młody, ambitny i łatwo mu zaimponować. Powinien przekonać się na własne oczy, jakie rzeczy są możliwe z odpowiednimi przyjaciółmi. Poza tym przyda ci się sojusznik na twojej południowej granicy.

- Sugerujesz, abym spróbował go przeciągnąć na swoją stronę?

- Przyznaję, że król Ethelred jest oddanym imperialistą, ale imperator może być tylko jeden. Nie widzę powodu, żebyś to nie był ty, zakładając, że nadal będziesz tego godny.

Ballentyne ma wiele atutów, które mogłyby nam pomóc.

- Nie jestem jeszcze nawet królem, a ty już mówisz o tronie imperatora?

- Kościół nie przetrwałby trzech tysięcy lat, gdyby nie myślał z wyprzedzeniem. O, już jest. Wejdz, Archibaldzie, proszę.

Ballentyne strzepnął śnieg z peleryny i tupnął kilka razy, żeby go zrzucić z butów.

- Rozbierz się i podejdź do ognia. Ogrzej się, chłopcze. Na pewno zmarzełeś w powozie.

Archibald przeszedł przez pokój i pocałował pierścień biskupa.

- Dzień dobry, Wasza Ekscelencjo - przywitał się, po czym odwrócił i ukłonił godnie arcyksięciu. - Milordzie.

Zdjął pelerynę i otrząsnął ją ostrożnie. Rozejrzył się zaskoczony.

- Służący wyszedł i nie wziął mojej peleryny.

- Rzuć ją gdziekolwiek - zaproponował Braga. Hrabia spojrzał na niego przerażony.

- To importowany adamaszek z haftami ze złotej nitki -

wyjaśnił.

W tym momencie pojawił się służący z dużym wygodnym krzesłem.

- O, jesteś. Weź ją i, na litość Maribora, nie wieszaj na kołku.

Podał pelerynę mężczyźnie, który ukłonił się i wyszedł.

- Koniaku? - spytał Braga.

- O tak, dobrodzieju - odparł Archibald.

Braga podał mu kieliszek z trunkiem w kolorze przydymionego bursztynu.

- Dziękuję, że przyszedłeś, Archibaldzie - powiedział

biskup. - Niestety, nie mamy teraz wiele czasu na rozmowę, w Melengarze panuje dziś spore zamieszanie.

Ale jak już mówiłem Bradze, pomyślałem, że krótka pogawędka może przynieść nam trzem korzyść.

- Jestem zawsze do twoich usług, Ekscelencjo. Doceniam każdą okazję spotkania z Waszą Ekscelencją i nowym królem Melengararu - oznajmił Archibald nieco nonszalanckim tonem.

Saldur i Braga wymienili spojrzenia.

- Przecież to żadna tajemnica. Jesteś arcyksięciem i lordem kanclerzem. Król Amrath i księżę nie żyją. Jeśli zgładzisz Aristę, ty zasiądziesz na tronie. Naprawdę ładna robota.

Podziwiam. Morderstwo w biały dzień na oczach szlachciców

- będą wiwatować na twoją cześć, kiedy będziesz im kradł

koronę.

Braga zeszywniał.

- Oskarżasz mnie...

- Oczywiście, że nie - przerwał mu hrabia. - Nikogo nie oskarżam. Co mnie obchodzą sprawy Melengararu? Moim panem lennym jest Ethelred z Warric. Wydarzenia w twoim królestwie to nie mój interes. Ja tylko składałem szczerze gratulacje - uniósł kieliszek i skinął głową do biskupa - wam obu.

- W co ty grasz, Ballentyne? - spytał Braga niepewnie.

Razem z Saldurem bacznie obserwowali młodego hrabiego.

Archibald zaś znów się uśmiechnął.

- Szanowni panowie, ja w nic nie gram. Kiedy mówię, że jestem pełen podziwu, to mówię szczerze. Tym bardziej że sam niedawno doznałem porażki. Zaryzykowałem, żeby podnieść swój status, tylko że nic z tego nie wyszło. 1

Bragę rozbawił ten wyfiokowany szlachcic. Zrozumiał, co biskup w nim dostrzegł, i sam się zaciekawił.

- Przykro mi, że napotkałeś trudności. Co konkretnie zamierzałeś zrobić?

- Zdobyłem pewne listy i próbowałem szantażem zmusić markiza Glouston do oddania mi ręki córki, abym mógł

przejąć jego dolinę Rilan. Zamknąłem je na klucz w sejfie w mojej wieży i wszystko było w idealnym porządku, a tu... paf!

- Archibald pstryknął palcami. - Listy zniknęły. Jak za sprawą magii.

- Co się z nimi stało? - spytał Saldur.

- Zostały skradzione. Złodzieje wypiło wali dziurę w dachu i w ciągu zaledwie kilku minut wślizgnęli się do środka i zwędzili mi je spod nosa.

- Imponujące - ocenił Saldur.

- Raczej przygnębiające. Zrobili ze mnie głupca.

- Złapałeś ich? - spytał Braga. Archibald pokręcił głową.

- Ze smutkiem przyznaję, że nie, ale w końcu się domyśliłem, kim są. Doszedłem do tego dopiero po kilku dniach. Nikomu nie powiedziałem, że posiadam te listy. A więc zabrać je mogły tylko te same osoby, które sam wcześniej wynająłem. Spryciarze. Zwą się Riyria. Nie jestem tylko pewien, czemu je ukradli. Może chcieli wydebić ode mnie dwa razy zapłatę, ale nie dam im tej satysfakcji.

Wynajmę kogoś innego do przechwycenia następnego pliku listów z Wichrowego Opactwa.

- Zatem zdobyte przez ciebie listy były korespondencją między markizem Glouston a królem Amrathem? - spytał

Saldur.

Archibald spojrział na biskupa ze zdziwieniem.

- Interesujący domysł, Wasza Ekscelencjo. Nie, to były listy miłosne córki markiza i jej kochanka o nazwisku Gaunt.

Planowałem ślub z Alendą, żeby oszczędzić Wiktorowi zażenowania z powodu zadawania się jego córki z człowiekiem z ludu. Saldur się zaśmiał.

- Powiedziałem coś zabawnego?

- Miałeś w rękach coś ważniejszego, niż myślałeś -

poinformował go biskup. - To nie były listy miłosne i nie należały do Degana Gaunta.

- Z całym szacunkiem, Wasza Ekszelencjo, ale je widziałem. Były adresowane do niego.

- Z pewnością, ale to był tylko środek ostrożności, żeby nie rozszyfrował ich ktoś taki jak ty, gdyby je przechwyił.

Podejrzewam, że Degan Gaunt został tu wykorzystany jako symbol chęci wszczęcia rewolucji przez Lanaklina przeciw Ethelredowi. Gdyby markiz otwarcie wyjawiał swoje poglądy, ryzykowałby ścięcie. Te listy to były zakodowane wiadomości od niego przekazane przez Alendę posłańcowi króla Amratha. Markiz Glouston to zdrajca swojego królestwa i sprawy imperialistów. Gdybyś się tego domyślił, mógłbyś zdobyć całe Glouston i głowę Lanaklina w roli prezentu ślubnego.

- Skąd wiesz?

- Arcyksiążę Braga dowiedział się o tych spotkaniach, kiedy król Amrath poprosił go o zapłacenie posłańcowi osobiście i nieoficjalnie. No i oczywiście powiedział mi o tym.

Archibald stał w milczeniu, a po chwili dopił koniak jednym haustem.

- Ale dlaczego powiedział Waszej Ekszelencji?

- Bo jako wierny imperialista Percy wie, jakie to ważne, aby na bieżąco informować Kościół o takich rzeczach.

Archibald spojrział ze zdziwieniem na Bragę.

- Ale arcyksiążę jest przecież rojalistą... Jak lord kanclerz Melengar mógłby być imperialistą?

- No właśnie, jak? - spytał Saldur z uśmiechem. - Kościół

potajemnie załatwił zwolennikom imperium kluczowe stanowiska niemal w każdym rojalistycznym królestwie w Avrynie, a nawet kilka w Trencie i Calisie - wyjaśnił. - Dzięki niezwykłym wypadkom ludzie ci zostali władcami w większości tych monarchii. Gdy spadkobierca zostanie w końcu odnaleziony, zmiana nastąpi w niezakłócony sposób, jeżeli wszystkie królestwa będą przygotowane do ślubowania wierności.

- Nie do wiary.

- Zaiste. Muszę jednak cię ostrzec, że nie zdołasz zdobyć kolejnych listów. Nie będzie już więcej spotkań w Wichrowym Opactwie. Niestety, byłem zmuszony poprosić arcyksięcia, żeby dał mnichom nauczkę za użyczenie miejsca.

Zabudowania spalono wraz z zakonnikami.

- Zabiłeś współpasterzy stada Maribora? - spytał Archibald z niedowierzaniem.

- Gdy Maribor przysłał do nas Novrona, wyznaczył mu rolę wojownika mającego zniszczyć naszych wrogów. Nasz bóg nie mdleje na widok rozlanej krwi. Często trzeba odciąć słabe gałęzie, aby

drzewo pozostało mocne. Mnisi musieli zginąć, ale oszczędziłem jednego - syna Lanaklina - aby mógł wrócić do domu i uświadomić ojcu, że ma na sumieniu śmierć tamtych zakonników. Nie możemy dopuścić, aby rojaliści organizowali się przeciwko nam, prawda? - Saldur uśmiechnął się do hrabiego, po czym wziął kolejny łyk koniaku. Braga znów ujrzał w nim wcielenie świątobliwego dziadka.

- A więc chodziło ci o Glouston, Archibaldzie? - zapytał

arcyksiążę, napełniając kieliszek hrabiego. - Może źle cię oceniłem. Powiedz, drogi hrabio, bardziej zmartwiła cię strata ziemi czy Alendy?

Archibald machnął ręką w powietrzu, jakby odpędzał

muchę.

- Ona była tylko dodatkową korzyścią. Chodziło mi o ziemię.

- Rozumiem. - Braga zerknął na Saldura, który uśmiechnął

się i skinął głową. - Wciąż możesz ją zdobyć - ciągnął

arcyksiążę. - Kiedy zasiądę na tronie Melengar, będę chciał, aby mojej południowej granicy / Warric strzegł silny sojusznik imperialista.

- Król Ethelred nazwałby to zdradą.

- A ty jak byś to nazwał?

Archibald uśmiechnął się i postukał paznokciami w królewski kieliszek. Szkło przyjemnie zadźwięczało.

- Okazją.

Braga usiadł i wysunął nogi w stronę ognia.

- Jeżeli pomogę ci uzyskać marchię Lanaklina, a ty ślubujesz mi wierność, Melengar stanie się najsilniejszym królestwem w Avrynie. W podobny sposób Chadwick stanie się jego najpotężniejszą prowincją.

- Przy założeniu, że Ethelred nie wypowie wojny - zastrzegł

Archibald. - Królowie często krzywo patrzą na utratę ćwiartki swojego królestwa, a Ethelred nie należy do takich, którzy przyjęliby to spokojnie. Lubi walczyć. Na dodatek jest w tym dobry. Ma obecnie najlepszą armię w Avrynie.

- To prawda - przyznał Braga. - Ale nie ma zdolnego generała, który by nią pokierował. Nie ma nikogo nawet w przybliżeniu tak utalentowanego jak twój sir Breckton. Ten człowiek ma dar

dowodzenia ludźmi.

Czy w razie zerwania sojuszu z Warric mógłbyś liczyć na jego lojalność?

- Lojalność Brecktona wobec mnie jest niezachwiana. Jego ojciec, lord Belstrad, to zacy rycerz dawnego formatu.

Zaszczepił synom szlachtetne wartości. Ani Breckton, ani jego brat - jak mu tam, młodszy syn Belstrada, co pływa po morzu... Wesley - nie zhańbiliby się wystąpieniem przeciwko człowiekowi, któremu przysięgli wierność. Przyznaję jednak, że ich poczucie honoru może być niewygodne. Pamiętam, jak kiedyś służący upuścił mój nowy barchanowy kapelusz w błoto i gdy rozkazałem Brecktonowi, żeby za karę uciął mu rękę, ten odmówił. Przez dwadzieścia minut objaśniał mi kodeks rycerski. O tak, milordzie, Breckton jest lojalny wobec rodziny Ballentyne'ów, ale wolałbym mniej oddanego człowieka, który po prostu bez pytania wykonuje rozkazy. To całkiem możliwe, że gdybym zerwał stosunki z Warric, Breckton mógłby odmówić walki, ale jestem pewien, że nie wystąpiłby przeciwko mnie. Bardziej by mnie niepokoił sam Ethelred, który jest przecież świetnym dowódcą.

- To prawda - potwierdził Braga - aleja też. Chętnie przyjmę jego wyzwanie. Już mam w gotowości stałą armię doświadczonych żołnierzy i wielu najemników. A w razie konieczności zdołam zebrać jeszcze więcej ludzi. W

rezultacie straciłby całe Warric, a to mogłoby mi otworzyć drogę do pozostałej części Avrynu i być może całego Apeladornu.

Tym razem zachichotał Archibald.

- Podziwiam twoją zdolność do planowania wielkich rzeczy.

Widzę wiele korzyści, jakie bym zyskał, gdybym się do ciebie przyłączył. Naprawdę myślisz o tytule imperatora?

- Czemu nie? Jeżeli będę gotowy do podboju, pat riarcha złoży śluby wierności wobec mnie, tak jak Kościół niegdyś ślubował Glenmorganowi. A jeśli obiecuję Kościołowi pewne prawa, może nawet ogłosi mnie spadkobiercą. Wtedy nikt nie wystąpi przeciwko mnie. Ale to melodia przyszłości. Nie zapędzajmy się. - Braga spojrzał na biskupa. - Chcę podziękować Waszej Ekscelencji za zaaranżowanie tego spotkania. Było bardzo pouczające. Ranek jednak już minął i chyba pora zająć się procesem Aristy. Chciałbym cię prosić o pozostanie, Archibaldzie. Być może będę miał dla ciebie prezent, który pokaże ci, jak cieszę się ze zdobycia nowego przyjaciela dla Melengaru.

- Pochlebiasz mi, milordzie. Ale chętnie skorzystam z okazji, by spędzić z tobą trochę więcej czasu, i jestem pewny, że potrafisz być hojny.

- Wspomniałeś o złodziejach zwanych Riyria, którzy pokrzyżowali ci plany.

- To prawda.

- Wygląda na to, że ci łotrzy interesują nas obu. Mnie też zdrowo dopiekli. Jak już odkryłeś, nie

szanują ludzi, którzy ich wynajmują, i chętnie zwracają się przeciw swoim pracodawcom. Ja też ich najałem do pewnego zadania, a teraz widzę, że działają przeciwko mnie. Mam powód, by przypuszczać, że dziś tu przyjdą, i opracowałem plan ich pojmania. Jeśli rzeczywiście się zjawią, będę ich sądził razem z Aristą. Całkiem możliwe, że wczesnym wieczorem cała trójka będzie się palić na stosie.

- Jesteś doprawdy nadzwyczaj szczodry, milordzie -

powiedział Archibald, kiwając głową z uśmiechem.

- Pomyślałem, że to ci może sprawić przyjemność. Po przyjeździe wspomniałeś, że Alric nie żyje, i taką wieść do tej pory rozgłaszałem. Niestety, tak nie jest

-jeszcze nie. Arista sprawiła, że ci dwaj złodzieje wyprowadzili potajemnie Alrica z zamku tej nocy, kiedy zginął

Amrath. Przypuszczam, że ksiązę ich wynajął, by ją uratowali. Dowody wskazują, że wymknęli się z zamku kanałami, więc tam właśnie zarządziłem dodatkowe środki ostrożności. Kratę w kuchni zamknięto na kłódkę, a Wylin, kapitan straży, czeka ze swoimi najlepszymi ludźmi w ukryciu, aby zatrzasnąć za nimi wejście rzeczne. Nawet nie wystawiłem straży w tamtym rejonie, aby jeszcze bardziej ich skusić. Przy odrobinie szczęścia Alric, chcąc odgrywać bohatera, przyjdzie z nimi. Jeżeli tak, to szach-mat!

Archibald skinął głową z wyraźną przyjemnością.

- Jesteś naprawdę niesamowity. Arcyksiązę uniósł kieliszek na swoją cześć.

- Za mnie - wznosił toast.

- Za ciebie.

Gdy Archibald wypił zdrowie Bragi, rozległo się walenie do drzwi.

- Wejść! - zawołał arcyksiązę poirytowany.

- Lordzie kanclerzu!

Jeden z najemników wpadł do pokoju. Miał zaczerwienione policzki i nos oraz mokrą zbroję. Na głowie i ramionach widać jeszcze było resztki śniegu.

- Tak? O co chodzi?

- Strażnik z muru zameldował, że zauważył na śniegu ślady stóp prowadzące do rzeki w pobliżu kanałów, milordzie.

- Doskonale - odrzekł Braga, osuszając kieliszek. - Weź

ośmiu ludzi i wesprzyj kapitana Wylina od strony rzeki. Nie chcę, żeby uciekli. Pamiętaj, jeśli będzie z nimi ksiązę, zabij go na miejscu. Nie pozwól, żeby

Wylin cię powstrzymał. Ale złodziei chcę dostać żywych.

Zamknijcie ich w lochach i zakneblujcie tak jak poprzednio.

Wykorzystam ich jako kolejny obciążający dowód przeciwko Ariście i spalę wszystkich razem. Żołnierz się skłonił i wyszedł.

- A teraz, panowie, dołączmy do sędziego i pozostałych szlachciców. Nie mogę się doczekać rozpoczęcia procesu.

Wstali i razem wyszli przez duże podwójne drzwi.

*

Spotęgowany przez śnieg blask porannego słońca wpadał

przez kratę rzeczną do środka, oświetlając sufit pokryty warstwą mchu i pleśni. Światło odbijało się od powleczonej warstwą lodu ścian kanału i biegło coraz głębiej, aż wreszcie wtapiało się we wszystko pochłaniającą ciemność.

W półmroku czekali zziębnięci żołnierze, siedząc w kucki.

Byli zanurzeni po kostki w brudnej zimnej wodzie, która spływała z zamku do rzeki. Od ponad czterech godzin trwali tak w ciszy i w końcu usłyszeli odgłos zbliżających się kroków, a na kamiennych ścianach zagrały cienie.

Wylin ruchem ręki rozkazał żołnierzom, żeby pozostali na miejscu i zachowali milczenie. Chciał mieć pewność, że przed przystąpieniem do akcji straż tylna będzie na miejscu, a jego zdobycz w zasięgu wzroku. W kanałach było wiele ciemnych odgałęzień, do których mogli uciec złodzieje, a on nie chciał

ścigać szcurów w labiryncie tuneli. Nie tylko chodziło o to, że tam na dole jest nieprzyjemnie, ale Wylin również wiedział, że arcyksiązę życzył sobie dostarczenia złodziei na poranne uroczystości i byłby niezadowolony z opóźnienia.

Niebawem się pojawili. Dwóch mężczyzn - jeden wysoki i szeroki w barach, drugi niższy i szczuplejszy. Obaj w ciepłych zimowych pelerynach i kapturach. Wyszli powoli zza narożnika, przystając co pewien czas, żeby się rozejrzeć.

- Przypomnij mi, żebym pochwalił Jego Królewską Mość za wysoką jakość kanałów - powiedział kpiąco jeden.

- Przynajmniej szlam jest cieplejszy od wody w rzece -

odrzekł drugi.

- Tak, szkoda tylko, że to najzimniejszy dzień roku. Czemu nie mógłby być środek lata?

- Pewnie, że byłoby cieplej, ale wyobrażasz sobie smród?

-A propos zapachu. Myślisz, że jesteśmy już blisko kuchni?

- To ty prowadzisz, ja tu nic nie widzę. Wy lin dał znak ręką.

- Naprzód! Brać ich!

Straż zamkowa ruszyła pędem z sąsiedniego tunelu i zaatakowała mężczyzn. Z tyłu wybiegli kolejni żołnierze, blokując im odwrót. Wojsko okrążyło intruzów z dobytymi mieczami i uniesionymi tarczami.

- Ostrożnie - przypomniał Wylin. - Arcyksiążę powiedział, że lubią płatać figle.

- Ja im pokażę figle - powiedział jeden ze stojących z tyłu żołnierzy. Wystąpił i uderzył wysokiego mężczyznę gałką rękojeści miecza, powalając go na ziemię.

Towarzysz pierwszego intruza otrzymał uderzenie tarczą i upadł nieprzytomny. Wylin westchnął i spojrzał groźnie na swoich podwładnych, po czym wzruszył ramionami.

- Zamierzałem pozwolić im iść, ale tak też jest dobrze.

Zakuć ich w łańcuchy, zakneblować i zawlec do lochów. I, na litość Maribora, podnieście im głowy, zanim się utopią. Braga chce ich żywych.

Żołnierze zabrali się do pracy.

*

- Obecne przesłuchanie Wysokiego Sądu Melengaru zarządzono zgodnie z prawem w celu rozpatrzenia zarzutów postawionych księżniczce Ariście Essendon przez lorda kanclerza arcyksięcia Melengaru Percy'ego Bragę

- rozbrzmiał w komnacie silny głos głównego sędziego.

- Księżniczce Ariście zarzuca się zdradę Korony, zamordowanie ojca i brata oraz praktykowanie czarów.

Największa sala w zamku, stanowiąca siedzibę sądu Melengaru, miała sklepienie krzyżowo-żebrowe, okna z witrażami i ściany obwieszane naokoło godłami i tarczami szlacheckich rodów. Na ławkach i balkonach tłoczyli się widzowie. Przedstawiciele wyższego stanu i zamożni kupcy z miasta przepychali się, żeby zobaczyć królewski proces. Na zewnątrz zgromadził się tłum prostych ludzi, którzy czekali na śniegu na przekazywane przez gońców relacje. Drogę do środka zagrażał kordon

żołnierzy w zbrojach.

Sam sąd stanowiły ogrodzone rzędy foteli, na których siedzieli najwyżsi rangą szlachcice królestwa. Kilka miejsc było pustych, ale przybyło dość osób, by Braga mógł

zrealizować swój cel. Zziębnięci z powodu porannego chłodu sędziowie nie zdjęli futrzanych okryć, czekając, aż ogień w dużym kominku ogrzeje salę. Z przodu stał pusty tron, majacząc niczym złowieszczy duch. Jego obecność dobitnie przypominała

o powadze procesu. Werdykt mógł zdecydować, kto następny na nim zasiądzie i będzie rządził królestwem.

- Obecny sąd złożony z ludzi o nieposzlakowanej opinii i głębokiej roztropności wysłucha teraz zarzutów i dowodów.

Oby Maribor nie poskąpił sędziom mądrości.

Po zajęciu miejsca przez głównego sędziego wstał

przysadzisty mężczyzna z krótką bródką i w kosztownych szatach, które falowały za nim, kiedy przechadzał się przed ławą, przypatrując się dokładnie każdemu sędziemu.

- Panowie sędziowie - rozpoczął prawnik, ściągając małe usta i obejmując rzędy foteli szerokim, pełnym dramatyzmu gestem. - Jak wam, szlachetnym osobistościom, już wiadomo, siedem dni temu w tym zamku zamordowano naszego zacnego króla Amratha. Może też wiecie, że zaginął książę Alric - przypuszczalnie uprowadzony i zamordowany. Ale jak mogło dojść do takich wydarzeń w murach tego zamku?

Mogło się zdarzyć, że króla zamordowano. Mogło się zdarzyć, że króla uprowadzono. Ale tej samej nocy? W

odstępie kilku godzin? Jak to możliwe?

Tłum się uciszył, chcąc dosłyszeć każde słowo.

- Jak to możliwe, że dwóch zabójców wślizgnęło się niepostrzeżenie do zamku, zadźgało króla i pomimo pojmania i uwięzienia w lochu zdołało uciec? Już to jest niewiarygodne, ponieważ cela, w której ich zamknięto, była pilnie strzeżona przez doświadczonych żołnierzy. Poza tym nie tylko ich uwięziono, lecz również przykuto do ściany, krępując nadgarstki

i nogi w kostkach. Co jednak zdumiewa jeszcze bardziej, co jest jeszcze bardziej niewiarygodne, to fakt, że po swoim cudownym oswobodzeniu się nie uciekli!

Naprawdę! Dowiedziawszy się, że za swoją w najwyższym stopniu ohydłą zbrodnię zostaną o świcie poćwiartowani i straceni - co bez wątpienia jest bolesną i makabryczną śmiercią - ci dwaj zabójcy pozostali w zamku pełnym żołnierzy. Zamiast uciekać i ratować życie, odszukali księcia, najpilniej strzeżoną osobistość w królestwie, i porwali go!

Pytam ponownie: jak to możliwe? Czy strażnicy zamkowi spali? Czy byli aż tak nieudolni, że pozwolili wyjść zabójcom króla? Czy może zamachowcom ktoś pomagał? Czy mógł to zrobić strażnik? Zagraniczny szpieg? Zaufany baron albo hrabia? Nie! Żaden z nich nie miałby prawa wejść do lochu, żeby zobaczyć zabójców króla, nie mówiąc już o ich uwolnieniu. Tak, łaskawi panowie, żadna osoba w zamku tamtej nocy nie mogła wejść do zamkowego więzienia z wyjątkiem jednej - księżniczki Aristy! Któż mógłby odmówić córce ofiary prawa do naplucia w twarz mordercom jej ojca?

Tylko że ona nie poszła tam, by okazać zabójcom pogardę, lecz pomóc im dokończyć dzieła, które rozpoczęła! Po sali przeszedł pomruk.

- To skandal! - zaprotestował starszy mężczyzna z ławy. -

Jak ci nie wstyd oskarżać biedną dziewczynę o śmierć jej ojca! Gdzie ona jest? Dlaczego jej tu nie ma, żeby odeprzeć te zarzuty?

- Lordzie Valin - zwrócił się do niego oskarżyciel. - To dla nas zaszczyt, że jesteś tu dziś z nami. Sąd wkrótce wezwie księżniczkę. Nie ma jej tu teraz, ponieważ przedstawianie faktów jest męczące i przykre, a sąd nie chce, aby księżniczka przez to przechodziła. Ponadto wezwani na świadków mogą swobodniej zeznawać pod nieobecność swojej przyszłej królowej,

w razie gdyby została uznana za niewinną. Są też inne, bardziej nieprzyjemne względy, o których powiem w stosownym momencie.

Wydawało się, że to nie przekonało lorda Valina, ale nie protestował już i z powrotem usiadł.

- Sąd Melengarę wzywa na świadka Reubena Hilfreda.

Prawnik przystanął, kiedy przed sądem stanął wielki żołnierz wciąż odziany w kolczugę i płaszcz z wyhaftowanym sokołem. Stał dumnie wyprostowany, ale wyraz jego twarzy był daleki od zadowolenia.

- Hilfredzie - zwrócił się do niego oskarżyciel - jakie zajmujesz stanowisko w zamku Essendonów?

- Jestem strażnikiem przybocznym księżniczki Aristy -

odpowiedział głośno i wyraźnie.

- Powiedz nam, Reubenie, jaka jest twoja ranga?

- Jestem funkcjonariuszem porządkowym.

- Czyli dość wysoka, prawda?

- Szanowana pozycja.

- Jak ją zdobyłeś?

- Wybrano mnie z jakiegoś powodu.

- Jakiegoś powodu? Jakiegoś powodu? - powtórzył prawnik, śmiejąc się wesoło. - Czy nie jest prawdą, że kapitan Wylin zarekomendował cię do awansu za cztery lata stałej i niezachwianej lojalności wobec Korony? I czy nie jest prawdą, że to sam król cię wyznaczył na strażnika swojej córki po tym, jak ryzykowałeś życie i uratowałeś ją z pożaru, w którym zginęła królowa matka? Czy nie zostałeś również przedstawiony przez króla do pochwały za męstwo? Czy to wszystko nie jest prawdą?

- Jest, sir.

- Wyczuwam, że nie masz ochoty tu przebywać. Mam rację?

- Tak, sir.

- To dlatego, że jesteś lojalny w stosunku do księżniczki i nie chcesz brać udziału w czymkolwiek, co mogłoby ją skrzywdzić. To cecha godna podziwu. Ale jesteś człowiekiem honoru i musisz zeznać prawdę przed sądem. A zatem powiedz nam, Reubenie, co się wydarzyło w nocy, kiedy zamordowano króla.

Hilfred przeniósł ciężar ciała z jednej nogi na drugą, zaczerpnął powietrza i zaczął mówić:

- Było późno i księżniczka już spała, kiedy znaleziono króla. Ja stałem na stanowisku przy schodach do wieży.

Kapitan Wylin rozkazał mi sprawdzić, czy księżniczce Ariście nic nie jest. Zanim doszedłem do jej drzwi, wyszła, przestraszona hałasem.

- Jak była ubrana? - spytał oskarżyciel.

- Miała na sobie suknię. Nie jestem pewien którą.

- Ale była ubrana, tak? Nie była w szlafroku lub koszuli nocnej?

- Nie, była ubrana.

- Jesteś strażnikiem Aristy od wielu lat. Czy kiedykolwiek słyszałeś, żeby sypiała w sukni?

-Nie.

- Nigdy?

- Nigdy.

- Zakładam jednak, że zawsze stałeś przy jej drzwiach, kiedy chodziła się przebrać do posiłku lub po podróży. Czy ma służące, które jej w tym pomagają?

-Tak.

- Ile?

- Trzy.

- Przypomnij sobie sytuację, w której księżniczce udało się ubrać w najkrótszym czasie. Jak długo to trwało?

- Nie jestem pewien.

- Spróbuj zgadnąć, sąd nie wymaga od ciebie dokładnego czasu.

- Może dwadzieścia minut.

- Dwadzieścia minut z trzema służącymi. To dość szybko, zważywszy na to, ile wiązania i sznurowania wymagają damskie stroje. Ile czasu według ciebie minęło od chwili odkrycia ciała króla do wyjścia księżniczki z komnaty?

Hilfred się zawahał. -Ile?

- Może dziesięć minut.

- Mówisz: dziesięć minut. A gdy wyszła z komnaty, ile z nią było służących?

- Nie widziałem ani jednej.

- Zdumiewające! Księżniczka obudziła się niespodziewanie w ciemności i zdołała ubrać się w obszerną suknię w dziesięć minut bez pomocy choćby jednej służącej!

Prawnik przechadzał się z opuszczoną głową, stukając palcem w usta i udając zamyślenie. Zatrzymał się, zwrócony plecami do Hilfreda. A potem, jakby nagle coś przyszło mu do głowy, odwrócił się szybko na pięcie.

- Jak przyjęła wiadomość o śmierci króla?

- Była wstrząśnięta.

- Płakała?

- Jestem pewien, że tak.

- Widziałeś, jak płacze? -Nie.

- Co się potem stało?

- Poszła do komnaty księcia Alrica i zdziwiła się, że go tam nie ma. Później...

- Zatrzymaj się, proszę, na chwilę. Poszła do komnaty Alrica? Dowiaduje się, że jej ojca zamordowano, i pierwszą rzeczą, jaką robi, jest wizyta w pokoju brata? Nie wydało ci się dziwne, że nie pobiegła niezwłocznie do ojca? Przecież nikt nie zgłaszał, że Alricowi stała się jakaś krzywda, prawda?

-Tak.

- Co było potem?

- Poszła zobaczyć ciało ojca i przyszedł Alric.

- Co zrobiła księżniczka po tym, jak książę skazał więźniów na śmierć?

- Nie rozumiem pytania - odpowiedział Hilfred.

- Czy to prawda, że poszła ich odwiedzić? - spytał prawnik.

- Tak zrobiła.

- A ty poszedłeś z nią?

- Poprosiła, żebym zczekał za drzwiami celi.

- Dlaczego?

- Nie wiem.

- Czy często prosiła, żebyś czekał na zewnątrz, kiedy rozmawiała z ludźmi?

- Czasami.

- Często?

- Niezbyt.

- Co było potem?

- Wezwała mnichów, żeby odprawili ostatnie obrządki.

- Wezwała mnichów? - powtórzył oskarżyciel z wyraźną nutą niedowierzania w głosie. - Zamordowano jej ojca, a ona się martwi o dusze zabójców? Dlaczego

wezwała dwóch mnichów? Czy jeden by nie wystarczył? A jeśli już o to chodzi, to dlaczego nie skorzystała z pomocy kapelana zamkowego?

- Nie wiem.

- Czy nie kazała ich również rozkuć?

- Tak, aby mogli uklęknąć.
- A kiedy mnisi weszli do celi, czy ty wszedłeś z nimi?
- Nie, znów mnie poprosiła, żebym pozostał na zewnątrz.
- A więc mnisi mogli wejść, ale jej zaufany strażnik przyboczny nie? Nawet gdy zabójcy jej ojca mieli wolne ręce i nogi? Co było później?
- Wyszła z celi. Chciała, żebym został i odprowadził mnichów do kuchni po zakończeniu obrządków.
- Dlaczego?
- Nie powiedziała.
- Zapytałeś?
- Nie, sir. Jako funkcjonariusz porządkowy nie jestem uprawniony do kwestionowania rozkazów członka rodziny królewskiej.
- Rozumiem, ale czy byłeś zadowolony z tego polecenia?
- Nie.
- Dlaczego?
- Bałem się, że w zamku może być więcej zamachowców, i nie chciałem spuszczać księżniczki z oka.
- Czy kapitan Wylin nie przeszukiwał wtedy zamku i nie uświadomił wszystkim, że jego zdaniem nie jest w nim bezpiecznie?
- Tak było.
- Czy księżniczka ci wyjaśniła, dokąd idzie, abyś mógł ją odnaleźć po spełnieniu tego obowiązku?
- Nie.
- Rozumiem. A skąd wiesz, że dwie osoby odprowadzane przez ciebie do kuchni to byli mnisi? Widziałeś ich twarze?
- Mieli kaptury.
- A czy mieli je na głowach, kiedy wchodzili do celi?

Hilfred zastanawiał się przez chwilę, po czym pokręcił

głową.

- Nie sędę.

- Tak więc księżniczka w noc zabójstwa jej ojca rozkazuje swojemu osobistemu strażnikowi, aby ją zostawił bez ochrony i zaprowadził dwóch mnichów do pustej kuchni - dwóch mnichów, którzy nagle postanowili włożyć kaptury i ukryć swe twarze? A co z rzeczami morderców? Gdzie były?

- Pod opieką dozorca celi.

- A co księżniczka powiedziała w tej kwestii dozorca?

- Że każe mnichom rozdać je biednym. - I wzięli je?

-Tak.

Oskarżyciel zmienił ton na łagodniejszy.

- Reubenie, nie wyglądasz mi na głupca. Głupcy nie zyskują takiej pozycji, jaką ty osiągnąłeś. Kiedy usłyszałeś o ucieczce zabójców i przykuciu mnichów do ściany w ich miejsce, przyszło ci do głowy, że być może zaaranżowała to księżniczka?

- Przyjąłem, że zabójcy napadli na mnichów po wyjściu księżniczki z celi.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie - nalegał prawnik. -

Zapytałem, czy przyszło ci to do głowy.

Reuben milczał.

- Przyszło?

- Może, ale tylko przelotnie.

- Zajmijmy się późniejszymi wydarzeniami. Czy byłeś obecny podczas rozmowy między Aristą a jej wujem w jego gabinecie?

- Tak, ale poproszono mnie, abym poczekał na zewnątrz.

- Tuż za drzwiami. Zgadza się? -Tak.

- Zatem mogłeś słyszeć, co się działo w środku. -Tak.

- Czy to prawda, że księżniczka weszła do biura arcyksięcia, kiedy pilnie pracował nad odnalezieniem księcia, i poinformowała go, że księżę Alric najwyraźniej nie żyje i poszukiwania są zbędne? Że lepiej by było, gdyby wykorzystał swój czas... - przerwał i odwrócił się twarzą do szlachciców - ...na rozpoczęcie przygotowań do koronowania jej na naszą królową?!

Wśród tłumu przeszedł szmer oburzenia. Kilku członków sądu szeptało i kiwało do siebie głowami.

- Nie pamiętam, żeby użyła tych słów.

- A czy zasugerowała, że arcyksiążę powinien zaprzestać poszukiwań Alrica?

-Tak.

- I czy groziła mu, że kiedy już będzie królową, to on może przestanie być lordem kanclerzem?

- Przypuszczam, że powiedziała coś podobnego, ale była rozgniewana...

- To wszystko, funkcjonariuszu. Skończyłem pytać. Jesteś wolny.

Hilfred zaczął opuszczać miejsce dla świadków, kiedy prawnik znów się odezwał:

- Przepraszam, jeszcze jedna rzecz. Czy kiedykolwiek widziałeś albo słyszałeś, jak księżniczka płacze po stracie ojca lub brata?

- Jest osobą bardzo skrytą.

- Tak czy nie? Hilfred się zawahał. -Nie.

- Jestem przygotowany, by wezwać dozorcę celi, aby potwierdził zeznanie Hilfreda, jeżeli sąd uważa je za mało wiarygodne - powiedział prawnik do sędziów.

Naradzali się szeptem, po czym główny sędzia odrzekł:

- To nie będzie konieczne. Słowa funkcjonariusza porządkowego uważamy za uczciwe i nie będziemy ich tu kwestionować. Możesz kontynuować.

- Na pewno jesteście nie mniej zaskoczeni, niż ja byłem -

zwrócił się prawnik do ławy sędziowskiej głosem pełnym współczucia. - Wielu z was ją zna. Jak ta miła dziewczyna mogła napaść na własnego ojca i brata? Czy chodziło jej tylko o zdobycie tronu? To do niej niepodobne, prawda? Ale proszę o odrobinę cierpliwości. Za chwilę powód powinien stać się jasny. Sąd wzywa na świadka biskupa Saldura.

Oczy ludzi na balkonie omiotły salę w poszukiwaniu duchownego. Stary człowiek powoli wstał i podszedł do miejsca dla świadków.

- Wasza Ekscelencjo, bywałeś w tym zamku wielokrotnie.

Nadzwyczaj dobrze znasz rodzinę królewską. Czy możesz rzucić trochę światła na motywy działania Jej Wysokości?

- Panowie - zwrócił się biskup Saldur do sądu i sędziów swoim dobrze znanym ciepłym tonem

skromnego człowieka. - Od lat czuwam nad rodziną królewską i powiem, że ta niedawna tragedia jest bardzo bolesna i straszna. Oskarżenie wysuwane przez arcyksięcia przeciwko księżniczce rani moje uszy, ponieważ czuję się prawie jak dziadek tej biednej dziewczyny. Nie mogę jednak ukrywać prawdy - księżniczka jest niebezpieczna. Widzowie zaczęli szeptać między sobą.

- Mogę zapewnić każdego z was, że już nie jest słodkim, niewinnym dzieckiem, które kiedyś trzymałem na rękach.

Widziałem ją, rozmawiałem z nią, obserwowałem ją w chwilach smutku - lub raczej jego braku - po stracie ojca i brata. Mogę wam szczerze powiedzieć, że jej żądza wiedzy i władzy pchnęły ją w szpony zła. - Biskup przerwał, ukrywając twarz w dłoniach i kręcąc głową. Po chwili podniósł wzrok i powiedział z wyrzutem: - Takie są skutki edukacji kobiet i -

jak w wypadku Aristy - obeznania ich z niegodziwymi mocami czarnej magii.

Wiele osób głośno westchnęło.

- Wbrew mojej radzie król Amrath pozwolił jej uczęszczać na uniwersytet, gdzie uczyła się czarów. Otworzyła się na siły ciemności i to wzbudziło w niej pragnienie władzy. Edukacja zaszczepiła w niej ziarno zła, które zaowocowało straszną śmiercią jej ojca i brata. Arista już nie jest księżniczką królestwa, lecz czarownicą. Świadczy o tym fakt, że nie płakała po ojcu. Jako uczony biskup Kościoła wiem, że czarownice nie potrafią płakać.

Znów rozległo się głośne westchnienie. Br aga usłyszał

czyjś głos na balkonie:

- Wiedziałam!

Prawnik wezwał hrabinę Amril, która zeznała, że dwa lata wcześniej Arista rzuciła na nią urok, kiedy ta powiedziała panu Davensowi, że podoba się księżniczce.

Następnie zaczęła opisywać, jak to przez wiele dni strasznie cierpiała, złożona chorobą i pokryta czyrakami.

W następnej kolejności oskarżyciel wezwał dwóch mnichów, którzy równie chętnie jak hrabina zrelacjonowali, jak to niecieknie księżniczka ich wykorzystwała. Opowiedzieli, jak nalegała na rozkucie złodziei mimo ich zapewnień, że to niekonieczne, i wyjaśnili, że zostali napadnięci zaraz po jej wyjściu z celi.

Po sali przeszedł głośniejszy pomruk i nawet lord Valin wyglądał na zmartwionego. Percy Braga obserwował

publiczność z zadowoleniem ze swojego miejsca za sędziami.

Na twarzach szlachciców malował się coraz większy gniew.

Dzięki arcyksięciu iskra przemieniła się w płomień, a ten niebawem przerodzi się w ogień. Dostrzegł w tłumie Wylina, który zmierza! w jego kierunku.

- Mamy ich, milordzie - szepnął strażnik. - Są zakneblowani i zamknięci w lochu. Trochę poturbowani przez moich dwóch nadgorliwców, ale żywi.

- Wyśmienicie. A czy na drogach zauważono jakiś ruch?

Czy coś wskazuje, że mogą zaatakować szlachcice wierni zdrajczyni Ariście?

- Nie wiem, sir. Przyszedłem bezpośrednio z kanałów.

- Dobrze, idź do bramy i daj sygnał trąbką, jeśli coś zauważysz. Obawiam się napaści Pickeringa z Pól Drondila.

Aha, jeśli zobaczysz tego wstrętnego krasnoluda, powiedz mu, że pora przyprowadzić księżniczkę.

- Oczywiście, wasza lordowska mość. - Wylin wyjął z płaszczyka mały zrolowany pergamin. - Doręczono mi ten list, kiedy wchodziłem. Dopiero co przywiózł go posłaniec. Jest adresowany do ciebie.

Braga wziął dokument od Wylina i zbrojny odszedł, kłaniając się.

Arcyksiążę uśmiechnął się szeroko, widząc, jak łatwo wszystko się udaje. Zastanawiał się, czy księżniczka w swojej odosobnionej wieży czuje nadchodzącą śmierć. Jej ukochani obywatele niebawem będą błagać, aby ją stracono. Arcyksiążę musiał jeszcze przedstawić zarządcę magazynów, który poświadczy kradzież sztyletu znalezionej później u Aristy, no i, naturalnie, była sprawa złodziei. Przetrzyma ich do samego końca, a potem każe wywlec i rzucić na ziemię zakneblowanych i skutych. Już na sam ich widok prawdopodobnie wybuchną rozruchy. Wylin zaś wyjaśni, jak ich zatrzymał podczas próby ratowania księżniczki i sędziowie nie będą mieli wyboru, jak tylko wystąpić przeciwko Ariście i oddać mu tron.

Wciąż wprawdzie będzie się musiał liczyć z możliwością napaści ze strony Alrica, ale na to nie można było już nic poradzić. Był pewien, że pokona księcia. Kilku z bardziej niezadowolonych wschodnich lordów już wyraziło zgodę na przyłączenie się do niego w chwili, kiedy zostanie koronowany. Po zakończeniu procesu i śmierci Aristy zrobi porządek w królestwie. A Alric przestanie być księciem i zostanie zbiegiem.

- Sąd wzywa nadzorcę magazynów Kline'a Druessa -

oznajmił prawnik - który odpowiadał za przechowywanie noża użytego do zamordowania króla.

Kolejny obciążający dowód, pomyślał Braga, rozwijając otrzymany od Wylina zwój. Nie było na nim pieczęci ani godła szlacheckiego. Obwiązano go zwykłą

tasiemką. Arcyksiążę przeczytał wiadomość, która była równie prosta jak opakowanie:

Minąłeś się z nami w kanałach. Mamy księżniczkę. Kończy ci się czas.

Natychmiast zmiął kartkę w garści i rozejrzał się groźnie po licznych twarzach, zastanawiając się, czy autor listu go obserwuje. Serce zaczęło mu bić szybciej. Wstał powoli, usiłując nie zwracać na siebie uwagi.

Prawnik dostrzegł ruch arcyksięcia i spojrzał na niego z zaciekawieniem. Braga uspokoił go nieznacznym machnięciem ręki. Wyszedł z sądu, próbując iść powoli i spokojnie. Po zamknięciu za sobą drzwi komnaty i zniknięciu z widoku tłumowi zaczął przemierzać korytarze takim szybkim krokiem, że peleryna powiewała za jego plecami. W

garści ścisnął list.

To niemożliwe, pomyślał. To nie mogło się zdarzyć!

Słyszając szybko zbliżające się kroki za plecami, zatrzymał się i odwrócił, dobywając miecza.

- Jakiś problem, Braga? - spytał Archibald Ballentyne.

Uniósł ręce w obronnym geście przed czubkiem ostrza arcyksięcia. Braga bez słowa rzucił w niego zmięty list i ponownie ruszył w stronę lochu.

- To ci złodzieje, ci przekłęci złodzieje! - zawołał hrabia Chadwick, biegnąc za nim. - To demony! Żli magowie! Są jak dym - pojawiają się i znikają, kiedy chcą.

Archibald dogonił Bragę i razem zeszli po schodach do aresztu, gdzie strażnik stojący przy drzwiach ledwo zdążył

uskoczyć na bok przed nimi. Kiedy Braga

stwierdził, że drzwi są zamknięte na klucz, walnął w nie pięścią. Dozorca z miejsca wstał od stolika i przyniósł klucze czerwonemu ze złości arcyksięciu.

- Milordzie, ja...

- Otwórz celę z więźniami, których niedawno przyprowadził

Wy lin. Natychmiast!

- Tak, milordzie.

Mężczyzna ruszył szybko do korytarza z celami, grzebiąc wśród kluczy wiszących na wielkim kółku. Dwaj strażnicy zamkowi stojący po obu stronach drzwi pospiesznie odsunęli się na bok, kiedy się zbliżył.

- Jesteście tu od chwili przyprowadzenia więźniów? - spytał

ich Braga.

- Tak, milordzie - odparł wartownik po lewej stronie. -

Kapitan Wylin rozkazał nam stać na straży i nie wpuszczać bezwzględnie nikogo z wyjątkiem niego i ciebie.

- Bardzo dobrze - ucieszył się arcyksiążę, po czym dodał do dozorczy: - Otwieraj.

Mężczyzna otworzył drzwi i wszedł do celi. W środku Braga zobaczył dwóch mężczyzn przykutych do ściany, rozebranych do pasa i zakneblowanych. To nie byli ci sami, których widział w noc morderstwa króla.

- Wyjmij im kneble - rozkazał dozorczy. - Coście za jedni?

Co tu robicie?

- Nazywam się Bendent, wasza lordowska mość, zamiatam Zaulek Kirby'ego. Naprawdę nie robiliśmy nic złego!

- Co więc robiliście w kanałach pod zamkiem?

- Polowaliśmy na szczury, panie - odpowiedział drugi.

- Szczury?

- Tak, panie, naprawdę. Słyszeliśmy, że dziś rano ma być wielkie wydarzenie w zamku, a kucharki biadoliły na szczury wychodzące z kanałów z powodu zimna, panie. Mieliśmy dostać po srebrnym tenencie za każdą zabita i wyniesioną sztukę, tyle że...

- Że co?

- Tyle że nie widzieliśmy ani jednej, wasza lordowska mość.

- Zanim zdążyliśmy jakiegoś znaleźć, żołnierze nas ogłuszyli i tu przynieśli.

- Widzisz? A nie mówiłem? - odezwał się Archibald do Bragi. - Już ją wzięli. Sprzątnęli ci ją sprzed nosa, lak jak mnie listy!

- To niemożliwe. Wieża Aristy jest nie do pokonania. Jest za wysoka i nie można się na nią wspiąć.

- Mówię ci, Braga, to są zawodowcy. Weszli na moją Szarą Wieżę, a ona zalicza się do najwyższych, jakie zbudowano.

- Zaufaj mi, Archibaldzie. Na tę wieżę naprawdę nie można wejść.

- Ale oni to zrobili - upierał się Ballentyne. - Ja też w to nie wierzyłem dopóty, dopóki nie

otworzyłem sejf i nie zobaczyłem, że mój łup zniknął. Teraz twój łup uciekł. I co zrobisz z tym całym tłumem, skoro nie masz księżniczki i nie możesz jej spalić na stosie?

- To po prostu nie jest możliwe - powtórzył Braga, odpychając Ballentyne'a na bok. - Wy dwaj - powiedział do strażników, którzy wciąż stali przed celą - weźcie jeden knebel i chodźcie ze mną. Pora, żeby księżniczka pokazała się przed sądem.

Prowadził ich przez zamek, sześć kondygnacji schodów na poziom mieszkalny. Na korytarzu było pusto. Wszyscy służący zeszli na dół, żeby posłuchać

przebiegu procesu. Minęli królewską kaplicę i poszli dalej korytarzem do następnych drzwi. Braga je otworzył i krzyknął:

- Magnus!

W środku na łóżku leżał krasnolud ze splecioną w warkocz brązową brodą i szerokim, płaskim nosem. Miał na sobie niebieską skórzaną kamizelkę, wysokie czarne buty i jasnopomarańczową koszulę z bufiastymi rękawami, w której jego ramiona wydawały się olbrzymie.

- Już czas? - Krasnolud zeskoczył z łóżka, ziewnął i przetarł

oczy.

- Istnieje jakaś szansa, aby ktoś mógł się dostać do wieży i wykraść stamtąd Aristę? - spytał Braga, oczekując natychmiastowej odpowiedzi.

- Nie ma takiej możliwości - odrzekł krasnolud z niezachwianą pewnością w głosie.

Braga przeniósł wzrok z niego na Ballentyne'a i z powrotem na Magnusa, marszcząc brwi.

- Muszę wiedzieć na pewno. Poza tym trzeba ją sprowadzić na egzekucję, a ja muszę wracać na proces. Archibald, idź po Wylina, kapitana strażników. Jest przy bramie zamku. Każ mu przyjść do królewskiego skrzydła z eskortą dla księżniczki.

Nie mogę ryzykować. Rozumiesz? - Następnie Braga zwrócił

się do krasnoluda: - Przyprawdź ją. Weź z sobą tych strażników. Mają knebel, więc dopilnuj, żeby go użyli, zanim ją przyprowadzisz - rozkazał i postanowił jeszcze wyjaśnić strażnikom swe polecenia: - Księżniczka uległa złemu wpływowi czarnej magii. Jest czarownicą i potrafi pomieszać w głowach, więc nie pozwólcie jej do was mówić.

Przyprowadźcie ją do sądu.

Strażnicy skinęli głowami i krasnolud poprowadził go korytarzem w kierunku wieży.

- Zrobię, jak mówisz, Percy, ale jestem pewny, że już jej nie ma - upierał się Archibald. - Ci dranie są niesamowici jak duchy. I niczego się nie boją. Działają tuż pod twoim nosem, okradają cię, a

potem mają czelność przysyłać liścik z informacją, co zrobili!

Braga się zamyślił.

- Właśnie, dlaczego to zrobili? - zapytał sam siebie. Jeśli ją porwali, to po co mnie powiadomili? A jeśli jej nie uprowadzili, to musieli podejrzewać, że ja natychmiast pójde to sprawdzić... - Spojrzał przez ramię w kierunku, w którym zginął krasnolud. - W tej chwili sprowadź

tu Wylina! - krzyknął do hrabiego i pchnął go ponaglająco, a sam pobiegł korytarzem za krasnoludem i strażnikami.

Właśnie wchodzili do północnego korytarza prowadzącego bezpośrednio do wieży, kiedy ich dogonił.

- Stać na miejscu!

Krasnolud się odwrócił, zaskoczony. Strażnicy zareagowali inaczej. Większy dobył miecza i ruszył w stronę Bragi, żeby zagrozić drogę arcyksięciu.

*

- Pora ruszać, Royce - oznajmił Hadrian, zdejmując hełm.

Typowy miecz strażnika zamkowego ciążył mu w ręku i był

nieporęczny. Royce też zdjął swój, kiedy mijał krasnoluda, biegnąc szybko korytarzem.

- Zatrzymaj go, głupcze! - rozkazał Magnusowi Braga.

Ale krasnolud zareagował za wolno i złodziej był już daleko. Puścił się więc pędem za nim. Braga wyjął miecz i spojrzał na Hadriana.

- Wiesz, kim jestem? Spotkaliśmy się niedawno w lochu, kiedy wisiałeś przykuty do ściany. Ale czy jesteś świadom mojej reputacji? Jestem arcyksiężę Percy Braga, lord kanclerz Melengaru, a co ważniejsze, od pięciu lat z rzędu zdobywca tytułu Wielkiego Mistrza Turniejów Szermierczych. Ty masz jakieś tytuły? Wygrałeś jakieś wstęgi? Dostałeś jakieś nagrody? Posiadasz trofea za umiejętności szermiercze? Ja pokonałem najlepszych w Avrynie, nawet sławnego Pickeringa z jego magicznym rapierem.

- Słyszałem, że w dniu waszego pojedynku nie miał swojego miecza.

Braga wybuchnął śmiechem.

- Ta historyjka o mieczu to zwykła legenda. Wykorzystuje ją jako wymówkę, kiedy przegrywa albo boi się przeciwnika.

Jego miecz to zwykły rapier z wymyślną rączką.

Braga zrobił krok do przodu i zamachnął się na Hadriana, którego ten wściekły atak odrzucił do tyłu. Arcyksiążę znów uderzył i Hadrian musiał odskoczyć, żeby miecz nie przeciął

go przez pierś.

- Szybki jesteś. To dobrze. Będzie ciekawiej. Widzisz, panie złodzieju, na pewno źle oceniasz sytuację. Może odnosisz wrażenie, że trzymasz mnie w szachu, podczas gdy twój koleżka pędzi uratować panienkę w potrzebie. Cóż za szlachetność. Twój idealizm dowodzi, że marzysz o godności rycerza.

Arcyksiążę zrobił wypad, wykonał pchnięcie w dół i cięcie z góry. Hadrian znów odskoczył, a Braga jeszcze raz się z niego zaśmiał.

- Prawda jest taka, że to nie ty mnie trzymasz w szachu, tylko ja ciebie.

Arcyksiążę udał atak z lewej strony i zadał krótki cios w tułów przeciwnika. Hadrian zrobił unik, ale stracił przy tym równowagę i się odsłonił. Choć Braga chybił, mógł teraz mocno uderzyć przeciwnika rękojęcią w twarz, odrzucając go na ścianę korytarza. Black-waterowi zaczęła krwawić warga. Braga niezwłocznie wykonał kolejne cięcie z góry, ale Hadrian się przesunął i miecz arcyksięcia trafił w kamienny mur, krzesząc iskry.

- To musiało zaboled.

- Gorzej już obrywałem - odpowiedział Hadrian. Lekko dyszał, a jego ton nie był już taki pewny.

- Muszę przyznać, że zrobiliście na mnie całkiem spore wrażenie. Zasłużyliście na swoją reputację. Bardzo sprytnie postąpiliście, wślizgując się do kanałów za tymi szczurołapami i wykorzystując ich jako przynęty. Inteligentne było także przysłanie mi tego liściku, przez który wskazałem wam drogę wprost do księżniczki. Ale to koniec waszego geniuszu. Widzisz, mogę cię zabić w dowolnej chwili, ale chcę cię mieć żywego. Potrzebuję przynajmniej jednej osoby do egzekucji, bo gawieź będzie się tego domagała. Lada chwila przybędzie tu Wylin z tuzinem strażników, którzy zaprowadzą cię na stos. Tymczasem twój przyjaciel, który w twoim mniemaniu ratuje Aristę, będzie narzędziem śmierci zarówno jej, jak i swojej. Mógłbyś pobiec i go ostrzec, ale -

no właśnie - trzymasz mnie w szachu, prawda?

Braga wyszczerzył zęby w uśmiechu i znów zaatakował.

Royce dotarł do drzwi na końcu korytarza i nie zdziwił się, że są zamknięte na klucz. Wyjął narzędzia zza pasa. Zamek był tradycyjny i złodziej bez kłopotu otworzył go wytrychem.

Drzwi rozwarły się szeroko, ale Royce od razu się zorientował, że coś jest nie w porządku. Bardziej wyczuł, niż usłyszał cichy trzask, kiedy się cofały. Instynkt podpowiadał

mu ostrożność. Spojrzał w górę na spiralne schody, które znikwały, biegnąc wokół wieży. Wszystko

wyglądało normalnie, ale lata doświadczenia kazały mu myśleć inaczej.

Na próbę postawił nogę na pierwszym stopniu i nic się nie wydarzyło. Wszedł powoli na drugi schodek, potem na trzeci.

Nasłuchując podejrzanych odgłosów, wypatrywał drutów, dźwigni lub luźnych płytek. Wszystko jednak wydawało się bezpieczne. Z oddali dochodziły go słabe odgłosy walki Hadriana z arcyksięciem. Musiał się spieszyć.

Wszedł na kolejne pięć stopni. Okienka o wysokości około metra i szerokości zaledwie trzydziestu centymetrów nie wpuszczały za dużo światła. W promieniach zimowego słońca widział wyblakłe schody. Gładkie mury trzymały się bardziej dzięki ciężarowi kamiennych bloków niż zaprawie murarskiej.

Schody, też wykonane z kamienia, dopasowano z równie zdumiewającym mistrzostwem i szczeliny między nimi były takie wąskie, że nie dałoby się wsunąć w nie pergaminu.

Royce stanął na szóstym stopniu i kiedy przeniósł ciężar ciała na wyższy blok, wieża zadrżała. Odruchowo zaczął się cofać i wtedy to się stało. Pięć niższych schodów się zapadło.

Pękły i poleciały w dół, znikając w przepaści. Royce zdążył w ostatniej chwili rzucić się do przodu, unikając śmiertelnego upadku, i zrobił kolejny chwiejny krok do góry. W tym momencie poprzedni stopień pękł i spadł. Wieża znów zadudniła.

- Twoim pierwszym błędem było otwarcie zamka wytrychem - powiedział mu Magnus.

Royce zorientował się, że głos krasnoluda dochodzi z dołu.

Kiedy się odwrócił, zobaczył karła stojącego tuż za drzwiami na korytarzu zamku. Magnus miał klucz na sznurku, którym kręcił i na przemian owijał go wokół palca wskazującego i z niego odwijał. W roztargnieniu pogłaskał brodę.

- W razie otwarcia drzwi bez klucza uruchamia się pułapka -

wyjaśnił z szerokim uśmiechem i zaczął się przechadzać powoli przed otwartymi drzwiami jak nauczyciel zwracający się do klasy. - Nie zdołasz tu wrócić, przeskakując przez otwór. Odległość jest zbyt duża. A jeśli się zastanawiasz, to ci wyjaśnię, że dno jest bardzo daleko w dole. Zacząłeś wchodzić na wieżę na szóstym piętrze zamku, a jej podstawa sięga skały łóżyskowej pod fundamentem. Dla zabawy powrzucałem też na dno sporo poszczerbionych skał.

- Ty to zrobiłeś? - spytał Royce.

- Oczywiście, ale nie wieżę, ona już tu stała. Przez pół roku drażyłem ją jak termit. - Wyszczerył zęby w uśmiechu, a w jego oczach pojawił się błysk. - Zostało w niej bardzo mało budulca. Te wszystkie bardzo solidnie wyglądające bloki skalne są cienkie jak pergamin. Zostawiłem tylko niezbędną ilość materiału. Oil środka wygląda to jak pajęczyna, ale wykonana z kamienia, a nie z nitek. Drobne włókna skalne tworzą kratownicę podobną do klasycznej sieci krystalicznej -

wystarczająco mocną, by podtrzymała wieżę, ale niezwykle kruchą, jeśli się zerwie odpowiednią nitką.

- Zakładam, że za każdym razem, kiedy wejdziesz na kolejny stopień, poprzedni spadnie?

Krasnolud uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Piękne, prawda? Nie możesz zejść, ale jeśli pójdziesz do góry, wpadniesz w jeszcze większe tarapaty. Schody stanowią poziomą podporę pionowych płaszczyzn. Jeżeli przestaną stabilizować konstrukcję, ściany wpadną na siebie i runą.

Zanim dotrzesz na szczyt, cała wieża się zapadnie, gdy tylko zleci odpowiednia liczba podpór. Nie ciesz się jednak z mojego gadania

o wydrążonych ścianach. To i tak kamień i ciężar całej wieży jest ogromny. Z łatwością cię zgniecie, jak również damę na szczycie, gdybyście wcześniej nie zginęli podczas upadku na ostre skały na dnie. Już osłabiłeś konstrukcję do takiego stopnia, że może sama runąć. Słyszę to po wywoływanych przez wiatr pęknięciach

i trzaskach. Wszystkie kamienie wydają odgłosy, kiedy się powiększają, kurczą, wyginają lub rozpadają - to język, który bardzo dobrze rozumiem. Słyszę historie z przeszłości i o przyszłości, i w tej chwili ta wieża śpiewa.

- Nie cierpię krasnoludów - wymamrotał Royce.

Rozdział 9

Wybawiciele

Dzban na wodę i miednica uderzyły o podłogę i roztrzaskały się na kawałki. Przestraszona tym hałasem Arista usiadła na łóżku, zdezorientowana. Pokój się trząsł. Przez całe lato w wieży wyczuwała coś dziwnego, ale nie działały się aż takie niezwykle rzeczy. Wstrzymała oddech, czekając. Nic się nie stało. Wieża przestała się ruszać.

Ześlizgnęła się z łóżka, podeszła ostrożnie do okna i wyjrzała przez nie. Nie dostrzegła niczego, co by tłumaczyło wstrząsy. Świat przykryła świeża warstwa nieustannie padającego śniegu. Arista zastanawiała się, czy tego drżenia nie wywołał śnieg spadający z okapu wieży. Nie wydawało się to jednak prawdopodobne ani leż nie miało znaczenia. Ile zostało mi czasu? - pomyślała.

Spojrzała przez okno w dół. Frontową bramę zamku wciąż otaczał tłum. Musiało tam być ponad stu ludzi, klórczy się przepychali, żeby usłyszeć wiadomości z jej procesu.

Najbliższe otoczenie patrolowały trzykrotnie większe niż zwykle drużyny w pełnym uzbrojeniu. Jej wuj nie chciał

ryzykować. Może myślał, że mieszkańcy

miasta postanowią zbuntować się przeciwko niemu, zamiast oglądać spalenie swojej księżniczki. Ale Arista była mądrzejsza. Wiedziała, że nikogo nie obchodzi to, czy będzie żyła, czy umrze. Choć znała wszystkich lordów, hrabiów i baronów z nazwiska i jadła z nimi wielokrotnie przy jednym stole, wiedziała, że nie byli jej przyjaciółmi. Nie miała przyjaciół. W tym jednym Braga się nie mylił: za dużo czasu spędzała w wieży. Nikt właściwie jej nie znał. Żyła samotnie, ale dopiero teraz pierwszy raz w życiu naprawdę poczuła się sama.

Przez całą noc usiłowała dobrać słowa, które wypowie przed sądem. W końcu doszła do wniosku, że może niewiele zrobić. Jeśli oskarży Bragę o zamordowanie jej ojca, nie przedstawi na to dowodu. Wszystkie bowiem okoliczności świadczyły na korzyść arcyksięcia. Przecież to ona uwolniła obu złodziei i była odpowiedzialna za zniknięcie Alrica. Co mnie napadło?

Przekazała brata dwóm nieznanym jej zbirom. Robiło się niedobrze za każdym razem, kiedy wyobrażała sobie, jak śmieją się z niej, topiąc biednego Alrica w rzece. Teraz prawdopodobnie znajdowali się w połowie drogi do Calisu lub Delgosu, na przemian wkładając królewski pierścień Melengaru.

Po powrocie wywiadowców z szatą brata była pewna, że ten nie żyje, ale ciała nie znaleziono. Czy to jednak możliwe, że nie umarł? Nie, doszła do wniosku. Było dużo bardziej prawdopodobne, że Braga ukrył zwłoki. Gdyby je pokazał

wcześniej, Arista mogłaby zabiegać o tron, a po procesie, uznaniu jej za winną i spaleniu na stosie będzie mógł ogłosić cudowne ich odnalezienie. Bardzo możliwe, że trzymał je zamknięte w jednej z komnat poniżej albo gdzieś w piwnicy.

To była jej wina. Gdyby się nie wtrąciła, być może Alric przejąłby kontrolę i odkrył zdradę wuja.

Może uratowałby ich oboje. Była tylko głupią dziewczyną. Przynajmniej jej śmierć położy kres nurtującym ją pytaniom i winie. Przymknęła oczy i jeszcze raz poczuła niestabilność otaczającego ją świata.

*

Maszerujące przez zimowy krajobraz zastępy Galilinu liczyły pięciuset ludzi. Sześćdziesięciu rycerzy w pełnych zbrojach niosło drzewce ze sztandarami z jaskółczym ogonem. Przypominające języki węży proporce łopotały na mroźnym wietrze. W Polach Drondila Myron podsłuchiwał, jak Alric sprzecza! się z pozostałymi szlachcicami, twierdząc, że wymarsz będzie przedwczesny. Widocznie nie nadeszło jeszcze kilku lordów i wyruszenie w takiej chwili było ryzykowne. Pickering w końcu przyznał rację Alricowi, ale przekonał go do ruszenia w drogę, gdy przybyli baronowie Himbolt i Rendon, którzy przyprowadzili z sobą kolejną dwudziestkę rycerzy. Na Myronie wrażenie robiły wojska w każdym rozmiarze.

Na czele jechali książę Alric, Myron, hrabia Pickering i jego dwaj najstarsi synowie, jak również szlachcice z tytułami ziemskimi. Za nimi zaś ramię w ramię rycerze czwórkami.

Dalej była świta giermków, paziów i lokajów, a następnie szeregi zwykłych zbrojnych: silnych, krępych brutalni odzianych w kolczugi, spiczaste hełmy, nagolenniki i wysokie buty. Każdy miał tarczę migdałową, krótki miecz o szerokiej klindze i dzidę. Za nimi byli łucznicy w skórzanych kurtach i wełnianych pelerynach, pod którymi kryły się kolczany. Maszerowali, podpierając się łukami, jakby to były zwykłe laski. Na końcu szli rzemieślnicy, kowale, lekarze wojskowi i kucharze, którzy ciągnęli wozy z zapasami.

Myron czuł się głupio. Po wielu godzinach spędzonych w siodle wciąż miał kłopoty z powstrzymaniem wierzchowca przed skręcaniem w lewo i wchodzeniem na wałacha Fanena.

Zaczynał sobie radzić ze strzemionami, ale musiał się jeszcze w tym względzie wiele nauczyć. Frustrowała go osłona na palce, która uniemożliwiała oparcie się na całych podszwach.

Synowie Pickeringa wyjaśnili mu, że w strzemieniu należy trzymać tylko przednią część stopy, bo to zapewnia lepszą kontrolę i zapobiega uwięzieniu stopy w razie upadku.

Powiedzieli mu także, w jaki sposób wąskie strzemiona pomagają w dosuwaniu kolan do boków konia. Wszystkie ich wierzchowce były nauczone reagowania na dotyk stóp, kolan i ud, aby rycerze mogli walczyć, trzymając w jednej ręce lancę lub miecz, a w drugiej tarczę. Myron właśnie doskonalił

technikę skierowania udami konia w prawą stronę, ale nic z tego nie wychodziło. Im bardziej naciskał lewym kolanem, tym mocniej napierał również prawym w celu zachowania równowagi. Wskutek tego zwierzę było zdezorientowane i ponownie się ocierało o wierzchowca Fanena.

- Musisz być bardziej zdecydowany - poradził mu Fanen. -

Pokaż mu, kto tu rządzi.

- On już wie, że to on - odparł Myron smutno. - Chyba powinienem po prostu trzymać wodze. Nie sądzę, abym w nadchodzącej bitwie dzierżył miecz i tarczę.

- Nigdy nie wiadomo - orzekł Fanen. - Dawniej mnisi sporo walczyli, a Alric powiedział, że pomogłeś uratować mu życie, walcząc z najemnikami, którzy napadli na niego w lesie.

Myron zmarszczył brwi i spuścił wzrok.

- Z nikim nie walczyłem. - Ale myślałem... Myron pokręcił

głową.

- Chyba powinienem. To oni spalili opactwo. To oni zabili...

ale... - Umilkł. - Zginąłbym, gdyby Hadrian i Royce mnie nie uratowali. Król po prostu założył, że walczyłem, a ja się nie pokwapiłem, żeby powiedzieć prawdę. Muszę przestać.

- Co przestać?

- Kłamać.

- To nie kłamstwo. Po prostu nie wyprowadziłeś go z błędu.

- Wychodzi na to samo. Opat powiedział mi kiedyś, że kłamstwo to zdrada samego siebie. Oznaka odczuwania obrzydzenia do siebie. Kiedy się wstydzisz swojego postępowania, myśli lub zamiarów, to raczej kłamiesz, niż je akceptujesz, lub - jak w tym wypadku - udajesz, że coś się zdarzyło. To, jak cię widzą inni, staje się ważniejsze od tego, jaki naprawdę jesteś. Człowiek woli umrzeć, niż być uważany za tchórza. Jego życie nie jest dla niego takie ważne jak reputacja. W końcu kto jest odważniejszy? Człowiek, który woli umrzeć, niż być uważany za tchórza, czy człowiek, który żyje, stawiając czoło temu, kim naprawdę jest?

- Przepraszam, ale się pogubiłem - powiedział Fanen z zakłopotaną miną.

- To bez znaczenia. Ale ksiązę zaprosił mnie w charakterze kronikarza wydarzeń, a nie wojownika. Chyba chce, abym zapisał w księdze to, co się dziś wydarzy.

- Pomiń, proszę, napad wściekłości Deneka, kiedy się dowiedział, że nie wolno mu iść z nami. To by źle świadczyło o naszej rodzinie.

Wszystko, co mijali po drodze, było dla Myrona nowością.

Oczywiście już widział śnieg, ale tylko na dziedzińcu klasztornym. Nigdy nie widział, jak biały puch osiada na drzewach lub połyskuje na brzegach rzek i strumieni.

Przejeżdżali teraz przez gęściej zaludnione tereny, mijając jedną wioskę za drugą, z których każda była większa od poprzedniej. Mnich przypatrywał się zafascynowany napotykanym po drodze różnorodnym budynkom, zwierzętom i ludziom. Za każdym razem, kiedy wjeżdżali do miasteczka, na

drogę wychodzili wieśniacy, żeby na nich popatrzeć.

Wybiegali z domów, słysząc złowieszczy tupot nóg maszerujących żołnierzy. Niektórzy ośmielali się zapytać, dokąd żołnierze zmierzają, ale ci nic nie mówili, bo mieli rozkaz milczeć.

Dzieci stawały na skraju drogi, skąd rodzice szybko je odciągali. Myron nigdy wcześniej nie widział dziecka, przynajmniej od czasu, kiedy sam nim był. Wysłanie chłopca do opactwa w wieku dziesięciu lub dwunastu lat nie było niczym nadzwyczajnym, ale przed ukończeniem ósmego roku życia zdarzało się to rzadko, jeśli w ogóle. Najmniejsze maluchy oczarowały Myrona i obserwował je ze zdumieniem.

Przypominały niskich pijanych ludzi, zachowywały się hałaśliwie i zwykle wyglądały niechlujnie, ale były zdumiewająco ładne i spoglądały na niego mniej więcej tak jak on na nie. Machały do niego rękami i Myron nie mógł się powstrzymać, żeby im też nie pomachać, choć przypuszczał, że żołnierze tak się nie zachowują.

Oddział przemieszcza! się zadziwiająco szybko. Piechurzy, którzy reagowali na rozkazy równocześnie, maszerowali na zmianę szybkim i bardziej rozluźnionym, ale niewiele wolniejszy krokiem. Wszyscy mieli ponure miny i u nikogo nie dało się zauważyć śladu uśmiechu.

Szli przez wiele godzin. Nikt nie stawał im na drodze, nie było zasadzek ani utrudnień, dlatego Myronowi podróż ta przypominała bardziej ekscytującą defiladę niż przygotowania do zaciętej walki. W końcu dostrzegł w oddali Melengar.

Fanen wskazał wielką dzwonnice katedry Mares i strzeliste wieże zamku Essendonów, na których nie powiewał żaden sztandar.

Wysłany na zwiad żołnierz zameldował, że wokół miasta okopał się silny oddział. Szlachcice rozkazali, aby pułki sformowały szyki. Przekazano polecenia za pomocą flag i wezwani na przód łucznicy napięli luki, a potem ustawili się tuż za piechurami. Żołnierze utworzyli długie kolumny trójkowe maszerujące równo obok siebie. Myrona i Fanena odesłano na tyły. Jechali z kucharzami, obserwując, co się wokół nich dzieje. Ze swojej nowej pozycji Myron zauważył, że część armii oddzieliła się od głównej linii bojowej i zmierzała na prawą stronę miasta. Po dotarciu do wzniesienia zostali dostrzeżeni z murów zamku i w oddali rozbrzmiał

donośny dźwięk trąbki.

Sami też odpowiedzieli na to sygnałem i łucznicy Cialilinu wypuścili deszcz strzał w kierunku obrońców twierdzy.

Wydawało się, że strzały zawisły na krótko w powietrzu niczym ciemna chmura. Kiedy spadły, Myron usłyszał krzyki ludzi w oddali. Obserwował niecierpliwie, jak konni rycerze rozdzielają się na trzy grupy. Jedna pozostała na drodze, natomiast dwie zajęły miejsce na obu flankach. Główna linia bojowa zwiększyła tempo i poruszała się teraz żwawym krokiem.

Po usłyszeniu trąbki Mason Grumon i Dixon Taft stanęli na czele tłumu i wyprowadzili go ulicą

Przekorną z Dzielnicy Dolnej, w której zrobiło się pusto. Na ten znak kazali im wcześniej czekać Hadrian i Royce - sygnał do ataku.

Dwaj złodzieje obudzili ich w środku nocy i od tej pory organizowali ruch oporu w Dzielnicy Dolnej. Rozgłosili wieść o zabójstwie króla dokonanym na polecenie arcyksięcia, o niewinności księżniczki i powrocie Alrica. Tych, którzy nie zważali na lojalność lub sprawiedliwość, kusiła szansa odegrania się na wyższych sferach. Nie mieli więc trudności z przekonaniem biedaków do chwycenia za broń przeciwko żołnierzom.

Uzbroili się w widły, siekiery i pałki. Zrobili sobie prowizoryczną zbroję, przywiązując pod ubraniem wszelkie znalezione kawałki metalu. W większości oznaczało to zarekwirowanie żonom blach do pieczenia. Było ich wielu, ale wyglądali jak żalosna zgraja. Gwen poruszyła mieszkańców Dzielnicy Rzemieślników, którzy nie tylko wysłali silnych robotników, lecz również dostarczyli kilka mieczy, łuków i fragmentów prawdziwych zbroi. A ponieważ strażnicy miasta zostali wysłani na obrzeża zamku, a większość mieszkańców Dzielnicy Szlacheckiej poszła oglądać proces, nie było nikogo, kto by ich powstrzymał

przed zorganizowaniem się w oddziały.

Z Dixonem przy boku Mason maszerował na czele procesji prostych ludzi, trzymając w jednej ręce młot kowalski, a w drugiej - prymitywną tarczę, którą wykuł tego ranka. Na jego twarzy malowała się odczuwana od wielu lat frustracja.

Dławiła go złość na myśl

o życiu, jakiego mu odmówiono. Gdy nie mógł zapłacić podatku za swój sklep odziedziczony po ojcu, przyszedł

szeryf ze strażnikami, którzy pobili go do nieprzytomności i wyrzucili do rynsztoka na ulicy Przekornej. Mason wini!

strażników za większość swoich nieszczęść. Wyleczył

wprawdzie rany, ale miał już później słabsze ramiona i w następnych latach trzymanie młota sprawiało mu tyle bólu, że mógł pracować tylko kilka godzin dziennie. To i nałogowy hazard sprawiły, że żył w nędzy. Ale to nie jego słabości były prawdziwą przyczyną jego nieszczęść. Odpowiedzialnością za nie obarczał strażników. I dzisiaj miał szansę odpłacenia im za doznane cierpienia.

Ani on, ani Dixon nie zaliczali się do wojowników czy siłaczy, ale byli dużymi mężczyznami o szerokich klatkach i grubych karkach i tłum podążał za nimi, jakby obywatele Dzielnicy Dolnej orali miasto parą zaprzężonych wołów.

Skręcili w ulicę Przekorną

i wkroczyli bez przeszkód do Dzielnicy Szlacheckiej. W

porównaniu z Dolną był to zupełnie inny świat. Ulice wyłożono ozdobnymi płytkami, a po bokach ustawiono metalowe barierki. Zamknięte w kloszach lampy uliczne i schowane pod ziemią kanały ściekowe podkreślały dbałość o wygodę uprzywilejowanej garstki. Środek dzielnicy zajmował

przestronny plac, którego głównym elementem ozdobnym była wielka fontanna Essendonów z posągami Tolina na wspiętym koniu wynurzającym się z wody. Naprzeciwko wznosiła się katedra Mares, rozbrzmiewająca teraz dźwiękiem dzwonów. Minęli eleganckie trzypiętrowe domy z kamienia i cegły, otoczone żelaznymi ogrodzeniami z ozdobnymi bramami. Mason nie mógł nie zauważyć, że tutejsze stajnie wyglądały lepiej niż dom,

w którym mieszkał. Przejście przez plac tylko dołało oliwy do ognia i wściekłość ogarnęła całe miasto. Po dotarciu do ulicy Głównej zobaczyli wroga.

*

Na dźwięk trąbki Arista znów podeszła do okna. Zdumiał ją widok, jaki zobaczyła, W oddali ponad nagimi drzewami dostrzegła chorągwie. Nadchodził hrabia Pickering i nie był

sam. Rozróżniła dwadzieścia flag oznaczających większość zachodnich prowincji. Pickering maszerował na Medford.

Czy to z mojego powodu? - zastanawiała się i doszła do wniosku, że nie. Ze wszystkich szlachciców Pickeringów znała najlepiej, ale powątpiewała, by hrabia przybywał dla niej. Bardziej prawdopodobnym wyjaśnieniem było to, że dotarła do niego wieść o śmierci Alrica i chciał odebrać Bradze koronę. Prawdopodobnie po prostu dostrzegł okazję i postanowił ją wykorzystać. To, że mogła jeszcze żyć, nie miało większego znaczenia. Nikt nie chciał, aby władcą królestwa była kobieta. Jeżeli Pickering zwycięży, zmusi ją do zrzeczenia się tronu na rzecz niego lub może Mauvina.

Zostanie zesłana w odludne miejsce albo gdzieś zamknięta i już nigdy nie będzie naprawdę wolna. Ale przynajmniej Braga nie zasiądzie na tronie.

Nie dawała jednak wielkich szans Pickeringowi. Choć nie znała się na taktyce, widziała, że maszerujące drogą siły są niewystarczające do oblężenia zamku, a oddziały Bragi zajmowały mocne pozycje w okopach. Spojrzała jednak na dziedziniec i zobaczywszy ludzi przejętych nadciągającym atakiem, pomyślała z nadzieją, że może tym razem będzie inaczej.

Podbiegła do drzwi i otworzyła zamek dotknięciem naszyjnika. Chwyciła zasuwę i pchnęła drzwi, które ani drgnęły.

- Niech lichy porwie tego karła - powiedziała głośno do siebie.

Naparła na nie gwałtownie całym ciałem, ale nic to nie dało.

Gdzieś w dole rozległo się kolejne dudnienie i pokój znów się zatrzęsł. Z krokwi posypał się pył. Co się dzieje? Zachwiała się, bo wieża zakołysała się jak statek na morzu. Nie wiedziała, co robić.

Przerażona i zdezorientowana wróciła na łóżko, które dawało złudzenie bezpieczeństwa. Usiadła na nim, podciągając kolana pod brodę i obejmując je ramionami.

Starła się oddychać jak najciszej, a przy najmniejszym niepokojącym odgłosie spoglądała na drzwi przerażonym wzrokiem. Zbliżał się koniec. Tak czy inaczej była pewna, że wkrótce nadejdzie koniec.

*

To była pierwsza bitwa w życiu księcia i Alric nie wiedział, czego się spodziewać. Miał nadzieję, że samo zebranie ogromnego oddziału zmusi obrońców miasta do kapitulacji.

Rzeczywistość jednak wyglądała inaczej. Po dotarciu do Medfordu napotkali przed murami okopy, w których siedzieli piechurzy z włóczniami. Wcześniej łucznicy księcia posłali w ich stronę trzykrotnie grad strzał, ale obrońcy pozostali niewzruszeni. Zasłonili się tarczami i ponieśli ledwie zauważalne straty.

Kim oni są? - zastanawiał się Alric. Czy drogę do domu zagradzają mi moi żołnierze? Jakie kłamliwe pogłoski rozpuścił Braga wśród strażników? A może

to wszystko najemnicy? Czy za te szeregi włóczników zapłacono moim złotem?

Siedział na jednym z koni Pickeringa, przykrytym czaprakiem z naprędcie naszytymi wizerunkami sokoła Melengar. Zwierzę było nie mniej niespokojne od swojego pana, przebierało kopytami i parskało, wydychając duże obłoki pary. Alric trzymał wodze prawą ręką, a lewą przyciskał wełnianą pelerynę do szyi. Spojrzał ponad głowami obrońców na miasto, w którym się urodził. Widziane przez kurtynę padającego śniegu mury i wieże Medfordu wyglądały na rozmazane niczym we śnie. Powoli biała zasłona całkowicie skryła miasto i na świecie zaległa niesamowita cisza, którą przerwał hrabia Pickering:

- Wasza Królewska Mość.

- Jeszcze jeden grad strzał? - zaproponował Alric.

- Strzałami z łuków nie zdobędziesz miasta. Alric skinął poważnie głową.

- A zatem rycerze. Każ im ruszać.

- Marszałku! - krzyknął hrabia. - Rozkaż rycerzom przerwać tę linię obronną!

Dzielni mężczyźni w lśniących zbrojach spięli konie ostrogami i ruszyli naprzód. Nad ich głowami powiewały proporce, a za nimi kłębiły się tumany śniegu. Szybko zniknęli Alricowi z oczu, ale słyszał jeszcze tętent kopyt.

Odgłos starcia był straszliwy. Alric poczuł się tak, jakby sam uczestniczył w walce. Metal zgrzytał, ludzie krzyczeli.

Do tej chwili książę nie zdawał sobie sprawy z tego, że konie też potrafią krzyczeć. Kiedy chmura śniegu opadła, Alric wreszcie zobaczył krwawą scenę. Jeźdźcy i wierzchowce nadziejali się na wbite w ziemię włócznie. Konie przewracały się, zrzucając rycerzy, którzy czołgali się jak żółwie, usiłując wstać. Obrońcy dobyli krótkich mieczy i uderzali z góry w rycerzy, wbijając ostrza w szpary w hełmach i na łączeniach zbroi.

- To się nie układa tak dobrze, jak oczekiwałem - narzekał

Alric.

- W bitwie rzadko wszystko przebiega zgodnie z założeniami, Wasza Królewska Mość - zapewnił go hrabia Pickering. - Ale właśnie na tym w dużej mierze polega bycie królem. Twój rycerze giną. Zostawisz ich na pastwę losu?

- Powiniennem wysłać piechurów?

- Na twoim miejscu na pewno bym tak zrobił. Musisz dokonać wyłomu w linii obronnej i to najlepiej jeszcze zanim twoi żołnierze uznają cię za nieudacznika i uciekną do pobliskich lasów.

- Marszałku! - krzyknął Alric. - Marszałku Garret, wydaj piechurom rozkaz do natychmiastowego ataku!

- Tak jest, panie!

Rozbrzmiał sygnał trąbki i żołnierze rzucili się z okrzykiem do walki. Alric patrzył, jak stał przecina ciał. Piechurom powiodło się lepiej niż rycerzom, ale dzięki swojej silnej pozycji obrońcy miasta zdołali zabić wielu z nich. Alric ledwo mógł znieść ten widok. Nigdy wcześniej nie był świadkiem czegoś takiego - podwoje miasta tonęły w morzu krwi. Śnieg nie był już biały, lecz różowy, a w niektórych miejscach nawet ciemnoczerwony. Na ziemi leżały porzucane ludzkie szczątki: odcięte ramiona, rozłupane głowy, odrąbane nogi.

Chmara zwartych w walce ludzi tworzyła skotłowaną masę ciał, brudu i krwi, a towarzyszyła temu nieustająca kakofonia krzyków.

- Nie mogę uwierzyć, że to się dzieje naprawdę

- powiedział Alric i widać było po nim, że nie czuje się dobrze. - To moje miasto. To mój lud. Moi ludzie!

- zwrócił się do hrabiego Pickeringa. - Zabijam własnych obywateli!

Trząsł się, do oczu napłynęły mu łzy, poczerwieniał na twarzy. Słyszając wrzaski i krzyki, ścisnął rożek u siodła tak mocno, że poczuł ból w ręce. Był bezradny.

Jestem teraz królem, pomyślał.

Ale nie czuł się nim. Czuł się tak jak na drodze w pobliżu karczmy Pod Srebrnym Dzbanem, kiedy

zamachowcy przycisnęli jego twarz do ziemi. Łzy spływały mu teraz strumieniem po policzkach.

- Alricu! Przestań! - warknął na niego Pickering.

- Nie wolno ci pokazywać żołnierzom, że płaczesz!

W księciu wezbrała wściekłość.

- Nie? Nie?! Spójrz na nich! Umierają za mnie. Umierają na mój rozkaz! Mają prawo widzieć swojego króla! Oni wszyscy mają prawo widzieć swojego króla! - Star! Łzy z policzków i zebrał wodze. - Mam tego dość. Mam dość przyciskania mojej twarzy do ziemi! Nie zniosę tego. Mam dość bezradności. To moje miasto, zbudowane przez moich przodków! Jeżeli mój lud decyduje się walczyć, to - na Maribora - chcę, żeby wiedział, że walczy za mnie!

Włożył hełm, dobył dużego miecza ojca i spiął konia ostrogami, popędzając go w kierunku bramy.

- Alricu, nie! - krzyknął za nim Pickering.

Mason pobiegł do przodu i przebił młotem hełm pierwszego napotkanego strażnika. Z uśmiechem z powodu wygranej potyczki podniósł miecz i spojrzał do góry.

Tłum dotarł do głównej bramy miasta. Wielki barbakan z czterema wieżami z szarego kamienia górował nad nim jak potworna bestia. Roilo się w nim od żołnierzy, których zaskoczył widok powstającego przeciw nim miasta. To dało czas tłuszczy na przedostanie się przez ulice i dotarcie do budynku bramnego. Mason usłyszał okrzyk Dbtona:

- Za księcia Alrica! - ale księżę był ostatnią rzeczą, o której myślał kowal.

Mason wybrał następny cel - wysokiego strażnika zaaferowanego szarpaniną z zamiataczem z ulicy Rzemieślników. Dźgnął go pod pachą i słuchał krzyku mężczyzny, kiedy obracał ostrze w jego ciele. Zamiatacz uśmiechnął się szeroko do kowala i Mason odwzajemnił się równie szczerym uśmiechem. Choć zabił dopiero dwóch ludzi, już ociekał krwią. Tunika przykleiła mu się do skóry na piersi i ciążyła, i nie umiał powiedzieć, czy po twarzy spływa mu pot, czy krew. Wciąż się uśmiechał, rozradowany i podekscytowany. To jest wolność! To jest życie!

Serce mu waliło, a w głowie szumiało, jakby był pijany.

Znów się zamachnął mieczem, tym razem na człowieka, który już klęczał na jednym kolanie. Cios był tak silny, że ostrze przecięło szyję ofiary do połowy. Kopnął martwego człowieka na bok i wydał zwycięski okrzyk. Nie wypowiadał

żadnych słów. W takiej chwili słowa nie miały wartości.

Wyładowywał dławiającą go wściekłość. Znów był mężczyzną, silnym mężczyzną, którego należało się bać!

Rozbrzmiał dźwięk trąbki i Mason ponownie podniósł

wzrok. Na szanćcach stał kapitan straży, który wykrzykiwał rozkazy, zwołując żołnierzy. Odpowiedzieli na nie i uformowali szeregi, usiłując bronić bramy przed napierającym tłumem.

Mason kroczył po grząskiej, nasiąkniętej krwią ziemi.

Rozejrzał się i wybrał nowy cel. Strażnik zamkowy, zwrócony do niego plecami, wycofywał się w odpowiedzi na wezwanie kapitana. Kowal zamachnął się na jego szyję, zamierzając odciąć mu głowę. Niedoświadczony we władaniu mieczem wycelował za wysoko i ostrze ześlizgnęło się po hełmie żołnierza z głośnym szczękiem. Uniósł miecz ponownie, by zadać kolejny cios, gdy strażnik niespodziewanie się odwrócił.

Mason poczuł ostry, piekący ból w brzuchu. W jednej chwili opadły z niego siły i wściekłość. Puścił broń. Bardziej zobaczył, niż poczuł, jak upada na kolana. Spojrzał w dół na źródło bólu i obserwował, jak żołnierz wyjmuje je z jego brzucha. Nie wierzy! własnym oczom. Jak mogło ze mnie wyjść tyle stali?

Poczuł ciepłą wilgoć na rękach, kiedy odruchowo przycisnął

je do rany. Ze wszystkich sił przytrzymał dłońmi narządy wewnętrzne, a krew tryskała mu z rany o szerokości co najmniej trzydziestu centymetrów. Stracił czucie w nogach i leżał teraz bezradnie, gdy żołnierz - ku jego przerażeniu -

zrobił kolejny zamach, tym razem w kierunku głowy.

*

Alric szarżował na barbakan. Hrabia Pickering, Mauvin i marszałek Garret niezwłocznie poprowadzili za nim rezerwę rycerzy. Z parapetów nad wielkimi bramami poleciał deszcz strzał. Jedna odbiła się od przyłbicy Alrica, kolejna weszła głęboko w rżnięk

siodła. Inna trafiła w bok wierzchowca sir Sinclaira, przez co koń niespodziewanie stanął dęba, ale rycerz pozostał w siodle. Niezliczona liczba strzał spadła na ziemię, nie wyrządzając nikomu żadnej krzywdy. Rozwścieczony książę podjechał bezpośrednio do bramy i stając w strzemionach, krzyknął:

- Jestem książę Alric Brendon Essendon! W imię swojego króla otwórzcie bramę!

Nie był pewien, czy ktoś go usłyszał ani czy nie świśnie kolejna strzała, która zakończy jego życie. Pozostali rycerze rozłożyli się wachlarzem za nim, kiedy marszałek próbował

zbudować mur wokół swojego monarchy.

Nie poleciała druga strzała, ale brama też się nie otworzyła.

- Alricu! - zawołał hrabia Pickering. - Musisz wracać!

- Jestem księżę Alric Essendon! W tej chwili otworzyć bramę! - zażądał ponownie i tym razem zdjął hełm i odrzucił

go na bok oraz wycofał się, aby widziano go z szanów.

Wszyscy czekali. Hrabia Pickering i Mauvin patrzyli na księcia z przerażeniem i próbowali go przekonać, aby odjechał od bramy. Przez kilka pełnych napięcia chwil nic się nie wydarzyło. Z wnętrza dochodziły tylko do nich odgłosy walki. Wreszcie na szczycie murów rozległ się krzyk:

- Księżę! Otworzyć bramę! Wpuścić go! To księżę! Potem rozległy się kolejne wrzaski i nagle masywna brama się uchyliła i otwarto drzwi.

Wewnątrz panowało zamieszanie. Strażnicy w mundurach walczyli z hordą podobnych do druciarzy cywilów w prowizorycznych zbrojach i skradzionych

hełmach. Alric się nie zatrzymał. Spiął konia i wjechał w tłum. Mauvin, hrabia Pickering, sir Ecton i marszałek Garret usiłowali zapewnić mu osobistą ochronę, ale nie było takiej potrzeby. Na jego widok obrońcy odłożyli broń. Rozeszła się wieść, że księżę żyje i ci, którzy widzieli, jak pędzi w kierunku zamku, wymachując mieczem ojca, wzniesli okrzyki na wiwat.

*

Royce usłyszał zawodzący dźwięk trąbki, kiedy stał

uwięziony na schodach wieży.

- Zdaje się, że na zewnątrz toczy się walka - zauważył

Magnus. - Ciekawe, kto zwycięży. - Krasnolud podrapał się po brodzie. - Właściwie to się zastanawiam, kto walczy.

- Niewiele cię interesują sprawy twojego mocodawcy, prawda? - stwierdził Royce, przyglądając się ścianom.

Kiedy spróbował wbić kołek w szparę między blokami, kamień pękł jak skorupka jajka. Krasnolud nie kłamał w tej kwestii.

- Tylko jeśli jest to konieczne ze względu na zadanie. Tak przy okazji, nie robiłbym tego więcej. Miałaś szczęście, że nie trafiłaś w wiążące włókno.

Royce zaklął pod nosem.

- Jeśli chcesz mi pomóc, to powiedz, jak mam wejść do góry i wrócić.

- Kto powiedział, że chcę ci pomóc? - Krasnolud uśmiechnął się złośliwie. - Pół roku spędziłem przy tej robocie. Nie chcę, żebyś doprowadził do zawalenia się wszystkiego w kilka minut. Chcę się rozkoszować tą chwilą.

- Wszystkie krasnoludy są takie zwichrowane?

- Pomyśl o tym jak o wybudowaniu zamku z piasku i pragnieniu czerpania przyjemności z obserwowania, jak zostaje zmyty przez falę. Już nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć, jak i kiedy ta budowla w końcu się zawali. Wskutek niewłaściwego kroku, utraty równowagi czy czegoś zdumiewającego i nieoczekiwanego?

Royce wyjął sztylet i chwycił go za ostrze tak, aby krasnolud go widział.

- Masz świadomość, że mógłbym ci przebić szyję stąd, gdzie stoję?

Była to fałszywa groźba, gdyż w tej chwili nie odważyłby się wyrzucić takiego ważnego narzędzia. Ale spodziewał się, że krasnolud się przestraszy lub przynajmniej wybuchnie kpiącym śmiechem. Ten jednak nie zrobił ani jednego, ani drugiego. Gapił się na sztylet szeroko otwartymi oczami.

- Skąd go masz?

Royce przewrócił oczami z niedowierzaniem.

- Jestem tu trochę zajęty, jeśli nie zauważyłeś. Zaczął

ponownie przyglądać się schodom biegnącym w górę wokół

centralnego rdzenia wieży.

- Stopień, na którym jestem, nie spadnie dopóty, dopóki na nim stoję - mruknął do siebie, ale krasnolud go usłyszał. -

Spadnie dopiero wtedy, kiedy przejdę na następny.

- Pomysłowe, prawda? Możesz sobie wyobrazić, jak jestem dumny ze swojej pracy. Początkowo miało to być narzędzie śmierci Aristy. Braga mnie wynajął, żebym upozorował

wypadek. Zmurszała stara wieża w królewskiej rezydencji zawala się i przygniata biedną księżniczkę. Niestety po ucieczce Alrica arcyksiążę zmienił zdanie i postanowił stracić Aristę. Myślałem,

że nigdy nie zobaczę owoców mojej ciężkiej pracy, ale pojawiłeś się ty. Jak to miło.

- Wszystkie pułapki mają słabe strony - zauważył Royce.

Spojrzał na schody powyżej i nagle się uśmiechnął.

Przykucnął, po czym przeskoczył nie o jeden, lecz dwa stopnie wyżej. Środkowy schodek zleciał, ale stopień, z którego Royce skakał, pozostał.

- Powinienem przeskakiwać co drugi stopień - zauważył

złodziej - wtedy spadnie co drugi, prawda?

- Bardzo sprytnie - odparł krasnolud wyraźnie niezadowolony.

Royce dalej przeskakiwał co dwa stopnie, aż zniknął

Magnusowi z widoku za załomem schodów. Kiedy krasnolud już go nie widział, krzyknął:

- To ci nic nie da! Nie dasz rady przeskoczyć szczeliny na dole. Jesteś wciąż uwięziony!

*

Arista kuciała na łóżku, kiedy ktoś stanął za drzwiami. To był prawdopodobnie ten straszny karzeł albo sam Braga, który przyszedł ją zabrać na proces. Słyszała skrobanie i co jakiś czas głuchy odgłos. Zbyt późno przypomniała sobie, że nie zamknęła drzwi na klej-notozamek. Kiedy ruszyła do nich, te otworzyły się szeroko. Ku swojemu zaskoczeniu zobaczyła, że to nie Braga ani krasnolud. Przed nią stał złodziej z lochu.

- Księżniczko - powiedział Royce, wykonując pełen uszanowania, Jecz krótki ukłon w jej kierunku.

Szybko ją minął i wydawało się, że czegoś szuka. Przebiegł

wzrokiem po ścianach i suficie jej komnaty.

- To ty? Co tu robisz? Czy Alric żyje?

- Nic mu nie jest - odrzekł Royce, chodząc po pokoju.

Wyjrzał przez okna i sprawdził wytrzymałość zasłon. - Nie nadają się.

- Po co tu przyszedłeś? Jak się tu dostałeś? Widzieliście się z Esrahaddonem? Co powiedział Alricowi?

- Jestem teraz trochę zajęty, Wasza Wysokość.

- Zajęty? Czym?

- Ratowaniem ci życia, choć przyznaję, że na razie nie za dobrze mi to idzie.

Bez pytania o pozwolenie otworzył szafę na ubrania i zaczął

przeglądać rzeczy księżniczki. Następnie przetrząsnął

szuflady komody.

- Po co ci moje rzeczy?

- Próbuję wymyślić sposób, żeby się stąd wydostać.

Przypuszczam, że ta wieża runie za kilka minut i jeśli wkrótce jej nie opuścimy, zginiemy.

- Rozumiem - odrzekła po prostu. - Dlaczego nie możemy zejść po schodach? - Wstała i podeszła do drzwi. - Słodki Mariborze! - wykrzyknęła, widząc, że brakuje co drugiego stopnia.

- Możemy przeskoczyć przez te luki, ale na samym dole brakuje sześciu albo siedmiu. Nie sięgniemy korytarza.

Liczyłem, że może wyskoczymy z okna do fosy, ale to wygląda na samobójstwo.

- Och - zdołała jedynie wymamrotać Arista. Miała coraz większą ochotę krzyknąć i zakryła usta ręką, żeby się powstrzymać. - Masz rację. Nie za dobrze ci idzie.

Royce zajrzał pod łóżko, a potem wstał.

- Chwileczkę, przecież jesteś czarodziejką, prawda?

Esrahaddon nauczył cię magii. Możesz nas sprowadzić?

Sprawić, żebyśmy lewitowali albo zamienić nas w ptaki czy coś w tym guście?

Arista uśmiechnęła się z zakłopotaniem.

- Nie zdołałam aż tyle się nauczyć, a już na pewno nie autolewitacji.

- Potrafisz utrzymać w powietrzu deskę albo kamień, na który moglibyśmy wskoczyć?

Arista pokręciła głową.

- A sztuczka z ptakami?

- Nawet gdybym umiała to zrobić, pozostalibyśmy nimi na zawsze, bo nie mogłabym nas odczarować, prawda?

- A więc magia odpada - stwierdził Royce i zaczął

zdejmować z łóżka wypełniony pierzem materac, pod którym znajdowała się siatka sznurowa. - W porządku, pomóż mi odwiązać tę siatkę.

- Lina nie dosięgnie ziemi - ostrzegła go Arista.

- Nie musi - odrzekł, przeciągając sznur przez otwory w ramie łóżka.

Wieża się zatrzęsła i z krokwi znów posypał się pył. Arista wstrzymała na chwilę oddech. Serce jej waliło, gdyż sądziła, że zaraz wszystko się zawali, ale wieża jeszcze raz znieruchomiała.

- Mamy coraz mniej czasu - stwierdził Royce.

Zwinał linę wokół ramienia i ruszył do drzwi.

Arista przelotnie spojrzała na toaletkę i podarowane jej przez ojca szczotki, po czym podeszła do progu komnaty.

- Będziesz musiała zeskakiwać. Schody, które pozostały, powinny wytrzymać, i powinno być łatwiej niż przy wchodzeniu na górę. Celuj tylko uważnie, ale jeśli ci się zdarzy pomyłka, spróbuję cię złapać.

Po tych słowach zeskoczył o dwa stopnie z taką gracją, że Arista zawstydzila się własnym brakiem pewności siebie.

Stanął na podeście i rozkołysała się,

skupiając uwagę na pierwszym schodku. Skoczyła i wylądowała na nim nieco za bardzo z przodu. Zachwiała się na krawędzi i zaczęła machać szaleńczo rękami, rozpaczliwie próbując odzyskać równowagę. Royce wyciągnął ręce, gotowy ją złapać, ale już stała pewnie. Drżąc lekko, zaczerpnęła głęboko powietrza.

- Nie za daleko! - przypomniał jej.

Co ty powiesz, pomyślała z ironią. Sama bym na to nie wpadła.

Drugi skok poszedł jej łatwiej, a trzeci jeszcze lepiej.

Niebawem wpadła w rytm i żwawo podążała za Royce'em, który zeskakiwał na każdy kolejny stopień niemal tanecznym krokiem. Byli już prawie na dole, kiedy złodziej się zatrzymał.

- Idź dalej - powiedział do niej. - Zatrzymaj się na ostatnim schodku i tam zaczekaj.

Skinęła głową, a on odwinął sznur i zaczął go przywiązywać do stopnia, na którym stał. Arista zeskakiwała dalej, przestrzegając się w myślach, żeby nie czuła się zbyt pewna siebie. Kiedy zobaczyła pustą przestrzeń na dole, straciła resztki odwagi. Ziejąca otchłań prowadząca w ciemność wystarczyła, aby znów ogarnęło ją przerażenie.

- No proszę, księżniczka! - zawołał na jej widok krasnolud.

Stał w wejściu na korytarz i uśmiechał się szeroko, odsłaniając garnitur pożółkłych zębów. - Naprawdę nie spodziewałem się, że znów cię zobaczę. Gdzie złodziej? Spadł

i się zabił?

- Ty wstrętne gnido! - krzyknęła do niego.

Po raz kolejny wieża zadrżała. Pod wpływem wstrząsów Arista zachwiała się na stopniu i serce jej załomotało ze strachu. Posypały się ogromne ilości pyłu i deszcz skalnych odłamków odbijających się

od ścian i schodów. Księżniczka skuliła się, osłaniając głowę rękami

- Ta stara wieża zaraz runie - orzekł krasnolud z dziką radością w głosie, choć po raz kolejny konstrukcja przetrwała.

- Jaka szkoda być tak blisko bezpiecznej przystani, mimo to wciąż tak daleko. Gdybyś tylko była żabą, mogłabyś tu doskoczyć. A tak to nadal nie masz jak uciec.

Z góry spadła lina i zawisła na środku między księżniczką a krasnoludem. Po niej niczym pająk po nitce zsunął się Royce.

Zrównawszy się poziomem z Aristą, zatrzymał się i zaczął

huśtać.

- Imponująca pomysłowość! - wykrzyknął krasnolud i skinął głową, okazując swoje uznanie.

Royce wskoczył na stopień obok Aristy i obwiązał się liną wokół pasa.

- Musimy się tylko dostatecznie rozbijać. Trzymaj się mnie.

Księżniczka z ochotą zarzuciła mu ręce na ramiona i mocno je zacisnęła nie tylko ze strachu, lecz również dla bezpieczeństwa.

- Właściwie mogłoby ci się udać - stwierdził Magnus. - I za to chylę czoła, ale zrozum, że muszę dbać o reputację. Nie mogę pozwolić, żeby ktoś chodził po ziemi i się przechwalał, że wydostał się z mojej pułapki.

Następnie bez ostrzeżenia zamknął gwałtownie drzwi, odcinając im drogę ucieczki.

*

Hadrian usłyszał zawodzący dźwięk trąbki, kiedy stał naprzeciwko Bragi na korytarzu rezydencji królewskiej.

- Chyba minie sporo czasu, zanim przybędzie tu Wylin ze strażnikami - dokuczał arcyksięciu. - Przypuszczam, że teraz, kiedy zamek jest szturmowany, ma on ważniejsze sprawy na głowie od przybiegania na rozkaz hrabiego z Warric.

- Tym gorzej dla ciebie, bo nie mogę cię dłużej pozostawić przy życiu - oznajmił Braga i zrobił jeszcze jeden wypad.

Wykonywał błyskawiczne ciosy w stronę Hadria-na, ale najemnik odskakiwał płynnie, wycofując się coraz bardziej w głąb korytarza. Postawa arcyksięcia była nienaganna: przeniósł środek ciężkości ciała na tylną nogę, natomiast druga stopa dotykała ziemi tylko dużym palcem. Plecy miał wyprostowane. Rękę z mieczem wyciągnął do przodu, z kolei drugą unióśł ładnie wygiętą w literę L. Nawet palce ustawił

elegancko, jakby trzymał w nich niewidoczny kieliszek wina.

Długie czarne włosy poznaczone pasemkami siwizny opadały mu swobodnie na ramiona, a na jego czole nie było widać ani kropelki potu.

W przeciwieństwie do niego Hadrian poruszał się niezgrabnie i niepewnie. Melengarski miecz był znacznie gorszy od każdej z jego broni. Kiedy próbował go trzymać nieruchomo oburącz, czubek drżał. Cofał się więc powoli, starając się utrzymać dystans między nimi.

Arcyksiążę zrobił kolejny wypad, a Hadrian odparował cios i przeszedł szybko obok Bragi, ledwo unikając powrotnego cięcia, przy którym ostrze arcyksięcia zawadziło o lichtarz na ścianie. Wykorzystał okazję, aby pobiec korytarzem i wślizgnąć się do kaplicy.

- Bawimy się w chowanego? - podjudzał Braga.

Wszedł i zbliżył się pospiesznie do ołtarza, przy którym stał

Hadrian. Kiedy arcyksiążę zamachnął

się na niego, najemnik zrobił krok do tyłu, uchylił się przed ciosem poprzecznym, a potem odskoczył, unikając cięcia z góry. Braga trafił w posąg Maribora pozbawiając boga trzech palców. Hadrian stał teraz przed drewnianym pulpitem, nie spuszczając wzroku z arcyksięcia i oczekując następnego ataku.

- Jakie to poetyckie - zadrwił Braga. - Wybrałaś sobie na śmierć to samo miejsce, w którym zginął król.

Arcyksiążę zamachnął się z prawej strony i Hadrian odbił

cios. Przeciwnik obrócił się na tylnej nodze, wykręcił młyńca nad głową i uderzył potężnie z góry. Hadrian, spodziewając się tego ataku, a nawet licząc na niego, rzucił się szczupakiem na ziemię i przejechał na brzuchu po wypolerowanej podłodze z marmuru w kierunku drzwi kaplicy.

Wstał i odwrócił się akurat w momencie, gdy miecz Bragi spadł pionowo na pulpit. Cios był taki silny, że ostrze się zaklinowało w drewnie i arcyksiążę musiał nieźle się postarać, żeby uwolnić miecz. Hadrian wykorzystał tę okazję i wybiegi z kaplicy, zamknąwszy za sobą drzwi, które następnie zablokował, wbijając miecz w szparę między nie a futrynę.

- To powinno cię zatrzymać na jakiś czas - powiedział do siebie, łapiąc oddech.

- Gnida! - syknęła Arista przez zaciśnięte zęby w kierunku zamkniętych drzwi.

Wieża znów zadrżała i tym razem spadły większe odłamki.

Jeden kloc trafił w stopień znajdujący się jakiś metr od nich i oba kamienne bloki roztrzaskały się na kawałki, które runęły w przepaść sięgającą

fundamentu budowli. Teraz już nic nie przytrzymało konstrukcji przez rozpadem.

- Trzymaj się! - krzyknął Royce, odpychając się od stopnia.

Razem przelecieli nad czeluścią. Złodziej chwycił duży żelazny pierścień u drzwi i oboje znaleźli oparcie dla nóg na progu ościeżnicy.

- Zamknął je na klucz - poinformował Aristę. Przełożył

jedną rękę przez pierścień i wyjął zza pasa zestaw wytrychów. Wolną ręką zaczął manipulować przy zamku. Forteca zatrzęsała się z dudnieniem i nagle lina przywiązana do Royce'a zrobiła się luźna. Złodziej puścił

narzędzia i wyjął sztylet. Odciał opasującą go linę akurat w chwili, kiedy przywiązana do niej kamienna płyta prze-latywała obok nich. Wieża zaczęła się naprawdę walić.

Royce wbił sztylet głęboko w drewniane drzwi, aby zyskać drugi uchwyt. Wydrążone przez krasnoluda ściany rozleciały się na kawałki, które rozprysły się na wszystkie strony. Gdy zaczęły bombardować ich fragmenty kamieni, skulili się pod lichą osłoną, jaką dawało półokrągłe sklepienie futryny.

Aristę uderzył w plecy kamień wielkości pięści. Straciła oparcie pod nogami i krzyknęła, opadając od ściany. Royce natychmiast ją przytrzymał. Na oślep chwycił za suknię na plecach, łapiąc przy tym spory kosmyk jej włosów.

- Nie dam rady! - krzyknął.

Poczuł, jak księżniczka ześlizguje się po jego ciele, a jej suknia się rozdziera. Zrezygnował z oparcia dla nóg i zawisł

zaczepiony ramieniem na pierścieniu u drzwi, aby móc owinać nogi wokół Aristy. Księżniczka rozpaczliwie wpijała się paznokciami w jego ciało, aż w końcu natrafiła na pas i zacisnęła na nim palce.

Royce przez chwilę nic nie widział z powodu chmury pyłu i startego na proszek kamienia. Kiedy kurz opadł, stwierdził, że wiszą w świetle dnia na czymś, co teraz stanowiło zewnętrzną ścianę baszty warownej zamku. Kawałki wieży spadły do fosy, tworząc stos ponad dwadzieścia metrów pod nimi.

Tłumnie zgromadzeni na dworze obserwatorzy krzyknęli i głośno westchnęli, wskazując ich palcami.

- To księżniczka! - krzyknął ktoś.

- Dosięgniesz progu? - spytał Royce.

- Nie! Jeśli spróbuję, to spadnę. Nie mogę... Złodziej poczuł, że Arista znów się po nim zsuwa, i spróbował mocniej zacisnąć na niej nogi, ale wiedział, że to nie wystarczy.

- O nie! Moje palce...

Zahaczone na pierścieniu ramię Royce'a nadwerężyło mu boleśnie bark, a uścisk drugiej ręki, którą przytrzymał

Aristę za suknię i włosy, powoli słabł. Księżniczka znów się ześlizgiwała i czuł, że niebawem ją straci. Wtem coś szarpnęło go za ramię. Otworzyły się drzwi i pojawiła się silna ręka, która chwyciła Aristę.

- Trzymam cię - powiedział Hadrian, chwytając księżniczkę.

Następnie rozwarł drzwi na oścież, wciągając przy tym Royce'a na korytarz. Legli na podłodze wyczerpani i pokryci pyłem. Po chwili Royce wstał i otrzepał ubranie.

- Wydawało mi się, że czuję, jak zamek się otwiera -

powiedział, wyjmując sztylet z drzwi.

Hadrian stał na progu i spoglądał na przejaśniające się błękitne niebo.

- Cóż, Royce, pięknie urządziłeś to miejsce.

- Gdzie jest krasnolud? - spytał przyjaciel, rozglądając się.

- Nie widziałem go.

- A Braga? Chyba go nie zabiłeś?

- Nie. Zamknąłem w kaplicy, ale długo tam nie posiedzi. A propos, mógłbym pożyczyć twój miecz? I tak nie będziesz go używał.

Royce podał mu falcjon, który stanowił część jego przebrania za strażnika zamkowego. Hadrian wziął broń, wysunął ją z pochwy i zważył w ręce.

- Mówię ci, te miecze są okropne. Ciężkie i stabilne jak pijany pies sikający na trzech nogach. - Spojrzał na Aristę i dodał: - Wybacz, Wasza Wysokość. Jak się masz, księżniczko?

Arista wstała.

- Już znacznie lepiej.

- Gwoli formalności: jesteście kwita, prawda? - spytał ją Royce. - Uwolniłaś nas z więzienia i uratowałaś przed straszliwą śmiercią, a teraz my uratowaliśmy ciebie.

- Świetnie - zgodziła się, strzepując pył z podartej sukni. -

Ale chciałabym zauważyć, że ratowanie was było znacznie mniej niebezpieczne. - Przeczesała ręką rozczochrane włosy. -

To naprawdę bolało.

- Upadek byłby gorszy.

W głębi korytarza rozległ się głośny trzask.

- Muszę iść - powiedział Hadrian. - Jego lordowska mość się uwolnił.

- Uważaj! - zawołała za nim Arista. - To sławny szermierz!

- Mam już naprawdę dość wysłuchiwania tego - mruknął

Hadrian, ruszając w stronę kaplicy.

Nie uszedł daleko, kiedy zza rogu wynurzył się Braga.

- A więc ją uwolniłeś! - ryknął arcyksiążę. - Będę więc musiał zabić ją sam.

- Niestety, najpierw musisz przejść obok mnie - powiedział

do niego Hadrian.

- To żaden kłopot.

Arcyksiążę przypuścił na złodzieja wściekły atak, uderzając z furią raz za razem. Hadrian odbijał gwałtowne ciosy, które spadały tak szybko, że słyhać było świst powietrza. Na coraz bardziej czerwonej twarzy Bragi malowała się nienawiść.

- Braga! - usłyszeli krzyk z drugiego końca korytarza.

Arcyksiążę odwrócił się na pięcie, dysząc.

*

Hadrian zobaczył w głębi księcia. Alric miał na sobie zbroję płytową i białą pelerynę poplamioną krwią. Trzymał rękę na rękojeści miecza schowanego w pochwie. Przy jego boku stali Pickeringowie i sir Ecton. Wszyscy mieli posępne i groźne miny.

- Odłóż broń - rozkazał książę potężnym głosem.

- To już koniec. To moje królestwo!

- Ty plugawa glisto! - rzucił Braga epitet pod adresem księcia.

Zapomniał o Hadrianie i ruszył w stronę Alrica. Hadrian nie poszedł za nim. Przyłączył się do Royce'a i Aristy, żeby popatrzeć.

- Myślałeś, że chodziło mi o twoje małe królestwo?

- zagrzmiął Braga. - Tak ci się wydaje? Usiłowałem uratować świat, głupcy! Nie widzicie tego? Spójrzcie na niego! - Arcyksiążę wskazał na księcia. - Spójrzcie na tego robala. - Odwrócił się i wskazał na Aristę.

I na nią też! Jak ich ojciec nie są ludźmi! - Braga, wciąż cały czerwony po wyczerpującej walce, szedł dalej w stronę Alrica. - Wolelibyście plugawe rządy zamiast mnie. Po moim trupie!

Ruszył biegiem z uniesionym mieczem. Gdy znalazł się dostatecznie blisko Alrica, zadał cios z góry. Zanim książę zdążył zareagować, atak został odparty. Elegancki rapier zablokował ostrze Bragi w połowie uderzenia. Hrabia Pickering przytrzymał je w powietrzu, a sir Ecton odciągnął księcia na bezpieczną odległość.

- Widzę, że masz swój miecz. Tym razem nie będziesz miał wymówki, drogi hrabio.

- Nie będę jej potrzebował. Zdradziłeś Koronę i zakończę to w imię pamięci o moim przyjacielu Armacie.

Błysnęły ostrza. Pickering był równie dobrym mistrzem fechtunku jak Braga i obaj poruszali się z gracją, a ich miecze wydawały się przedłużeniem rąk. Mauvin i Fanen sięgnęli po broń i już chcieli ruszyć do przodu, ale sir Ecton ich powstrzymał.

- To walka waszego ojca.

W dodatku walka na śmierć i życie. Oko nie nadążało za śmigającymi w powietrzu mieczami. Śmiertelne ostrza świstały, jakby wyśpiewywały sobie nawzajem pieśń, i zgrzytały unisono po każdym zderzeniu. Rapier Pickeringa był tak niewiarygodnie lśniący, że nawet w półmroku panującym na korytarzu jarzył się, przecinając powietrze niczym świetlna różdżka. Błyskał i iskrzył się, kiedy stal trafiała w stal. Braga zadał pchnięcie i drasnął bok Pickeringa, a przy cofaniu ręki zrobił płytkie rozcięcie w poprzek jego klatki piersiowej. Hrabia z ledwością odparował drugie pchnięcie szybkim ruchem, który umożliwił mu wyprowadzenie

ciosu ukośnie znad głowy. Braga uniósł miecz, żeby zablokować uderzenie, ale Pickering zignorował obronę.

Machnął rapierem z taką siłą i szybkością, że ostrze jakby się rozżarzyło w powietrzu.

Hadrian odruchowo się skulił. Potężny cios z góry narażał

Pickeringa na śmiertelną ripostę. I klingi się zderzyły, krzesząc snop jaskrawych iskier, ale ostrze Pickeringa niespodziewanie przełamało klingę Bragi na pół i bez przeszkód uderzyło arcyksięcia w szyję. Lord kanclerz upadł

na podłogę, a jego głowa potoczyła się po ziemi.

Mauvin i Fanen błyskawicznie znaleźli się u boku ojca, a na ich twarzach malował się wyraz nieskrywanej dumy i ulgi.

Alric podbiegł do siostry, która stała między dwoma złodziejami.

- Arista! - wykrzyknął, zarzucając jej ręce na szyję.

- Mariborowi dzięki, jesteś cała!

- Nie gniewasz się na mnie? - spytała nieco zaskoczona, odsuwając się od brata.

Alric pokręcił głową.

- Zawdzięczam ci życie - powiedział i znów ją objął.

- A wam... - zaczął, spoglądając na Royce'a i Hadriana.

- Alricu - przerwała mu Arista. - To nie była ich wina. Nie zabili ojca i nie chcieli cię porwać. To moja sprawa. To ja ich do tego zmusiłam. Oni nic nie zrobili.

- Mylisz się, kochana siostró. Zrobili bardzo wiele.

- Alric się uśmiechnął i położył rękę na ramieniu Hadriana.

- Dziękuję.

- Mam nadzieję, że nie zamierzasz nam policzyć za więź -

zażartował Hadrian. - Ale jeśli tak, to winny jest Royce i to on powinien ponieść koszty.

Alric zachichotał.

- Ja jestem winny? - warknął Royce. - Znajdźcie tego kurdupla z brodą i to z niego wyduście pieniądze.

- Nie rozumiem - odrzekła Arista z zakłopotaną miną. -

Chciałeś ich stracić.

- Jesteś w błędzie, kochana siostró. Ci dwaj wspaniali ludzie to królewscy obrońcy Essendonów i wygląda na to, że świetnie dziś wypełnili swój obowiązek.

- Wasza lordowska mość. - Na korytarzu pojawił się marszałek Garret, który podszedł do hrabiego, tylko przelotnie zerkając na martwe ciało Bragi. - Zamek został przejęty, a najemnicy zginęli albo uciekli. Wydaje się, że straż jest wciąż wierna rodowi Essendonów. Szlachcice usilnie pragną zapoznać się ze stanem spraw i czekają w sali dworskiej.

- Dobrze - odparł hrabia. - Powiedz im, że Jego Królewska Mość wkrótce do nich przemówi. I

przyślij kogoś do posprzątania tego bałaganu.

Marszałek się skłonił i wyszedł. Alric i Arista, trzymając się za ręce, podeszli do pozostałych. Za nimi podążyli Hadrian i Royce.

- Nawet teraz trudno mi uwierzyć, że był zdolny do takiej zdrady - powiedział Alric, spoglądając na ciało Bragi.

Arista, przechodząc przez kałużę krwi, uniosła skraj sukni.

- Co to były za obelgi, że nie jesteśmy ludźmi? - spytała.

- Widocznie postradał zmysły - odparł biskup Saldur, który podszedł właśnie do nich z Archibaldem Ballentyne'em za plecami.

Choć Hadrian nie spotkał nigdy biskupa osobiście, wiedział, kto to jest. Saldur, witając się z księciem i księżniczką, uśmiechnął się serdecznie i przybrał ojcowski wyraz twarzy.

- Tak dobrze cię widzieć, Alricu - powiedział, kładąc ręce na ramionach młodzieńca. - Moja droga Aristo, twoja niewinność nie cieszy nikogo bardziej ode mnie. Muszę cię prosić o wybaczenie, moja droga, ale twój wuj wprowadził

mnie w błąd. Zasiał w moim umyśle ziarno wątpliwości. Ale ja powinienem słuchać głosu serca i wiedzieć, że nie mogłabyś popełnić czynów, jakie ci zarzucał. - Pocałował ją delikatnie w jeden, a potem drugi policzek, po czym spojrzał

na zakrwawione ciało leżące na podłodze i dodał: - Obawiam się, że brzemień winy z powodu zabójstwa króla przerosło siły tego biedaka i w końcu popadł w obłąd. Może był pewny, że nie żyjesz, Alricu, a kiedy cię zobaczył na korytarzu, uznał za ducha albo demona, który wrócił zza grobu, aby go prześladować.

- Możliwe - odrzekł Alric sceptycznie. - Przynajmniej jest już po wszystkim.

- A co z krasnoludem? - spytała Arista.

- Krasnoludem? - powtórzy! jej brat. - Skąd o nim wiesz?

- To on założył pułapkę w wieży. Omal nie zabił mnie i Royce'a. Czy ktoś wie, dokąd uciekł? Niedawno tu był.

- Odpowiada za znacznie cięższą zbrodnię. Mauvin, biegnij powiedzieć marszałkowi, żeby niezwłocznie zarządził

poszukiwania - polecił Alric.

- W tej chwili - skinął głową Mauvin i puścił się biegiem.

- Mnie też cieszy, że nic ci nie jest, Wasza Wysokość -

zwrócił się do księcia Archibald. - Słyszałem, że nie żyjesz.

- I przybyłeś tu, żeby oddać cześć mojej pamięci?

- Przybyłem tu na zaproszenie.

- Czyje? - spytał Alric i spojrzał na zwłoki Bragi. - Jego?

Jakie wspólne interesy mają w Melengarze imperialistyczny hrabia Warric i zdradziecki arcyksiążę?

- Zapewniam cię, że to była niewinna wizyta. Alric spiorunował hrabiego spojrzeniem.

- Wynoś się z mojego królestwa, zanim każę cię aresztować za spiskowanie.

- Nie poważylbyś się - ripostował Archibald. - Jestem wasalem króla Ethelreda. Aresztuj mnie albo choćby tylko źle potraktuj, a narazisz się na wojnę, na którą Melengar nie może sobie pozwolić, zwłaszcza z takim niedoświadczonym młokosem na tronie.

Alric dobył miecza i Archibald zrobił dwa kroki do tyłu.

- Wyprowadźcie hrabiego, zanim zapomnę o traktacie pokojowym między Melengarem a Warric.

- Czasy się zmieniają, Wasza Wysokość! - zawołał do księcia Archibald, kiedy strażnicy go odprowadzali.

- Nadchodzi nowe imperium, a w nim nie będzie miejsca na archaiczną monarchię.

- Nie mam żadnych podstaw, żeby wtrącić go do lochu?

Nawet na kilka dni? - spytał Alric Pickeringa.

- Nie mógłbym go oskarżyć o szpiegostwo?

Zanim Pickering zdążył odpowiedzieć, odezwał się biskup Saldur:

- Hrabia ma rację, Wasza Wysokość, każdy wrogi akt wobec Ballentyne'a król Ethelred uznałby za działanie wojenne wymierzone przeciwko Chadwick. Rozważ tylko, jak sam byś zareagował, gdyby hrabiego Pickeringa powieszono w Aąeście. Nie puściłbyś tego płazem. Poza tym hrabia Ballentyne to krzykacz. Jest

młody i tylko udaje odwagę. Wybacz mu. Czy tobie też nie zdarzyły się błędy w osądzie?

- Być może - wymamrotał Alric. - Ale jestem przekonany, że ta żmija coś knuje. Chciałbym móc dać mu nauczkę.

- Wasza Wysokość? - wszedł księciu w słowo Hadrian. -

Jeśli nie masz nic przeciwko, Royce i ja mamy przyjaciół w mieście, do których chcielibyśmy zajrzeć.

- Oczywiście, idźcie - odrzekł Alric. - Pozostaje jednak kwestia zapłaty. Wyświadczyliście mi wielką przysługę -

powiedział, spoglądając z czułością na siostrę.

- Zamierzam dotrzymać słowa. Możecie podać cenę.

- Jeśli to nie problem, wrócimy do tej sprawy później -

zapropozował Royce.

- Rozumiem. - Książę okazał lekkie zaniepokojenie. - Ale mam głęboką nadzieję, że wasze żądania będą rozsądne i nie doprowadzą królestwa do bankructwa.

- Wasza Wysokość, powinieneś przemówić do dworzan -

zauważył Pickering.

Książę skinął głową, po czym razem z Aristą zniknął na schodach. Pickering pozostał ze złodziejami.

- Myślę, że ten chłopak będzie dobrym królem

- orzekł, kiedy książę znalazł się już poza zasięgiem ich głosu. - W przeszłości miałem wątpliwości, ale widzę, że się zmienił. Spoważniał, nabrał pewności siebie.

- A więc miecz jest jednak magiczny. - Hadrian wskazał na rapier.

- Co? - Pickering spojrział na broń, którą nosił przy boku, i uśmiechnął się szeroko. - Powiedzmy, że daję mi pewną przewagę w walce. A propos, czemu dałeś się Bradze tak pogonić?

- Jak to?

- Widziałem waszą walkę. Przyjąłeś postawę defensywną, tylko parowałeś i blokowałeś ciosy. Ani razu nie zaatakowałeś.

- Bałem się - skłamał Hadrian. - Braga zdobył tyle nagród i wygrał tyle turniejów, a ja ani jednego...

Pickering miał zakłopotaną minę.

- Tylko szlachcice mogą brać udział w turniejach. Hadrian zacisnął usta i skinął głową.

- Lepiej zajmij się swoimi ranami, wasza lordowska mość.

Masz krew na swojej ładnej tunice.

Pickering spojrział w dół i zdziwił się na widok rozcięcia na klatce piersiowej.

- To bez znaczenia. Z dziurą tunika i tak jest do wyrzucenia, a krwawienie chyba ustało.

Wrócił Mauvin, biegnąc do nich truchtem. Stał przy ojcu, obejmując go w pasie.

- Wysłałem żołnierzy na poszukiwanie krasnoluda, ale na razie go nie odnaleźli.

Pomimo niepomysłnych wieści syn Pickeringa uśmiechał

się szeroko.

- Co cię tak cieszy? - spytał go ojciec.

- Wiedziałem, że zdołasz go pokonać. Przez pewien czas powątpiewałem, ale w głębi serca wiedziałem.

Hrabia skinął głową, a na jego twarzy pojawił się wyraz zamyślenia. Spojrzął na Hadriana.

- Po tylu latach wątpliwości przypadek zrządził, że miałem okazję i szczęście pokonać Bragę, w dodatku w obecności moich synów.

Hadrian skinął głową i się uśmiechnął.

- To prawda.

Przez chwilę Pickering studiował twarz złodzieja, po czym położył rękę na jego ramieniu.

- Szczerze mówiąc, osobiście bardzo mnie cieszy, że nie jesteś szlachetnie urodzony, panie Hadrianie Blackwater.

Zaiste bardzo.

- Idziesz, wasza lordowska mość?! - zawołał sir Ecton i hrabia oddalił się z synem.

- Chyba nie oszczędzałeś Bragi, żeby Pickering mógł go zabić, co? - spytał Royce, kiedy zostali sami na korytarzu.

- Ależ skąd. Hamowałem się, bo za zabicie szlachcica prostego człowieka karze się śmiercią.

- Tak myślałem. - W głosie Royce'a słychać było nutę ulgi. -

Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie przerzuciłeś się ze spełniania dobrych uczynków od czasu do czasu na spełnianie ich nieustannie.

- Ci szlachcice wydają się mili i przyjacielscy, ale gdybym go zabił, możesz być pewny, że nie poklepaliby mnie po plecach, mówiąc: „Dobra robota”, choć sami pragnęli jego śmierci. Lepiej unikać zabijania szlachciców.

- Przynajmniej przy świadkach - doda! Royce z szerokim uśmiechem.

Kiedy wychodzili z zamku, usłyszeli, jak Alric mówi:

- ...zdradził Koronę i odpowiadał za morderstwo mojego ojca. Próbował też zamordować mnie i stracić moją siostrę.

Dzięki jednak mądrości księżniczki i bohaterstwu innych stoję tu teraz przed wami.

Po tych słowach rozległy się burzliwe oklaski i gromkie wiwaty.

Rozdział 10

Dzień koronacji

Siedemdziesięciu ośmiu ludzi zginęło i ponad dwustu odniosło rany w konflikcie, który stał się znany jako bitwa o Medford. Rozpoczęty w odpowiednim momencie atak obywateli na bramę przyspieszył wkroczenie księcia do miasta i według niektórych, choć nie wszystkich, uratował mu życie. Kiedy w mieście rozeszła się wieść o powrocie Alrica, ustał wszelki opór. Powrócił pokój, ale nie porządek. Przez kilka godzin jeszcze grupy rabusiów wykorzystywały okazję, żeby plądrować sklepy i magazyny, przeważnie leżące nad rzeką. Zginął szewc broniący swojego warsztatu, dotkliwie pobito tkacza. Zamordowano też szeryfa, jego dwóch zastępców i lichwiarza. Zabójców nigdy nie zidentyfikowano

- wyrównali stare rachunki? - i nikt się nie kwapił, żeby odnaleźć grabieżców. W końcu nikogo nawet nie aresztowano. Wszyscy odetchnęli z ulgą, że skończyły się akty przemocy.

Niemal cały śnieg, jaki spadł w dniu bitwy, stopniał w ciągu kilku następnych dni. Pozostały jedynie brudne połacie skrywające się w cieniu. Mimo to było zdecydowanie zimno.

Jesień oficjalnie dobiegła

końca i nadeszła zima. Milczący tłum stał godzinami na lodowatym wietrze, by zobaczyć wyniesienie ciała Amratha z królewskiej krypty na oficjalną ceremonię pogrzebową. Tego dnia pochowano też wielu innych i na cały kolejny tydzień ogłoszono żałobę.

Wśród zmarłych był Wylin, kapitan straży, który zginął

podczas kierowania obroną bramy. Nigdy nie ustalono, czy dopuścił się zdrady, czy zwyczajnie dał się zwieść arcyksięciu. Alric poczytał te wątpliwości na jego korzyść i kazał urządzić mu pogrzeb z pełnymi honorami. Mason Grumon zginął, ale Dixon Taft, zarządca gospody Róża i Cierń, stracił jedynie prawe przedramię. Prawdopodobnie zginąłby wraz z wieloma innymi, gdyby nie wysiłki Gwen DeLancy i jej dziewczyn. Prostytutki okazały się wyśmienitymi pielęgniarkami. Ranni i okaleczeni, którymi nie miał się kto opiekować, zadomowili się w Domu Medford na wiele tygodni. Gdy wieść o tym dotarła do zamku, wysłano tam żywność, zapasy i bieliznę.

Cały Melengar dowiedział się o bohaterskim natarciu Alrica na ufortyfikowaną bramę. W szynkach

popularnością cieszyły się opowieści o tym, jak ksiązę przeżył grad strzał, po czym odważnie zdjął i odrzucił na bok hełm, wystawiając się na ponowny atak. Przed bitwą niewielu go poważało, teraz w oczach wszystkich stał się bohaterem. Po kilku dniach popularność zyskała też trochę mniej znana niezwykła historia, mówiąca o tym, jak dwóch przestępców fałszywie oskarżonych o zamordowanie króla uciekło przed śmiercią w męczarniach, uprowadzając księcia. Wkrótce opowieść ta tak się rozrosła, że niebawem twierdzono, że ci sami złodzieje udali się wraz z księciem w ekscytującą podróż po kraju i wrócili w samą porę, by uwolnić księżniczkę tuż przed runięciem wieży. Niektórzy nawet utrzymywali, że pomogli uratować księcia przed egzekucją na gościńcu, podczas gdy inni się upierali, że widzieli, jak księżniczka wraz z jednym z przestępców tkwiła zawieszona na bocznej ścianie zamku po zawaleniu się wieży.

Pomimo zakrojonych na szeroką skalę poszukiwań nie znaleziono krasnoluda, z którego ręki zginął król. Alric wyznaczył nagrodę w wysokości stu złotych tenentów za pomoc w schwytaniu Magnusa i kazał rozwiesić stosowną informację na wszystkich znakach przy skrzyżowaniach dróg oraz na drzwiach każdej gospody i kościoła w królestwie. I choć patrole przemierzały trakty, przeszukując stodoły, magazyny i młyny, a nawet tereny pod przęsłami mostów, winowajcy nie znaleziono.

Po tygodniu żałoby rozpoczęła się naprawa zamku. Załogi robotników usunęły gruz, a architekci ocenili, że odbudowa wieży potrwa co najmniej rok. Choć nad twierdzą powiewała flaga z sokołem, mieszkańcy miasta rzadko widywali księcia Alrica. Przesiadywał sam w urzędowych komnatach, obciążony niezliczonymi obowiązkami. Hrabia Pickering, pełniący funkcję jego doradcy, pozostał w zamku wraz z synami. Pomagał młodemu księciu w przejęciu obowiązków jego ojca.

Dokładnie miesiąc po pochowaniu Amratha odbyła się ceremonia koronacji księcia. Wróciły opady śniegu i miasto znów przykryła biała kołdra. Na uroczystość przybyli wszyscy, tak że w wielkiej katedrze Mares zmieściła się tylko część chętnych. Większość więc zobaczyła przelotnie swojego nowego monarchę, kiedy przejeżdżał otwartym powozem z powrotem do zamku

lub ukazał się na otwartym balkonie, podczas gdy nad placem zamkowym grzmiały trąby.

Świętowano przez cały dzień. Obywateli zabawiali wynajęci bardowie i uliczni sztukmistrze. Z zamku dostarczono nawet darmowe piwo i stoły pełne najróżniejszego jadła. Po nadejściu wieczoru, który z powodu zimy zapadał coraz szybciej, ludzie przenieśli się do okolicznych gospód, gdzie bawiło się już sporo gości spoza miasta. Miejscowi powtarzali opowieści

O bitwie o Medford i słynną już legendę o księciu Alricu i szlachetnych złodziejach. Historie te wciąż się cieszyły popularnością i nic nie wskazywało na to, że szybko wyjdą z mody. Po długim dniu w końcu pogasły światła nawet w karczmach.

Jeden z niewielu budynków, w których wciąż paliły się świece, znajdował się w Dzielnicy Rzemieślników. Wcześniej był to sklep z galanterią męską, ale jego poprzedni właściciel, Lester Furl, zginął w bitwie. Niektórzy twierdzili, że to kapelusz z piórem, który Furl nosił tamtego dnia, przyciągnął

uwagę człowieka z toporem. Nad drzwiami wciąż wisiał stary drewniany szyld, ale w witrynie nie było widać żadnych kapeluszy na sprzedaż. I choć nawet późno w nocy w sklepie zawsze paliło się

światło, nikt nigdy nie widział, by ktokolwiek wchodził do niego lub z niego wychodził.

Wścibskich, którzy nie mogli się powstrzymać przed zapukaniem do drzwi, witał mały człowiek w prostej, długiej szacie. Za jego plecami widać było pokój wypełniony pozbawionymi sierści skórami zwierząt leżącymi w baliach albo rozwieszonymi na stelażach. Wzdłuż ścian ustawiono porządnie pumeksy, igły i nici oraz stosy złożonego papieru welinowego. W pokoju stały także trzy biurka z podnoszonymi blatami, na których

leżały duże arkusze pergaminu zapisanego starannym pismem. Na półkach i w otwartych szufladach stały buteleczki z atramentem. Mężczyzna zawsze zachowywał się uprzejmie, a zapytany o to, co sprzedaje, odpowiadał: „Nic”. Po prostu pisał książki. A ponieważ niewielu ludzi umiało czytać, toteż na tym kończyła się większość wizyt.

Myron Lanaklin siedział właśnie sam. Napisał pół strony *Traktatu Grigolesa o imperialnym prawie zwyczajowym* i po prostu przerwał. W pokoju było zimno i cicho. Wstał, podszedł do okna i wyjrzał na ciemną, zaśnieżoną ulicę. W

mieście, w którym było więcej ludzi, niż widział

kiedykolwiek w życiu, czuł się całkowicie samotny. Minął

miesiąc, a on napisał dopiero połowę swojej pierwszej książki. W tej ciszy wyobrażał sobie, że słyszy głosy braci odmawiających nieszpory.

Starął się jak najmniej spać, bo nawiedzały go koszmary.

Zaczęły się trzeciej nocy i były straszne. Wizje płomieni i błagania dochodzące z jego ust, kiedy głosy jego krewnych zamierały w piekielnym ogniu. Co noc odchodzili na nowo i każdego ranka budził się na zimnej podłodze w pokoiku znajdującym się w świecie, który był dla niego bardziej milczący i odizolowany, niż kiedykolwiek wydawało mu się jego opactwo. Brakowało mu domu i rozmów z Renianem.

Alric dotrzyma! obietnicy. Nowy król Melengaru dał mu sklep i wszystkie materiały potrzebne do tworzenia książek.

Ani słowem nie wspomniał o kosztach. Myron powinien więc być szczęśliwy, ale z każdym dniem czuł się coraz bardziej zagubiony. Choć miał więcej jedzenia niż kiedykolwiek i nie było opata, który by mu je ograniczał, jadł niewiele. Tracił

apetyt wraz z ochotą do pisania.

Co zrobi, gdy doprowadzi swój projekt do końca? Co zrobi z tymi książkami? Co się z nimi stanie? Co się stanie z nim?

Podobnie jak one nie miał przecież domu.

Myron usiadł na drewnianej podłodze w rogu sklepu, przyciągnął kolana do klatki piersiowej i oparł

głowę o ścianę.

- Czemu to ja musiałem przeżyć? - wymamrotał w pustkę. -

Czemu to ja musiałem pozostać? Dlaczego muszę dźwigać brzemie niezawodnej pamięci i wspominać codziennie każdą twarz, każdy krzyk, każdy płacz?

Jak zwykle łzy spływały mu po policzkach, a ponieważ nikt go nie widział, lkał na podłozie w migoczącym świetle świecy, by niebawem zasnąć.

Ze snu wyrwało go pukanie do drzwi. Wstał. Nie mógł spać długo, ponieważ świeca jeszcze się paliła. Podeszedł do drzwi, lekko je uchylił i wyjrzał przez szparę. Na schodku stało dwóch mężczyzn w ciężkich zimowych pelerynach.

- Myron? Wpuścisz nas czy pozwolisz, żebyśmy zamarzli?

- Hadrian? Royce! - wykrzyknął Myron, otwierając szeroko drzwi.

Od razu objął Hadriana, po czym odwrócił się do Royce'a i przystanął, dochodząc do wniosku, że uścisk ręki będzie bardziej odpowiadał złodziejowi.

- Minęło trochę czasu - powiedział Hadrian, uderzając jednym butem o drugi, żeby strząsnąć śnieg. - Ile skończyłeś książek?

Myron miał zakłopotaną minę.

- Nie szło mi początkowo dobrze, ale zrobię je. Czy tu nie jest cudownie? - zapytał, starając się, aby zabrzmiało to szczerze. - Jego Królewska Mość był bardzo szczodry, obdarowując mnie tym wszystkim. Papieru pergaminowego i atramentu wystarczy mi na lata! Cóż, nie prowokujcie mnie.

Jak to Finiless napisał: „Więcej nie dałoby się uzyskać, choćby się opróżniło świat do cna”.

- A więc podoba ci się tu? - spytał Hadrian.

- Ogromnie. Nie mógłbym sobie wymarzyć nic lepszego.

Złodzieje wymienili spojrzenia, których znaczenia Myron nie potrafił odgadnąć.

- Może napijecie się czegoś? Na przykład herbaty? Król jest dla mnie bardzo dobry. Mam nawet miód do słodzenia.

- Bardzo chętnie - odpowiedział Royce. Myron podeszedł do lady po czajnik.

- Co porabiacie o tak późnej porze? - spytał, a potem zaśmiał się z samego siebie. - Nieważne, przecież dla was to nie jest późna pora. Przypuszczam, że pracujecie w nocy.

- Można tak powiedzieć - przyznał Hadrian. - Właśnie wróciliśmy z podróży do Chadwick. Jedziemy

do gospody Róża i Cierń, ale postanowiliśmy wpaść tu po drodze i przekazać ci wiadomość.

- Wiadomość? Jaka?

- Myślałem, że dobrą, ale teraz już nie jestem taki pewny.

- Dlaczego? - spytał mnich, nalewając wody do czajnika.

- Musiałbyś opuścić to miejsce.

- Tak? - Myron odwrócił się nagle, rozlewając wodę.

- Tak, ale jeśli przywiązałeś się do niego...

- Dokąd miałbym pojechać? - spytał Myron niespokojnie, odstawiając dzbanek i zapominając o herbacie.

- Cóż - zaczął Hadrian - Alric powiedział, że możemy prosić o wszystko w zamian za uratowanie jego siostry, ale pamiętając o tym, że najpierw ona ocaliła nasze życie, uznaliśmy, że nie wypada prosić o pieniądze lub ziemię, lub cokolwiek dla siebie. Pomyśleliśmy o zniszczeniu Wichrowego Opactwa. I nie chodzi tylko o książki, ale też o bezpieczną przystań dla zagubionych w puszczy.

Poprosiliśmy zatem króla o odbudowanie opactwa w dawnej postaci.

- Mówisz... poważnie? - wyjąkał Myron. - Zgodził się?

- Prawdę mówiąc, odniosłem wrażenie, że mu ulżyło -

odrzekł Royce. - Chyba się bał, że poprosimy o coś niedorzecznego, na przykład jego pierworodnego albo klejnoty koronne.

- Moglibyśmy tak zrobić, gdybyśmy już wcześniej ich nie ukradli.

Hadrian zachichotał i Myron nie był pewien, czy najemnik żartuje.

-Alejeśli naprawdę spodobało ci się tutaj... - powiedział

Hadrian, zataczając palcem kółko w powietrzu - ...to...

- Nie! To znaczy, uważam, że macie rację. Należy odbudować opactwo ze względu na królestwo.

- Cieszę się, że tak sądzisz, bo musisz pomóc przy jego projektowaniu. Zakładam, że mógłbyś sporządzić plan poszczególnych piętér i narysować kilka szkiców?

- Naturalnie, w najdrobniejszych szczegółach. Hadrian zachichotał.

- Nie wątpię. Widzę, że doprowadzisz królewskiego architekta do rozpaczy.

- Kto będzie opatem? Czy Alric już się skontaktował z klasztorem Dibben?

- Dziś rano wysłał tam człowieka i była to jedna z jego pierwszych decyzji jako króla. W zimie odwiedzi cię kilku mnichów, a wiosną wszyscy będziecie mieli mnóstwo roboty.

Myron uśmiechał się szeroko.

- Co z herbatą? - spytał Royce.

- Ach tak, przepraszam.

Znów zaczął nalewać wody do czajnika, ale po raz kolejny przerwał tę czynność i odwrócił się do złodziei - na jego twarzy jednak nie było już śladu po radości.

- Bardzo bym chciał wrócić do domu i zobaczyć, jak powstaje od nowa, ale...

- O co chodzi?

- Czy nie wrócą tam imperialiści? Jeśli się dowiedzą, że opactwo zostało odbudowane... Nie sądzę, abym mógł...

- Uspokój się, Myronie - powiedział Hadrian. - To się nie zdarzy.

- Skąd ta pewność?

- Zaufaj mi, imperialiści nie poprą kolejnego najazdu na Melengar - wyjaśnił Royce.

Uśmiech na twarzy złodzieja skojarzył się Myronowi z kotem i mnich bardzo się ucieszył, że nie jest myszą.

*

Na krótko przed świtem w Dzielnicy Dolnej panował

spokój. Słysząc było jedynie przytłumiony przez śnieg odgłos kopyt końskich miarowo zmierzających w stronę gospody Róża i Cierń.

- Potrzebujesz jakichś pieniędzy? - zapytał Royce.

- Wystarczy mi to, cp mam - odrzekł Hadrian.

- Resztę oddaj na przechowanie Gwen. Ile tego jest?

- Cóż, nieźle się obłowiliśmy. Mamy piętnaście złotych tenentów za zwrócenie listów Alendy i dwadzieścia od Ballentyne'a za to, że je ukradliśmy, plus sto od DeWitta i sto od Alrica. Wiesz, kiedyś będziemy musieli odnaleźć tego DeWitta, by podziękować mu za tę robotę. - Royce wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Uważasz, że to było uczciwe prosić nie tylko O opactwo, ale także o pieniądze? - spytał Hadrian.
- Muszę przyznać, że chłopak zaczął mi się podobać i martwi mnie myśl, że go wykorzystaliśmy.
- Sto tenentów należało nam się za to, że poszliśmy z nim do Gutarii - przypomniał mu Royce. - Opactwo zaś za uratowanie jego siostry. Nie poprosiliśmy o nic, na co Alric z góry się nie zgodził. I powiedział, że możemy prosić o ziemię i tytuł szlachecki.
- Czemu tego nie zrobiliśmy?
- A więc chciałbyś zostać hrabią Blackwater, tak?
- To mogłoby być miłe - odparł Hadrian, prostując się w siodle. - A ty mógłbyś być niesławnym markizem Melbornem.
- Dlaczego niesławnym?
- Wolałbyś być niecnym? A może niegodziwym?
- Czemu nie ukochanym?

Obaj nie mogli się powstrzymać od uśmiechu.

- Skoro już o tym mowa, to nie policzyliśmy dobremu królowi za uratowanie go przed Trumbulem. Czy myślisz...

- Za późno, Royce - orzekł Hadrian. Royce westchnął

rozczarowany.

- Summa summarum, nie został za bardzo oskubany.

Przecież jesteśmy złodziejami, pamiętasz? W każdym razie najważniejsze, że tej zimy nie będziemy głodować.

- Tak, zrobiliśmy sobie zapasy jak wiewiórki, co? -

stwierdził Hadrian.

- Może wiosną rozkręcimy rybacki interes, do którego tak się zapaliłeś.

- Myślałem, że chciałeś otworzyć winiarnię. Royce wzruszył ramionami.

- Pójdę obudzić Emeraldę - oznajmił Hadrian. - Dziś jest zbyt zimno, żeby spać samemu.

Royce minął gospodę i zsiadł z konia przy Domu Medford.

Przez pewien czas stał, wpatrując się w okno na górze, podczas gdy stopy marzły mu coraz bardziej

w śniegu.

- Długo chcesz tak stać? - spytała Gwen z progu piękna jak zawsze. - Nie dokucza ci ten straszny ziąb?

Royce uśmiechnął się do niej.

- Czekaaś.

- Powiedziaaś, że dziś wrócisz.

Royce zdjął torbę z konia i wniósł ją po schodach.

- Mam kolejny depozyt.

- To dlatego tak długo stałaś na śniegu? Zastanawiałaś się, czy powierzyć mi swoje pieniądze?

Jej słowa go ubodły.

- Nie!

- To dlaczego? Royce się zawahał.

- Wolaałabyś, żebym był rybakiem albo winiarzem?

- Nie - odrzekła. - Chcę, abyś był taki, jaki jesteś. Royce chwycił ją za rękę.

- Nie byłoby ci lepiej z miłym gospodarzem albo bogatym kupcem? Z kimś, z kim mogłabyś wychować dzieci, zestarzeć się, kto byłby w domu i nie zostawiłby cię samej z pytaniami i wątpliwościami?

Pocałowała go.

- A to za co?

- Jestem prostytutką, Royce. Niewielu mężczyzn uważa się za niegodnych mojej osoby. Kocham cię takiego, jaki jesteś, i zawsze tak będzie, bez względu na to, jaką drogę wybierzesz.

Gdybym miała władzę pozwalającą mi cokolwiek zmienić, to wykorzystałabym ją, żeby cię o tym przekonać.

Objął ją ramionami, a ona się do niego przytuliła.

- Tęskniłam za tobą - wyszeptała.

*

Archibald Ballentyne obudził się ze zdrygnięciem.

Spał w Szarej Wieży. Ogień zgasł i w komnacie zrobiło się zimno. Było w niej także dość ciemno, ale pomarańczowy żar dawał trochę światła. W powietrzu unosił się dziwny i nieprzyjemny zapach i hrabia poczuł na kolanach jakiś ciężki i okrągły przedmiot. Nie zdołał go rozpoznać w ciemności.

Wydawało się, że to owinięty w płótno arbuz. Wstał i położył

przedmiot na krześle. Odsunął na bok mosiężną osłonę, wziął

ze stosu przy kominku dwa polana i położył je na gorących węglach. Rozgarnął żar pogrzebaczem i dmuchnął kilka razy.

Ogień ożył i w komnacie zrobiło się jasno.

Odłożył pogrzebacz na stojak i starł pył z dłoni. Odwrócił

się, spojrzął na krzesło, na którym spał, i w tej samej chwili cofnął się przerażony.

Leżała na nim głowa arcyksięcia Melengarar. Okrywający ją materiał częściowo się zsunął, ukazując duży fragment czegoś, co kiedyś było twarzą Bragi. Arcyksiążę miał oczy wywrócone białkami do góry, a jego skóra była pożółkła, naciągnięta i wyschła. W szeroko otwartych ustach roiło się od jakichś robaków, które poruszały się falującym ruchem, przez co się wydawało, że Braga porusza językiem, usiłując coś powiedzieć.

Archibald poczuł ucisk w żołądku. Zbyt przestraszony, by krzyczeć, rozejrzał się po komnacie, sprawdzając, czy w środku nie ma intruzów. W tym momencie dostrzegł napis na ścianie, przypuszczalnie namalowany krwią. Wielkimi literami ktoś nakreślił następujące słowa: *Nigdy więcej nie mieszaj się w sprawę Melengarar. To rozkaz króla*

i nasz.

WIEŻA ELFÓW

Tom drugi

Odkryć Riyrii

Mojej żonie Robin - partnerce w życiu i towarzyszcze w przygodzie tworzenia niniejszego cyklu.

Steve'owi Gillickowi za rady i Pete'owi DeBrule za rozpoczęcie tego wszystkiego.

I członkom Dragonchow, mojemu pierwszemu fanklubowi.

Rozdział 1

Colnora

Gdy z mroku wyłonił się mężczyzna, Wyatt Deminthal wiedział, że to będzie najgorszy, a być może ostatni dzień jego życia. Mężczyzna miał na sobie ubranie z surowej wełny i szorstkiej skóry, a jego twarz wyglądała znajomo - Wyatt widział ją ponad dwa lata wcześniej, przy świetle świecy, i miał nadzieję już więcej jej nie zobaczyć. Mężczyzna nosił

trzy miecze, wszystkie sfatygowane, zmatowiałe i z przepococnymi, poszczerbionymi uchwyty. Przewyższał go wzrostem prawie o trzydzieści centymetrów, był też szerszy w barach i miał silne ramiona. Stał w lekkim rozkroku, opierając ciężar ciała na przednich częściach stóp. Wpatrywał się w Wyatta jak kot w mysz.

- Baron Dellano DeWitt z Dagastanu? - chciał wiedzieć, choć nie zabrzmiało to jak pytanie, lecz oskarżenie.

Wyatt poczuł gwałtowny skurcz serca. Do tej pory miał cały czas nadzieję - bo pomimo wielu trudnych lat nie stracił do reszty optymizmu - że nieznajomemu chodzi tylko o pieniądze. Teraz jednak ta nadzieja zgasła.

- Przykro mi, to pomyłka - odparł przyjacielskim, beztroskim, niewinnym tonem. Próbował nawet ukryć swój caliski akcent, aby wypaść wiarygodnie.

- Wcale nie - zaprzeczy! nieznajomy, przecinając alejkę i podchodząc niebezpiecznie blisko do Wyatta.

Jego ręce swobodnie zwisały wzdłuż ciała, co było bardziej niepokojące, niż gdyby trzymał je na główkach mieczy.

Mężczyzna nie bał się Wyatta, mimo że ten nosił przy boku kord.

- Tak się składa, że nazywam się Wyatt Deminthal. Dlatego stwierdziłem, że to pomyłka.

Ucieszył się, że udało mu się to powiedzieć bez jąkania.

Dużo wysiłku kosztowało go utrzymywanie swobodnej postawy, z ciężarem ciała przerzuconym na jedną piętę.

Zdobył się nawet na przyjemny uśmiech i rozejrzał dokoła z niewinną miną.

Stali naprzeciwko siebie w wąskiej, zaśmieconej uliczce zaledwie kilka metrów od wynajmowanej przez Wyatta kwatery na strychu. Było ciemno. Metr za jego plecami wisiała latarnia zamontowana z boku sklepu z żywnością.

Widział, jak jej migocące światło połyskuje w pozostałych po deszczu kałużach. Wciąż dobiegały go z tyłu przytłumione, blaszane dźwięki muzyki w gospodzie Pod Szarą Myszą. W

oddali słycać było śmiech, krzyki i odgłosy kłótni. Po brzęku upuszczonego garnka rozległ się koci pisk. Gdzieś przejechał

powóz i jego drewniane koła zaklekotały na mokrym bruku.

Było późno. Po ulicach wałęsali się jedynie pijani, nierządnicze i interesanci, których sprawy najlepiej było załatwiać po zmroku.

Mężczyzna zbliżył się o krok. Wyattowi nie podobało się jego twarde, bezwzględne spojrzenie, ale bardziej zaniepokoił

go wyraz żalu, który dostrzegł w jego oczach.

- Wynająłeś mnie i mojego przyjaciela, abyśmy ukradli miecz z zamku Essendonów.

- Przykro mi, ale nie mam pojęcia, o czym mówisz. Nawet nie wiem, gdzie jest ten zamek. Musiałeś mnie z kimś pomylić. Pewnie przez to. - Zdjął kapelusz z szerokim rondem i pokazał go mężczyźnie.

- Widzisz, to zwykły kapelusz i każdy go może kupić, ale równocześnie niezwykle, bo obecnie niewielu ludzi takie nosi.

Najpewniej widziałeś kogoś w podobnym nakryciu głowy i uznałeś, że to ja. Rozumiem twoją pomyłkę i nie żywię do ciebie urazy.

Wyatt włożył z powrotem kapelusz, opuszczając go trochę z przodu i lekko przekrzywiając. Poza tym Deminthal nosił

kosztowny czarno-czerwony kubrak z jedwabiu i krótką, krzykliwą pelerynę, ale brak aksamitnych ozdób w połączeniu ze znoszonymi butami zdradzał jego sytuację materialną.

Jeszcze więcej mówił o nim złoty okrągły kolczyk w lewym uchu

- pamiątka po jego dawnym życiu.

- Kiedy dotarliśmy do kaplicy, król leżał na podłodze.

Martwy.

- Widzę, że to nie jest szczęśliwa historia - powiedział

Wyatt, szarpiąc palce swoich wykwintnych czerwonych rękawic, co zwykł czynić w chwilach niepokoju.

- Czekali na nas strażnicy. Zawlekli nas do lochów. Omal nas nie stracono.

- Przykro mi, że tak niecień z wami postąpiono, ale już mówiłem, nie nazywam się DeWitt. Nigdy o nim nie słyzałem. Ale na pewno o was wspomnę, jeśli go kiedyś spotkam. Kto go szuka?

- Riyria.

Światło na ścianie sklepu za Wyattem zgasło i jakiś głos szepnął do jego ucha:

- Po elficku to znaczy „dwóch”.

Serce zabiło Deminthalowi dwa razy szybciej i zanim zdążył się odwrócić, poczuł na gardle ostrze sztyletu. Zamarł, starając się jak najlżej oddychać.

- Wystawiłeś nas na śmierć - stwierdził człowiek za jego plecami. - Byłeś pośrednikiem. Wysłałeś nas do tamtej kaplicy, aby spadła na nas wina. Przyszedłem ci odpłacić pięknym za nadobne. Jeśli chcesz powiedzieć ostatnie słowo, zrób to teraz i po cichu.

Wyatt był dobrym pokerzystą. Znał się na blefach i wiedział, że mężczyzna nie blefuje. Nie przyszedł, żeby go nastraszyć, przycisnąć lub zmanipulować. Nie szukał

informacji; wiedział wszystko, co chciał wiedzieć. Rozpoznał

to po tembrze głosu napastnika, jego słowach i tempie oddechu - ten człowiek przyszedł go zabić.

- Co się dzieje, Wyatt? - usłyszał słaby głos.

W dole alejki otworzyły się drzwi i na tle światła ukazała się sylwetka młodej dziewczyny. Jej cień padł aż na ścianę po przeciwnej stronie brukowanej uliczki. Miała włosy do ramion, a na sobie koszulę nocną do kostek, spod której wystawały gołe stopy.

- Nic, Allie! Wracaj do środka! - krzyknął Wyatt, zdradzając się ze swoim akcentem.

- Co to za ludzie, z którymi rozmawiasz? - Allie zrobiła krok w ich stronę, wchodząc w kałużę. - Wyglądają na rozgniewanych.

- Nie zostawię świadków przy życiu - syknął napastnik Wyattowi do ucha.

- Zostawcie ją - błagał Deminthal. - Nie była w to zamieszana. Przysięgam. To była tylko moja sprawka.

- W co zamieszana? - spytała Allie. - O co tu chodzi? -

Zrobiła kolejny krok.

- Zostań na miejscu, Allie! Nie podchodź. Proszę, posłuchaj mnie.

Dziewczyna się zatrzymała.

- Kiedyś zrobiłem coś złego. Musisz zrozumieć, zrobiłem to dla nas, dla ciebie, Eldena i siebie. Przypominasz sobie, jak przyjąłem tamtą pracę kilka zim temu? Jak pojechałem na parę dni na północ? Właśnie wtedy... to zrobiłem. Udawałem kogoś innego i przeze mnie omal nie zginęli ludzie.

W ten sposób zdobyłem pieniądze na zimę. Nie czuj do mnie nienawiści, Allie. Kocham cię, skarbie. Proszę, wracaj do środka.

- Nie! - sprzeciwiła się. - Widzę nóż. Skrzywdzą cię.

- Jeśli nie wejdiesz do domu, zabiją nas oboje! - krzyknął

Wyatt szorstko, zbyt szorstko. Nie chciał tego robić, ale musiał jej uświadomić powagę sytuacji.

Allie zaczęła płakać. Stała w świetle lampy i drżała.

- Wejdź do środka, kochanie. - Wyatt starał się opanować. -

Wszystko będzie dobrze. Nie płacz. Elden się tobą zaopiekuje.

Powiedz mu, co się stało. Wszystko się ułoży.

Nadał szlochała.

- Proszę, skarbie, musisz już wejść do środka - prosił Wyatt.

- To wszystko, co możesz zrobić. Musisz to dla mnie zrobić.

Proszę.

- Ko-cham cię, ta-tu-siu!

- Wiem, słonko. Wiem. Ja też cię kocham i bardzo przepraszam.

Allie powoli weszła do środka i snop światła zaczął się zewężać, aż po zamknięciu drzwi zniknął i alejka znów pograżyła się w ciemności. Tylko słabe niebieskie światło przesłoniętego chmurami księżyca padało na wąską uliczkę, na której stali trzej mężczyźni.

- Ile ma lat? - zapytał napastnik za plecami Deminthala.

- Nie mieszajcie jej do tego. Zróbcie to szybko. Możecie mi wyświadczyć choć tę jedną przysługę?

Wyatt zbierał siły na to, co miało nadejść. Widok dziecka jednak go rozstroił. Trząsał się i zaciskał dłonie w rękawicach w pięści. Tak go ścisnęło w dołku, że miał trudności z przełykaniem śliny i oddychaniem. Czuł metalowe ostrze na gardle i czekał, aż napastnik przeciągnie nim w poprzek jego szyi.

- Wiedziałaś, że to pułapka? - spytał mężczyzna z trzema mieczami.

- Co? Ależ skąd!

- Zrobiłbyś to, gdybyś wiedział?

- Nie wiem... Chyba tak. Potrzebowaliśmy pieniędzy.

- A więc nie jesteś baronem? -Nie.

- A kim?

- Byłem kapitanem statku.

- Byłeś? Co się stało?

- Kiedy mnie zabijecie? Po co te wszystkie pytania?

- Z każdym pytaniem, na które odpowiadasz, zyskujesz kolejny oddech - usłyszał zza pleców beznamiętny i pusty głos, głos śmierci.

Wyatt znów poczuł ściskanie w żołądku, jakby spoglądał z krawędzi wysokiego klifu w przepaść. Nie widział twarzy napastnika, dlatego czuł się jak skazaniec na egzekucji.

Pomyślał o Allie, miał nadzieję, że nic jej nie będzie, a potem uprzytomnił sobie, że ona go zobaczy. I ta myśl uderzyła go z zadziwiającą jasnością. Gdy będzie już po wszystkim, dziewczyna wybiegnie i znajdzie go na ulicy. Będzie brodzić w jego krwi.

- Co się stało? - powtórzył pytanie kat, a jego głos od razu przywrócił Wyatta do rzeczywistości.

- Sprzedałem statek.

- Dlaczego?

- Nieważne.

- Długi karciane? -Nie.

- To z jakiego powodu?

- Co za różnica? I tak mnie zabijecie. Skończcie już to!

Stanął mocno na nogach. Był już przygotowany.

Zacisnął zęby, zamknął oczy, ale zabójca zwlekał.

- Jest różnica - szepnął do jego ucha.- Bo Allie to nie twoja córka.

Ostrze oddaliło się od jego szyi.

Powoli, z wahaniem Wyatt się odwrócił, żeby stanąć twarzą do mężczyzny ze sztyletem. Nigdy wcześniej go nie widział.

Był niższy od współnika, w czarnym płaszczu z kapturem, który zacieniał jego twarz, pozwalając

dostrzec jedynie rysy: czubek spiczastego nosa, wydatne kości policzkowe, koniec podbródka.

- Skąd wiesz?

- Dojrzała nas w ciemności. Staliśmy w mroku, a ona dostrzegła z sześciu metrów mój nóż przy twoim gardle.

Wyatt nic nie odpowiedział. Nie śmiał się ruszyć ani odezwać. Nie wiedział, co myśleć. Jakimś cudem coś się zmieniło. Nieuchronna śmierć cofnęła się o krok, ale jej cień nadal majaczył groźnie. Deminthal nie miał pojęcia, co się dzieje, i przerażała go możliwość zrobienia fałszywego ruchu.

- Sprzedałeś statek, żeby ją wykupić, prawda? - domyślił się człowiek w kapturze. - Ale od kogo i dlaczego?

Wyatt dojrzał pod kapturem jedynie bezlitosne oczy. W

odległości zaledwie oddechu od niego stała śmierć; wieczność od wybawienia dzieliły tylko słowa.

Mężczyzna z trzema mieczami położył rękę na ramieniu Deminthala.

- Wiele zależy od twojej odpowiedzi. Ale tego już się do-myśliłeś, prawda? Teraz się zastanawiasz, co powieścić, i oczywiście usiłujesz odgadnąć, co chcemy usłyszeć. Po prostu powiedz prawdę. Jeśli popełnisz błąd, to przynajmniej powodem twojej śmierci nie będzie kłamstwo.

Wyatt skinął głową. Znow przymknął oczy, zaczerpnął

głęboko powietrza i powiedział:

- Kupiłem ją od człowieka o nazwisku Ambrose.

- Ambrose Moor? - spytał kat. - Tak.

Wyatt czekał, ale nic się nie stało. Otworzył oczy. Sztylet zniknął, a mężczyzna z trzema mieczami uśmiechał się do niego.

- Nie wiem, ile kosztowała ta dziewczyna, ale lepiej nie mogłeś wydać pieniędzy.

- Nie zabijecie mnie?

- Nie dziś. Ale wciąż jesteś nam winien sto tenentów za tamto zlecenie - powiedział chłodno człowiek w kapturze.

- Ja... ich nie mam.

- To zdobądź.

Na alejkę padł snop światła, gdy drzwi domu Wyatt-a otworzyły się z hukiem i na zewnątrz wyszedł

energicznym krokiem Elden. Ruszył w ich kierunku z pełną desperacji miną, trzymając wysoko nad głową olbrzymi topór o podwójnym ostrzu.

Większy z dwóch napastników wyjął szybko dwa miecze.

- Eldenie, nie!!! - krzyknął Wyatt. - Oni mnie nie zabiją!

Stój.

Elden zatrzymał się, nie opuszczając topora, i spoglądał to na jednego, to na drugiego.

- Zamierzają mnie puścić - uspokoił go Wyatt, po czym zwrócił się do obu mężczyzn: - Nie myślę się, prawda?

Mężczyzna w kapturze przytaknął.

- Ureguluj dług - powiedział.

Gdy odchodzili, Elden stanął przy boku Wyatta, a Allie przybiegła i go objęła. Razem wrócili do domu. Elden rozejrzał się po raz ostatni, a następnie zamknął za nimi drzwi.

*

- Widziałeś, jaki był duży? - zapytał Hadrian Roy-ce'a, wciąż zerkając za siebie przez ramię, jak gdyby olbrzym mógł

próbować się do nich podkraść. - Jeszcze nigdy nie widziałem kogoś takiego wielkiego. Musiał mieć ponad dwa metry. A ten kark, te bary i ten topór! Do jego podniesienia potrzeba by dwóch takich jak ja. Może nie jest człowiekiem? Może to olbrzym albo troll. Niektórzy się zarzekają, że one istnieją.

Znam kilku, którzy twierdzą, że osobiście je widzieli.

Royce spojrział na przyjaciela i się skrzywił.

- No dobrze, tak gadają pijacy w barach, ale to nie znaczy, że to nie jest możliwe. Zapytaj Myrona, on potwierdzi moje słowa.

Kierowali się na północ w stronę mostu Langdon. Wokół

panował spokój. W szacownej dzielnicy wzgórz w Colnorze ludzie woleli w nocy spać, niż hulać w gospodach. Tu mieszkali magnaci, zamożni kupcy,

których domy przewyższały wspaniałością wiele pa-

łacowych rezydencji arystokracji.

Colnora zaczynała jako skromny przystanek na skrzyżowaniu szlaków handlowych z Wesbaden i

Aquesty, zwykle gospodarstwo. Na początku jego właściciel o nazwisku Hollenbeck wraz z żoną zaopatrywali karawany w wodę i udostępniali handlarzom miejsce w swojej stodole w zamian za wieści i towary. A ponieważ Hollenbeck znał się na jakości, zawsze wybierał najlepsze produkty. Niebawem więc gospodarstwo przeobraziło się w karczmę i Hollenbeck do-budował sklep i magazyn, aby pozyskiwane towary sprzedawać innym wędrowcom. Wkrótce inni kupcy nabyli działki obok niego i otworzyli własne sklepy, gospody i zajazdy. I tak powstała wioska, a w końcu miasto, ale karawany wciąż wybierały w pierwszej kolejności Hollenbecka. Według legendy powodem była jego żona, która nie tylko odznaczała się niepospolitą urodą, lecz również umiała śpiewać i grać na mandolinie. Powiadano, że wypiekała najsmaczniejsze koblery z brzoskwiniami, borówkami i jabłkami. Kilka stuleci później, kiedy już nikt nie pamiętał dokładnego położenia gospodarstwa Hollenbecka, a tylko niewielu pamiętało jego nazwisko, nadal wspomniano jego żonę - Colnorę.

Miasto się rozwijało, aż stało się największym ośrodkiem miejskim w Avrynie. Kupujący mogli tu znaleźć najmodniejsze rzeczy, najpiękniejszą biżuterię i najbogatszy asortyment egzotycznych przypraw z setek sklepów i targowisk. Ponadto w Colnorze mieszkało kilku najlepszych rzemieślników i miasto szczyliło się najwspanialszymi, najpopularniejszymi karczmami i gospodami w kraju. Od dawna powiększało się tam

grono artystów scenicznych, którzy namówili Cosmosa DeLura, najbogatszego mieszkańca i mecenasa sztuki, do zbudowania Teatru DeLura.

I Royce, i Hadrian zatrzymali się właśnie przed dużą białą tablicą z informacją o aktualnym przedstawieniu. Zobaczyli namalowane sylwetki dwóch mężczyzn wspinających się po ścianie zamkowej wieży i napis:

Spisek przeciw Koronie Jak miody książę i dwóch złodziei uratowali królestwo Przedstawienia codziennie wieczorem Royce uniósł brew, natomiast Hadrian przesunął czubkiem języka po przednich zębach. Spojrzeli na siebie, ale żaden się nie odezwał, i ruszyli w dalszą drogę.

Po opuszczeniu dzielnicy wzgórz weszli na ulicę Mostową.

Teren tu obniżał się ukośnie w kierunku rzeki. Mijali rzędy magazynów - gigantycznych budynków ozdobionych znakami spółek wyglądającymi niczym królewskie herby. Niektóre spółki, szczególnie nowe interesy o nieugruntowanej jeszcze pozycji, były oznaczone zwyczajnie inicjałami. Inne stosowały łatwo rozpoznawalne znaki towarowe - na przykład w wypadku spółki Bocant, potentata, który zaczynał od handlu wieprzowiną, był to łeb dzika. Przedsiębiorstwa DeLura zaś symbolizował romb.

- Zdajesz sobie sprawę, że nie zdoła nam nigdy zapłacić tych stu tenentów - stwierdził Hadrian.

- Po prostu nie chciałem, żeby myślał, że się wykręcił

sianem.

- Nie chciałeś, żeby pomyślał, że Royce Melbom zmiękł na widok łez dziewczynki.

- To nie była pierwsza lepsza dziewczyna, a poza tym uratował ją przed Ambrose'em Moorem. A to już wystarczyło, żeby darować mu życie.

- Nie mogę się nadziwić, jakim cudem Ambrose wciąż żyje?

- Chyba ktoś mnie namówił do zmiany planów

- odparł Royce tonem znaczącym „nie mówmy więcej o tym” i Hadrian przestał drażnić temat.

Z trzech głównych mostów miasta Langdon był najbardziej ozdobny. Wykonano go z ciętego kamienia i po obu stronach ustawiono co kilka metrów duże latarnie w kształcie łabędzi, które po zapaleniu nadawały mu odświętny wygląd. Teraz jednak były zgaszone, a nawierzchnia z kamienia była wilgotna i wydawała się śliska.

- Przynajmniej nie szukaliśmy DeWitta przez ostatni miesiąc na darmo - zauważył Hadrian sarkastycznie, kiedy przechodzili przez most. - Pomyślałbym...

Royce zatrzymał się i nagle uniósł rękę. Obaj rozejrzeli się, bez słowa wyciągnęli broń i ustawili się plecami do siebie.

Wydawało się, że wszystko jest w porządku. Słysząc było jedynie huk wzburzonej wody, która pędziła i pieniła się pod nimi.

- Imponujesz mi, Zmiatacz - zwrócił się do Royce'a mężczyzna, który wyszedł zza latarni.

Skórę miał bladą i był tak chudy, że dosłownie tonął w luźnych bryczesach i koszuli. Wyglądał jak zwłoki, których ktoś zapomniał pogrzebać.

Hadrian dostrzegł za nim jeszcze trzech innych, którzy wdrapywali się na przęsło. Wszyscy wyglądali podobnie: chudzi, muskularni i ubrani na czarno. Otaczali ich jak wilki.

- Po czym się zorientowaliście, że tu jesteśmy?

- spytał chudzielec.

- Chyba po twoim oddechu, ale właściwie nie można wykluczyć, że po odorze, jaki rozsiewa twoje ciało odpowiedział Hadrian z szerokim uśmiechem, oceniając ich postawy, ruchy i kierunek, w którym patrzyli.

- Nie pyskuj, kolego - zagroził najwyższy z czwórki napastników.

- Czemu zawdzięczamy tę wizytę, Koszt?

- Zabawne, właśnie miałem cię zapytać o to samo odparł

chudzielec. - W końcu to nasze miasto, a nie twoje. Już nie.

- Czarny Diament? - spytał Hadrian. Royce skinął głową.

- A ty to pewnie Hadrian Blackwater - domyślił się Koszt. -

Zawsze sądziłem, że jesteś większy.

- A ty jesteś z Czarnego Diamentu. Zawsze sądziłem, że jest was więcej.

Koszt się uśmiechnął, patrząc wyzywająco na Hadriana, po czym spojrzał znów na Royce'a.

- A więc co tu porabiasz, Zmiatacz?

- Jestem przejazdem.

- Poważnie? Nie masz nic do załatwienia?

- Nic, co mogłoby cię interesować.

- I tu się mylisz.

Koszt odszedł od latarni i zaczął krążyć wolno wokół nich.

Wiatr targał jego luźną koszulę jak flagę na maszcie.

- Czarny Diament interesuje wszystko, co się dzieje w Colnorze, zwłaszcza jeśli ma to związek z tobą, Zmiatacz.

Hadrian pochylił się i spytał:

- Czemu mówi do ciebie „Zmiatacz”?

- Taki miałem pseudonim w gildii - odparł Royce.

- On był w Czarnym Diamencie? - spytał napastnik, który wyglądał najmłodszej. Miał pulchne policzki, teraz zaczerwienione i pokryte krostami, wąskie usta, rzadki wąsik i kozią bródkę.

- No tak, Rytownik. Nigdy nie słyszałeś o Zmiataczu?

Rytownik to nowicjusz, jest w naszej gildii dopiero pół roku.

Zmiatacz był oficerem, sprzątaczem i jednym z najbardziej osławionych członków w historii gildii.

- Sprzątaczem? - spytał Hadrian.

- Zabójcą - wyjaśnił Royce.

- Jest prawdziwą legendą - ciągnął Koszt, nadal krążąc po kamiennym moście i starannie omijając kałuże. - Jako cudowne dziecko swojej epoki awansował tak szybko, że ludzie poczuli się nieswojo.

- Zabawne - powiedział Royce - ale ja pamiętam tylko takiego jednego.

- Cóż, kiedy pierwszy oficer gildii jest podenerwowany, to wszyscy pozostali też się denerwują. W tamtym czasie Diamentem kierował człowiek o nazwisku Hoyte. Większość z nas uważała go za osła. Dobry był z niego złodziej i zarządca, ale i tak osioł. Zmiatacz miał duże poparcie w niższych szeregach i Hoyte się niepokoił, że może zająć jego miejsce. Zaczął więc zlecać mu najniebezpieczniejsze zadania. Mimo to Zmiatacz zawsze wychodził z nich bez szwanku, co czyniło z niego jeszcze większego bohatera.

Zaczęły nawet krążyć pogłoski, że w naszej gildii może być zdrajca. Ale Hoyte wcale się nie zmartwił, dostrzegł w tym okazję.

Koszt przerwał spacer i zatrzymał się przed Royce'em.

- W tamtym czasie było trzech sprzątaczy w gildii i wszyscy oni się przyjaźnili. Nefryt, jedyna zabójczyni w gildii, piękność, która...

- Do rzeczy, Koszt - warknął Royce.

- Podaję Rytownikowi parę faktów z historii, Zmiatacz.

Chyba mi nie żałujesz okazji do podszkolenia moich chłopaków, co? - Koszt uśmiechnął się i znów zaczął się przechadzać, zatykając kciuki za pas luźnych spodni. - Na czym to ja skończyłem? Ach tak, Nefryt. To się stało w tamtym miejscu. - Wskazał palcem ponad mostem. - W

tamtym pustym magazynie z symbolem koniczyny na bocznej ścianie. To właśnie tam Hoyte ich wystawił do pojedynku przeciwko sobie. Wtedy, tak jak i teraz, sprzątacze nosili maski, żeby nie ujawniać swojej tożsamości. - Koszt przerwał

i spojrzał na Royce'a z udawanym współczuciem. - Nie miałeś pojęcia, że to ona, dopóki nie było po wszystkim, prawda, Zmiatacz? A może wiedziałeś i mimo to ją zabiłeś?

Royce nie odpowiedział, ale wbił w Koszta groźne spojrzenie.

- Ostatnim z trojga sprzątaczy był Przecinacz, którego przygnębiła informacja, że Zmiatacz zamordował Nefryt. I nic dziwnego, bo Przecinacz i Nefryt byli kochankami. No i sprawa zrobiła się osobista, a Hoyte z radością pozwolił mu wyrównać rachunki. Lecz Przecinacz nie chciał - ciągnął

Koszt - żeby Zmiatacz zginął. Wolał, żeby cierpiał. Dlatego upierał się przy bardziej wyrafinowanej, bardziej bolesnej karze. Ten człowiek to genialny strateg - nasz mistrz w planowaniu akcji. Zaaranżował aresztowanie Zmiatacza przez straż miasta. Sprzedał kilka przysług i za uzbierane pieniądze kupił werdykt. Zmiatacz wylądował w więzieniu Manzant, z którego już się nie wychodzi. Uważano, że nie można stamtąd uciec, tylko że Zmiataczowi jakoś się udało. Wciąż nie wiemy, jak się wydostałeś... - zawiesił głos, dając Royce'owi szansę na odpowiedź,

ale ten nadal milczał. Koszt wzruszył więc ramionami.

- Po ucieczce Zmiatacz wrócił do Colnory - mówił dalej.

- Najpierw sędzia, który przewodniczył jego procesowi, został znaleziony martwy w łóżku. Potem zginęli fałszywi świadkowie - wszyscy trzej tej samej nocy

- a na koniec oskarżyciel. Wkrótce zaczęli też znikać po kolei członkowie Czarnego Diamentu. Znajdowano ich w najdziwniejszych miejscach: w rzece, na miejskim placu, a nawet w wieży kościoła. Po stracie kilkunastu członków Diament zawarł układ. Gildia oddała Hoyte'a Zmiataczowi, który go zmusił do publicznego przyznania się. Potem Zmiatacz zabił Hoyte'a i porzucił jego zwłoki w fontannie na placu na wzgórzu. To był prawdziwy majstersztyk. Wojna się skończyła, ale przebaczenie nie wchodziło w rachubę, bo rany były zbyt głębokie. Zmiatacz wyjechał i dopiero po latach znów się pojawił, robiąc wypadki z terytorium gildii Czerwonej Ręki na północy. Ale nie jesteś jej członkiem, prawda?

- Gildie już mi nie są potrzebne - odparł Royce lodowatym tonem.

- A to kto? - spytał Rytownik, wskazując na Hadriana. -

Jego służący? Nosi tyle broni, że wystarczy dla nich obu.

Koszt uśmiechnął się do Rytownika.

- To Hadrian Blackwater, i nie wyciągałbym ręki w jego kierunku, bo możesz ją stracić.

Rytownik spojrzał z niedowierzaniem na Hadriana.

- Co? To jakiś mistrz szermierki? Koszt zachichotał.

- Umie się posługiwać mieczem, dzidą, łukiem, kamieniem, wszystkim, co jest pod ręką. - Zwrócił się do Hadriana: -

Diament nie wie o tobie zbyt wiele, ale my tak. Jedna plotka głosi, że byłeś gladiatorem.

Inna, że generałem w caliskiej armii. I odnosiłeś sukcesy, jeśli tym opowieściom można wierzyć. Krąży nawet plotka, że byłeś dworzaniem w niewoli u egzotycznej wschodniej królowej.

Członkowie Diamentu, w tym Rytownik, zachichotali.

- Choć ta podróż ścieżką wspomnień jest fascynująca, Koszt, chciałbym wiedzieć, czy zatrzymałeś nas z jakiegoś konkretnego powodu.

- Oprócz frajdy? Oprócz nękania? Oprócz przypomnienia ci, że to miasto jest kontrolowane przez Czarny Diament?

Oprócz poinformowania cię, że niezrzeszonym złodziejom, takim jak wy, nie wolno działać na tym terenie i że jesteś tutaj niemile widziany?

- Tak, właśnie o to mi chodzi.

- Właściwie jest jeszcze jedna rzecz. Szuka was jakaś dziewczyna.

Royce i Hadrian spojrzeli po sobie.

- Włóczy się po mieście i rozpytuje o dwóch złodziei: Hadriana i Royce'a. Choć zabawnie było usłyszeć reklamę publiczną waszych imion, dla Czarnego Diamentu to krępujące, aby w Colnorze ktoś szukał złodziei nienależących do naszej gildii. Ludzie mogą zyskać mylne wyobrażenie na temat tego miasta.

- Co to za jedna? - spytał Royce.

- Nie mam pojęcia.

- Gdzie jest?

- Śpi pod Łukiem Sklepiarzy na bulwarze Stołecznym, więc raczej nie jest szlachcianką debiutującą w towarzystwie ani córką bogatego kupca. Podróżuje sama, więc raczej też nie przyjechała tu po to, żeby was zabić albo doprowadzić do waszego aresztowania. Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że chce

was wynająć. Ale jeżeli należy do waszych typowych zleceniodawców, na waszym miejscu zastanowiłbym się nad wyborem bardziej tradycyjnego zawodu. Może dostalibyście pracę w gospodarstwie z trzodą chlewną - przynajmniej obracalibyście się w towarzystwie na swoim poziomie.

Koszt raptem spoważniał.

- Znajdźcie ją i zabierajcie się wszyscy razem z naszego miasta, żeby jutro wieczorem już was tu nie było. Po doprowadzeniu jej do porządku może nawet ładnie wyglądać i dostaniecie za nią przyzwoitą cenę lub przynajmniej da komuś kilka minut przyjemności. Przypuszczam, że nikt się do niej jeszcze nie dobrał tylko dlatego, że wszędzie wymienia wasze nazwiska. Tutaj Royce Melborn to wciąż to samo co straszdyło. - Koszt odwrócił się, jakby już miał odejść, ale rzucił jeszcze drwiącym tonem: - Szkoda, że nie możecie zostać. W teatrze grają sztukę o dwóch złodziejach, których wrobiono w morderstwo króla Medfordu. Inspiracją do niej było prawdziwe zabójstwo Amratha przed kilkoma laty. -

Pokręcił głową. - Zupełnie nierealne. Wyobrażasz sobie, żeby wytrawny złodziej dał się zwabić do zamku, aby ukraść miecz w celu uratowania człowieka przed pojedyńkiem? Autorzy!

I nadal jeszcze kręcił głową, kiedy wraz z towarzyszami oddalił się mostem, zostawiając Hadriana i Royce'a samych.

- Przyjemnie było, nie uważasz? - powiedział Hadrian, kiedy zawrócili i zaczęli wspinać się na wzgórze w kierunku bulwaru Stołecznego. - Mili ludzie. Jestem zawiedziony, że przyszło tylko czterech.

- Wierz mi, są bardzo niebezpieczni. Koszt to pierwszy oficer Diamentu, a dwaj, którzy się nie odzywali, to sprzątacze. Było jeszcze sześciu na wszelki wypadek, po trzech z każdej strony mostu. Nie ryzykowali z nami. Już ci lepiej?

- Znacznie, dzięki. - Hadrian przewrócił oczami. - Zmiatacz, tak?

- Nie nazywaj mnie tak - powiedział Royce poważnym tonem. - Nigdy.

- To znaczy jak? - spytał Hadrian niewinnie. Royce westchnął, a potem uśmiechnął się do niego.

- Nie guzdraj się. Klientka czeka.

*

Obudziła się, czując dotyk szorstkiej ręki na udzie.

- Co masz w sakiewce, kochanie?

Przetarła oczy, zdezorientowana i zaskoczona. Leżała w rynsztoku pod Łukiem Sklepikarzy. Miała brudne włosy, w które zaplątały się liście i gałązki, a jej suknia wyglądała jak postrzępiony łąch. Przyciskała do piersi małą sakiewkę na sznurku, którą zawiesiła sobie na szyi. Większości przechodniów mogła się wydawać tobołkiem śmieci rzuconym na poboczu drogi lub kupą szmat i gałązek, pozostawioną przez roztargnionych zmiataaczy ulic. Ale niektórzy interesowali się nawet stertami śmieci.

Pierwsze, co zobaczyła, kiedy wyostrzył jej się wzrok, to ciemna, wymizerowana twarz i szeroko otwarte usta klęczącego nad nią mężczyzny. Pisnęła i próbowała się odczołgać. Mężczyzna chwycił ją za włosy. Silne ręce przygwoździły ją do ziemi, a nadgarstki przycisnęły do boków.

Poczuła na twarzy jego gorący oddech cuchnący alkoholem i tytoniem. Wyrwał sakiewkę z jej ręki i zdjął ją z jej szyi.

- Nie! - Wyswobodziła rękę i sięgnęła po woreczek. - Jest mi potrzebny!

- Mnie też.

Mężczyzna zarechotał, odtrącając jej rękę na bok.

Zważywszy w ręce monety w sakiewce, uśmiechnął się i włożył woreczek do kieszeni na piersi.

- Nie! - zaprotestowała.

Usiadł na niej, przyszpilając ją do ziemi, i przesunął palce po jej twarzy z góry na dół, następnie wzdłuż ust, aż w końcu zatrzymał się przy szyi. Powoli chwycił ją za gardło i lekko zacisnął palce. Sapnęła, usiłując złapać oddech. Przycisnął

swoje usta do jej ust tak mocno, że wyczula, iż jest szczyrbaty. Drapał ją szorstkimi bokobrodami po

brodzie i policzkach.

- Cicho - szepnął. - Dopiero zaczynamy. Musisz oszczędzać siły.

Podniósł się na kolana i sięgnął ręką do guzików bryczesów.

Broniła się i szarpała, wierzgając, ale przygniół jej ręce kolanami i kopała tylko powietrze. Krzyknęła. W odpowiedzi mężczyzna mocno ją spoliczkował. Szok wywołany uderzeniem sprawił ją w osłupienie, podczas gdy napastnik dalej rozpinął guziki. Nie czuła jeszcze w pełni bólu. Policzek dopiero zaczynał ją piec. Załzawionymi oczami patrzyła na siedzącego na niej agresora, jakby oglądała tę scenę z oddali.

Pojedyncze dźwięki zastąpił przytłumiony szum. Widziała, jak spierzchnięte usta i mięśnie gardła mężczyzny się poruszają, ale nie słyszała słów. Uwolniła jedną rękę, lecz napastnik od razu ją złapał i przycisnął do ziemi.

Za plecami mężczyzny zobaczyła dwie zbliżające się sylwetki. W jej sercu zatliła się iskierka nadziei i zdołała wyszeptać słabo:

- Pomocy...

Mężczyzna na przodzie wyjął masywny miecz, chwycił go za klingę i tak się nim zamachnął, że napastnik upadł jak długi w poprzek rynsztoka. Przybyły uklęknął przy niej. Był tylko konturem na tle czarnego jak węgiel nieba, duchem w mroku.

- Czy mogę w czymś pomóc, milady? - usłyszała jego głos.

Miły głos.

Chwycił ją za rękę i pomógł jej wstać.

- Kim jesteś?

- Nazywam się Hadrian Blackwater. Utkwiła w nim wzrok.

- Naprawdę? - zdołała tylko powiedzieć, zanim zaczęła płakać, nie puszczając jego ręki.

- Co jej zrobiłeś? - spytał drugi mężczyzna, podchodząc do nich.

- Ja... nie wiem.

- Za mocno ściskasz jej dłoń? Puść ją.

- To ona mnie trzyma.

- Przepraszam, przepraszam - powiedziała drżącym głosem.

- Po prostu nie myślałam, że zdołam was znaleźć.

- W porządku. Udało ci się. - Uśmiechnął się do niej. - A to jest Royce Melbom.

Głośno westchnęła i zarzuciła ręce na szyję mniejszego mężczyzny, obejmując go mocno i płacząc jeszcze rzewniej.

Royce stał sztywny i skrepowany, podczas gdy Hadrian usiłował odsunąć dziewczynę.

- Odnoszę wrażenie, że nasz widok cię cieszy. To dobrze -

rzekł Hadrian. - A teraz powiedz, kim jesteś.

- Thrace Wood z wioski Dahlgren. - Nie mogła powstrzymać się od uśmiechu. - Szukam was od bardzo dawna. -

Zachwiała się.

- Dobrze się czujesz?

- Trochę kręci mi się w głowie.

- Kiedy ostatnio jadłaś?

Oczy jej się rozbiegły, kiedy próbowała sobie przypomnieć.

- Nieważne. - Hadrian zwrócił się do Royce'a. - To było kiedyś twoje miasto. Masz jakiś pomysł, gdzie moglibyśmy znaleźć pomoc dla młodej kobiety w środku nocy?

- Szkoda, że nie jesteśmy w Medfordzie. Gwen byłaby nieoceniona w tej sytuacji.

- A tu nie ma burdelu? Jesteśmy przecież w handlowej stolicy świata. Nie mów mi, że t e g o tu nie sprzedają.

- Jest taki jeden miły na ulicy Południowej.

- W porządku, Thrace. Chodź z nami, zobaczymy, czy uda nam się doprowadzić cię do porządku i nakarmić.

- Chwileczkę. - Uklękła przy nieprzytomnym mężczyźnie i wyjęła z jego kieszeni swoją sakiewkę. - Nie żyje? - spytała.

- Wątpię. Aż tak mocno go nie uderzyłem.

Przy wstawaniu poczuła zawroty głowy i zaczęło jej się robić ciemno przed oczami. Przez chwilę kiwała się jak pijana, zatoczyła się i upadła. Odzyskała na chwilę przytomność i poczuła, jak czyjeś ręce delikatnieją podnoszą.

Choć w głowie jej szumiało, usłyszała chichot.

- Co cię tak bawi? - mimo wszystko rozróżniła słowa.

- Podejrzewam, że będzie to pierwszy raz, kiedy ktoś przyjdzie do domu publicznego z własną kobietą.

Rozdział 2

Thrace

Pięknie lśni, jak nowy miedziak - zauważyła Clarisse, kiedy we troje patrzyli przez drzwi na Thrace, która czekała w salonie.

Clarisse była dużą, zaokrągloną kobietą o różowych policzkach i krótkich, grubych palcach, którymi nieustannie poprawiała plisy spódnicy. Ona i pozostałe lokatorki lupanaru Frywolne Tyłeczki dokonały cudów z dziewczyną. Thrace miała nową suknię z brązowego płótna z wykrochmalonym brązowym kaftanikiem, a pod nią białą koszulę. Strój był tani i prosty, ale zdecydowanie ładniejszy od łacha, który wcześniej nosiła. Już nie przypominała obdartusa, którego spotkali poprzedniego wieczoru. Oprócz użyczenia dziewczynie stroju i łóżka do spania kobiety umyły ją, uczesały i nakarmiły. Nawet pomalowały jej usta i oczy i efekt był oszałamiający. Thrace była młodą pięknoscią o nie-samowitych błękitnych oczach i złotych włosach.

- Biedna dziewczyna, była w strasznym stanie, kiedy ją przyprowadziliście. Gdzie ją znaleźliście? - spytała Clarisse.

- Pod Łukiem Sklepikarzy - odparł Hadrian.

- Biedactwo. - Duża kobieta pokręciła ze smutkiem głową. -

Jeśli nie ma gdzie się podziać, na pewno mogłybyśmy ją przyjąć. Dostałaby łóżko i trzy posiłki dziennie, a z taką urodą mogłaby sporo zarobić.

- Coś mi się zdaje, że nie jest prostytutką - powiedział

Hadrian.

- Żadna z nas nie jest, skarbie. Dopóki nie wyląduje pod mostem. Szkoda, że jej nie widziałeś przy śniadaniu. Wcinała jak wygłodzony psiak. Ale oczywiście niczego nie tknęła, dopóki jej nie wyjaśniłyśmy, że jedzenie jest za darmo, w ramach powitalnego prezentu Izby Handlowej dla gości odwiedzających miasto. Maggie to wymyśliła, dowcipna dziewczyna. A prdpos, rachunek za pokój, suknię, jedzenie i ogólne doprowadzenie do czystości wynosi sześćdziesiąt pięć srebrnych. Dorzuciłyśmy za darmo makijaż, gdyż Delia chciała zobaczyć, jak dziewczyna będzie wyglądać umalowana, bo ta powiedziała jej, że nigdy wcześniej się nie malowała.

Royce dał jej złotego tenenta.

- Musicie częściej wpadać, i następnym razem bez dziewczyny, co? - Mrugnęła do nich. - A tak poważnie, to o co z nią chodzi?

- Sami nie wiemy - odparł Hadrian.

- Myślę, że pora się dowiedzieć - dodał Royce. Lupanar Frywolne Tyłeczki nie był tak gustownie urządzony jak Dom Medford. Na jego wystrój składały się krzykliwe czerwone zasłony, chybocliwie

meble, różowe abażury i dziesiątki poduszek. Wszystko, począwszy od wytartych dywanów po bordery z tkaniny pod sufitami, ozdobiono chwostami i frędzlami. Sprzęty i dekoracje wyglądały na stare i podniszczone, ale przynajmniej było tam czysto.

Za salon służył mały owalny pokój sąsiadujący z głównym holem, z dwoma oknami wykuszowymi wychodzącymi na ulicę. Znajdowały się w nim dwie kozetki, kilka stolików zapełnionych figurkami ceramicznymi i niewielki kominek.

Thrace siedziała na kozetce i czekała, a jej oczy biegały w różne strony jak zając w szczerym polu. Gdy weszli, zerwała się na nogi, uklękła i skłoniła głowę.

- Hej, uważaj, to nowa sukienka! - powiedział Hadrian z uśmiechem.

- Och. - Wstała z rumieńcem na policzkach, po czym dygnęła i znów skłoniła głowę.

- Co ona robi? - szepnął Royce do współnika.

- Nie wiem - odparł Hadrian szeptem.

- Próbuję okazać należny szacunek waszym lordowskim gościom - szepnęła do nich, nie podnosząc głowy. -

Przepraszam, jeśli mi to nie wychodzi.

Royce przewrócił oczami, a Hadrian wybuchnął śmiechem.

- Dlaczego szepcesz? - spytał ją Hadrian.

- Bo wy tak robicie. Hadrian znów zachichotał.

- Przepraszam, Thrace - bo tak masz na imię, prawda?

- Tak, milordzie, Thrace Annabell Wood z wioski Dahlgren.

- Znów niezgrabnie dygnęła.

- W porządku, Thrace. - Hadrian usiłował powściągnąć rozbawienie. - Royce i ja nie jesteśmy lordami, więc nie musisz się kłaniać ani dygać.

Dziewczyna podniosła głowę.

- Uratowaliście mi życie - powiedziała tak poważnym tonem, że Hadrian natychmiast przestał się śmiać. - Niewiele pamiętam z ostatniej nocy, ale tak było. Dlatego zasługujecie na moją wdzięczność.

- Mnie by wystarczyło wyjaśnienie - oznajmił Royce, podchodząc do okien i zaciągając zasłony. - Wyprostuj się, na litość Maribora, zanim zamiatacz cię zobaczy, bo pomyśli, że jesteśmy

szlachcicami, i nas napiętnuje. Już i tak stąpamy po cienkim lodzie. Nie pogarszajmy sytuacji.

Thrace stanęła prosto i Hadrian nie mógł oderwać od niej oczu. Długie złote włosy sływały jej falami na ramiona i połyskiwały. Była wcieleniem dziewczęcej urody i Hadrian się domyślił, że dziewczyna nie może mieć więcej niż siedemnaście lat.

- Po co nas szukałaś? - spytał Royce, zaciągając ostatnią zasłonę.

- Chciałam was wynająć, żebyście uratowali mojego ojca -

odparła, zdejmując sakiewkę z szyi i podając ją z uśmiechem.

- Proszę, mam dwadzieścia pięć srebrnych tenentów. Lite srebro z nabitą koroną Dunmore'u.

Royce i Hadrian spojrzeli po sobie.

- Za mało? - spytała, a jej usta zaczęły drżeć.

- Jak długo zbierałaś te pieniądze? - chciał wiedzieć Hadrian.

- Całe życie. Odkładałam każdego miedziaka, którego dostałam albo zarobiłam. To było moje wiano.

- Wiano?

Opuściła głowę, spoglądając na swoje stopy.

- Mój ojciec jest biednym gospodarzem. On by nigdy...

Postanowiłam sama na siebie uzbierać. Za mało, prawda? Nie wiedziałam. Jestem z małej wioski. Myślałam, że to dużo pieniędzy, wszyscy tak mówili, ale... - Spojrzała na sfatygowaną kozetkę i wypłowiałe zasłony. - Nie mamy takich pałaców.

- Cóż, my naprawdę nie... - zaczął Royce ostro.

- Royce chce powiedzieć - wtrącił Hadrian - że jeszcze nie wiemy. To zależy od tego, czego od nas oczekujesz.

Thrace podniosła głowę z nadzieją w oczach. Royce zaś spiorunował współnika wzrokiem.

- Przecież tak jest. - Hadrian wzruszył ramionami. - Thrace, dlaczego mamy uratować twojego ojca? Został uprowadzony?

- O nie, nic z tych rzeczy. O ile wiem, to nic mu nie jest.

Choć nie jestem pewna, bo długo was szukałam i już dawno nie byłam w domu.

- Nie rozumiem. Do czego więc jesteśmy ci potrzebni?

- Musicie otworzyć dla mnie zamek.

- Zamek? Do czego?

- Do wieży.

- Mamy się włamać do wieży?

- Nie. To znaczy tak, ale to nie jest niezgodne z prawem. W

wieży nikt nie mieszka. Od lat stoi opuszczona. Przynajmniej tak mi się wydaje.

- A więc chcesz, żebyśmy otworzyli drzwi do pustej wieży?

- Tak! - potwierdziła i skinęła głową tak energicznie, że włosy jej zafalowały.

- Wygląda to na łatwiznę. - Hadrian spojrzał na Royce'a.

- Gdzie jest ta wieża? - spytał Royce.

- Niedaleko mojej wioski na zachodnim brzegu rzeki Nidwalden. Dahlgren to malutka i stosunkowo nowa osada.

Znajduje się w nowej prowincji Westbank w Dunmorze.

- Słyszałem o tym miejscu. Rzekomo napadają na nie elfy.

- Nie chodzi o elfy. One nie sprawiały nam nigdy żadnych kłopotów.

- Wiedziałem - powiedział Royce sobie a muzom.

- Przynajmniej tak mi się wydaje - ciągnęła Thrace. -

Sądzymy, że to jakaś bestia. Nikt jej nigdy nie widział. Diakon Tomas twierdzi, że to demon, sługus Uberlina.

- A twój ojciec? - spytał Hadrian. - Jaką on w tym odgrywa rolę?

- Zamierza zabić bestię, tylko że... - Zawahała się i znów spojrzała na swoje stopy.

- Myślisz, że sam zginie?

- Bestia zabiła już piętnastu ludzi i ponad osiemdziesiąt sztuk bydła.

Do salonu weszła piegowata kobieta z rozwichrzonymi rudymi włosami, a za nią niski brzuchacz, który wyglądał, jakby się ogolił specjalnie na tę okazję, ponieważ miał świeże zacięcia na twarzy. Kobieta się śmiała i szła tyłem, ciągnąc go za obie ręce. Dostrzegłszy ich, mężczyzna gwałtownie się zatrzymał. Cofnął ręce i kobieta upadła z głuchym odgłosem na drewnianą podłogę. Brzuchacz stał

jak wryty. Ona z kolei zerknęła przez ramię i się roześmiała.

- Ups! Nie wiedziałam, że salon jest zajęty. Podaj mi rękę, Rubis.

Mężczyzna pomógł jej wstać, a ona obrzuciła Thrace długim, taksującym spojrzeniem, po czym mrugnęła do nich.

- Dobrze nam idzie, co?

- To była Maggie - wyjaśniła Thrace, gdy oboje zniknęli im z oczu.

Hadrian podszedł do kanapy i zaprosił Thrace gestem.

Dziewczyna usiadła ostrożnie, uważając, aby nie dotknąć wyprostowanymi plecami oparcia kanapy, i starannie wygładziła spódnicę.

Royce wciąż stał.

- Czy Westbank ma lorda? Czemu on nic w tej sprawie nie robi?

- Mieliśmy zacnego margrabiego - wyjaśniła. - Był

odważny i miał trzech rycerzy.

-Był?

- Pewnego wieczoru pojechał z rycerzami walczyć z bestią.

Później znaleziono jedynie kawałki jego zbroi.

- Czemu się stamtąd nie wyprowadzicie? - spytał Royce.

Thrace spuściła głowę i przygarbiła się nieco.

- Dwie noce przed moim wyjazdem bestia zabiła całą moją rodzinę z wyjątkiem mnie i mojego ojca. Nas nie było w domu. Ojciec pracował do późna na polu, a ja poszłam go szukać. Przez przypadek zostawiłam otwarte drzwi. Światło przyciąga bestię. Przyszła do nas i zabiła mojego brata Thada, jego żonę i ich syna. Thad był radością życia mojego ojca -

ciągnęła.

Przeprowadziliśmy się do Dahlgrenu przede wszystkim dlatego, żeby mógł tu zostać pierwszym bednarzem wioski. -

Do oczu napłynęły jej łzy. - Teraz nie żyją, a mojemu ojcu pozostały tylko smutek i jego przyczyna - bestia. Albo zobaczy ją martwą, albo zginie przed upływem miesiąca.

Gdybym tylko zamknęła wtedy drzwi. Gdybym tylko sprawdziła zasuwę...

Zakryła twarz rękami, a jej szczupłe ciało zaczęło drżeć.

Royce spojrział surowo na Hadriana, kręcąc nieznacznie głową i wymawiając bezgłośnie „nie”. Hadrian się nachmurzył, położył rękę na jej ramieniu i odgarnął włosy z jej oczu.

- Rozmażesz sobie swój ładny makijaż - powiedział.

- Przepraszam, naprawdę nie chcę sprawiać kłopotu. To nie są wasze problemy. Po prostu pozostał mi tylko ojciec i nie mogę znieść myśli, że jego też stracę. Nie mogę mu przemówić do rozumu. Prosiłam, żeby stamtąd odszedł, ale nie chce słuchać.

- Rozumiem twój problem. Ale dlaczego my? - spytał

Royce lodowatym tonem. - I skąd córka gospodarza z pogranicza zna nasze nazwiska i wie, jak nas znaleźć w Colnorze?

- Powiedział mi kaleka. Przysłał mnie tu. Powiedział, że potraficie otworzyć wieżę.

- Kaleka?

- Tak. Pan Haddon powiedział mi, że bestia nie może...

- Pan Haddon? - przerwał Royce. - Tak.

- Ten pan Haddon... nie jest przypadkiem bez rąk?

- To on.

Royce i Hadrian wymienili spojrzenia.

- Co dokładnie powiedział?

- Bestii nie można zranić bronią wytworzoną przez człowieka, ale w Avemparcie jest miecz, którym można ją zabić.

- A więc człowiek bez rąk kazał ci znaleźć nas w Colnorze i wynająć, abyśmy wydostali z wieży o nazwie Avempartha miecz dla twojego ojca? - spytał Royce.

Dziewczyna przytaknęła. Hadrian spojrział na współnika.

- Tylko nie mów, że... to wieża krasnoludów.

- Nie - odparł Royce. - Elfów. - Odwrócił się zamyślony.

Hadrian popatrzył smutno na Thrace. Czuł się okropnie. Nie dość, że jej wioska była bardzo daleko, to jeszcze mieli do czynienia z wieżą elfów. Nawet gdyby im zaoferowała sto złotych tenentów, i tak nie zdołaliby przekonać Royce'a do przyjęcia zlecenia. Gdy pomyślał o tym, co zaraz powie, poczuł

ucisk w dołku.

- Cóż - zaczął niechętnie. - Rzeka Nidwalden jest o kilka dni drogi stąd przez bardzo trudny teren. Potrzebowalibyśmy zapasów na sześć, siedem dni. To dwa tygodnie, licząc podróż w obie strony. Potrzebowalibyśmy paszy i zboża dla koni.

Trzeba by jeszcze doliczyć pobyt w wieży - w tym czasie moglibyśmy wykonywać inne zlecenia, a więc to dla nas strata pieniędzy. Poza tym zadanie jest niebezpieczne. Każde ryzyko podwyższa naszą cenę, a masowego mordercę pod postacią ducha-demonia-bestii, której nie można zranić zwykłą bronią, trzeba zaliczyć do kategorii ryzyka. - Hadrian spojrzał

jej w oczy i pokręcił głową. - Ciężko mi to powiedzieć i bardzo mi przykro, ale nie możemy przyjąć...

- ...twoich pieniędzy - wtrącił się nagle Royce, odwracając się na pięcie. - Dwadzieścia pięć srebrnych za to zlecenie to za dużo. Dziesięć wydaje się aż nadto.

Hadrian uniósł brew, ale nic nie powiedział.

- Po dziesięć dla każdego? - spytała.

- Aaa... Nie - odparł Hadrian, nie spuszczając wzroku z Royce'a. - W sumie. Zgadza się? Po pięć dla każdego?

Royce wzruszył ramionami.

- Skoro to ja będę otwierał zamek, uważam, że powinienem dostać sześć, ale możemy to załatwić między sobą. To nie jej zmartwienie.

- Naprawdę? - spytała Thrace. Wyglądała, jakby miała zaraz pęknąć ze szczęścia.

- Pewnie - potwierdził Royce. - W końcu... nie jesteśmy złodziejami.

*

- Może zechcesz mi wyjaśnić, dlaczego bierzemy to zlecenie? - spytał Hadrian, osłaniając ręką oczy, gdyż wyszli właśnie na zewnątrz.

Niebo było idealnie błękitne, a poranne słońce już wysuszało kałuże po zeszłej nocy. Ludzie wokół nich spieszyli na targ. Wozy z pierwszymi warzywami i przykrytymi plandeką beczkami stały uwięzione za trzema furami obładowanymi sianem. Z tłumu przed nimi wynurzył

się gruby mężczyzna, pod każdą pachą trzymający kurczaka trzepoczącego skrzydłami. Omijał kałuże i wozy, mamrocząc

„przepraszam”, kiedy przeciskał się obok ludzi.

- Płaci nam dziesięć srebrnych za robotę, na którą już wydaliśmy złotego tenenta - ciągnął Hadrian, obchodząc człowieka z kurczakami. - A będzie nas kosztować jeszcze kilka.

- Nie robimy tego dla pieniędzy - poinformował go Royce, torując sobie drogę w tłumie.

- To oczywiste. Dlaczego więc to robimy? Oczywiście dziewczyna jest śliczna jak obrazek i tak dalej, ale jeżeli nie planujesz jej sprzedać, to nie kapuję, gdzie tu korzyść.

Royce spojrział przez ramię i uśmiechnął się złośliwie.

- Nawet nie przyszło mi do głowy, żeby ją sprzedać. Choć to by pokryło wiele kosztów.

- Zapomnij, że o tym wspomniałem. Po prostu wyjaśnij mi swoją decyzję.

Royce wyprowadził ich z tłumu w kierunku sklepu z bibelotami Ognotona, w którego witrynie wystawiono nargile, porcelanowe figurki zwierząt i szkatułki z mosiężnymi zasuwkami. Skręcili za nim za róg, w wąski zaułek dzielący go od punktu z cukierkami, w którym rozdawano za darmo próbki landrynek, i wybrukowany ceglami.

- Tylko mi nie mów, że się nie zastanawiałeś, co porabia Esrahaddon - szepnął Royce. - Czarnoksiężnik był uwięziony przez dziewięćset lat, a potem zniknął w dniu, w którym go uwolniliśmy, i do dzisiaj słowa o nim nie usłyszeliśmy.

Kościół musi o tym wiedzieć, mimo to imperialiści nie rozesłali grup poszukiwawczych ani nie rozwiesili ogłoszeń.

Skoro na wolności znalazł się najniebezpieczniejszy człowiek na świecie, oczekiwałbym trochę bardziej zdecydowanych działań. A ten po dwóch latach - ciągnął - zjawia się w ma-lutkiej wiosce i zaprasza nas do siebie. Na dodatek na miejsce spotkania wybiera tereny graniczne z elfami i Avemparthę.

Nie chciałbyś się dowiedzieć, o co chodzi?

- Co to za Avempartha?

- Wiem tylko, że jest stara. Naprawdę stara. To jakaś pradawna elficka cytadela. Co skłania mnie też do pytania: Nie chciałbyś zajrzeć do niej do środka? Jeżeli Esrahaddon uważa, że warto ją otworzyć, to zgaduję, że wie, co mówi.

- A więc idziemy po pradawny skarb elfów?

- Nie mam pojęcia, ale jestem pewny, że jest tam coś cennego. Potrzebujemy jednak zapasów i musimy oddalić się stąd, zanim Koszt spuści ogary ze smyczy.

- Tylko jeśli obiecasz, że nie sprzedasz dziewczyny.

- Dobrze. Jeżeli będzie grzeczna.

*

Hadrian poczuł, jak Thrace znów się opiera o jego plecy.

Tym razem oglądała piętrowy dom wiejski wykonany z kamienia i ozdobiony stiukiem, z dachem z żółtej strzechy i kominem z pomarańczowej gliny. Wokół niego biegł wysoki do pasa murek zarośnięty bzem i bluszczem.

- Przepiękny - szepnęła.

Było wczesne popołudnie i znajdowali się zaledwie kilka kilometrów od Colnory, w drodze na wschód do Albumu.

Wiejski trakt wił się między licznymi osadami, które rozlokowały się w rejonie wzgórz wokół miasta. Były to przysiółki, na których biedni rolnicy uprawiali swoje pola graniczące z letnimi dworakami próżnujących bogaczy, przez trzy miesiące w roku udających gospodarzy.

Royce jechał obok Hadriana i Thrace lub kłusem sforował

się do przodu, jeżeli droga robiła się za wąska. Pomimo przyjemnej pogody na głowie miał kaptur. Thrace jechała z Hadrianem na gniadej klaczy. Siedziała za nim bokiem w siodle, a nogi podskakiwały jej w rytm kroków konia.

- Tu jest inny świat - stwierdziła. - Właściwie raj. Każdy jest zamożny. Każdy jest królem.

- W Colnorze nie jest źle, ale nie aż tak bajecznie.

- To skąd te wszystkie wspaniałe domy? Koła wozów mają metalowe obręcze. Na straganach z warzywami pełno jest cebuli i zielonego groszku. W Dahlgrenie mamy zwykłe ścieżki, które po deszczu przemieniają się w bagno, za to tutaj macie bardzo szerokie drogi i to nawet z nazwami na słupkach. Niedawno minęliśmy gospodarza, który pracował w rękawiczkach.

W Dahlgrenie nawet kościelny diakon ich nie ma, a gdyby je miał, na pewno by w nich nie pracował. Jesteście wszyscy bardzo bogaci.

- Niektórzy.

- Na przykład wy.

Hadrian wybuchnął śmiechem.

- Ale macie ładne rzeczy i piękne konie.

- Właściwie to kiepski z niej koń.

- W Dahlgrenie nikt nie ma konia oprócz lorda i jego rycerzy, a wasze są takie ładne. Podobają mi się zwłaszcza jej oczy - ma takie długie rzęsy. Jak jej na imię?

- Nazwałem ją Millie, po dawnej znajomej, która tak samo nigdy mnie nie słuchała.

- Millie to ładne imię. Podoba mi się. A koń Royce'a?

Hadrian zmarszczył czoło i spojrzał na współnika.

- Nie wiem. Royce, dałeś jej jakieś imię?

- Po co?

Hadrian spojrzał na Thrace, która miała zbulwersowaną minę.

- A może... - urwała, po czym zaczęła się przesuwac i wiercić, lustrując pobocze drogi. - ...może Lilia albo Stokrotka? Zaraz, nie, Chryzantema.

- Chryzantema? - powtórzył Hadrian. Choć byłoby zabawnie, gdyby Royce jeździł na Chryzantemie czy choćby Lili lub Stokrotce, musiał jej zwrócić uwagę, że nazwy kwiatów nie pasują do niskiej, brudnej siwki Royce'a. - A może Maluszka albo Sadza?

- Nie! - złajęła go Thrace. - Biedne zwierzę czułoby się okropnie.

Hadrian zachichotał. Royce ignorował ich rozmowę.

Mlasnął językiem, spiął konia i pokłusował naprzód, żeby zrobić miejsce dla nadjeżdżającego z naprzeciwka wozu, ale nawet gdy droga była już wolna, nie wrócił na tyły.

- A może Dama? - spytała Thrace.

- Trochę zbyt wyniosłe, nie uważasz? To nie paradny koń chodzący na zadnich nogach.

- Ale poczuje się lepiej. Nabierze pewności siebie.

Dojeżdżali do strumienia, którego gładkie granitowe brzegi zwieńczone były wiciokrzewami i malinowymi krzakami błyszczącymi wiosenną zielenią. Na jego skraju stał

młyn zbożowy, którego wielkie koło skrzypiało i ociekało wodą. W zewnętrznej ścianie, pod spadzistym drewnianym dachem były dwa kwadratowe okienka, z daleka przypominające ciemne oczy. Młyn oddzielał od drogi niski murek, na którym leżał biało-szary kot. Zwierzę leniwie otworzyło zielone oczy i mrugnęło do nich. Gdy podjechali do młyna, kot zdecydował, że są za blisko, i zeskoczył na ziemię, przebiegając przez drogę i wskakując w gąszcz.

Koń Royce'a stanął dęba i zarżał, przebierając zadnimi nogami. Mężczyzna zaklął i ściągnął wodze, kiedy zwierzę zaczęło się cofać. Zmusił je do opuszczenia łba i odwrócenia się w drugą stronę.

- To nedorzeczne! - skarżył się Royce po opanowaniu konia. - Półtonowe zwierzę boi się panicznie trzykilowego kota. Przecież to koń, a nie mysz.

- Myszka! Doskonale imię! - wykrzyknęła Thrace, co spowodowało, że Millie stuliła uszy.

- Podoba mi się - zgodził się Hadrian.

- Wielkie nieba - wymamrotał Royce i pokręcił głową, po czym znów pokłusował do przodu.

Gdy jechali dalej na wschód, posiadłości wiejskie ustąpiły miejsca gospodarstwom, krzewy różane żywopłotom, a ogrodzenia - zwykłym liniom drzew. Mimo to Thrace wciąż wskazywała osobliwości, na przykład nieprawdopodobnie luksusowe kryte mosty i bogato zdobione karety, które od czasu do czasu przejeżdżały obok nich z łoskotem.

Droga biegła pod górę i niebawem stracili cień, wyjeżdżając na ogromne, leżące odłogiem pola nawłoci, mlecza i dzikiego salifanu. W upale nie odstępowały ich muchy i słyszeli dzwonienie cykad. Thrace w końcu umilkła i oparła głowę o plecy Hadriana, który dla odmiany zaczął się niepokoić, że dziewczyna zaśnie i spadnie z konia, ale co jakiś czas się poruszała, żeby się rozejrzeć lub odgonić muchę.

Wspinali się coraz wyżej, aż dotarli do Bursztynowych Wzgórz. Pogórze wyróżniało się ubogą roślinnością: poza trawą widać tu było tylko skały. Obszar ten należał do długiego pasma biegnącego wzdłuż wschodniego skraju Warric i stanowił granicę między Warric a Albumem -

trzecim najsilniejszym i najlepiej prosperującym królestwem w Avrynie po Warric i Melengarze. Jego tereny w większości były gęsto zalesione, a na wybrzeże często napadali Ba Ran Ghazelowie, którzy specjalizowali się w błyskawicznych najazdach - uprowadzali pechowców, a to, czego nie mogli zabrać, palili. Władca Albumu Armand dopiero od niedawna zasiadał na tronie po niespodziewanej śmierci starego króla Reinholda. Poprzedni władca był rojali-stą, a Hadrian odnosił

wrażenie, że nowy sympatyzuje z imperialistami, a nawet otwarcie ich popiera, co było niefortunne dla Melengaru, którego lista sojuszników z każdym dniem robiła się coraz krótsza.

Bursztynowe Wzgórze były ciekawostką nawet dla miejscowych, a to z uwagi na stojące tam kamienie

- niebieskoszare skały, którym rzeźbiarz nadał tak opływowe kształty, że wydawały się węzami pełzającymi na szczycie. Hadrian nie miał bladego pojęcia, do czego te kamienie mogły pierwotnie służyć. Wątpił też, czy ktokolwiek to wie. Zobaczył pozostałości po ogniskach rozpalanych wokół nich i wyryte na nich pośród wyznań miłości hasła:

„Maribor jest bogiem!”, „Nacjonaliści są stuknięci”,

„Spadkobierca nie żyje”, a nawet „Gospoda Pod Szarą Myszą

- u podnóża góry”.

Gdy wędrowcy dotarli na szczyt, za ich plecami leżała Colnora, natomiast na północnym wschodzie

w nieskończoność ciągnęły się gęste dziewicze lasy, zamazujące granicę między królestwami Albumu i Dunmore'u.

Hadrianowi wydawały się oceanem zieleni, za którym leżała maleńka wioska o nazwie Dahlgren.

Wiatr na szczycie był chłodny i dostatecznie silny, by odgonić muchy, toteż miejsce nadawało się doskonale na postój i południowy posiłek. Zjedli soloną wieprzowinę, twarde ciemny chleb, cebulę i kiszony ogórek. W mieście Hadrian niechętnie wziąłby takie jedzenie do ust, ale na drodze, gdzie miał większy apetyt i mniej możliwości, uznał

je za luksus. Obserwował, jak Thrace skubie kiszony ogórek, uważając, by nie poplamzić nowej sukni. Spojrzała zamyślona w dal, oddychając głęboko z zadowoleniem.

- O czym myślisz? - spytał.

Uśmiechnęła się do niego trochę nieśmiało i wydało mu się, że dostrzegł smutek w jej oczach.

- Myślałam o tym, jak tu jest cudownie. Jak by to było miło żyć w jednym z gospodarstw, które minęliśmy. Nie potrzebowalibyśmy niczego wielkiego, nawet domu - mój ojciec może sam go zbudować i potrafi

przekopać każdą ziemię. Umie zrobić wszystko, a gdy liiż coś postanowi, to nic go od tego nie odwiedzie.

- Wspaniały człowiek.

- O tak. Jest bardzo silny i wytrwały.

- Dziwię się, że puścił cię samą na taką wyprawę przez kraj.

Thrace się uśmiechnęła.

- Nie szłaś cały czas pieszo, prawda?

- Podwieźli mnie domokrażca z żoną, którzy zatrzymali się w Dahlgrenie. Nie chcieli zostać na drugą noc i pozwolili mi jechać z tyłu wozu.

- Czy wcześniej dużo podróżowałaś?

- Nie. Urodziłam się w Glamrendorze, stolicy Dunmore'u.

Moja rodzina pracowała na gospodarstwie dzierzawionym od tamtejszego lorda. Przeprowadziliśmy się do Dahlgrenu, kiedy miałam dziewięć lat, i nigdy nie opuściłam Dunmore'u.

Nawet Glamrendor słabo pamiętam. Przypominam sobie jednak wszechobecny brud. Wszystkie budynki były drewniane, a drogi bardzo błotniste. To przynajmniej utkwiło mi w pamięci.

- Wciąż tak tam jest - powiedział Royce.

- Nie mogę uwierzyć, że odważyłaś się wybrać w taką podróż - oznajmił Hadrian, kręcąc głową.

Wyjechałaś z małego Dahlgrenu i po kilku dniach znalazłaś się w największym mieście na świecie. Musiałaś przeżyć szok.

- O tak - potwierdziła. Różowym palcem odgarnęła kosmyk włosów, który pod wpływem podmuchu wiatru wpadł jej do ust. - Głupio mi się zrobiło, kiedy do mnie dotarło, jak trudno będzie was znaleźć. Myślałam, że to będzie tak jak w rodzinnej wiosce, gdzie mogłabym podejść do kogokolwiek, bo każdy

by wiedział, kim jesteście. W Colnorze jest znacznie więcej ludzi, niż się spodziewałam. Szczerze mówiąc, wszystkiego jest znacznie więcej. Długo szukałam i już myślałam, że was nigdy nie znajdę.

- Twój ojciec będzie się martwił.

- Wcale nie - zaprzeczyła. - Ale jeżeli...

- Co to jest? - spytała, wskazując ogórkiem na głązy. - Te niebieskie kamienie. Są bardzo dziwne.

- Nikt nie wie - odrzekł Royce.

- Zrobiły je elfy? - zapytała.

Royce przechylił głowę i utkwiał w dziewczynie wzrok.

- Skąd wiedziałaś?

- Są trochę podobne do wieży stojącej niedaleko mojej wioski - tej, którą musicie otworzyć. Kamień jest taki sam -

przynajmniej tak myślę, bo wieża też ma niebieskawy kolor.

Ale to może być z powodu odległości. Zwróciliście kiedyś uwagę, jak przedmioty w oddali wydają się niebieskie?

Gdybyśmy mogli się do niej zbliżyć, to może okazałoby się, że jest zwyczajnie szara.

- Dlaczego nie możecie do niej podejść? - spytał Hadrian.

- Bo stoi na środku rzeki.

- Nie umiecie pływać?

- Trzeba by mieć ogromną siłę. Wieżę zbudowano na skale, która wisi nad wodospadem. To piękne kaskady, naprawdę wysokie. Mnóstwo wody się tam przelewa. W słoneczne dni można zobaczyć

łącę we mgle. Choć to bardzo niebezpieczne. Co najmniej pięciu ludzi tam zginęło. Dwóch na pewno, co do pozostałych trzech nikt nie ma pewności, bo... - przerwała, widząc ich spojrzenia. - Coś się stało?

- Mogłaś nas uprzedzić - odparł Royce.

- O wodospadzie? Myślałam, że wiecie. Gdy wspomniałam o wieży, zachowywaliście się tak, jak byście ją znali.

Przepraszam.

Przez pewien czas jedli w milczeniu. Thrace dokończyła posiłek i poszła obejrzeć kamienie. Gdy się przechadzała, suknia falowała jej na wietrze.

- Nie rozumiem! - odezwała się w końcu, przekrzykując wiatr. - Jeżeli Nidwalden jest granicą, to dlaczego tutaj są kamienie elfów?

- Bo kiedyś ta ziemia do nich należała - wyjaśnił Royce. -

Cała. Zanim powstały Colnora i Warric, ta kraina była częścią imperium Erivanu. Choć większość ludzi nie lubi o tym wspominać. Wolą myśleć, że tutaj zawsze rządził człowiek.

Zabawna rzecz, ale wiele używanych przez nas nazw jest pochodzenia elfickiego: Ervanon, Rhenydd, Glamrendor, Galewyr i Nidwalden... Już sama nazwa tego kraju - Avryn -

oznacza „zielone pola”.

- Spróbuj to kiedyś powiedzieć w jakimś barze, a przekonasz się, jak szybko ktoś zdzieli cię w łeb - powiedział

Hadrian i oboje na niego spojrzeli.

Gdy kończyli jeść, Thrace stanęła pośród wielkich kamieni i zapatrzyła się na zachód. Wiatr targał jej włosy i suknię.

Spojrzała poza Colnorę, poza niebieskie wzgórza, sięgając wzrokiem aż do cienkiej linii morza na horyzoncie.

Wyglądała na taką małą i delikatną istotę, że Hadrian prawie zaczął się obawiać, iż wiatr ją porwie i poniesie jak złoty liść, a potem dostrzegł wyraz jej oczu. Była jeszcze dziewczyną, a już miała spojrzenie dorosłej kobiety - brakowało w nim blasku niewinności, błysku zaciekawienia. Na jej twarzy malowała się powaga, a w oczach - determinacja. Dzieciństwo już dawno miała za sobą.

Dokończyli posiłek, spakowali się i ruszyli w dalszą drogę.

Zjechali ze wzgórza i przez resztę dnia trzymali się jednej drogi, ale gdy zaczęło zmierzchać, zwięzła się do rozmiarów ścieżki. Wciąż napotykali jakieś gospodarstwa, lecz wyraźnie coraz rzadziej. Las

zrobił się gęstszy, a droga ciemniejsza.

Wraz z zachodem słońca Thrace stała się milcząca. Nie było już wiele do oglądania ani komentowania, ale Hadrian domyślał się, że chodzi o coś więcej. Spod kopyta Myszki wyskoczył kamień i trafił w usypaną przez wiatr stertę liści z poprzedniego roku. Thrace podskoczyła, chwytając Hadriana w pasie. Wbiła w niego paznokcie tak głęboko, że aż się skrzywił z bólu.

- Nie powinniśmy znaleźć schronienia? - spytała.

- Tutaj mamy niewielkie szanse - odpowiedział. - Od tego miejsca pozostawiamy cywilizację w tyle. Zresztą wieczór jest śliczny. Ziemia jest sucha i wygląda na to, że będzie ciepła.

- Będziemy spać na dworze?

Hadrian odwrócił się, żeby zobaczyć jej twarz. Miała rozchylone usta, zmarszczone czoło i szeroko otwarte oczy, spoglądające teraz w niebo.

- Do Dahlgrenu jeszcze szmat drogi - stwierdził. Skinęła głową, ale mocniej go objęła. Zatrzymali się przy polanie w pobliżu strumyka,

który przyjaźnie szemrał. Hadrian pomógł Thrace zsiąść z konia, po czym zdjął z niego siodło i ekwipunek.

- Gdzie Royce? - szepnęła dziewczyna z paniką w głosie.

Stała z ramionami skrzyżowanymi na piersiach i rozglądała się niespokojnie.

- Wszystko w porządku - zapewnił ją Hadrian, zdejmując uzdę z głowy Millie. - Gdy stajemy na noc, zawsze przeprowadza rozpoznanie terenu. Upewnia się, że jesteśmy sami. Nie cierpi niespodzianek.

Thrace skinęła głową, ale wciąż się kuliała, jakby stała na kamieniu na środku wzburzonej rzeki.

- Prześpimy się tutaj. Może trochę oczyścisz to miejsce?

Jeden kamień potrafi zepsuć człowiekowi cały sen. Wiem coś o tym. Zawsze kiedy śpię na dworze, trafia mi się taka niespodzianka pod plecami.

Dziewczyna weszła na polanę i ostrożnie się pochyliła, by odrzucić na bok gałęzie i kamienie, ale stale nerwowo zerkąła w stronę nieba i podskakiwała przy najślabszym dźwięku.

Gdy Hadrian oporządził konie, Royce już wrócił - z naręczem gałązek i kilku polanami, które posłużyły mu do rozpalenia ogniska.

Thrace spojrzała na niego z przerażeniem.

- Ale jasne - szepnęła.

Hadrian uściskał jej rękę i się uśmiechnął.

- Założę się, że świetnie gotujesz. Mogłbym przyszykować obiad, ale byłby marny. Umiem tylko ugotować ziemniaki.

Może spróbujesz? Co ty na to? Garnki i rondle są w tamtej sakwie, a jedzenie w sąsiedniej.

Thrace skinęła głową bez słowa, po raz ostatni zerknęła w niebo i podeszła do toreb.

- Co chcecie zjeść?

- Coś jadalnego. Już to byłoby miłą niespodzianką - odrzekł

Royce, dokładając drewna do ognia.

Hadrian rzucił w niego gałązką, a przyjaciel ją złapał i też posłał w ogień.

Dziewczyna poszperała w torbach, prawie wkładając głowę do środka, i po niedługim czasie miała potrzebne

rzeczy. Pożyczyła nóż od Hadriana, odwróciła garnek do góry dnem i zaczęła kroić na nim warzywa.

Szybko się ściemniło i jedynym źródłem światła na polanie było ognisko. Migoczący złoty blask oświetlał baldachim liści nad nimi, tworząc atmosferę leśnej jaskini. Hadrian wybrał

trawiaste miejsce z dala od dymu i rozłożył prześcieradła z płótna powleczonego smolą, która zapobiegała wnikaniu wilgoci w materiał. Na pomysł przygotowania takiej tkaniny wpadli po wielu latach spędzonych w drodze. Ale nie zdążyli sporządzić takiego płótna dla Thrace. Westchnął więc i rzucił

koce dziewczyny na swoje prześcieradło. Potem poszedł poszukać sosnowych gałęzi na własne posłanie.

Wrócił do ogniska, gdy obiad był gotowy. Thrace serwowała gęsty rosół z marchewką, ziemniakami, cebulą i soloną wieprzowiną. Royce siedział z półmiskiem na kolanach i uśmiechem na twarzy.

- Nie musisz aż tak się cieszyć - powiedział do niego wspólnik.

- Spójrz, Hadrianie, tak wygląda jedzenie.

Jedli zasadniczo w milczeniu. Royce zrobił kilka uwag o rzeczach, które powinni zabrać w trakcie przejazdu przez Alburn, między innymi jeszcze jeden kawałek liny i nową łyżkę, bo jedna im pękła. Hadrian zaś obserwował Thrace, która nie zgodziła się usiąść przy ognisku i jadła sama, siedząc na kamieniu w mroku, niedaleko koni. Po posiłku wymknęła się nad wodę, żeby umyć garnek i drewniane półmiski.

- Dobrze się czujesz? - spytał Hadrian, odnajdując ją na brzegu strumyka.

Owinawszy sobie dół sukni ciasno wokół kostek, Thrace przykucnęła na omszałym gładzie i myła naczynia, szorując je palcami i wykorzystując do tego niewielką ilość piasku, który udało jej się znaleźć.

- Nic mi nie jest, dziękuję. Po prostu nie przywykłam do przebywania na dworze po zmroku.

Hadrian usiadł obok niej i zaczął myć własny półmisek.

- Ja to mogę zrobić - powiedziała.

- Ja też. Poza tym jesteś klientką, więc powinnaś dostać to, za co zapłaciłaś.

Uśmiechnęła się do niego z wyższością.

- Nie jestem głupia. Dziesięć srebrnych nie pokryje nawet kosztu paszy dla koni, prawda?

- Cóż, musisz zrozumieć, że Myszka i Millie są bardzo rozpieszczone. Jadają zboże tylko najlepszej jakości. -

Mrugnął do niej.

Dziewczyna nie mogła się powstrzymać od uśmiechu.

Skończyła myć garnek i półmiski, po czym wrócili do obozu.

- Ile jeszcze przed nami drogi? - zapytała, chowając naczynia do sakwy.

- Nie jestem pewien. Nigdy nie byłem w Dahlgrenie, ale dziś pokonaliśmy spory kawałek, więc może zostały jeszcze tylko cztery dni.

- Mam nadzieję, że z ojcem wszystko w porządku. Pan Haddon powiedział, że spróbuje go przekonać, żeby zaczął

do mojego powrotu z tym polowaniem na bestię. Oby go posłuchał. Jak już mówiłam, ojciec jest bardzo uparty i nie mogę sobie wyobrazić, żeby ktoś go przekonał do zmiany zdania.

- Jeżeli ktoś dałby radę, to przypuszczam, że raczej pan Haddon - zauważył Royce, przegarniając długim kijem węgle w ognisku. - Jak go poznałaś?

Thrace podeszła do posłania, które Hadrian przygotował dla niej, i usiadła na kocu.

- To było zaraz po pogrzebie mojej rodziny. Uroczystość była przepiękna. Przyszli wszyscy mieszkańcy wioski. Maria i Jessie Caswell zawiesiły na nagrobkach wieńce z dzikiego salifanu. Mae Drundel, Rose i Verna McDern zaśpiewały *Pola lilii*, a diakon Tomas odmówił kilka modlitw. Lena i Russell Bothwickowie wyprawili stypę w swoim domu. Lena i moja matka były bardzo bliskimi przyjaciółkami.

- Nie przypominam sobie, żebyś wspominała o matce. Czy ona...

- Zmarła dwa lata temu.

- Przykro mi. Choroba?

Thrace pokręciła głową. Przez chwilę żadne z nich się nie odzywało, po czym Hadrian powiedział:

- Opowiadałaś, jak poznałaś pana Haddona...

- Ach tak. Nie wiem, na ilu byliście pogrzebach, ale ta sytuacja zaczęła mnie... przytłaczać. Ten cały płacz i opowiadanie historii z przeszłości. Wymknęłam się. Szłam bez celu. Wylądowałam przy ogólnej studni i tam zobaczyłam nieznanego. Niewielu obcych się u nas pojawia, ale ten był

wyjątkowy. Miał na sobie szatę, która się iskrzyła, jakby zmieniała kolory. Najdziwniejsze jednak było to, że nie miał

rąk i, biedak, próbował napić się wody. Zmagał się z wiadrem i liną. Zapytałam go o imię - ciągnęła - i wtedy, sama nie wiem dlaczego, rozplakałam się jak głupia, a on zapytał, co się stało. Aleja nie płakałam z powodu śmierci mojego brata i jego żony. Byłam przerażona, że mój ojciec będzie następny.

Nie wiem, czemu mu to powiedziałam. Może dlatego, że był spoza wioski. Wszystko jakby się ze mnie wylało. Ale on był

bardzo cierpliwy.

Właśnie wtedy powiedział mi o broni w wieży i o was dwóch.

- Skąd wiedział, gdzie jesteście? Thrace wzruszyła ramionami.

- Nie mieszkanie tam?

- Nie... Byliśmy w odwiedzinach u starego przyjaciela. Czy mówił dziwnie? Często używał form „toć” i „boć”?

- Nie, ale wyrażał się w sposób trochę bardziej dys-tyngowany niż większość ludzi. Powiedział, że nazywa się pan Esra Haddon. To wasz przyjaciel?

- Poznaliśmy go przelotnie - wyjaśnił Hadrian. - Tak jak ty pomogliśmy mu w małym kłopotcie.

- Ciekawi mnie jedno: dlaczego nas pilnuje - zastanawiał się Royce. - I w jaki sposób, bo nie przypominam sobie, abyśmy mu podawali nazwiska, i nie mógł też wiedzieć, że udamy się do Colnory.

- Powiedział mi tylko, że jesteście potrzebni do otwarcia wieży, i jeśli niezwłocznie wyruszę w drogę, znajdę was tam.

Potem dogadał się z domokrażcą, żeby mnie podwiózł. Był

bardzo pomocny.

- To dość niezwykle jak na człowieka, który nie może nawet nalać sobie kubka wody - wymamrotał Royce.

Rozdział 3

Ambasadorka

Arista stała przy oknie w wieży i spoglądała na świat w dole. Widziała dachy sklepów i domów, które wyglądały jak szare, brązowe i czerwone trójkąty i kwadraty przekłute kominami, beczynnymi w ten ciepły wiosenny dzień. Po deszczu świat wyglądał świeżo i tętnił życiem. Obserwowała ludzi chodzących ulicami i zbierających się na placach.

Sporadycznie docierał do jej uszu słaby krzyk. Większość hałasów dobiegała bezpośrednio z dziedzińca, gdzie właśnie zajechało siedem powozów i służący ładowali kufrы. Ale nie wszystkie.

- Nie, nie, nie. Nie czerwoną suknię! - krzyknęła Bernice do Melissy. - Niech nas Novron broni. Spójrz na dekolt. Jej Wysokość musi dbać o dobre imię. Odłóż ją do przechowania w magazynie albo jeszcze lepiej spal. Ba, możesz ją też posolić, przybrać i podać stadu wygłodniałych wilków. Nie, ciemnej też nie, jest prawie czarna, a my mamy wiosnę, na litość Maribora. Gdzie ty masz rozum? Błękitna, tak, ta może zostać. Naprawdę, dobrze, że tu jestem.

Bernice była starą, pulchną kobietą o ciastowatej twarzy z obwisłymi policzkami i podwójnym

podbródkiem. Nikt nie znał koloru jej włosów, gdyż zawsze chowała je pod chustą, którą przytrzymywała szeroką płócienną opaską, przez co jej głowa wyglądała, jakby była płaska. Stała na środku sypialni Aristy, wymachując rękami i krzycząc wśród rozgardiaszu, którego sama narobiła.

Wszędzie walały się rzeczy powyjmowane z szaf Aristy, pustych teraz i otwartych na oścież. Bernice przeglądała je po kolei, odkładając na bok zimowe do przechowania. Oprócz Melissy przyproceedziła jeszcze do pomocy dwie dziewczyny z dołu. Jedną skrzynię już zapełniły, ale podłogę sypialni wciąż przykrywały suknie.

Bernice była jedną ze służących matki Aristy. Królowa Ann miała ich kilka. Piękna Drundiline była jej pomocnicą i bliską przyjaciółką. Harriet prowadziła dom, dopilnowując sprzątaczek, szwaczek i praczek. Nora, która nieustannie błędziła gdzieś wzrokiem i nigdy nie było wiadomo, na kogo właściwie patrzy, zajmowała się dziećmi. Arista pamiętała, jak opowiadała jej na dobranoc bajki o chciwych krasnoludach porywających rozpieszczone księżniczki, które zawsze w końcu ratował dziarski książę. Przypominała sobie w sumie co najmniej osiem służących, ale nie pamiętała Bernice.

Bernice przybyła do zamku Essendonów prawie dwa lata wcześniej, za ledwie miesiąc po tym, jak zamordowano króla Amratha. Biskup Saldur wyjaśnił, że pomagała królowej i jako jedyna służąca przeżyła pożar, w którym matka Aristy zginęła przed wieloma laty. Nadmienił też, że po tej tragedii Bernice wyjechała, cierpiąc z powodu depresji, ale gdy dotarły do niej wieści o śmierci Amratha, nalegała, by pozwolono jej wrócić, by mogła zatroszczyć się o córkę swojej ukochanej królowej.

- Wasza Wysokość - zwróciła się właśnie do Aristy, trzymając w ręku dwie pary butów. - Naprawdę chciałabym, abyś odeszła od okna. Pogoda wydaje się przyjemna, ale nie należy lekceważyć przeciągów. Wierz mi, wiem to z własnego doświadczenia. Módl się, żebyś nie musiała przechodzić przez to co ja: bóle, fale gorąca, kaszel. Ale wcale się nie skarzę. Wciąż tu jestem, prawda? Mam tę radość, że widzę, jak wyrastasz na damę, i jeśli Maribor pozwoli, dożyję twojego zamążpójścia. Jakąż to będziesz piękną panną młodą! Mam nadzieję, że wkrótce król Alric wybierze ci męża. Nie

chcemy przecież, żeby ludzie plotkowali o tobie bardziej niż obecnie.

- Ludzie plotkują? - Arista odwróciła się i usiadła na parapecie otwartego okna.

Bernice, zobaczywszy to, przeraziła się i zamarła.

Bezgłośnie otwierała i zamykała usta, usiłując zaprotestować, i potrząsała w kierunku podopiecznej ciągle trzymanymi w rękach butami.

- Wasza Wysokość! - zdołała w końcu wydusić z siebie. -

Spadniesz!

- Wcale nie.

- Właśnie że tak. Proszę. Błagam cię. - Zdesperowana służąca rzuciła na podłogę buty, stanęła mocno na nogach i wyciągnęła do księżniczki rękę, jakby stała na skraju przepaści. - Proszę - powtórzyła.

Arista przewróciła oczami, zeskoczyła z parapetu i przeszła przez komnatę w stronę zawalonego kilkoma warstwami rzeczy łóżka.

- Nie, zaczekaj! - krzyknęła Bernice, machając dłońmi, jakby chciała z nich strząsnąć krople wody. - Melisso, zrób miejsce dla Jej Wysokości.

Arista westchnęła i przeczesła ręką włosy, czekając, aż Melissa pozbiera suknie.

- Ostrożnie, nie pognieć ich - przestrzegła Bernice.

- Przepraszam, Wasza Wysokość - powiedziała Melissa z naręczem rzeczy.

Była mała, ruda i miała ciemnozielone oczy. Służyła Ariście od pięciu lat i księżniczka odniosła wrażenie, że jej przeprosiny nie dotyczyły bałaganu na łóżku. Uśmiechnęła się, próbując opanować rozbawienie, a kiedy zobaczyła, że Melissa też się uśmiecha, jeszcze trudniej było jej powstrzymać wybuch wesołości.

- Dobra wiadomość jest taka, że dziś rano biskup przyniósł

Jego Królewskiej Mości listę potencjalnych zalotników -

powiedziała Bernice i Arista natychmiast straciła humor. -

Mam nadzieję, że to będzie ten miły książę Rudolf, syn króla Armanda. - Bernice uniosła brwi i uśmiechnęła się szelmowsko jak jakiś złośliwy chochlik. - Jest bardzo przystojny. Wielu twierdzi nawet, że zabójczo przystojny, a Album to przepiękne królestwo - tak przynajmniej słyszałam.

- Byłam tam i poznałam księcia. To arogancki osioł.

- Och, ten twój język! - Bernice objęła twarz dłońmi i podniosła wzrok, odmawiając bezgłośnie modlitwę. - Musisz się nauczyć panować nad sobą. Gdyby jeszcze ktoś cię usłyszał... Na szczęście jesteśmy tu same.

Arista zerknęła na Melissę i pozostałe dwie dziewczyny zajęte sortowaniem rzeczy. Melissa napotkała jej wzrok i wzruszyła ramionami.

- W porządku, a skoro nie masz pewności co do księcia Rudolfa, nic nie szkodzi. To może król Ethelred z Warric?

Lepszego nie znajdziesz. Biedny wdowiec jest najpotężniejszym monarchą w Avrynie. Mieszkałabyś w Aqueście i była królową festynów zimnaliowych.

- On musi już być po pięćdziesiątce. Na dodatek to imperialista. Prędzej bym sobie gardło podcięła.

Bernice zatoczyła się do tyłu i jedną rękę przyłożyła szybko do szyi, a drugą oparła się o ścianę. Melissa zachichotała i zaraz próbowała to ukryć pod pozorem kaszlu.

- Chyba już skończyłaś, Melisso - powiedziała Bernice. -

Przy okazji zabierz urynał.

-Ale sortowanie jeszcze nie... - zaprotestowała dziewczyna.

Lecz Bernice spojrzała na nią z wyrzutem i służąca westchnęła.

- Wasza Wysokość - dygnęła przed Aristą, po czym wzięła nocnik i wyszła.

- Nic złego nie miała na myśli - wytłumaczyła ją księżniczka.

- Nieważne. Należy zawsze okazywać szacunek. Wiem, że jestem tylko starą wariatką, która nikogo nie obchodzi, ale powiem ci jedno: gdybym tu była, gdybym pomagała cię wychowywać po śmierci twojej matki, ludzie nie nazywaliby cię dziś czarownicą.

Arista otworzyła szerzej oczy.

- Wybacz mi, Wasza Wysokość, ale taka jest prawda.

Obawiam się, że po śmierci królowej i moim wyjeździe zaniedbano twoje wychowanie. Mariborowi dzięki, że wróciłam w porę, bo kto wie, co by się z tobą stało. Nie martw się jednak, moja droga, teraz już jesteś na właściwej drodze. Zobacysz, wszystko się ułoży, gdy ci znajdziemy odpowiedniego męża. Wkrótce wszystkie nedorzecznosci z twojej przeszłości pójdą w niepamięć.

*

Godność, jak również długa suknia nie pozwalały Ariście zbiec po schodach. Hilfred próbował dotrzymać jej kroku, gdy nagle zaczęła iść szybciej. Zaskoczyła swojego przybocznego strażnika. I

samą siebie. Zamierzała spokojnie podejść do brata i grzecznie zapytać, czy oszalał, ale gdy minęła kaplicę, plan spalił na panewce i zdecydowanie przyśpieszyła kroku.

„Dobra wiadomość jest taka, że dziś rano biskup przyniósł

Jego Królewskiej Mości listę potencjalnych zalotników”.

Wciąż miała przed oczami szeroki uśmiech Bernice i słyszała szelmowską radość w tych słowach, jakby służąca stała przy szubienicy i czekała, aż kat dopełni swej powinności. „Mam nadzieję, że to będzie ten miły książę Rudolf, syn króla Armanda...”.

Miała trudności z oddychaniem. Włosy wysunęły jej się ze wstążki i powiewały za nią. Kiedy skręcała za róg przy sali balowej, poślizgnęła się i prawie upadła. But zleciał jej z lewej nogi i potoczył się po wypolerowanej podłodze.

Zostawiła go i parła dalej naprzód, utykając jak koń bez podkowy. Dotarła do zachodniej galerii - długiego, prostego korytarza, na którym stały zbroje. Ritaj przyśpieszyła kroku jeszcze bardziej. Jacobs, królewski oficjel, dostrzegł ją ze swojego miejsca na podwyższeniu przed salą recepcyjną i zerwał się na nogi.

- Wasza Wysokość! - wykrzyknął i się uklonił.

- Jest w środku? - szczeknęła.

Mały urzędnik z okrągłą twarzą i czerwonym nosem skinął głową.

- Ale Jego Królewska Mość jest na spotkaniu w sprawach wagi państwowej. Nie życzy sobie, żeby mu przeszkadzano.

- Ależ trzeba mu przeszkodzić. Przyszłam przemówić mu do słabowitego rozumku.

Urzędnik się skulił i wyglądał teraz jak wiewiórka podczas nawałnicy. Gdyby miał kite, nakryłby się nią. Za plecami usłyszała znajome kroki zbliżającego się Hilfreda. Odwróciła się w stronę drzwi i zrobiła krok.

- Nie możesz wejść, Wasza Wysokość - oświadczył Jacobs, wpadając w panikę. - Tam się odbywa spotkanie wagi państwowej - powtórzył.

Żołnierze stojący po obu stronach drzwi ruszyli naprzód, żeby zagrozić jej drogę.

- Precz! - wrzasnęła.

- Wybacz, Wasza Wysokość, ale król rozkazał nam nie wpuszczać nikogo.

- Jestem jego siostrą - zaprotestowała.

- Przykro mi, ale Jego Królewska Mość wymienił właśnie Waszą Wysokość.

- Co takiego? - Przez chwilę stała zdumiona, po czym odwróciła się na pięcie w kierunku urzędnika, który wyciera!

nos w chusteczkę. - Kto z nim jest? Kto uczestniczy w tym

„spotkaniu wagi państwowej”?

- Co tu się dzieje? - zapyta! Julian Tempest, lord szambelan, wybiegając ze swojego biura.

Długa czarna szata ze złotymi paskami na rękawie ciągnęła się za nim jak tren panny młodej. Julian był bardzo starym człowiekiem, który objął urząd lorda szambelana zamku Essendonów jeszcze przed narodzinami Aristy, a być może nawet przed narodzinami jej ojca. Normalnie nosił pudrowaną perukę, której pukle opadały mu poniżej ramion jak oklapłe uszy starego psa, ale teraz został zaskoczony i miał na głowie tylko mykę, spod której - jak puch nasienny z torebki trojeści

- wystawały mu pojedyncze kępki białych włosów.

- Chcę się zobaczyć z bratem - zażądała Arista. -Ale...

Wasza Wysokość, on jest na spotkaniu wagi państwowej. Twoja sprawa na pewno może poczekać.

- Kto jest na tym spotkaniu?

- Przypuszczam, że biskup Saldur, kanclerz Pickering, lord Valin i... nie jestem pewien, kto jeszcze.

- Spojrzał na Jacobsa w poszukiwaniu wsparcia.

- W jakiej sprawie dyskutują?

- Sądzę, że chodzi o... - zawahał się - ...twoją przyszłość.

- Moją przyszłość? Decydują o moim życiu, a ja nie mogę tam wejść? - Zsiniała ze złości. - Czy jest tam księżę Rudolf?

Może Lanis Ethelred?

- Aaa... Nie wiem, ale nie sądzą. - Julian znów spojrzał na urzędnika, który nie chciał w tym uczestniczyć.

- Wasza Wysokość, proszę się uspokoić. Podejrzewam, że cię słyszą.

- To świetnie! - krzyknęła. - Powinni mnie słyszeć. Chcę, żeby mnie słyszeli. Jeśli myślą, że będę tu stała i czekała na werdykt, żeby zobaczyć, jaki uzgodnili dla mnie los, to się...

- Aristo!

Odwróciła się i zobaczyła, jak otwierają się drzwi do sali tronowej. Za strażnikami, którzy szybko się rozstąpili, stał jej brat Alric w białym futrzanym płaszczu, jaki lord szambelan stanowczo doradza! mu wkładać przy sprawowaniu wszystkich funkcji państwowych, i w ciężkiej złotej koronie, którą zsunął na tył głowy.

- Co się stało? Drzesz się jak wariatka.

- Powiem ci, co się stało. Nie pozwolę, żebyś mi to zrobił.

Nie odeślesz mnie do Albumu albo Warric jak jakąś... jakiś...

państwowy towar.

- Nie zamierzam cię tam wysłać. Już postanowiliśmy, że pojedziesz do Dunmore'u.

- Dunmore'u? - Poczowała się, jakby ją uderzono.

- Żartujesz. Powiedz, że to żart.

- Miałem ci powiedzieć dziś wieczorem. Choć myślałem, że lepiej to przyjmiesz. Przypuszczałem, że spodoba ci się ten pomysł.

- Spodoba? Spodoba! O tak, jestem zachwycona pomysłem wykorzystania mnie w charakterze politycznego pionka. Co ci w zamian dają? Czy właśnie to tam robiłeś? Wystawiałeś mnie na aukcji?

- Wspięła się na palce, próbując spojrzeć ponad jego ramieniem, żeby zobaczyć, kto się ukrywa w sali tronowej. - Kazałeś im, żeby licytowali się o mnie jak o rasową krowę?

- Rasową krowę? O czym ty mówisz? - Alric spojrzał

zakłopotany za siebie i zamknął drzwi. Odprawił gestem Juliana i Jacobsa, po czym ciszej powiedział:

- Zyskasz trochę szacunku. Będziesz miała prawdziwą władzę. Nie będziesz już tylko księżniczką. Będziesz miała coś do zrobienia. Czy to nie ty powiedziałaś, że chcesz wyjść z wieży i przysłużyć się królestwu?

- I... i właśnie to przyszło ci do głowy? - Była o krok od krzyku. - Nie rób mi tego, Alricu, błagam cię. Wiem, że przyniosłam ci wstyd. Wiem, co o mnie mówią. Myślisz, że nie słyszę, jak szepczą pod nosem „czarownica”? Myślisz, że nie wiem, co mówiono na procesie?

- Aristo, ci ludzie byli pod przymusem. Wiesz o tym.

Spojrzał przelotnie na Hilfreda, który stał obok niej ze zgubionym butem w ręku.

- Mówię tylko, że wiem o tym. Na pewno skarżą się tobie przez cały czas. - Wskazała na zamknięte drzwi za jego plecami. Nie wiedziała, kto tam jest, i miała nadzieję, że brat nie zapyta o imiona. - Ale nie mogę nic poradzić na to, co ludzie myślą. Jeśli chcesz, będę przychodzić na wszystkie

uroczystości. Będę uczestniczyć w oficjalnych obiadach. Zajmę się wyszywaniem, zrobię przekłętą gobelin. Utkam coś ładnego i niewinnego. Może scenę polowania na jelenie? Nie umiem wprowadzić tkacką, ale założę się, że Bernice tak. Ona zna się na tych wszystkich pierdołach.

- Ty zamierzasz utkać gobelin?

- Jeżeli będzie trzeba. Poprawię się, naprawdę. Nawet nie założyłam zamka w drzwiach w nowej wieży. Nic nie zrobiłam od chwili twojej koronacji, przysięgam. Nie skazuj mnie na niewolnicze życie. Bycie zwykłą księżniczką mi nie przeszkadza.

Spojrzał na nią skonfundowany.

- Mówię poważnie, Alricu. Proszę, nie rób tego. Westchnął, spoglądając na nią ze smutkiem.

- Aristo, cóż innego mogę z tobą zrobić? Nie chcę, żebyś resztę życia spędziła w tej wieży jak pustelnica. Naprawdę uważam, że to najlepsze wyjście. Może teraz tego nie dostrzegasz, ale... Nie patrz tak na mnie! Jestem królem i zrobisz, co ci każę. Musisz to dla mnie zrobić. Musisz to zrobić dla królestwa.

Nie wierzyła własnym uszom. Łzy napłynęły jej do oczu.

Zacisnęła zęby i zaczęła szybciej oddychać, żeby je powstrzymać.

- I przypuszczam, że mam opuścić zamek niezwłocznie.

Stąd te powozy?

- Tak - potwierdził stanowczym tonem. - Liczyłem, że rano wyruszysz w drogę.

- Jutro? - Arista poczuła, jak nogi jej słabną i zaczyna brakować jej powietrza w płucach.

- Na litość Maribora, Aristo, przecież nie każę ci wychodzić za mąż za jakiegoś starego tumanu.

- No cóż! Cieszy mnie, że tak się o mnie troszczysz

- stwierdziła sarkastycznie. - Któż to zatem jest? Któryś z bratanków króla Rosworta? Mariborze drogi, Alricu!

Dlaczego Dunmore? Z Rudolfem byłaby udręka, ale przynajmniej mogłabym zrozumieć sojusz z Alburnem. Lecz Dunmore? To po prostu okrutne. Aż tak mnie nienawidzisz?

Jestem taka okropna, że musisz mnie wydać za jakiegoś mało ważnego księcia w zaściankowym królestwie? Nawet ojciec by mi tego nie zrobił. Czemu... czemu się śmiejesz? Przestań, ty bezwzględny złośliwcze!

- Nie wydaję cię za mąż, Aristo - zdołał powiedzieć Alric.

Spojrzała na niego zwięzonymi oczami.

- Naprawdę?

- Ależ oczywiście! Tak myślałaś? Nie zrobiłbym tego.

Wiem, z kim się zadajesz. Znów wylądowałbym w łódce na Galewyrze.

- A więc co teraz? Julian powiedział, że naradzacie się w sprawie mojej przyszłości.

- Oficjalnie mianowałem cię ambasadorką Melengaru.

Stała bez słowa, wpatrując się w niego przez długą chwilę.

Bez odwracania głowy przeniosła wzrok na Hilfreda, wzięła od niego but i go włożyła, opierając się na ramieniu strażnika.

- Ale Bernice powiedziała, że Sauly przywiózł listę potencjalnych kandydatów - powiedziała niepewnie.

- O tak, przywiózł - potwierdził Alric i zachichotał.

- Nieźle to nas ubawiło.

-Nas?

- Są tu Mauvin i Fanen. - Wskazał kciukiem na drzwi. -

Pojadą z tobą. Fanen planuje wziąć udział w konkursie, który kościół organizuje w Ervanonie. Widzisz, to miała być wielka niespodzianka, ale jak zwykle wszystko zepsułaś.

- Przepraszam - wyszeptała, a jej głos niespodziewanie zadrżał. Zarzuciła rękę bratu na szyję i mocno go uścisnęła. -

Dziękuję.

*

Przednie koła powozu podskoczyły na wyboju, a po chwili to samo się stało z tylnymi. Arista omal nie uderzyła głową w dach i się zdezorientowała, co ją sfrustrowało, ponieważ była pewna, że już miała na końcu języka nazwisko sekretarza skarbu Dunmore'u. Zaczynało się od Bon, Bonny albo Bobo -

nie, to nie mogło być Bobo, prawda? Coś w tym guście.

Wszystkie te nazwiska, tytuły... trzeci baron Brodinii, hrabia Nithu - a może trzeci baron Nithu i hrabia Brodinii? Arista spojrzała na swoją dłoń, zastanawiając się, czy mogłaby je tam zapisać.

Jeżeli zostanie przyłapaną na gafie, przyniesie wstyd nie tylko sobie, ale również Alricowi i całemu Melengarowi. Od tej chwili wszystko, co zrobi, każdy błąd, każde potknięcie nie tylko zaszkodzi jej, ale odbiją się też niekorzystnie na wizerunku jej królestwa. Musiała być doskonała. Szkopuł tkwił w tym, że nie umiała taka być.

Żałowała, że brat nie dał jej więcej czasu na przygotowanie się do nowej roli.

Dunmore było nowym, zaledwie siedemdziesięcioletnim królestwem, zarośniętym lennem wydartym puszczy przez ambitnych szlachciców o krótkim rodowodzie. Nie mogło się pochwalić tradycjami ani wytwornością,

jakie cechowały resztę Awynu, ale utworzono w nim mnóstwo wprawiających w osłupienie urzędów tytularnych.

Arista była przekonana, że król Roswort stworzył je na podobnej zasadzie, na jakiej nieśmiały człowiek przesadnie ozdabia skromny dom. Z pewnością miał więcej ministrów niż Alric, a ich tytuły były dwa razy dłuższe i wyjątkowo niejasne, na przykład asystent sekretarza drugiego kworum kontroli królewskiej alei. Co to w ogóle znaczy? Lub po prostu zupełnie niezrozumiały tytuł wielkiego mistrza floty, gdyż królestwo Dunmore było otoczone lądem! Ale Julian dał

jej listę, a ona starała się nauczyć jej na pamięć wraz z wykazem towarów importowanych i eksportowanych, umowami handlowymi, układami wojskowymi, a nawet imieniem psa króla. Odchyliła głowę, opierając ją na aksamitnej tapicerce, i westchnęła.

- Coś nie tak, moja droga? - zapytał siedzący naprzeciwko niej biskup Saldur.

Duchowny miał złożone dłonie i wpatrywał się w księżniczkę, lustrując nie tylko jej twarz. Gdyby to był ktoś inny, uznałaby jego spojrzenie za niegrzeczne. Saldur, lub Sauly, jak go zawsze nazywała, pokazał jej dmuchawce, kiedy miała pięć lat, nauczył grać w warcaby i udawał, że nie widzi, gdy wchodziła na drzewa lub galopowała na kucyku. Przy religijnej inicjacji w jej szesnaste urodziny osobiście objaśnił

jej doktrynę wiary Nyphrona. Był jak dziadek. Zawsze się na nią gapił. Przestała się zastanawiać dlaczego.

- Za dużo rzeczy do nauczenia się. Nie potrafię wszystkiego zapamiętać. Podskakiwanie powozu też nie pomaga. Po prostu... - przerzuciła kartki na kolanach, kręcąc głową -

...chcę się dobrze spisać, ale nie sądzę, żeby mi się to udało.

Stary człowiek uśmiechnął się do niej, unosząc współczująco brwi.

- Dasz sobie radę. Zresztą to tylko Dunmore. - Mrugnął do niej. - Jego Królewska Mość król Roswort nie wyda ci się miły w obejściu. Dunmore nie przyswoiło sobie jeszcze cnót, którymi reszta cywilizacji cieszy się od dawna. Bądź

cierpliwa i pełna szacunku. Pamiętaj, że będziesz na j e g o dworze, a nie w Melengarze, a tam

podlegasz jego władzy.

Twoim największym sojusznikiem w rozmowie jest milczenie. Naucz się rozwijać tę umiejętność. Naucz się słuchać, zamiast mówić, a przetrwasz szczęśliwie wiele sztormów. Unikaj także obiecywania czegokolwiek. Sprawiaj wrażenie, że obiecujesz, ale nigdy nie wypowiadaj konkretnych słów. Tym sposobem Alric będzie miał zawsze pole do manewru. Zły to zwyczaj wiązać ręce swojemu monarsze.

- Chciałabyś czegoś do picia, milady? - spytała Bernice, która siedziała wyprostowana, ze złączonymi kolanami na wyściełanej ławce obok Aristy, pilnując koszyka ze smakołykami. Gdy obdarzyła księżniczkę promiennym uśmiechem, w kącikach jej oczu pojawiły się głębokie zmarszczki. Puzate policzki uniosły się wysoko, przez co uśmiech wydawał się protekcyjny, jakby skierowany był

do dziecka, które otarło sobie kolano. Czasami Arista zastanawiała się, czy Bernice nie usiłuje być jej matką.

- Cóż tam masz w koszyku, moja droga? - spytał Saldur. -

Może coś mocniejszego?

- Zabrałam butelkę koniaku - odpowiedziała i dodała pospiesznie: - na wypadek gdyby zrobiło się zimno.

- Skoro już o tym mowa, czuję się trochę zziębnięty -

wyjaśnił Saldur, rozcierając ręce i ramiona i udając drżenie.

Arista uniosła brew.

- W tym powozie jest jak w piecu - powiedziała, pociągając za wysoki kołnierz sukni, który sięgał jej podbródka.

Alric podkreślał, że powinna nosić stosownie skromny strój.

Też coś, przecież nie miała zwyczaju paradować po zamku w szkarłatnych sukniach z głębokim dekoltem, jakie nosiły kobiety w gospodach! Bernice zaś potraktowała ten nakaz jako przyzwolenie na uwięzienie Aristy w staromodnych strojach z ciężkich materiałów. Jedyne wyjątkiem stanowiła suknia przygotowana na spotkanie z królem Dunmore'u.

Arista chciała za wszelką cenę zrobić dobre wrażenie i postanowiła włożyć oficjalną kreację wieczorową, która kiedyś należała do jej matki. Była to najbardziej oszalałająca suknia, jaką Arista kiedykolwiek widziała. Gdy matka miała ją na sobie, wszyscy się za nią oglądali. Wyglą-

dała w niej imponująco, wspaniale - po prostu królowa w każdym calu.

- To przez te stare kości, moja droga - wyjaśnił Sał-dur. -

Posłuchaj, Bernice, może oboje wypijemy sobie po kropelce?

Na te słowa służąca uśmiechnęła się nieśmiało.

Arista uchyliła zasłonkę i wyrzała przez okno. Jej powóz jechał w środku karawany składającej się z wozów i konnych żołnierzy. Gdzieś tam byli Mauvin i Fanen, ale widok ograniczało jej okienko. Znajdowali się w królestwie Ghentu, choć Ghent nie miał króla. Od kilku stuleci regionem tym zarządzał bezpośrednio Kościół Nyphrona. W tej skalistej krainie rosło niewiele drzew, a wzgórza pozostawały matowobrazowe, jakby wiosna ociągała się tu z nadejściem -

w innych królestwach wypełniała już swoje obowiązki, tutaj je zanedbywała. Wysoko nad równiną jastrząb zatacza!

szerokie kręgi.

- O rety! - wykrzyknęła Bernice, kiedy powóz znów podskoczył, i było to wyrażenie najbliższe przekleństwu, na jakie służąca sobie pozwalała.

Arista zobaczyła, że nalewanie koniaku w trakcie jazdy po wybojach stanowiło nie lada wyzwanie. Sauly trzyma!

butelkę, a Bernice filiżankę i oboje usiłowali skoordynować swoje ruchy, jakby to był konkurs zręczności na majowym festynie - gra, która miała wyglądać na nieskomplikowaną, ale w rezultacie wprawiała uczestników w zażenowanie. W końcu Sauly nalał trunku i oboje wznieśli radosne okrzyki.

- Nie uroniłem ani kropli - powiedział zadowolony z siebie biskup. - Wznoszę toast za naszą nową ambasadorkę. Oby była dla nas źródłem dumy. - Uniósł filiżankę, pociągnął

spory łyk i odchylił się, wzdychając. - Byłaś już w Ervanonie, moja droga?

Pokręciła głową.

- Myślę, że uznasz to miejsce za inspirujące duchowo.

Naprawdę dziwię się, że twój ojciec nigdy cię tu nie zabrał.

To pielgrzymka, jaką każdy członek Kościoła Nyphrona powinien odbyć raz w życiu.

Arista skinęła głową, nie wspominając, że jej ojciec nigdy nie był specjalnie pobożny. Miał obowiązek uczestniczyć w religijnych uroczystościach, ale często je opuszczał, jeśli ryby brały lub myśliwi informowali, że zauważyli jelenia w dolinie nad rzeką. Choć oczywiście były chwile, kiedy nawet on szuka! pocieszenia. Od dawna zastanawiała się nad jego śmiercią. Dlaczego był w kaplicy tamtej nocy, kiedy ten niegodziwy krasnolud dźgnął go sztyletem? A co ważniejsze, skąd wuj Percy wiedział, że tam będzie, co pozwoliło mu uknuć

spisek prowadzący do jego śmierci? Łamała sobie nad tym głowę, aż uświadomiła sobie, że jej

ojciec nie modlił się do Novrona ani Maribora - rozmawiał z n i ą. To była rocznica pożaru, w którym zginęła. Prawdopodobnie co roku przychodził w tym dniu do kaplicy i Aristę zaniepokoiło to, że wuj znał lepiej zwyczaje jej ojca niż ona. Martwiło ją również, że nigdy nie pomyślała, żeby przyłączyć się do niego.

- Będziesz miała zaszczyt spotkać się z jego świątobliwością arcybiskupem Ghentu.

- Alric nic o tym nie wspominał - zdziwiła się. - Myślałam, że tylko przejeżdżamy przez Ervanon w drodze do Dunmore'u.

- To nie jest obowiązek, ale arcybiskup ma wielką ochotę poznać nową ambasadorkę Melengaru.

- Czy zobaczę się także z patriarchą? - spytała z niepokojem.

Kiepskie przygotowanie do wizyty w Dunmorze to jedno, ale spotkanie z patriarchą bez żadnego przygotowania byłoby katastrofą.

- Nie. - Saldur uśmiechnął się jak człowiek rozbawiony próbami postawienia pierwszych kroków przez dziecko. - Do chwili odnalezienia spadkobiercy Novrona patriarcha to dla nas głos najbliższy boga. Żyje w odosobnieniu i przemawia tylko przy rzadkich okazjach. Jest wielkim człowiekiem, świętym. Poza tym nie możemy zbyt długo cię zatrzymywać.

Nie powinnaś się spóźnić na spotkanie z królem Roswortem w Glamrendorze.

- Zatem chyba ominie mnie konkurs.

- Bynajmniej - zaprzeczył biskup, wzięwszy kolejny łyk, po którym błyszcząły mu usta.

- Jeśli pojedę do Dunmore'u, nie zobaczę w Ervanonie...

- Konkurs nie odbędzie się w Ervanonie - wyjaśnił Saldur. -

Na afiszach, które niewątpliwie widziałaś, widnieje tylko informacja, że uczestnicy mają się tam zebrać.

- A więc gdzie się odbędzie?

- To tajemnica. Ze względu na doniosłość tego wydarzenia ważne jest utrzymanie wszystkiego pod kon-ł rolą, ale mogę ci wyjawić, że Dunmore będzie po drodze. Zatrzymasz się tam na audiencję u króla, a potem będziesz mogła pojechać z pozostałymi na konkurs. Alric na pewno będzie chciał, aby jego ambasadorka była obecna przy takim doniosłym wydarzeniu.

- To cudownie, bardzo bym chciała. W konkursie weźmie udział Fanen Pickering. Ale czy to znaczy, że ty nie przyjedziesz?

- O tym zadecyduje arcybiskup.

- Mam nadzieję, że ci pozwoli. Fanen na pewno byłby wdzięczny za każdy dodatkowy doping.

- Tu nie chodzi o konkurs. Wiem, że wszyscy heroldzi rozgłaszają takie wieści, ale to niefortunne, bo nie taki był zamiar patriarchy.

Arista spojrzała na niego skonfundowana.

- Myślałam, że chodzi o turniej. Widziałam ogłoszenie, że pod przewodnictwem Kościoła odbędą się wielkie zawody, sprawdzian odwagi i umiejętności, a zwycięzca otrzyma wspaniałą nagrodę.

- Tak, i ten opis jest prawdziwy, ale mylący. Umiejętności nie będą aż tak potrzebne jak odwaga i... sama się zresztą dowiesz.

Przechylił filiżankę i zmarszczył czoło, po czym spojrzał z nadzieją na Bernice.

Arista popatrzyła przeciągle na duchownego, zastanawiając się, co to wszystko znaczy, ale było jasne, że Sauly już nic więcej nie powie. Odwróciła się i znów wyjrzała przez okno. Hilfred jechał kłusem obok powozu na swoim białym ogierze. W przeciwieństwie do Bernice strażnik przyboczny księżniczki nie narzucał się i milczał.

Zawsze był w pobliżu, spokojny, czujny i pomny na jej prywatność przynajmniej do takiego stopnia, do jakiego mógł, zważywszy, że miał obowiązek wszędzie za nią chodzić.

Zawsze trzymał się w zasięgu jej wzroku, ale nigdy na nią nie patrzył - idealny cień. Po procesie jednak nieco się zmienił.

Ledwo zauważalnie, lecz Arista miała wrażenie, że się od niej odsunął. Może czuł się winny z powodu swojego zeznania, a może tak jak wielu innych uwierzył w niektóre postawione jej zarzuty. Może myślał, iż służy czarownicy, a nawet żałował, że uratował ją z pożaru tamtej nocy. Zaciągnęła zasłonkę i westchnęła.

*

Kiedy karawana dotarła do Ervanonu, było już ciemno.

Bernice zasnęła i jej głowa zwisała luźno nad koszykiem, który w każdej chwili mógł spaść. Saldur też drzemał, a jego głowa opadała coraz niżej, by w pewnym momencie nagle podskoczyć, i wtedy cały cykl zaczynał się od nowa. Arista wyjrzała przez okno do przodu i poczuła na twarzy smagnięcia chłodnego, wilgotnego nocnego powietrza. W

zamglonej poświacie rzucanej przez mrowie gwiazd Arista zobaczyła ciemny zarys miasta wznoszącego się na wzgórzu.

Niższe budynki stanowiły jedynie cienie, ale spomiędzy nich wyrastał jeden palec - Wieża Koronna, której nie sposób było nie rozpoznać, gdyż alabastrowe blanki na jej szczycie przypominały białą koronę, a poza tym ta

pradawna pozostałość po imperium namiestnika była najwyższą konstrukcją kiedykolwiek wzniesioną przez człowieka i nawet z daleka budziła lęk i podziw.

Wokół miasta Arista dostrzegła ogniska, migoczące światła rozsiane na płaskim terenie niczym rój odpoczywających świetlików. Gdy się zbliżyli, z licznych obozowisk przy drodze dochodziły do niej krzyki, jakieś śmiechy i odgłosy kłótni. To byli uczestnicy zawodów i musiały ich być setki.

Siedzący na ziemi mężczyźni i chłopcy, którzy się śmiali i przystawiali kubki do ust. Przestrzenie między nimi zajęte były przez namioty i rzędy spętanych koni oraz wozów.

Gdy ich pojazd wtoczył się na wybrukowaną nawierzchnię, rozległ się głośny stukot kół i końskich kopyt. Wjechali przez bramę i Arista widziała jedynie pochodnie oświetlające gdzieś ściany oraz światło w pobliskich oknach. Była rozczarowana. Uczyła się

O historii miasta na uniwersytecie w Sheridanie i nie mogła się doczekać wizyty w tej starożytnej siedzibie, z której kiedyś rządzono światem. W czasie bezkrólewia po upadku starożytnego imperium novrońskiego wybuchły wojny domowe i ludzie podzielili się zgodnie ze swoją starą apelańską przynależnością etniczną, tworząc cztery narody Apeladornu: Trent, Avryn, Calis i Delgos. W obrębie każdego z nich dygnitarze wojskowi usiłowali zyskać przewagę, walcząc z sąsiadami o ziemię i władzę. I po ponad trzech wiekach wojen tylko jeden władca zdołał dokonać poważnej próby ich zjednoczenia ponownie w jedno imperium -

Glenmorgan z Ghentu. Zakończył on erę wojen domowych i

tylż genialnymi, ile brutalnymi podbojami zespolił ponownie Trent, Avryn, Calis i Delgos pod jednym sztandarem. Kościół

Nyphrona udzielił mu poparcia,

ale nadając mu imię obrońcy wiary i namiestnika spadkobiercy, przypomniał ludziom, że nie jest on właściwym spadkobiercą Novrona. Następnie Kościół umocnił ten związek poprzez ustanowienie swojej bazy w Ervanonie i zbudował wielką katedrę obok zamku Glenmorgana.

Ale rządy namiestnika nie przetrwały. Według profesora Aristy syn Glenmorgana nie nadawał się do kontynuowania dzieła ojca i zaledwie siedemdziesiąt lat później nastąpił kres imperium, poprzedzony zdradą Glenmorgana III przez szlachciców.

Podczas wojen, które potem nastąpiły, Ervanon niemal w całości legł w gruzach, a patriarcha przeniósł się do ostatniej pozostałości po wielkim pałacu Glenmorgana - Wieży Koronnej. Od tej chwili budowla ta i samo miasto stały się synonimem Kościoła i zostały uznane za najświętsze miejsce na świecie poza starożytną - ale zaginioną - novrońską stolicą Percepliauis.

Powóz zatrzymał się z szarpnięciem, które wstrząsnęło pasażerami. Saldur się obudził, a stara służąca głośno westchnęła, gdy koszyk zsunął się z jej kolan na podłogę.

- Dojechaliśmy - oznajmił duchowny zaspanym głosem, przetarł oczy, ziewnął i się przeciągnął.

Woźnica zaciągnął hamulec, zsiadł z kozła i otworzył

drzwiczki. Do środka wtargnęło chłodne, wilgotne powietrze, które natychmiast owiało Aristę. Wysiadła zeszywniała i osłabiona, a nawet lekko zamroczona. Dziwnie się czuła, stojąc tak nieruchomo. Podniosła wzrok i zakręciło jej się w głowie. Znajdowali się u podnóża Wieży Koronnej, której szczytowa część nawet w nocy odcinała się wyraźnie na tle czarnego nieba. Stała ona na Wzniesieniu Glenmorgana, które było najwyższym punktem w promieniu wielu kilometrów, i Ariście wydawało się - gdy spoglądała ponad prastarym murem na rozległą dolinę w dole - że zawędrowała na szczyt świata.

Ziewnęła i zadrżała. Niezwłocznie Bernice zarzuciła jej płaszcz na ramiona i zapięła go na guziki.

Sauly'emu wysiadka z powozu zajęła więcej czasu. Powoli wystawiał na zewnątrz chude nogi, rozprostowując je i stając na nich ostrożnie.

- Wasza Ekscelencjo - powiedział chłopak, który podszedł

do nich. - Mam nadzieję, że miała, Wasza Ekscelencja, przyjemną podróż. Arcybiskup prosił przekazać, że czeka w swoich prywatnych komnatach na księżniczkę.

Arista spojrzała zdumiona.

- Teraz? - Zwróciła się do biskupa. - Chyba nie oczekujesz, że spotkam się z nim oblepiona kurzem i potem po całym dniu podróży. Wyglądam koszmarnie, cuchnę jak świnia i jestem wykończona.

- Wyglądasz jak zawsze ślicznie, milady - zagruchała Bernice, głaszcząc księżniczkę po włosach, czego Arista szczególnie nie lubiła. - Jestem pewna, że arcybiskup jako osoba duchowna będzie patrzył na twoją duszę, a nie na powierzchowność.

Arista spojrzała kpiąco na Bernice, po czym przewróciła oczami.

Wokół nich natychmiast zjawili się służący w habitach, którzy zabrali się do wnoszenia bagaży, zdejmowania uprzęży i pojenia koni.

- Tędy, Wasza Ekscelencjo - powiedział chłopak i wprowadził ich do wieży.

Weszli do dużej rotundy z wypolerowaną marmurową posadzką i filarami wydzielającymi biegnący wzdłuż ścian krużganek. Arista usłyszała cichy dochodzący z oddali śpiew kilkunastu głosów. Być może odbywała się próba chóru. Od lśniących powierzchni odbijało się światło niewidocznych lamp, a w wieży rozległo się głośnie echo ich kroków.

- Czy nie mogłabym spotkać się z nim rano?

- Nie - odrzekł Saldur. - To bardzo ważna sprawa. Arista zmarszczyła brwi i zaczęła się zastanawiać.

Wcześniej uznała wizytę u arcybiskupa za czystą formalność, ale teraz nie miała już takiej pewności.

W ramach spisku Percy'ego Bragi, mającego na celu zagarnięcie królestwa Melengaru, postawiono ją przed sądem pod zarzutem zamordowania własnego ojca. I choć nie mogła uczestniczyć w procesie, później dowiedziała się, co zeznawali świadkowie, a wśród nich jej ukochany Sauly.

Jeżeli plotki te były prawdą, Sauly oskarżył ją nie tylko o zabójstwo króla, lecz również o czary. Nigdy nie rozmawiała o tym z biskupem ani nie zażądała wyjaśnień od Hilfreda.

Całą winą za wszystko obarczyła Percy'ego Bragę, któremu udało się zwieść wszystkich. Hilfred i Sauly tylko zrobili to, co uważali za najlepsze dla królestwa. Ale ciągle powracała w niej obawa, czy czasem właśnie to ona nie została oszukana.

Według Kościoła wszelkie czary i magia powinny być odrażające dla wyznawców wiary. Jeżeli Sauly sądził, że jestem winna, czy był zdolny podjąć przeciwko mnie jakieś działania? Wydawało się to nieprawdopodobne. Ale Braga na przykład był jej wujem i po dwudziestu latach wiernej służby zamordował jej ojca i próbował zabić także ją oraz Alrica.

Zaślepiiony żądzą władzy, zapomniał o lojalności.

Zaczęła jej dokuczać świadomość obecności za plecami Hilfreda. Wcześniej dawało jej to wygodne poczucie bezpieczeństwa, teraz zaś rodziło poczucie zagrożenia. Dlaczego nigdy na mnie nie spogląda? Ale może się myliła. Może nie chodziło o winę ani niechęć, lecz zwykły, konieczny dystans. Podobno gospodarze, którzy hodowali krowy, mlecznym często nadawali imiona, ale nigdy nie czynili tego wobec przeznaczonych na rzeź.

Arista zaczęła gorączkowo myśleć. Czy trafi do zamykanej na klucz celi w kolejnej wieży? Czy stracą ją tak, jak Kościół

stracił Glenmorgana III? Czy spalą ją na stosie, a później nazwą egzekucję oczyszczającym aktem pokuty za zbrodnię herezji? Co zrobi Alric, kiedy się o tym dowie? Wypowie Kościołowi wojnę? Jeżeli tak, to zwrócą się przeciwko niemu wszystkie pozostałe królestwa i będzie musiał zaakceptować dekret Kościoła.

Dotarli do jakichś drzwi i biskup poprosił Bernice o przygotowanie komnaty dla księżniczki, po czym zwrócił się do Hilfreda z poleceniem, żeby ten poczekał na zewnątrz.

Sam zaś wprowadził Aristę do środka i zamknął za nią drzwi.

Było to zaskakująco małe pomieszczenie - maleńki gabinet z zagraconym biurkiem i zaledwie kilkoma krzesłami. W

świecie świec dostrzegła stare grube księgi, pergaminy, pieczęcie, mapy i szaty liturgiczne na różne okazje. I dwóch mężczyzn.

Za biurkiem siedział arcybiskup - stary człowiek o białych włosach i pomarszczonej twarzy. Nosił ciem-nofioletową sutannę, haftowany mucet i złotą stułę. Jego blada, wydłużona twarz z dziwacznymi krzaczastymi brwiami wydawała się jeszcze dłuższa z powodu zaniedbanej brody, która teraz sięgała

posadzki - a starzec siedział na wysokim krześle, choć w przygarbionej

pozycji, dzięki czemu sprawiał wrażenie, że pochyla się do przodu z zainteresowaniem.

Drugi mężczyzna szperał w bałaganie na biurku. Był

znacznie młodszy i chudy, miał długie palce i rozbiegane oczy. Też był blady, jakby od lat nie widział słońca. Długie czarne włosy związane w koński ogon nadawały mu nieco ascetyczny wygląd człowieka skupionego na pracy.

- Wasza Świątobliwość Arcybiskupie Galienie - odezwał się Saldur, kiedy weszli. - Przedstawiam Waszej Świątobliwości księżniczkę Aristę Essendon z Melengaru.

- Bardzo mnie cieszy, że mogłaś mnie odwiedzić

- powiedział starzec, a cienkie usta zapadły mu się do środka, co świadczyło o tym, iż brakuje mu już wielu zębów. -

Proszę, usiądź - dodał szeleszczącym głosem, w którym słychać było wyraźną chrypkę.

- Miałaś pewnie ciężki dzień. Okropne są te pojazdy.

Rozjeżdżają drogi i wytrząsają człowieka do wyczerpania.

Nie lubię nimi podróżować. Przypominają trumnę, a w moim wieku człowiek unika wchodzenia do skrzynek wszelkiego rodzaju. Przypuszczam jednak, że musimy to znosić ze względu na przyszłość - przyszłość, której nawet nie zobaczę.

- Nieoczekiwanie mrugnął do niej. - Mogę ci zaoferować coś do picia? Może wina? Carlton, zrób coś pożytecznego, ty mały włóczęgo, i przynieś Jej Wysokości kieliszek montemorceya.

Mały człowiek nic nie powiedział, ale podszedł szybko do skrzyni stojącej w kącie i wyjął z niej ciemną butelkę, po czym ją odkorkował.

- Usiądź, Aristo - szepnął jej Saldur do ucha. Księżniczka wybrała obite czerwonym aksamitem

krzesło przed biurkiem i wygładzając suknię, usiadła sztywno. Nie czuła się swobodnie, ale czyniła wysiłki, aby opanować narastający strach.

Carlton podał jej kieliszek czerwonego wina na gra-werowanej srebrnej tacy. Przyszło jej do głowy, że trunek może być zmieszany ze środkiem odurzającym albo nawet trucizną, ale zaraz uznała ten pomysł za niedorzeczny. Po co mieliby ją truć? Już i tak popełniła ten fatalny błąd, że sama weszła w utkaną przez nich sieć. Jeżeli Hilfred już ją zdradził, to miała do pomocy tylko Bernice, żeby się bronić przed całymi armiami Ghentu. Była więc zdana na ich łaskę.

Wzięła kieliszek, skinęła głową i wypila łyczek.

- Dostawą wina zajmuje się Vandońska Kompania Korzenna w Delgosie - oświadczył arcybiskup. - Pojęcia nie mam, gdzie leży Montemorcey, ale robią tam wyborny trunek.

Nie uważasz?

- Muszę przeprosić - powiedziała Arista nerwowo. - Nie wiedziałam, że przyjdę tu bezpośrednio po przyjeździe.

Zakładałam, że będę miała okazję, żeby się odświeżyć po długiej podróży. Na ogół prezentuję się lepiej. Może powinnam udać się do swojej komnaty i spotkać się z Waszą Ekszelencją jutro?

- Wyglądasz wspaniale. I nic na to nie poradzisz. To błogosławieństwo uroczych, młodych księżniczek. Biskup Saldur dobrze postąpił, że od razu cię tu przyprowadził.

Nawet lepiej niż sądzi.

- Czy coś się stało? - spytał Saldur.

- Przyszła wiadomość z góry - podniósł wzrok i wskazał na sufit - że pojedzie z nami Luis Guy.

- Wartownik? Galien skinał głową.

- To dobrze, nie sądzisz? Będzie z nim grupa seretów, prawda? Pomogą utrzymać porządek.

- Jestem pewny, że taka jest intencja patriarchy. Ja jednak znam wartownika. Nie będzie mnie słuchał, a jego metody nie należą do delikatnych. Lecz nie to mamy tu omówić. -

Przerwał na chwilę, zaczerpnął powietrza i znów spojrzał na Aristę. - Powiedz mi, moje dziecko, co wiesz o Esrahaddonie.

Ariście serce gwałtownie zabiło, ale nie odpowiedziała.

Biskup Saldur położył rękę na jej dłoniach i się uśmiechnął.

- Moja droga, wiemy, że odwiedzałaś go przez kilka miesięcy w więzieniu Gutaria i że nauczył cię tyle podłej czarnej magii, ile zdołał. Wiemy też, że Alric go uwolnił. Ale teraz to nie ma znaczenia. Musimy się dowiedzieć, gdzie on jest i czy skontaktował się z tobą od chwili odzyskania wolności. Jesteś jedyną znaną mu osobą godną zaufania i dlatego jedyną, do której mógłby chcieć dotrzeć. Powiedz nam zatem, dziecko, miałaś z nim jakiś kontakt?

- To dlatego mnie tu sprowadziliście? Żebym pomogła wam odnaleźć rzekomego przestępcę?

- On jest przestępcą, Aristo - oświadczył Galien. - Pomimo tego, co ci powiedział, jest...

- Skąd wiecie, co mi powiedział? Podsluchiwaliście każde jego słowo?

- Tak - odparł beznamiętnie.

Ta szczerą odpowiedź ją zaskoczyła.

- Moja droga dziewczyno, ten stary czarnoksiężnik opowiedział ci pewną historię. I zasadniczo jest ona prawdziwa, tylko że sporo kwestii pomija.

Zerknęła na Saulu'ego, który po ojcowsku skinął głową z ponurą miną.

- Twój wuj Braga nie był odpowiedzialny za śmierć twojego ojca - oświadczył arcybiskup. - Odpowiada za nią Esrahaddon.

- To absurd - stwierdziła. - Był wtedy w więzieniu i nie mógł nawet wysłać wiadomości.

- Ależ mógł i robił to - za twoim pośrednictwem. Jak sądzisz, dlaczego powiedział ci, jak przygotować uzdrawiający napój dla twojego ojca?

- Poza tym, że chciał go wyleczyć z choroby?

- Esrahaddonowi nie zależało na Amracie. Nie zależało mu nawet na tobie. Potrzebna mu była śmierć twojego ojca. Twój błąd polegał na tym, że poszłaś do niego. Że mu zaufałaś.

Myślałaś, że zostanie twoim przyjacielem? Twoim mądrym, starym nauczycielem, takim jak Arcadius? Esrahaddon zaś jest bestią, a nie dżentelmenem. To niebezpieczny demon.

Wykorzystał cię, żeby uciec. Od pierwszych twoich odwiedzin zastanawiał się, jaką rolę ci przypisać. A uwolnić go mógł tylko panujący monarcha. Ponieważ twój ojciec nigdy by tego nie zrobił, postanowił doprowadzić do jego śmierci i wykorzystać całkowitą niewiedzę Alrica. Musiał jedynie przekonać Kościół, że twój ojciec jest spadkobiercą.

Wiedział bowiem, że wtedy wystąpimy przeciwko niemu.

- Ale dlaczego Kościół miałby pragnąć śmierci spadkobiercy?

- Dojdziemy do tego w stosownym czasie. Teraz musisz tylko wiedzieć, że to uzdrawiający napój, który Esrahaddon kazał ci przygotować, przypieczętował los twojego ojca.

Skaził jego krew, aby król wydawał się potomkiem linii imperialnej. Kiedy Braga się o tym dowiedział, postąpił

zgodnie - w swoim mniemaniu - z życzeniem Kościoła i postanowił usunąć Amratha i jego dzieci.

- Twierdzisz, że Braga przysłużył się w ten sposób Kościołowi?

- Nie bezpośrednio... ani oficjalnie. Braga był gorliwy w swojej wierze. Ale działa! pochopnie i nie czekał na opinię kościelnej hierarchii, jak zwykły mawiać. Biskup i ja zaś przemawiamy w imieniu całego Kościoła, kiedy mówimy ci, że jest nam naprawdę przykro z powodu tragedii, która się dokonała. Musisz jednak zrozumieć, że to nie była nasza sprawka. Los twojego ojca dopełnił

Esrahaddon. Wykorzystał

do tego Kościół i ciebie.

Arista spojrzała groźnie wpierw na arcybiskupa, a następnie na Sauly'ego.

- Wiedziałaś o tym? Biskup przytaknął.

- Jak mogłeś dopuścić do śmierci mojego ojca? Był twoim przyjacielem.

- Próbowałem powstrzymać Bragę - tłumaczył się Sauly. -

Musisz mi wierzyć. Zwołałem nawet nadzwyczajne posiedzenie Rady Kościoła, ale to nic nie dało. Braga nie chciał mnie słuchać i oświadczył, że marnuję cenny czas.

Obawa Aristy o własne życie zniknęła, a zastąpił ją gniew.

Księżniczka wstała z dłońmi zaciśniętymi w pięści i oczami pałającymi nienawiścią.

- Aristo, wiem, że jesteś wzburzona i masz do tego wszelkie prawo, ale pozwól mi skończyć wyjaśnienia. - Arcybiskup poczekał, aż dziewczyna znów usiądzie. - Za chwilę wyjawię ci najpilniej strzeżoną tajemnicę Kościoła Nyphrona, którą znają tylko najwyżsi rangą członkowie duchowieństwa.

Powierzam ci ją, bo potrzebujemy twojej pomocy i wiem, że jej nam nie udzielisz, jeżeli nie zrozumiesz powodów. - Wziął

kieliszek wina i wypił mały łyk, po czym pochylił się do przodu i powiedział spokojnym tonem: - W ostatnich latach istnienia imperium Kościół odkrył mroczną intrygę, której celem było... zniewolenie całej ludzkości. Tropy spisku prowadziły prosto do imperatora. Tylko Kościół mógł ocalić ludzkość. Zabiliśmy więc imperatora i próbowaliśmy zgładzić jego ród, ale synowi władcy, który odziedziczył po ojcu moc przywołania demonów przeszłości i ponownego sprowadzenia ludzkości na skraj, pomógł Esrahaddon. Dlatego Kościół cały czas szuka spadkobiercy, by go zgładzić - bo jego istnienie oznacza zagładę nas wszystkich. Od tamtych zdarzeń jednak minęło tyle lat, że sam spadkobierca może nie być świadom swojej mocy, a nawet tego, kim jest. Ale Esrahaddon o wszystkim pamięta i jeżeli odnajdzie spadkobiercę przed nami, może go wykorzystać jako broń przeciwko ludzkości. A wtedy nikt już nie będzie bezpieczny. - Arcybiskup spojrzał

ostroźnie na Aristę, po czym ciągnął: - Esrahaddon należał

kiedyś do wysokiej rady. Był jednym z najważniejszych jej członków usiłujących ocalić imperium przed spiskowcami, ale w ostatniej chwili zdradził Kościół. I zamiast zapewnić pokojową przemianę, bez skrępułów wszczął wojnę domową, która zniszczyła państwo. Kościół kazał uciąć mu ręce i uwięzić go prawie na tysiąc lat. Jak myślisz, co robi, jeżeli będzie miał szansę dokonać zemsty? Ostatnie ludzkie odruchy, jakie mógł jeszcze mieć, zapewne zniknęły w więzieniu Gutaria. Esrahaddon to potężny demon pragnący naszego zniszczenia - zemsty dla samej zemsty. Przypomina rozszalały ogień, który strawi wszystko, jeśli nie zostanie pokonany. Jako księżniczka musisz

zrozumieć: obrona królestwa wymaga ofiar. Głęboko żałujemy błędu, jaki popełniliśmy w przypadku twojego ojca, ale mamy nadzieję, że zrozumiesz, dlaczego tak się stało, przyjmiesz

nasze przeprosiny i pomożesz nam powstrzymać zagładę wszystkiego, co znamy. Esrahaddon jest niewiarygodnie inteligentnym szaleńcem, a spadkobierca to jego broń. Jeżeli go odnajdzie przed nami, a my nie zdołamy go powstrzymać przed zbudzeniem grozy, którą uspiliśmy wieki temu, wszystko - to miasto, twoje królestwo, cały Apeladorn -

przepadnie. Potrzebujemy twojej pomocy, Aristo. Musisz nam pomóc odnaleźć Esrahaddona.

Nagle otworzyły się drzwi i do komnaty wszedł kapłan.

- Wasza Ekscelencjo - powiedział zdyszany. - Wartownik wzywa kurię na rytuał.

Galien skinął głową i znów spojrzał na Aristę.

- Co ty na to, moja droga? Możesz nam pomóc?

Księżniczka spojrzała na swoje ręce. Zbyt wiele myśli kołatało jej się w głowie: Esrahaddon, Braga, Sau-ly, tajemnicze spiski, uzdrawiające napoje... Jedynym niezmiennym obrazem, jaki pozostawał jej w pamięci, był jej ojciec leżący na łóżku, jego blada twarz i przesiąknięta krwią pościel. Tyle czasu minęło, zanim udało jej się zapomnieć o bólu, a teraz znów... Czy to Esrahaddon go zabił? Czy oni?

- Nie wiem - wymamrotała.

- Możesz nam przynajmniej powiedzieć, czy skontaktował

się z tobą po swojej ucieczce?

- Nie widziałam go ani nie miałam od niego wieści jeszcze przed śmiercią ojca.

- Rozumiesz, naturalnie - powiedział arcybiskup - że cokolwiek się stanie, to tobie przede wszystkim zaufa?

Chcielibyśmy więc, abyś rozważyła współpracę z nami w celu jego odnalezienia. Jako ambasadorka Melengaru możesz podróżować po różnych

królestwach, nie wzbudzając podejrzeń. Wiem jednak, że w tej chwili możesz nie być gotowa do podjęcia takiego zobowiązania, więc nie będę nalegał. Proszę jednak, abyś to rozważyła. Kościół srogo cię zawiódł. Daj nam szansę na rehabilitację w twoich oczach. Arista dopiła wino i skinęła powoli głową.

*

- Myślisz, że mówi prawdę? - spytał arcybiskup. Iskierkę nadziei błyszczącą w jego oczach przyćmiewało przygnębienie malujące się na twarzy. - Okazywała wiele przekory.

Saldur wciąż patrzył na drzwi, przez które wyszła Arista.

- Gniew byłby tu właściwszym określeniem, ale tak, myślę, że mówi prawdę.

Nie wiedział, czego Galien oczekiwał. Myślał, że Arista uściska go serdecznie po tym, jak przyznają się do zamordowania jej ojca? Cały ten pomysł był absurdalny -

desperacki ruch człowieka zapadającego się w ruchomych piaskach.

- Warto było - orzekł arcybiskup bez przekonania. Saldur bawił się luźną nitką na rękawie, żałując, że nie wziął z sobą butelki Bernice z resztą trunku. Nigdy nie gustował w winie. Największym minusem tragicznej śmierci Bragi była strata stałego źródła wyśmienitego koniaku. Arcyksiążę naprawdę znalazł się na alkoholu.

Galien wpatrywał się w Saldura.

- Nie odzywasz się - stwierdził arcybiskup. - Uważasz, że popełniłem błąd, prawda? Nie kryłeś się z tym na naszym ostatnim spotkaniu. Obserwowałeś każdy

jej ruch. Masz tę... tę... - machnął ręką w stronę drzwi, jakby to miało wyjaśnić, o co mu chodzi - ...tę starą służącą, która kontroluje każdy oddech księżniczki. I gdyby Esrahaddon się z nią skontaktował, my byśmy się o tym dowiedzieli, a oni nie. Ale teraz... - arcybiskup wyrzucił ręce do góry, naśladując gest Saldura wyrażający niesmak.

Saldur dalej bawił się nitką. Owijał ją wokół koniuszka palca wskazującego, coraz bardziej zaciskając.

- Przeceniasz swoją bystrość umysłu - oskarżył go Galien obronnym tonem. - Ten człowiek to imperialny czarnoksiężnik. Jego umiejętności przekraczają twoją zdolność pojmowania. Mógł ją odwiedzać pod postacią motyla w ogrodzie albo ćmy, która co noc wlatywała przez okno do jej sypialni. Musieliśmy zyskać pewność.

- Motyla? - zapytał Saldur autentycznie zdumiony.

- To czarnoksiężnik. Niech cię licho porwie. Oni tak robią.

- Bardzo wątpię...

- Chodzi o to, że nie wiedzieliśmy na pewno.

- I nadal nie wiemy. Mogę tylko powiedzieć, że nie wydaje mi się, aby kłamała, ale Arista to sprytna dziewczyna.

Maribor jeden wie, że już tego dowiodła.

Galien uniósł pusty kieliszek.

- Carlton! - zawołał. Służący podniósł głowę.

- Przepraszam, Wasza Ekscelencjo, ale nie znam jej dostatecznie, by ją oceniać.

- Na litość Maribora, człowieku, nie pytam o nią. Dolej mi wina, głupcze!

- Ach - powiedział Carlton i pospiesznie poszedł po drugą butelkę. Kiedy ją odkorkował, rozległ się odgłos głuchego puknięcia.

- Problem polega na tym, że patriarcha obwinia mnie o zniknięcie Esrahaddona - ciągnął Galien.

Po raz pierwszy od wyjścia Aristy Saldur pochylił się do przodu z zainteresowaniem.

- Tak ci powiedział?

- Właśnie o to chodzi, że nic mi nie powiedział. Teraz rozmawia tylko z wartownikami. Z Luisem Guyem i tym drugim... Thranikiem. Guy jest nieprzyjemny, ale Thranic... -

zawiesił głos, kręcąc głową i marszcząc czoło.

- Nie miałem okazji go poznać.

- Uważaj się za szczęściarza. Choć zdaje mi się, że w tym względzie twoje szczęście już się kończy. Guy spędził cały poranek na górze, odbywając długie spotkanie z patriarchą. -

Galien bawił się pustym kieliszkiem, wodząc palcem po jego obrzeżu. - Jest w tej chwili w sali rady i przemawia do kurii.

- Nie powinniśmy tam być?

- Tak - odparł arcybiskup niepokieszony, ale się nie ruszył.

- Wasza Ekscelencjo? - powiedział Saldur.

- Tak, tak. - Galien machnął na niego ręką. - Carlton, podaj mi laskę.

*

Po wejściu do sali usłyszeli huczący męski głos. Komnata wielkiej rady była trypoziomowym okrągłym pomieszczeniem na całą szerokość wieży. Przy ścianie stały podwójne ozdobne pilastry symbolizujące

związek między Novronem, obrońcą wiary, a Mariborem, bogiem człowieka, poprzedzielane wysokimi i wąskimi oknami, dającymi w sumie panoramiczny widok na całą okolicę. Siedzenia w amfiteatralnie ustawionych rzędach zajmowali członkowie kurii, kolegium najważniejszych duchownych Kościoła Nyphrona. Obecnie zebrało się ich osiemnastu, aby wysłuchać słów patriarchy przekazanych im przez pośrednika - Luisa Guya.

Wartownik - wysoki i chudy mężczyzna z długimi czarnymi włosami i niepokojącymi oczami - stał na środku sali i na pierwszy rzut oka wydawał się wytworny. Był powściągliwy w ubiorze i zachowaniu. Z czarnymi włosami uderzająco kontrastowała jego skóra. Nosił cienki wąsik i krótką bródkę przyciętą w szpic, a także tradycyjną czerwoną sutannę i czarną pelerynę z kapturem oraz ładnie wyhaftowaną pękniętą koroną na piersi. Stał prosto i piorunował zebranych spojrzeniem.

- ...patriarcha uważa, że Rufus potrafi przekonać szlachciców z Trentu, a Kościół zajmie się resztą. Pamiętajcie, że tu nie chodzi o wybór najlepszego konia. Patriarcha musi wskazać tego, kto zdoła wygrać wyścig, i Rufus to najbardziej prawdopodobny kandydat. Jest bohaterem ludów południa i rodakiem ludów północy. Nie ma też widocznych powiązań z Kościołem. Mianowanie go na imperatora od razu uspokoi sporą część ludności, która inaczej mogłaby się nam sprzeciwić. Choć Rufus może nie sprostać zadaniu przekonania Trentu i Calisu do uznania zwierzchności nowego imperium, jego wybór powinien zapobiec ich zjednoczeniu się przeciwko nam. Gdy zaś królestwa te będą się wahać, my znajdziemy czas na skonsolidowanie

całego Avrynu pod jedną władzę. A potem zmusimy zarówno Trent, jak i Calis do przyłączenia się do nas albo stawienia czoła inwazji. Zważywszy na znacznie większe bogactwo i władzę Avrynu, najprawdopodobniej poddadzą się bez walki - tym bardziej że Rufus będzie imperatorem.

- Mówisz, jakby zjednoczenie już się dokonało - odezwał

się biskup Tildale z Dunmore'u. - Ale w Avrynie jest osiem królestw i tylko w Dunmorze, Ghencie i Warric przeważają zwolennicy imperium. A co z pozostałymi? Nie zgodzą się na to dobrowolnie. To nie czasy Glenmorgana, który musiał się borykać jedynie z garstką dygnitarzy wojskowych. Ich władcy mają ziemie i tytuły, które należą do ich rodów od pokoleń.

Album i Melengar to stare i dumne królestwa. Nawet król Urith z Rhenyddu, choć biedny, nie uklęknie przed Rufusem tylko dlatego, że my mu każemy. A co z Maranonem? Jest przecież głównym dostawcą zboża Avrynu. Jeżeli król Vincent się sprzeciwi, to może głodem zmusić nas do kapitulacji. A Galeannon? Król Frederick wielokrotnie groził, że podda się Calisowi, bo wtedy mógłby zostać silnym przywódcą słabej grupy, a nie słabym przywódcą silnej. Jeżeli będziemy nalegali, aby zrezygnował z niewielkiej niezależności, jaką się teraz cieszy, możemy go stracić.

- Zapewniam cię, że król Frederick pokłoni się przed imperialnym tronem, kiedy nadejdzie stosowna pora -

oświadczył biskup Galeannonu.

- I nie musisz się martwić o pola pszenicy Marano-nu -

dodał tamtejszy biskup.

- Jak widzicie, problem z rojalistami został rozwiązany -

zapewnił ich Guy. - Potrzeba na to było prawie pokolenia, ale Kościół zdołał z powodzeniem usadowić

lojalnych imperialistów na kluczowych stanowiskach w każdym królestwie, z drobnym wyjątkiem Melen-garu, gdzie sprawy nie przebiegły zgodnie z naszymi oczekiwaniami. Ale dotkliwość tego niepowodzenia z łatwością złagodzi fakt, iż jest to raczej odosobniony przypadek. Po ogłoszeniu Rufusa imperatorem wszystkie pozostałe kraje ślubują mu lojalność i Melengar będzie osamotniony. I ulegnie albo stanie w obliczu wojny z resztą Avrynu. A więc tak, z wyjątkiem kilku drobnych kwestii zjednoczenie Avrynu rzeczywiście już się dokonało. Po prostu nie ogłosiliśmy jeszcze tego faktu publicznie.

Po komnacie przeszedł szmer.

- Wiedziałem, że robimy postępy w tej sprawie - powiedział

Saldur do arcybiskupa - ale nie miałem pojęcia, że tak daleko już zaszliśmy.

- Mianowanie Bragi królem Melengaru miało być ostatnim krokiem - odparł Galien z niezadowoleniem w głosie. Tylko bowiem w królestwie Saldura Kościół poniósł porażkę.

- A nacjoniści? - spytał prałat Ratiboru. - Ich liczba rośnie.

Nie można ich zwyczajnie zignorować.

- Nacjoniści będą problemem - przyznał Guy. - Sereci już od lat obserwują Gaunta i jego zwolenników. Otrzymują oni fundusze od rodziny DeLur i kilku innych potężnych karteli handlowych z Republiki Delgosu. A Delgos zbyt długo cieszy się wolnością, aby dał się łatwo przekonać do zalet scentralizowanej władzy. Boi się już samej idei zjednoczonego imperium. A więc wiemy, że będą walczyć.

Trzeba będzie ich pokonać na polu. I to jest kolejny powód, dla którego patriarcha wybrał Rufusa. To bezwzględny dyktator. Pierwsze, co zrobi, to zmiażdży nacjonalistów.

Wkrótce potem padnie Delgos.

- Czy mamy wojsko do ujarznienia Delgosu? - zapytał

prałat Krindel, mieszkający na miejscu historyk.

- Tur Del Furu broni forteca krasnoludów, która przetrwała dwuletnie oblężenie Dakków.

- Pracuję nad tym i sądzę, że znajdę... niepowtarzalne...

rozwiązanie.

- Jakież to? - spytał Galien podejrzliwie. Luis Guy podniósł

wzrok.

- Ach, arcybiskup. Dobrze, że do nas dołączyłeś.

Przekazałem wiadomość o rozpoczęciu spotkania prawie godzinę temu.

- Zamierzasz dać mi klapsa za spóźnienie, Guy? Czy po prostu unikasz odpowiedzi na moje pytanie?

- Nie jesteś gotowy, by ją usłyszeć - odrzekł wartownik, a arcybiskup spojrział na niego z wyrzutem.

- Nie uwierzyłbyś, gdybym ci powiedział, i na pewno byś tego nie pochwalał. Ale kiedy nadejdzie pora, bądź pewny, że forteca Drumindoru upadnie, a wraz z nią Delgos.

Arcybiskup zmarszczył czoło, słysząc lekceważący ton Guya, ale zanim zdążył odpowiedzieć, odezwał się Saldur:

- A co z prostymi ludźmi? - spytał. - Przyjmą nowego imperatora z otwartymi ramionami?

- Przejechałem ziemie czterech narodów wzdłuż i wszerz, zachęcając wszystkich do udziału w konkursie. Heroldzi rozgłosili wieści o nim od Dagastanu na południu do Lanksteeru na północy. Cały Apeladorn wie o tym wydarzeniu. Na placach targowych, w gospodach i na dworach zamkowych - wszędzie konkurs oczekiwany jest z wielką niecierpliwością. Gdy więc podamy jego prawdziwy cel, ludzie będą ogromnie podnieceni. Panowie, żyjemy w ekscytujących czasach.

To już nie kwestia „czy”, ale „kiedy” powstanie nowe imperium. Podwaliny już położyliśmy. Pozostaje nam jedynie włożyć koronę.

- A król Ethelred z Warric? - spytał Galien. - Jest po naszej stronie?

Guy wzruszył ramionami.

- Nie jest zadowolony z rezygnacji z tronu na rzecz tytułu wicekróla, ale niewielu monarchów to cieszy, nawet tych, którym daliśmy władzę. Zdumiewające, jak szybko przyzwyczajają się do tytułu „Wasza Królewska Mość”.

Otrzymał jednak zapewnienie, że za to, iż pierwszy zdejmie koronę, będzie pierwszy w kolejce w nowym ładzie. Bardzo prawdopodobne, że przyjmie rolę regenta, zarządzając imperium w imieniu lorda Rufusa, kiedy nowy imperator wyjedzie tłumić powstania. Zaproponowałem również, aby pozostał głównym doradcą. Wydawał się zadowolony.

- Wciąż nie podoba mi się przekazanie władzy Ru-fusowi i Ethelredowi - oświadczył Saldur.

- Nie zrobimy tego - zapewnił go Galien. - Kościół będzie ich kontrolował. Oni to twarz, ale my to umysł. Kościół

będzie miał stałego przedstawiciela w pałacu imperium, który będzie nadzorował tworzenie nowego ładu. - Spojrział na Guya. - Czy patriarcha wspomniał ci o tym?

-Tak.

- A powiedział, czy przyjmie na siebie tę odpowiedzialność?

- Z powodu sędziwego wieku patriarcha nie weźmie tego brzemienia na swoje barki, ale wybierze na to miejsce kogoś z tej rady, kto będzie upoważniony do podejmowania samodzielnych działań w imieniu całego Kościoła. Osoba ta będzie mianowana współregentem

wraz z Ethelredem przynajmniej na czas fazy przebudowy.

- Taki człowiek miałby olbrzymią władzę - stwierdził

arcybiskup.

A Saldur - i być może inni też - z jego tonu wywnioskował, że wie, iż to nie on będzie tym człowiekiem.

- Czy to będziesz ty? - spytał otwarcie arcybiskup. Guy pokręcił głową.

- Moje zadanie, tak jak mojego ojca przede mną i jego ojca jeszcze wcześniej, polega na odnalezieniu spadkobiercy Novrona. Patriarcha zwrócił się do mnie o pomoc w sprawach dotyczących niezwłocznego ustanowienia imperium, co czynię z radością, ale nie odwiedzie mnie to od celu mojego życia.

- A zatem kto to będzie?

- Jego świątobliwość jeszcze nie zdecydował. Podejrzewam, że poczeka, żeby się przekonać, jak się potoczy konkurs.

W sali zaległa cisza, gdyż wszyscy spodziewali się, że Guy przemówi ponownie. I tak się rzeczywiście stało:

- To historyczna chwila. Wszystko, na co pracowaliśmy, wszystko, co starannie pielęgnowaliśmy przez stulecia, niedługo przyniesie owoce. Stoimy na progu nowych narodzin ludzkości. To, co się zaczęło prawie tysiąc lat temu, zakończy się w tym pokoleniu. Niech Novron pobłogosławi nasze ręce.

- Robi wrażenie - powiedział Saldur do Galiena.

- Tak sądzisz? - odparł pytaniem arcybiskup. - To dobrze, bo jedziesz z nami.

- Na konkurs? Galien skinął głową.

- Potrzebuję kogoś, kto będzie stanowił przeciwwagę dla Guya. Może uprzykrzysz mu życie tak, jak mnie uprzykrzyłeś.

Arista, ze świeczką w ręku, zawahała się przed drzwiami.

Usłyszała, jak Bernice krząta się w środku, ścieląc łóżko, nalewając wody do miednicy i układając pościel w sposób, który księżniczka uważała za koszmarny. Choć Arista była zmęczona, nie chciało jej się otwierać tych drzwi. Miała zbyt wiele spraw do przemyślenia i nie mogłaby teraz znieść

Bernice.

Ile dni? Spróbowała je policzyć w myśli, odtwarzając wydarzenia, jakie nastąpiły w tym skomplikowanym czasie pomiędzy śmiercią ojca a jej wuja. Wszystko działało się tak szybko. Wciąż pamiętała bladą twarz ojca leżącego na łóżku, kroplę krwi na jego policzku i ciemną plamę poszerzającą się na materacu.

Spojrzała ze skrępowaniem na Hilfreda.

- Nie jestem jeszcze gotowa iść spać.

- Jak sobie życzysz, milady - powiedział spokojnie, jakby rozumiał jej niechęć do budzenia bestii w niańce przebywającej w środku.

Arista zaczęła krążyć bez celu. Ruszyła korytarzem, a wybór kierunku dał jej poczucie, iż sprawuje nad wszystkim kontrolę. Miała wrażenie, że zmierza do konkretnego miejsca, a nie unosi się bezwładnie na fali. Hilfred szedł trzy kroki za nią, a jego miecz obijał mu się o udo, wydając przy tym dźwięk, który znała od tylu lat i który przypominał jej ruch wahadła odmierzającego sekundy jej życia.

Ile dni? Sauly wiedział, że wuj Percy zabije jej ojca.

Wiedział, zanim to się stało! Od kiedy? Kilka godzin wcześniej? Kilka dni? Kilka tygodni? Powiedział, że pró-

bował go powstrzymać. To było - musiało być - kłamstwo.

Czemu go nie zdemaskował? Czemu po prostu nie powiedział

ojcu? Ale może Sauly tak zrobił, tylko że ojciec nie chciał

słuchać. Czy to możliwe, że Esrahaddon naprawdę ją wykorzystał?

Słabo oświetlony korytarz zakrzywiał się, biegnąc wokół

wieży. Aristę zdziwił brak dekoracji. Ale przecież Wieża Koronna stanowiła tylko niewielką część starego pałacu -

zwyczajne schody w narożniku. Kamienie były starymi ciosanymi blokami, które ustawiono tu przed wiekami.

Wszystkie wyglądały tak samo - brudne, pokryte sadzą i pożółkłe jak stare zęby. Minęła kilkoro drzwi, doszła do schodów i zaczęła się po nich wspinać. Wysilek fizyczny dobrze robił jej nogom po długim okresie bezczynności.

Ile dni? Przypomniała sobie, jak jej wuj szukał Alrica, obserwował ją, kazał ją śledzić. Jeżeli Saldur wiedział o Percym, to dlaczego nie interweniował? Dlaczego pozwolił, aby uwięziono ją w wieży i

urządzono jej ten straszny proces?

Czy Sauly dopuściłby do tego, aby ją stracono? Gdyby tylko przemówił. Gdyby ją poparł, mogłaby zażądać uwięzienia Bragi. Można by uniknąć bitwy o Medford i wszyscy ci ludzie wciąż by żyli. Na ile dni przed śmiercią Bragi Saldur o tym wiedział... i nic nie zrobił? Pytanie to ciągle odbijało się echem w jej głowie, ale chyba nie chciała znać na nie odpowiedzi.

I co miało znaczyć „zniszczenie ludzkości”? Wiedziała, że uważają ją za naiwną. Ale czy myśleli też, że jest ciemna?

Żaden pojedynczy człowiek nie dysponował

władzą, dzięki której mógłby zniewolić całą rasę. Nie mówiąc już o tym, że przypisywanie takiego groźnego pomysłu imperatorowi było absurdem. Przecież on już był

władcą świata!

Na końcu schodów znajdowało się ciemne okrągłe pomieszczenie. Nie było w nim lichtarzy, nie paliły się żadne pochodnie ani latarnie. Jedyne źródłem światła była tu jej świeczka. Arista, a za nią Hilfred, weszli do alabastrowej korony przy pinaklu wieży. Nagle ogarnął ją niepokój.

Poczuła się jak intruz. Jak dziecko próbujące odkryć tajemnice strychu, które w martwej ciszy i półmroku próbuje rozróżnić kontury dawno zaginionych skarbów.

Tak jak wszyscy, słyszała kiedyś opowieści o skarbach Glenmorgana ukrytych na szczycie wieży. Znała nawet historię o złodziejach, którzy je ukradli, ale następnej nocy odnieśli na miejsce. Krążyło też wiele plotek o sławnych ludziach uwięzionych na jej szczycie, jak heretyk Edmund Hall, który rzekomo odkrył wejście do świętego miasta Percepliaquis i zapłacił za to spędzeniem reszty życia w odosobnionym miejscu, by nie mógł nikomu wyjawić żadnych jego tajemnic. To było tutaj. To wszystko było tutaj.

Obeszła pomieszczenie. Odgłos jej kroków odbijał się głośnie echem od kamiennych ścian - być może z powodu niskiego stropu, a może to tylko wyobraźnia płatała jej figle.

Uniosła świeczkę i dostrzegła dziwne drzwi po drugiej stronie. Były wysokie i szerokie, i nie wykonano ich ani z drewna, jak pozostałe w wieży, ani ze stali czy żelaza, lecz z kamienia - litego bloku podobnego do granitu, który nie pasował do ścian ze szlifowanego alabastru. Arista przyjrzała im się z bliska i z zaskoczeniem stwierdziła, że nie miały zasuw, gałki

ani zawiasów. Niczego, co ułatwiłoby ich otwarcie. Zastanawiała się, czy zapukać. Ale co mi to da? Obję tylko sobie o ten granit knykcie do krwi.

Położyła dłoń na bloku i pchnęła, ale nic to nie dało.

Spojrzała na Hilfreda, który w milczeniu ją obserwował.

- Chciałam tylko zobaczyć widok z góry - wyjaśniła, wyobrażając sobie, co też strażnik może sobie

myśleć.

Wtedy usłyszała szurnięcie, jakiś krok na górze. Uniosła głowę i wyciągnęła rękę ze świeczką. Pod drewnianym sufitem wisały pajęczyny. Pomyślała, że ktoś lub coś musi tam być.

Przemknęło jej przez myśl, że to duch Edmunda Halla, ale zaraz pokręciła głową, ganiąc się za taki głupi pomysł. Może powinna wrócić do sypialni i skulić się w łóżku, prosząc ciocię Bernice, żeby poczytała jej ładną opowieść do poduszki? Ale ciekawość wzięła górę. Co kryło się za tymi solidnymi drzwiami?

- Jest tam kto? - rozległ się czyjś głos i Arista podskoczyła.

Zobaczyła płomyk zbliżający się od dołu i usłyszała odgłos kroków.

- Czy ktoś tam jest?

Odruchowo chciała się schować i może nawet zrobiłaby to, gdyby było gdzie i gdyby nie była z Hilfredem.

- Kto tam?

Zza zakrętu schodów wyłoniła się głowa mężczyzny.

Sądząc po wyglądzie, był to kapłan. Nosił czarną szatę z fioletową wstążką, która zwisała mu po obu stronach szyi.

Miał rzadkie włosy i ze swojego miejsca Arista dostrzegła zaczątek łysiny na potylicy

- zbrązowiałą od słońca wysepkę na morzu siwizny.

Trzymał latarnię nad głową i patrzył na nią zmrużonymi oczami. Wyglądał na zaskoczonego.

- Kim jesteś? - spytał, a w jego głosie nie było ani nuty groźby, ani serdeczności, tylko zaciekawienie.

Uśmiechnęła się nieśmiało.

- Nazywam się Arista i pochodzę z Melengaru.

- Arista z Melengaru? - powtórzył zamyślony.

- Mogę spytać, co tu robisz, Aristo z Melengaru?

- Szczerze? Miałam... nadzieję, że wejdę na szczyt wieży, żeby zobaczyć widok z góry. Jestem tu pierwszy raz.

Kapłan uśmiechnął się i zaczął chichotać.

- A więc chciałaś trochę pozwiedzać?

- Tak sędzę.

- A twój towarzysz - też lubi ładne widoki?

- To mój strażnik przyboczny.

- Strażnik przyboczny? - Mężczyzna zatrzymał się w pół

kroku. - Czy wszystkie młode damy z Melengaru podróżują z taką ochroną?

- Jestem księżniczką Melengaru, córką zmarłego króla Amratha i siostrą króla Alrica.

-Aha! - powiedział kapłan, wchodząc do pomieszczenia i idąc po łuku w ich stronę. - Tak myślałem. Przybyłaś dziś wieczorem w towarzystwie biskupa Medfordu. Widziałem królewską karetę, ale nie wiedziałem, kto nią przyjechał.

- A ty kim jesteś? - spytała.

- A tak, bardzo przepraszam. Jestem monsinior Merton z Ghentu. Urodziłem się i wychowałem w małej wiosce Iberton, która leży u podnóża wzniesienia, rzut kamieniem od Ervanonu. W Ibertonie cudownie się łowi. A propos, mój ojciec był rybakiem. Łowiliśmy

przez cały rok - latem sieciami, a zimą na haczyki. Naucz człowieka łowić, a nie będzie nigdy głodował, zawsze tak powtarzam. I przypuszczam, że właśnie dlatego się tu zjawiłem, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

Arista uśmiechnęła się grzecznie i zerknęła na kamienne drzwi.

- Przykro mi, ale te drzwi nie prowadzą na zewnątrz i, niestety, nie możesz wejść na górę. - Kiwnął głową w stronę sufitu i zniżył głos. - Tam mieszka on.

-On?

- Jego świątobliwość, patriarcha Nilnev. Najwyższe piętro tej wieży należy do niego. Czasami przychodzę tu, żeby sobie posiedzieć i posłuchać. Gdy wiatr ustaje i jest cicho, słyszę jego kroki. Raz mi się zdawało, że usłyszałem nawet jego głos, ale może to był tylko figiel mojej wyobraźni. Jakby Novron we własnej osobie tam przebywał i patrzył na nas niczym pasterz dogładający swojej trzody. Jeśli wciąż chciałabyś wyjrzeć na zewnątrz, to wiem, skąd roztacza się ładny widok. Chodź ze mną.

Monsinior odwrócił się i zaczął schodzić po stopniach.

Arista spojrzała po raz ostatni na drzwi i ruszyła za nim.

- Czy opuszcza swoją komnatę? - spytała Arista. - Mam na myśli patriarchę.

- Nie opuszcza. Przynajmniej nigdy nie widziałem, żeby to zrobił. Żyje w odosobnieniu - w ten sposób lepiej się jednoczy z Panem.

- Jeśli nigdy nie wychodzi, to skąd wiadomo, że tam jest?

- Hm? - Merton spojrzał na nią przez ramię i zachichotał. -

Rozmawia z ludźmi. Odbywa prywatne

spotkania, a później inni przekazują jego słowa pozostałym.

- Jacy inni? Arcybiskup?

- Czasami. Choć ostatnio oznajmia nam swoje dekryty przez wartowników. - Przystanął na schodach i odwrócił się do niej.

- Zakładam, że wiesz o nich.

- Tak - odrzekła.

- Pomyślałem, że jako księżniczka możesz wiedzieć.

- Od wielu lat nie było w Melengarze ani jednego.

- To zrozumiałe. Pozostało ich jedynie kilku i działają na bardzo rozległym obszarze.

- Dlaczego jest ich tak niewielu?

- Jego świętość nie mianował żadnego od czasu wyświęcenia Luisa Guya. Przypuszczam, że on był ostatni.

Była to pierwsza dobra wiadomość, jaką Arista usłyszała tego dnia. Wartownicy byli stróżami Kościoła, którym na początku powierzono zadanie odnalezienia spadkobiercy.

Dowodzili słynnym zakonem rycerzy Sereta, pilnujących, aby wykonywano wolę Kościoła - i wypatrujących oznak herezji zarówno u świeckich, jak i duchownych. Kiedy sereci prowadzili dochodzenie, zawsze uznawano czyjąś winę i zwykle każdemu, kto protestował, też stawiano zarzuty.

Monsinior Merton zaprowadził ją do drzwi dwa piętra niżej i zapukał.

- O co chodzi? - zapytał poirytowany głos.

- Przyszliśmy zobaczyć twój widok - oznajmił mężczyzna.

- Nie mam dziś dla ciebie czasu, Merton. Idź zawracać głowę komuś innemu i zostaw mnie w spokoju.

- Nie chodzi o mnie. Jest ze mną księżniczka Arista z Melengar, która chce zobaczyć widok z wieży.

-Ależ nie, naprawdę... - powiedziała Arista, kręcąc głową. -

To nie jest aż takie ważne. Ja po prostu...

Drzwi się otworzyły i zobaczyła tłustego, zupełnie łysego mężczyznę. Miał na sobie czerwony strój i złoty sznur przewiązany wokół grubej talii. Wycierał usmarowane ręce w ręcznik i wpatrywał się bacznie w Aristę.

- Na Mara! To księżniczka.

- Janison! - warknął Merton. - Tak nie mówi prałat Kościoła.

Tłuszcioch spojrzał chmurnie na Mertona.

- Widzisz, jak mnie traktuje? Myśli, że jestem Uberlinem we własnej osobie, bo lubię jeść i od czasu do czasu wypić.

- To nie ja cię oceniam, tylko nasz Pan Novron. Możemy wejść?

- Tak, oczywiście, wejdźcie.

Pokój był zagracony przeróżnymi rzeczami, pergaminami i malowidłami, które leżały na podłodze albo opierały się o kosze i skrzynie. W jednym jego końcu stało biurko, a w drugim - duży stół do kreślenia, zawalony stosami map, kałamarzami i mnóstwem gęsich piór. Wydawało się, że nic tu nie jest na swoim miejscu, a nawet takowego nie posiada.

- O... - Arista już chciała powiedzieć „rety”, ale się powstrzymała, bo uprzytomniła sobie, że nieomal papuguje Bernice.

- Niezły widok, prawda? Prałatowi Janisonowi daleko do schludności.

- Mam porządek w mapach i tylko to się liczy.

- Nie dla Novrona.

- Widzisz? No i oczywiście nie mogę się odplacić tym samym. Jak można rywalizować z jego

świętobliwością monsiniorem Mertonem, który leczy chorych i rozmawia z bogiem?

Arista, która szła za Mertonem przez zabałaganiony pokój w stronę ściany zakrytej kotarami, przystanąła, gdyż nawiedziło ją wspomnienie z dzieciństwa. Patrząc na Mertona, przypomniła coś sobie.

- Jesteś zbawcą Fallon Mire?

- Aha! Oczywiście, nic ci nie powiedział. Poczulby się zapewne jak zarozumialec, przyznając, że jest wybrańcem naszego Pana.

- Przestań. - Teraz Merton się nachmurzył.

- To byłeś ty? - spytała.

Merton skinął głową, posyłając Janisonowi surowe spojrzenie.

- Znam całą historię. Miałam ledwie pięć lub sześć lat, kiedy w Fallon Mire wybuchła zaraza. Wszyscy się bali, bo rozszerzała się z południa na północ, a Fallon Mire leży niedaleko Medfordu. Pamiętam, że ojciec rozważał

przeniesienie dworu do Pól Drondila, ale w końcu zostaliśmy na miejscu. Nie musieliśmy się przeprowadzać, bo zaraza nie dotarła aż tak daleko.

- Bo on ją powstrzymał - powiedział Janison.

- Wcale nie ja, tylko Novron! - warknął Merton.

- Ale przysłał tam ciebie, prawda? Merton westchnął.

- Ja tylko zrobiłem to, o co nasz Pan mnie poprosił.

Janison spojrzał na Aristę.

- Widzisz? Jak mogę konkurować z człowiekiem, którego sam bóg sobie wybrał do codziennych rozmów?

- Naprawdę usłyszałeś głos Novrona, który kazał ci ratować mieszkańców Fallon Mire?

- Pokierowałam moimi krokami.

- Ale także rozmawiasz z nim - naciskał Janison, spoglądając na Aristę. - Choć do tego oczywiście się nie przyzna. To by była herezja, a na dole jest Luis Guy On ma w nosie twój cud. - Janison usiadł na taborecie i zachichotał. -

Zacny monsinior nie przyzna, że prowadzi pogawędki z Panem, ale tak jest. Czasem go słyszę. Późno w nocy na korytarzach, kiedy myśli, że wszyscy śpią. - Janison odezwał

się cienkim głosem, jakby naśladował dziewczynę: - „O

Panie, dlaczego nie uśmierzysz mojego bólu głowy i nie pozwolisz mi spać, skoro rano mam pracę do wykonania? Co to? Rozumiem, to bardzo mądrze z twojej strony”.

- Wystarczy, Janison - powiedział Merton poważnym tonem.

- Tak, jestem pewny, że to monsinior. A teraz obejrzyjcie sobie widok i dajcie mi zjeść w spokoju.

Janison wziął nogę kurczaka i wrócił do jedzenia, podczas gdy Merton odsunął kotary, odsłaniając

wspaniałe olbrzymie okno, szerokie prawie na cały pokój i przedzielone jedynie trzema kamiennymi słupkami. Widok zapierał dech w piersi.

Duży księżyc rozświetlał noc jak zawieszona wśród błyszczących gwiazd lampa, która była nie dalej niż na wyciągnięcie ręki.

Arista oparła się o parapet i spojrzała w dół. W oddali dostrzegła krętą srebrzystą wstęgę rzeki, połyskującą w świetle księżyca. U podnóża wieży, wokół miasta paliły się ogniska - migoczące punkciki przypominające gwiazdy na niebie. Gdy spojrzała prosto w dół, zakreśliło jej się w głowie i poczuła przyspieszone bicie serca. Zastanawiała się, jak blisko jest szczyt wieży. Podniosła głowę i naliczyła jeszcze trzy poziome okien pod koroną z białego alabastru.

- Dziękuję - powiedziała do Mertona i skinęła głową w stronę Janisona.

- Możesz być pewna, Wasza Wysokość. On tam jest.

Skinęła głową, ale nie była pewna, czy Merton ma na myśli boga, czy patriarchę.

Rozdział 4

Dahlgren

Przez pięć dni Royce, Hadrian i Thrace przedzierali się na północ przez nienazwany gąszcz drzew tworzący wschodni skraj Avrynu, o który spierały się Album i Dunmore. Oba królestwa rościły sobie prawo do leżącego między nimi boru, ale do chwili powstania Dahlgrenu żadne nie kwapiło się do zasiedlenia tej krainy. Wielki las, zwany po prostu Wschodem lub Puszcza, pozostawał dziki, a droga, którą jechali - niegdyś stanowiąca szeroki trakt biegnący na północ z Albumu -

dawno przemieniła się w dwie ścieżki przedzielone pasem trawy, a w końcu zwęziła do jednej dróżki, która wyglądała tak, jakby w każdej chwili mogła zniknąć. Po obu stronach mieli ściany drzew - i przez te pięć dni nie dostrzegli ani jednego płotu, gospodarstwa czy zajazdu; nie napotkali też innych wędrowców. Na mapach tego obszaru widniało niewiele zaznaczonych miejsc, a plany terenów za rzeką Nidwalden były całkowicie puste.

Chwilami las był zachwycający, wręcz niebiański. Korony monumentalnych wiązów spletały się wysoko nad ziemią, tworząc tunel z zieleni. Hadrianowi

widok ten nasunął skojarzenia z wnętrzem katedry Mares w Medfordzie. Wysokopienne drzewa wyginały się w łuk nad ścieżką jak przypory wielkiego kościoła i w ten sposób powstała naturalna nawa. Delikatne promienie przyćmionego światła przebijały się przez baldachim ich gałęzi, wpadając na ścieżkę pod różnymi kątami. Spod warstwy brązowych liści z poprzedniego roku wyrastały rozłożyste paprocie, tworząc miękkie, kołyszące się dywan. Wśród gałęzi śpiewał chór niewidocznych ptaków. Był to piękny, ale zarazem niepokojący widok, jakby się wypłynęło za daleko od brzegu albo zapuściło w nieznanne, niezbadane i niezmienione przez cywilizację miejsca.

W ostatnich dniach wędrowka była już naprawdę trudna.

Niedawne wiosenne nawałnice przewróciły kilka drzew, zagradzając drogę równie skutecznie jak kuta brama. Hadrian i Thrace zsiadli więc z koni i przedzierali się przez gąszcz, podczas gdy Royce szuka! obejścia. Mijały godziny, a oni nie mogli odnaleźć drogi. Spoceni i podrapani, przeprowadzili konie przez kilka rzeczulek, aż w końcu stanęli na skraju dużej skarpy. Hadrian zerknął w dół, po czym spojrzał na Royce'a sceptycznie. Zwykle nie kwestionował drogi obranej przez współnika, gdyż Royce - o czym przekonali się przy wielu okazjach - miał niezawodny zmysł do odnajdywania jej w puszczy. Ale teraz Hadrian nie widział słońca ani nieba, żadnego punktu odniesienia - wszędzie tylko konary i liście.

Royce nigdy go nie zawiódł, ale nigdy też nie byli w takim miejscu jak to.

- Dobrze idziemy - oświadczył Royce z nutką rozdrażnienia w głosie.

Ruszyli więc w dół. Royce i Thrace prowadzili konie, a Hadrian wyrąbywał ścieżkę przez gęstwinę. Na dnie parowu znaleźli strumyk, za to nie było żadnego szlaku.

Hadrian znów spojrzał na Royce'a. Tym razem przyjaciel się nie odezwał, więc znów zaczęli się posuwać z trudem dalej, wybierając najrzadsze zarośla.

- Tam - powiedziała Thrace, wskazując na polanę z przodu.

Po kilku krokach natrafili na dróżkę. Royce popatrzył na nią przez chwilę, po czym wzruszył ramionami, wsiał na konia i szturchnął Myszkę piętami.

Wyjechali z lasu, jakby wynurzali się z głębokiej pieczary.

Po'raz pierwszy od kilku dni znaleźli się w bezpośrednim słońcu. Na polance, obok drewnianej studni i pośród stadka ośmiu pasących się świń stało dziecko. Miało nie więcej niż pięć lat, a w ręku trzymało długi, cienki kij i patrzyło na nich z wyrazem zdziwienia na okrągłej umorusanej buzi. Hadrian nie potrafił ocenić, czy to chłopiec, czy dziewczynka. Dziecko nosiło prostą lnianą koszulę, brudną, postrzępioną oraz porozdzieraną w tylu miejscach, że mogło się to wydawać celowe.

- Pearl! - zawołała Thrace, zsiadając z Millie tak szybko, że koń odskoczył na bok. - Wróciłam!

Podeszła do dziecka i zmierzwiła mu splątane włosy. Ale dziewczynka - jak się teraz domyślił Hadrian - nie zwróciła uwagi na Thrace i dalej gapiła się na nich szeroko otwartymi oczami.

Thrace rozpostarła ręce i odwróciła się do nich.

- To jest Dahlgren. To mój dom.

Hadrian zsiadł z konia i rozejrzał się zaskoczony. Byli na spłachetku ziemi z wyskubaną trawą, a studnia znajdowała się na środku trójkąta utworzonego przez szlak, którym podążali, i dwie inne pobrużdżone ścieżki. Zewsząd otaczał ich las.

Widok do góry wciąż

przesłaniały wysokie drzewa, z wyjątkiem fragmentu nad polaną, gdzie Hadrian widział blady błękit późno-popołudniowego nieba.

Hadrian nabrał złożoną dłonią wody z wiadra, żeby zmyć pot z twarzy. Millie nieomal go odepchnęła, tak szybko włożyła łeb do wiadra i zaczęła łapczywie pić.

- Co to za dzwon? - spytał Royce, zsiadając z Myski i pokazując palcem w stronę cienia.

Hadrian spojrział we wskazanym kierunku i zdziwił się na widok masywnego, odlanego z brązu dzwonu zwisającego z dźwigni, którą z kolei zawieszono na dolnej gałęzi pobliskiego dębu. Stwierdził, że gdyby stał na ziemi, Royce mógłby się w nim ukryć bez pochylania głowy. Z dzwonu zwisał sznur, na którym w kilku miejscach zrobiono węzły.

- Jest nietypowy - orzekł, podchodząc do niego.

- Jaki wydaje dźwięk?

- Nie dzwoń! - wykrzyknęła Thrace. Hadrian uniósł brwi.

- Korzystamy z niego tylko w razie nagłych wypadków.

Spojrzał ponownie na dzwon i dostrzegł na nim pła-skorzeźby przedstawiające Maribora i Novrona oraz wersety religijne biegnące wokół przewężenia.

- To dość dziwaczne umieszczać go obok... studni...

- Rozejrzył się po pustej polanie.

- To był pomysł diakona Tomasa. Powtarzał: Wioska bez kościoła to nie wioska, a kościół bez dzwonu to nie kościół.

Wszyscy się złożyli. Stary margrabia dołożył drugą połowę i zamówił go dla nas. Dzwon był gotowy na długo przed tym, zanim zdążyliśmy wybudować kościół. Pan McDern wziął

woły i przywiózł go z Ervanonu. Gdy wrócił, nie mieliśmy gdzie

go zawiesić, a pan McDern potrzebował wozu. Mój ojciec wpadł więc na pomysł, żeby umieścić go tutaj i wykorzystywać do ostrzegania mieszkańców, dopóki nie postawimy kościoła. To było na tydzień przed pierwszym atakiem. I wtedy nie mieliśmy pojęcia, że tak często będziemy go używać. - Popatrzyła przez chwilę na dzwon, po czym dodała: - Nie cierpię jego dźwięku.

Wiatr zaszeleścił liśćmi, a pod wpływem jego podmuchu włosy częściowo zakryły jej twarz. Dziewczyna odgarnęła je i odwróciła się od dębu i dzwonu.

- Tam - wskazała obszar po drugiej stronie pobrużdżonej ścieżki - mieszka większość z nas.

Hadrian dostrzegł chatki ukryte w płytkim zagłębieniu za zasłoną utworzoną przez nawłóć i trojeść. Były małe, o drewnianych szkieletach wypełnionych plecionką z prętów i gałązek oblepionych gliną - mieszanką błota, słomy i nawozu.

Dachy były kryte strzechą, a za okna służyły dziury w ścianach. W większości chat funkcję drzwi spełniały pałatki w wejściach, które trzepotały na wietrze, odsłaniając klepiska.

Obok jednej z nich dostrzegł ogród warzywny, na który padała smuga światła słonecznego.

- Tam z przodu jest dom Mae i Wenta Drundelów -

objaśniła Thrace. - Cóż, teraz należy tylko do Mae. Went i chłopcy... niedawno zostali zabrani. W chacie z ogrodem po lewej stronie mieszkają Bothwickowie. Dawniej pilnowałam Tada i bliźniaków, ale teraz Tad sam jest już na tyle duży, że może się nimi zajmować. Właściwie są dla mnie jak rodzina.

Lena i moja matka bardzo się przyjaźniły. Za nimi jest dom McDernów. Pan McDern to nasz kowal i właściciel jedynej pary wołów. Pożycza je wszystkim, dzięki czemu wiosną jest bardzo popularny. Chata z huśtawką z prawej strony należy do Caswellów. Maria i Jessie to moje najlepsze przyjaciółki.

Mój ojciec zawiesił dla nas tę huśtawkę niedługo po tym, jak się wprowadziliśmy. Dni, które tam spędziłam, należą do najlepszych w moim życiu.

- Gdzie jest twój dom? - spytał Hadrian.

- Ojciec zbudował go u dołu zbocza. - Wskazała palcem ścieżkę biegnącą na wschód. - To był najlepszy dom, a właściwie najlepsze gospodarstwo w wiosce. Wszyscy tak mówili. Teraz niewiele z niego zostało.

Pearl wciąż na nich patrzyła, obserwując każdy ich ruch.

- Witaj - uśmiechnął się Hadrian i przykucnął obok niej. -

Jestem Hadrian, a to mój przyjaciel Royce.

Pearl spojrzała na niego groźnie i cofnęła się o krok, wymachując kijem.

- Nie jesteś rozmowna, prawda?

- Jej rodzice zginęli dwa miesiące temu podczas pracy na polu - wyjaśniła Thrace, spoglądając na dziewczynkę ze współczuciem. - Było jasno i jak wszyscy inni myśleli, że są bezpieczni, ale niebo pokryły chmury burzowe i zrobiło się ciemno. - Thrace przerwała na chwilę, po czym dodała: -

Wielu ludzi tutaj zginęło.

- Gdzie są pozostali? - spytał Royce.

- Na polach. Zbierają skoszone siano, ale wkrótce wrócą, bo robi się późno. Pearl pilnuje świń dla całej wioski, prawda, Pearl?

Dziewczynka pokiwała energicznie głową, trzymając oburącz kij i obserwując czujnie Hadriana.

- Co tam jest? - zapytał Royce.

Stał na ścieżce biegnącej na północ i spoglądał do góry.

Hadrian ruszył do niego, zostawiając Millie przy wiadrze.

Minąwszy grupę świerków, zobaczył kilkaset metrów przed sobą pozbawione drzew wzgórze. Na jego szczycie stał duży drewniany dom otoczony palisadą.

- To gród margrabiego. Diakon Tomas wziął na siebie odpowiedzialność namiestnika dopóty, dopóki król nie mianuje nowego lorda. Jest bardzo miły i na pewno pozwoli wam skorzystać ze stajni, tym bardziej że w wiosce nie ma koni. Na razie przywiążcie je do studni i pójdziemy zobaczyć się z moim ojcem. Pearl, przypilnuj ich rzeczy i nie dopuszczaj do nich świń. Jeżeli wróci przede mną Tad, Hal albo Arvid, każ im zaprowadzić konie do grodu i zapytać diakona, czy można je umieścić w stajni, dobrze?

Dziewczynka skinęła głową.

- Czy ona mówi? - spytał Hadrian.

- Tak, tylko że już niezbyt często. Chodźcie, zaprowadzę was do... czegoś, co kiedyś było moim domem. Tato prawdopodobnie tam jest. To niedaleko - dodała i ruszyła ścieżką, która biegła na wschód, w dół za domostwami.

Okrażali wioskę i Hadrian mógł się jej lepiej przyjrzeć.

Zobaczył kolejne chatynki, najprawdopodobniej jednoizbowe z antresolą, i mniejsze zabudowania, kilka kratowanych skrzyń z paszą postawionych na palach, aby nie dostały się do nich gryzonie, i coś w rodzaju wygodki, w której też brakowało drzwi.

- Poproszę Bothwicków, aby was przyjęli na czas waszego pobytu tutaj. Ja też u nich mieszkam, oni...
- Thrace urwała i przyłożyła szybko dłonie do twarzy. Zaczerpnęła głęboko powietrza, a usta zaczęły jej drżeć.

Przy ścieżce niedaleko domu z huśtawką stały dwa drewniane nagrobki, świeżo wkopane w ziemię. Wryto na nich nazwiska Marii i Jessie Caswell.

*

U dołu ścieżki zobaczyli gospodarstwo Woodów. Na kilku akrach, głównie u podnóża wzgórza, wycięto drzewa i w idealnie prostych rzędach posiano pszenicę. Wokół niej biegł

niski murek wzniesiony ze starannie ułożonych kamieni. Był

to piękny kawałek żyznej, ciemnej ziemi, którą dobrze przekopano, obsadzono i nawodniono.

Samo obejście stało na wzniesieniu. Dom przypominał zniszczoną skorupę: dachu nie było, a strzechę wiatr rozrzucił po całym podwórku. Pozostało jedynie kilka rozłupanych bali, które sterczały z budowli. Dolna połowa budynku i komin wykonane były z kamieni polnych o nieregularnych kształtach i w większości pozostały nienaruszone. Uwagę Hadriana przykuły drobiazgi. Pod jednym oknem wisiała skrzynka na kwiaty z ząbkowanym obramowaniem i wyrytą podobizną jelenia. Dębowe drzwi wejściowe miały zasuwę z ręcznie kutego żelaza, na której nie było widać ani jednego elementu mocującego lub łączącego. Szare, różowe i brązowe kamienie, z których zbudowano ściany, były gładko ociosane.

Wzdłuż chodnika rosły krzewy przycięte tak, by przypominały żywopłot.

Theron Wood siedział pośród ruin domu. Postawny, o ciemnej, ogorzałej od wiatru i słońca twarzy, którą okalały krótkie siwe włosy, wyglądał jak istota ulepiona z samej ziemi, jak sękaty pień wielkiego drzewa lub zwietrzały klif.

Opierał się o jedyną całą

ścianę domu, a między nogami przytrzymał kosę i wolno, niemal bezwiednie ostrzył ją kamienną osełką, spoglądając w dół na zielone pole. Na jego twarzy malował

się wyraz, który Hadrian mógł określić tylko jako pogardę.

- Tatusiu! Wróciłam! - Thrace podbiegła do ojca i rzuciła mu się na szyję. - Tęskniłam za tobą.

Theron poczekał, aż córka go puści, i spojrzał na nich surowym wzrokiem.

- To oni?

- Tak. Hadrian i Royce. Przyjechali aż z Colnory, żeby nam pomóc. Mogą zdobyć broń, o której opowiadał nam Esra.

- Ja już mam broń - warknął gospodarz i wrócił do ostrzenia kosy.

Rozległ się nieprzyjemny zgrzyt kamienia o metal.

- Masz na myśli tę kosę? - spytała Thrace. - Margrabia miał

miecz, tarczę i zbroję, a...

- Mam inną broń, znacznie większą i ostrzejszą. Rozejrzała się zaskoczona, ale ojciec nie wyjaśnił, o czym mówi.

- Nie muszę mieć broni z wieży, żeby zabić bestię.

- Ale mi obiecałeś.

- I dotrzymałem słowa - odparł i jeszcze raz przesunął

osełkę wzdłuż ostrza. - Dzięki czekaniu na ciebie moja broń stała się groźniejsza. - Zanurzył osełkę w wiadrze wody, które stało obok niego. A potem znów przyłożył do ostrza, ale już po nim nie przesunął, tylko powiedział: - Codziennie, kiedy się budzę, widzę pęknięte łóżko Thada i kołyskę Hickory'ego.

Widzę roztrzaskaną beczkę, którą zrobił Thad, i pola, które dla niego obsadziłem, a które dają obfity plon, mimo że o nie nie dbam. To najlepszy rok w ciągu

ostatnich dziesięciu lat. Zebrałbym aż nadto, żeby zapłacić za umowę i narzędzia, i jeszcze by mi zostało. Mógłbym wybudować mu sklep. Może nawet stać by mnie było na szyld i prawdziwe szklane szyby. Mógłby mieć gładkie drewniane drzwi z zawiasami i ćwiekami i jego sklep byłby ładniejszy od wszystkich domów w wiosce. Ładniejszy od majątku dworskiego na wzgórzu. Ludzie by przechodzili i się gapili, zastanawiając się, cóż to za wielki człowiek tu mieszka.

Jakimż to wielkim artystą musi być bednarz tego miasteczka, żeby móc sobie pozwolić na taki

wspaniałą sklep. Dranie z Glamrendoru, którzy nie pozwoliliby Thadowi użyć gontu, jeszcze takiego sklepu nie widzieli - ciągnął. - Miałby dach kryty wiórem i ząbkowany okap, dębową ladę i żelazne haczyki do zawieszenia latarni, gdyby musiał pracować do późna w nocy, żeby skończyć wszystko na czas. Jego beczki stałyby obok sklepu w szopie wielkiej jak stodoła i pomalowanej przeze mnie na jasnoczerwony kolor, żeby wszyscy ją widzieli. Załatwiłbym mu furmankę, nawet gdybym musiał sam ją zrobić. Tym sposobem mógłby rozsyłać beczki po całym Avrynie, do Glamrendoru też. Sam bym je tam zawoził, żeby zobaczyć zdziwienie i wściekłość tamtejszych ludzi. Powiedziałbym „dzień dobry!” i wyszczerzył zęby jak krokodyl. Kolejna dostawa beczek od Thaddeusa Wooda, najlepszego bednarza w Avrynie. A oni kuliliby się i klęli. Tak, mój syn to nie żaden chłop, o nie.

Począwszy od niego, Woodowie staliby się rzemieślnikami i sklepikarzami.

A nasza wioska by się rozrastała - mówił dalej. - Ludzie by przyjeżdżali i otwierali własne interesy, tylko że Thada byłby zawsze pierwszy, największy i najlepszy. Już ja bym tego dopilnował. Wkrótce

byłoby tu miasto, wspaniałe miasto, a Woodowie byliby najzamożniejszą rodziną - kupiecką, dającą pieniądze na sztukę i jeżdżącą pięknymi karetami. Ten dom tutaj byłby prawdziwym dworem, bo Thad tak by chciał, ale mnie by to nie przeszkadzało, o nie. Cieszyłbym się, patrząc, jak rośnie Hickory, widząc, jak się uczy czytać i pisać. Może zostałby sędzią? Mój wnuk w czarnej todze! O tak, sędzia Wood jedzie do sądu w pięknej karecie, a ja stoję i patrzę na niego. Widzę to - podsumował. - Codziennie rano wstaję, siadam, patrzę z Kamiennego Wzgórza i widzę to wszystko. To tam jest, na tym polu, które rośnie przede mną. Nie gracowałem, nie obrabiałem ziemi, a spojrzcie. Najlepszy plon, jaki kiedykolwiek miałem, i z każdym dniem rośnie dalej.

- Tatusiu, proszę, wróć z nami do Bothwicków. Robi się późno.

- Tu jest mój dom! - krzyknął stary, ale nie na córkę. Wciąż patrząc na pole, znów przesunął osełką po ostrzu. Thrace westchnęła. Zapadła długa cisza.

- Idź z przyjaciółmi. Przysięgam, że nie będę tego czegoś szukał, ale zawsze jest szansa, że może to samo do mnie przyjść.

-Ale, tatusiu...

- Powiedziałem, idźcie. Nie potrzebuję was tutaj. Thrace spojrzała na Hadriana. Miała w oczach łzy, a usta jej drżały. Stała przez chwilę, niezdecydowana, po czym nagle puściła się pędem w kierunku wioski. Theron ją zignorował. Obrócił tylko ostrze kosy na drugą stronę.

Hadrian obserwował go przez chwilę. Zgrzyt kamienia o metal zagłuszał szloch Thrace, a stary gospodarz nie spojrzał

ani na niego, ani na ścieżkę. Rzeczywiście był twardy jak skała.

Odnalazł Thrace zaledwie kilkaset metrów dalej na ścieżce.

Klęczała i płakała, a jej drobnym ciałem wstrząsały spazmy.

Położył delikatnie rękę na jej ramieniu.

- Twój ojciec ma rację. Jego broń jest bardzo ostra.

Nadszedł Royce z kawałem złamanego drewna w ręku. Spojrzał na Thrace z zakłopotaniem.

- O co chodzi? - spytał Hadrian, zanim wspólnik zdążył

powiedzieć coś niemiłego.

- Co o tym sądzisz? - odparł tamten pytaniem, pokazując drewniany kikut, który mógł pochodzić ze szkieletu domu.

Belka była gruba i szeroka, wycięta z pnia mocnego dębu.

Były na niej cztery głębokie nacięcia.

- Ślady pazurów?

Hadrian wziął drewno do ręki i położył na nim drugą dłoń z rozcapierzonymi palcami.

- Siady olbrzymich pazurów. Royce skinął głową.

- Cokolwiek to jest, jest ogromne. Więc dlaczego nikt tego nie widział?

- Tu bywa bardzo ciemno - wyjaśniła Thrace, ocierając policzki i wstając.

Z zaciekawieniem podeszła do forsycji rosnącej obok klonu.

Zrobiła niepewny krok, pochyliła się i podniosła coś, co Hadrianowi wydawało się strzępem płótna. Gdy Thrace starannie oczyściła przedmiot z liści i patyczków, zobaczył

prymitywną lalkę, której włosami były nici, a oczami - dwa wyszyte ikсы.

- Twoja? - zapytał Hadrian.

Pokręciła głową, ale się nie odezwała. Dopiero po chwili wyznała:

- Zrobiłam ją dla Hickory'ego, syna Thada. To był jego ulubiony prezent, który dostał na zimonia. Wszędzie z nią chodził. - Wyrwała z niej ostatnie źdźbła trawy i ją przetarła. -

Jest na niej krew - powiedziała drżącym głosem i przycisnęła lalkę do piersi:

- Powinien pamiętać, że oni byli też moją rodziną.

*

Gdy wrócili do wioski, był dopiero wczesny wieczór, ale niebo już pociemniało - niewidoczne zza

wielkich drzew słońce szybko zachodziło. Przy studni nie było dziewczynki ze stadkiem świń, a także ich koni i ekwipunku, ale krzątała się tam duża grupa ludzi.

Mężczyźni przechodzili przez polanę z motykami, siekierami i wiązkami szczap na ramieniu. Większość była boso i w przepoconych tunikach. Za nimi szły kobiety z suszem, trzcinią czy naręczami grubych traw bagiennych i łądyg lnu. Włosy miały zaczesane do góry i schowane pod prostymi płóciennymi chustkami.

Widząc je, Royce zrozumiał, dlaczego Thrace była tak poruszona zakupem dla niej sukni: wszystkie kobiety z wioski bowiem nosiły proste, uszyte przez siebie koszule w szarym kolorze i bez żadnych ozdób.

Wszyscy ci ludzie wyglądali na zmęczonych i skupionych przede wszystkim na tym, by dotrzeć przed zmierzchem do swoich domów i zrzucić z ramion niesione ciężary. Gdy zbliżyli się do nich, jeden chłopiec

- z motyką z długim trzonkiem opartą na ramieniu

- podniósł głowę i przystanął.

- Kto to? - spytał, zwracając uwagę innych.

Jakaś starsza kobieta spojrzała groźnie, wciąż ściskając worek z gałązkami. Rozebrany do połowy mężczyzna o silnych ramionach odłożył na ziemię wiązkę drewna i ściskając kurczowo siekierę w jednej dłoni, spojrzał na Thrace, która wciąż ocierała zaczerwienione oczy, po czym ruszył w ich kierunku i krzyknął:

- Vince, mamy gości!

Niższy i starszy mężczyzna z zaniedbaną brodą odwrócił się i też odłożył swoją wiązkę. Popatrzył na chłopca z motyką i zawołał:

- Tad, idź po ojca!

A ponieważ chłopiec się zawahał, dodał:

- W tej chwili, synu! Młodzieniec pobiegł w stronę domów.

- Thrace, kochanie - odezwała się kobieta. - Nic ci nie jest?

Brodacz spiorunował ich spojrzeniem.

- Co oni ci zrobili, dziewczyno?

Royce i Hadrian stanęli obok siebie, spoglądając wyczekująco na Thrace. Royce dla zasady wsunął rękę pod płaszcz.

- Och, nie! - zaprzeczyła energicznie dziewczyna. - Nic mi nie zrobili.

- Odnoszę inne wrażenie. Zniknęłaś na wiele tygodni i oto nagle się zjawiasz - zapłakana i ubrana jak...

Thrace pokręciła głową.

- Nic mi nie jest. Po prostu ojciec...

- Theron to wspaniały człowiek - powiedział Vince ze współczuciem. - Jest silny. Dojdzie do siebie, zobaczysz.

Potrzebuje tylko trochę czasu.

Skinęła głową, ale bez przekonania.

- A kim wy jesteście?

- To Hadrian i Royce - wyjaśniła Thrace - z Colnory w Warric. Poprosiłam ich, żeby przyjechali nam pomóc. A to pan Griffin, założyciel wioski.

- Gdy tu przyjechałem, miałem siekiere, nóż i niewiele więcej. Reszta tych nieszczęśników zaś była na tyle niemądra, że przybyła tu za mną, bo im powiedziałem, że życie tutaj jest lepsze, a oni mi uwierzyli. - Wyciągnął rękę. - Mówcie mi Vince.

- Ja się nazywam Dillon McDern - przedstawił się półnagi mężczyzna - i jestem tu kowalem. A wy zapewne macie konie, prawda? Moi synowie mówią, że niedawno odprowadzili dwa do dworu.

- To jest Mae - przedstawił Vince starą kobietę, która skinęła poważnie głową.

Gdy przekonała się, że Thrace nic nie jest, uszło z niej napięcie, ale jej spojrzenie nadal było posępne i chłodne, kiedy się odwróciła na chwilę do nich.

- Nie przejmujcie się nią. Niedawno przeżyła tragedię.

Vince spojrzał na Dillona, który potwierdził jego słowa.

Właśnie wtedy wrócił chłopak z mężczyzną starszym od McDerna, lecz młodszym od Griffina i szczuplejszym od nich obu. Powłóczył jedną nogą i mrużył oczy, teraz raczej nie z powodu słońca. Trzymał w rękach świnię, która usiłowała się oswobodzić.

- Po co ją przyniosłeś, Russell? - spytał Griffin.

- Chłopak powiedział, że jestem potrzebny i że to jest nagły wypadek.

Griffin popatrzył na Dillona, który wzruszył tylko ramionami.

- Według ciebie w nagłych wypadkach potrzebne są świnie?

Russell spojrział chmurnie.

- Dopiero co ją złapałem. Przez cały dzień drażniła się z Pearl. Uciekała jej i trudno ją było złapać. Nie ma mowy, żebym ją puścił luzem na noc. O co chodzi? Co to za nagła sprawa?

- Okazało się, że to fałszywy alarm - odrzekł Griffin.

Russell pokręcił głową.

- Na Mara, Vince, potrafisz śmiertelnie przestraszyć człowieka. Następnym razem uderzysz w dzwon tylko po to, żeby zobaczyć, jak ludzie mdleją.

- Nie to miałem na celu. - Vince kiwnął głową w stronę Royce'a i Hadriana. - Myśleliśmy, że ci dwaj coś knują.

Russell spojrział na nich.

- Goście, co? Skąd jesteście?

- Z Colnory - odparła Thrace. - To ja ich zaprosiłam. Esra powiedział, że mogą pomóc mojemu ojcu. Miałam nadzieję, że pozwolisz im u nas zostać.

Russell ciężko westchnął, zmarszczył czoło i zacisnął usta.

- No cóż... Nie ma problemu - wyjąkała Thrace z wyrazem skrępowania na twarzy. - Mogę zapytać diakona Tomasa, czy...

- Oczywiście, że mogą u nas zostać, Thrace. Nie musisz o to nawet pytać. - Włożył świnie pod pachę i pogłaska!

dziewczynę drugą ręką po policzku. - Chodzi tylko o to, że Lena i ja... Byliśmy pewni, że odeszłaś na dobre. Myśleliśmy, że znalazłaś sobie nowy dom.

- Nie zostawiłabym ojca.

- Tak też sądziłem. Ty i twój tata jesteście pod tym względem bardzo do siebie podobni - oboje twardzi jak skała i, Mariborze, dopomóż pługowi, który natrafi na swojej drodze na któreś z was.

Wieprz podjął próbę ucieczki, skręcając się i wierzgając, ale Russell w ostatniej chwili mocno go ścisnął.

- Muszę wracać. Żona będzie mnie szukać. Chodź, Thrace, i zabierz z sobą przyjaciół. I skąd, dziewczyno, wytrzasnęłaś tę suknię?

Wszyscy ruszyli, tylko Royce pozostał na miejscu. Hadrian spojrział na niego z zaciekawieniem, ale

poszedł za resztą.

Royce stał na ścieżce i obserwował, jak mieszkańcy wioski ścigają się z zapadającym zmrokiem, przynosząc wodę, wywieszając rzeczy, zaganiając zwierzęta. Pearl przeszła obok studni. Jej stadko liczyło teraz zaledwie dwie świnie.

Mae Drundel wyszła ze swojego domu. Nie miała już chustki na głowie i siwe włosy luźno jej opadały. W przeciwieństwie do pozostałych nie spieszyła się. Obeszła chatę i Royce dostrzegł z jej boku trzy nagrobki podobne do tych, jakie widział w gospodarstwie Caswellów. Przez chwilę stała przy nich, uklękła, po czym wróciła powoli do chaty. Gdy zamknęły się za nią drzwi, na dworze pozostali tylko Royce i jakiś mężczyzna przy studni.

Nie był gospodarzem. Royce dostrzegł go już wcześniej, kiedy wrócili. Był wysoki i szczupły. W milczeniu opierał się o cembrowinę i prawie stapał się z cieniem. Włosy - ciemne, z kilkoma pasemkami siwizny - opadały mu luźno na ramiona. Miał wysokie kości policzkowe i zamyślane oczy.

Długa szata owinięta wokół jego ciała migotała w ostatnich promieniach słońca. Siedział bez ruchu. Widać było, że czekanie mu nie przeszkadza i umie być cierpliwy.

Niewiele się zmienił w ciągu tych dwóch lat, od kiedy Royce, Hadrian, młody książę Alric i mnich o imieniu Myron pomogli mu w ucieczce z więzienia Gutaria.

Tylko broda była nowością. Nie wyglądał też na starca, ale Royce znał jego wiek. Jak zawsze rękawy jego szaty były opuszczone, skrywając fakt, że mężczyzna nie ma rąk.

Obserwowali się wzajemnie - jak dwa duchy spotykające się na rozstajach dróg. Royce ruszył w jego stronę w milczeniu przez polanę.

- Sporo wody upłynęło... Esra, tak? A może powinienem zwracać się do ciebie per pan Haddon?

Mężczyzna przechylił głowę, podnosząc oczy.

- Ja też jestem zachwycony, że cię widzę, Royce.

- Skąd znasz moje imię?

- Jestem czarnoksiężnikiem. A może umknęło to twojej uwagi przy naszym ostatnim spotkaniu?

Royce się uśmiechnął.

- Masz rację, może powinieneś mi to zapisać, żebym znów nie zapomniał.

Esrahaddon uniósł brew.

- To niezbyt niemiłe.

- Skąd wiesz, kim jestem?

- Podczas pobytu w Colnorze widziałem *Spisek przeciw Koronie*. Dekoracje były żałosne, a orkiestracja straszna, ale scenariusz dobry. Szczególnie podobała mi się zuchwała ucieczka z wieży, a mały mnich był zabawny - to zdecydowanie moja ulubiona postać. Byłem też zadowolony z tego, że w historii nie występował czarnoksiężnik. Ciekawe, komu powinienem podziękować za to przeoczenie. Na pewno nie tobie.

- Nie wykorzystali także naszych prawdziwych nazwisk, więc powtarzam pytanie: skąd je znasz?

- Jak byś szukał swojego nazwiska, gdybyś był na moim miejscu?

- Pytałbym ludzi, którzy je znają. Kogo pytałeś?

- Ty byś mi powiedział? Royce zmarszczył brwi.

- Zawsze odpowiadasz pytaniem na pytanie?

- Przepraszam, to nawyk. Przez większą część życia na wolności byłem nauczycielem.

- Inaczej się wyrażasz - powiedział Royce.

- Dziękuję, że zauważyłeś. Bardzo ciężko pracowałem.

Przez ostatnie dwa lata przesiadywałem w wielu gospodach i przysłuchiwałem się rozmowom. Mam talent do języków, opanowałem kilka. Jeszcze nie znam wszystkich potocznych wyrażań, ale dostosowanie się do ogólnych reguł

gramatycznych nie było trudne. W końcu to ten sam język.

Jedyna różnica jest taka, że dialekt, którym mówicie, jest mniej wyrafinowany od tego, do jakiego ja przywykłem.

-A więc dowiedziałeś się, kim jesteśmy, rozpytujac ludzi i ogladajac kiepskie sztuki, a języka nauczyłeś się od pijaków.

Teraz powiedz mi, po co tu jesteś i dlaczego chciałeś, żebyśmy tu przyjechali.

Esrahaddon wstał i powoli obszedł studnię. Spojrzał na skrawek ziemi oświetlony ostatnimi promieniami słońca, przedzierającymi się przez liście topoli.

- Mógłbym ci powiedzieć, że się tu ukrywam albo że słyszałem o trudnej sytuacji tej wioski i przyjechałem pomóc jej mieszkańcom, bo tym się zajmują czarnoksiężnicy. Ale obaj wiemy, że nie uwierzysz w żadną z tych wersji. Nie marnujmy zatem czasu. Ty mi powiedz, po co tu jestem. A moja reakcja ci zdradzi, czy masz rację, czy nie, skoro i tak zamierzasz to zrobić.

- Czy wszyscy czarnoksiężnicy byli tacy irytujący jak ty?

- Niestety, znacznie gorsi. Ja byłem jednym z najmłodszych i najmilszych.

Jakiś młodzieniec - Royce'owi wydawało się, że ma na imię Tad - przybiegł z wiadrem po wodę.

- Robi się późno - powiedział z zatroskanym wyrazem twarzy, nachylając się nad studnią.

Kilka metrów dalej Royce dostrzegł kobietę usiłującą zaciągnąć upartą kozę do domu, podczas gdy chłopczyk popychał zwierzę od tyłu.

- Tad! - rozległo się wołanie i chłopak przy studni gwałtownie się odwrócił.

- Już idę!

Uśmiechnął się, skinął głową każdemu z nich, chwycił

wiadro i pobiegł z powrotem, rozlewając po drodze połowę jego zawartości. Znowu byli sami.

- Myślę, że potrzebujesz czegoś z Avemparthy - powiedział

złodziej do czarnoksiężnika. -1 nie sądzę, żeby chodziło o miecz, którym można uśmiercić demona. Wykorzystałeś tę biedną dziewczynę i jej udręczonego ojca do zwabienia mnie i Hadriana w to miejsce, abyśmy obrócili gałkę u drzwi, której sam nie możesz poruszyć.

Esrahaddon westchnął.

- Sprawiasz mi zawód. Myślałem, że jesteś bystrzejszy, a te ciągłe aluzje do mojego kalectwa robią się już nudne. Nikogo nie wykorzystuję.

- Mówisz, że w tej wieży jest jakaś broń?

- Właśnie tak twierdzę.

Royce przyglądał mu się przez chwilę, po czym się nachmurzył.

- Nie wiesz, czy kłamię, czy nie, co? - Esrahaddon uśmiechnął się zadowolony z siebie.

- Nie sądzę, abyś kłamał, ale nie uważam też, żebyś mówił

prawdę.

Czarnoksiężnik uniósł brwi.

- Już lepiej. Może jest jeszcze nadzieja dla ciebie.

- Może w tej wieży jest jakaś broń. Może nawet za jej pomocą można zabić to, co ich atakuje. Ale być może też wyczarowałeś tę bestię, żeby nas tu ściągnąć.

- To logiczne - powiedział Esrahaddon, kiwając głową. -

Traci chorobliwą manipulacją, ale rozumiem twój tok rozumowania. Tylko że jeśli sobie przypominasz, to ataki na tę wioskę zaczęły się, kiedy byłem jeszcze uwięziony.

Royce znów się nachmurzył.

- To po co tu siedzisz? Esrahaddon się uśmiechnął.

- Musisz zrozumieć, miody człowieku, że czarnoksiężnicy to nie skarbnica wiadomości. Ale jedno powinieneś wiedzieć: gospodarz Theron i jego córka już by nie żyli, gdybym nie przyjechał i nie wysłał jej po was.

- W porządku. Zgadzam się, że cel twojego pobytu tutaj to nie moja sprawa. Ale dlaczego ja tu jestem? Tyle możesz mi powiedzieć, prawda? Po co zadałeś sobie trud, żeby poznać nasze nazwiska i nas odnaleźć

- nawiasem mówiąc, było to naprawdę imponujące

- skoro mogłeś zatrudnić byle jakiego złodzieja do sforsowania zamka i otwarcia wieży?

- Bo do tego nie wystarczy byle kto. Jesteś jedyną znaną mi osobą, która potrafi to uczynić.

- Chcesz powiedzieć, że jestem jedynym złodziejem, którego znasz?

- Ułatwisz sprawę, jeśli będziesz słuchał moich słów. Jesteś jedyną znaną mi osobą, która potrafi otworzyć Avemparthę.

Royce spiorunował go spojrzeniem.

- Poza tym jest tu potwór, który zabija ludzi jak leci

- stwierdził Esrahaddon niespodziewanie poważnym tonem.

- Żadna broń stworzona przez człowieka nie może wyrządzić mu krzywdy. Nic go nie powstrzyma z wyjątkiem miecza, który znajduje się w tej wieży. Musisz znaleźć sposób, żeby się dostać do środka i go zdobyć.

Royce dalej się w niego wpatrywał.

- No dobrze. Masz rację. To niecała prawda, ale tylko tyle jestem skłonny ci zdradzić... na razie. Żeby dowiedzieć się więcej, musisz tam wejść.

- Wykradanie mieczy - wymamrotał do siebie Royce.

- W porządku. Rzućmy okiem na tę wieżę. Im wcześniej ją zobaczę, tym szybciej będę mógł zacząć kłąć.

- Nie - powiedział czarnoksiężnik i spojrzał na ciemniejące niebo. - Zapada noc, musimy się

schować w domu. Pójdziemy tam rano. Teraz zaś musimy się ukryć tak jak inni.

Royce przyglądał się przez chwilę Esrahaddonowi.

- Słyszałem, że jesteś przerażającym czarnoksiężnikiem, który umie wywołać błyskawicę i przynieść góry, a teraz okazuje się, że nie potrafisz nawet pokonać potworka lub otworzyć starej wieży. Myślałem, że dysponujesz większą mocą.

- Dysponowałem - odparł Esrahaddon i po raz pierwszy uniósł ramiona, ukazując dwa kikuty. - Magia przypomina trochę grę na skrzypcach. Piekielnie trudno obyć się bez rąk.

*

Tego wieczoru był gulasz warzywny z porem, selerem, cebulą i ziemniakami duszonymi w cienkim rosole. Hadrian wziął małą porcję. Co prawda niezbyt

się najadł, ale stwierdził, że potrawa jest zadziwiająco smaczna, a po jedzeniu piekło go w ustach.

Lena i Russell Bothwickowie spełnili obietnicę i przyjęli ich pod swój dach. Uprzejmość ta była tym większa, że w ich domku panowała ciasnota. Bothwickowie mieli troje dzieci, cztery świnie, dwie owce i kozę, na którą wołali Mammy. I wszyscy wraz z inwentarzem musieli się pomieścić w jednej izbie. Dołączyły też do nich komary, które na nocnej zmianie zastąpiły muchy. Trudno było oddychać w domu wypełnionym dymem, zapachem zwierząt i parą unoszącą się z rondla. Royce i Hadrian wybrali miejsca jak najbliżej wejścia i usiedli na klepisku.

- Z początku nie znałem się na rolnictwie - powiedział

Russell Bothwick. Jak większość mężczyzn w wiosce nosił

postrzępioną cienką koszulę do kolan, przewiazaną w pasie sznurkiem, i miał pod oczami duże wory. - W Drismoorze byłem wytwórcą świeczek. Pracowałem jako czeladnik w sklepie przy ulicy Hithil. Ib Theron utrzymywał nas przy życiu przez pierwszy rok tutaj. Gdyby nie on i Addie Woodowie, tobyśmy umarli z głodu albo zamazli na śmierć.

Wzięli nas pod swoje skrzydła i pomogli nam zbudować ten dom. To Theron nauczył mnie orać pole.

- Gdy rodziłam bliźniaczki, Addie odebrała poród dodała Lena, nakładając gulasz do półmisków, które Thrace podała dzieciom.

Bliźniaczki i Tad, wygnani na antresolę, spoglądali ze swoich słomianych posłań, opierając brodę na rękach i czujnie obserwując dorosłych.

- A Thrace się nimi opiekowała.

- Nie było żadnej kwestii, żeby u nas zamieszkała oznajmił

Russell. - Chciałbym tylko, żeby Theron też tu przyszedł, ale to uparty człowiek.

- Nie mogę się nadziwić, jaka to piękna suknia - odezwała się ponownie Lena Bothwick, patrząc na Thrace i kręcąc głową.

Russell coś mruknął, ale niewyraźnie, bo miał pełne usta.

Lena się nachmurzyła.

- Właśnie że tak.

Przestała o niej mówić, ale dalej się wgapiła. Była nieco wymizerowana, a proste, jasnobrązowe i krótko przycięte włosy nadawały jej chłopięcy wygląd. Czubek nosa miała tak ostro zakończony, że wydawało się, jakby mogła nim ciąć pergamin. Była piegowata i miała bardzo rzadkie brwi. Dzieci

- zarówno syn, jak i córki - miały podobne fryzury, z kolei Russell był łysy jak kolano.

Thrace raczyła ich opowieściami o swoich przygodach w dużym mieście, o widokach i tabunach ludzi, których tam widziała. Wyjaśniła, że Hadrian i Royce zabrali ją do eleganckiego hotelu. Lena zrobiła zmartwioną minę, ale rozpogodziła się, gdy usłyszała więcej szczegółów. Thrace rozwodziła się nad gorącą kąpielą w balii i perfumowanym mydłem oraz nocy przespanej w olbrzymim łożu z piórami w pokoju z sufitem belkowym. Nie wspomniała o Łuku Sklepikarzy ani o tym, co tam się wydarzyło.

Lena słuchała tak zafascynowana, że zapomniała o reszcie gulaszu, który omal się nie wygotował. Russell ciągle jadł, pomrukując, a Esrahaddon siedział oparty plecami o ścianę między kołowrotkiem a maselnicą Leny i zachowywał się tak cicho, jakby był jednym z cieni w izbie. Jego szata była teraz ciemnoszara. W trakcie obiadu Thrace karmiła go łyżką.

Jak on się musi czuć? - zastanawiał się Hadrian, obserwując ich. Jakie to uczucie mieć kiedyś ogromną władzę, a teraz nie móc nawet utrzymać łyżki w ręku?

Po posiłku Thrace pomogła Lenie w sprzątanii. Odkładając umyte półmiski na półkę, wykrzyknęła:

- Pamiętam ten talerz!

Na jej twarzy wykwitł uśmiech na widok jedyne ceramiczne naczynie w domu. Bładobiały owalny talerz z delikatnymi błękitnymi wzorkami na obrzeżu stał w głębi kredensu wraz z wszystkimi wartościowymi pamiątkami rodzinnymi.

- Pamiętam, że w dzieciństwie Jessie Caswell i ja...

- przerwała i w izbie zapadła cisza. Nawet dzieci przestały robić zamieszanie.

Lena przerwała mycie naczyń i przytuliła Thrace. Hadrian dostrzegł na jej twarzy zmarszczki, których wcześniej nie zauważył. Obie kobiety zaszlochały cicho nad wiadrem brudnej wody.

- Nie powinnaś wracać - szepnęła Lena. - Powinnaś zostać w tamtym hotelu z tamtymi ludźmi.

- Nie mogę go zostawić - Hadrian usłyszał przytłumiony głos Thrace, która opierała głowę na ramieniu Leny. - Tylko jego mam na świecie.

Thrace się odsunęła i Lena usiłowała się do niej uśmiechnąć.

Na dworze zrobiło się ciemno. Ale ze swojego miejsca przy wejściu Hadrian i tak niewiele widział

- gdzieś tam plamki księżycowego światła. Migoczące świetliki zostawiały za sobą jasne smugi. Reszta ginęła w przepastnej czerni lasu.

Russell przysunął sobie taboret tak, żeby usiąść naprzeciwko Royce'a i Hadriana. Podczas zapalania długiej glinianej fajki zapytał:

- A więc przyjechaliście tu, żeby pomóc Theronowi zabić potwora?

- Zrobimy wszystko, co w naszej mocy - odparł Hadrian.

Gospodarz zaciągnął się mocno fajką, aby mieć pewność, że się pali, a następnie zgniótł płonący patyczek na klepisku.

- Theron ma ponad pięćdziesiąt lat. Umie odróżnić zęby od uchwytu wideł, ale nie sądzę, żeby kiedykolwiek trzymał w ręku miecz. Wy wyglądacie mi na takich, którzy widzieli walkę z bliska, a Hadrian ma nie jeden, ale aż trzy miecze.

Człowiek zaś, który nosi trzy miecze, na pewno umie się nimi posługiwać. Wydaje mi się, że dwóch takich jak wy mogłoby zrobić znacznie więcej, niż pomóc staruszkowi dać się zabić.

- Russell! - zganiła go Lena. - To nasi goście. Skoro już tak się zachowujesz, to może także oblejesz ich wrzątkiem?

- Nie chcę patrzeć, jak ten przeklęty głupiec daje się zabić.

Skoro margrabia i jego rycerze nie mieli szans, to jak sobie poradzi Theron, starzec z kosą? Co próbuje udowodnić?

Swoją dzielność?

- Nie próbuje niczego udowodnić - odezwał się nagle Esrahaddon, a jego głos podziałał na nich jak brzęk talerza spadającego na podłogę i wszyscy umilkli. - Zwyczajnie szuka śmierci.

- Co takiego? - spytał Russell.

- On ma rację - potwierdził Hadrian. - Sam widziałem już coś podobnego. Żołnierze, nawet zawodowi, dochodzą do momentu, kiedy mają już dość. A przyczyną tego może być wszystko: jedno cierpienie za wiele, śmierć przyjaciela lub nawet tak błaha zdarzenie jak zmiana pogody. Znałem kiedyś człowieka, który kilkadziesiąt razy prowadził oddziały do ataku, a nie wytrzymał dopiero wtedy, gdy z głodu zarżnięto psa, z którym się zaprzyjaźnił. Naturalnie taki wojownik się nie

poddaje. Odchodzi z godnością, rzucając się w wir walki, której nie może wygrać.

- A więc zmarnowałam wasz czas - powiedziała Thrace. -

Jeżeli mój ojciec nie chce żyć, to nic go nie uratuje, żaden przedmiot z wieży.

Hadrian pożałował, że się odezwał, i dodał:

- Dopóki twój ojciec żyje, dopóty istnieje szansa, że odnajdzie nadzieję.

- Twój ojciec dojdzie do siebie, Thrace - pocieszyła ją Lena.

- Jest twardy jak granit. Zobaczysz.

- Mamo! - zawołało jedno z dzieci z antresoli. Lena nie zwróciła na nie uwagi.

- Nie powinnaś ich słuchać - doradziła. - Oni go nie znają.

- Mamo!

- Naprawdę, powiedziec coś takiego biednej dziewczynie, która już straciła rodzinę...

- Mamo!

- O co, u licha, chodzi, Tad?! - Lena prawie krzyknęła na syna.

- Owce. Spójrz na owce.

Wtedy wszyscy to zauważyli. Stłoczone w narożniku pokoju owce, które zachowywały się spokojnie w trakcie całego posiłku - ukontentowany kłęb wełny, pomyślał

Hadrian - popychały się teraz wzajemnie, napierając na drewnianą przegrodę ustawioną przez Russella. Dzwonek zawieszony na szyi Mammy nieustannie dźwięczał, gdyż koza też wierciła się niespokojnie. Jedna ze świń ruszyła do drzwi i Thrace oraz Lena zdążyły ją złapać w ostatniej chwili.

- Dzieci! Na dół! - nakazała Lena głośnym szeptem.

Cała trójka zeszła zwinnie po drabinie. Widać było, że ćwiczyła ten manewr wielokrotnie. Matka kazała dzieciom stanąć przy niej na środku pokoju. Russell zaś wstał z taboretu i zgasił ogień wodą pozostałą po zmywaniu.

W izbie zaległy ciemności i cisza. Nawet świerszcze na dworze przestały cykać. Chwilę później umilkły też żaby.

Zwierzęta w środku dalej wierciły się i przepychały. Kolejna świnia ruszyła pędem do drzwi. Hadrian usłyszał tylko tupot małych kopyt na klepisku, za to Royce się poruszył i w izbie znowu

zapadła cisza.

- Niech ktoś ją weźmie - szepnął Royce.

Tad ruszył na czworakach w stronę, z której dobiegł głos, i odebrał zwierzę. Czekali w milczeniu.

Z początku dźwięk był słaby i głuchy. Hadriano-wi przypominał sapanie, odgłos pracującego miecha kowalskiego. Przybliżał się i narastał, a jednocześnie przybierał na głębi i potężniał. Dochodził z góry i Hadrian odruchowo podniósł głowę, ale zobaczył jedynie ciemny sufit.

Położył ręce na głowicach mieczy.

Frr. Frr. Frr.

Siedzieli skuleni w ciemności i nasłuchiwali, jak dźwięk się oddalał, a następnie jeszcze raz zrobił się głośniejszy. W

domu ucichł nawet odgłos ich oddechów.

Trach!

Hadrian podskoczył, słysząc silny trzask, jakby po drugiej stronie łąki rozerwało się drzewo. Wybuchła wojna gwałtownych hałasów - odgłosów trzaskania, rozrywania, rozłupywania. A potem krzyk. Kobięcy

głos. Z przeciwnej strony błoni doleciał ich histeryczny i oszalały pisk.

- Dobry Mariborze! To Mae. - Lena się rozplakała. Hadrian zerwał się na nogi. Royce już stał.

- Szkoda waszej fатыgi - powiedział Esrahaddon. - Ona nie żyje i nie możecie nic na to poradzić. Wasza broń nie robi krzywdy potworowi. To...

Ale oni już wybiegli na dwór.

Royce był szybszy i pędził przez łąkę w kierunku domku Mae Drundel. Hadrian nic nie widział, więc biegł na oślep za nim.

Krzyki się urwały - nagle, raptownie.

Royce się zatrzymał i Hadrian omal go nie staranował.

- O co chodzi?

- Dach jest zerwany, a ściany są umazane krwią. Nie ma jej.

To coś też zniknęło.

- Widziałeś coś?

- Między liśćmi. Tylko przez sekundę, ale wystarczyło.

Rozdział 5

Cytadela

Royce i Esrahaddon wyruszyli o brzasku, podążając wąskim szlakiem prowadzącym z wioski. Od chwili przybycia do Dahlgrenu Royce stale słyszał jakiś odległy dźwięk, który teraz, gdy zbliżyli się do rzeki, przerodził się w huk.

Nidwalden była ogromną połącią wzburzonej wody, która gnała i rozbijała się o wystające skały. Royce stał przez chwilę i przyglądał się temu widokowi. Na środku nurtu dostrzegł gałąź, czarnoszary kłębek liści, który podskakiwał

bezradnie, pędząc przed siebie i przemykając między głazami, aż zniknął w białej chmurze.

- Musimy pójść dalej w dół rzeki - wyjaśnił Esrahaddon.

Na skraju wody rosła trawa, na której połyskiwała rosa. W

porannym powietrzu rozbrzmiewały piskliwe melodie wyspiewywane przez ptaki. Nawet mimo grozy grzmiącej rzeki i ciągle żywego wspomnienia domu z zerwanym dachem i zakrwawionymi ścianami to miejsce wydawało się Royce'owi oazą spokoju.

- Jest - powiedział Esrahaddon głosem pełnym szacunku, gdy dotarli do skalistej polany, z której mieli dobry widok na rzekę.

Była szeroka, a jej wody przetaczały się z wściekłą siłą, znikając za krawędzią wodospadu. Na jego środku niczym dziób ogromnego statku, który osiadł na mieliźnie tuż przed zsunięciem się w przepaść, wystawała masywna skalna półka, a na niej wznosiła się cytadela Avempartha. Wyglądała jak trzpień, z którego wychodziły skierowane w górę i podobne do kryształowych iglic lub odwróconych sopli smukłe odnogi.

Jej podstawa zaś ginęła w kłębach mgły i piany utworzonej przez piętrzącą się wodę. Na pierwszy rzut oka budowla wydawała się zwykłą skałą, ale przy dokładniejszych oględzinach można było dostrzec okna, przejścia i starannie wkomponowane schody.

- Jak mam się tam dostać?! - spytał Royce, przekrzykując huk wodospadu.

Targany wiatrem płaszcz trzepotał mu jak skrzydła ptaka.

- To jest pierwszy problem! - odkrzyknął Esrahaddon, nie oferując żadnej pomocnej wskazówki.

Czy to jakaś próba, czy naprawdę nie wie? - pomyślał

złodziej, schodząc po kamieniach do miejsca, w którym ziemia opadała pionowo ponad sześćset metrów w dół. Miał

przed sobą niezrównany widok. Wodospad był wspaniały, a czysta potęga jego niepohamowanych fal działała hipnotyzująco. Olbrzymie masy niebieskozielonej wody spadały do białej kipieli, która

mieniła się jak mgiełka wypełniona brylancikami. Ale widok za wodospadem także zapiera! dech w piersiach. Royce powiódł swoim sokolim wzrokiem wzdłuż rzeki, która wiła się jak lśniący wąż przez zielony krajobraz i wpadała aż do Morza Chochliczego.

Esrahaddon wybrał dla siebie bardziej zaciszne miejsce na skarpie, gdzie schował się za granitowym wypiętrzeniem, oddzielającym go od podmuchów wiatru i mgły wodnej. Gdy Royce wracał do niego, zauważył na brzegu rzeki pas młodszych drzew, tworzących coś w rodzaju żlebu w wysokim zielonym baldachimie. Co ważniejsze, linia ta była idealnie prosta. Royce rozkopał w jej obrębie fragment podszycia i odgarnął kilka warstw ziemi i zwiędłych liści, aż dotknął płaskiego kamienia.

- Tu mogła być droga! - krzyknął do czarnoksiężnika.

- Była. Niegdyś do Avemparthy prowadził wielki most!

- Co się z nim stało?!

- To sprawa rzeki - odrzekł czarnoksiężnik. - Nid-walden nie toleruje zbyt długo wytworów człowieka. Większa część mostu została prawdopodobnie zmyta, reszta spadła na dno.

Royce podążył zarośniętą drogą na skraj rzeki, gdzie przystanął, by spojrzeć jeszcze raz na wieżę. Obok niego pędziły szare masy wody, choć wielkość rozlewiska sprawiała, że miało się wrażenie, iż wcale tak szybko nie płyną. Royce słyszał jedynie ogłuszający huk.

- To niemożliwe - wymamrotał.

Wrócił do czarnoksiężnika i usiadł na ogrzanej przez słońce skale. Popatrzył na odległą wieżę otoczoną mgiełką i powstającymi w niej tęczkami.

- Chcesz, żebym ją otworzył? - zapytał z powagą. - Czy to jakaś gra?

- To nie jest gra - odparł Esrahaddon, również siadając i opierając się plecami o skalę.

Skrzyżował ramiona i przymknął oczy, a Royce'a nieco irytował jego spokój.

- To lepiej zacznij mówić.

- Co chcesz wiedzieć?

- Wszystko. Wszystko, co ty wiesz o tym miejscu.

- Niech sobie przypomnę... Byłem tu jeden raz bardzo dawno temu. Ale oczywiście wtedy miejsce to wyglądało inaczej. Przede wszystkim stał jeszcze most Novrona i można było swobodnie dojść do wieży.

- A więc most był jedyną drogą do niej?

- Ależ skąd, nie sądzę. Gdyby tak było, nie miałyby to sensu. Elfy zbudowały Avemparthę, zanim ludzkość chodziła po powierzchni Elanu. Nikt... żaden człowiek... nie wie po co.

Choć usytuowanie jej na tym wodospadzie, skierowanym ku Morzu Chochliczemu, może sugerować, że elfy wykorzystywały ją do obrony przed dziećmi Uberlina, które wy zapewne nazywacie po krasnoludzką Ba Ran Ghazelowie, morskie chochliki - to mało prawdopodobne, bo wieża jest starsza także i od nich. Może kiedyś było tu nawet miasto.

Niewiele elfich osiągnięć zachowało się w Apeladornie, ale elfy miały bajeczną kulturę, bardzo rozwiniętą w zakresie wszelkich sztuk.

- Masz na myśli również magię? Czarnoksiężnik otworzył

jedno oko i spojrzał na niego, marszcząc czoło.

- Tak, i nie patrz na mnie tak, jakby magia była czymś nieczystym albo podłym. Od chwili ucieczki zbyt wiele razy spotkałem się z takim nastawieniem.

- Cóż, ludzie nie uważają jej za nic dobrego. Esrahaddon westchnął i pokręcił głową.

- To przykre, co się stało ze światem w czasie mojego uwięzienia. Przeżyłem i pozostałem przy zdrowych zmysłach, ponieważ wiedziałem, że pewnego dnia będę mógł odegrać swoją rolę - ochronę ludzkości. Ale teraz stwierdzam, że już prawie szkoda zachodu. Gdy byłem

młody, świat był nadzwyczajnym miejscem. Miasta były tak wspaniałe, że wasza Colnora nie nadawałaby się nawet dla biedoty w najmniejszym z nich. Mieliśmy instalacje wodociągowe - odkręcało się kurek i w domu leciała woda. A dzięki kanalizacji ulice nie cuchnęły jak kloaki. Budynki miały po osiem i dziewięć pięter, a niektóre nawet dwanaście.

Mieliśmy szpitale, w których chorzy wracali do zdrowia.

Mieliśmy biblioteki, muzea, świątynie i szkoły wszelkiego rodzaju. Ludzkość roztrwoniła spadek po Novronie - ciągnął.

- Czuję się tak, jakbym położył się spać jako bogacz i obudził

jako nędzarz. - Przerwał na chwilę. - No i jeszcze to, co tak nieudolnie nazywacie magią. Sztuka oddzieliła nas od zwierząt. To było największe osiągnięcie naszej cywilizacji. A teraz nie tylko ją zapomniano, ale także się ją potępia. Za moich czasów tych, którzy umieli rozkazywać naturalnym siłom świata, uważano za pośredników bogów - świętych.

Dzisiaj, jeżeli przez przypadek zgadniesz, jaka będzie jutro pogoda, spalą cię na stosie. A ludzie... ludzie byli szczęśliwi.

Nie było biedoty mieszkającej na ulicy. Ani wieśniaków pozbawionych nadziei, którzy z trudem zdobywają posiłek albo mieszkają w ruderach z trojgiem dzieci, czterema świniami, dwiema owcami i kozą, gdzie z much można by zrobić gęstszy gulasz niż z posiadanych przez nich warzyw. -

Esrahaddon rozejrzał się ze smutkiem. - Jako czarnoksiężnik poświęciłem życie zgłębianiu prawdy i wykorzystaniu jej w służbie imperatorowi. I nigdy nie zdołałem odkryć głębszej ani służyć mu lepiej niż wtedy, kiedy tu przybyłem. Mimo to z wielu względów tego żałuję. Gdybym pozostał w domu, już dawno miałbym swe życie za sobą - ale życie szczęśliwe i cudowne.

- A co z wieżą?

Czarnoksiężnik spojrzął na eleganckie szpice wystające ponad mgiełkę.

- Avempartha była miejscem ostatniej walki podczas wielkich wojen elfickich. Novron odpędził elfy aż do Nidwaldenu, ale utrzymały się tu, umacniając swoją pozycję w wieży. Novron jednak nie zamierzał pozwolić, żeby powstrzymało go trochę wody, i rozkazał postawić most. Jego budowa trwała osiem lat i kosztowała życie setki ludzi, z których większość spadła z wodospadu. Ale wreszcie go ukończono. Zdobycie cytadeli zabrało Novronowi kolejne pięć lat i czyn ten miał znaczenie tyleż symboliczne, ile strategiczne

- zmusił elfy do uznania tego, że nic mu nie przeszkodzi w zmieceniu ich z powierzchni Elanu. Wtedy też zdarzyło się coś bardzo ciekawego, co do dziś pozostaje tajemnicą.

Podobno Novron zdobył róg Gylin-dora i za jego pomocą zmusił elfy do bezwarunkowej kapitulacji. Rozkazał im zniszczyć swoich agentów i maszyny wojenne i wycofać się na drugą stronę rzeki

- i nigdy więcej jej nie przekraczać.

- A więc pierwszy most tutaj zbudował Novron?

- Tak. To właśnie stanowiło problem. Nie było jak dostać się do wieży.

- A jak to robiły elfy?

- Ot. - Czarnoksiężnik wzruszył ramionami.

- A więc nie wiesz?

- Jestem stary, ale nie aż tak. Novron to odleglejsza przeszłość dla mnie niż moje czasy dla ciebie.

- A więc rozwiązanie zagadki istnieje, tylko że nie jest oczywiste.

- Myślisz, że w przeciwnym razie Novron poświęciłby osiem lat na budowę mostu?

- A dlaczego sądzisz, że ja mogę znaleźć rozwiązanie?

- Nazwijmy to wyczuciem.

Royce spojrzął na niego z zaciekawieniem.

- Masz na myśli przecucie? Czarnoksiężnik wyglądał na poirytowanego.

- Wciąż mam braki w słownictwie.

Royce utkwił wzrok w wieży, zastanawiając się, dlaczego wykradzenie mieczy nigdy nie jest proste.

*

Nabożeństwo odprawione ku czci Mae Drundel przebiegło w smutnej i pełnej szacunku atmosferze, choć Hadrianowi wydawało się niemal rutynowe. Nie było niezręcznych chwil, zająknięć czy pomyłek. Każdy dobrze znał swoją rolę, jakby mieszkańcy Dahlgrenu zamienili się w zawodowych żałobników, którym jednak nie płacono za usługę.

Jedynym bardziej osobistym wspomnieniem nieboszczki, jakie się pojawiło w trakcie uroczystości, były słowa diakona Tomasa na temat jej oddania dla zmarłej już rodziny i Kościoła. A ponieważ synowie Mae zachorowali śmiertelnie przed ukończeniem szóstego roku życia, a męża zabiła bestia niespełna pięć miesięcy wcześniej, diakon wypowiedział

publicznie to, o czym prawie wszyscy myśleli: że choć śmierć Mae była straszna, dla niej być może nie była taka zła. Niektórzy nawet twierdzili, że przez ostatnie dwie noce kobieta zostawiała w oknie zapaloną świeczkę, jakby na znak zaproszenia dla potwora.

Jak zwykle nie znaleziono ciała, toteż wbito jedynie w ziemię pobielony palik z wypalonym nazwiskiem Mae, umieszczając go obok pozostałych z nazwiskami Daviego, Firtha i Wenta Drundelów.

Na nabożeństwie zjawili się wszyscy z wyjątkiem Royce'a i Esrahaddona. Przyszedł nawet Theron Wood, żeby złożyć hołd starej sąsiadce. A ponieważ wyglądał jeszcze gorzej niż wieczorem, Hadrian podejrzewał, że nie zmrużył oka przez całą noc. Potem wszyscy zjedli wspólny południowy posiłek.

Mężczyźni ustawili rząd stołów przez całą szerokość łąki i każda rodzina przyniosła jakąś potrawę - najczęściej wędzoną rybę, kiskę (wyrabianą ze świńskiej krwi, mleka, tłuszczu zwierzęcego, cebuli i mąki owsianej) oraz baraninę.

Hadrian stał z tyłu, opierając się o cedr, i obserwował, jak pozostali zajmują miejsca w szeregu.

- Poczęstuj się - zaprosiła go Lena.

- Niewiele tu tego jest. Mam zapasy w torbie - zapewnił ją.

- Bzdura. Nie zgodzimy się na to. Na stypie każdy się częstuje. Mae by tak chciała, a zresztą po co jest pogrzeb, jeśli nie po to, żeby złożyć wyrazy szacunku zmarłej osobie?

Wpatrywała się w niego dopóty, dopóki nie skinął głową i nie rozejrzał się po stołach za jakimś talerzem.

- A więc to twoje konie trzymam w stajni w grodzie? -

rozległ się czyjś głos.

Hadrian odwrócił się i zobaczył pulchnego mężczyznę w habicie - pierwszą mieszkającą tu osobę, która nie wyglądała na wygłodzoną. Miał duże różowe policzki i gdy się uśmiechał, oczy zwięzały mu się w szparki. Nie wyglądał

staro, ale zarówno włosy, jak i brodę miał białe.

- Jeśli jesteś diakonem Tomasem, to tak - odparł Hadrian.

- Jestem i wcale mnie to nie cieszy. W nocy czuję się strasznie samotny w tym wielkim dworze na wzgórzu. Wtedy każdy dźwięk - trzask okiennicy pchniętej przez wiatr, skrzywienie krokwi - może nieźle przerazić. Ale teraz mogę przynajmniej winę za te hałasy zwalić na twoje konie. Co prawda są w stajni, która stoi dość daleko, lecz nikt nie zabroni mi udawać. - Diakon zachichotał pod nosem. - Ale szczerze mówiąc, przywykłem do obcowania z ludźmi i ciężko znoszę pobyt w takim odosobnionym miejscu -

zakończył, nakładając sobie pełen talerz baraniny.

- To rzeczywiście musi być straszne. Ale założę się, że jedzenie jest tam dobre. Szlachcice umieją się zaopatrzyć, prawda?

- Tak, naturalnie - odrzekł diakon. - Prawdę mówiąc, margrabia zgromadził pokaźny zapas wędzonych mięs, nie wspominając o piwie i winie, aleja biorę tylko to, czego potrzebuję.

- Oczywiście - zgodził się Hadrian. - Już po twoim wyglądzie domyśliłem się, że nie należysz do tych, którzy wykorzystują sytuację. Ty dostarczyłeś piwo na stypę?

- Ależ skąd! - zaprzeczył diakon przerażony. - Nie śmiałbym tak grabić dworu. Jak sam powiedziałaś, nie należę do tych, którzy wykorzystują sytuację, i nie mogę się rządzić cudzymi zapasami.

- Rozumiem.

- Na Maribora, tylko spójrz na ten ser - zachwycił się diakon, biorąc trójkątny kawałek i wpychając go sobie do ust.

- Jedno muszę przyznać - powiedział z pełnymi ustami. - W

Dahlgrenie naprawdę umieją wyprawić stypę.

Po dotarciu do końca stołów Hadrian rozejrzał się za wolnym miejscem.

- Wstawajcie, dzieciaki! - krzyknął diakon na Tada i Pearl. -

Nie musicie siedzieć na ławce, idźcie na trawę.

Zmarszczyli brwi, ale wstali.

- Hej ty, Hadrian, tak? Siadaj obok mnie i powiedz mi, co sprowadza do Dahlgrenu właściciela konia i trzech mieczy.

Tuszę, że nie jesteś szlachcicem, bo wczoraj wieczorem zapukałbyś do moich drzwi.

- To prawda, nie jestem. Ale przy okazji nasuwa mi się pytanie: w jaki sposób odziedziczyłeś dwór?

- Hm? Odziedziczyłem? Och, niczego nie odziedziczyłem.

Pomoc w takich tragicznych sytuacjach to zwyczajnie mój obowiązek jako urzędnika publicznego. Po śmierci margrabiego i jego ludzi wiedziałem, że muszę pokierować tą strapioną trzódką i dopilnować interesów króla. Tak więc znoszę trudy tego życia i robię, co mogę.

- Na przykład?

- Co na przykład? - spytał diakon, wbijając zęby w kawał

baraniny. Po odgryzieniu kęsa wargi i policzki błyszczą mu od tłuszczu.

- Co zrobiłeś w ramach pomocy?

- Cóż, niech pomyślę... Sprzątam we dworze, utrzymuję porządek na podwórku i podlewam ogród. Naprawdę trzeba pleć chwasty, bo ogród by zarósł i nie przetrwałoby żadne warzywo. Aha, i jeszcze jak mnie bolą od tego plecy! Zresztą nigdy nie były silne.

- Miałem na myśli ataki. Jakie podjąłeś kroki, żeby chronić wioskę?

- No cóż... - zachichotał diakon - jestem duchownym, a nie rycerzem. Nawet nie umiem dobrze trzymać miecza, a nie dysponuję armią, prawda? Tak więc poza żarliwą modlitwą niewiele mogę w tej sprawie zrobić.

- Rozwagałeś wpuszczenie mieszkańców wioski na noc do dworu? Nie wiem, co to za stwór, ale strzecha nie sprawia mu kłopotu. Dwór zaś ma mocny dach i grube ściany.

Diakon pokręcił głową, spoglądając na Hadriana z uśmiechem tak, jak dorosły mógłby spojrzeć na dziecko, które zapytało, dlaczego na świecie są biedacy.

- To by nic nie dało. Poza tym jestem pewny, że następny lord nie byłby zadowolony z zajęcia jego domu przez całą wioskę.

- Ale masz świadomość, że lord odpowiada za swoich poddanych? Dlatego płacą mu podatek. Jeśli lord nie ma ochoty ich ochraniać, to czemu mieliby mu płacić, oddawać plony czy nawet okazywać szacunek?

- Może nie zauważyłeś - odparł diakon - ale jesteśmy w okresie przejściowym i jeszcze nie ma

nowego lorda.

- A więc nie zamierzasz już ściągać podatków z tych ludzi dopóty, dopóki nie zyskają ochrony?

- Nie to miałem na myśli...

- Zatem zamierzasz wywiązywać się z obowiązków namiestnika?

- Cóż, ja...

- Teraz rozumiem twoje wahanie przed przekroczeniem swoich uprawnień i otwarciem dworu dla mieszkańców wioski i jestem pewien, że zdecydujesz się na drugie rozwiązanie.

- Drugie? - Duchowny trzymał przy ustach kolejny kawałek baraniny, ale po słowach Hadriana zapomniał o jedzeniu.

- Tak, w zastępstwie lorda masz obowiązek ochraniać tę wioskę, a skoro nie chcesz wpuścić tych ludzi do dworu na noc, wyruszysz zapewne w pole, żeby walczyć z bestią.

- Walczyć? - Diakon upuścił mięso na kolana. - Nie sądzę...

Zanim jednak zdążył cokolwiek dodać, Hadrian podjął swój wywód:

- Dobra wiadomość jest taka, że mogę ci w tym pomóc.

Mam dodatkowy miecz, jeśli nie posiadasz żadnego. A skoro byłeś taki uprzejmy i pozwoliłeś mi wstawić konia do stajni, to ja odwzajemnię ci się przynajmniej tak, że ci go pożyczę.

Słyszałem, że już odkryto legowisko bestii, więc sprawa wydaje się prosta...

- Ja... nie przypominam sobie, abym mówił, że przenocowanie ludzi we dworze nie wchodzi w rachubę

- powiedział diakon głośno, aby przerwać Hadrianowi. A ponieważ kilku ludzi odwróciło głowy w ich stronę, zniżając głos, duchowny dodał: - Ja tylko powiedziałem, że będę musiał się nad tym głęboko zastanowić. Widzisz, rola przywódcy nie należy do łatwych i muszę rozważać skutki każdego swojego czynu, bo mogą one być zarówno pozytywne, jak i negatywne. Tak, w tych sprawach nie wolno się śpieszyć.

- To całkiem zrozumiałe i bardzo mądre podejście

- zgodził się Hadrian, mówiąc tak, by słyszeli go inni.

- Ale margrabia zginął ponad dwa tygodnie temu, więc jestem pewien, że już podjąłeś decyzję.

Kilku mieszkańców wioski spojrzało na diakona z zaciekawieniem. Ci, którzy skończyli posiłek, podeszli bliżej.

Jednym z nich był Dillon McDern, który górował wzrostem nad resztą.

- Ja... ach.

- Słuchajcie! - wykrzyknął Hadrian. - Podejdźcie tu, bo diakon chce z nami porozmawiać o obronie wioski.

Tłum żałobników zebrał się wokół studni z talerzami w ręku. Wszystkie oczy zwróciły się na diakona Tomasa, który nagle zaczął wyglądać jak królik schwyty w sidła.

- Ja... mmm... - zaczął niepewnie duchowny, po czym zgarbił się i powiedział głośno: - Z powodu niedawnych ataków na domy zapraszam wszystkich do nocowania w grodzie.

W tłumie przeszedł szmer, po czym Russell Bothwick zawołał:

- Będzie tam dość miejsca dla wszystkich?! Diakon sprawiał

wrażenie, jakby chciał ponownie

rozważyć swoją propozycję, dlatego Hadrian wstał i powiedział:

- Na pewno znajdzie się tam dużo miejsca dla wszystkich kobiet, dzieci i większości żonatych mężczyzn. Kawalerowie od trzynastego roku wzwyż mogą przenocować w stajniach, wędzarni i dobudówkach. Każdy z tych budynków ma mocniejsze ściany i dachy od chałup w wiosce.

Wszyscy zaczęli się teraz gromadzić na dobre.

- A żywy inwentarz? Mamy zostawić zwierzęta bestii? -

spytał gospodarz, którego Hadrian nie rozpoznał. - Nie będziemy mieli mięsa, wełny, zwierząt do pomocy przy pracy w polu.

- Muszę myśleć o Amble i Ramble - powiedział McDern. -

Dahlgren byłoby w kiepskiej sytuacji, gdybym pozwolił, żeby coś się stało moim wołom.

Hadrian wskoczył na gawędź studni, by wszyscy go widzieli, i oparł się ręką o kołowrót.

- Jest wiele miejsca dla wszystkich zwierząt w obrębie palisady, gdzie będą bezpieczniejsze niż przy waszych domach. Pamiętajcie, że większa liczebność oznacza większe bezpieczeństwo. Jeżeli ktoś siedzi sam w ciemności, to łatwo go zabić, ale stwór nie odważy

się tak szybko wtargnąć do ogrodzonego grodu, kiedy wszyscy mieszkańcy wioski będą go obserwować. Możemy też rozpaścić ogniska za ogrodzeniem, żeby lepiej widzieć.

Ludzie głośno westchnęli.

- Ale światło zwabia stwora!

- Z tego, co zauważyłem, to bestia bez trudu znajduje was w ciemności.

Mieszkańcy wioski spojrzeli teraz na diakona Tomasa, a potem z powrotem na Hadriana.

- Skąd wiesz? - zapytał ktoś z tłumu. - Skąd w ogóle coś o tym wiesz? Nie jesteś tutejszy.

- To demon od Uberlina! - krzyknął ktoś inny.

- Nie możecie go powstrzymać! - wrzasnęła kobieta po prawej stronie. - Jedyne skutki zebrania się w kupę może być taki, że stworowi będzie łatwiej nas zabić.

- On nie chce was zabić od razu i nie jest demonem

- zapewnił ich Hadrian.

- Skąd wiesz?

- Zabija pojedynczo. Dlaczego? Jeśli potrafił w kilka sekund rozwalić dom Theron Wooda albo zerwać dach w chacie Mae Drundel, to z łatwością mógłby zniszczyć całą wioskę w jedną noc, ale tego nie robi. Nie chce zabić was wszystkich od razu. Zabija dla pożywienia. Ta bestia to nie demon, to drapieżnik.

- Mieszkańcy wioski zastanawiali się nad tym w milczeniu, a Hadrian ciągnął: - Słyszałem, że nikt nie widział tego stwora i nie przeżyła żadna jego ofiara. To mnie wcale nie dziwi.

Myślicie, że uda wam się to, jeśli będziecie siedzieć samotnie w ciemności? Nikt go nie widział, bo on nie chce, żeby ktoś go zobaczył. Jak drapieżnik kryje się dopóty, dopóki nie rzuci się do ataku, i jak drapieżnik poluje na najsłabszą zdobycz: wybiera

zblakanych, młodych, starych lub chorych. Sami podzieliliście się na małe posiłki. Zrobiliście z siebie łatwy cel, któremu trudno się oprzeć. Jeśli się zbierzemy, może stwór zamiast na nas będzie wolał zapolować na jelenia lub wilka?

- A jeżeli się mylisz? A co, jeżeli nikt go nie widział, bo to demon, którego nie można zobaczyć? To może być niewidzialny duch, który karmi się panicznym strachem. Mam rację, diakonie?

- Aaa... cóż... - zaczął duchowny.

- To mógłby być duch, ale nim nie jest - zapewnił ich Hadrian.

- Skąd wiesz?

- Bo mój przyjaciel widział go zeszłej nocy.

To zaskoczyło zebranych i z miejsca ludzie zaczęli między sobą rozmawiać. Hadrian dostrzegł Pearl,

która siedziała na trawie i patrzyła na niego. Kilka osób naraz zadało pytanie i Hadrian machnął ręką, żeby się uciszeli.

- Jak to coś wyglądało? - spytała kobieta z opaloną twarzą i białą chustką na głowie.

- Nie widziałem go osobiście, więc wolałbym, żeby Royce sam wam opowiedział. Wróci przed zmierzchem.

- Jak mógł cokolwiek zobaczyć w ciemności? - spytał

sceptycznie jeden ze starszych gospodarzy. - Po usłyszeniu krzyku wyrząłem na zewnątrz i zobaczyłem taką samą ciemność, jaka panuje na dnie studni.

- Dostrzegł świnie! - wykrzyknął Tad Bothwick.

- O czym mówisz, chłopcze? - spytał Dillon McDern.

- O świni. Zeszłej nocy w naszym domu - odparł Tad podekscytowany. - Było ciemno i świnia zaczęła pędem biec w stronę drzwi, ale on ją zobaczył i złapał.

- To prawda - przypomniał sobie Russell Bothwick.

- Dopiero co zgasiliśmy ogień i nie zdołałbym zobaczyć ręki przed twarzą, a ten gość złapał biegnącą świnie. Może faktycznie coś widział.

- Chodzi o to - ciągnął Hadrian - że będziemy mieli większą szansę na przeżycie, jeśli będziemy się trzymać razem.

Diakon uprzejmie zaprosił nas, abyśmy się przyłączyli do niego i schronili za mocnymi murami i pod solidnym dachem.

Uważam, że powinniśmy zaufać jego mądrości i zacząć planować przegrupowanie i zebranie drewna przed nadejściem wieczoru. Wciąż mamy mnóstwo czasu, żeby rozpalić duże ogniska.

Ludzie patrzyli na Hadriana i kiwali głowami. Nadal część z nich wyglądała na nieprzekonanych, ale nawet w sceptykach pojawiła się iskra nadziei. Zaczęły się tworzyć grupki, które planowały działania.

Hadrian usiadł i zabrał się do jedzenia. Nie przepadał za kaszanką, więc ograniczył się do wędzonej ryby, która smakowała cudownie.

- Przyprowadzę woły - usłyszał głos McDerna.

- Brent, idź po furmankę i przynieś też siekierę.

- Będziemy potrzebowali łopat i piły Wenta - powiedział

Vince Griffin. - Zawsze pilnował, żeby była naostrzona.

- Poślę po nią Tada - oświadczył Russell.

- To prawda?

Hadrian podniósł głowę znad talerza i zobaczył Pearl, która przed nim stała. Miała buzię nie mniej umorusaną niż poprzedniego dnia.

- Czy twój przyjaciel... naprawdę złapał świnię w ciemności?

- Jeśli mi nie wierzysz, możesz sama go zapytać wieczorem.

Spojrzał ponad głową dziewczynki i dostrzegł Thrace.

Siedziała sama na ścieżce za grobami Caswellów i wycierała rękoma policzki. Położył swój pusty talerz na stole, uśmiechnął się do Pearl i ruszył w stronę córki Wooda.

Thrace nie podniosła głowy, więc przykucnął obok niej.

- Co się stało?

- Nic. - Pokręciła głową, ukrywając twarz za kurtyną włosów.

Hadrian rozejrzał się po ścieżce, a potem spojrzał na mieszkańców wioski. Kobiety chowały już jedzenie, a mężczyźni zbierali narzędzia. Wszyscy rozmawiali z ożywieniem.

- Gdzie twój ojciec? Widziałem go wcześniej.

- Wrócił do domu - odparła, pociągając nosem.

- Co ci powiedział?

- Nic. Nic mi nie jest. - Wstała, wygładziła suknię i otarła oczy. - Powinnam pomóc przy sprzątanii, przepraszam.

*

Hadrian wszedł na polanę i jeszcze raz popatrzył na to, co zostało z domu Wooda. Krokwie przechylone w jedną stronę, konstrukcja w drzazgach, strzecha rozrzucona - tak wyglądają roztrzaskane marzenia. Gospodarstwo sprawiało wrażenie przekłętego, nawiedzonego przez duchy, tyle że głównego ducha chwilowo w nim nie było. Ani śladu po starym gospodarzu, a porzucona kosa stała oparta o zrujnowaną ścianę.

Hadrian wykorzystał okazję, żeby zerknąć do środka na rozbite meble, zniszczone rzeczy i plamy krwi. Na środku izby, obok kołyski stało jedno krzesło.

Po jakimś czasie Theron Wood wrócił z rzeki, dźwigając na ramionach nosidło z dwoma wiadrami pełnymi wody. Gdy zobaczył Hadriana, minął go, nawet nie zwalniając kroku.

Postawił wiadra na ziemi i zaczął przelewać z nich wodę do trzech dużych dzbanów.

- Znow tu jesteś? - spytał, nie podnosząc głowy. -

Powiedziała mi, że zapłaciła wam srebrem, żebyście tu przyjechali. Tym się zajmujecie? Wykorzystywaniem naiwnych dziewcząt? Wyłudzeniem od nich ciężko zarobionych pieniędzy, a potem objadaniem biednych wieśniaków? Jeśli przyszedłeś zobaczyć, czy zdołasz ze mnie więcej wydusić, to czeka cię rozczarowanie.

- Nie przyszedłem po pieniądze.

- Nie? To po co? - spytał, przechylając drugie wiadro. - Jeśli naprawdę chodzi ci o wydostanie z tej wieży pałki, miecza czy czegośkolwiek, co według tego szalonego kaleki tam jest, to czy nie powinieneś w tej chwili próbować dostać się tam wpław?

- Mój wspólnik właśnie nad tym pracuje.

- Aha, to on jest od pływania, tak? A ty od oskubywania biednych, nieszczęśliwych chłopów? Już widziałem takich jak ty: rozbójników, oszustów. Zmuszacie ludzi do płacenia, strasząc ich śmiercią. Lecz tym razem to się nie uda, przyjacielu.

- Już ci mówiłem, że nie chodzi mi o pieniądze. Theron upuścił kubek na ziemię i w końcu odwrócił się do niego.

- A więc po co tu przy laźleś?

- Wcześniej wyszedłeś ze stypy i mogłeś nie słyszeć, że wszyscy mieszkańcy wioski przenocują dziś w obrębie murów grodu.

- Dzięki za powiadomienie - rzucił mężczyzna, po czym odwrócił się i zaczął korkować dzbany. Gdy skończył, podniósł głowę i rozdrażniony rzucił: - Jeszcze tu jesteś?

- Umiesz walczyć? - spytał Hadrian. Wood spiorunował go spojrzeniem.

- Nie twoja sprawa.

- Jak sam zauważyłeś, twoja córka sporo nam zapłaciła, żebyśmy pomogli ci zabić tego potwora. Mój przyjaciel usiłuje zdobyć dla ciebie odpowiednią broń. Moje zadanie polega na tym, abyś umiał się nią posłużyć, kiedy już ją dostaniesz.

Theron Wood przesunął językiem po górnych zębach.

- Zamierzasz mnie uczyć, tak?

- Coś w tym guście.

- Nie potrzebuję szkolenia. - Podniósł wiadra i nosidło i ruszył w swoją stronę.

- Nie masz zielonego pojęcia o walce. Trzymałeś kiedyś w ręku miecz?

Theron odwrócił się na pięcie.

- Nie, ale przeorałem pięć akrów ziemi w jeden dzień. Od rana do południa narzynałem pół sąga drzewa. Przeżyłem w śnieżycy piętnaście kilometrów od schronienia i jednej nocy straciłem całą rodzinę! Masz o tym jakieś pojęcie?

- Nie całą rodzinę - przypomniał mu Hadrian.

- Tych, którzy się liczyli.

Hadrian wyjął miecz i ruszył w kierunku Theron. Stary gospodarz patrzył na niego obojętnym wzrokiem.

- To miecz bastardowy - wyjaśnił Hadrian, po czym upuścił

broń przy nogach gospodarza i odsunął się nieco. - Myślę, że jest odpowiedni dla ciebie. Podnieś go i zamachnij się na mnie.

- Mam ważniejsze rzeczy do roboty od tych gier -

odpowiedział Theron.

- Tak samo jak miałeś ważniejsze rzeczy do roboty od zatroszczenia się o rodzinę tamtej nocy?

- Uważaj, co mówisz, chłopcze.

- Od pilnowania swojego biednego, bezbronego wnuka? O

co naprawdę chodziło, Theron? Dlaczego pracowałeś wtedy tak długo? I nie opowiadaj mi tu bajek o zarabianiu na syna.

Chciałeś zdobyć w tym roku dodatkowe pieniądze na coś dla siebie. Na coś, co według ciebie było ci tak bardzo potrzebne, że pozwoliłeś swojej rodzinie umrzeć.

Gospodarz podniósł miecz. Oddychał ze świstem, wydymając policzki. Odchylił się.

- Nie pozwoliłem im umrzeć. To nie ja!

- Za co ich przehandlowałeś, Theron? Za jakieś marzenie głupca? W nosie miałeś swojego syna. Chodziło tylko o ciebie. Chciałeś być dziadkiem sędziego. Chciałeś być ważną figurą, prawda? I zrobiłbyś wszystko, żeby to marzenie się ziściło. Pracowałeś do późna. Nie było cię w domu. Gdy

zjawił się stwór, byłeś na polu. To dlatego twój syn zginął?

Nigdy cię nie obchodził. Nie jest tak? Myślisz tylko o sobie.

Gospodarz ruszył na Hadriana i trzymając oburącz miecz, zamachnął się na niego. Hadrian odsunął się i zamaszty cios chybił celu, a rozpedzony miecz obrócił Wooda i gospodarz upadł na ziemię.

- Pozwoliłeś im umrzeć, Theron. Nie zachowałeś się jak mężczyzna. Mężczyzna ma chronić rodzinę. A ty co zrobiłeś? Pracowałeś na polu na coś, czego ty pragnąłeś.

Co ty musiałeś mieć.

Theron pozbierał się i znów zaatakował. Hadrian ponownie odsunął się na bok. Tym razem jednak Wood zdołał utrzymać się na nogach, choć wymachiwał mieczem z jeszcze większą zawziętością. Hadrian wyjął swój krótki miecz i zaczął

odparowywać ciosy. Stary gospodarz wpadł we wściekłość i uderzał jak szalony, wywijając bronią, jakby rąbał drzewo siekierą, a przy każdym cięciu tracił częściowo równowagę.

Niebawem Hadrian nie musiał już odbijać jego ciosów i tylko schodził z drogi coraz bardziej zacietrizwionemu Theronowi.

W końcu stary człowiek upadł na ziemię wycieńczony. Do oczu napłynęły mu łzy.

- To nie ja ich zabiłem! - wrzasnął. - To ona! Zostawiła zapalone światło i otwarte drzwi.

- Nie, Theronie. - Hadrian wyjął miecz z wiotkich rąk gospodarza. - Thrace nie zabiła twojej rodziny i ty też nie.

Zrobiła to bestia. - Schował broń do pochwy. - Nie możesz winić jej za to, że zostawiła drzwi otwarte. Nie wiedziała, co się stanie. Nikt z was nie wiedział. Gdybyś to przewidział, nie ruszyłybyś się z domu. Gdyby twoja rodzina wiedziała, zgasiłaby światło. Im wcześniej przestaniesz obwinać o to niewinnych ludzi i spóbujesz przerwać to nieszczęście, tym lepiej wszyscy na tym wyjdą. Theronie, może twoja broń jest ostra jak brzytwa, ale jaki pożytek z takiej broni, jeśli nie można trafić nią w cel albo, jeszcze gorzej, trafia się w niewłaściwy. Nie wygrywa się bitew nienawiścią. Gniew i nienawiść dodają odwagi, siły, ale również oglupiają.

Człowiek potyka się o własne nogi. - Przez chwilę wpatrywał

się w starego człowieka. - Myślę, że wystarczy nauki na dzisiaj.

*

Royce i Esrahaddon wrócili niecałą godzinę przed zachodem słońca i zobaczyli korowód zwierząt na drodze.

Wyglądało na to, że wędrował nią cały żywy inwentarz wioski, poganiany przez ludzi z kijami i

dzwonekami, garnkami i łyżkami. Owce i krowy szły posłusznie gęsiego, natomiast świnie stwarzały problemy. Cały pochód jednak zamykała Pearl, która po mistrzowsku panowała nad nimi, machając swoim kijem.

Pierwsza dostrzegła ich Rose McDern, żona kowala, i nagle Royce usłyszał podekscytowany szept: „Wrócił!”.

- Co się dzieje? - spytał Pearl, celowo unikając dorosłych.

- Prowadzimy zwierzaki do grodu. Podobno będziemy tam nocować.

- Wiesz może, gdzie jest Hadrian? Mój przyjaciel.

- W grodzie - odpowiedziała dziewczynka i popatrzyła na złodzieja przymrużonymi oczami. - Naprawdę złapałeś świnie po ciemku?

Royce spojrział na nią zaskoczony, ale w tej samej chwili jedna świnia wyrwała do przodu i dziewczynka ruszyła za nią w pogoń.

Siedziba lorda Westbanku była typowym grodem stożkowym. Na stromym kopcu stał wielki dwór i budynki gospodarcze, a wszystko to otoczono palisadą z ostro zakończonych pali drewnianych. Dostępu do fortecy broniła ciężka brama i coś, co w założeniu miało być fosą, ale okazało się zaledwie płytkim rowem. W promieniu czterdziestu metrów we wszystkich kierunkach rozciągał się obszar z ostrymi pniakami - pozostałościami po świeżo ściętych drzewach.

Royce nie pamiętał jeszcze wszystkich nazwisk, ale rozpoznał Vince'a Griffina i Russella Bothwicka, którzy trudzili się tu z pilą dwuręczną. Tad Bothwick i kilku innych chłopaków odrąbywali gałęzie, a trzy dziewczyny wiązały je w pęki i układały na furmance. Dillon McDern z synami wciągali z grubsza obrobione kłody na wzgórze do grodu, gdzie kolejni mężczyźni cięli je na nadające się do palenia kawałki.

Hadrian pracował przy samej bramie. Był rozebrany do pasa. Tylko srebrny medalik zwisał mu z szyi, kiedy się schylał, żeby włożyć kolejny klin. Spocił się jak sznur, ale obok niego leżał już pokaźny stos drewna.

- Wtrąciłeś swoje trzy grosze, co? - stwierdził Royce i rozejrzał się dokoła.

Praca wrzała jak w ulu.

- Musisz przyznać, że nie mieli żadnego planu obrony -

odparł Hadrian i przerwał pracę, żeby zetrzeć pot z czoła.

Royce się uśmiechnął.

- Nie możesz się powstrzymać, prawda?

- A ty znalazłeś klamkę? - odciął się Hadrian i podniósł

dzbanek, by wypić kilka łyków.

Chleptał tak szybko, że część wody ściekła mu po brodzie.

Nalał jej sobie jeszcze trochę na dłoń i przetarł twarz, a następnie przeczesał palcami włosy.

- Nawet nie byłem dość blisko, żeby zobaczyć drzwi.

- Pomyśl o plusach. - Hadrian się uśmiechnął. -

Przynajmniej tym razem nie zostałeś złapany.

- To ma być plus?

- Cóż mogę powiedzieć? Należę do tych, którzy mówią, że szklanka jest do połowy pełna.

- Jest! - krzyknął Russell Bothwick, wskazując palcem. -

Tam jest Royce.

- O co chodzi? - zapytał złodziej, gdy nagle ludzie z pola i wewnętrznego dziedzińca zaczęli tłumnie do niego podchodzić.

- Wspomniałem, że widziałeś tego stwora, i teraz chcą się dowiedzieć, jak wygląda - wyjaśnił Hadrian. - A co myślaieś?

Że chcą cię zlinczować?

Złodziej wzruszył ramionami.

- Cóż mogę powiedzieć? Należę do tych, którzy mówią, że szklanka jest do połowy pusta.

- Do połowy pusta? - Hadrian zachichotał. - Czy ty w ogóle coś w niej dostrzegasz?

Royce patrzył jeszcze chmurnie na Hadriana, gdy mieszkańcy wioski stłoczyli się już wokół niego. Kobiety miały chustki na głowach, ciemne i wilgotne w miejscu, gdzie przylegały do czoła. Zakasały rękawy i nie zważały na twarze ubrudzone ziemią. Większość mężczyzn zaś tak jak Hadrian była rozebrana do połowy, a do skóry przykleiły im się strużyny i sosnowe

igły- Widziałeś to coś? - spytał Dillon. - Naprawdę to widziałeś?

- Tak - odparł Royce i kilka osób coś mruknęło.

- Jak wyglądało? - zapytał diakon Tomas, który wyróżniał

się na tle tłumu. Wyglądał na świeżego, czystego i wypoczętego.

- Miało skrzydła? - chciał się wiedzieć Russell.
- Miało pazury? - dodał Tad.
- Jakie było duże? - dołączył się do nich Vince Griffin.
- Dajcie mu odpowiedzieć! - zagrział Dillon i wszyscy umilkli.
- Ma skrzydła i pazury. Widziałem tylko przez chwilę, bo leciało nad drzewami. Dostrzegłem to coś między liśćmi. Było długie jak wąż albo jaszczur, miało skrzydła i dwie nogi, w których... wciąż trzymało Mae Drundel.
- Jaszczur ze skrzydłami? - powtórzył Dillon.
- Smok - oświadczyła jakaś kobieta. - To smok!
- Racja - potwierdził Russell. - Tak się nazywa jaszczury ze skrzydłami.
- Podobno mają słaby punkt w pancerzu koło pachy
- wyjaśniła kobieta ze szczególnie ubrudzonym nosem.
- Słyszałam, że kiedyś łucznik zabił takiego w locie, trafiając właśnie w to miejsce.
- A ja słyszałem, że smok słabnie, jak mu się ukradnie jego skarby - odezwał się łysy mężczyzna. - Kiedyś książe, który został uwięziony w jego legowisku, wyrzucił wszystkie skarby do morza i to osłabiło bestię tak bardzo, że mógł ją zabić dźgnięciem w oko.
- Ja zaś wiem, że smoki są nieśmiertelne i nie można ich zabić - oświadczyła Rose McDern.
- To nie smok - odezwał się Esrahaddon z niesmakiem w głosie.

Wystąpił z tłumu i ludzie zwrócili się przodem do niego.

- Czemu tak mówisz? - spytał Vince Griffin.
- Bo tak jest - odrzekł Esrahaddon bez wahania.
- Gdyby był smokiem, startłby waszą wioskę z powierzchni Elanu już wiele miesięcy temu. Smoki to bardzo inteligentne istoty, dużo bardziej od was czy nawet ode mnie. I potężniejsze niż możemy to sobie wyobrazić. Nie, pani Brockton, żaden łucznik nigdy nie zabił smoka, trafiając go strzałą w czuły punkt. I pan, panie Goodman, też nie ma racji.
- Smok nie słabnie po obrabowaniu go ze skarbów. Prawdę mówiąc, smoki nie posiadają żadnych skarbów. Co miałyby robić

ze złotem albo szlachetnymi kamieniami? One nie wierzą w bogactwo, chyba że uzna się za nie

wspomnienia, siłę i honor.

- Ale powiedział, że właśnie to widział - zaproponował Vince.

Czarnoksiężnik westchnął.

- Powiedział, że widział węża albo jaszczura z długimi czarnymi skrzydłami i dwiema nogami. To powinno być dla was pierwszą wskazówką. - Esrahaddon zwrócił się do Pearl, która dopiero co zapędziła ostatnie świnie na dziedziniec grodu i przybiegła, żeby przyłączyć się do tłumu: - Powiedz mi, Pearl, ile nóg ma smok?

- Cztery - odpowiedziała bez namysłu.

- Właśnie, to nie jest smok.

- A więc co? - spytał Russell.

- Gilarabrywn - odparł Esrahaddon zdawkowo.

- Że jak?

- Gi... la... ra... brywn - powtórzył powoli czarnoksiężnik. -

Magiczne stworzenie.

- Co to oznacza? Czy to coś rzuca zaklęcia jak czarownica?

- Nie, to znaczy, że nie jest pochodzenia naturalnego. Nie zostało zrodzone, lecz stworzone. Wyczarowane, że tak powiem.

- To szaleństwo - stwierdził Russell. - Za jakich ty nas bierzesz naiwniaków? To coś zabiło kilkudziesięciu ludzi.

Ono nie zostało stworzone.

- Nie, chwileczkę - wtrącił się diakon Tomas, machając do nich ręką z głębi tłumu.

Odsunęli się, robiąc mu miejsce.

- Kiedyś żyły takie bestie - oświadczył duchowny nadal z ręką w górze i wyrazem zamyślenia

w oczach. - Dowiedziałem się o nich w seminarium. W

czasie wielkich wojen elfickich były narzędziami imperium Erivanu, bestiami wojennymi, straszliwymi stworami, które niszczyły krainy i masakrowały tysiące ludzi. Według relacji pustoszyły miasta i wybijały całe armie. Żadna broń nie mogła wyrządzić im krzywdy.

- Dobrze znasz historię, diakonie - pochwalił go Esrahaddon. - Gilarabrywny były instrumentami

zniszczenia -

inteligentnymi, potężnymi, cichymi zabójcami z nieba.

- Jakim cudem coś takiego może nadal żyć? - spytał Russell.

- Nie są pochodzenia naturalnego. Nie mogą umrzeć, bo nie są żywe w takim znaczeniu, w jakim my rozumiemy życie.

- Będziemy potrzebowali więcej drewna - wymamrotał

Hadrian.

Gdy słońce zachodziło, gospodarze zwozili jeszcze do grodu prowiant i układali stosy drewna, choć dzieci i kobiety zebrały się już pod dachem dworu. Hadrian podzielił

mężczyzn na sprawne zespoły, które cięły, przenosiły i wiązały gałęzie, tak że do zmroku zdążyli ułożyć sześć dużych stosów wokół palisady i jeden na środku samego dziedzińca. Polali je następnie oliwą i tłuszczem zwierzęcym, aby szybciej rozpalić ogniska. Poza tym zapowiadała się długa noc i nie chcieli, żeby ogień zamarł.

- Hadrian! - wykrzyknęła Thrace, biegnąc opętańczo przez podwórzec.

- Thrace - odrzekł Hadrian, do ostatniej chwili pracujący przy stosie na dziedzińcu. - Już ciemno. Powinnaś być w środku.

- Nie ma tu mojego ojca - wyjaśniła. - Obeszłam cały gród.

Nikt go nie widział. Musi być wciąż w domu. A skoro jest dziś jedyną osobą poza...

- Royce! - krzyknął Hadrian, choć niepotrzebnie, bo współnik już wyprowadzał ze stajni osiodłane konie.

- Znalazła mnie wcześniej niż ciebie - usłyszał wyjaśnienie i złapał rzucone mu wodze Millie.

- Co za głupiec - zezłościł się, po czym wziął koszulę oraz broń i wsiadł na konia. - Mówiłem mu, żeby przyszedł do grodu.

- Ja też - powiedziała przerażona dziewczyna.

- Nie martw się, Thrace - pocieszył ją Hadrian. -

Sprawdzimy go całego i zdrowego.

Spięli konie i wyjechali przez bramę galopem.

*

Theron siedział na krześle pośród ruin domu. Tuż za drzwiami paliło się małe ognisko w płytkim dole. Niebo w końcu ściemniało i zobaczył gwiazdy. Słuchał nocnej muzyki świerszczy i żab. W oddali sowa wyruszyła na łowy. Ogień trzaskał i strzelał, a na tle tych odgłosów słychać było odległy huk wodospadu. Do domu wtargnęły komary. Zbiły się w kupę, obsiadły gospodarza i zaczęły go kąsać. Wood pozwolił

im na to. Siedział jak co noc bez ruchu i wspominał.

Utkwił wzrok w kołysce. Przypomniawszy sobie, jak budował

podobną dla pierwszego syna. Theron szukał w lesie idealnego drzewa hikorowego na nią i pewnego dnia znalazł

je na wzgórzu, skąpane w świetle słonecznym, jakby nazaczyli je sami bogowie. Co wieczór upiększał kołyskę i zabezpieczał jej drewno tak, aby było trwałe. Spała w niej cała piątka jego dzieci.

Hickory - wraz z Addie postanowili, że nadadzą pierworodnemu takie imię, żeby kojarzyło z trwałością drzewa hikorowego - umarł w niej przed pierwszymi urodzinami na chorobę, na którą nie było nazwy. Zresztą wszyscy jego synowie zmarli młodo oprócz Thada, który wyrósł na wspaniałego mężczyznę i poślubił uroczą dziewczynę o imieniu Emma. A kiedy ta urodziła Woodowi wnuka, też dali mu na imię Hickory. Theron przypomniawszy sobie, jak pomyślał, że świat w końcu próbuje wynagrodzić mu trudy życia - że nieuzasadnioną karę w postaci przedwczesnej śmierci pierworodnego rekompensuje mu wnukiem. Teraz jednak to wszystko przepadło. Pozostała mu jedynie zakrwawiona kołyska i pamięć pięciorga martwych dzieci.

Za kołyską leżała jedna z dwóch sukien Addie. Wyglądała strasznie, poplamiona i podarta, ale jemu wydawała się piękna. Addie była dobrą żoną. Przez ponad trzydzieści lat podążała za nim z jednego posępnego miasteczka do drugiego, podczas gdy on próbował znaleźć miejsce, które mógłby nazwać domem. Nigdy im się nie przelewało, wielokrotnie głodowali i nieraz niewiele brakowało, by zamarli na śmierć, ale ona ani razu się nie skarżyła. Łatała mu rzeczy i składała złamane kości, przygotowywała posiłki i doglądała go w chorobie. Zawsze była wychudzona, bo odmawiała sobie, aby większe porcje zjadł on i dzieci.

Chodziła w najgorszym ubraniu, bo na załatanie własnego nigdy nie znajdowała czasu. Była dobrą żoną, mimo to Theron nie pamiętał, by kiedykolwiek jej powiedział, że ją kocha. Bo nigdy nie wydawało mu się to ważne. Ją też porwała bestia -

na ścieżce między wioską a ich gospodarstwem. Żona Thada wypełniła tę pustkę. Dzięki

niej łatwiej było żyć dalej. Unikał myślenia o niej, skupiając się na celu, ale teraz celu już nie było, a jego dom się zawalił.

Jak to było, kiedy przysłała po nich bestia? Czy żyli, kiedy ich zabrała? Cierpieli?

Dręczył się tymi myślami, gdy wokół wszystko ucichło, nawet cykanie świerszczy.

Wstał z kosą w rękach, szykując się na spotkanie ciemności, lecz od strony ścieżki dobiegł go tętent końskich kopyt i w świetle ogniska dostrzegł dwóch mężczyzn w pełnym pędzie, których wynajęła Thrace.

*

- Theron! - krzyknął Hadrian, wjeżdżając z Royce'em w obejście Wooda.

Słońce już zaszło, a stary człowiek rozpalil ognisko na powitanie - tylko że nie z myślą o nich.

- Musimy wracać do grodu.

- Sami wracajcie - burknął gospodarz. - Nie prosiłem, żebyście przyjeżdżali. To mój dom i ja tu zostaję.

- Córka cię potrzebuje. Wsiadaj na konia. Mamy mało czasu.

- Nigdzie nie jadę. Nic jej nie będzie. Jest u Bothwicków.

Zaopiekują się nią. A teraz zejdźcie z mojej ziemi!

Hadrian zsiadł z konia i podszedł do gospodarza, który stał

niewzruszony jak głęboko zakorzenione drzewo.

- Jesteś uparty jak osioł. Albo sam wsiądziesz na konia, albo ja cię tam wsadzę.

- Będziesz musiał mnie wsadzić - odpowiedział mężczyzna, odkładając kosę i krzyżując na piersiach ręce.

Hadrian spojrzał przez ramię na Royce'a, który siedział w milczeniu na Mysze.

- Czemu mi nie pomagasz?

- To nie moja specjalność. Jeśli chcesz, żebym go zabił, proszę bardzo. To mogę zrobić.

Hadrian westchnął.

- Proszę, wsiądź na konia. Przez ciebie wszyscy zginiemy.

- Już mówiłem. Nie prosiłem, żebyście przyjeżdżali.

- Psiakrew! - zaklął Hadrian, odpinając miecze i przyczepiając je do siodła.

Royce pochylił się w jego stronę, by go ostrzec:

- Uważaj, jest stary, ale wygląda na silnego.

Hadrian ruszył pełnym pędem na gospodarza i przewrócił

go na ziemię. Theron był większy, miał potężne ręce i silne ramiona, za to Hadrian okazał się szybszy i zwinniejszy.

Zwarłszy się w uścisku jak zapaśnicy, kulali się po ziemi, stękając z wysiłku, kiedy każdy próbował zyskać przewagę nad przeciwnikiem.

- Co za głupota - wymamrotał Hadrian, podnosząc się z ziemi. - Po prostu wsiądź na konia.

- Sam wsiądź. Wynoście się stąd i zostawcie mnie w spokoju! - wrzasnął na nich Theron, usiłując złapać oddech.

- Może teraz mógłbyś mi pomóc? - zwrócił się Hadrian do współnika.

Royce przewrócił oczami i zsiadł z konia.

- Nie spodziewałem się, że będziesz miał aż takie kłopoty.

- Niełatwo pokonać kogoś większego od siebie, nie robiąc mu przy tym krzywdy.

- Chyba znalazłem rozwiązanie twojego problemu. Zróbmy mu krzywdę.

Gdy się obrócili do gospodarza, ten miał spory kij w ręku i wyraz determinacji w oczach. Hadrian westchnął.

- Chyba nie mamy wyboru.

- Tatusiu! - krzyknęła Thrace, wbiegając w krąg światła rzucanego przez ogień. Policzki błyszczały jej od łez. -

Tatusiu! - zawołała ponownie i rzuciła mu się na szyję.

- Thrace, co tu robisz?! - wrzasnął Theron. - Tu jest niebezpiecznie.

- Przyszłam po ciebie.

- Ja tu zostaję. - Zdjął ręce córki z szyi i odsunął

dziewczynę. - Zabierz swoich wynajętych zbirów i w tej chwili wracaj do Bothwicków. Słyszysz?

- Nie - sprzeciwiła się. Wciąż wyciągała ręce w kierunku ojca. - Nie zostawię cię.

- Thrace! - ryknął. - Jestem twoim ojcem i zrobisz, jak mówię!

- Nie! - odkrzyknęła. - Nie zostawię cię na pewną śmierć.

Jeśli chcesz, możesz mnie zabić, ale żeby to zrobić, będziesz musiał wrócić do grodu.

- Ty mała kretynko - zwymyślał córkę. - Przez swoją głupotę zginiesz. Nie rozumiesz tego?

- Nie dbam o to!!! - krzyknęła piskliwym głosem i zacisnęła ze złości dłonie w pięści. - Po co mam żyć, jeśli własny ojciec

- jedyna osoba, która pozostała mi na świecie - nienawidzi mnie tak bardzo, że wolałby patrzeć, jak umieram, niż spojrzeć na mnie.

Theron stał jak osłupiały.

- Z początku - powiedziała drżącym głosem - myślałam, że chcesz zapobiec dalszym ofiarom, a potem, że może... sama nie wiem... chcesz zapewnić spokój ich duszom. Później przyszedł mi do głowy motyw

zemsty. Może paliła cię nienawiść. Może musiałeś zobaczyć, jak bestia ginie. Ale nic z tego nie jest prawdą. Ty po prostu chcesz umrzeć. Nienawidzisz siebie, nienawidzisz mnie. Już nic cię nie interesuje, na niczym ci nie zależy.

- Nie czuję do ciebie nienawiści - zaprzeczył Theron.

- Właśnie że tak. Bo to była moja wina. Wiem, ile dla ciebie znaczyli, i codziennie rano budzę się z tą świadomością. -

Otarła łzy, żeby lepiej widzieć. - Gdybym to ja zginęła, byłoby jak z mamą: wbiłbyś palik z moim nazwiskiem na Kamiennym Wzgórzu i nazajutrz poszedłbyś pracować.

Orzałbyś ziemię i dziękował Mariborowi, że oszczędził syna.

To ja powinnam zginąć, ale nie mogę zmienić przeszłości, a twoja śmierć i tak nie przywróci mi życia. Nic tego nie dokona. Jeśli jednak mnie pozostała jedynie śmierć tu z tobą, to umrę tu i nie opuszczę cię, tatusiu. Nie mogę. Po prostu nie mogę. - Padła wycieńczona na kolana i dodała słabym głosem: - Przynajmniej znów będziemy wszyscy razem.

Jakby w odpowiedzi na jej ostatnie słowa w lesie ponownie zrobiło się cicho. Tym razem świerszcze i żaby umilkły tak gwałtownie, że cisza wydawała się nagle głośniejsza.

- Nie - powiedział Theron, kręcąc głową. Spojrzał na nocne niebo. - Nie!!! - wrzasnął znów i podniósł córkę. - Jedziemy -

powiedział i odwrócił się do nich. - Pomóżcie nam.

Hadrian chwycił swoją klacz za wędzidło i mocno przytrzymał, bo konie przebierały już nogami w miejscu i strzygły uszami. Theron wskoczył na Millie i podciągnął

Thrace, sadzając ją przed sobą, a następnie szybko spiął

wierzchowca i pognał ścieżką

w kierunku wioski. Royce podał rękę współnikowi i pomógł

mu usiąść za swoimi plecami, ruszając już galopem w mrok nocy.

Zwierząt nie trzeba było popędzać. Same przeszły w pełny galop, oblewając się śmiertelnym potem. Tętent kopyt uderzających o ziemię przypominał silne walenia w bęben.

Ścieżka z przodu była tylko nieznacznie jaśniejsza od otaczającego ją lasu i Hadrian często widział ją rozmazaną, ponieważ wiatr wyciskał mu Izy z oczu.

- Nad nami! - krzyknął Royce. Usłyszeli głośny szelest liści nad głowami.

Konie skręciły gwałtownie w gąszcz. Czuli na ciele smagnięcia sosnowych gałązek. Zwierzęta pędziły przed siebie, ogarnięte paniką. Przedzierały się przez poszycie, ocierając się o drzewa. Hadrian poczuł, że Royce robi unik, i wykonał to samo.

Frr. Frr. Frr.

Słyszał powolne trzepotanie nad głową, głuchy, głęboki odgłos pompowania. Poczuł podmuch wiatru - ogromny napór powietrza z góry. Jednocześnie rozległ się przerażający dźwięk pękania, łamania, rozłupywania. Roztrzaskane wierzchołki drzew rozleciały się na wszystkie strony.

- Kłoda! - krzyknął Royce, kiedy konie podskoczyły.

Hadrian nie spadł tylko dzięki temu, że Royce go przytrzymał. W ciemności usłyszał krzyk Thrace, a potem jęk i odgłos przypominający uderzenie trzonkiem siekiery o drewno. Royce ściągnął mocno wodze Myszki, gdy klacz stanęła dęba i parsknęła. Hadrian usłyszał oddalający się tętent kopyt Millie.

- Co się dzieje? - spytał.

- Spadli z konia - warknął Royce.

- Nie widzę ich. Hadrian zeskoczył z siodła.

- W gąszczu po twojej prawej stronie - wyjaśnił Royce, zsiadając z Myszki, która w panice rzucała łbem do przodu i do tyłu.

- Tutaj - powiedział Theron z wysiłkiem. - Jesteśmy tutaj.

Gospodarz stał nad córką, która leżała nieprzytomna. Z nosa i ust ciekła jej krew.

- Uderzyła o gałąź - wyjaśnił Theron przerażonym głosem. -

Ja... nie zauważyłem kłody.

- Wsadź ją na mojego konia - rozkazał Royce. - Pośpiesz się, Theron. Weź Myszkę i jedźcie oboje do

dworu. Jesteśmy blisko. Już widać światło ognisk.

Wood nie protestował. Wspiął się na Myszkę, która wciąż tupiała w miejscu i parskała. Hadrian podszedł do Thrace. W

światle księżycy dostrzegł ciemną skazę na jej twarzy: długi, szeroki ślad. Gdy podniósł dziewczynę?, jej głowa opadła, a ręce i nogi zwisały bezwładnie. Wydawało się, że nie żyje.

Podał ją Theronowi, który przytulił córkę do piersi i mocno przytrzymał. Royce puścił wędzidło i koń pogalopował w stronę otwartego pola, pozostawiając Royce'a i Hadriana z tyłu.

- Myślisz, że Millie jest w pobliżu? - spytał szeptem Hadrian.

- Myślę, że Millie już jest zakąską.

- Jedyna pociecha w tym, że dzięki niej Thrace i Theron mogą bezpiecznie przejechać.

Poszli powoli na skraj lasu. Znajdowali się bardzo blisko miejsca, z którego Dillon i jego synowie zwozili wcześniej kłody. Dostrzegli trzy z sześciu ognisk, które oświetlały pole.

- A co z nami? - zapyta! Royce.

- Myślisz, że gilarabrywn wie, że wciąż tu jesteśmy?

- Esrahaddon powiedział, że jest inteligentny, więc przypuszczam, że umie liczyć.

- A więc wróci i nas odnajdzie. Musimy dotrzeć do grodu.

Jaką szerokość może mieć ta otwarta przestrzeń? Pięćdziesiąt metrów?

- Mniej więcej - potwierdził Royce.

- Miejmy nadzieję, że nadal przeżuwa Millie. Gotowy?

- Biegnijmy z dala od siebie, żeby nie dopadł nas obu. W

drogę.

Trawa była śliska od rosy i usiana pniakami i dołami.

Hadrian przebiegł ledwie kilkanaście metrów i przewrócił się na twarz.

- Biegnij za mną - polecił mu Royce.

- Myślałem, że mamy biec z dala od siebie.

- To było, zanim sobie przypomniałem, że jesteś ślepy.

Znów puścili się biegiem w górę zbocza, skręcając to w jedną, to w drugą stronę. Byli w połowie drogi, gdy znów usłyszeli odgłos miecha kowalskiego.

Frr. Frr. Frr.

Dźwięk przybliżał się do nich w szybkim tempie. Hadrian spojrział w górę i zobaczył, jak coś ciemnego przesuwa się w poprzek tarczy wschodzącego księżyca - wąż ze skrzydłami podobnymi do nietoperza. Szybował, zataczał łuk, krążył jak jastrząb polujący na myszy.

Odgłos miecha ucichł.

- Pikuje! - krzyknął Royce.

Ogromny podmuch wiatru przygniótł ich do ziemi. Ogniska z miejsca pogasły i ziemię wstrząsnęło głośne dudnienie. Wokół całego wzgórza wystrzeliła w górę jednolita ściana zielonego ognia. Zdumiewające płomienie o wysokości dziesięciu metrów błysnęły niczym drzewa światła, wydzielając ogromne ilości ciepła.

Hadrian nie miał już kłopotu z dostrzeżeniem drogi. Zerwał

się więc na nogi i popędził do bramy. Tuż za nim biegł Royce.

Za ich plecami buchały płomienie. Nad głową słyszeli przeraźliwy krzyk.

Gdy tylko znaleźli się w środku, Dillon, Vince i Russell zatrzasnęli za nimi bramę. Wszyscy byli zaskoczeni, gdy z ogniska na dziedzińcu, którego nikt wcześniej nie zapalił, wystrzelił niebieskozielony płomień podobny do niebosiężnego filara. Z ciemności w górze dobiegł do nich jeszcze raz krzyk gilarabrywna.

Szmaragdowe piekło powoli gasło. Ogień trzaskał i syczał, wystrzeliwując w niebo deszcz iskier. Ludzie na dziedzińcu spoglądali do góry, ale nie było śladu po bestii. Pozostała jedynie ciemność i cykanie świerszczy w oddali.

Rozdział 6

Konkurs

Mogę cię zapewnić, Wasza Królewska Mość - powiedziała Arista najmielszym tonem, na jaki było ją stać - że pod rządami króla Alrica nie będzie zmian w polityce krajowej i zagranicznej. Mój brat będzie kontynuował kurs naszego ojca, dbając o godność i honor rodu Essendonów, a Melengar pozostanie twoim przyjaznym sąsiadem na zachodzie.

Stała wyprostowana przed królem Dunmore'u w najlepszej sukni ze srebrnego jedwabiu, jaką miała jej matka. Rękawy ozdobione były czterdziestoma guzikami, a haftowany stanik i długa spódnica obszyte kilkoma metrami marszczonego aksamitu. Całości dopełniał mały okrągły dekolt.

Siedzący na tronie król Roswort, ubrany w futro, które wyglądało, jakby uszyto je ze skór wilków, osuszył kielich i beknął. Był niski i bardzo gruby. Obwisła skóra na jego okrągłej, tęgiej twarzy tworzyła trzy podbródki. Miał na wpół

przymknięte oczy i wilgotne wargi i Arista była pewna, że dostrzega plwocinę ściekającą mu między fałdami tłuszczu na szyi. Obok siedziała jego żona Freda, która też nie zaliczała się

do drobnych, ale w porównaniu z mężem wyglądała jak chudzina. Król był oślizgły, natomiast jego żona

- oschła.

Sala tronowa była mała, z drewnianą podłogą i belkami podtrzymującymi wysokie łukowate sklepienie. Na ścianach wisiały łby jeleni i łosi, na których osiadło tyle kurzu, że ich sierść wyglądała na szarą. Przy drzwiach w pozycji gotowej do ataku stał słynny dwumetrowy wypchany niedźwiedź o imieniu Oswald. Według legendy Dunmore'u zabił on pięciu rycerzy i wielu wieśniaków, zanim król Ogden - dziadek króla Rosworta - uśmiercił go jedynie za pomocą sztyletu.

Wydarzyło się to siedemdziesiąt lat temu, gdy Glamrendor był

tylko granicznym fortem, a Dunmore

- puszcza z kilkoma szlakami. Sam Roswort nie mógł liczyć na taką chwałę. Porzucił łowiecką tradycję swoich przodków na rzecz dworskiego życia - i było to widać.

Uniósł kielich i nim potrząsnął. Arista czekała, a król ziewnął. Usłyszała za plecami głośnie kroki. Rozległ się szmer, a potem znów odgłos kroków. Następnie usłyszała dźwięk strzelania palcami. W końcu do podwyższenia podeszła chuda i delikatna postać

- elf w ciemnobrązowym uniformie z szorstkiej wełny, który na szyi miał ciężką żelazną obrozę zapiętą na stałe za pomocą nitów, a w rękach trzymał dzban z winem. Napełni!

kielich króla, po czym się wycofał. Król napił się, zbyt mocno przechylając kielich. Wino ściekło mu po policzkach, pozostawiając różowy ślad na skórze. Znów beknął, tym razem głośnie, i westchnął z zadowoleniem.

- Ale co ze sprawą śmierci Bragi? - spytał. - Masz dowód, że był zamieszany w ten tak zwany spisek?

- Usiłował mnie zabić.

- Tak twierdzisz. Ale nawet jeśli tak było, wydaje się, że miał ku temu powód. Braga był dobrym i pobożnym wyznawcą Nyphrona, a ty jesteś... czarownicą.

Arista zacisnęła dłoń na drugiej ręce - nie pierwszy raz; właściwie zaczynały ją od tego boleć palce.

- Wybacz, Wasza Królewska Mość, ale obawiam się, że jesteś źle poinformowany.

- Źle poinformowany? Mam... - Zakaszlał kilka razy, a następnie splunął na podłogę obok tronu.

Freda utkwiała w elfie piorunujące spojrzenie, aż podszedł i starł plwocinę dolną częścią swojej tuniki.

- Mam bardzo dobrych informatorów - ciągnął król. - Braga i biskup Saldur postawili cię przed sądem pod zarzutem uprawiania czarów i zamordowania ojca. Bezpośrednio po tym Braga zginął. Obcięto mu głowę i postawiono te same zarzuty, które podniósł przeciwko tobie. Teraz stajesz przed nami jako ambasadorka Melengar. Niestety, to wszystko wydaje mi się nazbyt wygodne.

- Braga oskarżył mnie również o zabicie Jego Królewskiej Mości króla Alrica, który wyznaczył mnie na ten urząd. A może zaprzeczasz także jego istnieniu?

Król uniósł brwi.

- Jesteś młoda - powiedział oziębłym tonem. - To twoja pierwsza audyencja w charakterze ambasadorki. Tym razem puszczyć twoją zniewagę mimo uszu. Po kolejnej obeldze jednak każę cię wydalic z mojego królestwa.

Arista skłoniła głowę w milczeniu.

- Nie podoba nam się to, że objęcie tronu Melengar odbyło się z rozlewem krwi. Ani to, że ród Essendonów składa Kościołowi tylko słowne deklaracje. Obrzydliwa jest także tolerancja twojego królestwa względem elfów.

Pozwalacie tym podłym bestiom robić, co im się podoba. Nie taki był zamysł Novrona. Kościół naucza nas, że elfy to choroba. Trzeba je zmusić do poddaństwa albo ujarzmić. Są jak szczury drzewne, a Melen-gar to sterta drewna tuż za naszymi drzwiami. Tak, nie wątpię, że Alric będzie kontynuował politykę swojego ojca. Obaj urodzili się z klapkami na oczach. Nadchodzą zmiany i już widzę, że Melengar jest zbyt głupi, by podążać z wiatrem. Tym lepiej dla Dunmore'u, jak sądzę.

Arista otworzyła usta, ale król uniósł palec.

- Koniec rozmowy. Wracaj do brata i powiedz mu, że udzieliliśmy ci audyencji i nie odnieśliśmy dobrego wrażenia.

Król i królowa razem wstali i wyszli przez tylne drzwi, pozostawiając Aristę samą naprzeciwko dwóch pustych krzeseł. Stojący w pobliżu elf przyjrzał się jej uważnie, ale się nie odezwał. Zastanawiała się, czy nie kontynuować przygotowanej przemowy. Skutek byłby podobny: puste trony też by nie słuchały, choć na pewno zachowywałyby się grzeczniej.

Westchnęła. Czy mogłoby pójść gorzej? Odwróciła się i ruszyła do wyjścia, słuchając szelestu swojej pięknej sukni.

Wyszła poza bramę zamku i spojrzała na miasto w dole.

Nierówne drogi poznaczone były głębokimi koleinami.

Wyboiste i zarzucone kamieniami wyglądały jak wyschnięte koryta rzek. Podobnie drewniane budynki stojące w zwartych rzędach wyblakły od słońca, zyskując bladoszary kolor.

Dziesiątki ludzi o zmęczonych twarzach siedziały na narożnikach lub wałęsały

się bez celu z wyciągniętymi rękami. Przechodniom wydawali się niewidzialni. To była pierwsza wizyta Aristy w Glamrendorze, stolicy Dunmore'u. Pokręciła głową i wymamrotała pod nosem:

- Nic tu po mnie.

Miasto nie miało wiele do zaoferowania, ale tętniło życiem.

Arista podejrzewała jednak, że tylko nieliczni zaaferowani przechodnie należeli do tubylców. Różnicę można było łatwo dostrzec: przyjezdni nosili buty, a tutejsi - stroje w nijakim kolorze, wykonane z niefarbowanej wełny lub płótna. Tego ranka przez centrum stolicy przejeżdżały furmanki, powozy, karety i konie. Wszyscy zmiierzali na wschód, bo Kościół

zezwoił wszystkim na udział w turnieju. To była szansa dla nich na zdobycie bogactwa i sławy.

Arista wróciła do karety, na której powiewała flaga z sokołem Melengar. W środku czekała już na nią Bernice z tacą łakoci na kolanach i uśmiechem na ustach.

- Jak poszło, moja droga? Zrobiłaś dobre wrażenie?

- Nie, ale nie jesteśmy też na stopie wojennej, więc powinnam podziękować Mariborowi za tę uprzejmość.

Usiadła naprzeciwko Bernice, upewniając się, że wciągnęła całą suknię do środka, zanim Hilfred zamknął za nią drzwiczki.

- Zjesz piernikowego ludzika? - spytała służąca, podnosząc tacę i patrząc na Aristę ze współczuciem.
- Na pewno złagodzi twój ból.

- Gdzie Sauly?

- Powiedział, że ma sprawy do omówienia z arcybiskupem i pojedzie w karecie Jego Ekscelencji. Liczył, że nie będziesz miała nic przeciwko temu.

Jeśli poczuła rozczarowanie, to tylko z tego powodu, że Bernice nie dołączyła do biskupa. Miała już dość jej ciągłego towarzysztwa. Wzięła pierniczek i poczuła, jak karetka się zakołysała, kiedy Hilfred usiadł obok stangreta. Powóz szarpnął i ruszył, podskakując na pobrużdżonej drodze.

- Są stare - stwierdziła księżniczka, gryząc suchy pierniczek.

Bernice wyglądała na przerażoną.

- Bardzo mi przykro.

- Skąd je masz?

- Z malej piekarni na... - Zaczęła wskazywać palcem, ale w trakcie jazdy straciła orientację. Rozejrzała się, dała za wygraną i opuściła rękę. - Już sama nie wiem, ale to był

bardzo ładny sklepik i pomyślałam, że może będziesz potrzebować czegoś, co poprawi ci nastrój.

- Potrzebować?

Bernice skinęła głową z wymuszonym uśmiechem.

Poklepała księżniczkę dłonią po ręce i powiedziała:

- To nie twoja wina. Jego Królewska Mość nie powinien ci dawać tego stanowiska.

- Powinnam zostać w Medfordzie i przyjmować zalotników? - domyśliła się Arista.

- Właśnie. To po prostu nie jest dla ciebie dobre.

- Tak jak ten pierniczek. Odłożyła ludzika bez nóżki na tacę.

- Przynajmniej swoim wyglądem musiaś zrobić wrażenie na królu Rosworcie - zauważyła Bernice, przyglądając się księżniczce z dumą. - Jesteś piękna.

Arista spojrzał na nią z ukosa i odparła:

- Suknia jest piękna.

- Oczywiście, ale...

- Dobry Mariborze! - przerwała jej Arista, wyglądając przez okno. - Ilu ich tu teraz jest? To będzie jak podróż z armią żołnierzy.

Gdy karetka dojechała do skraju miasta, księżniczka zobaczyła tłumy. Mogło tam być nawet trzystu ludzi, którzy stali za sztandarami Kościoła Nyphrona. Czekali wszyscy razem w jednej kolejce, ale

już bardziej nie mogli się różnić od siebie: muskularni i chudzi, wysocy i niscy, rycerze, żołnierze, szlachcice i wieśniacy. Jedni nosili zbroje, drudzy -

jedwabne szaty, jeszcze inni - zwykłe ubrania z płótna lub wełny. Jechali na rumakach, koniach pociągowych, kucykach i mułach lub podróżowali karetami, otwartymi powozami i brykami. Stanowili dziwną zbieraninę, ale każdy miał na twarzy uśmiech nadziei i podniecenia - i wszyscy spoglądali na wschód.

Pierwsza oficjalna wizyta Aristy jako ambasador-ki dobiegła końca. Wypadła kiepsko, ale przynajmniej należała już do przeszłości. Pod nieobecność Sauly'ego mogła przestać myśleć o Kościele i państwie, winie i wyrzutach sumienia.

Opadło z niej napięcie, które męczyło ją od wielu dni, i wreszcie mogła poczuć atmosferę wszechobecnego, narastającego podniecenia.

Zewsząd przybywali w pośpiechu ludzie, żeby się przyłączyć do coraz większego orszaku. Niektórzy mieli z sobą jedynie płócienny tobołek pod pachą, inni wędrowali z wieloma wozami załadowanymi namiotami, jedzeniem i strojami. Na wozie jednego wytwornie ubranego kupca wieziono wyściełane aksamitem krzesła i łóżko z baldachimem.

Głośne walenie w dach powozu przestraszyło obie kobiety.

Piernikowe ludziki poleciały na wszystkie strony.

- O rety! - wysapała Bernice.

Po chwili w oknie pojawiła się głowa Mauvina Pickeringa.

Pochylał się w siodle i ciemne włosy opadały mu bezładnie.

- Jak poszło? - błysnął szerokim, szelmowskim uśmiechem.

- Muszę się szykować na wojnę?

Arista się nachmurzyła.

-Aż tak dobrze? - Nie zważał na zamieszanie, jakie spowodował. - Porozmawiamy później. Muszę odnaleźć Fanena, zanim wyzwie kogoś na pojedynek. Jak się miewasz, Hiliredzie? Będzie wspaniale. Kiedy to ostatnio razem obozowaliśmy? Do zobaczenia.

Bernice wachlowała się obiema rękoma ze wzrokiem utkwionym w dachu karety i opuszczoną dolną szczęką. Na ten widok i widok małej armii piernikowych ludzików porzrzucanych po karecie Arista nie mogła się powstrzymać od uśmiechu.

- Miałaś rację, Bernice. Pierniczki poprawiły mi nastrój.

*

- Widzisz go? - Fanen wskazał na mężczyznę w brązowym zamszowym kubraku. - To sir Enden, prawdopodobnie największy żyjący rycerz po sir Brecktonie.

Po kolejnym dniu podróży zmęczona i senna Arista ukrywała się przed Bernice w obozie Pickeringów. Dwaj młodzieńcy mieli elegancki namiot w złoto-zielone pasy, który rozbili na wschodnim skraju głównego obozowiska.

Siedzieli teraz we troje przed wejściem, pod baldachimem z ząbkowanym lambrekinem, który wspierał się na dwóch wysokich słupkach. Z ich lewej strony powiewał sztandar rodu Essendonów: złoty

sokół na czerwonym polu, z prawej - rodu Pickeringów: złoty miecz na zielonym polu. W porównaniu z obozami większości szlachciców ich był skromny. Pickeringowie podróżowali bez zbędnych ciężarów - cały bagaż wieźli na swoich ogierach i dwóch koniach juczych. Nie mieli stołów ani krzeseł i Arista położyła się w skromnej sukni na brezentowej płachcie. Gdyby Bernice to zobaczyła, dostałaby palpacji serca.

Ariście to nie przeszkadzało. Uważała, że cudownie jest leżeć na plecach pod gołym niebem. Przypomniały jej się latonalia, kiedy wszyscy troje byli jeszcze dziećmi.

Wieczorem dorośli tańczyli, a dzieci kładły się na południowym wzgórzu przy Polach Drondila - domu Pickeringów - i liczyły spadające gwiazdy i świetliki. Byli tam wtedy całą paczką: Mauvin, Fanen, Alric, a nawet Lenare

- jeszcze zanim zaczęła zadzierać nosa. Arista przypominała sobie owiewający ją chłodny nocny wietrzyk, dotyk trawy na gołych stopach, mrowie gwiazd na niebie i ciche dźwięki orkiestry grającej *Calide Portmore*, ludową pieśń Galilinu.

- A widzisz tego dużego mężczyznę w zielonej tunice? To sir Gravin, łowca. Większość zleceń realizuje dla Kościoła Nyphrona. No wiesz: odzyskuje przedmioty, zabija potwory, tego typu rzeczy. Jeden z największych żyjących poszukiwaczy przygód. Pochodzi z Vernesu, to niedaleko Delgosu.

- Wiem, gdzie jest Vernes, Fanen - zauważyła Arista.

- No tak, teraz musisz to wszystko wiedzieć, prawda? -

odezwał się Mauvin. - Wasza wysoka, egzaltowana, ambasadorska mość. - Starszy z Pickeringów wykonał

wymyślny ukłon na siedząco.

- Śmieję się, ale tylko poczekaj - powiedziała do niego -

jeszcze dostaniesz za swoje. Kiedyś zostaniesz markizem, a wtedy skończą się rozrywki i zabawy i zaczną obowiązki.

- Nie dla mnie - powiedział smutnym tonem Fanen. Gdyby Fanen nie był o trzy lata młodszy, można

by go uznać za brata bliźniaka Mamdna. Obaj mieli ruchliwe rysy Pickeringów, kanciaste twarze, ciemne, gęste włosy, jaskrawobiałe zęby i szerokie ramiona, które zwężały się w kierunku talii, tworząc kształt stożka. Fanen był tylko nieco chudszy i trochę niższy i w przeciwieństwie do Mauvina zawsze miał schludną fryzurę.

- Dlatego musisz wygrać ten konkurs - powiedział Mauvin do brata. - I oczywiście wygrasz go, bo jesteś Pickeringiem, a oni nigdy nie zawodzą. Spójrzcie na tego tam. Nie ma szans.

Arista nie pokwapiła się, żeby usiąść. Robił to przez cały wieczór: wskazywał na ludzi i wyjaśniał, dlaczego ich sposób chodzenia lub noszenia przez nich miecza świadczył o tym, że Fanen może ich pokonać. Nie wątpiła, że ma rację; po prostu nie miała już ochoty tego wysłuchiwać.

- Co otrzyma zwycięzca konkursu? - spytała.

- Jeszcze nie wiadomo - wymamrotał Fanen.

- Najpewniej złoto - odrzekł Mauvin - w postaci jakiejś nagrody. Ale tu chodzi o prestiż. Po zdobyciu tego trofeum Fanen będzie miał nazwisko. To znaczy już nosi nazwisko Pickeringów, ale nie posiada jeszcze żadnych tytułów. Po ich uzyskaniu otworzą się przed nim możliwości. Może otrzyma ziemię. Wtedy byłby ustawiony.

- Mam nadzieję. Nie chcę skończyć w klasztorze.

- Wciąż piszesz wiersze, Fanenie? - spytała Arista.

- Od pewnego czasu już nie.

- Z tego co pamiętam, dobrze ci to wychodziło. Kiedyś pisałeś bez przerwy. Co się stało?

- Nauczył się poezji miecza. Przysłuży mu się lepiej niż pióro - odpowiedział za niego Mauvin.

- Kto to jest? - zapytał Fanen, wskazując palcem na zachód.

- Rentinual - odparł Mauvin. - Samozwańczy geniusz.

Wyobraźcie sobie, że przywiózł z sobą olbrzymią machinę.

- Po co?

- Twierdzi, że na konkurs.

- Co to za machina? Mauvin wzruszył ramionami.

- Nie wiem, ale jest duża. Trzyma ją pod przykryciem i za każdym razem, kiedy wóz podskakuje na koleinie, piszczy jak dziewczucha.

- Słuchajcie, czy to nie książkę Rudolf?

- Gdzie? - Arista uniosła szybko głowę i podparła się na łokciach.

Mauvin zachichotał.

- Żartowałem. Alric powiedział nam o waszym...

nieporozumieniu.

- Znasz Rudolfa osobiście? - spytała.

- Właściwie tak - odparł Mauvin. - Osły zastanawiają się, czemu trafił im się taki imiennik.

Fanen i Arista wybuchnęli śmiechem i Mauvin się do nich przyłączył.

- To królewski chłystek, bez dwóch zdań, i byłbym załamany na myśl o całowaniu tego imbecyla przez resztę życia. Naprawdę, Arista, dziwię się, że nie zamieniłaś Alrica w ropuchę albo coś w tym guście.

Arista przestała się śmiać.

- Co takiego?

- No wiesz, mówię o rzuceniu uroku. Tydzień pod postacią żaby to... O co chodzi?

-O nic — odrzekła i odwróciła się na brzuch.

- Słuchaj... Nie miałem nic złego na myśli.

- W porządku - skłamała.

- To był tylko żart.

- Pierwszy był lepszy.

- Arista, przecież wiem, że nie jesteś czarownicą. Zapadła krepująca cisza.

- Przepraszam - powiedział Mauvin.

- Nie spieszyłeś się z przeprosinami - stwierdziła.

- Mogło być gorzej - odezwał się Fanen. - Alric mógł cię zmusić do poślubienia Mauvina.

- To byłoby chore - uznała Arista, odwracając się na plecy, a następnie siadając.

Mauvin spojrzał na nią z urazą.

- To by było tak, jakbym poślubiła brata - wyjaśniła. -

Zawsze uważałam was za rodzinę.

- Tylko nie mów tego Denekowi - odpowiedział Mauvin. -

Od lat się w tobie podkochuje.

- Serio?

- I nie mów mu, że wiesz to ode mnie. A jeszcze lepiej, zapomnij, że to powiedziałem.

- A ci dwaj? - spytał nagle Fanen, wskazując ogromny namiot w czerwono-czarne pasy, z którego wyszli dwaj mężczyźni.

Jeden był olbrzymi. Miał zwichrzony rudy zarost i nosił

szkarłatną tunikę bez rękawów przepasaną zieloną drapowaną szarfą oraz hełm z kilkoma wgnieceniami. Drugi zaś był

wysoki i chudy. Miał długie czarne włosy i krótko przyciętą bródkę. Nosił czerwoną sutannę i czarną pelerynę z symbolem pękniętej korony na piersiach.

- Lepiej z nimi nie zadzieraj - przemówił w końcu Mauvin. -

To lord Rufus z Trentu, dygnitarz wojskowy Lingardu, przywódca klanu i weteran kilkudziesięciu bitew z dzikusami z Estrendoru, nie wspominając już o tytule bohatera bitwy na wzgórzach Vilan.

- To jest Rufus? - wymamrotał Fanen.

- Słyszałem, że ma temperament złośnicy i ramię niedźwiedzia.

- A ten drugi, z symbolem pękniętej korony? - spytał Fanen.

- To, drogi bracie, wartownik, i oby żaden z nas nie musiał z nim nigdy mieć do czynienia.

Gdy Arista obserwowała obu mężczyzn, w oddali pojawiła się sylwetka bardzo niskiej postaci z długą brodą i bufiastymi rękawami.

- A propos, jutro chcę wyruszyć z samego rana, Fanen -

oznajmił Mauvin. - Będę szedł przed karawaną. Mam już dość łykania pyłu.

- Ktoś wie, dokąd właściwie jedziemy? - spytał Fanen. -

Wygląda, jakbyśmy zmierzali na koniec świata.

Arista skinęła głową.

- Słyszałam, jak Sauly rozmawiał o tym z arcybiskupem.

Chodzi o małą wioskę o nazwie Dahlgren.

Odwróciła się, próbując odszukać wzrokiem dostrzeżoną wcześniej postać, ale już jej nie było.

Rozdział 7

Elfy i ludzie

Thrace leżała na łóżku margrabiego z głową owiniętą starannie paskami płótna, spomiędzy których wystawały jasne kosmyki włosów zebranych w wysoki kucyk i splątanych.

Wokół oczu i nosa miała fioleto-wozółte siniaki. Spuchnięta górna warga powiększyła się dwukrotnie, a wzdłuż niej biegła strużka ciemnej zaschniętej krwi. Kaszłała i mamrotała, ale nie wypowiedziała słowa ani nie otworzyła oczu. Theron nie odstępował jej ani na chwilę. Esrahaddon kazał Lenie zagotować liście maruny w wielkim garnku octu jabłkowego.

Kobieta postąpiła zgodnie z jego instrukcjami. Zresztą teraz wszyscy tak robili. Po ostatniej nocy mieszkańcy Dahlgrenu traktowali kalekę z nowym szacunkiem i patrzyli na niego z czcią i odrobiną strachu. To Tad Bothwick i Rose McDern zauważyli, jak wzniecił zielony ogień, który odpędził bestię.

Nikt nie wypowiedział słowa „czarownik” czy

„czarnoksiężnik”, ale też nikt nie musiał. Gdy z garnka uniosła się para, w pokoju rozszedł się ostry kwiatowy zapach.

- Tak mi przykro - szepnął Theron do córki.

Kasłanie i mamrotanie ustały i dziewczyna znieruchomiała jak nieżywa. Przyłożył sobie jej wiotką rękę do policzka, nie mając pewności, czy go słyszy. Powtarzał te słowa od wielu godzin, błagając ją, aby się obudziła.

- Nie chciałem. Zaślepiła mnie złość. Przepraszam. Nie odchodź. Proszę, wróć do mnie.

Wciąż słyszał, jak krzyk córki urywa się potwornie szybko w ciemności i zastępuje go przytłumiony odgłos pękania!

Gdyby to był pień drzewa lub grubsza gałąź, zginęłaby na miejscu. Chociaż i teraz jej los nie był jeszcze jasny.

Nikt oprócz Leny i Esrahaddona nie śmiał wchodzić do pokoju, który Theron wypełniał swoim bezbrzeżnym smutkiem. Wszyscy spodziewali się najgorszego. Gdy Wood dotarł do dworu, twarz jego córki i jego koszula były całe zakrwawione. Esrahaddon coś szepnął do nieprzytomnej Thrace, a potem poinstruował ich, żeby zabrali ją do dworu i pilnowali, aby było jej ciepło. Tak się postępowoło z umierającymi: próbowano się zapewnić im jak największą wygodę. Diakon Tomas pomodlił się wcześniej za nią i pozostawał w pobliżu, aby pobłogosławić jej odchodzącą duszę.

W ostatnim roku wioska Dahlgren była świadkiem wielu zgonów. I nie za wszystkie odpowiadała bestia. Zdarzały się normalne wypadki i choroby, a zimą polowały w okolicy wilki. Doszło też do kilku tajemniczych zniknięć, które mogły być wynikiem zgubienia się w lesie lub przypadkowego wpadnięcia do Nidwaldenu. W niespełna rok ludność wioski zmalała o ponad połowę. Wszyscy znali kogoś, kto zginął, i prawie każda rodzina straciła przynajmniej jednego z najbliższych.

Mieszkańcy Dahlgrenu przywykli więc do śmierci.

Odwiedzała ich w nocy i siadała z nimi do śniadania. Znali jej twarz, głos, chód, specyficzne nawyki. Zawsze była w pobliżu. Niemal już niezauważalna. Dlatego nikt się nie spodziewał, że Thrace przeżyje.

Przytłumione światło wschodzącego słońca wypełniło pokój, w którym Theron płakał nad ciałem córki. Opuszczała go ostatnia osoba z rodziny. I dopiero teraz zdał sobie sprawę, ile ona dla niego znaczyła.

Przypomniawszy sobie, że w noc, kiedy bestia zaatakowała jego gospodarstwo, tylko ona odważyła się wyjść po ciemku, żeby go poszukać. To Thrace, która dopiero co przestała być dzieckiem, przemierzyła samotnie połowę Avrynu i wydała oszczędności życia, żeby sprowadzić dla niego pomoc. A poprzedniej nocy, gdy się uparł, że pozostanie w obejściu, przysłała do niego, biegnąc sama przez las i nie bacząc na niebezpieczeństwa. Chciała go uratować - i udało jej się to.

Nie tylko pozbawiła bestię ofiary, lecz również przywróciła go żywym. Zdjęła mu z oczu czarną zasłonę i uwolniła jego serce od brzemienia winy, przyplacając to jednak życiem.

Po policzkach spłynęły mu łzy, zatrzymując się na górnej wardze. Pocałował rękę córki, pozostawiając na niej mokre miejsce - ofiarę, przeprosiny. Jak mogłem być taki ślepy?

Nasłuchiwał jej coraz płytszych oddechów jak odgłosu kroków - oddalających się i cichnących. Ścisnął jej rękę, całując ją wielokrotnie i wtulając w nią swój mokry policzek.

Czul się tak, jakby to jemu wyrywano z piersi serce.

W końcu jej miarowe oddychanie ustało i Theron zaszlochał.

- Tatusiu?

Podniósł gwałtownie głowę. Córka patrzyła wprost na niego.

- Nic ci nie jest? - wyszeptała.

Otworzył usta, ale nie mógł mówić. Po twarzy dalej ciekły mu łzy, lecz na jego twarzy pojawił się uśmiech radości -

takiej, jaką odczuwa ziemia na widok wody po wieloletniej suszy.

*

Coraz silniejszy wiatr pędził po kapryśnym niebie chmury zwiastujące deszcz. Royce siedział na skalnym parapecie, gdzie klif stykał się z rzeką, a mgiełka unosząca się z wodospadu kładła się na kamieniu wilgocią. Nogi miał

przemoczone - po porannej wędrówce przez wilgotne podszycie lasu - mimo to wpatrywał się w

niebotyczną cytadelę, kuszącą swoim ogromem. Wpadł na pomysł, że pod rzeką może być tunel, ale choć szukał wejścia do niego między drzewami, niczego nie znalazł. Wciąż tkwił w martwym punkcie.

Prawie po dwóch dniach nie zbliżył się do celu ani o jotę.

Wieża wciąż pozostawała poza jego zasięgiem. Bez umiejętności chodzenia po wodzie lub latania nie miał szans, by przepłynąć się przez połąkę rwącej wody.

- Są tam w tej chwili - powiedział Esrahaddon. Royce zapomniał o czarnoksiężniku, który zjawił się jakiś czas temu, by oznajmić, że Thracia odzyskała przytomność, a potem usiadł na skale i przez następną godzinę robił to samo co Royce przez cały dzień - wpatrywał

się w wieżę. -Kto?

- Elfy. Są po swojej stronie rzeki i patrzą na nas.

Przypuszczam, że widzą nas nawet z tej odległości. Są zadziwiające. Większość ludzi uważa je za gorsze stworzenia - leniwe, brudne, ciemne - ale w rzeczywistości przewyższają nas prawie pod każdym względem. To pewnie dlatego tak bardzo je zwalczamy

- nie chcemy przyznać, że mogą być od nas lepsze. A są naprawdę nadzwyczajne - ciągnął Esrahaddon.

- Spójrz tylko na tę wieżę. Jest gładka i jednolita, jakby wyrastała ze skały. Elegancka. Doskonała. Pasuje do krajobrazu jak twór natury, tyle że nim nie jest. Elfy wzniosły ją, wykorzystując umiejętności i techniki, których nasi najlepsi kamieniarze nigdy nie pojęli. Tylko wyobraź sobie, jakie wspaniałe miasta muszą być ich miasta! Jakie cuda muszą się kryć w tych lasach po drugiej stronie rzeki.

- A więc nigdy tam nie byłeś? - spytał Royce.

- Żaden człowiek nigdy tam nie był i prawdopodobnie nie będzie. W chwili dotknięcia tamtego brzegu padnie martwy.

Włosek, na którym wisi życie ludzkie, jest rzeczywiście cienki.

- Jak to?

Esrahaddon tylko się uśmiechnął.

- Wiesz zapewne, że przed przybyciem Novrona żadna armia ludzka nie pokonała nigdy elfów w walce. Wtedy elfy były naszymi demonami. W Wielkiej Bibliotece Percepliquisu znajdziesz tomy na ten temat. Niegdyś nawet uważaliśmy je za bogów. Żyją tak długo, że nikt nie zauważył, żeby się starzały. Ich obrzędy pogrzebowe są objęte taką tajemnicą, że żaden człowiek nigdy nie widział zwłok żadnego elfa. Były pierworodnymi - mówił dalej czarnoksiężnik - wielkimi i potężnymi

dzięmi Ferrola. To ich obawiano się najbardziej w walce. Chorobę można było leczyć. Na niedźwiedzie i wilki można było polować i zastawiać sidła. Na burze i susze można było się przygotować. Ale elfom

nie mogło się absolutnie nic oprzeć. Ich ostrza łamały nasze klingi, ich strzały przebijały nasze pancerze, ich tarcze były niezniszczalne i oczywiście znały sztukę. Wyobraź sobie niebo zaciemnione przez chmurę gilarabrywnów. A one są tylko jedną z ich broni. Nawet bez tego wszystkiego, bez sztuki ich szybkość, wzrok, słuch, zmysł równowagi i pradawne umiejętności przekraczają wszystkie zdolności człowieka.

- Skoro tak jest, to dlaczego one są tam, a my tutaj?

- Dzięki Novronowi. Wskazał nam ich słabości. Nauczył

ludzkość, jak walczyć, jak się bronić, a także zdradził nam sztukę magii. Bez niej byliśmy wobec nich bezradni.

- Wciąż nie rozumiem, jakim cudem zwyciężyliśmy - nie ustępował Royce. - Nawet mimo wiedzy, jaką posiadaliśmy, wydaje się, że nadal mają przewagę.

- To prawda, i w równej walce ponieśliśmy porażkę. Lecz walka nie była równa. Widzisz, elfy żyją bardzo długo. Żaden człowiek nie wie, jak długo, ale przynajmniej wiele stuleci.

Może w tej chwili obserwują nas te, które pamiętają, jak wyglądał Novron. Żaden człowiek nie jest tak długowieczny, ale za to szybko się rozmnażamy. Elfy zaś mają niewiele dzieci i narodziny to dla nich bardzo znaczący moment.

Narodziny i śmierć w świecie elfów to rzadkie i święte wydarzenia. Wyobraź sobie - wyjaśniał dalej czarnoksiężnik

-jakie zniszczenia i nieszczęścia dotknęły je w trakcie wojen.

Niezależnie od tego, czy wygrywały bitwę, czy przegrywały, za każdym razem ich szeregi się przerzedzały. My, ludzie, uzupełniliśmy straty w ciągu jednego pokolenia, natomiast elfy potrzebowały na to tysiąclecia. Pochłonęła je i zatopiła, że tak

powiem, fala powodziowa ludzkości. - Esrahaddon przerwał

na chwilę, po czym dodał: - Tylko że Novrona już nie ma.

Tym razem nie będzie zbawcy.

- Tym razem?

- Jak myślisz, co je tam trzyma? Przecież to są ich ziemie.

Nam się wydaje, że od tamtego czasu minęła cała wieczność, ale one mają wrażenie, jakby wczoraj

chodziły po tej stronie rzeki.

- Co zatem je powstrzymuje?

- A co powstrzymuje wszystkich przed tym, czego pragną?

Strach. Strach przed unicestwieniem, przed tym, że ich doszczętnie zniszczymy, choć pewnie już odbudowały swoje szeregi. Ale Novron nie żyje.

- Już mówiłeś - zauważył Royce.

- Mówiłem też, że ludzkość roztrwoniła spadek Novrona.

Novron przyniósł człowiekowi magię, ale Novrona już nie ma, a magia poszła w niepamięć. Siedzimy tu jak dzieci -

nadzy i bezbronni - ściągając na siebie gniew rasy, która wyprzedza nas tak bardzo, że nawet nie usłyszysz naszych krzyków. Jediną obroną, jaka pozostała ludzkości, jest kruchy układ między imperum Erivanu a zmarłym imperatorem.

- Dobrze, że o tym nie wiedzą.

- Na tym polega problem - powiedział czarnoksiężnik. -

Właśnie się dowiadują.

- Gilarabrywn? Esrahaddon skinął głową.

- Zgodnie z dekretem Novrona brzegi rzeki Nidwalden są *ryin contita*.

- Zabronione dla wszystkich - przetłumaczył Royce, na co czarnoksiężnik się uśmiechnął. - Ja też umiem czytać i pisać -

zachnął się złodziej. A Dahlgren gwałci ten traktat.

- Właśnie. Dekret mówi również, że elfom nie wolno odbierać życia ludziom, chyba że przeszliby na drugą stronę rzeki. Nie ma w nim jednak ani słowa o nieumyślnym ich zabijaniu. Jeżeli puszcze głaz, może spaść wszędzie, ale prawdopodobnie stoczy się ze wzgórza i zabije mieszkających u jego stóp ludzi. Ale to nie ja ich zabiję, tylko głaz - i nieszczęsny zbieg okoliczności, że osiedlili się w tym miejscu.

- I elfy obserwują, co robimy, jak sobie z tym radzimy.

Oceniają nasze możliwości. Tak jak ty moje.

Esrahaddon się uśmiechnął.

- Być może - powiedział. - Nie można mieć pewności, czy odpowiadają za obecność bestii, ale jedno jest pewne: obserwują. Gdy się zorientują, że jesteśmy bezradni wobec jednego gilarabrywna, jeśli uznają, że traktat został złamany, albo gdy straci on swą moc, nic już ich nie powstrzyma.

- To dlatego tu przybyłeś?

- Nie. - Czarnoksiężnik pokręcił głową. - Nie jest to bez znaczenia, ale żadne moje działanie nie zdoła zapobiec wybuchowi wojny między elfami a ludźmi. Próbuję tylko zamortyzować cios i dać ludzkości szansę w tej walce.

- Możesz zacząć od nauczania innych tego, co zrobiłeś wczoraj.

Czarnoksiężnik spojrzał na złodzieja.

- Co masz na myśli? - spytał.

- Skromność ci nie przystoi - odrzekł Royce. - Myślałem, że bez rąk nie możesz uprawiać swojej sztuki.

- To bardzo trudne, wymaga sporo czasu i nie zapewnia dokładności. Wyobraź sobie, że chcesz napisać swoje nazwisko palcami u nóg. Zacząłem pracować nad tym zaklęciem przed waszym przyjazdem.

Myślałem, że może się kiedyś przydać. Wyszło tak, że omal nie spłonęliście, a płomienie miały wybuchnąć kilka metrów dalej i palić się przez kilka godzin, a nie minut. Gdybym miał

ręce, mógłbym... - urwał. - Ale gdybanie nie ma sensu.

- Czy dawniej naprawdę byłeś taki potężny? Esrahaddon posłał mu szelmowski uśmiech.

- Drogi chłopcze, nawet sobie nie wyobrażasz.

*

Wiść o wyzdrowieniu Thrace rozeszła się w wiosce lotem błyskawicy. Wciąż kręciło się jej lekko w głowie, ale czuła się nadzwyczaj zdrowo. Nie miała zaburzeń wzroku, wszystkie zęby były na swoim miejscu i dopisywał jej apetyt. Przed południem już siedziała i pałaszowała zupę. Tego dnia oczy mieszkańców wioski miały zdecydowanie inny wyraz.

Wszyscy myśleli o tym samym, ale nikt nie powiedział tego na głos: bestia zaatakowała i nikt nie zginął. Przy każdym z nich pojawiła się dawno zaginiona przyjaciółka, która niespodziewanie wróciła - nadzieja.

O świcie zajęli się przygotowywaniem kolejnych stosów na ognisko. Mieli już opracowany system i potrafili ułożyć je w zaledwie kilka godzin. Podejrzewali, że bestia, która bez wątplenia dobrze widziała w ciemności, może nie przenikać wzrokiem gęstego dymu. W związku z tym Vince Griffin zaproponował, żeby użyć dymiących garnków. Od wieków rolnicy używali tej metody do odpędzania

owadów, które zagrażały ich plonom, i w Dahlgrenie nie było inaczej.

Szybko zebrano i napełniono stare naczynia, jakby zbliżała się chmara szarańczy. Jednocześnie Hadrian, Tad Bothwick i Kline Goodman zaczęli sprawdzać, które z budynków w niższej części dziedzica najlepiej nadają się na schronienie.

Hadrian zajął się organizowaniem małych grup ludzi. Jeden zespół zaczął poszerzać odkrytą w wędzarni piwnicę, inny zabrał się do kopania tunelu, w który mogliby złapać bestię -

olbrzymi wąż ścigający człowieka mógł podążyć za nim do środka i gdyby tunel stopniowo się zwężał, utknąłby w nim, zanim uświadomiłby sobie swój błąd. Nie można go było zabić żadną bronią wykonaną przez człowieka, ale Hadrian się domyślał, że nie wykluczało to jego uwięzienia.

Diakonowi Tomasowi nie podobało się to całe kopanie, przycinanie i palenie na terenach grodu, ale było już jasne, że mieszkańcy wioski znaleźli nowego przywódcę w osobie Hadriana. Siedział więc cicho we dworze i opiekował się Thrace.

- Hadrian?

Złodziej mył się przy studni, gdzie mógł znaleźć chwilę prywatności. Usłyszawszy swoje imię, podniósł głowę i zobaczył Theroną.

- Widzę, że kopalesz. Dillon wspomniał, że kazałeś ludziom przygotować tunel. To dobry pomysł.

- Ale mała szansa, że wypali - odparł Hadrian, oblewając sobie twarz garściami wody. - Lepszy jednak rydz niż nic.

- Słuchaj... - zaczął Wood z bolesnym wyrazem twarzy, ale zaraz umilkł.

- Thrace czuje się dobrze? - spytał Hadrian po dłuższej chwili.

- Świetnie, jest twarda jak jej stary - powiedział z dumą, uderzając się pięścią w pierś. - Drzewo to za mało, żeby ją złamać. Tacy już są Woodowie. Może

na to nie wyglądamy, ale jesteśmy silni. Potrzebujemy na to trochę czasu, ale gdy już wracamy, jesteśmy jeszcze silniejsi.

Tyle że potrzebujemy do tego... jakiegoś powodu. Nie miałem go, a przynajmniej tak mi się zdawało. Thrace otworzyła mi oczy.

Stali naprzeciwko siebie w krępującej ciszy.

- Słuchaj - powtórzył Theron i znów zamilkł. - Nie umiem żyć w poczuciu zobowiązania wobec kogokolwiek. Zawsze płaciłem za własne błędy. Doszedłem do tego, co mam, ciężka pracą. Nie proszę nikogo o pomoc i nie przepraszam za to, jaki jestem. Rozumiesz?

Hadrian przytaknął.

-Ale... wczoraj miałeś wiele racji. Tylko że dziś niektóre rzeczy wyglądają inaczej. Thrace i ja wyjedziemy stąd, gdy tylko wydobrzeje. Myślę, że za kilka dni będzie mogła ruszyć w drogę. Zabiorę ją na południe, może do Albumu albo nawet do Calisu. Słyszałem, że jest tam cieplej i okres wegetacji jest dłuższy. W każdym razie pozostaniemy tu jeszcze przez kilka dni. I jeszcze przez kilka nocy będziemy musieli żyć w cieniu tego stwora. Nie dam sobie odebrać córki tak, jak straciłem pozostałych. Wiem już też, że nie obronię jej, machając kosą albo widziami, dlatego dobrze by było, gdybym umiał walczyć.

Wtedy przynajmniej będę miał jakąś szansę. Odłożyłem trochę srebra i zastanawiałem się, czy twoja propozycja nadal jest aktualna.

- Przede wszystkim coś sobie wyjaśnijmy - powiedział

Hadrian surowym tonem. - Twoja córka już nam zapłaciła za pomoc, więc zatrzymaj swoje srebro na podróż. Tylko pod takim warunkiem będę cię uczył. Zgoda?

Theron zawahał się, po czym skinął głową.

- Dobrze. Jeśli jesteś gotowy, to możemy zacząć w tej chwili.

- Weźmiemy twoje miecze? - spytał Theron.

- W tym szkopał, bo zostawiłem je wczoraj na Millie, a od tamtej chwili nikt jej nie widział. Ale na razie to bez znaczenia.

- Mam uciąć kije? -Nie.

- A więc co?

- Usiądź i po prostu słuchaj. Przed przystąpieniem do jakiegokolwiek walki trzeba się sporo nauczyć.

Theron spojrział na Hadriana sceptycznie.

- Chcesz, żebym cię uczył, tak? A jak ty byś zareagował, gdybym cię poprosił, żebyś mnie nauczył pracy na roli w kilka godzin?

Theron skinął głową, uznając ten argument, i usiadł na ziemi niedaleko miejsca, w którym Hadrian spotkał po raz pierwszy Pearl. Hadrian włożył koszulę, postawił wiadro do góry nogami i usiadł na nim przed starym gospodarzem.

- Walka tak jak wszystkie umiejętności wymaga praktyki.

Wszystko wygląda łatwo, jeśli się patrzy na mistrza w danej dziedzinie, ale nie widzi się godzin i lat pracy włożonej w doskonalenie rzemiosła. Ty na pewno potrafisz zaorać pole w ułamku czasu, jakiego ja bym na to potrzebował. Podobnie jest z walką na miecze. Praktyka pozwoli ci reagować bez zastanawiania się nad tym, co się dzieje, a nawet przewidywać, co się wydarzy. Staje się formą zdolności zagłębienia w przyszłość i odkrywania, co przeciwnik robi, jeszcze zanim to zrobi. Bez

niej nie dasz rady. W walce z bardziej doświadczonym przeciwnikiem

nawet ułamek sekundy zawahania może przesądzić o czyjejś śmierci.

- Mój przeciwnik to olbrzymi wąż ze skrzydłami

- powiedział Theron.

- Który zabił ponad dwudziestu ludzi. Z pewnością jest bardziej doświadczony, nie uważasz? Zatem praktyka ma kapitalne znaczenie. Pytanie brzmi: co musisz ćwiczyć?

- Machanie mieczem, jak sądzę.

- Racja, ale to zaledwie cząstka wymaganych umiejętności.

Gdyby chodziło tylko o to, każdy z dwiema nogami i przynajmniej jedną ręką byłby specjalistą w tej dziedzinie.

Potrzeba czegoś więcej. Po pierwsze, koncentracji. I nie oznacza ona tylko zwracania uwagi na działania przeciwnika.

Oznacza wyrzucenie z głowy myśli o Thrace albo swojej rodzinie, przeszłości bądź przyszłości. Oznacza skupienie się na tym, co w danej chwili się robi. Po drugie, ważne jest oddychanie.

- Oddychanie? - powtórzył Theron z powątpiewaniem.

- Tak. Oddychamy przez cały czas, ale niekiedy przestajemy albo oddychamy nieprawidłowo. Wstrzymałeś kiedyś oddech, na przykład ze strachu? Zdarza ci się dyszeć, kiedy jesteś zdenerwowany albo przerażony? Niektórzy ludzie mogą wtedy nawet zemdleć. Wierz mi, podczas prawdziwej walki będziesz czuł przerażenie i jeśli się nie nauczysz, zaczniesz oddychać płytko albo w ogóle przestaniesz. Niedobór powietrza zaś osłabia ciało i utrudnia jasne myślenie.

Człowiek męczy się i staje się powolny. A na to nie można sobie pozwolić w walce.

- A więc jak wygląda prawidłowe oddychanie?

- spytał Theron, wciąż z nutą sarkazmu w głosie.

- Musisz oddychać powoli i głęboko, jeszcze zanim trzeba, zanim wymusi to na tobie wysiłek. Z początku będziesz to robił świadomie i będzie ci to przeszkadzać, a nawet cię rozpraszać, ale z czasem wejdzie ci to w nawyk. Warto też pamiętać, że najsilniejszy cios zadaje się na wydechu.

Uderzenie ma wtedy większą moc i jest celniejsze. Czasami pomaga też wrzask albo krzyk. Będę wymagał tego od ciebie podczas ćwiczeń. Będę chciał słyszeć, jak krzyczysz przy wyprowadzaniu ciosu. Później nie będzie takiej konieczności, choć w ten sposób można też przestraszyć przeciwnika.

Hadrian przerwał na chwilę i Theron dostrzegł nieznaczny uśmiech na jego ustach.

- Po trzecie, ważna jest równowaga. I chodzi tu nie tylko o to, żeby się nie przewrócić. Ludzie mają niestety tylko dwie nogi i to nam daje zaledwie dwa punkty podparcia. Gdy odejmiesz jeden, narażasz się na niebezpieczeństwo. Dlatego musisz starać się trzymać nogi na ziemi. Przemieszczasz się, ale raczej przesuwasz nogi, niż je podnosisz. Stoisz przy tym nieznacznie pochylony do przodu, na lekko ugiętych nogach i z ciężarem ciała opartym na przednich częściach stóp, a nie na piętach. Zbliżenie stóp zmniejsza liczbę punktów podparcia z dwóch do jednego, więc pamiętasz o rozkroku. Rozstawiasz stopy mniej więcej na szerokość ramion.

No i w końcu bardzo ważna jest oczywiście koordynacja -

ciągnął Hadrian. - Już teraz cię ostrzegam, że z początku będziesz z nią miał problemy, ponieważ poprawia się ona wraz z doświadczeniem. Widziałeś wczoraj, jakie frustrujące bywa chybianie celu. Koordynacja pozwala nie tylko na trafienie przeciwnika, ale również wyrządzenie mu szkody.

Nauczysz się

dostrzegać schematy w jego ruchach. Będziesz wiedział, kiedy się spodziewać luki, albo zauważysz słaby punkt w jego obronie. Dzięki temu przewidzisz atak rywala, po jego ruchach - po ustawieniu stóp, spojrzeniu, wiele mówiącym opuszczeniu ramienia, napięciu mięśnia.

- Ale ja nie będę walczył z człowiekiem - wtrącił Theron. - I to coś chyba nawet nie ma ramienia.

- Zwierzęta również sygnalizują ciałem, co zaraz zrobią.

Garbią się i skręcają czy tak jak ludzie przenoszą ciężar ciała.

Choć znaki te nie muszą być oczywiste. Większość wprawnych wojowników próbuje ukryć swoje zamiary lub, co gorsza, celowo wprowadza przeciwnika w błąd. Chcą zaburzyć jego koordynację, zniszczyć równowagę i stworzyć dla siebie lukę. Ale wtedy przeciwnik oczywiście chce uczynić to samo. Jeśli ci się to uda, rywal dostrzeże fałszywy ruch, ale ataku już nie. Wynikiem tego w twoim wypadku bę-

dzie latający wąż bez głowy.

Ostatni element - mówi! dalej - jest najtrudniejszy. Nie można go nikogo nauczyć i niełatwo go wyjaśnić. Mówiąc w skrócie, walka - bitwa - właściwie nie rozgrywa się w rękach czy nogach, ale w głowie. Prawdziwe zmagania odbywają się w umyśle. Musisz wiedzieć, że zwyciężysz, jeszcze zanim zaczniesz walczyć. Musisz to zobaczyć, poczuć nosem i niezłomnie w to wierzyć. To forma pewności siebie, ale trzeba się strzec pychy. Trzeba być elastycznym - zdolnym do przystosowania się w jednej chwili - i nigdy się nie poddawać.

Jeśli nie będziesz wierzył, że zwyciężysz, strach i wahanie cię powstrzymają, a twój przeciwnik to wykorzysta. A teraz poszukajmy mocnych kijów i przekonajmy się, jak uważnie słuchałeś.

Tej nocy ponownie rozpalili ogniska i wszyscy schronili się albo we dworze, albo w piwnicy wędzarni. Tylko Royce i Hadrian pozostali na zewnątrz, ale nawet oni skryli się w wejściu do wędzarni, skąd obserwowali nocny krajobraz przy świetle ognia.

- Jak się czuje Thrace? - spytał Royce, spoglądając na niebo.
- Wspaniale, jeśli uwzględnić się to, że złamała głowę konar
- odparł Hadrian, który siedział na beczce i obgryzał kość barana. - Słyszałem nawet, że chciała pomóc przy przygotowywaniu obiadu. - Pokręcił głową i się uśmiechnął. -

Ta dziewczyna jest niesamowita, bez dwóch zdań. Choć trudno w to uwierzyć, jeśli się ją widziało pod tamtym łukiem w Colnorze. Natomiast prawdziwa zmiana dokonała się w staruszk. Theron mówi, że za kilka dni, jak tylko Thrace będzie mogła podróżować, wyjadą stąd na południe.

- A więc kończymy pracę? - Royce udał rozczarowanie.
- A co, już wiesz, jak tam wejść? - spytał Hadrian, wyrzucając kość i wycierając ręce w kamizelkę.
- Nie. Nie mam pojęcia, jak się tam dostać.
- Tunelem?
- Przyszło mi to do głowy, ale przeszukałem las i skały centymetr po centymetrze i nic nie znalazłem: żadnej jaskini, zagłębienia, niczego, co mogłoby wskazywać na jego obecność. Kompletnie nie kapuję.
- A Esra nie ma żadnego pomysłu?
- Może ma, ale nie mówi wprost. Coś ukrywa. Chce wejść do tej wieży, ale nie chce powiedzieć dlaczego i unika bezpośrednich pytań na ten temat. Coś

mu się tu przytrafiło wiele lat temu i wyraźnie nie chce o tym rozmawiać. Ale może nakłonię go jutro rano, jeśli mu powiem, że Woodowie już nas nie potrzebują i nie ma powodu, żebym dalej się nad tym głowił.

- Nie sądzisz, że się domyśli?
- Czego? - spytał Royce. - Jutro spróbuję jeszcze raz, ale jeśli nic nie znajdę, naprawdę proponuję wyjechać razem z Theronem i Thrace.

Hadrian milczał.

- Co znowu? - zirytował się przyjaciel.
- Nie podoba mi się zostawianie ich w takim pośpiechu.

Zaczynają odzyskiwać pewność siebie.

- Ciągle to samo. Angażowanie się w przegrane sprawy weszło ci chyba w krew...

- Chciałbym ci przypomnieć, że to ty wpadłeś na pomysł, żeby tu przyjechać. Ja byłem w trakcie odrzucania propozycji.

Pamiętasz?

- Cóż, w ciągu jednego dnia może się wiele wydarzyć.

Może jutro znajdę wejście.

Hadrian podszedł do drzwi i wyjrzał na zewnątrz.

- W lesie jest głośno. Dziś nas nie odwiedzi nasz przyjaciel.

Może płomień Esrahaddona przypaliły mu skrzydła i postanowił posilić się dziczyzną?

- Ogniska nie odstraszą go na dobre - powiedział Royce. -

Czarnoksiężnik twierdzi, że nie zrobiły mu krzywdy, tylko go nieco zdezorientowały. Widocznie silne światło tak na niego działa. Zranić może go tylko miecz ukryty w wieży. Bestia na pewno jeszcze wróci.

- No to skorzystajmy z jej nieobecności i dobrze się wyśpijmy.

Hadrian zszedł do piwnicy, zostawiając na straży Royce'a, wpatrującego się w nocne niebo i coraz liczniejsze chmury przesuwające się na tle gwiazd. Wciąż wiał silny wiatr, który targał drzewami i płomieniami. Złodziej instynktownie wyczuł nadchodzącą zmianę.

Rozdział 8

Mity i legendy

Royce stał na brzegu rzeki w świetle wczesnego poranka i próbował puszczać kaczki w kierunku wieży. Żaden z kamieni nie odbił się od powierzchni wody więcej niż jeden raz, zanim pochłonęła go kipiela.

Jego najnowszy pomysł na dotarcie do wieży polegał na zbudowaniu łódki i zwordowaniu jej w górnym biegu rzeki w nadziei, że wyląduje na skalnym parapecie, zanim silny prąd zrzuci ją z wodospadu. Choć na skalnym występie nie było wiele miejsca, mogłoby mu się to udać, jeśli złapałby odpowiedni prąd. Napierająca woda prawdopodobnie zmiażdżyłaby łódkę, ale jemu być może udałooby się wdrapać na parapet, zanim woda poniosłaby go ku przepaści. Problem polegał na tym, że nawet gdyby zdołał dokonać tego nadludzkiego wyczynu, nie miałby jak wrócić.

Odwrócił się i zobaczył czarnoksiężnika zbliżającego się szlakiem. Pomyślał, że może Esrahaddon chce go mieć na oku, ale bardziej prawdopodobne wydało mu się to, że chciał

być obecny na wypadek, gdyby Royce znalazł wejście.

- Dzień dobry - przywitał się czarnoksiężnik. - Jakieś genialne myśli?

- Tylko jedna. Nie mająk dostać się do tej wieży.

Esrahaddon wyglądał na rozczarowanego.

- Wyczerpałem wszelkie możliwości, jakie przyszły mi do głowy. Zresztą Theron i Thrace zamierzają wyjechać z Dahlgrenu, więc nie mam już powodu walić głową w ten mur.

- Rozumiem - powiedział Esrahaddon, spoglądając na złodzieja z góry. - A co z pozostałymi?

- To nie mój problem. Tej wioski nie powinno tu w ogóle być. To pogwałcenie traktatu. Najlepiej więc by było, aby wszyscy ci ludzie stąd odeszli.

- Jeśli pozwolimy na likwidację osady, może to być odczytane jako oznaka naszej słabości i zachęcić elfy do najazdu.

- Ale łamanie traktatu może poskutkować tym samym. Na szczęście dla mnie nie noszę korony. Nie jestem imperatorem ani królem, więc nie muszę się o to martwić.

- Zamierzasz wyjechać ot tak, po prostu?

- Jest jakiś powód, żebym został? Czarnoksiężnik uniósł

brew i uważnie popatrzył

na złodzieja.

- Czego chcesz? - zapytał w końcu.

- Proponujesz mi zapłatę?

- Obaj wiemy, że nie mam pieniędzy, mimo to czegoś ode mnie chcesz. Czego?

- Prawdy. Czego szukasz? Co tu się stało dziewięćset lat temu?

Czarnoksiężnik patrzył przez chwilę na Royce'a, po czym spuścił wzrok na ziemię. Po kilku minutach skinął głową.

Podszedł do kłody brzozy, leżącej

na granitowej skale, i usiadł na niej. Spojrzał w kierunku rzeki, jakby wypatrywał czegoś w mgiełce wodnej.

- Byłem wtedy członkiem rady cenzarów, do której należeli najwięksi czarnoksiężnicy, jakich świat widział. Najwięksi rycerze imperatora stanowili radę teshlorów. Tradycja nakazywała, aby mentorzy obu tych rad służyli jako nauczyciele i obrońcy syna imperatora. A ponieważ wśród cenzarów to ja byłem najmłodszy, to mnie przypadła rola nauczyciela Nevrika. Teshlorowie wybrali Jerisha Grelada.

Nie zgadzaliśmy się z sobą. On jak większość teshlorów nie ufał czarnoksiężnikom, a ja gardziłem nim i jego prymitywnymi, brutalnymi metodami. Ale Nevrik sprawił -

ciągnął Esrahaddon - że nasze drogi się skrzyżowały.

Podobnie jak jego ojciec imperator Nareion Nevrik zalicza!

się do nietuzinkowych osób i nauczanie go było zaszczytem.

Jerish i ja spędzaliśmy więc z nim prawie cały nasz czas. Ja mu przekazywałem wiedzę i sztukę, a Jerish uczył go walki i działań wojennych. Choć wciąż uważam, że ćwiczenia w walce nie uchodziły imperatorowi i jego synowi, nie ulegało wątpliwości, że oddanie Jerisha było nie mniejsze od mojego.

Znaleźliśmy wspólny punkt: gdy imperator postanowił zerwać z tradycją i przyjechać z synem do Avemparthy, przybyliśmy tu razem z nimi.

- Zerwać z tradycją?

- Minęło wiele stuleci od czasu, jak imperator rozmawia!

bezpośrednio z elfami.

- Po wojnie nie złożono hołdu?

- Nie, wszystkie kontakty urwały się przy Nidwal-denie, więc był to bardzo ekscytujący okres. Nikt właściwie nie miał

pojęcia, czego się spodziewać. Osobiście

wiedziałem bardzo mało o Avemparcie poza tym, że była świadkiem ostatniej bitwy podczas wielkich wojen elfickich.

Imperator spotkał się więc w wieży z kilkoma najwyższymi urzędnikami imperium Erivanu, podczas gdy Jerish i ja próbowaliśmy kontynuować naukę Nevrika, choć trudno było rywalizować o uwagę dwunastolatka z widokiem wodospadu i elficką architekturą.

Przez cały dzień Nevrik pokazywał nam różne przedmioty, ciesząc się z tego, że ani Jerish, ani ja nie potrafiliśmy ich zidentyfikować. Znajdował dużą przyjemność we wprowadzaniu nas w zakłopotanie. Gdy więc zapytał o coś, co schowało się w wieży, pomyślałem, że widział ptaka albo nietoperza, ale on powiedział, że to było większe i wyglądało jak wąż.

Wspomniał też, że wleciało do wieży przez jedno z wysokich okien. Nevrik mówił o tym z takim przekonaniem, że wróciliśmy wszyscy do środka. Niedługo po wejściu na główne schody usłyszeliśmy krzyki. Wydawało się - kontynuował czarnoksiężnik - że nad nami toczyła się wojna. Oddział

teshlorów odpiera! atak gilarabrywna, osłaniając imperatora w trakcie schodzenia po stopniach. Zobaczyłem, jak grupy elfów rzucają się na stwora, umierając w obronie naszego władcy.

- Elfów?

Esrahaddon przytaknął.

- Osłupiałem na ten widok. Nawet po upływie tysiąca lat cała ta scena jest bardzo żywa w mojej pamięci. Ani rycerze, ani elfy nie potrafili zatrzymać atakującej bestii, która wydawała się zdecydowana zabić imperatora. Bitwa była straszliwa: rycerze upadali i umierali na mokrych schodach, a wraz z nimi elfy. Imperator krzyknął do nas, abyśmy zabrali Nevrika w bezpieczne

miejsce. Jerish chwycił więc chłopaka i wywlókł kopiącego i wrzeszczącego z wieży, ale ja się wahałem. Uświadomiłem sobie, że na zewnątrz bestia rzuci się na nas z góry i pozabija wszystkich bez większej trudności. Nie można jej było pokonać sztuką. Była magiczna i bez klucza do odwołania zaklęcia żadne moje działania nie zmieniłyby jej czaru.

Przyszło mi jednak coś do głowy i po wyjściu imperatora na zewnątrz rzuciłem czar związania - nie na bestię, ale na wieżę z bestią w środku. Rycerze i elfy, którzy nie zdążyli wyjść, zginęli, lecz bestia została uwięziona.

- Skąd pochodził stwór? Dlaczego zaatakował? Esrahaddon wzruszył ramionami.

- Elfy upierały się, że nie miały o nim pojęcia. Przyznały tylko, że po wojnach nie doliczyły się jednego gilarabrywna i założyły, że pewnie zginął w bitwie. Wspomniały jednak o wojowniczej społeczności rozrastającej się w imperium Erivanu, która usiłowała na nowo wzniecić wojnę.

Przypuszczały, że to była jej sprawka. Przeprosiły i zapewniły nas, że zbadają sprawę do końca.

Imperator przekonany, że odwet za atak czy choćby nawet nagłośnienie incydentu nie będzie rozsądnym posunięciem, postanowił zapomnieć o sprawie i wrócić do domu.

- O co chodzi z tą bronią?

- Gilarabrywn to wyczarowany stwór, potężna magia obdarzona życiem wykraczającym poza ramy istnienia swojego twórcy. Nie jest naprawdę żywy: nie może się rozmnażać, starzeć czy znać wartości istnienia, ale nie może też umrzeć. Można go jednak unicestwić. Żadne czary nie są doskonałe. W każdej magii jest szew, który umożliwia sprucie jej tkaniny. W przypadku gilarabrywna szwem jest jego imię.

Wraz

z gilarabrywnem bowiem tworzony jest przedmiot

- miecz, na którym wyryte jest imię stwora. Miecz służy do kontrolowania bestii, a w razie konieczności - jej zniszczenia.

Elfy utrzymywały, że po wojnie zastosowały się do rozkazów Novrona i umieściły miecze wszystkich gilarabrywnów w wieży. Rzeczywiście doliczono się wszystkich i na wszystkich

- oprócz jednego

- był wycięty karb, który wskazywał, że związany z nim stwór został zniszczony.

Royce wstał, żeby rozprostować nogi.

- A więc elfi lordowie na wszelki wypadek zachowali sobie jednego albo ukryło go to wojownicze ugrupowanie, żeby narobić zamieszania. I twierdzą, że w wieży są wszystkie miecze...

- Ten tam jest - wtrącił Esrahaddon.

- Skąd wiesz? Widziałeś go?

- Po przybyciu oprowadzono nas po wieży. Na górze jest coś w rodzaju pomnika wojny. Tam wystawione są wszystkie miecze.

- W porządku - uznał Royce. - Ale nie dlatego chcesz tam wejść. Nie przyjechałeś tu ratować Dahlgrenu.

- Nie dałeś mi dokończyć - odpowiedział Esrahaddon tonem nauczyciela napominającego ucznia, żeby był cierpliwy. -

Imperator był przekonany, że zapobiegł wojnie z elfami, i wrócił do domu, ale czekała go egzekucja. Podczas naszej nieobecności Kościół pod przewodnictwem patriarchy Venlina zaplanował jego zabójstwo. Do napaści doszło na schodach pałacu w trakcie uroczystości upamiętniającej rocznicę założenia imperium. Jerish i ja uciekliśmy z Nevrikiem. Wiedziałem, że w znowę Kościoła

zamieszanych jest wielu cenzarów i teshlorów i że nas odnajdą, więc Jerish i ja obmyśliliśmy plan: ukryliśmy Nevrika, a ja zrobiłem dwa talizmany. Jeden dałem Nevrikowi, a drugi Jerishowi.

Amulety te miały ukryć ich przed nieuchronnymi poszukiwaniami jasnowidzących cenzarów, a jednocześnie miały ułatwić mi ich odnalezienie. A potem wysłałem ich w drogę.

- A ty? - spytał Royce.

- Zostałem. Usiłowałem ratować imperatora. - Przerwał i zapatrzył się w dal. - Nie udało mi się.

- Co się stało ze spadkobiercą? - zapytał Royce.

- Skąd miałbym wiedzieć? Byłem zamknięty w więzieniu przez dziewięćset lat. Myślisz, że pisał do mnie listy? Jerish miał go gdzieś ukryć. - Czarnoksiężnik pozwolił sobie na ponury uśmiech. - Obaj myśleliśmy, że to potrwa nie dłużej niż miesiąc.

- Zatem nawet nie wiesz, czy spadkobierca jeszcze istnieje?

- Jestem pewien, że Kościół go nie zabił, bo wkrótce potem uśmiercono by i mnie. Ale nie mam pojęcia, co stało się z Jerishem i Nevrikiem. Jeżeli ktoś potrafił utrzymać Nevrika przy życiu, to Jerish. Mimo swojego młodego wieku był

jednym z najlepszych rycerzy imperatora. Świadczył o tym fakt, że władca powierzył syna jego opiece. Jak wszyscy rycerze teshlor Jerish był mistrzem w każdej sztuce walki. Nie znalazłby się człowiek, który mógłby go pokonać w bitwie, a on sam prędzej by zginął, niż oddał Newika. Teraz oczywiście obaj już nie żyją - czas tego dopilnował - tak samo jak ich prapraprawniki, jeżeli je mieli. Przypuszczam, że Jerish był

świadomy potrzeby zachowania rodu i osiadł w jakimś zacisznym miejscu, gdzie zachęcał Newika do założenia rodziny.

- I czekania na ciebie?

- To znaczy?

- Taki był plan, prawda? Oni uciekają i się ukrywają, a ty zostajesz i ich odnajdujesz, gdy będzie już bezpiecznie?

- Mniej więcej.

- A więc miałeś sposób na skontaktowanie się z nimi. Na odnalezienie spadkobiercy. Amulety.

- Dziewięćset lat temu powiedziałbym „tak”, ale teraz szanse na odnalezienie ich potomków są znikome. Czas niszczy wiele rzeczy.

- Ale i tak próbujesz.

- Cóż innego może robić stary, kaleki banita?

- Powiesz mi, jak zamierzasz ich odnaleźć?

- Nie mogę. Już i tak powiedziałem ci więcej, niż powinienem. Spadkobierca ma wrogów i choć polubiłem ciebie, takiej tajemnicy ci nie wyjawię. Tyle jestem winien Jerishowi i Nevrikowi.

- Ale potrzebujesz czegoś, co jest w tej wieży. Dlatego chcesz tam wejść. - Royce zastanawia! się przez chwilę. -

Zapieczętowałeś ją tuż przed pójściem do więzienia, a skoro gilarabrywna wypuszczono dopiero teraz, masz prawie pewność, że przez cały ten czas nikt do niej nie wchodził. To jedyne miejsce, które nadal wygląda tak jak w dniu, w którym je opuściłeś. A ty zapewne coś tam widziałeś albo coś zostawiłeś. Coś, czego potrzebujesz, żeby odnaleźć spadkobiercę.

- Szkoda, że nie jesteś taki dobry w wymyślaniu sposobów dostania się do wieży

- A propos - powiedział Royce. - Wspomniałeś, że imperator spotkał się w niej z elfami. Nie wolno im przebywać na tym brzegu, prawda?

- Zgadza się.

- I po ich stronie rzeki nie było mostu, tak?

- To też się zgadza.

- Ale nigdy nie widziałeś, jak weszli do wieży? -Nie.

Royce zastanawiał się przez chwilę, po czym zapytał:

- Dlaczego schody były mokre? Esrahaddon spojrzał na niego zaskoczony.

- To znaczy?

- Powiedziałeś wcześniej, że gdy rycerze odpierali atak gilarabrywna, umierali na mokrych schodach. Czy to była krew?

- Nie, sądzę, że woda. Pamiętam, że schody były mokre, bo kamień był bardzo śliski i omal się nie przewróciłem.

Niektórzy rycerze jednak upadli.

- Powiedziałeś też, że elfy suszyły rzeczy na słońcu?

Esrahaddon pokręcił głową.

- Rozumiem, do czego zmierzasz, ale nawet elf nie potrafi dopłynąć do wieży.

- To możliwe, ale w takim razie dlaczego byli mokrzy? Czy dzień był gorący? Czy mogli się kąpać?

Esrahaddon uniósł brwi z niedowierzaniem.

- W tej rzece? Nie, była wczesna wiosna i wciąż było chłodno.

- To czemu byli mokrzy?

Royce usłyszał cichy odgłos za plecami. Zaczął się odwracać, ale się powstrzymał.

- Nie jesteśmy sami - szepnął.

*

- Przy wypadzie zrób krok do przodu nogą po tej stronie, po której trzymasz broń. To ci zapewni większy zasięg i lepszą równowagę - powiedział Hadrian do Theron.

Znów byli przy studni. Wcześniej wstali i złodziej uczył

Wooda podstawowych ruchów. Używali prowizorycznych mieczy, które zrobili z kijów od grabi. Ku jego zdziwieniu Theron był ruchliwszy, niż można by sądzić po jego wyglądzie, i pomimo jego wieku poruszał się żwawo.

Zapoznał się z podstawami parad, ripost, pchnięć, nacisków i wypadu i teraz pracowali nad złożonym natarciem, obejmującym fintę, paradę i ripostę.

- Cięcia i pchnięcia muszą następować po sobie bez chwili przerwy. Najważniejsze to szybkość, agresywność i umiejętność wprowadzania w błąd. I wszystko należy jak najbardziej upraszczać - wyjaśnił Hadrian.

- Ja bym go posłuchał. Jeżeli ktoś się zna na walce na kije, to właśnie Hadrian.

Odwrócili się i zobaczyli dwóch mężczyzn na koniach wjeżdżających na polanę. Każdy z nich prowadził kucyka obładowanego tykami i tobołkami. Byli młodzi, niewiele starsi od Thrace, ale ubrani jak książęta w eleganckie kubraki i obcisłe spodnie. Całości stroju dopełniały krezy.

- Mauvin! Fanen? - zdumiał się Hadrian.

- Nie dziw się tak - orzekł Mauvin i popuścił wodze, żeby koń poskubał trawę.

- W tych okolicznościach to trochę trudne. W imię Maribora, co wy tu robicie?

W tym momencie z gęstego lasu wyłoniła się procesja muzyków, heroldów, rycerzy, wozów i powozów. W

porannym świetle powiewały długie czerwono-złote sztandary niesione na czele pochodu przez chorążych, za którymi podążali przystrojeni piórami imperialni strażnicy Kościoła Nyphrona.

Hadrian i Theron odruchowo zeszli na bok i stanęli przy drzewach, gdy na polanę wjechała wspaniała parada elegancko wyglądających ogierów i białych powozów zdobionych złoceniami. Byli tam dobrze ubrani duchowni, żołnierze w kolczugach i rycerze z giermkami prowadzącymi juczne konie obładowane doskonałymi zbrojami z lśniącego metalu. Byli szlachcice z chorągwiami z tak odległych zakątków jak Calis i Trent, lecz również prości ludzie, szorstcy mężczyźni z szerokimi mieczami i pokiereszowanymi twarzami, mnisi w postrzępionych habitach i mieszkańcy lasu z długimi łukami i zielonymi kapturami. Taki przekrój postaci skojarzył się Hadrianowi z cyrkiem, który zdarzyło mu się kiedyś zobaczyć, ale ta kolumna ludzi i koni wyglądała zbyt poważnie jak na wesołe miasteczko. Pochód zamykała grupa sześciu jeźdźców w czarno-czerwonych strojach z symbolem pękniętej korony na piersiach. Na ich czele podróżował wysoki, szczupły mężczyzna z długimi czarnymi włosami i krótko przyciętą bródką.

- A więc w końcu postanowili coś zrobić w tej sprawie -

powiedział Hadrian. - Jestem pod dużym wrażeniem, że Kościół zdobył się na wysiłek, żeby ratować wioskę usytuowaną na takim odludziu, iż nawet jej król mają w nosie.

Ale to wciąż nie tłumaczy, dlaczego wy tu jesteście.

- Czuję się zraniony. - Mauvin udał ból w klatce piersiowej.

- Przyznaję, że mam tylko pomóc Faneno-wi, ale sam też mógłbym spróbować. Choć jeśli ty zamierzasz wziąć udział w rywalizacji, to chyba szkoda było naszej fatygi.

- Co to za ludzie? - zapytał Theron szeptem Hadriana. - I o czym on mówi?

- Ach, przepraszam. To Mauvin i Fanen Pickeringowie, synowie hrabiego Pickeringa z Galilinu w Melengarze, którzy najwidoczniej zgubili drogę.

Mauvinie, Fanenie, to Theron Wood, tutejszy gospodarz.

- I płaci ci za lekcje? Sprytny pomysł. Ale jak się tu dostaliście przed nami? Nie widziałem was przy żadnym z obozów. Chociaż co ja mówię! Ty i Royce prawdopodobnie nie mieliście większego problemu z odkryciem miejsca konkursu.

- Konkursu?

- Royce pewnie ukrywał się pod biurkiem arcybiskupa, kiedy duchowny ustalał reguły. Czy to będzie walka na miecze? Jeżeli tak, to Fanen ma realną szansę na zwycięstwo.

Ale jeśli to będzie walka na kopie... - Zerknął na brata, który się nachmurzył. - Nie jest w tym zbyt dobry. Znasz zasady eliminacji? Nie wyobrażam sobie, żeby wystawili przeciwko sobie szlachcica i nieszlachcica, a to oznacza, że Fanen nie będzie z tobą rywalizował, więc...

- Nie jesteście tu, żeby zabić gilarabrywna? Chcesz powiedzieć, że ci ludzie przyjechali tu na głupi konkurs?

- Gilarabrywna? Co to jest? Coś w rodzaju tego niedźwiedzia Oswalda? Słyszałem o nim w trakcie przejazdu przez Dunmore. Latami terroryzował mieszkańców wioski, aż król zabił go sztyletem.

Orszak minął ich bez zatrzymywania się i pojechał dalej w kierunku dworu. Jedna z karet tuż po minięciu studni oddzieliła się od pozostałych i zatrzymała. Wsiadła z niej młoda, wytworna dama, która do nich podbiegła, przytrzymując nad ziemią skraj sukni, żeby jej nie pobrudzić.

- Hadrian! - wykrzyknęła z promiennym uśmiechem.

Hadrian ukłonił się, a Theron poszedł w jego ślady.

- To twój ojciec, Hadrianie? - spytała.

- Nie, Wasza Wysokość. Przedstawiam ci Theron Wooda z wioski Dahlgren. Theronie, to Jej Królewska Wysokość księżniczka Arista z Melengar.

Theron wpatrywał się w Hadriana zszokowany.

- Naprawdę obracasz się w wielkim towarzystwie, prawda?

Hadrian uśmiechnął się z zakłopotaniem i wzruszył ramionami.

- Hej, Arista, nie zgadniesz. Hadrian mówi, że w konkursie chodzi o zabicie jakiejś bestii.

- Tego nie powiedziałem.

- To mi odpowiada, bo gdyby Hadrian brał udział w rywalizacji, chyba musiałbym się wycofać. Polowanie to całkiem inna historia. W takich konkursach często decyduje szczęście.

- W takich? - Arista zaśmiała się z niego. - Sugerujesz, że próbowałeś już kiedyś zabić bestię, Fanenie?

- Ba! - zadrwił Fanen. - Wiesz, co mam na myśli. Czasami jest się w odpowiednim miejscu w odpowiednim czasie.

Mauvin wzruszył ramionami.

- Nie wygląda to na konkurs dla szlachciców. Zarzynanie biednego zwierzęcia to kiepski użytek dla miecza Pickeringa.

- Słyszeliście, jaka będzie nagroda? - spytał Fanen. - Sądząc po tym, że o konkursie powiadają na każdym placu, we wszystkich kościołach i gospodach w całym Awynie, to wielka. Czy będzie to złote trofeum, czy ziemia? Mam nadzieję, że dostanę posiadłość. Mauvin odziedziczy tytuł po ojcu, ale ja mu-

szę sam dawać sobie radę. Jak wygląda to zwierzę? To niedźwiedź? Jest wielki? Widzieliście go?

Hadrian i Theron wymienili zdziwione spojrzenia.

- O co chodzi? - spytał Fanen. - Chyba jeszcze żyje?

- Tak - potwierdził Hadrian. - Jeszcze żyje.

- To dobrze.

- Wasza Wysokość! - usłyszeli kobiecy głos dobiegający z powozu, który wciąż stał na ścieżce. - Musimy jechać.

Arcybiskup będzie czekał.

- Przepraszam - powiedziała Arista. - Muszę iść. Miło było cię znów widzieć, Hadrianie - dodała, pomachała im ręką i pobiegła do karety.

- My też powinniśmy ruszać - oznajmił Mauvin. - Chcemy umieścić nazwisko Fanena jak najwyżej na liście.

- Czekaście - powiedział Hadrian. - Nie bierzcie udziału w konkursie.

- Co takiego? - zdziwili się obaj.

- Jechaliśmy tu wiele dni - narzekał Fanen.

- Dobrze wam radzę. Wracajcie do domu. Zabierzcie też z sobą Aristę i wszystkich, których zdołacie do tego przekonać.

Jeżeli w tym konkursie chodzi o zabicie gilara-brywna, nie zapisujcie się. Lepiej nie walczyć z tym stworem. Nie wiecie, z czym macie do czynienia. Zabije was.

- Myślisz, że możesz go zabić?

- Ja z nim nie walczę. Royce i ja wykonywaliśmy tu pewne zadanie dla córki Theronu i szykujemy się do wyjazdu.

- Royce też tu jest? - spytał Fanen i się rozejrzał.

- Zróbcie swojemu ojcu przysługę i wyjedźcie stąd niezwłocznie.

Mauvin zmarszczył czoło.

- Gdyby chodziło o kogoś innego, uznałbym to za bezczelność, a nawet nazwałbym cię tchórzem i kłamcą. Ale wiem, że nie jesteś ani jednym, ani drugim. - Mauvin westchnął i pogładził podbródek w zamyśleniu. - Mimo to rzeczywiście pokonaliśmy zbyt długą drogę, żeby teraz zawrócić ot, tak.

Mówisz, że szykujecie się do wyjazdu?

Kiedy wyruszyacie?

Hadrian spojrział na Theronę.

- Za dwa dni - powiedział gospodarz. - Muszę być pewien, że Thrace nic nie będzie.

- Zatem my też pozostaniemy tu przez ten czas i sami się zorientujemy w sytuacji. Jeśli będzie tak, jak mówisz, wyjedziemy z wami. Może być, Fanen?

- Nie rozumiem, dlaczego ty nie możesz wyjechać, a ja pozostać. W końcu to ja mam uczestniczyć w konkursie.

- Nikt nie zdoła zabić tego czegoś, Fanenie - wyjaśnił

Hadrian. - Posłuchaj, jestem tu od trzech dni. Widziałem to coś i wiem, do czego jest zdolne. To nie jest kwestia umiejętności czy odwagi. Ani twój miecz, ani miecz nikogo innego nie wyrządzi temu krzywdy. Walka z tym stworem to samobójstwo.

- Wstrzymam się więc z decyzją - oświadczył Fanen. - Nie wiemy nawet, na czym polega ten konkurs. Nie zapiszę się od razu, ale też nie wyjeżdżam.

- Zróbcie mi zatem przysługę - powiedział Hadrian - i przynajmniej nie wychodźcie na zewnątrz po zmroku.

W gąszczu było coś lub ktoś.

Royce zostawił Esrahaddona i ruszył w stronę rzeki, nie patrząc w kierunku, z którego dobiegi go dźwięk.

Zszedł ze skał do zagłębienia przy rzece, wślizgnął się między drzewa i zatoczył koło. Coś tam było i usilnie starało się zachowywać cicho.

Z początku Royce dostrzegł między liśćmi dwa kolory: pomarańczowy i niebieski, i nieomal pomyślał, że to błękitnik rudogardły, ale potem to coś się poruszyło. Było za duże na ptaka. Złodziej przybliżył się i zobaczył jasnobrażową brodę splecioną w warkocz, szeroki, płaski nos, niebieską skórzaną kamizelkę, wysokie czarne buty i jasnopomarańczową koszulę z bufiastymi rękawami.

- Magnus! - przywitał głośno krasnoluda.

Ten potknął się i wypadł z jeżyn, a następnie poślizgnął się i zleciawszy z porośniętej trawą półki, wylądował na plecach na gołej skale niedaleko miejsca, gdzie siedział Esrahaddon.

Usiłował właśnie złapać oddech, gdy Royce zeskoczył i przyłożył mu sztylet do gardła.

- Sporo osób cię szuka - powiedział z groźbą w głosie. -

Muszę przyznać, że sam chciałem się znów z tobą zobaczyć, żeby ci podziękować za pomoc, jaką mi okazałeś w zamku Essendonów.

- Nie mów, że to krasnolud, który zabił króla Am-ratha z Melengaru - odezwał się Esrahaddon.

- Nazywa się Magnus, a przynajmniej tak go nazywał Percy Braga. To mistrz w budowaniu pułapek i rzeźbieniu w kamieniu, nieprawdaż?

- To mój zawód! - zaprotestował krasnolud, wciąż łapiąc powietrze. - Jestem rzemieślnikiem. Przyjmuję zlecenia tak jak ty. Nie można nikogo o to obwiniać.

- Przez twoją pracę omal nie zginąłem - powiedział Royce. -

I zabiłeś króla. Alric bardzo się ucieszy, gdy mu powiem, że w końcu ciebie dopadłem. I jeśli dobrze pamiętam, wyznaczono nagrodę za twoją głowę.

- Czekaj! - krzyknął Magnus. - To nie była sprawa osobista.

Chcesz mi powiedzieć, że ty nigdy nie zabiłeś dla pieniędzy, Royce?

Złodziej się zawahał.

- Tak, wiem, kim jesteś - powiedział Magnus. - Musiałem wiedzieć, kto pokonał moją pułapkę. Kiedyś pracowałeś dla Czarnego Diamentu i to wcale nie jako chłopiec na posyłki. A to było moje zlecenie. W nosie mam politykę, Hragę czy Essendonów.

- Pewnie mówi prawdę - odezwał się Esrahaddon. - Nie spotkałem nigdy krasnoluda, którego obchodziłoby coś więcej niż pieniądze.

- Widzisz? On wie, o czym mówię. Możesz mnie puścić.

- Powiedziałem tylko, że mówisz prawdę, a nie, że powinien zostawić cię przy życiu - uściślił czarnoksiężnik. - Ze względu na to, że podsłuchiwałeś naszą rozmowę, muszę wręcz poprzeć pomysł zakończenia twojego żywota. Nie mam pewności, ile się dowiedziałeś.

- Co takiego?! - wykrzyknął krasnolud.

- Po podejrzeniu mu gardła możesz go skulnąć z tego występu skalnego.

Czarnoksiężnik wstał i spojrzał nad krawędzią urwiska.

- Nie - odrzekł Royce. - Lepiej będzie go zrzucić z wodospadu. Nie jest ciężki, woda poniesie go do samego Morza Chochliczego.

- Potrzebujesz jego głowy? - spytał Esrahaddon. - Żeby pokazać Alricowi ?

- To byłoby miłe, ale nie będę woził jej z sobą przez tydzień. Zleciałyby się wszystkie muchy z

okolicy i po kilku godzinach zaczęłaby cuchnąć. Wierz mi, mówię to z doświadczenia.

Krasnolud spojrział na nich obu ze zgrozą.

- Nie! Nie! - krzyknął, ogarnięty paniką, gdy Royce przycisnął mu ostrze do szyi. - Mogę wam pomóc. Mogę wam pokazać, jak się dostać do wieży!

Royce spojrział na czarnoksiężnika, który zachował sceptycyzm.

- Na miłość Drome'a, jestem przecież krasnoludem. Znam się na kamieniu. Znam się na skale. Wiem, gdzie jest tunel prowadzący do wieży.

Royce zwolnił nacisk sztyletu.

- Nie zabijajcie mnie, to wam pokażę. - Odwrócił głowę w stronę Esrahaddona. - Jeśli chodzi o to, co usłyszałem, to nie obchodzi mnie sprawy czarnoksiężników i ludzi. Nigdy nie pisnę słowa. Jeśli znasz krasnoludy, to wiesz, że kiedy chcemy, potrafimy milczeć jak kamień.

- A więc jest jakiś tunel - powiedział Royce.

- Oczywiście, że tak.

- Zanim podejmę decyzję, jeszcze jedno: co ty tu robisz? -

spytał Royce.

- Finalizowałem zlecenie, nic poza tym.

- A konkretnie?

- Nic złego, po prostu zrobiłem dla kogoś miecz.

- Na tym odludziu? Dla kogo?

- Jakiegoś lorda Rufusa. Wynajęto mnie, żebym tu przyjechał i zrobił miecz. Powiedziano mi, że ten lord się ze mną spotka. Z ręką na sercu - żadnych pułapek, żadnych zabójstw.

- Jakim cudem jeszcze żyjesz? Jak się wydostałeś z Melengaru? Dlaczego nie zostałeś schwytany?

- Mój pracodawca jest bardzo potężny.

- Ten Rufus?

- Nie. Robię dla niego miecz, ale Rufus nie jest moim pracodawcą.

- Więc kto?

Royce usłyszał odgłos kroków. Ktoś biegł ścieżką. W

obawie, że mogą to być wspólnicy krasnoluda, ustawił się za nim, chwycił go za włosy i odchylił jego głowę, przygotowując się do podcięcia mu gardła.

- Royce! - krzyknął lad Bothwick z dołu.

- O co chodzi, lad? - zapytał ostrożnie.

- Przysłał mnie Hadrian. Mówi, że powinieneś natychmiast wrócić do wioski, ale Esra powinien trzymać się od niej z dala.

- Dlaczego? - spytał czarnoksiężnik.

- Hadrian kazał ci powiedzieć, że właśnie przyjechali przedstawiciele Kościoła Nyphrona.

- Kościoła? - wymamrotał Esrahaddon. - Tutaj?

- Jest z nimi lord Rufus? - spytał Royce.

- Możliwe. Zjechało się sporo wykwintnych ludzi. Musi wśród nich być co najmniej jeden lord.

- Domyślasz się, po co przyjechali, Tad? - Nie.

- Lepiej się ulotnij - powiedział Royce do czarnoksiężnika. -

Ktoś mógł wymienić twoje nazwisko. Ja sprawdzę, co się dzieje. Tymczasem - spojrzał na krasnoluda - wygląda na to, że przyjechał twój pracodawca. Zawieszamy twój wyrok śmierci. Ten życzliwy staruszek będzie cię pilnował dziś po południu i nie będziesz się stąd ruszał. Później pokażesz nam, gdzie jest tunel, i jeśli mówisz prawdę, darujemy ci życie.

Jeżeli tylko coś będzie nie tak, zrzucę cię z wodospadu w dwóch częściach. Umowa stoi? Dobrze. - Spojrzał na czarnoksiężnika. - Mam go związać albo uderzyć kamieniem w głowę? - spytał, a krasnolud znów wpadł w panikę.

- To nie będzie konieczne. Magnus wygląda na uczciwego jegomościa. Poza tym wciąż potrafię zrobić kilka zaskakująco nieprzyjemnych rzeczy. Wiesz, jak to jest, kiedy się ma żywe mrówki uwięzione w głowie?

Krasnolud nie poruszył się ani nie odezwał. Royce go przeszukał. Znalazł pod ubraniem pas z młoteczkami, narzędziami do obróbki kamienia, i sztyletem. Spojrzał ze zdziwieniem na sztylet.

- Spróbowałem go skopiować - wyjaśnił niespokojny krasnolud. - Nie wyszedł zbyt dobrze. Pracowałem z pamięci.

Royce porównał sztylet z własnym. Były bardzo podobne, ale ostrza miały wyraźnie różne. Broń Royce'a wykonano z półprzezroczystego metalu, który pobłyskiwał w świetle, natomiast Magnusa

wydawała się matowa i ciężka. Złodziej wyrzucił ją poza urwisko.

- Masz wspaniały sztylet - powiedział krasnolud, wpatrując się jak zahipnotyzowany w nóż, który chwilę wcześniej miał

przy gardle. - To ostrze z Turu, prawda?

Royce zignorował go i zwrócił się do Esrahaddona:

- Miej go na oku. Wrócę później.

*

Arista zajęła miejsce na balkonie nad wejściem do wielkiej sali dworu, a wraz z nią arcybiskup ze świtą, w której skład wchodził Saulu i wartownik Luis Guy Był to bardzo mały balkon, zrobiony z nieociosanych bali i sznurów, mieszczący ledwie kilka osób, ale Bernice również udało się jakoś wcisnąć i stała teraz tuż

za plecami księżniczki - niewidoczna, krążąca w pobliżu, drażniła tak samo jak komar w ciemności.

Arista nie miała pojęcia, co się dzieje. W ogóle wydawało się, że niewielu ludzi orientuje się w sytuacji.

Po przybyciu zastali rozgardiasz. Lord dworu najwidoczniej nie żył, a wszędzie panoszyli się wieśniacy, których zresztą szybko przegoniono. Luis Guy i jego sereci zaprowadzili porządek i porozdzielali kwatery zgodnie z hierarchią społeczną. Księżniczka dostała ciasny, ale osobny pokój na drugim poziomie - okropne miejsce, w którym brakowało nawet okna. Na podłodze leżała skóra niedźwiedzia, z nad łóżka spoglądał na nią łeb łosia, a na ścianie wisiał wieszak z poroży daniela. Bernice akurat wypakowywała jej rzeczy z kufra, gdy do pokoiku zajrzał Saulu, nalegając, aby Arista przyłączyła się do niego na balkonie. W pierwszej chwili myślała, że zaczyna się konkurs, ale było powszechnie wiadomo, że jego początek nastąpi po zmroku.

Do balustrady podszedł trębacz i zagrał fanfarę. Na dziedzińcu zebrał się tłum. Mężczyźni przybliżyli się w pośpiechu, niektórzy ze szklanicami lub jeszcze pełnymi talerzami. Jeden przybiegł nawet truchtem, zapinając po drodze sak. Wszyscy patrzyli na balkon.

Arcybiskup powoli wstał, odziany w długą haftowaną szatę z wszystkimi insygniami, rozpostarł ramiona i przemówił.

Jego chrapliwy głos nie wydawał się odpowiedni na taką okazję.

- Czas przedstawić szczegóły doniosłego wydarzenia, w którym wy, oddani wyznawcy Novrona, weźmiecie udział.

Wydarzenia tak wielkiego, że po jego zakończeniu świat się zmieni na zawsze.

Kilku ludzi z tyłu skarżyło się, że nie słyszy, ale arcybiskup zignorował ich i ciągnął:

- Wiem, że niektórzy z was przyjechali tu, wierząc, iż chodzi o walkę na miecze lub kopie jak na turnieju podczas zimonałów. Zobaczycie jednak coś, co można śmiało nazwać cudem. Niektórzy z was wprawdzie zginą, tylko jeden odniesie sukces, ale reszta da świadectwo światu. Straszne zło nawiedza to miejsce - mówił dalej duchowny. - Tutaj, nad rzeką Nidwalden, na krańcu świata grasuje bestia. Nie jest to taki wielki niedźwiedź jak Oswald, który terroryzował

Glam-rendor. Ten stwór to legendarny gilarabrywn, groza niewidziana od czasów samego Novrona. Potwór tak straszny, że nawet w tamtych czasach bohaterów i bogów tylko Novron lub ktoś z jego rodu mógł go zabić. Waszym zadaniem, waszym wyzwaniem będzie pokonanie go i zdjęcie z tej wioski pradawnego przekleństwa.

Po tłumie przeszedł pomruk i arcybiskup uniósł ręce, żeby uciszyć ludzi.

- Nie powiedziałem wam jeszcze, jaka jest nagroda! Czekał, a ludzie się uspokoili i wielu przepchnęło się do przodu, żeby lepiej słyszeć.

- Jak już powiedziałem, gilarabrywn to bestia, którą tylko Novron lub ktoś z jego rodu może zabić, i dlatego ten, któremu uda się pokonać tego potwora, musi być spadkobiercą imperialnej korony, dawno zaginionym spadkobiercą Novrona!

Ludzie zareagowali zadziwiająco spokojnie. Nie było wiwatów ani okrzyków radości. Tłum wydawał się osłupiały.

Ludzie gapili się, jakby w oczekiwaniu na ciąg dalszy. Z kolei arcybiskup rozejrzał się, tak samo zdezorientowany ich niezdecydowaniem.

- Czyja dobrze słyszę? Zwycięzca będzie spadkobiercą? -

spytała Arista, spoglądając na Sauly'ego, który sprawiał wrażenie, jakby właśnie poczuł nieprzyjemny zapach.

Uśmiechnął się do niej i wstając, szepnął coś arcybiskupowi do ucha. Starszy duchowny usiadł i biskup Saldur przemówił

do tłumu.

- Od stuleci Kościół usiłuje odnaleźć prawdziwego spadkobiercę, odbudować ród naszego Świętego Pana Novrona Wielkiego - powiedział Sauly donośnym, ciepłym głosem, który rozszedł się szeroko w popołudniowym powietrzu przesyconym zapachem sosen. - Prowadziliśmy poszukiwania, ale do dyspozycji mieliśmy tylko stare książki i plotki, a w zasadzie domysły, nadzieje i marzenia. Nie było sposobu, żeby go odnaleźć, niezawodnej metody pozwalającej ustalić, gdzie jest spadkobierca lub kto nim może być. Wielu fałszywie twierdziło, że są jego potomkami, wielu niegodnych ludzi próbowało przywłaszczyć sobie tę dumną koronę, a Kościół był bezradny. Wierzymy jednak - ciągnął biskup - że spadkobierca istnieje. Novron nie pozwoliłby na wymarcie swojego rodu. Wiemy też, że spadkobierca żyje. Ale może być nieświadomy swojej tożsamości. Od chwili jego zniknięcia minęło tysiąc lat, a któż z nas potrafi dokładnie odtworzyć swoją genealogię aż do czasów starego

imperium?

Któż wie, czy jeden z jego przodków nie zabrał z sobą do grobu strasznej tajemnicy? Strasznej, cudownej tajemnicy.

Gilarabrywn - mówił dalej - to cud zesłany przez Novrona.

To narzędzie, które nam wskaże jego syna. Novron przekazał

to patriarsze i kazał jego świątobliwości zorganizować konkurs. Powiedział, że wśród uczestników będzie spadkobierca nieświadomy swojego pochodzenia. Widzicie zatem - kontynuował - że każdy z was może nim być, w żyłach każdego z was może

płynąć boska krew. Czy któryś z was poczuł w sobie potęgę? Wiarę w to, że godnością przewyższa innych? To szansa na udowodnienie całemu Elanowi, że nie jest się głupcem, przeciętnym człowiekiem. Wpisz się na listę, wyrusz po zmroku, zabij bestię i staniesz się naszym boskim władcą. Nie będziesz zwykłym królem, ale imperatorem, któremu pokłonią się wszyscy królowie. Zasiądziesz na tronie w Aaueście. Otrzymasz wsparcie wszystkich lojalnych imperialistów i całego Kościoła, gdy będziemy wprowadzać nowy porządek, który przyniesie tej ziemi pokój i harmonię.

Musisz jedynie zniszczyć jedną jedyną bestię. Co ty na to?

Tym razem tłum zaczął wiwatować. Saldur zerknął na arcybiskupa, po czym usiadł na swoim miejscu.

*

Gdy Royce dotarł do Dahlgrenu, w wiosce panowała wrzawa. Wszędzie kręcili się obcy, przeważnie mężczyźni, z których prawie każdy miał jakąś broń.

Hadrian stał przy studni w otoczeniu mieszkańców wioski.

Żaden z nich nie wyglądał na szczęśliwego.

- Dokąd teraz pójdziemy? - spytała Selen Brockton ze łzami w oczach.

Hadrian znów wspiął się na cembrzynę, skąd spojrział na tłum wzrokiem, jakby chciał coś roztrzaskać.

- Nie wiem, pani Brockton, chyba do domu. Przynajmniej na razie.

- Ale nasz dom jest kryty strzechą.

- Spróbujcie wykopać jak najgłębsze piwnice.

- Co się dzieje? - spytał Royce.

- Przyjechał arcybiskup Ghentu i wprowadził się do dworu.

On i jego duchowni, a także kilkudziesięciu szlachciców przejęli gród i wypędzili pozostałych. Z

wyjątkiem Russella, Dillona i Kline'a, którym kazał zasypać wykopany przez nas tunel. Powiedział, że albo naprawią szkody, albo zawisną za zniszczenie nieruchomości. Poczciwy diakon Tomas tylko kiwał głową i zapewniał: „Mówiłem, żeby tego nie robili, ale nie chcieli mnie słuchać”.

Zarekwirowali też większość żywego inwentarza, tłumacząc, że jest na terenie grodu, więc należy do dworu. Teraz wszyscy obwiniają mnie o utratę swoich zwierząt.

- A co z ogniskami? - spytał Royce. - Moglibyśmy zbudować jedno tu na błoniach.

- Nic z tego - odparł Hadrian. - Jego lordowska mość ogłosił, że ścinanie drzew na tym obszarze jest niezgodne z prawem, i wraz z resztą zwierząt skonfiskował woły.

- Powiedziałeś mu, co się stanie po zachodzie słońca?

- Nie mogę mu nic powiedzieć. - Hadrian uniósł gwałtownie ręce i przeczesał palcami włosy, jakby chciał je wyrwać. - Nie mogę się przedostać przez mur dwudziestu kilku żołnierzy pilnujących bramy. I dobrze, bo mógłbym człowieka zakatrupić.

- Po co tu w ogóle Kościół?

- Właśnie - odrzekł Hadrian. - Słyszałeś o konkursie?

Okazuje się, że chodzi o zabicie gilarabrywna.

- Co takiego?

- Zamierzają wysłać jego uczestników do walki ze stworem po zapadnięciu zmroku. Po śmierci jednego śmiałka wyślą następnego. Na bramie grodu przybili przeklętą listę.

- Wszystko w porządku, w porządku! - krzyknął diakon Tomas.

Odwrócili się i zobaczyli, jak duchowny schodzi ścieżką od strony grodu i zbliża się do tłumu przy studni. Szedł z uniesionymi rękami, jakby udzielał błogosławieństwa, i z szerokim uśmiechem na twarzy.

- Wszystko będzie dobrze - powiedział do nich donośnym, pewnym siebie głosem. - Przyjechał arcybiskup, żeby nam pomóc. Zabiją bestię i uwolnią nas od tego koszmaru.

- A co z naszymi zwierzętami? - spytał Vince Griffin.

- Będą potrzebowali większości z nich do wykar-mienia żołnierzy, ale po zabicu bestii reszta zostanie zwrócona.

Rozległy się pomruki.

- Na ile wyceniacie bezpieczeństwo? Na ile wyceniacie życie swoich dzieci? Czy świnia i krowa nie są ich warte?

Warte życia waszych żon? Uznajcie to za dziesięcinę i bądźcie wdzięczni, że Kościół przybył do Dahlgrenu, żeby nas ratować. Bo nikt inny się nie zjawił. Król Dunmore'u nas zlekceważył, ale Kościół zareagował, wysyłając samego arcybiskupa Ghentu, a nie jakiegoś rycerza czy margrabiego.

Wkrótce bestia zginie, a Dahlgren znów będzie oazą szczęśliwości. Rok bez mięsa i oranie ziemi bez wołu to z pewnością niewygórowana cena za spokój. A teraz proszę, wracajcie do domów. Nie przeszkadzajcie im i pozwólcie im robić swoje.

- A co z moją córką? - warknął Theron i przepchnął się do przodu. Sprawiał wrażenie, że za chwilę może zabić diakona.

- Rozmawiałem z arcybiskupem i biskupem Saldurem.

Zgodzili się, żeby została. Kazali jedynie przenieść ją do mniejszego pokoju, ale...

- Nie pozwalają mi jej zobaczyć! - warknął stary gospodarz.

- Wiem, wiem - powiedział uspokajająco Tomas. - Ale ja mogę. Przyszedłem, żeby wyjaśnić pewne rzeczy. Niedługo wracam i obiecuję ci, że będę jej doglądał, dopóki nie wydobrzeje.

Hadrian wysunął się z tłumu, który zaczął oblegać diakona, i zwrócił się do Royce'a:

- Powiedz, że znalazłeś drogę do wieży. Royce wzruszył ramionami.

- Możliwe. Będziemy musieli to sprawdzić dziś wieczorem.

- Dziś? Czy takich rzeczy nie powinno się robić za dnia?

Gdy obaj widzimy i nie fruują stwory

O skomplikowanych nazwach?

- Jeśli mam rację, to nie. -A jeśli się mylisz?

- Wtedy obaj zginieemy. Najpewniej w żołądku potwora.

- Coś mi się zdaje, że nie żartujesz. Wspominałem, że straciłem broń?

- Przy odrobinie szczęścia nie będziemy jej potrzebowali.

Przydałby się nam jednak kawał sznura, co najmniej dwadzieścia metrów - oznajmił Royce. - No i

latarnie, wosk, krzesiwo...

- Chyba to mi się nie spodoba, co? - spytał Hadrian nieszczęsnym głosem.

- Bez dwóch zdań - odparł Royce.

Rozdział 9

Próby przy świetle księżyca

Wracaj do łóżka! - krzyknął mężczyzna. - W tej chwili!

Arista przechadzała się korytarzem. Chciała nie tylko poznać otoczenie, lecz również uciec przed Bernice, która nalegała, aby się zdrzemnęła. Z początku myślała, że wrzask był skierowany do niej. Tolerowała Bernice i jej matkowanie, ale z pewnością nie pozwoli, żeby ktokolwiek zwracał się do niej w taki bezczelny sposób. Nie była w rodzinnym królestwie Melengar, ale wciąż była księżniczką i ambasadorką i nikt nie miał prawa tak się do niej odzywać.

Z wściekłością na twarzy ruszyła naprzód i za zakrętem dostrzegła mężczyznę w średnim wieku i młodą dziewczynę.

Dziewczyna miała na sobie jedynie koszulę nocną, a jej twarz była posiniaczona. Mężczyzna zaś trzymał ją za nadgarstek i próbował zawlec do sypialni.

- Puść ją! - rozkazała Arista. - Hilfred! Straż!

Mężczyzna i dziewczyna spojrzeli na nią zdezorientowani.

Zza rogu wybiegi Hilfred i od razu stanął z dobytym mieczem między księżniczką a źródłem jej gniewu.

- Powiedziałam, żebyś w tej chwili zabrał od niej swoje brudne łapy albo każę ci je odciąć przy nadgarstkach.

-Aleja... - zaczął mężczyzna. Z przeciwnej strony wyszli dwaj imperialni strażnicy.

- Milady? - powitali księżniczkę.

Hilfred nic nie powiedział, tylko skierował miecz w stronę gardła mężczyzny.

- Zajmij się tym łajdakiem - rozkazała Arista. - Narzuca się tej dziewczynie.

- Nie, proszę - zaprotestowała dziewczyna. - To była moja wina...

- To nie twoja wina. - Arista spojrzała na nią z litością. - I nie musisz się bać. Mogę dopilnować, żeby nie niepokoił

więcej ani ciebie, ani nikogo innego.

- Dobry Mariborze, zachowaj mnie - modlił się mężczyzna.

- Nie rozumiesz - powiedziała dziewczyna. - On nie robił mi krzywdy. Próbował mi pomóc.

- Jak to?

- Miałam wypadek. - Wskazała siniaki na twarzy. - Diakon Tomas opiekował się mną, ale dziś poczułam się lepiej i chciałam wstać. On zaś uznał, że najlepiej będzie, jeśli zostanę w łóżku jeszcze jeden dzień. Naprawdę tylko troszczy się o mnie. Nie rób mu krzywdy. Jest taki życzliwy.

- Znacie tego człowieka? - spytała Arista strażników.

- Otrzymał zezwolenie arcybiskupa na wejście jako diakon tej wioski, milady, i rzeczywiście doglądał tej dziewczyny, która jest znana jako Thrace.

Tomas z oczami szeroko otwartymi ze strachu i mieczem Hilfreda przy gardle pokiwał skwapliwie głową i zdobył się na przyjazny, choć wymuszony uśmiech.

- Cóż - powiedziała Arista, zaciskając usta - mój błąd. -

Spojrzała na strażników. - Wracajcie do swoich zajęć.

- Księżniczko. - Ukłonili się energicznie, odwrócili i ruszyli tam, skąd przyszli.

Hilfred powoli schował miecz, a Arista spojrzała uważniej na mężczyznę i dziewczynę.

- Przepraszam, to po prostu... Cóż, mniejsza z tym.

- Odwróciła się zażenowana.

- Ależ nie, Wasza Wysokość - powiedziała Thrace, próbując jak najlepiej dygnąć. - Bardzo dziękuję za przybycie z pomocą, mimo że jej nie potrzebowałam. Miło wiedzieć, że ktoś tak ważny jak ty zatroszczył się o córkę biednego gospodarza. - Thrace spojrzała na nią z nabożną czcią. -

Nigdy wcześniej nie poznałam księżniczki. Nigdy nawet żadnej nie widziałam.

- Mam nadzieję, że nie jesteś zbyt rozczarowana.

- Thrace już chciała coś powiedzieć, ale Arista ją ubiegła: -

Co ci się stało? - Wskazała na jej twarz.

Thrace przesunęła palce po czole.

- Jest aż tak źle?

- To przez gilarabrywna, Wasza Wysokość - wyjaśnił

Tomas. - Thrace i jej ojciec Theron to jedyni ludzie, którzy przeżyli jego atak. A teraz proszę, moja droga, wracaj do łóżka.

- Aleja naprawdę czuję się znacznie lepiej.

- Pozwól jej przejść się ze mną, diakonie - poprosiła Arista łagodniejszym tonem. - Jeśli poczuje się gorzej, odprowadzę ją do łóżka.

Tomas skinął głową i się skłonił.

Arista chwyciła Thrace pod ramię i poprowadziła korytarzem. Kilka kroków za nimi szedł Hilfred. Mogły przejść zaledwie trzydzieści metrów w jedną stronę, gdyż dwór nie był taki duży jak prawdziwy zamek. Arista domyślała się, że jest w nim tylko osiem sypialni, ponadto salonik, biuro i wielki hol o wysokim suficie, z głowami jeleni i niedźwiedzia na ścianach, a także żelaznymi latarniami ze świeczkami. Mimo że było wczesne popołudnie, panował tu mrok jak w jaskini. Siedziba margrabiego przypominała Ariście prymitywniejszą i mniejszą wersję rezydencji króla Rosworta.

- Jesteś taka miła - powiedziała córka Wooda. - Inni traktują mnie jak... intruza.

- Cieszę się, że tu jesteś - odparła Arista. - Wydaje mi się, że poza moją służącą Bernice jesteś tu jedyną kobietą.

- Po prostu wszystkich innych odesłano do domów i czuję się niezręcznie, jakbym robiła coś złego. Diakon Tomas mówi, żebym tak nie myślała. Że jestem ranna i potrzebuję czasu na wyzdrowienie, a on dopilnuje, żeby nikt mi w tym nie przeszkadzał. Jest bardzo miły, ale chyba też czuje taką bezradność jak wszyscy tutaj. Może opiekowanie się mną traktuje jak bitwę, którą uważa za możliwą do wygrania.

- Źle go oceniłam - powiedziała Arista - i ciebie. Czy wszystkie córki gospodarzy w Dahlgrenie są takie mądre?

- Mądre? - Thrace wyglądała na zmieszaną. Arista uśmiechnęła się do niej.

- Gdzie jest twoja rodzina?

- Mój ojciec jest w wiosce. Nie chcą go wpuścić do mnie, ale diakon próbuje to załatwić. To chyba jednak bez znaczenia, bo wyjedziemy stąd, jak tylko będę mogła podróżować. I to kolejny powód, dla którego chcę odzyskać siły. Chcę stąd uciec. Chcę znaleźć nowe miejsce do życia i zacząć wszystko od nowa. Poznam jakiegoś mężczyznę, wyjdę za niego za mąż i urodzę mu syna, któremu dam na imię Hickory.

- Niezły plan, ale właściwie jak się czujesz?

- Wciąż mam bóle głowy i, prawdę mówiąc, kręci mi się teraz w głowie.

- A więc powinniśmy wracać do twojej sypialni -

stwierdziła Arista i tak zrobiły.

- Czuję się jednak już znacznie lepiej niż wcześniej. To kolejny powód, dla którego wstałam. Nie miałam okazji podziękować Esrze. Myślałam, że może gdzieś tu jest.

- Esra? - spytała Arista. - To lekarz z wioski?

- Nie, w Dahlgrenie nigdy nie było lekarza. Esra to... Cóż, bardzo bystry człowiek. Gdyby nie on, ja i mój ojciec już byśmy nie żyli. To on zrobił lekarstwo, które uratowało mi życie.

- Musi być wspaniałym człowiekiem.

- O, tak. Próbuję mu się odwdziżyć i pomagam mu zjedzeniem. Jest bardzo dumny i nigdy by o to nie poprosił, ale widzę, że docenia moje usługi.

- Jest taki biedny, że nie stać go na jedzenie?

- Ależ nie, po prostu nie ma rąk.

*

- Tur to mit - powiedział właśnie Esrahaddon do krasnoluda, gdy Royce i Fladrian zbliżyli się do wodospadu.

- To ty tak twierdzisz - odparł Magnus. Czarnoksiężnik i krasnolud siedzieli naprzeciwko siebie na skarpie i spierali się, przekrzykując huk wody.

Słońce zaszło za drzewami i obu spowijał cień, ale w kryształowych wieżycach na szczycie Avemparthy odbijały się ostatnie promienie gasnącego czerwonego światła.

Esrahaddon westchnął.

- Nigdy nie zrozumiem, co takiego jest w religii, co powoduje, że rozsądni ludzie zaczynają wierzyć w bajki. Ale nawet w świecie religii Tur to przypowieść, a nie rzeczywiste miejsce. Zajmujesz się mitami opartymi na legendach opartych na przesadach i bierzesz je dosłownie. To podejście bardzo niepodobne do krasnoludów. Jesteś pewny, że twoi przodkowie nie mieli domieszki ludzkiej krwi?

- To potwarz. - Magnus spiorunował czarnoksiężnika wzrokiem. - Zaprzeczasz temu, ale masz dowód przed oczami.

Gdybyś miał krasnoludzkie oczy, dostrzegłbyś prawdę w tym ostrzu. - Magnus wskazał ręką na Royce'a.

- O co chodzi? - spytał Hadrian. - Witaj, Magnusie.

Zamordowałaś kogoś ostatnio?

Krasnolud spojrział groźnie.

- On się upiera, że sztylet Royce'a zrobił Kile - wyjaśnił

Esrahaddon.

- Tego nie powiedziałem - warknął krasnolud. - Powiedziałem, że to ostrze z Turu. Mógł je zrobić ktokolwiek stamtąd.

- Co to jest Tur? - spytał Hadrian.

- Fałszywy kult szaleńców czczących fikcyjnego boga. Na dodatek nazwali go Kile. Mogliby przynajmniej wymyślić lepsze imię.

- Nigdy o nim nie słyszałem - powiedział Hadrian. - Nie jestem religioznawcą, ale jeśli dobrze pamiętam, co mi kiedyś powiedział mały mnich, to bogiem krasnoludów jest Dronne, elfów - Ferrol, a ludzi - Maribor. Ich siostra, bogini fauny i flory, ma na imię... Muriel, prawda? A jej syn Uberlin jest bogiem ciemności. Gdzie tu miejsce dla Kile'a?

- To ich ojciec - wyjaśnił Esrahaddon.

- Racja, zapomniałem, ale on nie nazywa się Kile, lecz...

Erebus czy jakoś tak, prawda? Zgwałcił córkę i zabili go synowie, ale w rzeczywistości żyje? To nie miało dla mnie większego sensu.

Esrahaddon zachichotał.

- Religia nigdy go nie ma.

- Co to za Kile?

- W kulcie Turu, znanym także pod nazwą Kile, utrzymuje się, że bóg jest nieśmiertelny i nie może umrzeć. Ta grupa obłąkanych ludzi pojawiła się podczas imperialnego panowania Estermona II i zaczęła rozgłaszać, że Erebus, gdy zgwałcił córkę, był pijany, czy jak to się tam u bogów nazywa, i wstydzi się swojego postępuku. Pozwolił więc, aby jego dzieci - bogowie

- wierzyli, że go zabili. Później przyszedł potajemnie do Muriel i błagał ją o przebaczenie. Ona zaś powiedziała ojcu, że nie jest gotowa mu przebaczyć i robi to dopiero po odprawieniu przez niego pokuty. Musiał robić dobre uczynki w całym Elanie, ale jako prosty człowiek, a niejako bóg czy choćby nawet król. Za każdy zaaprobowany przez nią akt poświęcenia i życzliwości da mu pióro ze swojej cudownej szaty i kiedy szata zniknie, ona mu przebaczy i przyjmie go w domu. Według legendy o Kile'u - ciągnął czarnoksiężnik

- przed wiekami do wioski o nazwie Tur przyszedł obcy.

Nikt nie wie, gdzie to było oczywiście, i w ciągu stuleci jej lokalizacja zmieniała się wielokrotnie, ale według najpopularniejszej legendy znajdowała się w Delgosie, ponieważ była regularnie napadana przez Dakków i, naturalnie, z powodu podobieństwa swojej nazwy do miasta portowego Tur Del Fur. Powiada się, że gdy ten obcy, który nazywał się Kile, przybył do Turu i zobaczył straszną sytuację zrozpaczonych mieszkańców, nauczył ich sztuki wytwarzania broni, aby mogli się lepiej bronić. Broń, którą wytwarzali według jego wskazówek, uważano za najwspanialszą na świecie, zdolną do rozcinania litego żelaza, jakby to było miękkie drewno. Ich tarcze i zbroje były lekkie, ale twardsze od kamienia. Ludzie wykorzystali tę umiejętność do obrony swoich domów i po odpędzeniu przez nich Dakków, jak mówi legenda, w bezchmurny dzień uderzył grom i z nieba spadło na ręce Kile'a jedno białe pióro. Rozpląkał się na widok tego daru, pożegnał z mieszkańcami i już nigdy więcej go nie widziano. Przynajmniej nie zobaczyli go mieszkańcy Turu.

Istnieje kilka historii o Kile'u, który pojawiał się tu i ówdzie, robił dobre uczynki i otrzymywał pióro. Legenda o wiosce Tur wyróżniała się na tle pozostałych tym, że ta biedna osada zasłynęła z wyrobu wspaniałej broni.

- Nigdy nie słyszałem o miasteczku o tej nazwie.

- Nie tylko ty - powiedział Esrahaddon. - Więc specjaliści od mitów dodali stronę do swojej historii, jak to się często dzieje, gdy niedorzeczne opowieści zderzają się z twardą rzeczywistością. Rzekomo wioskę zalała fala zamówień na broń, ale turanie uważali, że nie powinni jej robić dla byle kogo. Wytworzyli więc tylko kilka jej sztuk i tylko dla tych, którzy posługiwali się nią w słusznej sprawie. Potężni królowie jednak postanowili przywłaszczyć sobie przekazane przez boga tajemnice rzemiosła i podbić wioskę. Ale gdy ich wojska

przybyły na miejsce, okazało się, że wioska Tur - wraz z wszystkimi mieszkańcami i budynkami - zniknęła. Nie pozostał żaden ślad po jej istnieniu z wyjątkiem jednego białego pióra, które pochodziło od nieznanego ptaka.

- Wygodne wytłumaczenie - orzekł Hadrian.

- Właśnie - potwierdził czarnoksiężnik. - Jedną tajemnicę przysłania inna, a rzetelnych dowodów brak. Mimo to ludzie i tak dalej w to wierzą.

- Gwoli wyjaśnienia - odezwał się Magnus. - Tur Del Fur było kiedyś krasnoludzkim miastem i w moim języku jego nazwa znaczy „wioska Tur”, a wśród moich ziomków krążą legendy, że kiedyś mieszkali tam wielcy mistrzowie rzemiosła, którzy znali tajemnice gięcia metalu i wytwarzania wspaniałych mieczy. Każdy krasnolud w Elanie oddałby swoją broń za tajemnice Turu lub choćby szansę na dokładne zbadanie powstałego w nim ostrza.

-1 myślisz, że Alverstone to ostrze z Turu? - spytał Hadrian.

- Jak je nazwałeś? - zainteresował się Magnus.

- Alverstone. Tak Royce nazywa swój sztylet - wyjaśnił

Hadrian.

- Nie zachęcaj go - powiedział Royce ze wzrokiem utkwionym w wieży.

- Skąd go ma? - spytał krasnolud, ścisząc głos.

- Dostał w prezencie od przyjaciela - odparł Hadrian.

- Od kogo? I skąd go miał ten przyjaciel? - nie dawał za wygraną krasnolud.

- Jesteście świadomi, że was słyszę? - zapytał Royce, a potem coś dostrzegł i wskazał palcem w stronę Avemparthy. -

Spójrzcie tam.

Wszyscy zbliżyli się do niego, żeby popatrzeć na zarys wieży. Słońce już zaszło i zapadła noc. Światło gwiazd i księżycy odbijało się od powierzchni budowli i rzeki jak w wielkich lustrach. Mgielka unosząca się nad wodospadem wyglądała jak niesamowita biała osnowa okalająca podstawę wieży. U szczytu iglic jakiś ciemny kształt rozpostarł skrzydła i sfrunął nad tafelą wody. Zatoczył koło i poleciał nad wodospad, łapiąc prądy powietrza i wznosząc się coraz wyżej, aż w końcu załopotał ogromnymi skrzydłami, skręcił w stronę lasu i pofrunął nad drzewami, zmierzając do Dahlgrenu.

- To jego legowisko? - spytał Hadrian z niedowierzaniem. -

Mieszka w wieży?

- Wygodne to nie jest - zauważył Royce - że bestia zamieszkuje miejsce, w którym znajduje się jedyna broń, jaką można ją zabić.

- Dla kogo niewygodne?

- O tym dopiero się przekonamy - odpowiedział

Esrahaddon.

- W porządku, mały kamieniarzu - zwrócił się Royce do krasnoluda. - Chodźmy do tunelu. Wejście jest w rzece, prawda? Gdzieś pod wodą?

Magnus spojrzał na niego ze zdziwieniem.

- Jedyne zgaduję, ale z wyrazu twojej twarzy wnioskuję, że mam rację. Tylko tam nie szukałem. W zamian za swoje życie wskażesz nam je teraz.

*

Arista stała z Pickeringami na południowym murze i obserwowała zachód słońca nad bramą. Stąd

mieli najlepszy widok zarówno na dziedziniec, jak i zbocze za nim, a jednocześnie znajdowali się z dala od zgiełku. Na dole rycerze wkładali zbroje, łucznicy napinali cięciwy, przystrojone czaprakami konie poruszały się niespokojnie, a kapłani modlili się do Novrona o mądrość. Nadeszła pora rozpoczęcia konkursu. Za murem, w wiosce Dahlgren panowała cisza. Nie paliła się ani jedna świeczka. Nie było żadnego ruchu.

Niedaleko bramy, przy której na słupku do przywiązywania koni wisiała lista uczestników, wybuchła kolejna bójka. Arista widziała kilku mężczyzn rozpychających się i wzniecających kurz.

- O kogo chodzi tym razem? - spytał Mauvin. Miał na sobie prostą, luźną tunikę i miękkie buty

i takiego Mauvina Arista pamiętała najlepiej - beztroskiego chłopaka, który wyzywał ją na pojedynki na kije jeszcze w czasach, gdy była o głowę wyższa od niego i mogła go pokonać, gdy miała matkę i ojca, a jej największym zmartwieniem było wzbudzenie zazdrości u Lenare.

- Trudno powiedzieć - odparł Fanen, spoglądając w dół. -

Jednym z nich jest chyba sir Er lic.

- O co się biją? - spytała Arista.

- O jak najwyższe miejsce na liście - odrzekł Mauvin.

- To nie ma sensu. Nieważne, kto pójdzie pierwszy.

- Ważne, bo osoba przed tobą może zabić bestię, zanim ty dostaniesz szansę.

- Ale im się to nie uda. Tylko spadkobierca może to zrobić.

- Naprawdę tak sądzisz? - spytał Mauvin, odwracając się i spoglądając w dół od strony zewnętrznej.

- Jesteś chyba jedyna.

- Kto jest pierwszy na liście?

- Był Tobis Rentinual.

- Który to? - spytała.

- Mówiliśmy ci o nim, to ten z dużym, tajemniczym wozem.

- O, tam - wskazał Fanen na dziedzińcu. - Fircyk opierający się o ścianę wędzarni. Ma piskliwy głos i wyniosłe maniery, za które człowiek chętnie by go udusił.

Mauvin skinął głową.

- To ten. Zerknąłem pod przykrycie na jego wozie i zobaczyłem olbrzymią drewnianą maszynę z linami i krążkami. Pierwszy znalazł listę i wpisał swoje nazwisko.

Nikomemu to nie przeszkadzało, dopóki wszyscy myśleli, że chodzi o turniej. Każdego świerzbiło, żeby się z nim zmierzyć, ale teraz, cóż, myśl o Tobisie jako imperatorze budzi powszechny strach.

- Dlaczego powiedziałeś „był”?

- Został zrzucony - odparł Fanen.

- Zrzucony?

- To pomysł Luisa Guya - wyjaśnił Mauvin. - Wartownik postanowił, że osoby z dołu listy mogą się pojedynkować o wyższą pozycję. Niezadowoleni mogą rzucić wyzwanie dowolnej osobie, która może zamienić się miejscami na liście lub stanąć do walki z pretendentem. Sir Enden z Chadwick wyzwał Tobisa i ten oddał mu swoje miejsce. I trudno go winić. Tylko sir Gravin odważył się wyzwać Endena. Kilku innych jednak walczyło między sobą o kolejne pozycje.

Większość sądziła, że pojedynki będą rozstrzygane przez punkty, ale Guy oświadczył, że kończy je tylko poddanie się walczących, więc potyczki toczyły się godzinami. Wielu odniosło rany. Sir Gravin poddał się dopiero po tym, jak Enden przebił mu ramię. Ogłosił, że się wycofuje i jutro wyjedzie. I nie on jeden. Kilku już opuściło to miejsce w bandażach.

Arista spojrzała na Fanena.

- Nie rzucasz wyzwania? Mauvin zachichotał.

- To było zabawne. Gdy tylko Guy ogłosił nowe zasady, wszyscy spojrzeli na nas.

- Ale nie rzuciłeś wyzwania?

Fanen nachmurzył się i wlepił wzrok w Mauvina.

- Nie pozwala mi. A moje nazwisko jest u dołu listy.

- Hadrian Blackwater przestrzegał nas przed wpisaniem się na nią - wyjaśnił Mauvin.

- I co z tego? - Fanen wpatrywał się w brata.

- A to, że człowiek, który bez trudu mógłby zająć pierwsze miejsce, też tego nie zrobił. Albo wie coś, czego my nie wiemy, albo uważa, że wie. Dlatego warto przeczekać przynajmniej pierwszą noc. Zresztą słyszałeś Aristę, to nieważne, kto pójdzie pierwszy.

- Wiesz, kogo jeszcze nie ma na liście? - spytał Fanen. -

Lorda Rufusa.

- Tak, zauważyłem. Myślałem, że rzuci wyzwanie Endenowi. Obejrzenie ich pojedynku warte by było całej tej drogi. Lecz nawet go nie ma na dziedzińcu z pozostałymi.

- Wiele czasu spędza u arcybiskupa.

Arista omiotła spojrzeniem dziedziniec. Światło słoneczne już tam nie docierało i podwórzec pogrążył się w cieniu ścian i drzew. Zaczęto roznosić pochodnie i zapalone wkładać do uchwytów. W obrębie palisady zebrały się setki ludzi, natomiast kolejni tworzyli grupki na zewnątrz muru.

Rozmawiali, czasami krzyczeli, a Arista

usłyszała nawet śmiech i trochę śpiewu - nie rozpoznała wprawdzie melodii, ale po rytmie domyśliła się, że jest to jakaś rubaszna piosenka wykonywana przeważnie w gospodach. Wznoszono wiele toastów. Potężni, szerocy w barach mężczyźni stukali się kufkami tak mocno, że ropryskiwali pianę. Na drewnianym podium na środku dziedzińca stał wartownik Luis Guy. Był taki wysoki, że dosięgały go jeszcze ostatnie promienie słońca i ostatnie podmuchy wieczornego wiatru. Jego czerwona sutanna kojarzyła się z ogniem, a targana przez wiatr peleryna nadawała mu złowieszczy wygląd.

Księżniczka spojrzała na braci. Mauvin miał otwarte usta i palcem wskazującym próbował usunąć coś spomiędzy tylnych zębów. Fanen zaś spoglądał na niebo. Cieszyła się, że są z nią.

Trochę przypominało to jej dom w puszczy i wyobraziła sobie zapach jabłek.

Arista i Alric letnie miesiące spędzali najczęściej w Polach Drondila, aby uciec od skwaru miasta. Przypomniła sobie, jak wdrapywali się na drzewa w sadzie poza zamkiem i wczesną jesienią urządzali bitwy na jabłka. Zgniłe owoce roztrzaskiwały się na gałęziach, rozpryskując miąższ, aż wszyscy pachnieli jak jabłecznik. Każde drzewo było suwerennym zamkiem, powstawały sojusze. Mauvin zawsze tworzył drużynę z Alrikiem i krzyczał: „Mój król! Mój król!”.

Lenare wybierała do zespołu Fanena, by ochronić młodszego brata przed brutalami, jak ich nazywała. Arista zaś niezmiennie pozostawała sama, walcząc z obiema grupami naraz. Nawet gdy Lenare przestała się wspinać na drzewa, rywalizacja sprowadzała się do walki chłopaków z dziewczyną. Nie miała nic przeciwko temu, nie zauważała tego. Nawet się nad tym nie zastanawiała - aż do tej chwili.

Tyle spraw musiała uporządkować, a trudno było jasno myśleć w podskakującym powozie i czując na sobie wzrok Bernice. Pragnęła usilnie z kimś porozmawiać, choćby po to, żeby usłyszeć na głos własne słowa. Narastało w niej przekonanie, że Sauly jest spiskowcem, mimo że ciągle nie chciała tego uznać. Czy mogła mu zaufać, skoro zdradził jej ojca? I czy powinna ufać Esrahaddonowi? Czy wykorzystał

ją, żeby uciec? Czy odpowiadał za śmierć króla? Nie wiedziała, co robić.

Mauvin trafił w końcu na okruch, który mu przeszkadzał, i strzepnął go z palca za mur. Arista otworzyła usta, żeby się odezwać, ale się zawahała, nie mogąc znaleźć odpowiednich słów. Przez całą drogę zamierzała omówić poruszone w Ervanonie kwestie z Pickeringami - cóż, przynajmniej z Mauvinem - ale teraz zamknęła usta i przygryzła wargę, jeszcze raz wracając wspomnieniami do sadu i zapachu jabłek.

- Tutaj jesteś, Wasza Wysokość - powiedziała Bernice, podbiegając do Aristy z szalem na ramiona. - Nie powinnaś być na dworze o tak późnej porze, to nie przystoi.

- Naprawdę, Bernice, powinnaś zdecydować się na dzieci, kiedy miałaś okazję. To rozpieszczanie mnie musi się skończyć.

Starsza kobieta tylko uśmiechnęła się ciepło.

- Po prostu troszczę się o ciebie, moja droga. Potrzebujesz opieki. W tym nieprzyjemnym miejscu roi się od gburów. Od twojej cnoty oddzielają ich jedynie cienkie mury i laska arcybiskupa. Taka dama jak ty to silna pokusa, która w tej zapadłej puszczy może sprowokować niejednego zacnego mężczyznę do pochopnych czynów. - Zerknęła podejrzliwie na braci, którzy odwzajemnili jej się zakłopotanym spojrzeniem.

- A niejednego tutaj nawet bym nie określiła mianem zacnego. W wielkim zamku z odpowiednią świątą można trzymać mężczyzn w odpowiedniej odległości, ale tutaj, moja pani, w tym barbarzyńskim otoczeniu można mieć pewność, że tracą głowę.

- Och, Bernice, proszę.

- Zaczyna się - odezwał się Fanen z podnieceniem.

Po zniknięciu ostatniego promienia słońca otworzono bramę, przez którą wyjechał sir Enden z dwoma giermkami i trzema paziami trzymającymi pochodnie. Pokłusowali na otwartą równinę, gdzie rycerz zaczął szykować się do walki.

Wtem tłum krzyknął i Arista spojrzała do góry. Zobaczyła cień przesuwający się na niebie. Sylwetka ze skrzydłami i ogonem szybowiała niczym jastrząb. W tłumie rozległy się pomruki i głośne westchnięcia, gdy stwór z wahaniem okrążył

gród. Po chwili jego uwagę przyciągnęły pochodnie, którymi na zboczu wzgórza wymachiwali ludzie towarzyszący sir Ende-nowi.

Potwór złożył skrzydła i zanurkował, spadając z nieba jak strzała wymierzona w rycerza z Chadwick. Ognie pochodni zaczęły śmigać w różne strony i Ariście wydawało się, że widzi, jak sir Enden ustawia kopię w poziomej pozycji i rusza do ataku. Rozległ się wrzask, a powietrze rozdarły okrzyki zgrozy, gdy pochodnie na polu gasły jedna po drugiej.

- Następny! - krzyknął Luis Guy.

*

Krasnolud poprowadził ich ścieżką w górę nurtu do miejsca, gdzie w świetle księżyca dostrzegli dużą

skałę wcinającą się w rzekę. Hadrianowi przypominała tępy czubek szerokiej dzidy. Magnus tupnął w ziemię, po czym wskazał na wodę.

- Tu wchodzimy. Po zanurkowaniu na sześć metrów natrafimy na otwór w brzegu. Tunel jest pod nami, zakrzywia się w dół, a potem biegnie pod rzeką do wieży.

- I to wszystko wiesz po tupnięciu nogą? - spytał Royce.

Hadrian spojrzał na Esrahaddona.

- Jak u ciebie z pływaniem?

- Nie miałem okazji pływać od... - powiedział, unosząc ramiona. - Ale mogę wstrzymać oddech na całkiem sporą chwilę. W razie konieczności wyciągnijcie mnie.

- Ja pójdę pierwszy - oznajmił Royce, patrząc na Magnusa.

Rzucił zwój liny na ziemię i zawiązał sobie jeden jej koniec wokół pasa.

- Poluźniajcie ją, ale nie puszczajcie. Nie wiem, jak silny jest prąd.

- Tu nie ma prądu - powiedział Magnus. - Pod wodą jest szelf, który powoduje wir. Tam na dole jest coś w rodzaju stawu.

- Wybacz, że nie uwierzę ci na słowo. Gdy szarpnę liną trzy razy na znak, że można za mną bezpiecznie pójść, przywiążcie do czegoś koniec liny i zejście wzdłuż niej. Jeśli jednak wpadnę, a lina zacznie wam uciekać z rąk, wyciągnijcie mnie na górę, żebym mógł go osobiście zabić.

Krasnolud westchnął.

Royce zdjął płaszcz i podał koniec liny Hadrianowi. Zaczął

się opuszczać, odbijając się co kilka metrów od ściany jak wspinacz. W końcu wskoczył do rzeki

i zniknął pod ciemną wodą. Hadrian czuł, jak lina miarowo przesuwana mu się między palcami. Stojący przy nim Magnus nie okazywał żadnego zaniepokojenia. Uniósł głowę i spoglądał w niebo.

- Jak myślisz, co teraz robi? - spytał.

- Według mnie pożera rycerzy - odrzekł Hadrian.

- Oby zaprzętali jego uwagę.

Lina nagle stanęła. Hadrian patrzył na miejsce, w którym zagłębiała się w wodzie i wokół którego wytworzyła się biała piana. Poczł trzy szarpnięcia.

- W porządku, jest w środku - oznajmił Hadrian.

- Teraz ty, mały.

Magnus spiorunował go wzrokiem.

- Jestem krasnoludem.

- Wskakuj do rzeki.

Magnus podszedł do krawędzi. Zatkanął sobie nos ręką, wyprostował palce u nóg, po czym skoczył i z pluśnięciem zniknął pod wodą.

- Zostaliśmy tylko ty i ja - oznajmił Hadrian, przywiązując koniec liny do brzozy, która rosła lekko pochylona ku rzece. -

Idź pierwszy. Będę patrzył, jak sobie radzisz, i w razie potrzeby przepchnę cię do przodu.

Czarnoksiężnik skinął głową i po raz pierwszy, odkąd Hadrian go znał, wyglądał na niepewnego. Zaczerpnął trzy razy głęboko powietrza do płuc i przy czwartym wdechu wstrzymał je i skoczył nogami naprzód. Hadrian ruszył tuż za nim.

Woda była zimna. Nie lodowata ani odbierająca oddech, ale chłodniejsza, niż się spodziewał. Wstrząs termiczny na chwilę go zdezorientował, lecz już po sekundzie Hadrian wierzgnął

nogami, zanurkował i zaczął płynąć wzdłuż liny. Magnus miał

rację co do prądu. Woda była spokojna jak w stawie.

Otworzył oczy.

Nad powierzchnią mógł dostrzec niewyraźne niebiesko-szare światło, które migotało, ale poniżej panowała ciemność. Ogarnęła go panika, gdy uświadomił sobie, że nie widzi Esrahaddona. Jakby w odpowiedzi na to tuż pod nim pojawiła się poświata. To szata czarnoksiężnika emanowała niebieskozielonym blaskiem, gdy Esrahaddon płynął, przebierając nogami. Pomimo braku dłoni posuwał się dość szybko do przodu.

Dzięki jego szacie obaj widzieli brzeg rzeki i biegnącą w dół linę, która niknęła w ciemnej dziurze. Hadrian zobaczył, jak czarnoksiężnik wślizguje się w zagłębienie, i podążył za nim, czując, że już zaczyna się dusić. Po chwili wynurzyli się prawie równocześnie nad powierzchnię jeziorka w niewielkiej jaskini.

Royce przywiązał drugi koniec liny do skały. Obok niego płonęła latarnia. Pojedynczy płomień wystarczał do oświetlenia naturalnej pieczary, z której wychodził tunel.

Magnus odsunął się na bok: albo po to, żeby przyjrzeć się ścianom jaskini, albo wolał się trzymać z dala od Royce'a.

Hadrian wyszedł z jeziorka, ociekając wodą. Dźwięk spadających kropli odbijał się od ścian jaskini niczym odgłos ulewnego deszczu. Gdy Esrahaddon wynurzył się z wody, Royce wyciągnął go na brzeg.

- Łatwiej by ci się płynęło, gdybyś zdjął... - zaczął, ale zaraz urwał, gdy zobaczył, że szata

czarnoksiężnika jest sucha.

Czarnoksiężnik wyglądał tak samo jak przed wejściem do rzeki - z wyjątkiem włosów i brody był całkowicie suchy.

Hadrian i Royce wymienili spojrzenia, ale nic nie powiedzieli. Royce podniósł latarnię.

- Idziesz, mały?

Krasnolud sarknął i chwyciwszy oburącz brodę, wycisnął z niej trochę wody.

- Zdajesz sobie sprawę, mój przyjacielu, że krasnoludy są starszą i znakomitszą...

- Mniej gadania, więcej chodzenia - przerwał mu Royce, wskazując tunel. - Prowadź. I nie jestem twoim przyjacielem.

Wkroczyli w nowy świat. Ściany były gładkie, jakby wypolerowała je woda. Błyszcząca powierzchnia potęgowała siłę światła latarni Royce'a, dzięki czemu sklepienie wewnątrz wydawało się zadziwiająco jasne.

- Gdzie jesteśmy? - spytał Hadrian.

- Pod brzegiem, niedaleko miejsca, w którym weszliśmy do wody - odpowiedział Magnus. - Tutaj tunel biegnie w dół jak spirala.

- Niewiarygodne - powiedział Hadrian, patrząc ze zdumieniem na połyskujące ściany. - Jakbyśmy byli w środku diamentu.

Zgodnie z przewidywaniami krasnoluda tunel stale zakręcał.

Gdy Hadrian stracił już poczucie kierunku, korytarz zaczął

biec prosto. Wkrótce usłyszeli grzmot wodospadu, czuli drgania kamiennych ścian. Przez sufit i ściany przesączała się woda. Z powodu tysiąca lat zaniedbań w korytarzu utworzyły się kryształowe nawisy i poszarpane stożki mineralnych osadów.

- To trochę niepokojące - stwierdził Hadrian, zauważając, że poziom wody na podłodze wzrasta.

- Ba! - wymamrotał Magnus, ale nie dodał nic więcej.

Brnęli przez wodę, unikając kamiennych kolców.

Hadrian zauważył geometryczne kształty i wzory wyryte na ścianach. Niektóre delikatniejsze linie wyblakły, zniknęły -

być może pod wpływem działania milionów kropli. Nie było widać żadnych słów i nie można

było rozpoznać żadnych symboli, jakby te ryty były tylko dekoracjami. Powyżej znajdowały się prawie niewidoczne podpórki do podtrzymywania drzewców na sztandary, a w bocznych ścianach tkwiły uchwyty na lampy. Hadrian usiłował wyobrazić sobie wygląd tunelu przed czasami Novrona, gdy pełen kolorowych proporców korytarz rozjaśniały rzędy zapalonych głowni. Niebawem tunel zaczął

się wznosić i dostrzegli słabe światło.

Wreszcie dotarli do schodów, które prowadziły łukiem w górę. Były takie głębokie, że na każdym stopniu robili po dwa kroki, zanim weszli na kolejny. Na ich szczycie znów zobaczyli nad głową rozgwieżdżone niebo i wkrótce znaleźli się nad poziomem gruntu, na wypiętrzonych skałach tworzących podstawę cytadeli. Powitał ich silny, wilgotny wiatr niosący z sobą mgiełkę wodną. Monolityczna wieża wznosiła się tak wysoko, że nie mogli dostrzec jej końca.

Po drugiej stronie czekały na nich kolejne schody. Szli wolno, ale w równym tempie, gęsiego, mimo że szerokość stopni pozwalała iść obok siebie dwóm lub nawet trzem osobom. Pokonali ich pięć biegów, gdy znaleźli się na szóstym, Royce zarządził odpoczynek po stronie budowli zasłoniętej od wiatru. W dole huczał wodospad, ale oni mieli złudzenie, że noc jest spokojna. Nie słyszeli ani cykania świerszczy, ani pohukiwania sów, jedynie głęboki huk rzeki i wycie wiatru.

- To niedorzeczne! - przekrzyczał hałas Royce. - Gdzie te przeklęte drzwi? Nie lubię stać w takim odsłoniętym miejscu.

- Już niedaleko, kawałek wyżej - odparł Esrahaddon.

- Ile mamy czasu? - spytał Hadrian, spoglądając na czarnoksiężnika, który w odpowiedzi wzruszył ramionami.

- Stwór wraca tu bezpośrednio po zabiciu ofiary czy rozkoszuje się urokami nocy? - dopytywał się Royce. -

Spodziewam się, że po dziewięciu wiekach uwięzienia w tej wieży będzie miał ochotę trochę sobie polatać.

- To nie osoba ani zwierzę. To mistyczne uosobienie potęgi.

Naśladuje życie i na pewno rozumie zagrożenia dla swojego istnienia, ale wątpię, czy znane mu są pojęcia przyjemności i wolności. Jak już mówiłem, to coś nie jest żywe.

- To dlaczego je? - spytał Royce.

- Nie je.

- To czemu co noc zabija kilka osób?

- Sam się nad tym zastanawiam. Powinien próbować wypełnić ostatnie powierzone mu zadanie, a tym na pewno było zabicie imperatora. Możliwe, że nie mogąc znaleźć swojego celu, a przy tym nie

mogąc za bardzo oddalić się od tej wieży, usiłuje go zwabić w to miejsce. Może doszedł do wniosku, że imperator nie ścierpi rzezi swojego ludu i przyjdzie wiosce z pomocą.

- Tak czy owak, lepiej się pośpieszmy - zakończył Hadrian i dał sygnał do dalszej drogi, wstając pierwszy.

Gdy okrążyli wieżę, znów uderzył w nich wiatr. Gwizdał im w uszach i utrudniał stawianie kolejnych kroków. Wilgotne rzeczy ziębiły ich ciała, mimo że forsowny marsz powinien ich rozgrzewać. Spiczaste wieżycy wciąż niknęły w ciemnościach, a kolejny krótki most skończył się nagle litą ścianą, co wprawiło ich w ponury nastrój.

Hadrian zobaczył, jak Royce wzdycha z rozczarowaniem, patrząc na ślepy zaułek.

- Mówiłeś, że tu są drzwi - zwrócił się Royce do czarnoksiężnika.

-Są.

Hadrian nie widział żadnych. Na skale można było dostrzec słaby zarys futryny, ale miejsce to było wykonane z litego kamienia. Royce się skrzywił.

- Kolejne niewidzialne kamienne wejście?

- Szkoda twojego czasu - powiedział do niego Magnus. -

Nigdy ich nie otworzysz. Wierz mi, jestem krasnoludem.

Spędziłem wiele godzin na próbach dostania się do środka i nic. Ten kamień jest zaczarowany i niemożliwy do przejścia.

Pokonanie rzeki to drobiazg w porównaniu z otwarciem tych drzwi.

Royce spojrział na krasnoluda z niedowierzaniem.

- Już tu byłeś? Próbowalesz wejść do wieży? Dlaczego?

- Mówiłem, że realizuję zlecenie Kościoła.

- Powiedziałeś, że robisz miecz dla lorda Rufusa.

- Tak, ale arcybiskup nie chciał zwykłego miecza, ale replikę elfickiego. Dał mi stertę starych rysunków, na których oparłem projekt. Były dość dobre, podano na nich wymiary i materiał, ale to nie to samo, co obejrzeć oryginał. - Krasnolud spojrział wymownie na Royce'a. - Powiedziano mi, że w wieży znajdują się miecze tego typu. Przyszedłem tu i przez cały dzień chodziłem wokół tej wieży, ale nie znalazłem wejścia.

Żadnych drzwi czy okien, tylko takie ściany.

- Czy ten miecz, który robiłeś - spytał Esrahaddon - miał

napis na klindze?

- Tak - odparł Magnus. - Nalegali, żeby był dokładnie taki jak w książkach.

- Oto sedno sprawy - wymamrotał Esrahaddon. - Kościół

nie zjawiał się tu z mojego powodu i nie przyjechali tu po to, żeby odnaleźć spadkobiercę, lecz go wykreować.

- Wykreować spadkobiercę? Nie rozumiem - powiedział

Hadrian. - Myślałem, że pragną jego śmierci.

- Tak, ale zamierzają stworzyć marionetkę. Rufus ma zastąpić prawdziwego spadkobiercę. Według legendy tylko ktoś z rodu Novrona może zabić gilarabrywna. Uznają więc śmierć tego stwora za niezbity dowód na to, że ich wybranek jest prawdziwym spadkobiercą. To im nie tylko da podstawę do narzucania praw królom, lecz również zniweczy moje wysiłki zmierzające do przywrócenia prawdziwego spadkobiercy na tron. Kto uwierzy staremu, wyjętemu spod prawa czarnoksiężnikowi, gdy ich kandydat zabije gilarabrywna? Wyślą kilku gamoniów na pewną śmierć, żeby udowodnić, że bestia jest niezwyciężona, następnie Rufus, uzbrojony w miecz z wrytym imieniem bestii, zabije stwora i zostanie imperatorem, a Kościół wróci do władzy i zreformuje imperium. Muszę przyznać, że to doskonałe posunięcie. Nie spodziewałem się tego.

- Kilku królów o umiarkowanych poglądach nie musi się z tym zgodzić - odrzekł Hadrian.

- Oni też o tym wiedzą. Na pewno mają plan, jak sobie z tym poradzić.

- Musimy zatem tam wejść? - spytał Hadrian.

- Tak - odparł czarnoksiężnik. - Teraz bardziej niż kiedykolwiek. - Zachichotał. - Wyobraźcie sobie, co by było, gdyby przed Rufusem inny uczestnik zabił bestię.

Krasnolud się zachnął.

- Ba! Mówiłem, że nie przedostaniecie się przez te drzwi. Są z litego kamienia.

Czarnoksiężnik znów spojrział na zarys wejścia.

- Otwórz je, Royce.

Royce spojrział z niedowierzaniem.

- Co mam otworzyć? Przecież to ściana. Nie ma zasuwy, zamka, nawet żadnej szczeliny. Ktoś ma kamień szlachetny, który moglibyśmy wypróbować?

- To nie jest klejnotozamek - wyjaśnił czarnoksiężnik.

- Potwierdzam, a znam się na tym - powiedział Magnus.

- Spróbuj - upierał się czarnoksiężnik, wpatrując się w Royce'a. - Dlatego cię tu sprowadziłem. Przypominasz sobie?

Royce spojrział na ścianę przed sobą i się nachmurzył. -Jak?

- Zdaj się na instynkt. Otworzyłeś drzwi do mojego więzienia, a na nich też nie było zasuw.

- Miałem szczęście.

- Może znów będziesz je miał? Spróbuj.

Royce wzruszył ramionami. Zrobił krok do przodu i położył

lekką rękę na kamieniu, przesuując po nim opuszkami palców w poszukiwaniu czegoś, czego być może nie dostrzegały jego oczy.

- To strata czasu - orzekł Magnus. - Widać wyraźnie, że to potężny zamek, którego nie da się otworzyć bez klucza. Znam się na tych rzeczach. Robiłem takie rzeczy. Projektuje się je tak, aby nie mogli ich sforsować tacy złodzieje jak on.

- Ach - powiedział Esrahaddon do krasnoluda. - Nie doceniasz Royce'a. To nie jest zwykły włamywacz.

Wyczułem to już w chwili, gdy po raz pierwszy go zobaczyłem. Wiem, że jemu może się udać.

- Czarnoksiężnik odwrócił się do Royce'a, po którym było już widać irytację. - Przestań próbować je otworzyć - pouczył

go - lecz po prostu to zrób. Nie myśl o tym. Po prostu to zrób.

- Co mam zrobić? - zapytał rozdrażniony Royce.

- Gdybym wiedział jak, myślisz, że zwlekałbym z tym?

- Na tym polega problem. Nie myśl. Przestań być złodziejem. Zwyczajnie otwórz drzwi.

Royce spiorunował czarnoksiężnika spojrzeniem.

- Świetnie - powiedział i przycisnął dłoń do kamiennej ściany, a następnie ją cofnął, zaskoczony.

Na twarzy Esrahaddona pojawił się wyraz czystej rozkoszy.

- Wiedziałem.

- Co wiedziałeś? Co się stało? - spytał Hadrian.

- Ja tylko pchnąłem dłonią ścianę - roześmiał się Royce, dostrzegając niedorzeczność całej sytuacji.

-Ico ?

- Jak to co? - spytał, wskazując na litą ścianę.

- I co się stało? Czemu się uśmiechasz?

Hadrian obejrzał dokładnie ścianę w poszukiwaniu czegoś, co mógł przeoczyć - drobnego pęknięcia, maleńkiej zasuwki, dziurki od klucza - ale niczego nie zauważył. Kamień wyglądał tak samo jak wcześniej.

- Otworzyły się - odparł Royce.

Hadrian i krasnolud spojrzeli na niego zaskoczeni.

- Co ty pleciesz?

Royce zerknął przez ramię, jakby to miało wszystko wyjaśnić.

- Oślepliście? Drzwi są otwarte na oścież. Widać korytarz, który biegnie...

- Oni tego nie widzą - wtrącił czarnoksiężnik.

- Nie widzisz, że drzwi są teraz otwarte? - spytał Royce Hadriana. - Nie widzisz tych olbrzymich dwuskrzydłowych drzwi o wysokości trzech pięter?

Hadrian pokręcił głową.

- Ściana wygląda wciąż tak samo. Magnus skinął głową na znak potwierdzenia.

- Nie widzą tego, bo nie mogą wejść - wyjaśnił czarnoksiężnik.

Royce podążył wzrokiem w górę za spojrzeniem czarnoksiężnika i jego oczy się rozszerzyły.

- O co chodzi? - spytał Hadrian.

- Magia elfów uniemożliwiająca wrogom przejście przez te ściany. Widzą oni jedynie lity kamień. Portal jest dla nich zamknięty.

- Ty to widzisz? - spytał Royce Esrahaddona.

- Całkie wyraźnie.

- To dlaczego oni nie?

- Już ci powiedziałem, to magia, która ma powstrzymać wrogów przed wejściem. Tak się składa, że zaproszono mnie tutaj dziewięćset lat temu. I tuż po mojej wizycie opuszczono wieżę w pośpiechu. Domyślam się zatem, że nikt nie pamiętał, by anulować moją przepustkę. - Znow spójrz na coś, co Hadrianowi wciąż wydawało się litym kamieniem. -

Nie sądzę jednak, bym zdołał te drzwi otworzyć, nawet gdybym miał ręce. Dlatego cię potrzebowałem.

- Mnie? - zdziwił się Royce, a potem spiorunował czarnoksiężnika spojrzeniem. - A więc wiedziałeś?

- W przeciwnym razie kiepski byłby ze mnie czarnoksiężnik, prawda?

Royce spójrz na własne stopy, a potem powoli na Hadriana, który tylko się uśmiechał.

- Ty też wiedziałeś?

Hadrian zmarszczył czoło.

- Naprawdę myślałeś, że mógłbym pracować z tobą przez te wszystkie lata i się tego nie domyślić? Wiesz, to dość wyraźnie widać.

- Nigdy nic nie powiedziałeś.

- Myślałem, że nie chcesz o tym rozmawiać. Zazdrośnie strzeżesz swojej przeszłości. Stary, w twoim życiu istnieje wiele drzwi, do których nie pukam. Czasami nawet się zastanawiałem, czy ty sam o tym wiesz.

- O czym? Co tu się dzieje? - dopytywał się Magnus.

- Nie twoja sprawa - odpowiedział Hadrian. - Tutaj jednak nasze drogi się rozchodzą. Nie możemy wejść, a nie uśmiecha mi się siedzieć tu na progu i czekać, aż latający jaszczur wróci do domu.

- Powinniście zejść na brzeg - oznajmił Esrahaddon. -

Royce i ja możemy dalej iść sami.

- Ile to potrwa? - spytał Hadrian.

- Kilka godzin, może dzień - odparł czarnoksiężnik.

- Liczyłem, że się stąd ulotnimy przed jego powrotem - powiedział Royce.

- To niemożliwe. Poza tym kto jak kto, ale ty nie powinieneś mieć z tym problemu. Jestem pewny, że

już okradałeś domy podczas obecności ich mieszkańców.

- Nie takie, w których domownik mógłby mnie połączyć żywcem.

- A więc będziemy musieli zachowywać się wyjątkowo cicho, prawda?

Rozdział 1 0

Zaginione miecze

Myślałem, że wczoraj wieczorem poszło dobrze - powiedział biskup Saldur, krojąc sobie trójkątny kawałek sera.

Siedział przy stole bankietowym w wielkiej sali w towarzystwie acybiskupa Galiena, wartownika Luisa Guya i lorda Rufusa. Wysokie łukowe sklepienie niezbyt było przydatne w rozjaśnieniu przytłaczającej atmosfery spowodowanej brakiem naturalnego światła. W całym dworze było niewiele okien i Saldur odnosił wrażenie, jakby kulił się w jaskini jakiegoś zwierzęcia, norze świstaka lub żeremiu bobra. Czuł zawód, że ta rudera będzie miejscem narodzin nowego imperium, ale był przecież pragmatycznym człowiekiem. Metoda nie miała znaczenia. Liczył się wyłącznie końcowy efekt. Albo rozwiązanie się sprawdzi, albo nie. To była jedyna miara wartości - estetykę można było dołożyć później.

Teraz musieli ustanowić imperium. Ludzkość zbyt długo dryfowała bez kapitana. Świat potrzebował silnej ręki trzymającej mocno za ster i bystrych oczu, potrafiących dostrzec przyszłość i skierować statek

na czyste, spokojne wody. Saldur wyobrażał sobie, że pokój zapewni światu dostatek, a bezpieczeństwo - siła. Mocno zakorzeniony u czterech narodów system feudalny hamował

ich rozwój, krępował królestwa więzami ubóstwa wynikającego ze słabości i odmiennych interesów.

Potrzebowali scentralizowanego rządu z oświeconym władcą i wykształconymi urzędnikami nadzorującymi wszystkie aspekty życia. Trudno aż było sobie wyobrazić, jak wiele celów można by osiągnąć dzięki skupieniu całej siły ludzkości w jednym ręku: zrewolucjonizować rolnictwo, rozprowadzając jego owoce wśród wszystkich ludzi i to w cenie, na którą mogliby sobie pozwolić nawet najbiedniejsi; znormalizować prawa, eliminując wymierzanie dowolnych kar przez mściwych tyranów. Wiedzę z odległych zakątków świata można by zgromadzić w jednym miejscu, gdzie wielkie umysły mogłyby się uczyć i opracowywać nowe koncepcje, nowe techniki. Można by ulepszyć transport i usunąć smród z miast za pomocą systemów kanalizacyjnych. I jeżeli to wszystko miało się zacząć w tej drewnianej chatce na skraju świata, była to niewielka cena do zapłacenia.

- Ilu zginęło? - zapytał.

Arcybiskup wzruszył ramionami, a Rufus nie zadał sobie nawet trudu, by podnieść głowę znad talerza.

- Bestia zabiła wczoraj pięciu uczestników - odparł Luis Guy, nadziewając babeczkę na czubek sztyletu.

Rycerz Nyphrona nie przestawał imponować Saldu-rowi.

Uosabiał przymioty miecza - był ostry, twardy i równie elegancki. Zawsze stał prosto, z cofniętymi ramionami, podniesionym czołem i oczami utkwionymi prosto w obrany cel. Jego twarz przypominała maskę wojownika. Patrzył

śmiało, prawie jakby domagał się

konfrontacji z każdym, kto byłby wystarczająco głupi, żeby rzucić mu wyzwanie. Nawet po kilku dniach spędzonych w puszczy wygląda! nieskazitelnie. Był wzorowym reprezentantem Kościoła, wcieleniem ideału.

- Tylko pięciu?

- Po rozerwaniu piątego na pół chętni zniknęli i bestia odleciała.

- Myślicie, że pięć śmiertelnych ofiar dowodzi, że jest niezwyciężona? - spytał Galien, spoglądając na pozostałych.

- Nie, ale możemy nie mieć wyboru. Nie mam pewności, czy jeszcze ktoś się zgłosi - odparł Guy. - Wygasał

dotychczasowy entuzjazm do polowania.

- Będziesz gotowy, lordzie Rufusie, jeśli nie zgłosi się nikt inny? - spytał arcybiskup, zwracając się do nieokrzesanego wojownika siedzącego na końcu stołu.

Lord Rufus podniósł głowę. Rozkoszował się jedzeniem, obgryzając baranią nogę, z której tłuszcz sływał mu na spletaną brodę. Spojrzał na nich spod krzaczastych rudych brwi i wypluł kostkę.

- To zależy - odparł. - Czy miecz zrobiony przez krasnoluda przetnie skórę bestii?

- Kazaliśmy naszym skrybom porównać jego robotę z pradawnymi zapiskami - odparł Saldur. - Oznaczenia idealnie pasują.

- Jeśli przetnie, to go zabiję. - Rufus uśmiechnął się nieprzyjemnie. - Bądźcie gotowi koronować mnie na imperatora. - Wbił ponownie zęby w udziec i odgryzł spory kawał ciemnego mięsa, który wypełnił mu całe usta.

Saldur nie mógł uwierzyć, że patriarcha wybrał tego durnia na władcę. Jeżeli Guy był mieczem, to Rufus kijem, tępym narzędziem do wykonywania nieskomplikowanej roboty fizycznej. Jako rodowity mieszkaniec

Trentu zapewni lojalność niesfornych północnych królestw, której najpewniej nie można by było pozyskać w żaden inny sposób. To z łatwością podwoi ich siłę. Należało jeszcze uwzględnić popularność, jaką się cieszył nie tylko w Trencie, lecz również w Avrynie i Calisie. Dzięki niej mniej będzie protestów przeciwko jego władztwu. Sława wojownika z pewnością pomoże mu w pokonaniu pierwszej przeszkody, jaką było zabicie gilarabrywna i zwalczanie wszelkiego oporu stawianego przez nacjonalistów. Według Saldura jednak problemem było to, że Rufus - nieokrzesany tuman - miał nie tylko serce, lecz również umysł wojownika. Każdy problem chciał rozwiązywać metodą siłową. A to oznaczało, że trudno będzie nad nim panować. Zamartwianie się jednak tym już teraz nie miało sensu. Najpierw musieli stworzyć imperium, a dopiero potem martwić się obsadą tronu. Jeżeli Rufus stanie się problemem, dopilnują, aby po splotzeniu syna przedwcześnie odszedł z

tego świata.

- A zatem - podsumował Galien - wszystko zostało ustalone.

- Tylko po to mnie tu wezwałeś? - spytał Guy po-irytowanym tonem.

- Nie - odparł Galien. - Dziś rano otrzymałem niespodziewaną wiadomość, której pewnie z chęcią wysłuchasz, Luisie. Carlton, wprowadź diakona Tomasa.

Carlton, rządcą Galiena, który właśnie zajmował się nalewaniem rozcieńczonego wodą wina, szybko oddalił się od stołu i otworzył drzwi na korytarz.

- Jego Ekscelencja teraz cię przyjmie.

Do sali wszedł zażywny mężczyzna w habicie.

- Luisie Guyu, lordzie Rufusie, przedstawiam wam diakona Tomasa z wioski Dahlgren. Tomasiu, to lord Rufus, wartownik Guy, a biskupa Saldura oczywiście już znasz.

Tomas kiwnął głową z uśmiechem świadczącym o podenerwowaniu.

- O co tu chodzi? - spytał Guy, jakby Tomasa tam nie było.

- Śmiało, Tomasiu, powiedz wartownikowi to, co powiedziałeś mnie.

Diakon przestąpił z nogi na nogę, unikając kontaktu wzrokowego. Gdy się odezwał, musieli się wysilać, żeby usłyszeć jego cichy głos.

- Wspomniałem Jego Ekscelencji, że zająłem się dworem pod nieobecność margrabiego. To były naprawdę trudne chwile dla tej wioski, ale dokładałem wszelkich starań, aby utrzymać porządek w wielkim domu. To nie ja wpadłem na pomysł, żeby mieszkańcy tłumnie się tu zjawili. Próbowałem ich powstrzymać, ale cóż mogłem działać w pojedynkę. To było niemożliwe...

- Tak, tak, opowiedz o kalece - wtrącił arcybiskup.

- Naturalnie. Esra pojawił się tu jakiś miesiąc temu i...

- Esra? - powtórzył Guy i spojrzał nagle na arcybiskupa i Saldura, którzy uśmiechnęli się porozumiewawczo.

- Tak - potwierdził diakon Tomas. - Tak się nazywa. Nigdy za wiele nie mówił, ale mieszkańcy wioski to dobrzy ludzie i na zmianę go karmili, bo biedak nie mógł sobie poradzić bez rąk.

- Esrahaddon! - syknął Guy. - Gdzie jest ta żmija?

Gwałtowna reakcja wartownika zaskoczyła Tomasa, który zrobił krok do tyłu.

- Nie wiem, przychodzi i odchodzi, choć pamiętam, że bywał w wiosce częściej, zanim przybyli dwaj nieznajomi.

- Nieznajomi? - zainteresował się Guy.

- Chyba przyjaciele rodziny Woodów. W każdym razie przyjechali z Thrace i sporo czasu spędzają z nią i jej ojcem.

Esra najczęściej przebywa z tym milczkiem, którego wołają chyba Royce.

- Royce Melbom i Hadrian Blackwater, dwaj złodzieje, którzy uwolnili czarnoksiężnika z Gutarii, i sam Esrahaddon są w tej wiosce?

Saldur i Galien skinęli głowami w stronę Luisa.

- Bardzo ciekawe, nieprawdaż? - skomentował arcybiskup. -

Może skupiliśmy się na niewłaściwej zwierzyńce, kiedy zajęliśmy się Aristą. Wygląda na to, że stary czarnoksiężnik obdarzył zaufaniem dwóch złodziei. Pytanie jednak brzmi: po co tu wszyscy przyjechali? To nie może być zbieg okoliczności, że Esrahaddon zjawił się w tym zaścianku akurat w chwili, gdy ma być koronowany imperator.

- Nie może znać naszych planów - zauważył Guy.

- Przecież zalicza się do czarnoksiężników, a oni są dobrzy w odkrywaniu różnych rzeczy. Tak czy owak może spróbujesz się wywiedzieć, co knuje.

- Pamiętaj tylko, żeby zanadto się do niego nie zbliżać -

dodał Saldur. - Nie chcemy złapać lisa, zanim nie doprowadzi nas do swojej nory.

*

Hadrian złożył dwukrotnie koc wzdłuż dłuższego boku, a następnie ciasno go zrolował i obwiązał tak powstały walek dwoma paskami. Cały ekwipunek, jaki im pozostał, leżał w stosach na ziemi. Wciąż mieli sprzęt do rozbicia obozu, żywność i karmę dla koni. Royce dysponował też siodłem, uzdą i sakwami, ale Hadrian stracił swoje rzeczy razem z bronią,

gdy zniknęła Millie. Jazda we dwójkę na jednym koniu wraz z całym ekwipunkiem nie była możliwa. Będą musieli załadować wszystko na Myszkę, a sami wracać na piechotę.

- Tu jesteście.

Hadrian podniósł głowę i zobaczył Therona, który zbliżał

się wielkimi krokami od strony domu Bothwicków, zmierzając z pustym wiadrem do studni.

- Nie widzieliśmy was wczoraj wieczorem. Martwiłem się, że coś wam się stało.

- Wygląda na to, że wszyscy mieli wczoraj szczęście -

powiedział Hadrian.

- Wszyscy w wiosce, ale tym w grodzie tak się nie poszczęściło. Słyszeliśmy wiele wrzasków i krzyków, a dziś rano nikt nie świętuje. Domyślam się, że ich plan uśmiercenia bestii spalił na panewce. - Gospodarz spojrział na ułożone sprzęty. - Pakujecie się, co? Więc wy też wyjeżdżacie?

- Nie widzę powodu, żeby tu zostawać. Nic nas już tu nie trzyma. Jak się czuje Thrace?

- Dobrze. Powiedziała mi, że ociera się o szlachtę. Może już normalnie chodzić, bóle głowy też jej prawie minęły.

Przypuszczam, że jutro rano wyruszymy w drogę.

- Cieszę się - powiedział Hadrian.

- Kim jest wasz przyjaciel?

Theron wskazał na krasnoluda, który siedział kilka metrów dalej w cieniu topoli.

- Poznaj Magnusa. Nie jest naszym przyjacielem, tylko współnikiem. - Zastanawiał się przez chwilę, po czym dodał: -

A właściwie to wrogiem, którego trzymam na oku.

Theron skinął głową, zaskoczony, a krasnolud mruknął coś, czego obaj nie dosłyszeli.

- A co z moją lekcją? - spytał gospodarz.

- Żartujesz? Nie widzę sensu w lekcji, skoro jutro wyjeżdżacie.

- Masz co innego do roboty? Poza tym na drodze jest niebezpiecznie i nie zaszkodziłoby, gdybym poznał jeszcze kilka sztuczek. A może dajesz mi do zrozumienia, że teraz chcesz pieniędzy?

- Nie. - Hadrian machnął ręką w kierunku gospodarza. -

Bierz kij do ręki.

Słońce mocno przygrzewało i Hadrian się spocił, ćwicząc z Theronem, który robił duże postępy. Magnus siedział na odwróconym kubku ze studni i obserwował ich z zainteresowaniem. Hadrian objaśniał technikę, sposób wykonywania pchnięć i przechwyty, co było trudne do zademonstrowania przy użyciu zwykłych trzonków od grabi.

- Jeżeli trzymasz miecz oburącz, tracisz na sprawności i zasięgu, ale zyskujesz ogromną siłę. Dobry

szermierz wie, kiedy przejść z obu rąk na jedną i odwrotnie. Jeśli walczysz z przeciwnikiem o większym zasięgu ramion, lepiej używaj jednej ręki. Ale gdy musisz przebić ciężką zbroję -

przyjmując, że w drugiej ręce nie masz tarczy - chwyć głowicę obiema dłońmi i wykonaj pchnięcie. Nie zapomnij, żeby przy tym ryknąć, tak jak cię uczyłem. Następnie napieraj mieczem, używając wszystkich swoich sił. Napierśnik nie wytrzyma nacisku czubka klingi. Nie jest do tego przystosowany. Zbroja zabezpiecza przed uderzeniem albo cięciem. Może też spowodować, że sztych ześlizgnie się po metalu. Dlatego prawdziwi wojownicy noszą gładkie zbroje bez zdobień. Łatwo spotkać książąt i diuków w pozłacanych, cienkich napierśnikach z grawerunkami - to niemal śmiertelna pułapka. Choć

oczywiście oni nie biorą udziału w prawdziwej walce. Mają do tego rycerzy. Skupiają się na tym, żeby ładnie wyglądać. A więc zadając pchnięcie, celujesz w fałdę, rowek lub miejsce łączenia w zbroi, w jakiś element, na którym zatrzyma się sztych. Doskonale nadają się do tego pachy lub szczelina pod osłoną nosa. Wbij przeciwnikowi ponadmetrowy miecz pod osłonę nosa, a nie będziesz musiał się martwić o kontratak z jego strony.

- Jak możesz czegokolwiek nauczyć tego biedaka bez mieczy?

Obaj się odwrócili i zobaczyli Mauvina Pickeringa w prostej, niebieskiej tunice. Niczym nie przypominał teraz wyelegantowanego lorda Galilinu. Przypominał raczej tego chłopaka, którego Hadrian zobaczył po raz pierwszy w Polach Drondila. Niósł w rękach dwa miecze, a przez plecy miał

przewieszane dwie okrągłe tarcze.

- Zobaczyłem was z murów i pomyślałem, że może będziecie chcieli je pożyczyć - wyjaśnił, podając miecz i tarczę Theronowi, który odebrał je niezdarnie.

- To zapasowe uzbrojenie moje i Fanena. Theron spojrzał na młodzieńca podejrzliwie, a następnie skierował wzrok na Fladriana.

- Śmiało - powiedział do niego złodziej, ścierając rękawem pot z czoła. - On ma rację. Powinieneś wiedzieć, jak to jest z prawdziwą bronią.

Theron nie umiał chwycić tarczy, więc Mauvin zaczął go instruować, pokazując, jak wsunąć przedramię za skórzane paski.

- Słuchaj, Hadrian, warto nauczyć go wkładania prawdziwej tarczy. Chyba że przewidujesz, iż przez cały czas będzie walczył! tylko z drzewami klonowymi. A tak przy okazji, gdzie masz swoje miecze?

Hadrian miał skonfundowaną minę.

- Zgubiłem.

- Czy przypadkiem nie nosisz ich tyłu, że wystarczyłoby dla pięciu chłopów?

- Miałem kiepski tydzień.

- A któż to taki? - spytał Mauvin, spoglądając na krasnoluda.

Złodziej już chciał wyjaśnić, ale się powstrzymał. Alric prawdopodobnie opowiedział Mauvinowi o krasnoludzie, który zamordował jego ojca.

- On? To nikt... ważny.

- W porządku... - Mauvin się roześmiał, uniósł rękę i pokiwał do krasnoluda. - Miło mi pana poznać, panie Nikt Ważny. - Następnie podszedł do studni i usiadł na cembrzynie, krzyżując ręce na piersiach. - Śmiało. Pokażcie, czego cię nauczył.

Hadrian i Theron wrócili do walki, ale wykonywali wolniejsze ruchy, ponieważ Theron był podenerwowany, trzymając w dłoni ostry miecz. Po jakimś czasie spojrzął

chmurnie na Mauvina.

- Dobrze sobie radzisz z bronią? Młodzieniec uniósł brew zaskoczony.

- O rany, czy nie zostaliśmy już sobie przedstawieni?

Nazywam się Mauvin Pickering. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

Theron zmrużył oczy, zerknął na Hadriana, który się nie odezwał, po czym znów zwrócił się do chłopaka:

- Pytałem, czy wiesz, jak się używa miecza, synu, a nie o twoje nazwisko.

-Aleja... Mniejsza z tym. Tak, szkoliłem się w tym.

- Ja spędziłem całe życie na gospodarstwach lub w wioskach niewiele większych od tej i nie miałem nigdy okazji widzieć ludzi walczących na miecze. Może

by mi pomogło, gdybym zobaczył na żywo to, co sam mam robić. No wiesz, wszystko jak się należy.

- Chcesz pokazu? Theron skinął głową.

- Nawet nie mam jak sprawdzić, czy Hadrian w ogóle wie, co robi.

- Dobrze - zgodził się Mauvin, zginając palce i rozluźniając ręce, kiedy szedł naprzód. Uśmiechał się promiennie, jakby Theron właśnie zaprosił go do jego ulubionej gry.

Utworzyły się dwie pary. Theron i Magnus usiedli na ziemi i obserwowali, jak Mauvin i Hadrian najpierw pokazują podstawowe ruchy, a potem demonstrują je z taką prędkością, z jaką wykonywane by były w prawdziwej walce. Hadrian objaśniał każdy manewr, a później komentował jego przebieg.

- Widzisz? Mauvin myślał, że zadam cię do środka w kierunku jego uda, i na chwilę opuścił gardę. Zrobił tak, bo zasugerowałem mu pochyleniem ramienia, że mam taki zamiar, więc zanim jeszcze zacząłem wykonywać swój cios, wiedziałem, co Mauvin robi, bo ja mu to narzuciłem.

Wiedziałem, co robi, jeszcze zanim zaczął to robić. W walce coś takiego bardzo się przydaje.

- Dość już lekcji - powiedział Mauvin wyraźnie poirytowany, że na jego osobie zobrazowano błąd w sztuce fechtunku. - Pokażmy mu prawdziwą walkę.

- Chcesz się odegrać? - spytał Hadrian.

- Ciekawi mnie, czy to był szczęśliwy traf. Hadrian uśmiechnął się i wymamrotał:

- Pickeringowie.

Zdjął koszulę, wytarł nią twarz i ręce, po czym rzucił ją na trawę i podniósł miecz do gotowej pozycji.

Mauvin zrobił wypad i nagle rozpoczęła się walka. Miecze przecinały ze świstem powietrze tak szybko, że ich ruchy wydawały się rozmazane. Hadrian i Mauvin wykonywali prawie taneczne kroki, opierając się na przednich częściach stóp i szurając nogami po ziemi tak energicznie, że w powietrze wzbijała się niewielka chmura kurzu sięgająca kolan.

- Na Mara! - wykrzyknął stary gospodarz. Wtem nagle się zatrzymali, dysząc z wysiłku. Mauvin patrzył na Hadriana zarówno ze zdumieniem, jak i rozdrażnieniem.

- Bawisz się ze mną.

- Myślałem, że o to właśnie chodzi. Chyba nie chcesz, żebym naprawdę cię zabił.

- No nie, ale... Jak to on powiedział...? Na Mara! Nie widziałem nigdy, żeby ktoś walczył tak jak ty. Jesteś niesamowity.

- Mnie się wydaje, że obaj jesteście niesamowici

- zauważył Theron. - Nie widziałem nigdy czegoś podobnego.

- Muszę się zgodzić - potwierdził ochoczo Magnus, który teraz stał i kiwał głową.

Hadrian podeszedł do studni i wylał na siebie pół wiadra wody, a następnie potrząsnął głową.

- Słowo daję, Hadrian, gdzie się tego nauczyłeś?

- spytał Mauvin.

- Od człowieka o nazwisku Danbury Blackwater.

- Blackwater? Czy to nie twoje nazwisko? Hadrian potwierdził skinieniem głowy i jego twarz przybrała melancholijny wyraz.

- To był mój ojciec. -Był?

- Zmarł.

- Był wojownikiem? Generałem?

- Kowalem.

- Kowalem? - powtórzył Mauvin z niedowierzaniem.

- W wiosce niewiele większej od tej. No wiesz, robił

podkowy, grabie i garnki.

- Chcesz mi powiedzieć, że kowal znał tajniki tesh-lorów?

Rozpoznałem ruchy tek'chin, których nauczył mnie ojciec. Co do pozostałych to mogę się tylko domyślać, że pochodziły z innych zapomnianych sztuk walki teshlorów.

Wszyscy patrzyli na Mauvina bez zrozumienia.

- Teshlorowie? - powtórzył Pickering i się rozejrzył, ale napotkał puste spojrzenia. Przewrócił oczami i westchnął. -

Poganie. Jestem wśród ciemnych pogan. Teshlorowie byli największymi rycerzami, jacy kiedykolwiek żyli.

Przybocznymi strażnikami imperatora. Podobno sam Novron nauczył ich pięciu sztuk walki. Tek'chin to tylko jedna z nich, a już znajomość tylko jej sprawiła, że dynastia Pickeringów przeszła do legendy. Twój ojciec najwyraźniej znał tek'chin, a najpewniej również pozostałe sztuki, które uważałem za zapomniane niemal tysiąc lat temu. I ty mi mówisz, że był

kowalem? Był prawdopodobnie największym wojownikiem swoich czasów. Nie wiesz, co twój ojciec robił, zanim się urodziłeś?

- Przyjmuję, że to samo co później.

- To gdzie się nauczył walczyć? Hadrian przez chwilę się zastanawiał.

- Myślałem, że w miejscowym oddziale wojska. Kilku ludzi z wioski służyło jego lordowskiej mości w charakterze zbrojnych. Zakładałem, że brał udział w kilku walkach. Z jego słów wynikało, że tak było.

- Czy kiedykolwiek go o to spytałeś?

Przerwał im tętent kopyt, gdy trzech jeźdźcy wjechali do wioski od strony grodu margrabiego. Wszyscy byli ubrani na czarno i czerwono, a na piersiach mieli symbol pękniętej korony. Prowadził ich wysoki, chudy mężczyzna z długimi czarnymi włosami i krótko przyciętą bródką.

- Doskonała sztuka fechtunku - odezwał się. Podjechał do Hadriana i ściągnął gwałtownie wodze.

Czarny ogier, przystrojony szkarłatno-czarnym czaprakiem z frędzlami i szkarłatnym nakryciem głowy z czarnym piórem wysokim na trzydzieści centymetrów, parsknął i tupnął.

- Zastanawiałem się, dlaczego syn hrabiego Pickeringa nie bierze dziś udziału w walce, ale widzę, że znalazłeś godniejszego partnera do ćwiczeń. Kimże jest ten wspaniały wojownik i dlaczego nie widziałem cię w grodzie?

- Nie przyjechałem tu rywalizować o koronę - odparł

Hadrian, wkładając koszulę.

- Doprawdy? Szkoda, bo z pewnością miałbyś duże szanse.

Jakie twe imię?

- Hadrian.

- Miło cię poznać, sir Hadrianie.

- Po prostu Hadrianie.

- Rozumiem. Mieszkasz tu, Po Prostu Hadrianie?

- Nie.

Jeździec wydawał się niezadowolony z szorstkiej odpowiedzi i spiął wierzchowca, żeby podjechać bliżej.

Hadrian odczytał to jako oznakę groźby. Poczł na twarzy gorący, wilgotny oddech zwierzęcia.

- To co tu robisz?

- Jestem przejazdem - odparł Hadrian zwykłym, uprzejmym tonem. Zdołał nawet zdobyć się na przyjazny uśmiech.

- Poważnie? Przejazdem przez Dahlgren? Na jakim szlaku leży Dahlgren, jeśli wolno spytać?

- Na każdym, zależnie od punktu widzenia, nie sądzisz?

Wszystkie drogi dokądś prowadzą, prawda?

- Miał już dość defensywy i przeszedł do słownego kontrataku: - Skąd to zainteresowanie?

- Jestem wartownik Luis Guy i odpowiadam za organizację konkursu. Muszę wiedzieć, czy wszyscy uczestnicy są wpisani na listę.

- Już powiedziałem, że nie przyjechałem tu na konkurs.

- Rzeczywiście - powiedział Guy i rozejrzał się powoli po pozostałych, zwracając szczególną uwagę na Magnusa. -

Powiedziałeś, że jesteś przejazdem, ale może twoi towarzysze chcą się zapisać?

Może to finta? Ale Hadrian postanowił sparować cios.

- Żaden z moich obu towarzyszy nie będzie chciał się znaleźć na tej liście.

- Żaden?

Hadrian zazgrzytał zębami. To była finta. Zbeształ się w myśli.

- A więc nie jesteś sam? - zauważył wartownik.

- Gdzie są pozostali?

- Nie mogę ci powiedzieć. -Nie?

Hadrian pokręcił głową - mniej słów, mniejsza szansa na popełnienie błędu.

- Naprawdę? To znaczy, że może w tej chwili zmywa ich wodospad, a ciebie to nie obchodzi?

- Tego nie powiedziałem - odparł Hadrian z poirytowaniem.

- Ale nie widzisz potrzeby, żeby wiedzieć, gdzie są?

- Są dorośli.

Wartownik znów się uśmiechnął.

- A kim oni są? Proszę, powiedz mi, żebym mógł się później o nich wypytać.

Hadrian zmrużył oczy, zbyt późno uświadamiając sobie własny błąd. Jego rozmówca był sprytny - bardzo sprytny.

- Ich nazwisk też zapomniałeś? - spytał Luis Guy, pochylając się w siodle.

- Nie. - Hadrian grał na czas, próbując coś wymyślić.

- Kim zatem są?

- Cóż - zaczął, żałując, że zamiast pożyczonego miecza nie ma własnych. - Jak już powiedziałem, nie

wiem, gdzie są obaj

- powiedział pewnym głosem. - Mauvin jest tutaj, oczywiście, ale nie mam pojęcia, gdzie się podział Fanen.

- Jesteś w błędzie. Pickeringowie przyjechali ze mną i resztą świty - zauważył Guy.

- Tak, przyjechali, ale planują wrócić do domu ze mną.

Oczy Guya się zwęziły.

- Mówisz, że przyjechałeś tu sam, jesteś - jak to określiłeś -

przejazdem i przez przypadek spiknąłeś się z Pickeringami?

Hadrian uśmiechnął się do wartownika. Był to słaby i niezręczny wybieg, który w szermierce odpowiadał

upuszczeniu miecza i przewróceniu przeciwnika na ziemię, ale tylko to mógł zrobić.

- To prawda, Pickering?

- Najprawdziwsza - odparł Mauvin bez wahania. Guy spojrzał znów na Hadriana.

- Jakie to wygodne dla ciebie - powiedział rozczarowany. -

Cóż, nie będę cię dłużej odwoził od ćwiczeń. Bywajcie, panowie.

Wszyscy obserwowali, jak trzej mężczyźni odjechali w stronę szlaku biegnącego do rzeki.

- Aż ciarki przechodziły po plecach - zauważył Mauvin, patrząc za nimi. - Gdy zainteresuje się tobą wartownik, nie wróży to nigdy nic dobrego, a już na pewno, gdy tym wartownikiem jest Luis Guy.

- Co to za jeden? - spytał Hadrian.

- Słyszałem tylko plotki. Jest ślepo wierny Kościołowi, ale wiem, że nawet w Kościele wielu się go boi. To jeden z tych, którzy potrafią załatwić zniknięcie królów. Krążą pogłoski, że ma obsesję na punkcie odnalezienia spadkobiercy Novrona.

- Czyż nie zależy na tym wszystkim seretom?

- Zgodnie z doktryną Kościoła - naturalnie. Ale on jest wyjątkowo zawzięty. Dlatego tu przyjechał.

- A ci dwaj, którzy z nim byli?

- To sereci, rycerze Nyphrona, osobista armia cieni wartownika. Nie odpowiadają przed żadnym królem ani narodem, tylko przed wartownikami i patriarchą. - Mauvin spojrzał na Hadriana. - Może lepiej zatrzymaj ten miecz. Bez swojej broni możesz wpaść w niezłe tarapaty.

*

Choć Royce zgasił latarnię na długo przed powrotem stwora, widział całkiem dobrze. Światło przesączało się przez ściany Avemparthy, jakby była wzniesiona z przydymionego szkła. Na zewnątrz wstał już dzień.

Co do tego miał pewność, gdyż kolor światła zmienił się z przyćmionego błękitu na łagodną biel.

Gdy weszło słońce, wewnątrz cytadeli zamieniło się w cudownie kolorowy, przepiękny świat. Szerokie łukowe sufity na wysokości kilkuset metrów dawały złudzenie, że człowiek znajduje się w miejscu, gdzie horyzont po prostu ginie we mgle, a nie w zamkniętym pomieszczeniu. Huk pobliskich katarakt, stonowany przez ściany wieży, był jedynie przytłumionym i bezsprzecznie działającym kojąco szumem.

Wysoko nad podłogą zawieszono pajęczynowate proporce, na których migotały symbole niezrozumiałe dla Royce'a.

Mogły to być sztandary królewskie, oznaczenia zasad prawa, wskazówki kierujące do poszczególnych sal lub nic nieznaczące dekoracje. Royce mógł jedynie stwierdzić, że nawet po tysiącu lat te misterne wzory wyglądają na świeże i żywe, jakby dłonie, które je stworzyły, nie należały do śmiertelnika. Jedyna elficka konstrukcja, do jakiej udało mu się dostać i która dawała mu wgląd w ten świat, sprawiała wrażenie dziwnie spokojnej. Nieruchoma i milcząca wieża była piękna. Choć nie przypominała niczego, co Royce dotychczas widział, jego rozum walczył z narastającym przeświadczeniem, że to wszystko już zna. Przechadzając się korytarzami, Royce czuł spokój. Kształty i cienie trącały struny w jego umyśle, których obecności nie był nigdy świadomy. Wszystko przemawiało do niego w niezrozumiałym dla niego języku. Wyłapywał jedynie słowa lub frazy w lawinie doznań zarówno intrygujących, jak i urzekających, gdy szedł bez celu niczym człowiek oślepiiony silnym światłem.

Błądził po komnatach, schodach i balkonach, nie wybierając świadomie kierunku. Po prostu szedł, przyglądał się, nasłuchiwał odgłosów. Dostrzegł z niepokojem, że po każdym jego kroku pozostawał wyraźny ślad na wielowiekowej warstwie zalegającego kurzu. Mimo to stwierdził z zafascynowaniem, że podłoga pod spodem jest błyszcząca i przejrzysta jak tafla niczym niezmaconej wody.

Czuł się jak w gabinecie osobliwości, zagubiony w utrwalonej tu chwili. Na stolach przed pustymi krzesłami, czasami przewróconymi w zamieszaniu i popłochu prawie tysiąc lat temu, wciąż stały talerze. Książki leżały otwarte na stronach, które ktoś czytał dziewięćset lat wcześniej, ale Royce wiedział, że nawet dla tamtej osoby to miejsce, ta wieża były prastare. Pomijając dramatyczną historię, Avempartha już z racji swojego wieku była dla elfów pomnikiem - świętą budowlą - ogniwem łączącym elfy ze starożytną erą. To nie była zwykła cytadela. Royce nie miał

pojęcia, skąd to wie, ale był przekonany, że Avempartha była czymś więcej.

Esrahaddon zostawił Royce'a prawie zaraz po wejściu do wieży, wskazawszy złodziejowi kierunek,

w jakim ma podążać. Był pewien, że Royce znajdzie poszukiwany miecz gdzieś nad wejściem, a sam poszedł gdzie indziej. Minęło wiele godzin od chwili, kiedy się rozdzielili, i na zewnątrz zaczynało się już ściemniać, a Royce jeszcze nie odnalazł

broni. Rozpraszały go widoki i zapachy, a także melodyjny dźwięk wiatru hulającego między szpicami wieży. Miał za dużo wrażeń do przetworzenia w tak krótkim czasie, zbyt wiele rzeczy do uporządkowania w głowie. I niebawem zagubił się w tym wszystkim.

Zaczął wracać tą samą drogą, którą przyszedł, gdy odkrył, że kręcił się w kółko. Już zaczynał się martwić, kiedy usłyszał nowy dźwięk - w przeciwieństwie do poprzednich niepokojący. Przypominał miarowe sapanie.

Odciski jego stóp znajdowały się przy wszystkich wyjściach oprócz jednego, które prowadziło do kolejnych schodów. Z

nich sapanie słyhać było jeszcze wyraźniej. Royce nie wiedział, na które piętro zaszedł, ale do tej pory nie natrafił na żadne miecze. Powoli i jak najciszej zaczął skradać się do góry.

Po wejściu zaledwie na piąty stopień zobaczył pierwszy miecz, który leżał pokryty warstwą kurzu obok jakiegoś szkieletu. Po ubraniu nieboszczyka nie było już śladu, ale zbroja pozostała. Na następnych schodach natknął się na kolejne zwłoki - zasadniczo dwa rodzaje ciał: ludzkie, z szerokimi i ciężkimi napierśnikami i nagołennikami, i elfickie, w delikatnych niebieskich zbrojach. To była ostatnia placówka, ostatnia linia obrony imperatora. Elfy i ludzie leżeli jedni na drugich.

Royce pochylił się i przesunął kciukiem po płaskiej powierzchni głównej części miecza. Po starciu kurzu ukazała się zdumiewająco lśniąca stal, która połyskiwała jak nowa, ale bez żadnego napisu. Royce spojrział do góry na schody i niechętnie przeszedł nad ciałami, kontynuując wspinaczkę.

Trafił na kolejne pomieszczenie. Wślizgnął się do niego cicho jak kot, gdyż sapanie było teraz głośniejsze i głębsze, przypominało odgłos wiatru przelatującego przez obszerną jaskinię. Komnata była okrągła i wychodziły z niej następne schody. Wszedł na nie i poczuł powiew i zapach świeżego powietrza. Przez wysokie, wąskie okna wpadały do środka smugi światła, ale Royce miał wrażenie, że gdzieś nad nim znajduje się znacznie większe okno.

W końcu znalazł rząd elfickich mieczy zawieszonych z namaszczeniem w ozdobnych gablotach na ścianie. Kącik ten oddzielony był od reszty komnaty delikatnym łańcuchem i wyglądał jak pomnik umieszczony na honorowym miejscu.

Przed rzędem gablot znajdował się piedestał z tabliczką, a kamienne ściany pokryto licznymi linijkami elfickiego pisma.

Royce znał w tym języku zaledwie kilka słów, a te, które widział przed sobą, zapisano tak ozdobnie, że nie potrafił

odczytać ani jednego wyrazu, choć udało mu się rozpoznać kilka liter.

W gablotach było kilkadziesiąt mieczy. Wszystkie wydawały się identyczne i bez ich dotykania

Royce dostrzegł

napisy wyryte na klingach oraz karby wyżłobione w metalu.

Jedno miejsce pozostawało puste.

Z bezgłośnym westchnieniem podjął wspinaczkę. Po każdym kroku czuł coraz świeższe powietrze, którego podmuchy przeganiały kurz do szczelin i kątów. Po obu stronach stopni znajdowały się kolejne otwory i korytarze, ale Royce - wiedziony przecuciem - kontynuował wspinaczkę w kierunku, z którego dochodziło sapanie.

Wreszcie dotarł do końca schodów i spojrzał w górę na otwarte niebo. Przed sobą miał kolisty balkon z rzeźbionymi ścianami przypominającymi kształtem płatki kwiatu. Posągi, które kiedyś okalały ten odsłonięty pawilon, leżały teraz na podłodze, zamienione w gruz. Na środku spoczywała złowroga postać gilarabrywna, olbrzymiego, czarnego, pokrytego łuskami jaszczura ze skrzydłami utworzonymi przez szarą membranę rozpiętą na kościach. Stwór spał

zwinięty w kłębek, z głową wspartą na ogonie, a jego cielsko unosiło się w rytmie głębokich, długich oddechów. Każdą z muskularnych nóg miał uzbrojoną w cztery czarne szpony o długości trzydziestu centymetrów. Oblepione zaschniętą krwią pazury wyryły głębokie rowki na podłodze w miejscach, gdzie bestia drapała nimi podczas snu. Spod skórzastych warg wystawały długie ostre kły, jak również rząd przerażających zębów, które rosły w różne strony, przypominając dziki płot sklecony z zaostrzonych palików.

Uszy bestii leżały płasko przy głowie, natomiast jej oczy zasłaniały szerokie powieki, pod którymi drżały źrenice.

Podobnie jego długi ogon zakończony kością w kształcie kolca. Royce nie potrafił sobie nawet wyobrazić ponurych snów stwora.

Przyłapał się na tym, że gapi się na bestię, i przeklął własną głupotę. Z pewnością był to niecodzienny widok, ale nie miał

teraz czasu na takie rzeczy. Mógł uniknąć śmierci tylko dzięki maksymalnemu skupieniu na swoim zadaniu.

Zawsze nie cierpiał zadań związanych ze zwierzętami.

Ogary na przykład szczekały przy najcichszym dźwięku lub najlżejszym zapachu. I choć Royce'owi udało się przejść obok niejednego śpiącego psa, to zdarzyło mu się też napotkać kilka, które rzuciły się na niego bez ostrzeżenia. Wziął się więc w garść i oderwał wzrok od olbrzyma, żeby zlustrować pozostałą część pawilonu. Panował tu okropny rozgardiasz -

walały się porozbijane sprzęty i wszędzie zalegał gruz. Po dokładniejszych oględzinach jednak Royce stwierdził, że pod gruzem kryją się straszliwe trofea. Rozpoznał postrzępiony, poznaczony ciemnymi plamami strój Mae Drundel. W fałdach sukni zaplątał się kawałek skóry głowy i długi

kosmyk siwych włosów. Wokół leżały też ramiona, stopy, palce, ręce... -

wszystkie odrzucone na bok jak ogony krewetek. Dostrzegł

Millie,

siwą klacz Hadriana, a raczej jedną z jej tylnych nóg i ogon.

Ze zdumieniem zobaczył w pobliżu jej siodło i miecze. Na szczęście mógł po nie łatwo sięgnąć.

Gdy zaczął obchodzić stos, przesuając się powoli jak polująca modliszka, coś przyciągnęło jego wzrok. Ciała i podarte rzeczy leżały na stosie kości i kamieni, ale głęboko pod spodem dostrzegł pojedynczy błysk stali - mały kawałek, nie większy od monety, za którą Royce go początkowo wziął, ale jego blasku nie można było z niczym pomylić. Lśnił tak samo jak miecze na schodach i w gablotach.

Prawie nie oddychając i postępując tak wolno, że jego ruchu nie dostrzegłby nawet ktoś bezpośrednio go obserwujący, Royce podkraść się do bestii i jej ohydneho skarbcza. Wsunął

rękę pod włosie ogona Millie i zaczął skrupulatnie wyciągać klingę.

Wyjął ją bez wysiłku i hałasu, ale jeszcze zanim wysunął ją całkowicie, wiedział już, że miecz jest za lekki. Nawet jeśli wzięło się pod uwagę, kto go wykonał. Niebawem odkrył, dlaczego tak jest. Okazało się, że ma w ręku tylko część złamanej broni. Gdy zobaczył na niej wryty napis, stwierdził, że przecucie go nie zawiodło, że ten gilarabrywn nie był

zwierzęciem, nie był tępą bestią wyćwiczoną do zabijania.

Ten wyczarowany demon miał samoświadomość i wiedział, że na tym świecie musi się śmiertelnie bać tylko jednej rzeczy

- klingi z własnym imieniem. Przedsięwziął więc środki ostrożności. Złamał głównię, przez co jego imię zostało podzielone, a miecz stał się bezużyteczny. Royce nie widział

drugiej jego polowy, ale wydawało mu się oczywiste, gdzie ją znajdzie. Spoczywała w jedynym miejscu, z którego Royce nie mógł jej wykraść - pod cielskiem śpiącego gilarabrywna.

Rozdział 11

Gilarabrywn

Zapadał zmierzch, kiedy Royce z trzema mieczami zawieszonymi na ramieniu odnalazł Hadriana i Magnusa, którzy czekali przy studni. Wioska wyglądała na opustoszałą.

Jej mieszkańcy pochowali się w swoich chatynkach i noc była spokojna, z wyjątkiem słabych odgłosów krzątania dochodzących z grodu.

- Najwyższa pora - odezwał się Hadrian, zrywając się na nogi na widok Royce'a.

- Twój ekwipunek. - Royce podał mu broń. - Następnym razem uważaj, gdzie go trzymasz. Mam ważniejsze rzeczy do roboty od lokajowania ci.

Hadrian z radością wziął miecze z pasami i zaczął je sobie przypinać.

- Zaczynałem się martwić, że dopadł cię Kościół.

- Kościół? - spytał Royce.

- Nachodził mnie dziś Luis Guy.

- Wartownik?

- Tak. Pytał o moich współników, a potem pojechał w kierunku rzeki i nie widziałem, żeby wracał. Odniosłem wrażenie, że szuka Esry. A tak w ogóle, to gdzie on jest?

Zostawiłeś go przy rzece?

- Nie wstąpił tu w drodze powrotnej? - spytał Royce.

Pokręcili głowami.

- To nic nie znaczy. Byłby głupi, gdyby tu wrócił. Pewnie ukrywa się między drzewami.

- Przy założeniu, że nie porwała go rzeka - zauważył

Hadrian. - Czemu go zostawiłeś?

- To on mnie zostawił, dając wyraźnie do zrozumienia, że bym za nim nie szedł. W normalnych okolicznościach zrobiłbym dokładnie odwrotnie, ale miałem na głowie inne sprawy. Zanim się obejrzałem, zaczęło się ściemniać.

Myślałem, że już wyszedł.

- Znalazłeś coś cennego w środku? Kamienie szlachetne?

Złoto?

Royce nagle poczuł się głupio.

- Wiesz, nawet nie przyszło mi do głowy, żeby sprawdzić.

- Żartujesz?

- Kompletnie o tym zapomniałem.

- To co tam robiłeś przez cały dzień?

Royce wyjął zza pasa połowę klingi, która lśniła nawet w słabym świetle.

- Pozostałe miecze były w gablotach, a ten znalazłem zakopany prawie bezpośrednio pod stopą gilara-brywna.

- Stopą? - spytał oszołomiony Hadrian. - Widziałeś go?

Royce skinął głową, krzywiąc się. -1 wierz mi, nie chciałbyś go zobaczyć ani na trzeźwo, ani po pijanemu.

- Myślisz, że to on złamał ostrze?

- Zastanawiające, prawda?

- Gdzie druga część?

- Domyślam się, że na niej śpi, ale nie miałem ochoty odwracać go na plecy, żeby to sprawdzić.

- Dziwię się, że nie zaczekałeś, aż odleci.

- Skoro nasza klientka rano wyjeżdża, to po co? Gdyby sprawa była łatwa, gdybym widział tę drugą połowę i nie musiałbym się do niej godzinami dokopywać, to... cóż, czemu nie, ale nie zaryzykuję życia z powodu osobistej wojny Esry z Kościołem. Zresztą przypomnij sobie ogary w zamku Blythinów.

Hadrian skinął głową ze zde gustowaną miną.

- Jeżeli wyczuwa zapachy, nie chciałem być w pobliżu, gdy się obudzi. Moim zdaniem Thrace odzyskała ojca, Esra -

dostęp do wieży, a Rufus uwolni wioskę od gilarabrywna.

Nasza praca jest skończona. - Royce spojrział na krasnoluda, a potem znów na Hadriana. - Dzięki, że go przypilnowałeś. -

Wyjął sztylet.

- Chwileczkę! - Krasnolud szybko się cofnął, gdy Royce ruszył w jego kierunku. - Mieliśmy umowę!

Royce wyszczerzył do niego zęby w uśmiechu.

- Naprawdę wyglądam na godnego zaufania?

- Royce, nie możesz - powiedział Hadrian. Złodziej spojrzał

na współnika i zachichotał.

- Żartujesz? Tylko spójrz na niego, jeśli nie zdołam poderżnąć mu gardła w dziesięć sekund, to postawię ci piwo zaraz po powrocie do Albumu. Powiedz, kiedy będziesz gotowy do odliczania.

- Nie, on ma rację. Zawarłeś z nim układ. Nie możesz się z niego wycofać.

- No nie. Ten mały... karzeł... próbował mnie zabić i prawie mu się udało, a ty chcesz, żebym go puścił, bo się na to zgodziłem? Za to, że nam pomógł, żył cały jeden dzień dłużej.

To sowita nagroda.

- Royce!!!

- No co?! - Złodziej przewrócił oczami. - Chyba nie mówisz poważnie. Przecież zabił Amratha.

- To było zlecenie, a ty nie jesteś członkiem straży królewskiej. Wypełnił swoje zobowiązanie zgodnie z umową.

Poza tym zabicie go nikomu nie przyniesie żadnych korzyści.

-Ale za to przyjemność - odpowiedział Royce - i zadowolenie.

Hadrian wciąż piorunował go wzrokiem. Royce pokręcił

głową i westchnął.

- W porządku, może żyć. To głupie, ale może żyć.

Zadowolony?

Spojrzał teraz na wielki kopiec, na którym stał gród. Już zaczęli się tam zbierać uczestnicy konkursu z pochodniami.

- Już prawie ciemno. Musimy wejść do środka. Skąd jest najlepszy widok na to urządzone w grodzie przedstawienie połączone z konsumpcją? Najlepszy i gwarantujący bezpieczeństwo.

- Wciąż możemy skorzystać z zaproszenia do Bothwicków.

Theron tam teraz jest...

Nocne powietrze rozdarł skrzek dochodzący od strony rzeki.

- W imię ducha Novrona, cóż to takiego? - spytał Magnus.

- Nie wydaje ci się, że skrzydlaty jaszczur odkrył kradzież swojej zabawki? - spytał Hadrian z obawą.

Royce spojrział na drzewa, a potem znów na przyjaciela.

- Lepiej znajdziemy sobie dziś lepszą kryjówkę od domu Bothwicków.

- Gdzie? - spytał Hadrian, rozglądając się rozpaczliwie dokoła. - Jeżeli przyleciał poszukać klingi, rozwali wszystkie domy, dopóki jej nie znajdzie, a już wiemy, że tutejsze budownictwo nie stanie mu na przeszkodzie. Zabije wszystkich w wiosce.

- Moglibyśmy wysiać wszystkich do grodu, może jeszcze zdążymy - zaproponował Royce.

- Nic z tego - zaproponował Hadrian. - Nie wpuszczą nas strażnicy. Może do lasu?

- Drzewa go tylko spowalniają, nie powstrzymają go bardziej niż domy.

- Psiakrew - zaklął Hadrian. - Powiniennem wykopać dół w wiosce.

- A co ze studnią? - spytał krasnolud, zaglądając do otworu okolonego drewnem.

Royce i Hadrian spojrzeli po sobie.

- Ale mi teraz głupio - powiedział Royce. Hadrian podbiegł

do dzwonu, chwycił zwisającą

linę i zaczął ją ciągnąć. Przeznaczony dla przyszłego kościoła Dahlgrenu dzwon wszczął alarm.

- Teraz ty! - krzyknął do Magnusa i wraz z Royce'em ruszył

do domów, by wywołać z nich mieszkańców.

- Wszyscy wychodzić! - wrzeszczeli. - Dziś domy was nie ochronią! Wchodźcie do studni. W tej chwili do studni!

- Co się dzieje? - spytał Russell Bothwick, spoglądając ze środka w mrok.

- Nie ma czasu na wyjaśnienia! - krzyknął Hadrian. - Jeśli chcesz przeżyć, wskakuj do studni!

- A co z Kościołem? Ma nas wybawić - zauważyła Selen Brockton, owijając się kocem w wejściu do swojej chaty.

- Chcesz postawić na to swoje życie? Wszyscy musicie mi zaufać. Jeśli się mylę, spędzicie jedną noc w niewygodzie, ale jeśli mam rację, a wy nie posłuchacie, wszyscy zginiecie.

- To mi wystarczy - oświadczył Theron i wypadł z domu Bithwicków, zapinając koszulę.

Jego ogromna postura i głośny, szorstki głos przyciągnęły uwagę wszystkich.

- I lepiej, żeby wam też wystarczyło. W ostatnich kilku dniach Hadrian zrobił dla uratowania tej wioski przed zagładą więcej niż my wszyscy - i oni wszyscy - razem wzięci. Jeśli mówi, żeby dziś spać w studni, to, na brodę Maribora, ja tak uczynię! Nawet gdyby ogłoszono, że bestia nie żyje. A każdy z was, kto postąpi inaczej, zasługuje na to, żeby bestia go pożarła.

Mieszkańcy Dahlgrenu bez dalszych wahań pobiegli do studni.

Na linie zawiązano pętle, aby zapewnić oparcie dla nóg, i choć szerokość cembrzyny umożliwia opuszczanie czterech lub nawet pięciu osób naraz, z uwagi na brak zaufania do wytrzymałości kołowrotu opuszczano ludzi tylko dwójkami lub trójkami w zależności od ich ciężaru.

Choć wszyscy ruszali się żwawo i byli zdyscyplinowani, cała operacja przebiegała niemiłosiernie wolno. Magnus zgłosił się na ochotnika do wbijania kołków w ściany, aby zapewnić dodatkowe oparcia dla nóg. Hal, Arvid i Pearl byli za mali, żeby zejść do środka w pierwszej kolejności, toteż pobiegli do wioski po kolejne kawałki drewna, które krasnolud mógłby wykorzystać. Tad Bothwick pomagał mu, podając kliny.

- No, no, no, proszę pana - słychać było jego głos ze studni.

- Jeszcze nie widziałem, żeby ktoś tak się posługiwał

młotkiem. Na zbudowanie tych ścian potrzeba było sześciu tygodni, a jak pragnę zdrowia, pan mógłby je chyba zrobić w sześć godzin.

Hadrian, Theron, Vince i Dillon opuszczali ludzi do środka.

Hadrian ustawia! ich, wysyłając najpierw kobiety i dzieci.

Ciemność na dole rozpraszała tylko jedna świeczka, którą Tad przyświecał Magnusowi.

- Ile mamy jeszcze czasu? - spytał Hadrian, kiedy czekali, żeby opuścić kolejną grupkę.

- Już by tu był, gdyby wyruszył w chwili, gdy go usłyszeliśmy - odparł Royce. - Musi przeszukiwać wieżę. - To nam daje trochę czasu, ale nie wiem ile.

- Wejdz na drzewo i krzyknij, kiedy go zobaczysz. Gdy wszyscy znaleźli się w studni, Hadrian opuścił

Therona i Dillona. Na górze pozostali jedynie Hadrian, Vince i Royce, którzy czekali, aż Magnus wbije ostatni komplet kołków. Royce stał na cienkiej gałęzi topoli i omiatał

wzrokiem niebo, słuchając jednocześnie uderzeń krasnoluda.

- Leci! - krzyknął, dostrzegając cień przesuwający się na tle gwiazd.

Po kilku sekundach gilarabrywn wrzasnął gdzieś nad ciemnym baldachimem liści i cała trójka się skuliła, ale nic się nie wydarzyło. Stali nieruchomo i wpatrywali się w otaczający ich mrok, nasłuchując. Kolejny krzyk rozdarł

nocne powietrze. Stwór poleciał wprost do pochodni we dworze. Royce dostrzegł go na nocnym niebie, jak frunie nad wzgórzem, gdzie następny pretendent do korony przygotował

się na jego spotkanie. Stwór zniżył lot, a potem znów się wznosił. Wydał z siebie kolejny pisk, a następnie ryk, i plunął

ogniem. W jednej chwili wszystko pojaśniało, gdy zбочe ogarnęły płomienie.

- To coś nowego - oznajmił Hadrian podenerwowany, obserwując przerażający widok.

Tłum pretendentów postradał życie i nikt nawet nie zdążył

krzyknąć.

- Magnus, szybko!

- Wszystko gotowe! Schodź! - zawołał krasnolud.

- Czeka! - powstrzymał go Tad. - Gdzie jest Pearl?

- Szuka drewna - odparł Vince. - Pójdę po nią. Hadrian chwycił go za ramię.

- To zbyt niebezpieczne. Wejź do studni. Royce pójdzie.

- Tak? - zdziwił się wspólnik Hadriana.

- Czasami paskudnie być jedyną osobą, która widzi w ciemności, prawda?

Royce zaklął i puścił się biegiem, przystając przy domach i szopach, żeby zawołać dziewczynkę po imieniu na tyle głośno, na ile tylko się odważył. Zaczął się łatwiej orientować w terenie, kiedy płomienie na wzgórzu się rozprzestrzeniły.

Gilarabrywn co chwilę pokrzykiwał i kiedy Royce spojrział

przez ramię, zobaczył, że mury grodu płoną.

- Royce! - krzyknął Hadrian. - Nadlatuje! Royce zrezygnował z ostrożności.

- Pearl!!! - wrzasnął.

- Tutaj! - zawołała dziewczynka, wyskakując spomiędzy drzew.

Porwał ją w ramiona i pognął do studni.

- Biegnij, do cholery! - krzyknął Hadrian, przytrzymując dla nich linę.

- Zapomnij o linie. Złóż i łap ją.

Podczas gdy Royce pędził przez polanę, Hadrian już zsuwał się na dół.

Frr. Frr. Frr - usłyszeli

Royce mocno przycisnął Pearl do piersi i skoczył.

Dziewczynka krzyknęła, kiedy razem spadali. Po chwili rozległ się nie ludzki wrzask i ziemia zadrżała, gdy świat nad studnią buchnął jaskrawym

plomieniem przy akompaniamencie ogłuszającego ryku.

*

Arista chodziła po małym pokoju, boleśnie świadoma obecności Bernice, która obracała głowę, śledząc każdy jej ruch. Stara kobieta jak zawsze uśmiechała się do niej i Arista miała ochotę wyłupić jej oczy. Była przyzwyczajona do swojej wieży, gdzie nawet Hilfred zostawiał jej swobodę, a od ponad tygodnia musiała stale znosić towarzystwo Bernice, która nigdy nie odstępowała jej nawet na chwilę. Musiała wyjść z tego pokoju, wydostać się na zewnątrz. Miała już dość tej obserwacji, pilnowania jak dziecko. Podeszła do drzwi.

- Dokąd idziesz, Wasza Wysokość? - spytała Bernice niezwłocznie.

- Wychodzę - odparła.

- Dokąd?

- Na zewnątrz. Bernice wstała.

- Wezmę płaszcz.

- Idę sama.

- O nie, Wasza Wysokość - zaproponowała służąca. - To nie jest możliwe.

Arista spiorunowała ją wzrokiem. Bernice odwzajemniła jej się uśmiechem.

- Wyobraź sobie, Bernice, że siadasz z powrotem na krześle, a ja wychodzę. To jest możliwe.

- Aleja nie mogę na to pozwolić. Jesteś księżniczką, a to miejsce jest niebezpieczne. Nie możesz więc nigdzie chodzić bez opiekunki. Będziemy potrzebowały także towarzystwa Hilfreda. Hilfredzie!

- zawołała.

Otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł strażnik przyboczny, kłaniając się przed Aristą.

- Potrzebujesz czegoś, Wasza Wysokość?

- Nie... Tak - odrzekła Arista i wskazała na Bernice. -

Zatrzymaj ją tutaj. Usiądź jej na kolanach, zwiąż ją lub wyceluj w nią ostrze miecza, jeśli będziesz musiał, aleja wychodzę i nie chcę, żeby za mną szła.

Stara służąca przyłożyła dłonie do policzków w geście zdziwienia.

- Wychodzisz, Wasza Wysokość? - spytał Hilfred.

- Tak, wychodzę! - wykrzyknęła, podnosząc gwałtownie ręce. - Mogę przespacerować się korytarzami tego dworku.

Mogę pójść obejrzeć konkurs. Ba, mogłabym nawet wyjść poza palisadę i przejść się do lasu. Mogę przy tym zabłądzić i umrzeć z głodu, może mnie pożreć niedźwiedź, mogę wpaść do Nidwaldenu i zginąć w wodospadzie - ale zrobię to sama.

Hilfred stał na baczność, patrząc księżniczce w oczy.

Otworzył usta, po czym je zamknął.

- Chcesz coś powiedzieć? - spytała ostrym tonem. Przełknął

ślinę.

- Nie, Wasza Wysokość.

- Przynajmniej weź płaszcz - nalegała Bernice, podając podopiecznej okrycie.

Arista westchnęła, gwałtownym ruchem wzięła płaszcz z rąk służącej i wyszła.

I zaraz za drzwiami poczuła wyrzuty sumienia. Wyraz twarzy Hilfreda sprawił, że zrobiło jej się głupio.

Przypomniała sobie, jak w dzieciństwie pod-kochiwała się w nim. Był synem zamkowego funkcjonariusza i zwykł gapić się na nią z drugiej strony dziedzińca. Arista uważała, że jest przystojny, a potem któregoś ranka obudziła się w płomieniach i kłębach

dymu i on uratował jej życie. Był jeszcze chłopcem, ale odważnie wbiegł do płonącego zamku, żeby ją wydostać.

Przez dwa miesiące cierpiał od bolesnych oparzeń i pluł

krwią. Przez wiele tygodni budził się z krzykiem z powodu koszmarów. W nagrodę król Amrath przydzielił mu prestiżową funkcję strażnika przybocznego księżniczki, ale ona nigdy mu nie podziękowała ani nie wybaczyła, że nie uratował jej matki. Zawsze dzielił ich jej gniew. I nawet gdyby teraz miała go przeprosić, niewiele by to dało. Minęło zbyt dużo czasu, zdarzyło się zbyt wiele strasznych sytuacji, po których zbyt często zapadała cisza taka jak ta sprzed kilku minut.

- Co się dzieje? - usłyszała głos Thrace i poszła w kierunku, z którego doszedł.

- Co się stało, Thrace?

Księżniczka znalazła córkę gospodarza i diakona w głównym holu. Dziewczyna miała na sobie cienką koszulę nocną. Oboje mieli zaniepokojone miny.

- Wasza Wysokość! - zawołała do niej dziewczyna. - Czy wiesz; co się dzieje? Dlaczego bito w dzwon?

- Wkrótce rozpoczyna się konkurs, jeśli to masz na myśli.

Właśnie szłam, żeby go obejrzeć. Już ci lepiej? Chciałabyś pójść ze mną? - spytała.

Zdawała sobie sprawę z ironii sytuacji, ale przebywania w towarzystwie Thrace nie można było przyrównywać do obecności Bernice i Hilfreda.

- Nie, nie rozumiesz. Coś musiało się stać. Jest ciemno. Nikt by nie dzwonił w nocy.

- Nie słyszałam żadnego dzwonu - powiedziała Arista, wkładając płaszcz na ramiona.

- Dzwon przy studni - wyjaśniła Thrace. - Słyszałam go.

Teraz już zamilkł.

- Prawdopodobnie ogłaszano nim początek walki.

- Nie. - Thrace pokręciła głową i diakon zrobił to samo. - W

ten dzwon bije się tylko w nagłych okropnych sytuacjach.

Wydarzyło się coś strasznego.

- Jestem pewna, że to nic takiego. Nie zapominaj, że w pobliżu jest armia, która tylko czeka na okazję do walki. W

każdym razie nie dowiemy się niczego, stojąc tutaj -

oznajmiła Arista, chwyciła Thrace za rękę i wyprowadziła ich na zewnątrz.

Drugiego wieczoru impreza odznaczała się rozmachem.

Trawiasty dziedziniec na wzgórzu urządzono jak pawilon na turnieju rycerskim. Rozciągał się stąd doskonały widok na pole poniżej. Pod kolorowymi markizami stały rzędy krzeseł i małe stoliki z kufkami miodu pitnego i piwa oraz półmiskami z jagodami i serem. Arcybiskup i biskup Saldur siedzieli razem blisko środka, natomiast kilku innych duchownych i służący obserwowało na stojąco wydarzenia rozgrywające się w oddali.

- Aristo, moja droga! - zawołał do niej Saldur. - Przyszłaś zobaczyć na własne oczy, jak się tworzy historia? Dobrze.

Usiądź. Tam na polu jest lord Rufus. Chyba zmęczyło go czekanie na koronę, ale dziś bestia się nie śpieszy i przypuszczam, że to trochę drażni jego lordowską mość.

Widzisz, jak ćwiczy swojego ogiera w chodzie?

Niecierpliwość to taka typowa cecha imperatora.

- Czyja jest kolej po Rufusie? - spytała Arista, spoglądając na pole.

- Po? - Saldur wyglądał na zaskoczonego. - Nie jestem pewien. Myślę, że to nie ma większego znaczenia. Rufus prawdopodobnie dziś zwycięży.

- A to dlaczego? - zdziwiła się księżniczka. - To nie kwestia umiejętności, tylko pochodzenia, prawda? Czy lord Rufus jest spokrewniony z rodziną imperialną?

- Prawdę mówiąc, od lat twierdzi, że tak.

- Naprawdę? - zdziwiła się Arista. - Nigdy nie słyszałam, żeby się tym przechwalał.

- Kościół nie lubi rozpowszechniać niesprawdzonych teorii ani niepotwierdzonych roszczeń, ale Rufus rzeczywiście jest faworytem. Dziś tego dowiedzie, oczywiście.

- Przepraszam, Wasza Ekscelencjo - odezwał się Tomas i schylił w ukłonie. Razem z Thrace stał za Aristą i oboje wciąż wyglądali na przejętych. - Czy może wiesz, dlaczego bito w dzwon?

- Hm? Co takiego? Dzwon? Aha, nie mam pojęcia. Może to jakiś osobliwy sposób mieszkańców wioski na ogłoszenie kolacji.

-Ale, Wasza Ekscelencjo... - Tomas nie zdążył dokończyć.

- Jest! - wykrzyknął Saldur, wskazując na niebo, gdy gilarabrywn się pojawił i runął w stronę światła pochodni. -

Zaczyna się! - zawołał z podnieceniem, klaszcząc w dłonie. -

Patrzcie uważnie na to, co się wydarzy, bo wielu będzie pytać, jak do tego doszło.

Bestia zlatywała ku ziemi i lord Rufus pokłusował w jej stronę na koniu, któremu wcześniej

przezornie zasłonił oczy płóciennym workiem, żeby zwierzę nie widziało rozgrywającego się horroru. Z wysoko uniesionym mieczem wydał okrzyk i spał wierzchowca.

- W imię Novrona ja... prawdziwy spadkobierca... zabijam cię.

Staął w strzemionach i natarł na bestię, która wydawała się zaskoczona śmiałością i pewnością siebie rycerza.

Uderzył stwora w klatkę piersiową, ale miecz odbił się od niej, nie wyrządzając bestii żadnej krzywdy.

Zadawał cios za ciosem, lecz przypominało to walenie kamienia kijem. Lord wyglądał na skonfundowanego. A po chwili gilarabrywn machnął od niechcenia nogą, zabijając na miejscu i jego, i jego konia.

- Dobry Mariborze! - wykrzyknął wstrząśnięty arcybiskup, zrywając się na nogi.

Po chwili jednak szok przemienił się w grozę, gdy bestia rozpostarła skrzydła i wznosząc się, skąpała zbocze w ogniu.

Zebrani na dziedzińcu ludzie cofnęli się, rozlewając napoje i przewracając krzesła. Jedna z podpórek pawilonu została wyrwana z ziemi i płócienny dach opadł, kiedy ludzie zaczęli biegać w różnych kierunkach.

Teraz bestia zwróciła się w stronę zamku i wlatując jeszcze wyżej, znów zionęła ogniem, który zapalił drewnianą palisadę. Ogień przechodził z jednego suchego pala na drugi, aż ogarnął wszystkie mury otaczające gród. Wkrótce płonęły kryte strzechą budynki w pobliżu murów, a chwilę później całe podgrodzie, a nawet mury okalające dwór.

Wszechobecne płomienie uniemożliwiały dostrzeżenie gilarabrywna. Nie widząc więc, gdzie jest to latające uosobienie koszmaru, i odczuwając coraz dotkliwiej narastające gorąco, służący, strażnicy i duchowni rozpierzchli się przerażeni.

- Musimy się dostać do piwnicy! - krzyknął Tomas, ale niewielu go usłyszało wśród wrzasków i huku ognia trawiącego drewno.

Diakon chwycił Thrace za rękę i zaczął ją ciągnąć w stronę dworu. Dziewczyna wolną dłonią złapała Aristę za ramię i Tomas zaczął prowadzić je obie na wzniesienie.

Przerażona Arista nie stawiała oporu, gdy odciągali ją z dziedzińca. Nigdy w życiu nie przeżyła niczego podobnego. Zobaczyła płonącego człowieka, który z krzykiem zbiegał po zboczu, młócąc rękami powietrze, gdy ogień szybko ogarniał całe jego ciało. Po chwili upadł na ziemię, dogorywając. Było tam więcej żywych pochodni -

nieszczęśnicy biegali na oślep po dziedzińcu, roztaczając upiorny blask i padając na trawę jeden po drugim. Arista instynktownie rozejrzała się za Hilfredem, ale pomimo otumanienia przypomniła sobie, że kazała mu zostać na straży w swoim pokoiku. Teraz strażnik na pewno jej szukał.

Thrace ścisnęła mocno jej ramię, kiedy we trójkę posuwali się naprzód, tworząc ludzki łańcuch. Po lewej stronie zobaczyła żołnierza usiłującego zrobić wyłom w murze. Po chwili zaczął się palić i dołączył do tłumu żywych pochodni, krzycząc, gdy ogień trawił mu ubranie i skórę. Gdzieś niedaleko, gdzie płomienie dotarły do lasu, pień drzewa eksplodował z ogłuszającym trzaskiem i zadrżała ziemia!

- Musimy zejść do piwnicy - nalegał Tomas. - Szybko!

Naszą jedyną nadzieją jest zejście pod ziemię. Musimy...

Arista poczuła, jak włosy jej powiewają pod wpływem nagłego podmuchu powietrza. *Frr. Frr.*

Diakon Tomas zaczął się modlić na głos, gdy z zasnutego dymem nieba runął na nich gilarabrywn.

Rozdział 1 2

Popiół i dym

Gdy Hadrian wyszedł ze studni, w szarym świetle poranka ujrzał obcy świat. Wioska Dahlgren zniknęła. Po domach zostały jedynie kupki popiołu i pojedyncze tłące się belki, ale jeszcze bardziej zaskakiwał brak drzew. Zniknął las, z którym osada graniczyła. Zastąpiła go spustoszona, spalona na czarno równina. Gdzieś tam stały pnie bez gałęzi i liści - wysokie, ciemne kikuty skierowane w niebo. Z tłących się pozostałości unosił się dym, który wisiał w powietrzu jak matowoszara mgła. Z mętnej chmury przesłaniającej niebo spadał

bezglśnie popiół niczym brudny śnieg zaścielający ziemię.

Ze studni wyszła Pearl. Zobaczywszy spalony świat, nic nie mówiła, co wcale nie zdziwiło Hadriana. W pewnym momencie pochyliła się i odwróciła kawałek zwęglonego drewna, a potem spozjrzała do góry jakby zdziwiona, że niebo wciąż jest na swoim miejscu.

- Jak to się stało? - zapytał Russell Bothwick, ale nikt nie czuł się na siłach, by mu odpowiedzieć.

- Thrace! - krzyknął Theron, gdy się wynurzył ze studni.

Niebawem wszyscy wbiegali po zboczu.

Tak jak wioska gród przypominał wypaloną łuskę. Zniknęły mury i mniejsze budynki. Wielki dwór przemienił się w zwęglony stos. Wszędzie leżały rozrzucone ciała, spalone, poszarpane i poskręcane. Nad nimi wciąż unosił się dym.

- Thrace! - krzyknął Theron w rozpacz, kopiąc zaciekle w stosie gruzu, który kiedyś był dworem.

Wszyscy mieszkańcy wioski, Royce i Hadrian, a nawet Magnus rozgarniali rumowisko bardziej ze współczucia niż z nadzieją, że odnajdą żywą córkę Wooda.

Magnus zaprowadził ich do południowo-wschodniego narożnika, mamrocząc coś o ziemi mówiącej

głuchym głosem. Odsunęli na bok fragmenty murów i schodów, które się zapadły, i usłyszeli słaby odgłos pod spodem. Zaczęli kopać i dotarli do pozostałości po starej kuchni i piwnicy pod nią.

Wyciągnęli stamtąd - jakby z samego grobu - diakona Tomasa, który wyglądał na potłuczonego, ale poza tym nie miał żadnych obrażeń. Tak jak wcześniej oni duchowny przetarł oczy i zmrużył je w porannym świetle, spoglądając na pożogę.

- Diakonie! - Theron potrząsnął duchownym. - Gdzie jest Thrace?

Tomas spojrział na gospodarza i do oczu napłynęły mu łzy.

- Nie mogłem jej uratować, Theronie - powiedział

zdławionym głosem. - Usiłowałem, próbowałem z całych sił.

Musisz mi uwierzyć.

- Co się wydarzyło, stary głupcze?

- Próbowałem. Usiłowałem. Prowadziłem je do tej piwnicy, ale stwór nas dopadł. Modliłem się. Modliłem się żarliwie i przysięgam, że słuchał mojej modlitwy.

A potem usłyszałem jego śmiech. On się śmiał. - Oczy Tomasa wypełniły się łzami. - Zignorował mnie i je zabrał.

- Zabrał je? - spytał Theron jak oszalały. - Co to znaczy?

- Przemówił do mnie - odpowiedział Tomas. - Mówił

głosem, który nasuwał mi myśli o śmierci i cierpieniu. Nie mogłem dłużej ustać na nogach i upadłem przed nim.

- Co powiedział? - spytał Royce.

Diakon otarł twarz, pozostawiając ciemne smugi sadzy na policzkach.

- To nie miało sensu. Może ze strachu postradałem rozum.

- Co według ciebie powiedział? - nalegał Royce.

- Mówił w pradawnej mowie Kościoła. Wydawało mi się, że mówi coś o orężu, o mieczu, coś o wymianie go na kobiety.

Powiedział, że wróci jutro wieczorem, a potem odleciał z Thrace i księżniczką. Ale to nie ma żadnego sensu, prawdopodobnie oszalałem.

- Z księżniczką? - spytał Hadrian.

- Tak, księżniczką Aristą z Melengar. Była z nami.

Próbowałem uratować je obie... usiłowałem... ale... i teraz... -

Tomas znów się rozplakał.

Royce i Hadrian wymienili spojrzenia i szybko się oddalili od pozostałych, żeby porozmawiać. Niezwłocznie dołączył do nich Theron.

- Wy coś wiecie - powiedział oskarżającym tonem. -

Dostaliście się do środka, prawda? Zabraliście tę broń. Royce ma miecz, a stwór chce go odzyskać.

Royce skinął głową.

- Musicie go oddać - zażądał gospodarz.

- Nie sądzę, żebyśmy w ten sposób uratowali twoją córkę -

odrzekł Royce. - To coś jest znacznie przebieglej sze, niż myśleliśmy...

- Thrace wynajęła was, żebyście przynieśli mi ten miecz -

warknął Theron. - Takie było wasze zadanie. Pamiętacie?

Mieliście go ukraść i mi dać, więc dajcie.

- Theronie, posłuchaj...

- Dajcie mi go w tej chwili! - krzyknął gospodarz, zbliżając się groźnie do złodzieja.

Royce westchnął i wyjął złamaną klingę. Theron wziął ją ze zdziwioną miną i obrócił metalowe ostrze w rękach.

- Gdzie reszta?

- Tylko tyle znalazłem.

- No to będzie musiało wystarczyć - powiedział stanowczym tonem gospodarz.

- Theronie, uważam, że nie można ufać temu stworowi.

Nawet jeśli mu to oddasz, zabije twoją córkę, księżniczkę i ciebie.

- Podejmę to ryzyko! - krzyknął do nich. - Nie musicie tu zostawać. Zdobyliście miecz - wykonaliście zadanie. Możecie w każdej chwili wyjechać. Dalej, wynoście się!

- Theronie - zaczął Hadrian. - Nie jesteśmy twoimi wrogami. Myślisz, że któryś z nas chce, aby

Thrace zginęła?

Wood już miał coś odpowiedzieć, ale zamknął usta, przełknął ślinę i głęboko westchnął.

- Nie - przyznał. - Masz rację. Wiem o tym. Po prostu... -

spojrzał Hadrianowi w oczy z wyrazem strasznego bólu -

tylko ona mi została i nie zgodzę się na nic, co może przyczynić się do jej śmierci. Sam się oddam cholernemu potworowi, jeśli to ją ocali.

- Wiem o tym, Theronie - powiedział Hadrian.

- Po prostu sędzę, że stwór nie dotrzyma warunków umowy

- dodał Royce.

- Znaleźliśmy jeszcze jednego! - krzyknął Dillon McDern, wyciągając ze zniszczonej wędzarni fircykowatego naukowca Tobisa Rentinuala.

Chudy dworzanin, ubrudzony od stóp do głów, upadł na trawę, kaszląc i wypluwając ziemię.

- Podłoże było miękkie w piwnicy... - zdołał powiedzieć. -

...zaczęliśmy je rozkopywać własnymi... rękami.

- Ile osób? - spytał Dillon.

- Pięć - odparł Tobis. - Mieszkaniec lasu, chyba strażnik, sir Elric i dwóch innych. Strażnik... - Tobis kaszlał przez minutę, po czym usiadł zgięty wpół i splunął na trawnik.

- Arvid, przynieś wody ze studni! - rozkazał synowi Dillon.

- Strażnik był mocno poparzony - ciągnął Tobis. - Dwóch młodzieńców zaciągnęło go do wędzarni, mówiąc, że tam jest piwnica. Oprócz wędzarni wszystko wokół nas płonęło, więc mieszkaniec lasu, sir Elric i ja też tam pobiegliśmy. Klepisko było miękkie, więc zaczęliśmy ryc. Potem coś uderzyło w szopę i ta się na nas zawałiła. Belka przygniotła mi nogę, która chyba jest złamana.

Mieszkańcy wioski odkopali zawałoną szopę. Odsunęli na bok ścianę i dotarli do dna, gdzie znaleźli pozostałych, pogrzebanych żywcem.

Wyciągnęli ich. Sir Elric i drwal kasłali i wypluwali ziemię; wyglądali na wycieńczonych. Poparzony strażnik był w jeszcze cięższym stanie. Leżał nieprzytomny, ale żył. Ostatni dwaj wyciągnięci z ruin wędzarni to byli

Mauvin i Fanen Pickeringowie, którzy tak jak Tobis nie mogli przez pewien czas mówić, ale poza licznymi rozcięciami i siniakami nie odnieśli poważniejszych ran.

- Czy Hilfred żyje? - spyta! Fanen po zaczerpnięciu powietrza i wypiciu kubka wody.

- Kto to jest Hilfred? - zapytała Lena Bothwick. Fanen wskazał na poparzonego strażnika i Lena skinęła głową.

- Jest nieprzytomny, ale żyje.

Grupy poszukiwawcze przeczesaly reszte terenu, odnajdując wiele kolejnych ciał, przeważnie pretendentów. Odkryli również szczątki arcybiskupa Galiena. Wyglądało na to, że stary duchowny nie zginął w ogniu, lecz został stratowany.

Jego służący Carlton leżał we dworze - widocznie nie miał

ochoty umierać u boku swojego zwierzchnika. We dworze znaleziono także Bernice, którą zmiażdżył sufit. Nikt więcej nie przeżył.

Mieszkańcy wioski zrobili nosze, żeby wynieść Tobisa i Hilfreda z dymiących ruin i zanieść ich do studni, gdzie kobiety opatrzyły im rany. Dawne zielone błonia przemieniły się w zwęglony spłacheć ziemi. Wielki dzwon leżał na boku w popiele.

- Co się stało? - spytał Hadrian, siadając obok Mau-vina.

Dwaj bracia kulili się w miejscu, w którym Pearl kiedyś wypasała świnie, popijając wodę z kubków. Twarze mieli ubrudzone sadzą.

- W chwili ataku byliśmy poza murami - odparł młodzieniec niewiele głośniejszy od stłumionego szeptu. Wskazał kciukiem na brata. - Mówiłem mu, że wracamy do domu, ale genialny Fanen postanowił, że chce spróbować walczyć z bestią, zdobyć sławę.

Fanen spuścił głowę jeszcze niżej.

- Usiłował się wykraść, myślał, że mi się wymknie.

Przylapałem go za bramą, na stoku. Powiedziałem mu, że to samobójstwo, ale się uparł i wdaliśmy się w bójkę.

Przerwaliśmy ją, gdy zobaczyliśmy, jak wzgórze ogarnia ogień. Pobiegliśmy z powrotem. Zanim dotarliśmy do frontowej bramy, przejechało obok nas w pełnym pędzie kilka powozów i grupa konnych jeźdźców. W jednym okienku dostrzegłem twarz Saldura. Nawet nie zwolnili.

- Poszliśmy poszukać Aristy - ciągnął - i znaleźliśmy Hilfreda leżącego na ziemi tuż przed płonącym dworem. Nie miał włosów, skóra schodziła z niego płatami, ale oddychał, więc chwyciliśmy go i pobiegliśmy do wędzarni. To był

ostatni budynek, który nie płonął. Klepisko było miękkie, jakby niedawno je rozkopywano, więc zaczęliśmy ryc w ziemi jak krety. Przylączyli się do nas Tobis, Erlic i Danthen.

Wykopaliliśmy zaledwie metr, gdy szopa na nas runęła.

- Odnaleźliście Ariste? - spytał Fanen. - Czy ona...

- Nie wiemy - odparł Hadrian. - Diakon mówi, że stwór porwał ją i córkę Theroną. Możliwe, że księżniczka wciąż żyje.

Kobiety z wioski opatrywały rany ofiar znalezionych w grodzie, natomiast mężczyźni zaczęli składać na stosie przy studni wszystkie zapasy, narzędzia i żywność, jakie udało im się znaleźć. Wyglądali jak zbieranina wymizierowanych i brudnych podróżników, których morze wyrzuciło na bezludną wyspę. Niewielu się odzywało, a kiedy już coś mówili, to zawsze szeptem. Od czasu do czasu ktoś łkał, kopał przypaloną deskę lub odchodził na stronę, padając na kolana i drżąc na całym ciele.

Gdy wreszcie opatrzone ludzi i zgromadzono zapasy, Tomas, który doprowadził się do porządku, wstał i powiedział

kilka słów nad ciałami ofiar. Na chwilę zapadło milczenie, po czym Vince Griffin zwrócił się do wszystkich:

- Ja się tu pierwszy osiedliłem - powiedział smutnym tonem.

- Mój dom stał najbliżej tej studni. Pamiętam, jak większość z was się tu pojawiła i na początku była uważana za obcych.

Wiązałem z tym miejscem wielkie nadzieje. Co roku ofiarowywałem na rzecz kościoła w wiosce osiem korców jęczmienia, choć jedyna korzyść z tego to ten dzwon.

Przetrwałem tu ciężkie mrozy pięć lat temu i nie wyjechałem, kiedy zaczęli ginąć ludzie. Jak reszta myślałem, że to przetrwam. Ludziom wszędzie zdarza się umierać tragicznie -

czy to na ospę, dżumę, z głodu, zimna czy od miecza. Pewnie, Dahlgren wydawało się przekłętą i może tak jest rzeczywiście, ale i tak było to najlepsze miejsce, w jakim przyszło mi żyć.

Może najlepszym, w jakim kiedykolwiek zamieszkałem, głównie z waszego powodu i dlatego że prawie w ogóle nie nękali nas tu szlachcice. Ale to wszystko należy już do przeszłości. Już nic tu nie ma, nawet drzew, które tu rosły przed naszym przybyciem. A nie uśmiecha mi się spędzanie kolejnej nocy w studni. - Przetarł oczy. - Wyjeżdżam z Dahlgrenu, jak zapewne uczyni też wielu z was, i chcę tylko powiedzieć, że gdy tu wszyscy przybyliście, traktowałem was jak obcych, ale teraz czuję, że będę się żegnał z rodziną, rodziną, która wiele razem przeszła. Chciałem... żebyście o tym wiedzieli.

Wszyscy pokiwali głową na znak zgody i zaczęli rozmawiać między sobą. Jednomyślnie uznali, że Dahlgren jest martwe i że wyjadą. Rozważano też

trzymanie się w grupie. Razem z nimi jechać mieli sir Erlic i mieszkaniec lasu Danthen - przynajmniej do Albumu, gdzie część skręci na zachód w nadziei na odnalezienie krewnych, natomiast pozostali kierować się będą dalej na południe w nadziei na rozpoczęcie nowego życia.

- To tyle, jeżeli chodzi o pomoc Kościoła - powiedział

Dillon McDern do Hadriana. - Byli tu dwa dni i tylko popatrz.

Dillon i Russell Bothwick podeszli do Theron, który siedział na poczerniałym pniaku.

- Domyślam się, że zostajesz, żeby odszukać Thrace -

zaczął Dillon.

Theron przytaknął. Był wciąż ubrudzony ziemią i sadzą, a na kolanach trzymał złamany miecz i gapił się na niego.

- Myślisz, że dziś wieczorem wróci? - spytał Russell.

- Tak sądzę. Chce odzyskać miecz. Może jeśli mu go zwrócę, odda mi Thrace.

Obaj mężczyźni skinęli głowami.

- Chcesz, żebyśmy zostali i ci pomogli? - odezwał się znów Russell.

- W czym? - odpowiedział pytaniem stary gospodarz. - Nie możecie nic zrobić. Macie własne rodziny. Wyjeżdżajcie, póki jeszcze możecie. Już dość porządnych ludzi tu zginęło.

Mężczyźni znów potaknęli.

- Powodzenia, Theron - powiedział Dillon.

- Trochę poczekamy w Albumie, żeby zobaczyć, czy się nie zjawisz - dodał Russell. - Powodzenia.

Russell i Tad sklecieli ze zwęglonych konarów sanki i załadowali na nie wszystko, co mieli. Lena urobiła maść i posmarowała nią oparzenia Hilfreda. Zostawiła ją wraz ze stosem bandażu u Tomasa, który zobowiązał się doglądać żołnierza. Wczesnym popołudniem mieszkańcy wioski ze swoim skromnym dobytkiem wyruszyli w drogę na zachód. Przed nocą każdy chciał być z dala od Dahlgrenu.

*

- Co my tu robimy? - spytał Royce Hadriana. Obaj siedzieli na częściowo spalonym pniu kawałek

wyżej na starej ścieżce biegnącej od studni, w miejscu, gdzie kiedyś stały dwa drewniane nagrobki Caswel-lów. Tak jak wszystko inne one też zniknęły i już nic nie upamiętniało śmierci członków tej rodziny. Patrzyli na diakona Tomasa, który siedział przy wciąż nieprzytomnym Hilfredzie.

- To zlecenie kosztowało nas dwa konie i prowiant wystarczający na ponad tydzień. I po co to? - westchnął

znowu Royce i odtamał kawałek zwęglonej kory, po czym rzucił go byle gdzie. - Powinniśmy

wyjechać z pozostałymi.

Dziewczyna prawdopodobnie już nie żyje. Po co stwór miałby trzymać ją przy życiu? Gilarabrywn ma wszystkie atuty w ręku. Może nas zabić, kiedy tylko będzie chciał, a my nie możemy mu nic zrobić. Trzyma zakładniczki, a my zdobyliśmy jedynie połówkę miecza, której właściwie nie potrzebuje, ale widocznie chciałby ją po prostu odzyskać.

Gdybym wykradł obie części miecza, Magnus mógłby je złożyć i istniałaby przynajmniej szansa, że nie wszystko stracone. Krasnolud mógłby nawet wszystkim zrobić miecze, a może nawet dzidy - i wyryć na nie odpowiednie imię.

Wtedy odważyłbym się walczyć z tym draniem. Teraz jednak nie mamy nic.

Nie stanowimy dla niego wyzwania. Theronowi się wydaje, że będzie się targował, ale nie ma nic do zaoferowania.

Gilarabrywn urządził to tylko po to, żeby oszczędzić sobie kłopotu z poszukiwaniem straconej części.

- Tego nie wiemy.

-Ależ tak. Nie zachowa dziewczyn przy życiu. Już je prawdopodobnie zjadł na obiad, a stary Theron zginie - i taki będzie koniec. Chociaż, trzeba to przyznać, jego głupota zapewni wszystkim czas na ucieczkę. Zważywszy, że stracił

już praktycznie całą rodzinę, to chyba i tak dla niego najlepsze rozwiązanie.

- Nie będzie tam stał sam - oświadczył Hadrian. Royce spojrzał na niego z niezadowoleniem.

- Powiedz, że żartujesz. Hadrian pokręcił głową.

- Dlaczego? - spytał Royce.

- Bo masz rację. Bo jeśli wyjedziemy, zdarzy się to wszystko, o czym przed chwilą mówiłeś.

-A jeśli zostaniemy, sprawy potoczą się inaczej?

- Jeszcze nigdy nie porzuciliśmy roboty w połowie, Royce.

- Co ty pleciesz? Jakiej roboty?

- Zapłaciła nam za zdobycie miecza.

- Zdobyłem go. Ma go jej ojciec.

- Tylko jego fragment. Skończymy zadanie, gdy będzie trzymał w rękach obie części. Do tego zostaliśmy wynajęci.

- Hadrianie. - Royce przesunął ręką po twarzy i pokręcił

głową. - Na litość Maribora, zapłaciła nam dzie-

. sięć srebrnych!

- Zgodziłeś się na to.

- Nie cierpię, kiedy tak się zachowujesz. - Royce nagle wstał, podnosząc zwęglony patyk. - Niech to szlag trafi! - Rzucił kijek na stos dymiącego drewna, który kiedyś był domem Bothwicków. - Przez ciebie zginiemy.

Wiesz o tym, prawda?

- Nie musisz zostawać. To moja decyzja.

- I co zamierzasz zrobić? Walczyć, kiedy przyleci? Będziesz stał w ciemności i machał mieczami, które nie mogą wyrzucić mu krzywdy?

- Nie wiem.

- Oszalałeś - powiedział Royce. - Plotki nie kłamią: Hadrian Blackwater to szaleniec!

Hadrian stanął naprzeciw przyjaciela.

- Nie zostawię Theroną, Thrace i Aristy. A co z Hilfredem?

Myślisz, że może jechać? Spróbuj go wlec przez las, a umrze przed zmrokiem. A może chcesz go wsadzić na noc do studni i myślisz, że rano nic mu nie będzie? A Tobis? Jak daleko zajdzie ze złamaną nogą? A może masz ich gdzieś? Czy serce tak ci skamieniało, że potrafiłbyś zwyczajnie odejść i pozwolić im umrzeć?

- I tak wszyscy zginą - warknął Royce. - Tak uważam. Nie zdołamy powstrzymać stwora. Możemy jedynie zdecydować, czy umrzeć z nimi, czy nie, a ja naprawdę nie widzę korzyści w popełnianiu samobójstwa ze współczucia.

- Możemy coś zrobić - stwierdził Hadrian. - To my skradliśmy skarb z Wieży Koronnej i następnej nocy odnieśliśmy go na miejsce. To my włamaliśmy się do niezwycięzonego Drumindoru, my położyliśmy ludzką głowę na kolanach hrabiego Chadwick, kiedy spał w swojej wieży, i my uwolniliśmy Esrahaddona z Gutarii, najpilniej strzeżonego więzienia, jakie kiedykolwiek wzniesiono. Możemy zrobić chociaż coś!

- Na przykład?

- Cóż... - zamyślił się Hadrian. - Możemy wykopać dół, zwabić stwora i tam go uwięzić.

- Mielibyśmy większe szanse, prosząc Tomasa, żeby się pomodlił do Maribora o uśmiercenie

gilarabrywna.

- Masz lepszy pomysł?

- Na pewno potrafiłbym wymyślić coś lepszego od zwabiania stwora do dołu, którego nie możemy wykopać.

- Na przykład?

Royce zaczął chodzić wokół wciąż tłącego się stosu patyków, kopiąc ze złością wszystko, co się znalazło na jego drodze.

- Nie mam pojęcia. To tobie się wydaje, że możemy coś zrobić. Wiem jednak jedno: nic nie zrobimy, jeżeli nie zdobędziemy drugiej części miecza. Więc pierwsze, co bym zrobił, to ukradł ją dziś wieczorem, gdy stwór odleci.

- Wtedy Thrace i Arista na pewno zginą - zauważył

Hadrian.

- Ale wtedy można by bestię zabić. Przynajmniej dokonałaby się zemsta.

Hadrian pokręcił głową.

- To za słabe rozwiązanie.

Na twarzy Royce'a wykwitł uśmiezek.

- Mógłbym ukraść miecz, podczas gdy ty i Theron mamilibyście stwora bronią, której używał Rufus. -

Zachichotał złośliwie. - Istnieje przynajmniej jedna szansa na milion, że ten plan się powiedzie.

Hadrian zmarszczył czoło w zamyśleniu i powoli usiadł.

- Tylko żartowałem - wycofał się Royce. - Jeżeli stwór się wczoraj zorientował, że brakuje połowy miecza, to odróżni oryginał od kopii.

-Ale nawet jeśli to nie wypali - powiedział Hadrian -

zyskam czas na uratowanie dziewczyn. Wtedy my moglibyśmy wskoczyć do dziury - niewielkiej dziury, którą zdążymy do wieczora wykopać.

-I mieć nadzieję, że was nie dorwie? Widziałem jego szpony, to mu się uda bez trudu.

Zamyślony Hadrian nie zwrócił uwagi na jego słowa.

- Wtedy mógłbyś przynieść drugą połowę miecza, Magnus połączyłby obie części i ja uśmierciłbym bestię. Widzisz, w końcu to dobrze, że nie zabiłeś krasnoluda.

- Zdajesz sobie sprawę, że to głupi plan, prawda? Ten stwór wczoraj zdziesiątkował wioskę i gród, a ty zamierzasz stanąć z nim do walki, mając do pomocy tylko starego gospodarza, dwie kobiety i złamany miecz?

Hadrian nie odpowiedział. Royce westchnął i usiadł obok przyjaciela, kręcąc głową. Sięgnął ręką pod płaszcz i wyjął

sztylet. Podał go Hadrianowi.

- Proszę - powiedział. - Weź Alverstone'a.

- Po co? - Hadrian spojrzał na współnika z zaskoczeniem.

- Nie mówię, że Magnus ma rację, ale jeszcze nie widziałem niczego, czego ten sztylet nie mógłby przeciąć. A jeśli krasnolud ma rację, jeśli wykuł go ojciec bogów, może się przydać w walce nawet z niezwyciężoną bestią.

- A więc wyjeżdżasz?

- Nie. - Royce się nachmurzył i spojrzał w kierunku Avemparthy. - Wygląda na to, że mam robotę do do-kończenia.

Hadrian uśmiechnął się do przyjaciela, wziął sztylet i zważył go w ręku.

- Jutro ci go oddam.

- Dobrze - odparł Royce.

*

- Twój współnik wyjechał? - spytał Theron, gdy Hadrian zbliżył się do niego, idąc po zboczu spalonego wzgórza, na którym kiedyś wznosił się gród. Stary gospodarz z połówką miecza w ręku spoglądał na niebo.

- Nie, wrócił do Avemparthy po resztę miecza na wypadek, gdyby gilarabrywn próbował nas wykiwać. Niewykluczone też, że stwór zostawi Thrace i Aristę w wieży, kiedy tu przyleci, i wtedy Royce będzie mógł je uwolnić.

Theron skinął głową w zamyśleniu.

- Jesteście naprawdę dobrzy dla mnie i mojej córki. Ale wciąż nie wiem dlaczego. I nie mów mi, że chodzi o pieniądze. - Westchnął. - Wiesz, nigdy jej nie doceniałem.

Ignorowałem ją, odpychałem od siebie przez tyle lat. Była tylko moją córką, nie synem. Dodatkową osobą do wykarmienia, która będzie nas kosztować przy wydaniu jej za męża. Jak was znalazła i skłoniła, żebyście przejechali taki szmat drogi, żeby nam pomóc... chyba nigdy tego nie zrozumiem.

- Hadrianie! - zawołał Fanen. - Chodź zobaczyć, co mamy.

Hadrian zszedł za nim ze wzgórza na północny kraniec pogorzelska, gdzie Tobis, Mauvin i Magnus majstrowali przy olbrzymiej maszynie.

- To moja katapulta - oznajmił Tobis dumnie. Wyglądał

komicznie w dworskich kolorowych

rzeczach, ze złamaną nogą unieruchomioną między dwoma kawałkami drewna i wsparty na kuli, którą zrobił

mu Magnus.

- Przywlekli ją tutaj, gdy spadłem na niższą pozycję na liście. Wspaniała, prawda? Nazwałem ją Persefona, po żonie Novrona. Pomyślałem, że to imię idealnie pasuje, odkąd zacząłem studiować starożytną historię imperialną, żeby skonstruować maszynę. Nie było to wcale łatwe. Żeby przeczytać książki, musiałem się nauczyć pradawnych języków.

- Sam ją zbudowałeś?

- Nie bądź niemądry. Oczywiście, że nie. Jestem profesorem w Sheridanie. A propos, to w Ghencie. Tam, gdzie mieści się siedziba Kościoła Nyphrona. Wpadłem na genialny pomysł, żeby przekupić kilku urzędników kościelnych, którzy wyjawili mi prawdziwą istotę konkursu. Dowiedziałem się, że to nie będzie głupie bicie się po mordach tępych osiłków, lecz wyzwanie polegające na pokonaniu legendarnego stworzenia.

A więc zagadka, którą mogłem rozwiązać. Która nie wymagała bezmyślnej siły, ale wybitnego intelektu, jaki posiadam.

Hadrian obszedł maszynę. Masywna środkowa belka wznosiła się na wysokość czterech metrów, a grube ramię było dłuższe od niej o jakieś pół metra. Do belki na dole przywiązano linami sprężynującymi worek w kształcie wiadra. Po obu stronach wozu znajdowały się duże ręczne korby połączone z szeregiem kółek zębatych.

- Widziałem już niejedną katapultę i muszę powiedzieć, że ta jest do nich zupełnie niepodobna.

- Bo przerobiłem ją do walki z gilarabrywnem.

- Przynajmniej próbował - dodał Magnus. - Bez naszych przeróbek maszyna by nie zadziałała, ale teraz jest sprawna.

- Już wystrzeliliśmy kilka kamieni - pochwalił się Mauvin.

- Miałem już do czynienia z maszynami oblężniczymi -

powiedział Hadrian - i wiem, że przydają się przeciw dużym obiektom, na przykład armii żołnierzy

na polu, albo nieruchomym celom, jak mury, ale są bezużyteczne przeciw pojedynczemu wrogowi będącemu w ruchu. Są zbyt powolne lub niecelne.

- Tak, dlatego moja miota nie tylko pociski, lecz również sieci - oznajmił Tobis z dumą. - Mam zmysł do takich rzeczy.

Zaprojektowałem sieci tak, żeby wyleciały w postaci dużych kuli, otwały się w trakcie lotu i oplotły lecącą bestię, która spadnie na ziemię i będzie leżeć bezradnie, podczas gdy ja spokojnie załaduję pocisk i ją zmiażdżę.

- I to działa? - spytał Hadrian, na którym zrobiło to duże wrażenie.

- Teoretycznie tak - odparł Tobis. Hadrian wzruszył ramionami.

- A co tam, na pewno nie zaszkodzi.

- Trzeba ją tylko ustawić w odpowiedniej pozycji - powiedział Mauvin. - Pomożesz ją popchnąć?

Wszyscy - z wyjątkiem oczywiście Tobisa, który kuśtykał

obok i wydawał rozkazy, naparli plecami na katapultę, wtoczyli ją do rowu okalającego kopiec i ustawili tak, aby można było trafić we wszystko w pobliżu dawnego dworu.

- Można ją zamaskować, na przykład gruzem albo przypalonym drewnem, aby wyglądała jak kupa śmieci -

zapropomował Fladrian. - Nie powinno być z tym żadnego problemu. Magnusie, zastanawiam się, czy mógłbyś wyświadczyć mi przysługę?

- Jaką? - spytał krasnolud, gdy Hadrian poprowadził go na górę do ruin dworu.

Trawy już tam nie było i stąpali po powierzchni pokrytej popiołem, który nasunął Hadrianowi myśl

O ciepłym śniegu.

- Przypominasz sobie miecz, który zrobiłeś dla lorda Rufusa? Znalazłem go przy nieboszczyku i jego koniu na wzgórzu. Chcę, żebyś go naprawił.

- Naprawił? - Krasnolud wyglądał na urażonego. - Nie moja wina, że miecz nie spełnił swojego zadania. Zrobiłem dokładną replikę. Zapiski były prawdopodobnie błędne.

- Świetnie, bo mam oryginał, a przynajmniej jego część.

Musisz zrobić wierną kopię. Dasz radę?

- Oczywiście, że tak, i zrobię ją, jeśli namówisz Roy-ce'a, żeby mi pokazał Alverstone'a.

- Zwariowałeś? On pragnie twojej śmierci. Już raz ci ocaliłem życie. To się nie liczy?

Krasnolud stał nieugięty ze skrzyżowanymi na piersiach rękami, pod którymi spoczywały długie warkocze jego brody.

- Taka jest moja cena.

- Porozmawiam z nim, ale niczego nie gwarantuję. Magnus zacisnął usta, przez co włosy na brodzie

i wąs mu się zjeżyły.

- Niech będzie. Gdzie są te miecze?

Theron zgodził się na ten plan, pod warunkiem że dostanie złamany miecz z powrotem. Przyniósł klingę do dworskiej kuźni, po której pozostały palenisko i kowadło. Będzie miał

oryginał przy sobie i niezwłocznie go odda, jeśli bestia odkryje podstęp.

- Ha! - Krasnolud wyglądał na oburzonego.

- O co chodzi? - spytał Hadrian.

- Nic dziwnego, że nie zadziałał. Oznaczenia są z obu stron.

Jest tu jeszcze jeden cały napis. Założę się, że to tekst zaklęcia. - Magnus pokazał Hadrianowi pajęczynę cienkich, zamaszystych linii tworzących długi wzór. Następnie odwrócił ostrze, oglądając znacznie krótszy wzorek. -

Domyślam się, że z tej strony jest imię, o którym wspominał

Esrahaddon. To ma sens, że wszystkie zaklęcia brzmią tak samo, a różne są tylko imiona.

- To znaczy, że potrafisz stworzyć broń, która zadziała?

- Nie, miecz jest złamany w połowie imienia, ale mogę przynajmniej zrobić bardzo dobrą kopię.

Krasnolud zdjął pas z narzędziami, który nosił pod ubraniem, i położył go na kowadle. Miał wiele młotków o różnych rozmiarach i kształtach oraz dłutka w oddzielnych przegródkach. Rozwinął skórzany fartuch i zawiązał go sobie w pasie. Następnie wziął miecz Rufusa i umieścił go na kowadle.

- Wszędzie je nosisz, prawda? - spytał Hadrian.

- Nie ma mowy, żebym je kiedyś zostawił na końskim siodle - odciął się Magnus.

Hadrian i Theron zaczęli kopać dół z boku dziedzińca, na miejscu starej wędzarni, gdzie ziemia już była poruszona, co ułatwiało im zadanie. Nie mieli łopaty, wykorzystali więc stare deski, które pobrudziły im ręce na czarno. Po kilku godzinach zrobili niewielką dziurę, w której obaj mogli się całkowicie skryć pod ziemią. Jama była zbyt płytka, by zapewnić im całkowite bezpieczeństwo, ale mogła ich ochronić przed słupem ognia - pod warunkiem że nie zostanie on skierowany pionowo w dół, bo wtedy poczuliby się jak gliniane garnki wypalane w piasku.

- Już niedługo - powiedział Hadrian, kiedy usiedli ubrudzeni ziemią i popiołem, obserwując ciemniejące niebo.

Magnus używał swojego najmniejszego młoteczka, który brzękał przy uderzeniach. Wymamrotał coś pod nosem, po czym wyjął ciężkie płótno z worka u pasa i zaczął przecierać powierzchnię metalu.

Hadrian spojrzał ponad drzewami, dotykając ukrytego pod tuniką Alverstone'a. Zastanawiał się, czy Royce'owi udało się dotrzeć do wieży. Jest w środku? Odnalazł Esrahaddona? Czy stary czarnoksiężnik może im jakoś pomóc? Pomyślał też o księżniczce i Thrace. Co stwór z nimi zrobił? Przygryzł dolną wargę. Royce miał prawdopodobnie rację. Po co miałby je utrzymywać przy życiu?

Od południa dobiegł ich tętent koni. Theron i Hadrian wymienili zdziwione spojrzenia i wstali. Zobaczyli oddział

konnych jeźdźców wylaniających się w pełnym pędzie spomiędzy drzew. Przez wyludnioną równinę przejeżdżało ośmiu rycerzy w czarnych zbrojach z powiewającym nad nimi sztandarem, na którym widniała pęknięta korona. Prowadził

ich Luis Guy w czerwonej sutannie.

- Tylko patrzcie, kto w końcu wróci! - rzucił Hadrian i spojrzał przez ramię na Magnusa. - Skończyłeś?

- Jeszcze poleruję - odparł krasnolud, który dopiero wtedy dostrzegł jeźdźców. - To nie wróży nic dobrego - mruknął.

Mężczyźni wjechali klusem na zdewastowany dziedziniec i zatrzymali się na ich widok. Guy przez chwilę patrzył na tłacę się pozostałości po dworze, po czym zsiadł z konia i podszedł

do krasnoluda. Po drodze pod-

niósł kawałek przypalonego drewna, który obrócił dwa razy w rękę i wyrzucił.

- Lordowi Rufusowi nie poszło wczoraj tak dobrze, jak na to liczyliśmy. Zapomniałeś postawić kropki nad i, Magnus?

Krasnolud cofnął się o krok z przerażeniem. Theron szybko wystąpił, chwycił oryginalną połówkę miecza i schował ją pod koszulą. Guy to zauważył, ale zignorował gospodarza i stanął naprzeciw Magnusa.

- Wytlumaczysz się czy mam cię zabić za parszywą jakość wykonania?

- To nie była moja wina. Na drugiej stronie były oznaczenia, których nie pokazano na rysunkach. Zrobiłem to, o co prosiliście, zawinili wasi badacze.

- A co teraz robisz?

- Kopię miecza, abyśmy mogli zrobić wymianę z gi-larabrywnem - wyjaśnił Hadrian.

- Wymianę?

- Tak, stwór porwał księżniczkę Aristę i młodą wieśniaczkę.

Powiedział, że uwolni je, jeśli zwrócimy mu miecz, który zabraliśmy z jego legowiska.

- Powiedział?

- Tak - potwierdził Hadrian. - Rozmawiał wczoraj z diakonem Tomasem.

Guy roześmiał się szyderczo.

- A więc bestia teraz mówi, tak? I uprowadza kobiety?

Niesamowite. Przypuszczam, że jeździ również konno, i spodziewam się, że na najbliższym turnieju zimionaliowym w Aąeście będzie reprezentowała Dunmore.

- Jeśli mi nie wierzysz, możesz zapytać waszego diakona.

- Ależ wierzę - powiedział Guy, podchodząc do Hadriana. -

Przynajmniej w opowieść o wykradzeniu miecza z cytadeli.

Do tego nawiązujesz, prawda? Ktoś się dostał do Avemparthy i zabrał prawdziwy miecz? Sprytne, zwłaszcza że wiem, iż do wieży może wejść tylko ktoś, w którego żyłach płynie elfia krew. Nie wyglądasz mi na elfa, Hadrianie. I znam historię rodu Pickeringów. Wiem też, że Magnus nie mógł się dostać do środka. Pozostaje tylko twój współnik w zbrodni, Royce Melbom. Jest dość niski, prawda? Szczupły, zwinny? Te cechy z pewnością pomagają mu w złodziejskim fachu.

Dobrze widzi w ciemności, słyszy lepiej niż człowiek, ma niesamowite poczucie równowagi i stąpa tak lekko, że potrafi się poruszać prawie bezszelestnie. Tak, to by było bardzo nieuczciwe wobec wszystkich pozostałych złodziei wykorzystujących swoje normalne, ludzkie zdolności. - Guy rozejrzał się ostrożnie. - Gdzie on jest? - spytał, ale Hadrian milczał. - To jeden z naszych największych problemów: niektórzy z tych mieszańców mogą uchodzić za ludzi. Czasami bardzo trudno ich odróżnić. Nie mają spiczastych uszu ani na wpół przymkniętych oczu. Dlatego są tacy niebezpieczni. Wyglądają normalnie, ale w głębi duszy są nieludzko źli. Prawdopodobnie nawet tego nie widzisz. Mam rację? Jesteś jak ci głupcy, którzy próbują oswoić niedźwiadka albo wilczka, bo myślą, że zwierzę ich pokocha.

Wydaje ci się, że zdołasz przegonić dziką bestię czającą się w ich środku. Nie zdołasz. Potwór zagnieżdził się tam na stałe i tylko czeka na okazję, żeby się na ciebie rzucić. - Wartownik zerknął na kowadło. - I pewnie jeden z was planował użyć miecza do zabicia bestii, by móc rościć sobie prawo do korony imperatora?

- Prawdę mówiąc, nie - odparł Hadrian. - Plan zakładał

odzyskanie kobiet i błyskawiczną ucieczkę.

- Mam w to uwierzyć? Hadrianie Blackwater, wytrawny wojownik posługujący się mieczem jak rycerz teshlor z dawnego imperium, naprawdę oczekujesz, że uwierzę, iż jesteś tylko przejazdem w tej odludnej wiosce? Że przez przypadek posiadasz jedyną broń, jaką można zabić gilarabrywna, i to dokładnie w chwili, kiedy ogłoszono, że imperatorem zostanie osoba, która tego dokona? Nie, oczywiście, że nie, ty po prostu chcesz użyć bezspornie najpotężniejszego miecza na świecie do jego wymiany z szalenie niebezpiecznym, ale teraz już mówiącym potworem na wiejską dziewczkę i księżniczkę Melengar, które ledwie znasz.

- Jeśli tak to ująć, rzeczywiście brzmi to niewiarygodnie, ale taka jest prawda.

- Kościół tu wróci, żeby kontynuować próby - oświadczył

Luis Guy. - Do tego czasu spoczywa na mnie obowiązek dopilnowania, aby gilarabrywna nie zabił ktoś, powiedźmy, niegodny korony. Z pewnością dotyczy to złodziejskiego wielbiciela elfów i jego bandy rzezimieszków. - Podszedł do Theron. - Oddaj mi zatem miecz.

- Po moim trupie - warknął Theron.

- Jak chcesz.

Guy dobył broni i siedmiu pozostałych seretów zsiadło z koni też gotowych do walki.

- Oddaj mi miecz albo obaj zginiecie - zażądał Guy.

- Chyba wszyscy czterej? - odezwał się głos za plecami Hadriana i gdy ten się odwrócił, zobaczył, że na zbocze wchodzi Mauvin i Fanen. Mauvin miał w dłoniach dwa miecze i jeden z nich rzucił Theronowi, który niezdarnie go złapał.

- Powiedźmy, pięciu - dodał Magnus z dwoma dużymi młotkami w rękach. Spojrzał na Hadriana i przełknął z trudem ślinę. - I tak zamierza mnie zabić, więc czemu nie?

- Nas jest ośmiu - zauważył Guy. - Nie macie szans.

- Też tak pomyślałem - zgodził się Mauvin. - Niestety nie ma tu nikogo, kogo można by poprosić o przyłączenie się do was.

Guy spojrział na niego, a potem na Hadriana, z którym przez dłuższy czas mierzył się wzrokiem. W końcu skinął głową i opuścił broń.

- Widzę, że będę musiał zgłosić arcybiskupowi waszą niesubordynację.

- Proszę bardzo - odrzekł Hadrian. - Jest pochowany na zboczu wraz z pozostałymi ofiarami.

Guy obrzucił ich zimnym spojrzeniem i odwrócił się, żeby odejść, ale w tym momencie Hadrian dostrzegł, że wartownik nienaturalnie pochyla ramię w prawą stronę, obraca stopę i robi krok w kierunku wskazywanym przez duży palec u nogi.

Był to manewr, na który wyczulił Theron - zapowiedź ataku.

- Theronie! - wykrzyknął, ale niepotrzebnie. Gospodarz podniósł miecz, jeszcze zanim Guy się

obrócił. Wartownik zadał pchnięcie w jego serce, ale Theron był szybszy o ułamek sekundy i sparował uderzenie, a następnie odruchowo przeniósł ciężar ciała do przodu, zrobił

krok i dokończył kombinację, której nauczył go Hadrian: sparowanie, obrót i riposta. Zadał pchnięcie, wyciągając rękę daleko przed siebie. Wartownik się zatoczył. Skręcił ciało i ledwie uniknął ciosu w klatkę piersiową. Miecz starego gospodarza wbił mu się w ramię. Guy krzyknął z bólu.

Theron stał zaskoczony własnym sukcesem.

- Wyjmij ostrze! - krzyknęli do niego jednocześnie Hadrian i Mauvin.

Wood cofnął miecz, a Guy zatoczył się do tyłu, chwytając się za krwawiące ramię.

- Zabić ich! - syknął.

I sereci ruszyli do ataku.

Czterech rycerzy Nyphrona rzuciło się na braci Pickeringów, jeden popędził do Hadriana, kolejny

- do Theron, a ostatni zajął się Magnusem. Hadrian wiedział, że Theron nie zdoła długo się opierać zręcznemu seretowi. Wyjął więc zarówno miecz krótki, jak i bastardowy i zabił pierwszego rycerza Nyphrona, gdy tylko ten znalazł się w jego zasięgu. Następnie ruszył do drugiego, który zbyt późno uświadomił sobie, że jest w potrzasku między dwoma napastnikami, gdyż Hadrian i Theron powalili go jednocześnie.

Magnus trzymał młotki w najgroźniejszej postawie, jaką zdołał przyjąć, ale i tak nie był godnym przeciwnikiem dla rycerza i wycofał się za kowadło. Gdy seret się zbliżył, rzucił

w niego młotkiem, trafiając napastnika w klatkę piersiową.

Narzędzie odbiło się od napierśnika, nie wyrządzając rycerzowi krzywdy, lecz mężczyzna lekko się zatoczył.

Uświadomiwszy sobie, że krasnolud nie stanowi żadnego zagrożenia, odwrócił się, by stawić czoło

atakującemu Hadrianowi.

Wykonał zamach mieczem z góry, celując w głowę złodzieja, który zablokował w powietrzu klingę krótkim mieczem trzymany w lewej ręce, a następnie wbił miecz bastardowy w odsłoniętą pachę rycerza.

Mauvin i Fanen walczyli razem przeciw czterem na-pastnikom. Ich eleganckie rapiery śmigły w powietrzu

- przytrzymały, blokowały, cięły i uderzały. Każdy atak był odpierany, każde pchnięcie odbijane, każde uderzenie blokowane. Ale obaj mogli się tylko bronić.

Opierali się naporowi uzbrojonych rycerzy, którzy usiłowali znaleźć słaby punkt w ich osłonie. Mauvi-nowi w końcu udało się przejść do ofensywy i zadał pchnięcie. Dźgnął sereta czubkiem klingi w gardło i ten gwałtownie upadł, ale niedługo potem Mauvin usłyszał krzyk brata.

Hadrian zobaczył, jak seret rozcina ramię Fanena od barku po dłoń. Pickering wypuścił rapier z ręki i bezbronny cofnął

się w desperacji, potykając o kamień. Gdy upadł, napastnicy skoczyli, żeby go dobić.

Hadrian był za daleko. Mauvin więc zapomniał o własnej obronie, żeby ratować brata. Jednym ruchem zablokował dwa miecze spadające na Fanena - ale zapłacił za to cenę. Hadrian zobaczył, jak stojący przed nim seret wykonuje pchnięcie.

Ostrze weszło w bok starszego z braci, który momentalnie się zgiął i upadł na kolana, wciąż patrząc na brata. Mógł się tylko bezradnie przyglądać następnemu uderzeniu. Dwa miecze wbiły się w ciało Fanena. Na ostrza trysnęła krew.

Mauvin krzyknął. Nawet gdy jego przeciwnik szykował się do zadania śmiertelnego ciosu, cięcia wymierzonego w kark młodzieńca, klęczący Mauvin zignorował jego zamiary, co bardzo ucieszyło sereta. Rycerz jednak nie rozumiał, że Mauvin nie musi się bronić. Mauvin bowiem zrezygnował z obrony. Wykonał pchnięcie rapierem do góry, wbijając go w klatkę piersiową napastnika. Gdy wyjmował ostrze, obrócił je wokół własnej osi, rozpruwając narządy wewnętrzne mężczyzny.

Dwaj sereci, którzy zabili Fanena, ruszyli na Mau-vina. A ten znów podniósł miecz. Cały bok jednak miał zakrwawiony, ramię osłabione, a oczy szkliste. Po

policzkach spływały mu strugi łez. Już nie potrafił się skupić. Uderzył z szerokim zamachem. Bliżej stojący rycerz odbił jego rapier, a następnie obaj sereci podnieśli miecze.

Lecz nic więcej nie zdołali zrobić. To Hadrian dobiegł do nich i ściął im głowy. Ciała niedoszłych zabójców Mauvina upadły na pokrytą popiołem ziemię.

- Magnus, sprowadź tu szybko Tomasa! - krzyknął Hadrian.

- Niech przyniesie bandażę.

- Nie żyje - powiedział Theron, pochyliwszy się nad Fanenem.

- Wiem! - warknął Hadrian. - Mauvin też umrze, jeśli mu nie pomożemy.

Rozerwał tunikę Mauvina i przycisnął rękę do jego boku.

Spomiędzy palców wypływała mu krew. Mauvin dyszał i się pocił. Oczy miał wywrócone do góry i widać było tylko ich białka.

- Niech cię kule biją, Mauvin! - krzyknął Hadrian. - Dajcie mi kawałek materiału. Theron, daj mi cokolwiek.

Theron oderwał rękaw jednemu z seretów, którzy zabili Fanena.

- Więcej! - zażądał Hadrian.

Wytarł bok Mauvina, odnajdując niewielki otwór, z którego wypływała jasnoczerwona krew. Przynajmniej nie była ciemna, co zwykle zwiastowało natychmiastową śmierć.

Wziął kawałek materiału i przycisnął go do rany.

- Pomóż mi go posadzić - powiedział, gdy Theron wrócił z kolejnym pasem płótna.

Mauvin był teraz zwiotczały jak szmaciana lalka. Głowa opadła mu na bok.

Przybiegł Tomas z naręczem długich pasów materiału, które zostawiła mu Lena. Podnieśli Mauvina

i Tomas owinał tułów chłopaka bandażami, zaciskając je mocno. Krew przesiąkała przez płótno, ale już wolniej.

- Trzymaj jego głowę wyprostowaną - polecił Hadrian i Tomas przytulił Mauvina jak dziecko.

Hadrian spojrział na Fanena. Chłopak leżał na plecach, a plama ciemnej krwi wciąż się powiększała wokół jego ciała.

Hadrian wziął swoje miecze do splamionych krwią rąk i wstał.

- Gdzie jest Guy? - wycedził przez zaciśnięte zęby.

- Odjechał - odparł Magnus. - W trakcie walki wsiadł na konia i uciekł.

Hadrian znów spojrział na Fanena, a potem na Mauvina.

Zaczerpnął bardzo głęboko powietrza.

Tomas pochylił głowę i odmówił modlitwę za zmarłych: *Mariborowi polecam cię,*

I w ręce boga wysyłam cię.

Daj mu pokój, błagam cię,

I spoczynek, proszę cię.

Niech ludzi bóg cię chroni w podróży twej.

Potem spojrzął na niebo i powiedział cicho: - Zapadł zmrok.

Rozdział 13

Wizja czarnoksiężka

Arista nie chciała oddychać. Przy oddychaniu bowiem ścisnęła ją w dołku i czuła, jak żółć podchodzi jej do gardła.

Nad jej głową rozciągało się rozgwieżdżone niebo, ale pod sobą miała stos. Gilarabrywn ułożył swoje gniazdo z trofeów, makabrycznych pamiątek napadów i zabójstw.

Należały do nich górna część głowy z ciemnymi splątanymi włosami, połamane krzesło, stopa w bucie, częściowo przeżuty tułów, przesiąknięta krwią suknia i sine ramię wystające ze sterty, jakby ktoś machał na pożegnanie.

Stos powstał na czymś, co wyglądało jak otwarty balkon z boku wysokiej kamiennej wieży, ale nie było tam wyjścia.

Zamiast drzwi prowadzących do środka dostrzegła jedynie zarys przejścia. Fałszywa nadzieja tylko drażniła Aristę, która pragnęła, aby to były prawdziwe drzwi.

Siedziała z rękoma na kolanach, gdyż nie chciała niczego dotykać. Pod nią znajdowało się coś długiego i cienkiego jak gałąź. Było jej niewygodnie, ale nie śmiała się ruszyć. Nie chciała wiedzieć, co to jest. Starła się nie patrzeć w dół.

Zmuszała się do oglądania

gwiazd i horyzontu. Na północy zobaczyła las przedzielony srebrną wstęgą rzeki. Na południu rozciągały się olbrzymie obszary wody niknące w ciemności. Kącikiem oka dostrzegła coś, co przyciągnęło jej uwagę, i spojrzała w dół. Pożałowała tego na zawsze.

Uświadomiła sobie ze wzdygnięciem, że spała na stosie, ale nie zasnęła. Miała wrażenie, jakby się topiła - potworna groza tej myśli ją przytłaczała. Nie mogła sobie przypomnieć lotu ani większości wydarzeń tamtego dnia, ale pamiętała, że to widziała. Bestia leżała najwyżej kilkadziesiąt centymetrów od niej, wygrzewając się w popołudniowym słońcu. Arista gapiała się na stwora od wielu godzin, nie mogąc oderwać od niego oczu - śpiące przed nią narzędzie jej śmierci pochłaniało całą jej uwagę. Siedziała, bojąc się poruszyć lub odezwać.

Spodziewała się, że gdy stwór się obudzi, zabije ją - żeby dołożyć ją do stosu. Wpatrywała się w łuskowatą skórę, która marszczyła się przy każdym oddechu potwora, prześlizgując się po czymś, co

przypominało zebra. Arista czuła się, jakby szła po wodzie. Czuła pulsowanie krwi w głowie. Bezruch ją wycieńczał. Znow doznała wrażenia, jakby się topiła, i wszystko na szczęście pociemniało.

Teraz oczy miała znow otwarte, ale wielkiej bestii nie było.

Rozejrzała się - ani śladu po potworze.

- Jaszczur zniknął - powiedziała Thrace.

Po raz pierwszy od chwili ataku którakolwiek z nich się odezwała. Dziewczyna wciąż miała na sobie koszulę nocną, a siniak tworzył ciemną linię biegnącą w poprzek jej twarzy.

Chodziła po stosie na czworakach i ryła w nim jak dziecko w piaskownicy.

- Gdzie jest? - spytała Arista.

- Odleciała.

Księżniczka spojrzała do góry, omiatając wzrokiem gwiazdy. Nie dostrzegła żadnego ruchu. Gdzieś w pobliżu, gdzieś poniżej słyszała huk i szum. To nie był odgłos bestii.

Był zbyt monotony i dudniący.

- Gdzie jesteśmy? - spytała.

- Na szczycie Avemparthy - odparła Thrace, nie podnosząc głowy znad swoich makabrycznych wykopalisk. Sięgnęła ręką pod warstwę potłuczonego kamienia i odsunęła żelazny czajnik, odsłaniając poszarpany gobelin, który zaczęła ciągnąć.

- Co to jest Avempartha?

- Wieża.

- Aha. Co robisz?

- Pomyślałam, że może znajdę tu jakąś broń, która się nada do walki.

Arista zamrugła.

- Powiedziałaś „walki”?

- Tak, może sztylet albo kawałek szkła.

Arista nie uwierzyłaby, że to możliwe, gdyby to się jej nie przydarzyło, ale w tej chwili, gdy siedziała bezradnie, uwięziona na stosie rozczłonkowanych ciał, czekających na pożarcie przez potwora, wybuchnęła śmiechem.

- Kawalek szkła? Kawalek szkła? - zapiszczała. - Chcesz użyć sztyletu albo kawałka szkła do walki... z tym czymś?

Thrace skinęła głową, odsuwając na bok głowę kozła z rogami. Arista dalej patrzyła na nią z otwartymi ustami.

- Co mamy do stracenia? - spytała dziewczyna.

To pytanie świetnie oddawało ich sytuację. Niewątpliwą jej zaletą był fakt, że gorzej już być nie mogło. Nigdy w jej życiu nie było aż tak źle - nawet kiedy

Percy Braga budował stos, na którym zamierzał spalić ją żywcem, nawet kiedy krasnolud zamknął drzwi przed nią i Royce'em, gdy wisieli na linie w walącej się wieży. Niewiele nieszczęść można było przyrównać do świadomości, że człowiek zostanie za chwilę pożarty żywcem przez bestię.

Wprawdzie w pełni podzielała przekonanie Thrace, ale nie chciała się z tym pogodzić. Chciała wierzyć, że wciąż istnieje szansa.

- Nie uważasz, że bestia dotrzyma obietnicy? - spytała.

- Obietnicy ?

- Tej, którą dała diakonowi.

- Zrozumiałaś, co mówiła? - spytała dziewczyna, po raz pierwszy przerywając poszukiwania, żeby spojrzeć na księżniczkę.

Arista skinęła głową.

- Mówiła w starym języku imperialnym.

- Co powiedziała?

- Coś o wymienieniu nas za miecz, ale mogłam źle zrozumieć. Uczyłam się starej mowy w ramach religijnych studiów w Sheridanie i nigdy nie byłam w niej zbyt dobra.

Nie mówiąc już o tym, że przy bestii umierałam ze strachu.

Wciąż się boję.

Arista zobaczyła, że Thrace się zastanawia, i jej zazdrościła.

- Nie - stwierdziła w końcu dziewczyna. - Nie pozwoli nam żyć. Zabija ludzi. To właśnie robi. Zabiła moją matkę i brata, a potem moją bratową i bratanka. Zabiła moją najlepszą przyjaciółkę Jessie Caswell. Zabiła Daniela Halla. Nigdy tego nikomu nie mówiłam, ale myślałam, że kiedyś go poślubię.

Pewnego pięknego, jesiennego poranka znalazłam go przy ścieżce prowadzącej do rzeki. Ciało miał zmalretowane, ale twarz wciąż piękną. To mnie najbardziej zaniepokoiło. Miał

nietkniętą twarz, bez zadraśnięcia. Wyglądał, jakby spal pod sosnami, tylko że większa część jego ciała zniknęła. Bestia nas zabije. - Wzdrygnęła się pod wpływem podmuchu wiatru.

Arista zdjęła płaszcz.

- Proszę - powiedziała. - Tobie jest bardziej potrzebny.

Dziewczyna spojrzała na nią z uśmiechem wyrażającym zaskoczenie.

- Po prostu go weź! - warknęła księżniczka. Niewiele brakowało, by straciła panowanie nad sobą. - Psiakrew, chcę przynajmniej coś zrobić! - Drżącą ręką podała Thrace okrycie.

Dziewczyna zbliżyła się na czworakach i wzięła płaszcz.

Podniosła go i obejrzała, jakby znajdowała się w wygodnej garderobie.

- Jest bardzo piękny, taki ciężki.

Arista znów się roześmiała i pomyślała, jakie to dziwne przejść w jednej chwili od rozpacz do śmiechu. Jedna z nich na pewno postradła zmysły - a może nawet obie. Ale okryła dziewczynę i zapięła płaszcz na zapinkę.

- A już chciałam zabić Bernice... - przypomniała sobie chwilę, w której wychodziła ze swojego pokoiku. A potem pomyślała o Hilfredzie i służącej, kórą zostawiła. Nie. Której kazała zostać w pokoju. Czy przez nią zginęli? - Myślisz, że ktoś przeżył?

Dziewczyna kulnęła na bok głowę posągu i odsunęła pęknięty marmurowy blat stołu.

- Mój ojciec żyje - odparła wprost, kopiąc głębiej.

Arista nie zapytała, skąd Thrace to wie, ale jej uwierzyła. W

tej chwili uwierzyłaby we wszystko, co by od niej usłyszała.

Córka Wooda wykopała sporą dziurę w śmieciach, ale musiała jeszcze znaleźć lepszą broń od kości puszczelowej, którą odłożyła na bok z przerażającą obojętnością.

Księżniczka obserwowała to grzebanie w odpadkach z mieszaniną podziwu i niedowierzania.

Thrace odkryła piękne popękane lustro i usiłowała oderwać od niego poszczerbiony fragment, gdy Arista dostrzegła złoty błysk i wskazała miejsce palcem, mówiąc:

- Pod spodem coś jest.

Thrace odepchnęła lustro i wsunęła głębiej rękę. Wyjęła połówkę złamanego miecza z rękojeścią. Głowica była ozdobiona misternymi inkrustacjami ze srebra i złota oraz wysadzana wspaniałymi kamieniami szlachetnymi, które się skrzyły w świetle gwiazd. Chwyliła miecz za rękojeść i uniosła.

- Lekki - stwierdziła.

- Złamany - dodała Arista - ale lepszy od kawałka szkła.

Córka Wooda schowała miecz do wewnętrznej kieszeni płaszcza i kopała dalej. Natrafiła na główkę siekiery i metalową końcówkę wideł i odrzuciła oba te przedmioty.

Następnie pociągnęła za kawałek płótna i nagle znieruchomiała.

Arista nie chciała patrzeć, ale jeszcze raz poczuła wewnętrzny przymus. To była twarz kobiety - z zamkniętymi oczami i otwartymi ustami.

Thrace zakryła płótnem dziurę, którą wykopała. Odeszła na drugą stronę i usiadła. Przysunęła do piersi kolana, objęła je rękami i oparła na nich głowę. Jej ciałem wstrząsnęły dreszcze. Już więcej nie kopała. Obie siedziały w milczeniu.

Frr. Frr.

Gdy Arista usłyszała ten dźwięk, poczuła przyspieszone bicie serca. Napięła wszystkie mięśnie i nie śmiała podnieść wzroku. Uderzy! w nią silny podmuch powietrza z góry i przymknęła oczy, czekając na śmierć. Usłyszała, jak stwór ląduje, i czekała, aż ją zabije. Słyszała jego oddechy i wciąż czekała.

- *Wkrótce* - usłyszała jego głos. Otworzyła oczy.

Stwór siedział na stosie i dyszał zmęczony. Potrząsnął łbem, rozpryskując na wszystkie strony ślinę z ust, spod których wystawał las ostrych zębisk. Jego oczy, większe od dłoni Aristy, miały pionowe wąskie źrenice na marmurkowych, pomarańczowo-brązowych tęczówkach, w których odbijała się sylwetka księżniczki.

- *Wkrótce?* - Nie wiedziała, jak zdobyła się na odwagę, żeby się odezwać.

Ogromne oko mrugnęło, a jego źrenica się rozszerzyła, gdy stwór wbił wzrok w Aristę. Teraz ją zabije, ale przynajmniej to się skończy.

- *Znasz mą mowę?*

Głos był donośny i taki głęboki, że Arista poczuła drgania w klatce piersiowej. Jednocześnie skinęła głową i powiedziała:

-Tak.

Zobaczyła, jak Thrace po drugiej stronie unosi głowę z kolan i spogląda na nią.

- *Należysz do rodziny królewskiej - uznała bestia.*

- *Jestem księżniczką.*

- *Najlepsza przynęta* - powiedział gilarabrywn, ale Arista nie miała pewności, czy dobrze usłyszała. Mogło również chodzić o „największy prezent”. Wyrażenie było trudne do przetłumaczenia.

- *Dotrzymasz warunków umowy czy nas zabijesz?*

- spytała.

- *Przynęta pozostanie przy życiu, dopóki nie złapię złodzieja.*

- *Złodzieja?*

- *Tego, który zabrał miecz. Nadchodzi. Przeleciałem na tle tarczy księżycy, aby mylnie sądził, że ma drogę wolną, i wróciłem, frunąc nisko nad ziemią. Właśnie nadchodzi złodziej.*

- Co mówi? - spytała Thrace.

- Że jesteśmy przynętą na złodzieja, który ukradł miecz.

- Royce - powiedziała Thrace. Arista spojrzała na nią.

- Co powiedziałaś?

- Wynajęłam dwóch ludzi do tego zadania.

- Wynajęłaś Royce'a Melborna i Hadriana Blackwatera? -

spytała zaskoczona Arista.

-Tak.

- W jaki sposób... - zaczęła, ale porzuciła tę myśl.

- Stwórz wie, że Royce tu idzie - oznajmiła. - Udał, że odlatuje, pokazując mu się na niebie.

Nagle gilarabrywn nadstawił uszu, pochylając się w stronę fałszywych drzwi. Szybko, ale po cichu wstał i po łagodnym machnięciu skrzydłami oderwał się od podłoża. Złapał

unoszące się prądy powietrzne i wzniósł się nad wieżą. Thrace i Arista usłyszały odgłos kroków na kamieniu gdzieś poniżej.

Pojawiła się postać w czarnym płaszczu. Przeszła przez fałszywe drzwi z litego kamienia jak człowiek wynurzający się spod nieruchomej powierzchni stawu.

- To pułapka, Royce! - krzyknęły równocześnie. Postać się nie ruszyła.

Arista usłyszała szum powietrza omiatającego skórzaste skrzydła, a potem nagle postać rozjarzyła się silnym światłem.

To wszystko odbyło się bez jednego dźwięku czy ruchu, jakby w miejscu człowieka pojawiła się gwiazda tak jasna, że oślepiła wszystkich swoim blaskiem. Arista przymknęła z bólu oczy i usłyszała nad głową skrzek gilarabrywna. Poczuła na ciele raptowne podmuchy powietrza, gdy bestia zatrzepotała skrzydłami, przerywając swój lot nurkowy.

Światło było krótkotrwałe. Raptem przygasło, choć nie zniknęło całkowicie, i niebawem ukazał się człowiek w migoczącej szacie.

-TY!

Bestia obrzuciła go przekleństwami, a jej głos był taki tubalny, że wieża zadrżała. Wisiała nad nimi w powietrzu, łopocząc wielkimi skrzydłami.

- *Umknąłeś ze swej klatki, bestio z Eńvanu, łowco Na-reiona!* - krzyknął Esrahaddon w starej mowie. - *Ja cię do niej odeślę!*

Czarnoksiężnik uniósł ramiona, ale zanim wykonał

następny ruch, gilrabrywn wydał pisk i cofnął się ze zgrozą.

Wzniósł się nieco, ale jeszcze w ostatniej chwili wysunął

pazur i porwał Thrace z wieży, po czym zanurkował i zniknął

im z oczu. Arista podbiegła do poręczy i spojrzała przerażona w dół. Po bestii i Thrace nie było śladu.

- Nie możemy jej pomóc - powiedział czarnoksiężnik ze smutkiem.

Arista odwróciła się i zobaczyła obok siebie Esrahaddona i Royce'a Melborna. Obaj spoglądali nad krawędzią na ciemną rzekę, która huczała w dole.

- Jej los spoczywa teraz w rękach Hadriana i jej ojca.

Arista zacisnęła ręce na poręczy. Znów miała wrażenie, jakby się topiła. Royce chwycił ją za nadgarstek.

- Nic ci nie jest, Wasza Wysokość? Strasznie tu wysoko.

- Sprowadźmy ją - powiedział Esrahaddon. - Drzwi, Royce, drzwi.

- No jasne - odparł złodziej. - *Wstępu udziel Ariście Essendon, księżniczce [Melengaru](#).*

Sklepienie przejście przemieniło się w prawdziwe drzwi, które stały otworem. Weszli do małego

pomieszczenia. Z dala od stosu i bezpieczna za murami Arista w końcu poczuła skutki stresu i musiała usiąść, ale zanim zdążyła to zrobić, upadła. Ukryła twarz w dłoniach i lamentowała:

- Dobry Mariborze. Biedna Thrace!

- Może jeszcze wyjdzie z tego cało - pocieszył ją czarnoksiężnik. - Hadrian i jej ojciec czekają ze złamanym mieczem.

Kołysała się, płacząc, ale rozpacziała nie tylko z powodu Thrace. Łzy przerwały tamę, która nie mogła już się opierać zalewowi gwałtownych uczuć. Pomyślała o Hilfredzie i tym ostatnim niewypowiedzianym słowie, o Bernice i o tym, w jaki sposób ją potraktowała. Tego wszystkiego nie dało się wyrazić słowami. Eksplodowała więc emocjami, krzycząc:

- Miecz?! Jaki miecz?! O co chodzi z tym mieczem?! Nie rozumiem!

- Ty wyjaśnij - poprosił Royce czarnoksiężnika. - Ja muszę znaleźć drugą połówkę.

- Nie ma jej tam - powiedziała Arista.

- Co takiego?

- Powiedziałeś, że miecz jest złamany? - spytała.

- Na dwie części. Wczoraj ukradłem połówkę ze sztychem, a teraz muszę zdobyć drugą z rękojeścią. Jestem prawie pewny, że jest w tamtym stosie na górze.

- Nie - zaprzeczyła Arista zaskoczona tym, że wciąż potrafi kojarzyć fakty. - Już nie.

*

Czarnoksiężnik prowadził ich w dół po długich kryształowych schodach, zatrzymując się od czasu do czasu, żeby zajrzeć do jakiegoś korytarza albo na klatkę schodową.

Zastanawiał się przez chwilę, kręcił głową i ruszał dalej na wprost lub mamrotał: „No tak!” - i skręcał.

- Gdzie jesteśmy? - spytała.

- W Avemparcie - odparł czarnoksiężnik.

- Tyle to już wiem. Ale czym jest Avempartha? I tylko nie mów, że wieżą.

- To elficka budowla wzniesiona kilka tysięcy lat temu. W

bliższych nam czasach była miejscem uwięzienia gilarabrywna, a w jeszcze bliższych - najwidoczniej jego gniazdem. To coś wyjaśnia?

- Nie bardzo.

Choć Arista była zakłopotana, czuła się już lepiej. Zdziwiła się, jak łatwo człowiek zapomina. Wydawało jej się to nawet niewłaściwe. Powinna myśleć o tych, których już nie było.

Powinna się smucić, ale jej umysł bronił się przed tym. Jak pęknięta gałąź, odmawiająca dalszego dźwigania ciężaru, jej serce i umysł pragnęły ulgi. Potrzebowała odpoczynku, czegoś innego, o czym mogłaby myśleć, czegoś, co nie wiązało się ze śmiercią i nieszczęściem. Lekarstwem okazała się Avempartha. To było zdumiewające.

Esrahaddon prowadził ich przez wewnętrzne mosty między wydrążonymi w środku szpicami, do góry i na dół po schodach oraz przez wielkie sale. Nie paliła się tu ani jedna pochodnia ani latarnia, ale Arista wszystko świetnie widziała, gdyż same ściany emitowały łagodne niebieskie światło.

Sklepione sufity na wysokości trzydziestu metrów przypominały leśne baldachimy, a wyryte na nich zawile wzory kojarzyły się z gałęziami i liśćmi. Wzdłuż chodników i schodów biegły poręcze, które wyglądały jak wąsy winorośli misternie wyrzeźbione w litym kamieniu. Każdy centymetr powierzchni nasycony był pięknem w postaci starannie wykonanych zdobień.

Arista szła z otwartą buzią i przenosiła wzrok z jednego cudu na drugi - z gigantycznego posągu przedstawiającego wspaniałego łabędzia wzlatującego w powietrze na bulgoczącą fontannę w kształcie ławicy ryb. Przypomniła sobie barbarzyński prymitywizm zamku Rosworta i pogardę króla dla elfów - istot, które przyrównał do szcurów w stercie drewna. Niezła sterta drewna, pomyślała.

Rozbrzmiewała tu swoista muzyka. Przytłumiony szum wodospadu tworzył przyjemne basowe tło. Wiatr przelatujący między szpicami wieży grał jak instrumenty dęte drewniane w orkiestrze - tony były łagodne i uspokajające. Odgłosy bulgotania i kapania wody w fontannach nadawały symfonii miłego dla ucha rytmu. Harmonię tę burzył tylko głos Esrahaddona opowiadającego o swoich pierwszych odwiedzinach w tej wieży wiele wieków temu i o tym, jak pochwycił bestię w pułapkę.

- Pokonałeś gilarabrywna dziewięćset lat temu - powiedziała - i znów chcesz go tu uwięzić?

- Nie - wyznał Esrahaddon. - Nie mam rąk, zapomniałaś?

Nie mogę rzucić takiego potężnego zaklęcia wiążącego bez użycia palców. Powinnaś o tym wiedzieć lepiej niż inni.

- Zrozumiałam, że chcesz go znów zamknąć w klatce.

- Gilarabrywn nie wie, że Esra nie ma rąk, prawda?

- wtrącił Royce.

- Bestia mnie zapamiętała - ciągnął czarnoksiężnik.

- Przyjęła, że jestem tak samo potężny jak dawniej, a to oznacza, że oprócz miecza jestem jedyną rzeczą, której się lęka.

- Chciałeś ją tylko odstraszyć?

- Taki był mój pomysł.

- Próbowaliśmy zdobyć miecz i mieliśmy nadzieję, że przy okazji zdołamy także uratować was obie - wyjaśnił Royce. -

Nie spodziewałem się, że złapie Thrace, i do głowy mi nie przyszło, że dziewczyna ma przy sobie miecz. Jesteś pewna, że zabrała ze stosu połówkę z rękojeścią?

- Tak, to ja ją zauważyłam. Ale wciąż nie rozumiem, jak ma nam pomóc. Gilarabrywn nie jest czarem, to potwór, którego musi zabić spadkobierca i...

- Słuchałaś Kościoła. Gilarabrywn jest magicznym tworem.

Miecz to broń przeciwko niemu.

- Miecz? To nie ma sensu. Miecz jest metalowym przedmiotem.

Esrahaddon uśmiechnął się mile zaskoczony.

- A więc uważałaś na moich lekcjach. Wyśmienicie. Masz rację, miecz jest bezwartościowy. Ale moc anulowania czaru posiada słowo napisane na klindze. Ostrze zatopione w ciele bestii rozłączy elementy, dzięki którym potwór istnieje, i przerwie zaklęcie.

- Szkoda że to nie ty wzięłaś miecz. Mielibyśmy czym walczyć ze stworem.

- Przynajmniej mnie ocaliliście - przypomniała im Arista. -

Dziękuję.

- Nie dziękuj nam przedwcześnie - powiedział Royce. -

Stwór wciąż jest na wolności.

- A więc Thrace wynajęła Royce'a. Chociaż nie mam pojęcia, jak to się jej udało. Ale wciąż nie rozumiem, dlaczego ty tu jesteś, Esra - przyznała.

- Żeby odnaleźć spadkobiercę.

- Nie ma spadkobiercy - powiedziała. - Wszyscy uczestnicy konkursu zapewne zginęli. Ten potwór wszystko zniszczył.

- Nie mówię o tej głupocie, ale o prawdziwym spadkobiercy Novrona.

Czarnoksiężnik doszedł do rozwidlenia w kształcie litery T i skręcił w lewo, zmierzając do schodów, które znów prowadziły w dół.

- Chwileczkę - zatrzymał ich Royce. - Nie przyszedliśmy tą drogą.

- My nie, ale ja tak. Royce rozejrzał się dokoła.

- Nie, to nie tak powinno być. Pozwoliłem ci prowadzić, ale ty najwyraźniej nie masz pojęcia, gdzie jest wyjście.

- Nie prowadzę was do wyjścia.

- Co takiego? - spytał Royce.

- Nie wychodzimy - odparł czarnoksiężnik. - Idę do Valentryne'u Layartrenu, a wy razem ze mną.

- Może wyjaśnisz dlaczego - rzekł zirytowany Royce. - W

przeciwnym razie możesz się przeliczyć co do nas.

- Wyjaśnię po drodze.

- Teraz - uparł się Royce. - Mam do wyboru kilka innych spotkań.

- Nie możesz pomóc Hadrianowi - zauważył czarnoksiężnik. - Gilarabrywn jest już w wiosce. Hadrian albo nie żyje, albo jest bezpieczny. Nie zmienisz tego. Nie możesz pomóc jemu, ale mnie tak. Niemal całe dwa ostatnie dni próbowałem się dostać do Valentryne'u Layartrenu, ale bez twoich rąk, Royce, nie mogę go osiągnąć. W pojedynkę potrzebowałbym na to pewnie tygodni, ale z Aristą możemy to wszystko zrobić dziś wieczorem. Maribor uznał za stosowne przysłać was oboje do mnie dokładnie w tym momencie, w którym potrzebuję was najbardziej.

- Valentryne Layartren - mruknął Royce. - To po elficku

„wizja czarnoksiężska”, prawda?

- Brawo, Royce - pochwalił go Esrahaddon. - Powinieneś bardziej zainteresować się swoimi korzeniami.

- Korzeniami? - spytała Arista skonfundowana, ale nie zwrócili na nią uwagi.

- Nie możesz nic zrobić dla ludzi w wiosce, lecz możesz pomóc mi w dokonaniu tego, po co tu przyszedłem. Po to cię tu sprowadziłem.

- Potrzebujesz naszej pomocy w odnalezieniu prawdziwego spadkobiercy imperium?

- Zwykle jesteś błyskotliwszy, Royce. Jestem zawiedziony.

- Myślałem, że trzymasz to w tajemnicy.

- Tak było, ale okoliczności zmusiły mnie do ponownego rozważenia sprawy. A teraz przestań już się

tak upierać i chodź ze mną. Pewnego dnia może cofniesz się pamięcią do tej chwili i pomyślisz o tym, jak zmieniłeś bieg spraw świata, zwyczajnie schodząc po tych stopniach.

Royce wciąż się wahał.

- Zastanów się - przekonywał go Esrahaddon. - Co możesz dla niego zrobić?

Royce nie odpowiedział.

- Jeśli zbiegniesz po schodach, pognasz przez tunel i wypłyniesz przy lesie, a potem zabijesz się, pędząc do wioski

- to co to da? Nawet jeśli w cudowny sposób zdołasz tam dotrzeć przed śmiercią Hadriana - co to pomoże? Będziesz tam stał, wycieńczony i ociekający wodą. Nie masz miecza.

Nie możesz zranić stwora. Nie możesz go przestraszyć.

Wątpię, czy w ogóle zwróci na ciebie uwagę. Ale jeśli tak, to jedynie na chwilę. Jeśli pójdziesz tam, to tylko po bezsensowną śmierć. Los Hadriana nie spoczywa w twoich rękach. Wiesz, że mam rację, bo inaczej już byś mnie nie słuchał. A teraz skończ wreszcie z tym uporem.

Royce westchnął.

- Bogom niech będą dzięki - powiedział czarnoksiężnik. -

Ruszajmy.

- Chwileczkę - zatrzymała ich Arista. - Ja tu nie mam nic do powiedzenia?

Czarnoksiężnik spojrzał na nią przez ramię.

- Wiesz, jak stąd wyjść?

- Nie - odrzekła.

- To nie masz nic do gadania - potwierdził. - A teraz proszę, już dość zmarnowaliśmy czasu, chodźcie za mną.

- Pamiętam cię nieco miłszego! - krzyknęła Arista do Esrahaddona.

- A ja pamiętam was zdecydowanie szybszych. Ruszyli, schodząc coraz głębiej do środka wieży. Po drodze Esrahaddon podjął opowieść:

- Większość ludzi wierzy, że tę wieżę zbudowały elfy jako twierdzę obronną na czas wojen z Novronem. Pewnie oboje się domyśliliście, że to nieprawda. Ta wieża jest starsza od Novrona o wiele tysięcy lat. Inni sądzą, że miała służyć obronie przed morskimi chochlikami, niesławnymi Ba Ran Ghazelami, tylko że to też nieprawda, bo wieża stała tu, także zanim one się pojawiły.

Powszechnym błędem jest przekonanie, że to forteca - taki jest ludzki tok myślenia.

Prawda jest taka, że elfy żyły eony przed ludźmi czy chochlikami, a może nawet przed pojawieniem się krasnoludów na świecie. W tamtych czasach fortece nie były im potrzebne.

Nie miały nawet słowa na określenie wojny, bo wszelkie wewnętrzne konflikty rozstrzygał róg Gylindora. Tak, to nie był fort obronny, strzegący jedyne go przejścia na rzece Nidwalden, choć wiele wieków później do tego właśnie był z pewnością wykorzystywany. Na początku wieżę tę pomyślano jako ośrodek sztuki.

- Ma na myśli magię - wyjaśniła Arista.

- Wiem, co ma na myśli.

- Przyjeżdżali tu z całego świata elf i mistrzowie, żeby studiować i ćwiczyć zaawansowaną sztukę. Nie była to jednak szkoła. Sama budowla jest olbrzymim narzędziem, jak gigantyczny piec dla kowala, tylko że działa jako element ogniskujący. Wodospad pełni funkcję źródła mocy, a liczne szpice są jak czulki konika polnego albo wibrysy kota - są skierowane na świat i czują oraz przyciągają do tego miejsca najgłębszą istotę istnienia. Ta wieża to gigantyczna dźwignia z punktem podparcia, która pozwala sztukmistrzowi zwielokrotnić swoją moc do niewyobrażalnych rozmiarów.

- Wizja czarnoksiężka... - powiedział Royce. - Dzięki niej odnajdziesz spadkobiercę?

- Niestety, nawet Avempartha nie ma aż takiej mocy. Nie mogę znaleźć czegoś, czego nigdy nie widziałem albo co do czego nie mam pewności, że istnieje. Mogę jednak odnaleźć coś, co bardzo dobrze znam i co sam stworzyłem z myślą o tym, żeby to później odszukać. Przed dziewięcioma wiekami -

ciągnął czarnoksiężnik - gdy Jerish i ja postanowiliśmy się rozdzielić, żeby ukryć Nevrika, zrobiłem dla nich amulety, które służyły dwóm celom. Po pierwsze miały ich chronić przed sztuką, nie dopuszczając do tego, aby odnalazł ich ktoś o zdolnościach jasnowidzenia, a po drugie miały zapewnić mi możliwość wyśledzenia ich po znaku, który tylko ja umiem rozpoznać. Oczywiście Jerish i ja przyjęliśmy, że zebranie grupy lojalistów w celu przywrócenia imperatora zajmie tylko kilka lat, ale wszyscy wiemy, że stało się inaczej.

Mogę mieć jedynie nadzieję, że Jerish był dostatecznie rozgarnięty, by nakłonić potomków spadkobiercy do przechowywania naszyjnika w bezpiecznym miejscu i przekazywania go z pokolenia na pokolenie. Chociaż może oczekuję zbyt wiele... Cóż, kto mógł przypuszczać, że tak długo pożyję?

Przeszli przez kolejny wąski most przerzucony nad niepokojąco głęboką rozpadliną. Nad nimi wisiało kilka kolorowych sztandarów z wyhaftowanymi obrazami i dużymi, pojedynczymi elfickimi literami. Arista zauważyła, że Royce im się przygląda, poruszając ustami, jakby próbował czytać. Po drugiej stronie dotarli do kamienia z wyrytym zarysem wysokiego, ozdobionego ornamentami wejścia, ale nie było żadnych drzwi.

- Royce, z łaski swojej...

Złodziej wystąpił, położył ręce na wypolerowanym kamieniu i nacisnął na niego.

- Co on robi? - spytała Arista.

Esrahaddon odwrócił się i spojrzał na Royce'a. Przez chwilę złodziej stał przed nimi, zakłopotany, po czym wyjaśnił:

- Avempartha ma magiczne zabezpieczenie uniemożliwiające wejście każdemu, kto nie ma elfiej krwi. Każdy zamek działa tu tak samo. Z początku myśleliśmy, że mogą wejść tylko ja i Esra, bo zaproszono go tu przed wieloma laty, ale okazało się, że do wejścia wystarczy zaproszenie elfa. Esra odnalazł dokładne elfie sformułowanie, którego musiałem nauczyć się na pamięć, aby móc zapraszać. W ten sposób wprowadziłem ciebie.

- No właśnie... - Esrahaddon wskazał na kamienny łuk.

- Przepraszam - powiedział Royce i dodał wyraźnie: -

Melentanaria, en venau rendin Esrahaddon, en Arista Essendon adona Melengar.

Arista zrozumiała to jako: „Udziel wstępu czarnoksiężnikowi Esrahaddonowi i Ariście Essendon, księżniczce Melengaru”.

- To stara mowa - stwierdziła.

- Zgadza się. - Esrahaddon skinął głową. - Między elfickim a starożytnym imperialnym jest wiele podobieństw.

-Jej!

Spoglądając znów na sklepione wejście, Arista nagle zobaczyła otwarte drzwi.

- Wciąż jednak nie rozumiem, jakim cudem możesz nam udzielać... - urwała z otwartą buzią. - Ale ty wcale nie wyglądzasz...

- Jestem mir.

- Słucham?

- Mieszaniec - wyjaśnił Esrahaddon. - W jego żyłach płynie krew elfia i ludzka.

-Ale ty nigdy...

- Takimi rzeczami nikt się nie chwali - oświadczył złodziej.

- I byłbym ci wdzięczny, gdybyś zachowała to dla siebie.

- Oczywiście.

- Chodźcie, Arista musi jeszcze odegrać swoją rolę -

oznajmił Esrahaddon, wchodząc.

Znaleźli się w dużej, idealnie okrągłej komnacie, jakby weszli do gigantycznej kuli. W odróżnieniu od reszty wieży tego pomieszczenia w ogóle nie ozdobiono. Była to po prostu ogromna sala o gładkich ścianach bez łączeń, pęknięć czy szczelin. Wyróżniały ją tylko zygzakowate schody wznoszące się od podłogi do podestu, który znajdował się dokładnie na środku kuli.

- Przypominasz sobie plesjantyczne zaklęcia, których cię uczyłem, Aristo? - spytał czarnoksiężnik, kiedy wchodzili po stopniach. Jego głos rozbrzmiewał donośnym echem, odbijając się od ścian.

- Mmm... te...

- Tak czy nie?

- Zastanawiam się.

- Szybciej. Nie ma czasu na powolne myślenie.

- Tak, pamiętam. Zrobiłeś się jednak naprawdę drażliwy.

- Na przeprosiny będzie czas później. Gdy tam wejdziemy, staniesz na środku podestu, na znaku zaznaczonym na podłodze jako wierzchołek, i zaczniesz je recytować bez przerywania. Zacznij od zaklęcia przywołującego.

Prawdopodobnie poczujesz trochę większe

szarpnięcie niż normalnie, bo to miejsce spotęguje twoją moc w celu zebrania sił. Nie wpadaj jednak w panikę i nie przerywaj, a przede wszystkim - bez względu na wszystko -

nie krzycz.

Arista spojrzała bojaźliwie na Royce'a.

- Gdy poczujesz, jak przez twoje ciało zacznie przepływać moc, zacznij zaklęcie napinające. Będziesz musiała utworzyć z palców kryształową osnowę, uważając, aby skierować je do wewnątrz, a nie na zewnątrz.

- A więc moje kciuki mają być skierowane na zewnątrz, a palce mają wskazywać na mnie, tak?

- Zgadza się - potwierdził poirytowany Esrahaddon. - To są podstawy, Aristo.

- Wiem, wiem. Po prostu minęło trochę czasu. Byłam zajęta pełnieniem funkcji ambasadorki Melengaru. Nie siedziałam i nie ćwiczyłam w swojej wieży zaklęć.

- A więc marnowałaś lekkomyślnie czas?

- Nie - zaprzeczyła z rozdrażnieniem.

- Po ukończeniu osnowy - ciągnął czarnoksiężnik -

zwyczajnie ją trzymaj. Przypomnij sobie techniki koncentracji, których cię uczyłem, i skup się na tym, aby osnowa była równomierna i stabilna. W tym momencie wniknę w twoje pole mocy i przeprowadzę poszukiwania.

Prawdopodobnie w tej komnacie zaczną się dziać niezwykle rzeczy. W różnych miejscach ukażą się obrazy i wizje, może nawet usłyszysz dźwięki. I znów: nie wpadaj w panikę, ich tu naprawdę nie ma, to będą tylko echa mojego umysłu.

- Czy to znaczy, że wszyscy będziemy mogli zobaczyć prawdziwego spadkobiercę? - spytał Royce, gdy dotarli na górę.

Esrahaddon skinął głową.

- Chciałem to zachować dla siebie, ale los uznał za stosowne zarządzić inaczej. Po odnalezieniu magicznego pulsowania amuletów skupię się na ich właścicielach, którzy prawdopodobnie ukażą się jako największy obraz w tej komnacie, ponieważ będę się koncentrował na ustaleniu nie tylko kto je nosi, lecz również gdzie są.

Podest był tylko nieznacznie zakurzony i bez trudu widzieli zaznaczone na podłodze linie podobne do promieni słonecznych zbiegających się w jednym punkcie, dokładnie na środku podium.

- Jest ich kilku? - spytała Arista, zajmując pozycję.

- Były dwa naszyjniki. Ten, który dałem Nevrikowi, będzie amuletem spadkobiercy, a drugi, który otrzymał Jerish, będzie własnością strażnika przybocznego. Jeśli wciąż istnieją, powinniśmy zobaczyć oba. Prosiłbym, abyście nikomu nie opowiadali, czego świadkami będziecie, bo narazilibyście życie spadkobiercy na ogromne niebezpieczeństwo, i prawdopodobnie zagroziłoby to przyszłości takiej ludzkości, jaką znamy.

- Te wasze czarnoksiężskie skłonności aktorskie. - Royce przewrócił oczami. - Wystarczyłoby proste: „Trzymajcie buzię na kłódkę”.

Esrahaddon uniósł brew, spoglądając na złodzieja, po czym odwrócił się do Aristy i powiedział:

- Zaczynaj.

Arista się zawahała. Sauly musiał się mylić. Całe to gadanie o tym, że spadkobierca jest dostatecznie potężny, by ujarzmić ludzkość, miało ją tylko przestraszyć, aby zgodziła się dla nich szpiegować. Kolejnym kłamstwem były jego ostrzeżenia, że Esrahaddon jest demonem. Z pewnością był tajemniczy, ale nie zły.

Dziś uratował jej życie. A co zrobił Saul? Ile dni przed śmiercią Baga wiedział...i nic nie zrobił?
Zbyt wiele.

- Aristo? - ponaglił ją Esrahaddon.

Skinęła głową, uniosła ręce i zaczęła wypowiadać zaklęcia.

Rozdział 14

O zmroku

Hadrian i Theron stali na ruinach dworu ponad tym, co kiedyś było wioską, miejscem niezliczonych nadziei pogrzebanych w popiele i szczątkach.

Nocny wiatr głąaskał szczyt wzgórza. Theron poczuł jego dotyk na skórze i przypomniał sobie nieprzyjemny powiew, który poczuł tej nocy, kiedy zginęła jego rodzina. Tej nocy, kiedy przybiegła do niego Thrace. Wciąż ją widział, jak pędzi po zboczu Kamiennego Wzgórza, szukając bezpieczeństwa w jego ramionach. Myślał wtedy, że to najgorszy dzień w jego życiu. Przeklął ją, że do niego przyszła, winił za śmierć bliskich. Zrzucił na nią całą żalność i rozpacz, których nie potrafił udźwignąć. Była jego dziewczynką - zawsze za nim chodziła, a kiedy jak zwykle ją odpędzał, trzymała się za nim w pewnej odległości, obserwując go i naśladując jego ruchy i słowa. To Thrace śmiała się, gdy robił miny, płakała, gdy był

zraniony, siedziała przy jego łóżku, gdy leżał w gorączce. A on nigdy nie miał dobrego słowa dla córki. Nie pamiętał, aby kiedykolwiek poklepał ją po ramieniu albo pochwalił. Ani razu jej nie powiedział, że jest z niej dumny. Przez większość czasu w ogóle jej nie zauważał. Lecz z radością oddałby życie, aby tylko jeszcze raz zobaczyć, jak jego mała dziewczynka do niego biegnie.

Stał ramię w ramię z Hadrianem i ukrywał pod ubraniem złamane ostrze, gotowy momentalnie je wyjąć, żeby w razie potrzeby ugodzić bestię. Hadrian miał fałszywą klingę zrobioną przez krasnoluda i też ją ukrywał, tłumacząc, że gdyby gilarabrywn z góry wiedział, gdzie jest jego nagroda, mógłby nie respektować warunków wymiany. Magnus i Tobis czekali niżej na zboczu, ukryci za zasłoną zrobioną ze szczątków, natomiast Tomas usiłował zapewnić jak największą wygodę Hilfredowi i Mauvinowi u podnóża wzgórza.

Księżyc wszedł ponad drzewami, ale bestii wciąż nie było. Dogasały pochodnie, które Hadrian rozstawił wokół

wzgórza. Paliło się tylko kilka, lecz to nie miało znaczenia, gdyż księżyc świecił jasno i bez baldachimu z liści nad głową mieli tak dobrą widoczność, że mogliby nawet czytać książkę.

- Może nie przyleci - powiedział Tomas, wspinając się do nich. - Może to nie miało być dzisiaj albo się przesłyszałem.

Nigdy nie byłem zbyt dobry w starej mowie.

- Co z Mauvinem? - spytał Hadrian.

- Krwawienie ustało. Teraz śpi spokojnie. Okryłem go kocem i zrobiłem mu poduszkę z zapasowej koszuli. On i żołnierz Hilfred powinni...

Obrócili głowy, słysząc skrzek. Ku swojemu zdumieniu Theron zobaczył eksplozję białego światła na szczycie wieży.

Blask zniknął równie szybko, jak się pojawił.

- W imię Maribora, cóż to było? - spytał Theron. Hadrian pokręcił głową.

- Nie wiem, ale gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że Royce maczał w tym palce.

Rozległ się kolejny krzyk gilarabrywna, tym razem głośniejszy.

- Cokolwiek to było - zauważył Hadrian - chyba zmierza w naszym kierunku.

Usłyszeli za plecami Tomasa, który się modlił.

- Pomódl się za Thrace, Tomas - poprosił Theron.

- Modłę się za nas wszystkich - odparł duchowny.

- Hadrianie - powiedział Theron. - Gdybym przypadkiem nie przeżył, a ty tak, zaopiekuj się Thrace, dobrze? A jeśli ona też zginie, dopilnuj, żeby pochowano nas w moim gospodarstwie.

- A jeśli ja umrę, a ty przeżyjesz - odparł Hadrian

- dopilnuj, żeby sztylet, który mam zatknięty za pasem, wrócił do Royce'a, zanim ukradnie go krasnolud.

- I to wszystko? - spytał gospodarz. - Gdzie mamy cię pochować?

- Nie chcę być pochowany - odpowiedział Hadrian.

- Jeśli umrę, chyba chciałbym, aby moje ciało puszczono z prądem rzeki. Kto wie, może dotarłbym do morza?

- Życzę ci powodzenia - wyszeptał Theron. Nagle ucichły wszystkie odgłosy nocy z wyjątkiem szmeru wiatru.

Tym razem nie było lasu, który przesłaniałby widok, i Hadrian dostrzegł nadlatującego stwora. Jego szerokie ciemne skrzydła były rozciągnięte jak u ptaka, chude cielsko skręcało się, a ogon młócił powietrze. Gdy stwór się zbliżył, nie zapikował. Nie zionął ogniem ani nie wylądował. Krążył

tylko w milczeniu po elipsie.

Dostrzegli, że nie jest sam. Trzymał w szponach kobietę. Z

początku Theron jej nie rozpoznał. Miała na sobie bogato zdobioną suknię, ale jej włosy były

w odcieniu rudawym jak u Thrace. Przy drugim przelocie stwora Wood wiedział już, że to jego córka. Ogarnęła go fala ulgi, lecz również niepokoju. Co się stało z księżniczką?

Po kilku okrążeniach bestia zniżyła lot jak latawiec i dotknęła miękko ziemi. Wylądowała na wprost nich, w odległości nie większej niż pięćdziesiąt metrów, na miejscu zawalonego dworu. Thrace żyła.

Była uwięziona w ogromnej, umięśnionej stopie pokrytej łuskami i zakończona czterema czarnymi pazurami.

- Tatusiu! - zawołała zapłakana.

Na widok córki Theron skoczył naprzód. Gilarabrywn natychmiast zacisnął stopę i dziewczyna krzyknęła. Hadrian chwycił Theroną i odciągnął go do tyłu.

- Zaczekaj! Zabije ją, jeśli podejdziesz za blisko. Bestia spojrzała na nich groźnie gadzimi ślepiami, a potem się odezwała. Ani Theron, ani Hadrian nie zrozumieli z tego nawet jednego słowa.

- Tomas! - zawołał przez ramię Hadrian. - Co mówi ten jaszczur?

- Nie jestem zbyt dobry w... - zaczął diakon.

- Nie obchodzi mnie, jak sobie radziłeś na seminarium z gramatyki, po prostu tłumacz.

- Chyba powiedział, że wybrał kobiety, bo to najlepsza zachęta do współpracy.

Stwór znów przemówił i Tomas już nie czekał na rozkaz Hadriana.

- Pyta, gdzie jest skradziony miecz. Hadrian spojrzał na Tomasa.

- Zapytaj, gdzie jest druga kobieta.

Tomas przetłumaczył pytanie i bestia odpowiedziała.

- Mówi, że uciekła.

- Zapytaj, skąd mam wiedzieć, czy puści nas wszystkich żywych, jeśli mu powiem, gdzie jest miecz.

Tomas znów przetłumaczył i bestia odpowiedziała.

- Mówi, że uczyni gest dobrej woli, bo wie, że ma nad tobą przewagę i rozumie twoje zaniepokojenie.

Stwór puścił Thrace, która popędziła do ojca. Serce Theroną mocniej zabito, gdy jego mała dziewczynka biegła przez wzgórze w jego otwarte ramiona. Przytulił ją mocno i wytarł

jej łzy.

- Theronie - powiedział Hadrian. - Zabierz ją stąd.

Wracajcie do studni, jeśli zdołacie.

Wood i jego córka nie sprzeciwili się i gilarabrywn obserwował uważnie swoimi wielkimi ślepiami, jak zaczynają uciekać. Następnie znów się odezwał.

- Gdzie jest miecz? - przetłumaczył Tomas.

*

Spoglądając na górującą bestię i czując pot ściekający mu po twarzy, Hadrian wyjął fałszywą klingę z rękawa i ją podniósł. Oczy gilarabrywna się zwęziły.

- Podaj mi - przetłumaczył jego słowa Tomas. Nadeszła chwila prawdy. Hadrian poczuł metal w rękach.

- Oby to zadziało - szepnął do siebie i rzucił miecz, który wylądował w popiele przed bestią. Gilarabrywn spojrzał na broń i Hadrian wstrzymał oddech. Bestia położyła stopę na klindze i wzięła ją w długie szpony, a potem spojrzała na Hadriana i oznajmiła:

- Umowa sfinalizowana. Ale...

-Ale? - powtórzył Hadrian nerwowo za Tomaszem. - Ale co?

- Mówi - głos osłabł Tomasowi - że nie może pozostawić przy życiu tych, którzy widzieli choćby tylko połowę jego imienia.

- Ty draniu - zaklął Hadrian, zdejmując z pleców swój wielki miecz. - Uciekaj, Tomas!

Gilarabrywn wzniósł się w powietrze, trzepocząc skrzydłami i wzbijając chmurę popiołu. Gwałtownym ruchem wyciągnął leb do przodu jak atakujący wąż. Hadrian uskoczył

na bok, obracając się przy tym i uderzając w bestię mieczem.

Zamiast poczuć, jak sztych zagłębia się w cielsku, Hadrian z konsternacją stwierdził, że czubek ostrza ześlizgnął się po luskowatej skórze, jakby gilarabrywn był z kamienia.

Zaskoczony tym poluźnił uchwyt i miecz wypadł mu z ręki.

Gilarabrywn nie traci! ani chwili i machnął ogonem, jakby kosi! trawę. Długi, ostry kolec na końcu świsnął, przecinając powietrze pół metra nad ziemią. Hadrian przeskoczył nad nim i ogon odbił się od zbocza, wbijając w zwęglone drewno.

Stwór jeszcze raz machnął nim energicznie i wążąca kilkaset kilogramów kłoda poleciała daleko, ginąc w ciemnościach.

Hadrian sięgnął ręką pod tunikę i wyjął z pochwy Alverstone'a. Ugiął nogi w kolanaach jak nożownik na ringu i przeniósł ciężar ciała na przednie części stóp, czekając na kolejny atak.

Gilarabrywn ponownie zamachnął się na niego ogonem.

Tym razem chciał go dźgnąć jak skorpion. Hadrian jednak odskoczył na bok i długi kolec wbił się w

ziemię.

Hadrian pobiegł naprzód.

Gilarabrywn chciał go chapnąć zębiskami, ale Black-water był na to przygotowany. Wręcz spodziewał się tego, liczył na to. Odskoczył na bok w ostatniej chwili.

Jeden zęb stwora rozdarł mu tunikę i rozciął ramię, ale było warto. Znajdował się centymetry od pyska bestii. Z całych sił

wbił mały sztylet Royce'a w wielkie oko potwora.

Gilarabrywn wydał potworny skrzek, który ogłuszył

Hadriana, a potem cofnął się, ciężko stąpając. Małe ostrze przebiło mu źrenicę. Stwór potrząsnął łbem, może bardziej z niedowierzania niż z bólu, i spojrzał groźnie na Hadriana drugim okiem. Następnie obrzucił go jadowitymi słowami, których Tomas nie musiał tłumaczyć. Rozpostarł skrzydła i wzniósł się w powietrze.

Hadrian wiedział, co nastąpi, i przeklął własną głupotę -

pozwoił, aby stwór odciągnął go tak daleko od dołu. Teraz już nie zdąży do niego dobiec.

Gilarabrywn pisnął i wygiął grzbiet.

Rozległ się głośny trzask. Zwinięta w kulę sieć sznurowa wyleciała w powietrze jak piłka. Przywiązane na krawędziach ciężarki mknęły szybciej niż sama sieć, dzięki czemu otworzyła się ona jak gigantyczny rękaw i skrępowała trzepoczącą skrzydłami bestię, nie pozwalając jej uciec.

Gilarabrywn spadł na szczyt wzgórza, uderzając ciężko o ziemię i roztrzaskując przy tym poręcz dawnych schodów dworu na kawałki, które wytrysnęły w górę, koziółkując w powietrzu, a następnie wzbijając chmurę popiołu.

- Zdziałało! - krzyknął Tobis po drugiej stronie wzniesienia, tyleż zaskoczony, ile uradowany sukcesem.

Hadrian dostrzegł swoją okazję i odwracając się na pięcie, natarł na potwora. Wtedy dostrzegł Theron, który biegi za nim.

- Mówiłem, żebyś wziął Thrace i uciekał! - ryknął.

- Wyglądałeś na potrzebującego pomocy! - zawołał Theron.

- A Thrace kazałem biec do studni.

- Czemu sądzisz, że posłucha cię bardziej niż ty mnie?

Hadrian dotarł do miejsca, gdzie gilarabrywn leżał na boku, rzucając się wściekle na wszystkie strony, i doskoczył do jego łba. Odszukał jedyne już oko i zaczął je dźgać raz za razem.

Ze straszliwym krzykiem bestia szarpnęła nogami, rozdzierając sieć, i ponownie stanęła.

Hadrian, któremu bardzo zależało na jej oślepieniu, przez nieuwagę nie zachował dystansu i gdy potwór się podniósł, stracił równowagę. Upadł na plecy, tracąc oddech.

Oślepiąca bestia zaczęła machać ogonem na wszystkie strony, przeczesując nim ziemię. Trafiła Hadriana, kiedy próbował wstać. Nie został przecięty ostrą końcówką ogona, lecz uderzony jego grubszą, tępą częścią.

*

Hadrian zakręcił się w powietrzu i runął jak szmaciana lalka, sunąc bezwładnie po pokrytej popiołem ziemi, aż się zatrzymał i znieruchomiał. Bestia wyswobodziła się do końca z sieci, powęszyła w powietrzu i ruszyła w stronę tego, który zadał jej ból.

- Nie! - krzyknął Theron.

Pobiegł do Hadriana, myśląc, że zdoła go odciągnąć, zanim ślepy potwór go dopadnie, ale gilarabrywn był zbyt szybki i dotarł do Hadriana w tej samej chwili co Theron.

Stary gospodarz podniósł kamień i wyjął złamany miecz, który wciąż miał przy sobie. Wybrał odsłonięty bok stwora i używając kamienia jak młotka, wbił w niego metalowe ostrze jak gwóźdź.

To powstrzymało gilarabrywna przed zabiciem Hadriana, ale nie ryknął tak jak przy dźgnięciu zadany mu przez złodzieja. Odwrócił się tylko i wybuchnął śmiechem. Theron jeszcze raz uderzył kamieniem w miecz, wbijając głęboko metal, ale bestia wciąż nie wydawała z siebie krzyku.

Przemówiła do niego, ale Theron nie zrozumiał słów. A potem, bez trudu domyślając się, gdzie stoi gospodarz, gilarabrywn zamachnął się na niego nogą.

Theron nie był ani tak szybki, ani tak zwinny jak Hadrian.

Mimo że odznaczał się sporą siłą jak na swój wiek, nie mógł

zdażyć usunąć się przed ciosem i wielkie pazury bestii przebiły go niczym cztery miecze.

*

- Tatusiu!!! - krzyknęła Thrace, biegnąc do ojca.

Wspinała się na zbocze, przez cały czas płacząc.

Za swojej zasłony Tobis i krasnolud wystrzelili kamień w gilarabrywna i udało im się trafić go w ogon. Bestia obróciła się w miejscu i ruszyła wściekle w ich kierunku.

Thrace padła na ręce i kolana, przyczołgała się do Theron a zobaczyła, że jej ojciec leży pogruchoany. Lewe ramię miał

wykręcone do tyłu, a stopę skierowaną w niewłaściwą stronę.

Klatkę piersiową zalała ciemna krew. Oddychał prędko, gdy jego ciałem wstrząsały drgawki.

- Thrace - zdołał powiedzieć słabym głosem.

- Tatusiu - zaszłochła, tuląc go w ramionach.

- Thrace - powtórzył, chwytając ją zdrową ręką i przyciągając do siebie. - Jestem taki... - Zacisnął z bólu oczy.

- Jestem taki... dumny z ciebie.

- Tatusiu. Nie, nie, nie! - wykrzyknęła, kręcąc głową.

Tuliła go, przyciskając jak najmocniej, jakby siłą swoich ramion mogła go zatrzymać przy sobie. Nie zamierzała go puścić. Nie mogła. Tylko on jej został. Szłochła i lamentowała, chwytając go za koszulę, całując w policzek i czoło. I kiedy tak go tuliła, poczuła, jak ojciec odchodzi w mrok.

Theron Wood zmarł, leżąc w kałuży krwi na spalonej ziemi.

A wraz z nim zgasła ostatnia iskierka nadziei, jakiej Thrace się trzymała - ostatnie oparcie, jakie jej pozostało na świecie.

To coś zabrało jej wszystko, co miała na świecie.

To coś zabiło jej matkę.

To coś zabiło jej brata, jego żonę i jej bratanka. To coś zabiło Daniela Halla i Jessie Caswell. To coś spaliło jej wioskę. To coś zabiło jej ojca.

Thrace uniosła głowę i spojrzała na to coś po drugiej stronie wzgórza.

Nikt z zaatakowanych nie przeżył. Nikt nigdy nie ocalał.

Wstała i ruszyła powoli naprzód. Sięgnęła ręką pod płaszcz i wyjęła miecz, który tam ukryła.

Bestia znalazła katapultę i ją roztrzaskała. Odwróciła się i zaczęła schodzić po omacku ze wzgórza, wężąc. Nie była świadoma obecności dziewczyny. Poza tym gruba warstwa popiołu tłumiła jej kroki.

- Nie, Thrace! - krzyknął do niej Tomas. - Uciekaj!

Gilarabrywn przystanął i nasłuchiwał krzyku. Wyczuwał

niebezpieczeństwo, ale nie potrafił ustalić jego źródła.

Próbował odwrócić się w stronę głosu.

- Nie, Thrace, nie rób tego!

Thrace zignorowała duchownego. Już przekroczyła barierę słyszenia, widzenia, myślenia... Już nie była na wzgórzu. Już nie była w Dahlgrenie, ale raczej w tunelu, wąskim tunelu wiodącym nieuchronnie tylko do jednego miejsca przeznaczenia... Tego czegoś.

To coś zabija ludzi. To właśnie robi.

Bestia węszyła w powietrzu. Dziewczyna widziała, że próbuje ją znaleźć. Szukała zapachu strachu, który wzbudzała u swych ofiar.

Ale Thrace się nie bała. To coś zniszczyło też jej strach.

Była niewidoczna.

Bez wahania, lęku, wątpliwości czy żalu podeszła po cichu do górującego potwora. Chwyła elfi miecz w dwie ręce, podniosła go nad głowę i wbiła w ciało gilarabrywna, wkładając w cios całą siłę swojego drobnego ciała. Nie musiała aż tak się wysilać - ostrze zagłębiło się bez oporu.

Stwór wrzasnął, śmiertelnie przerażony i zdezorientowany.

Odwrócił się, odskakując, ale było za późno. Miecz wszedł

po samą rękojęść. Roztrzaskała się istota gilarabrywna i rozpadły siły, które ją wiązały. Po rozerwaniu więzów spajających gilarabrywna świat odebrał sobie jego energię, wywołując wybuch. Eksplozja siły przewróciła Thrace i Tomasa na ziemię. Fala uderzeniowa zeszła ze wzgórza, promieniując we wszystkich kierunkach. Pokonała spalone pustkowie i dotarła do lasu, wypędzając stada ptaków w mrok nocy.

Oszołomiony Tomas stanął chwiejnie na nogach i ruszył w stronę małej, szczupłej postaci Thrace Wood na środku pustego zagłębienia, gdzie jeszcze przed chwilą stał gilarabrywn. Podeszedł do niej, zdjęty nabożną czcią, padł

przed nią na kolana i powiedział jedynie:

- Wasza Imperialna Mość.

Rozdział 1 5

Spadkobierca Novrona

Słońce świeciło jasno nad rzeką Nidwalden. Lekki wietrzyk marszczył jej powierzchnię, podczas gdy promienie słoneczne pokrywały ją jasnozłotym blaskiem. Jakaś ryba wyskoczyła nad wodę i z chlupnięciem wpadła z powrotem. Słychać było poranne śpiewy ptaków i dzwonienie cykad.

Royce i Arista stali na brzegu rzeki i wyzimali swoje ubrania. Esrahaddon czekał.

- Ładna szata - powiedziała księżniczka. Czarnoksiężnik tylko się uśmiechnął.

Arista wzdrygnęła się, spoglądając na drugą stronę rzeki.

Drzewa wyglądały tam inaczej niż po ich stronie, jakby były innego gatunku. Wydawały się dumniejsze i prostsze.

Imponujące. Księżniczka nie dostrzegła jednak śladów cywilizacji.

- Skąd wiadomo, że tam są? - spytała Arista.

- Elfy? - sprecyzował Esrahaddon.

- Przecież nikt od wieków ich nie widział... - Spojrzała na Royce'a. - To znaczy nikt nie widział elfa czystej krwi, prawda?

- One tam są. Przypuszczam, że obecnie już tysiące.

Plemiona o dawnych nazwach, rody powstałe u zarania czasu. Miralyithowie - mistrzowie sztuki, Asendwayrowie - myśliwi, Nilynddowie - rzemieślnicy, Eiliwinowie - architekci, Umalynowie - spirytualiści, Gwydryowie - budowniczy statków, i Instaryaowie -

wojownicy. Oni wszyscy wciąż tam są, zgromadzenie narodów.

- Mają miasta? Tak jak my?

- Być może, ale prawdopodobnie nie takie jak nasze.

Istnieje legenda o Estramnadonie, najświętszym miejscu w kulturze elfów... Przynajmniej według naszej wiedzy.

Podobno Estramnadon jest tam, głęboko w puszczy.

Niektórzy sądzą, że to ich stolica i siedziba ich monarchy, inni snują domysły, że to święty gaj, w którym wciąż rośnie pierwsze drzewo zasadzone przez samą Muriel i pielęgnowane przez dzieci Ferróla. Ale żaden człowiek nigdy się o tym nie przekona, ponieważ elfy nie tolerują obcych.

- Naprawdę? - Księżniczka spojrzała na złodzieja z żartobliwym uśmiechem. - Gdybym o tym wiedziała, może wcześniej bym się domyśliła pochodzenia Royce'a.

Royce puścił tę uwagę mimo uszu i zwrócił się do czarnoksiężnika:

- Zakładam, że nie wrócisz do wioski. Esrahaddon skinął głową.

- Muszę wyjechać, zanim wytropi mnie Luis Guy ze sforą swoich ogarów. Zresztą muszę porozmawiać ze spadkobiercą i ułożyć plany.

- A zatem tu się pożegnamy. Muszę wracać.

- Pamiętaj, żeby nie ujawniać tego, co zobaczyłeś w wieży.

Oboje o tym pamiętajcie.

- Zabawne, ale spodziewałem się, że spadkobiercą i jego opiekunem będą jacyś nikomu nieznanymi młodzi wieśniacy z takiej wioski jak ta.

- Życie potrafi zaskakiwać, prawda? - skomentował

Esrahaddon.

Royce skinął głową i zaczął się zbierać.

- Royce - zatrzymał go jeszcze na chwilę czarnoksiężnik. -

Wiemy, że to, co się wydarzyło zeszłej nocy, nie było przyjemne. Powinieneś się przygotować na to, co tam zastaniesz.

- Myślisz, że Hadrian nie żyje.

- Tak przypuszczam. I jeśli rzeczywiście tak się stało, przynajmniej wiedz, że jego śmierć była ofiarą, która uchroniła świat przed zagładą. Choć to zapewne niewielka pociecha, obaj wiemy, że Hadrian by się z tego cieszył.

Royce zastanawiał się przez chwilę, skinął głową, wszedł

między drzewa i zniknął.

- Wyraźnie widać, że jest elfem - orzekła Arista, kręcąc głową i siadając naprzeciw Esrahaddona. - Sama nie wiem, czemu nie zauważyłam tego wcześniej. Tobie zaś urosła broda.

- Dopiero teraz to dostrzegłaś?

- Nie, ale wcześniej zajmowały mnie inne sprawy.

- Nie mogę się golić, prawda? W Gutarii nie było z tym problemu, ale teraz... Dobrze wygląda?

- Zaczynasz siwieć.

- Nic dziwnego. Mam dziewięćset lat.

Patrzyła na czarnoksiężnika, który spoglądał na drugą stronę rzeki.

- Naprawdę powinnaś ćwiczyć sztukę. Dobrze ci tam szło.

Przewróciła oczami.

- Nie mogę, przynajmniej nie metodą, jaką ty mnie uczyłeś.

Mogę robić większość rzeczy, które pokazał mi Arcadius, ale nie można się nauczyć magii ręcznej od człowieka bez rąk.

- Zagotowałaś wodę i wywołałaś atak kichania u strażników w więzieniu. Pamiętasz?

- Tak, jestem prawdziwą czarodziejką, czyż nie? -

powiedziała z sarkazmem.

Westchnął.

- A co z deszczem? Pracowałaś jeszcze nad tym zaklęciem?

- Nie i nie zamierzam. Jestem teraz ambasadorką Melengaru. Przestałam się tym zajmować, Za jakiś czas może ludzie zapomną, że sądzono mnie za czary.

- Rozumiem - powiedział zawiedziony czarnoksiężnik.

Księżniczka zadrżała w chłodnym powietrzu poranka i spróbowała przeczesać włosy palcami, ale były za bardzo splątane. Suknię miała poplamioną i pogniecioną.

- Wyglądam koszmarnie, prawda? Czarnoksiężnik nie odpowiedział, zastanawiając się nad czymś.

- A zatem - zaczęła - co zrobisz po odnalezieniu spadkobiercy?

Esrahaddon nadal milczał.

- To tajemnica?

- Zpytaj mnie o to, co naprawdę chcesz wiedzieć, Aristo.

Starła się przybrać niewinny wyraz twarzy i uśmiechnęła się nieznacznie.

- Nie rozumiem.

- Nie bez powodu siedzisz tu rozdygotana, w mokrej sukni, i rozmawiasz ze mną o błahostkach. Masz plan.

- Plan? - zadała pytanie tonem, który nawet jej wydawał się mało przekonujący. - Nie wiem, o czym mówisz.

- Chcesz się dowiedzieć, czy to, co Kościół powiedział ci o śmierci twojego ojca, jest prawdą. Uważasz, że wykorzystałem cię, i zastanawiasz się, czy podstępem nie nakłoniłem cię do nieświadomego współudziału w morderstwie twojego ojca.

Skończyła się maskarada. Ariste zaskoczyła szczerą czarnoksiężnika. Nie odpowiedziała, tylko skinęła powoli głową.

- Podejrzywałem, że mogą skupić się na tobie, bo mnie nie potrafią dopaść.

- Czy to prawda? - spytała, odzyskawszy głos. - Czy zaaranżowałeś śmierć mojego ojca?

- Tak, Aristo, zaaranżowałem - odpowiedział po dłuższej chwili.

Z początku nie odezwała się słowem. Wydawało jej się niemożliwe, żeby dobrze go zrozumiała. Powoli zaczęła kręcić głową z niedowierzaniem.

- Jak... jak mogłeś to zrobić?

- Ani ja, ani nikt inny nie potrafi ci tego wytłumaczyć.

Przynajmniej nie teraz. Może kiedyś zrozumiesz.

Do oczu napłynęły jej łzy. Wytarła je i spiorunowała czarnoksiężnika wzrokiem.

- Zanim mnie osądzisz, a wiem, że tak zrobisz, pamiętaj o jednym. W tej chwili Kościół Nyphrona próbuje cię przekonać, że jestem demonem, apostołem Uberlina.

Prawdopodobnie myślisz, że ma rację. Zanim jednak mnie potępisz na wieki i wpadniesz w objęcia patriarchy, zadaj sobie kilka pytań. Kto wyraził zgodę na to, żebyś wstąpiła na uniwersytet w Sheridanie? Kto namówił twojego niechętnego ojca, żeby pozwolił ci studiować? Skąd się o mnie dowiedziałaś? Jak znalazłaś drogę do ukrytego więzienia, o którego istnieniu wiedziała zaledwie garstka ludzi? Dlaczego nauczono cię używania klejnotozamka i czy to nie ciekawe, że szlachetny kamień, którym otworzyłaś swoje drzwi, był taki sam

jak w sygnecie otwierającym drzwi więzienia? I jak to możliwe, żeby młoda dziewczyna - nieważne, księżniczka czy nie - mogła wchodzić do więzienia Gutaria i opuszczać je nieniekajona, i to nie raz czy dwa razy, ale wielokrotnie przez wiele miesięcy, a jej wizyt nigdy nie kwestionowano ani nie zgłaszano jej ojcu królowi?

- Do czego zmierzasz?

- Aristo - powiedział czarnoksiężnik. - Rekiny nie jedzą ryb, boje lubią, tylko dlatego że kurczaki nie pływają.

Wykorzystujemy posiadane narzędzia najlepiej, jak umiemy, ale w pewnym momencie trzeba zadać sobie pytanie, skąd one pochodzą.

Księżniczka wpatrywała się w niego.

- Wiedziałaś, że zabiją mojego ojca. Liczyłeś na to. Nawet wiedziałaś, że w końcu zabiją mnie i Alrica, ale udawałaś mego przyjaciela, nauczyciela. - Jej twarz przybrała kamienny wyraz. - Koniec nauki.

Odwróciła się do niego plecami i odeszła.

Po dotarciu na skraj spalonego lasu Royce zobaczył

kolorowe namioty rozstawione wokół dawnych błoni. Na namiotach zatknięto proporce Kościoła Nyphrona i złodziej dostrzegł kilku kapłanów jak również strażników imperialnych. Na wzgórzu w pobliżu terenów dawnego grodu poruszały się wolno kolejne postaci. Nigdzie jednak nie zauważył nikogo znajomego.

Czaił się za drzewami, gdy usłyszał w pobliżu trzask łamanej gałązki. Odwrócił się szybko i dostrzegł Magnusa kucającego w zaroślach. Krasnolud, zobaczywszy Royce'a, podskoczył zatrwożony i przewrócił się na plecy.

- Spokojnie - szepnął złodziej, siadając obok niego.

Spoglądając w dół zbocza, Royce stwierdził, że krasnolud znalazł doskonale miejsce do obserwowania obozu.

Znajdowali się na wzniesieniu, gdzie przetrwało kilka krzaków. I mieli stąd idealny widok na wejścia do wszystkich namiotów, prowizoryczną zagrodę dla koni i latrynę. Royce domyślał się, że jest tam około trzydziestu ludzi.

- Jeszcze tu siedzisz? - spytał.

- Robiłem miecz dla twojego współnika. Ale już wy-jeżdżam.

- Co się stało?

- He? Och, Theron i Fanen zostali zabici.

Royce skinął głową, nie zdradzając zdziwienia ani żalu.

- A Hadrian? Żyje?

Krasnolud przytaknął i zaczął relacjonować wydarzenia z poprzedniego wieczoru.

- Po śmierci czy wyparowaniu stwora Tomas i ja sprawdziliśmy, czy oddycha. Był nieprzytomny, ale żył.

Ułożyliśmy go wygodnie i okryliśmy kocem, a następnie ustawiliśmy zadaszenie nad nim, Pickeringiem i tym żół-

nierzem z Melengar. Przed świtem wrócił biskup Saldur ze świtą. Przyjechali z dwoma wozami. Według mnie albo Guy zdał im relację z wydarzeń, albo usłyszeli, jak bestia konała.

Czym prędzej przyjechali, rozbili namioty i zabrali się do szykowania śniadania. Dostrzegłem w ich szeregach wartowników, więc się tu schowałem. Wnieśli Hadriana, Hilfreda i Mauvina do tamtego białego namiotu i wkrótce potem postawili przy nim straż.

- To wszystko?

- Cóż, wysłali oddział do pochowania zmarłych. Większość pogrzebali na wzgórzu w pobliżu grodu, także Fanena, ale Tomas narobił smrodu i zanieśli

Therona do ostatniego gospodarstwa przy rzece. Tam złożyli jego ciało.

- Zapomniałeś wspomnieć, jak znalazłeś mój sztylet.

- Alverstone'a? Myślałem, że go masz.

- Właśnie go odnalazłem - powiedział Royce. Magnus sięgnął ręką do buta i zaklął.

- Gdy sprawdzałeś mój życiorys, musiałeś się natknąć na informację, że w młodości żyłem z opróżniania innym kieszeni.

- Coś sobie przypominam - burknął krasnolud. Royce wysunął Alverstone'a z pochwy, spoglądając groźnie na krasnoluda.

- Słuchaj, przykro mi, że zabiłem tego przeklętego króla.

Nie przyjąłbym tego zlecenia, gdyby nie wymagało wyjątkowego kunsztu kamieniarskiego. Nie jestem zabójcą.

Nawet nie można mnie uważać za przeciętnego wojownika.

Jestem tylko mistrzem rzemieślnikiem. Prawdę mówiąc, moją specjalnością jest broń. To moja największa miłość, ale wszystkie krasnoludy umieją ciąć kamień, więc wynajęto mnie, żebym wykonał robotę w wieży, a potem zlecenie zmieniono i po półrocznej pracy zagrożono mi śmiercią, jeśli nie zasztyletuję staruszka. Teraz jestem mądry po szkodzie i wiem, że powinienem odmówić, ale się zgodziłem. Może był

złym królem, może zasługiwał na śmierć. Braga na pewno tak uważał, a był szwagrem Amratha. Staram się nie mieszać do spraw ludzi, lecz w tę się uwikłałem. Nie chciałem tego, nie dążyłem do

tego, to się po prostu stało.

- Czemu myślisz, że przejąłem się tym, iż zabiłeś Amratha?

Nawet się nie wściekam, że zrobiłeś pułapkę w wieży. Twoim błędem było to, że zamknąłeś przede mną drzwi.

Magnus powoli się odsunął.

- Mógłbym cię zabić tak łatwo jak... nie, łatwiej niż utuczoną

świnie. Wyzwaniem byłoby zadanie ci

maksymalnego bólu przed śmiercią.

Magnus otworzył usta, ale nie wypowiedział żadnego słowa.

- Jesteś jednak bardzo fartownym krasnoludem, bo w tamtym namiocie wciąż żyje człowiek, któremu to by się nie spodobało. Człowiek, którego okryłeś kocem i nad którym ustawiłeś zadaszenie.

W dole dostrzegł Aristę wchodzącą do obozu. Zagadnęła strażnika, który wskazał jej biały namiot. Pobiegła w tamtym kierunku.

Royce znów spojrzał na krasnoluda i powiedział spokojnie:

- Jeśli kiedyś znów dotkniesz Alverstone'a bez mojego pozwolenia, zabiję cię.

Magnus obrzucił go gorzkim spojrzeniem, po czym rozpogodził się i uniósł brew.

- Bez twojego pozwolenia? A więc jest szansa, że pozwolisz mi go dokładnie obejrzeć?

Royce przewrócił oczami.

- Wyciągnę stamtąd Hadriana. Ty ukradniesz dwa konie arcybiskupa i przyprorowadzisz je niepostrzeżenie do białego namiotu.

- A potem będziemy mogli porozmawiać o pozwoleniu?

Royce westchnął.

- Wspominałem, że nie cierpię krasnoludów?

*

- Ale, Wasza Ekscelencjo... - zaprotestował diakon Tomas, stojąc przed biskupem Saldurem i Luisem

Guyem w dużym namiocie w paski. Tęgi duchowny kiepsko wyglądał w habicie oblepionym ziemią i popiołem, z ubrudzoną twarzą i czarnymi od sadzy palcami.

- Spójrz na siebie, Tomasiu - powiedział biskup. - Jesteś wycieńczony. To były dla ciebie dwa długie dni, a od miesiąca żyjesz w ogromnym napięciu. To naturalne, że możesz mieć przywidzenia w ciemności. Nikt cię nie wina. I nie sądzimy, żebyś kłamał. Wiemy, że w tej chwili wierzysz, iż widziałeś, jak ta wiejska dziewczyna niszczy gilarabrywna, ale myślę, że po drzemce i odpoczynku stwierdzisz, iż w wielu sprawach się myliłeś.

- Nie potrzebuję drzemki! - krzyknął Tomas.

- Uspokój się, diakonie - warknął Saldur, nagle wstając. -

Nie zapominaj, przed kim stoisz.

Diakon się przestraszył i Saldur westchnął. Jego twarz przybrała łagodniejszy, ojcowski wyraz. Objął Tomasa ramieniem, klepiąc go lekko w plecy.

- Idź do namiotu i odpocznij.

Po chwili wahania Tomas się odwrócił i zostawił Saldura i Luisa Guya samych.

Biskup usiadł ciężko na wyściełanym krzeselku obok półmiska z borówkami czerwonymi, które zerwał dla niego jakiś pracowity służący. Rozgryzł dwie jagody w ustach i skrzywił się, czując gorzki smak. Pomimo wczesnej pory pragnął rozpaczliwie kieliszka koniaku, ale cały trunek przepadł podczas ucieczki z grodu. Tylko łaską Maribora można było wytłumaczyć ocalenie ekwipunku obozowego i prowiantu, które z lenistwa służący zostawili na wozach, kiedy po raz pierwszy przyjechali do dworu. W zamieszaniu ucieczki nikt nie myślał o prowiancie.

To, że biskup w ogóle przeżył, graniczyło z cudem. Nie potrafił przypomnieć sobie, jak przedostał się przez dziedziniec ani jak dotarł do bramy. Pewnie zbiegł ze wzgórza, ale nie pamiętał tego. Jego pamięć była jak sen -

zamglona i coraz mniej szczegółowa. Pamiętał jednak, że kazał woźnicy popędzić konie batem. Dureń chciał czekać na arcybiskupa. Starzec ledwie chodził, a gdy buchnęły płomienie, wszyscy służący go zostawili. Miał takie szanse na przeżycie jak Rufus.

Po śmierci arcybiskupa Galiena interesami Kościoła w Dahlgrenie zajęli się Saldur i Guy. Musieli się uporać z katastrofą o gigantycznych rozmiarach. Byli sami w puszczy, zmuszeni do podjęcia kluczowych decyzji. Od ich sposobu załatwienia spraw zależał los przyszłych pokoleń. Niejasna pozostawała kwestia, który z nich właściwie miał decydujący głos. Saldur był biskupem, mianowanym przywódcą, natomiast Guy tylko urzędnikiem powołanym do ochrony porządku publicznego, którego jurysdykcji podlegali przeważnie odstępcy od wiary. Ale to wartownik rozmawiał

bezpośrednio z patriarchą. Saldur lubił Guya, lecz uznanie dla jego skuteczności nie powstrzymałoby go przed po-

święceniem wartownika w razie konieczności. Gdyby Guy wciąż miał przy boku swoich rycerzy, Saldur był pewny, że objąłby dowodzenie, a biskup nie miałby wyboru i musiałby się na to zgodzić.

Ale sereci nie żyli, a sam Guy był ranny.

Dzięki temu oraz śmierci Galiena otworzyły się drzwi, przez które Saldur zamierza! przejść pierwszy.

Spojrzą! na Guya.

- Jak mogłeś do tego dopuścić?

Wartownik, który siedział z ręką na temblaku i ramieniem w bandażach, zeszywniał.

- Straciłem siedmiu dobrych ludzi i sam ledwie uszedłem z życiem. Nie nazwałbym tego dopuszczeniem do czegoś.

- A jakim cudem zgraja rolników pokonała osławionych seretów?

- To nie byli rolnicy. Byli tam między innymi Pickeringowie i Hadrian Blackwater.

- Pickeringów mogę zrozumieć, ale Blackwater? Toż to zwykły łotr.

- Nie, to nie takie proste.

- Royce i Hadrian to doskonali złodzieje. Udowodnili to w Melengarze, a potem w Chadwick. Biedny Archibald wciąż dostaje ataków nerwowych na ich wspomnienie.

- Nie - podtrzymywał Guy. - Sądzę, że są czymś więcej.

Blackwater zna tajniki walki teshlorów, a jego przyjaciel Melbom jest elfem.

Saldur zamrugał.

- Elfem? Na pewno?

- Uchodzi za człowieka, ale jestem pewien.

- I już po raz drugi ich ścieżki skrzyżowały się z Esrahaddonem - wymamrotał Saldur z zaniepokojeniem. -

Czy ten Hadrian wciąż tu jest?

- Leży w namiocie szpitalnym.

- Postaw przy nim straż.

- Jest pilnowany. Musimy jednak zająć się dziewczyną.

Postawi nas w kłopotliwej sytuacji, jeśli czegoś nie zrobimy -

powiedział Guy i wysunął częściowo miecz z pochwy. - Jest w żałobie po stracie ojca. Nikt by się nie dziwił, gdyby w przyływie rozpaczycy rzuciła się z wodospadu.

- A Tomas? - spytał Saldur, sięgając po kolejną garść borówek. - To jasne, że nie będzie siedział cicho. Jego też zabijesz? Jak to wytłumaczysz? A co z innymi w tym obozie, którzy słyszeli, jak przez cały poranek chodził i powtarzał, że dziewczyna jest imperatorką? Wszystkich zabijemy? Kto by wtedy odwiózł nasze bagaże do Ervanonu?

- dodał z uśmiechem.

- Nie widzę w tym nic śmiesznego - warknął Guy, chowając miecz.

- Może dlatego że nie patrzysz na sprawę we właściwy sposób - powiedział Saldur. - A gdybyśmy jej nie zabijali?

Gdybyśmy zrobili ją imperatorką?

- Wieśniaczkę? Imperatorką? - zadrwił Guy. - Oszalałeś?

- Nie sądzę, aby ktokolwiek z nas, włącznie z patriarchą, był

zadowolony z wyboru Rufusa pomimo jego znaczenia politycznego. Bez wątplenia był durniem, ale upartym i potężnym. Wszyscy podejrzewaliśmy, że przed upływem roku trzeba będzie go zabić, co pograżałoby raczkujące imperium w chaosie. O ileż lepiej by było mieć imperatorkę, która od samego początku wykonywałaby wszystkie nasze rozkazy?

- Ale jak przekonamy do niej szlachciców?

- Nie zrobimy tego - odparł Saldur i na jego pomarszczonej twarzy wykwitł uśmiech. - Zamiast tego przekonamy do niej lud.

- Jakim cudem?

- Ruch nacjonalistów Degana Gaunta udowodnił, że w ludziach tkwi siła. Hrabiowie, baronowie, a nawet królowie obawiają się ich potęgi. Jedno jego słowo może wywołać powstanie chłopskie, a lordowie musieliby wtedy zabijać własne źródło dochodów, aby utrzymać porządek. To stawia ich wobec wyboru między ubóstwem a śmiercią. Właściciele ziemscy uczynią prawie wszystko, by tego uniknąć. A gdybyśmy

to wykorzystali? Wieśniacy już szanują Kościół. Postępują zgodnie z jego naukami, traktując je jako boską prawdę. O

ileż większe poczuliby natchnienie, gdyby im przedstawiono przywódcę spośród ich szeregów? Władczynię, która jest jedną z nich i potrafi naprawdę zrozumieć ciężką sytuację ludzi zaniedbanych, pozbawionych środków do życia. Jest nie tylko chłopską królową, lecz również spadkobierczynią Novrona, i uosabia wszystkie cudowne oczekiwania, jakie się z tym wiążą. Zaiste, w godzinie naszej największej potrzeby Maribor jeszcze raz zesłał ludziom boską przywódczynię, aby pokazać nam

drogę wyjścia z ciemności. Moglibyśmy rozesłać po kraju bardów powtarzających epicką opowieść o czystej, cnotliwej dziewczynie, która zabiła elfiego demona, przeciwko któremu nawet Rufus był bezsilny. Nazwiemy potwora Zgubą Rufusa. Tak, podoba mi się, to o wiele lepsza nazwa od trudnego do wymówienia gilarabrywna.

-Ale czy można ją nakłonić do odgrywania tej roli? - spytał

Guy.

- Widziałeś ją. Zachowuje się prawie, jakby była w letargu.

Nie tylko nie ma dokąd pójść, nie ma żadnych przyjaciół czy krewnych, pieniędzy ani majątku, lecz również jest emocjonalnie rozbita. Przypuszczam, że gdyby dostała do ręki nóż, podciąłaby sobie żyły. Najlepsze jednak jest to, że po ogłoszeniu jej imperatorką będziemy mieli takie żarliwe poparcie ludzi, że żaden właściciel ziemski nie ośmieli się rzucić nam wyzwania. Będziemy mogli przeprowadzić to, co planowaliśmy z Rufusem. Tylko że zamiast uciekania się do nieprzyjemnego morderstwa, które na pewno wzbudziłoby podejrzenia i naraziło nas na zarzuty, będziemy mogli po prostu wydać dziewczynę za męża.

Nowy mąż będzie rządził jako imperator, a my będziemy mogli ją zamknąć w ciemnej komnacie i wyprowadzać na pokaz podczas zimonaliów.

Guy uśmiechnął się na tę perspektywę.

- Myślisz, że patriarcha się zgodzi? - spytał go Saldur. -

Może powinniśmy wysłać dziś umyślnego.

- Nie, sprawa jest zbyt poważna. Sam pojedę. Osiodłam konia i już mnie nie ma. Tymczasem...

- Tymczasem ogłosimy, że rozważamy możliwość, iż ta dziewczyna jest spadkobierczynią, ale nie uznamy jej, dopóki nie zostanie przeprowadzone szczegółowe dochodzenie.

Dzięki temu powinniśmy zyskać miesiąc. Jeśli patriarcha się zgodzi, będziemy mogli rozesłać wichrzycieli, którzy rozgłoszą wśród ludzi plotki o tym, że szlachcice i monarchowie zmuszają Kościół do zatajenia imienia dziewczyny. Lud będzie demaskował naszych wrogów i domagał się, aby objęła tron, jeszcze zanim w ogóle ogłosimy, iż jest imperatorką.

- Będzie doskonałą marionetką - powiedział Guy. Saldur podniósł wzrok, wyobrażając sobie przyszłość.

- Niewinna dziewczka powiązana z mityczną legendą. Jej imię będzie na ustach wszystkich i będzie uwielbiana. - Biskup przerwał i przez chwilę się zastanawiał. - Jak się w ogóle nazywa?

- Wydaje mi się, że Tomas ją nazywał... Thrace.

- Poważnie? - Saldur się skrzywił. - Nieważne, zmienimy jej imię. Przecież teraz należy już do nas.

*

Royce rozejrzał się dokoła. Na zewnątrz nie było ani jednego wartownika. Kilku wciąż się kręciło na szczycie wzgórza, ale znajdowali się na tyle daleko, że nie stanowili zagrożenia. Zadowolony, wślizgnął się do białego namiotu. W

środku zobaczył Tobisa, Hadriana, Mauvina i Hilfreda leżących na rozkładanych łóżkach. Hadrian był rozebrany do połowy, głowę i klatkę piersiową miał owinięte białymi bandażami, ale nie spał. Mauvin, mimo iż wciąż był blady, zachowywał czujność, a na jego bandażach nie było śladu krwi. Hilfred wyglądał jak mumia i Royce nie miał pewności, czy strażnik śpi, czy nie. Arista stała pochylona nad jego łóżkiem.

- Zastanawiałem się, kiedy się zjawisz - odezwał się Hadrian.

Arista się odwróciła.

- Myślałam, że dotrzesz tu wcześniej.

- Przepraszam, wiecie, jak to jest, kiedy człowiek dobrze się bawi. Traci się poczucie czasu. Ale znów odnalazłem twoją broń. Możesz jechać konno?

- Jeśli dam radę chodzić, to czemu nie. Podniósł ramię i Royce pomógł mu wstać.

- A ja? - spytał Mauvin, trzymając się za bok i siadając na łóżku. - Chyba mnie nie zostawicie?

- Musicie go zabrać - oświadczyła Arista. - Zabił dwóch ludzi Guya.

- Możesz jechać konno? - spytał Royce.

- Gdybym miał pod sobą konia, jakoś bym się na nim utrzymał.

- A Thrace? - spytał Hadrian.

- Nie musisz się o nią martwić - odparł Royce. - Przed chwilą przechodziłem obok namiotu biskupa. Tomas się domaga, aby ogłosili ją imperatorką.

- Imperatorką? - powtórzył Hadrian oszołomiony.

- Na oczach diakona zabiła gilarabrywna. Przypuszczam, że wrażenie było wielkie.

- Ale jeśli tego nie zrobią? Nie możemy jej zostawić.

- Nie martw się o nią - uspokoiła go Arista. - Dopilnuję, żeby się o nią zatroszczono. A teraz musicie wszyscy stąd uciekać.

- Theron chciał, aby przynajmniej jedno z jego dzieci odniosło sukces - wymamrotał Hadrian. - Ale żeby od razu imperatorka?

- Musicie się pośpieszyć - poganiała ich Arista, pomagając Royce'owi postawić Mauvina na nogi.

Ucałowała i uścisnęła całą trójkę, a potem wypchnęła ich jak matka wysyłająca dzieci do szkoły.

Przed namiotem czekał Magnus z trzema osiodłanymi końmi. Rozejrzył się niespokojnie i szepnął:

- Przysięgłbym, że wcześniej widziałem strażników pilnujących tego namiotu.

- Tak było - odrzekł Royce. - Trzy konie... Czytasz w moich myślach.

- Jeden miał być dla mnie - powiedział krasnolud, wskazując na skrócone strzemiona, po czym spojrzął

chmurnie na Mauvina. - Wygląda na to, że będę musiał się postarać o jeszcze jednego.

- Nic podobnego - szepnął Royce. - Weź Mauvina. Jedź

powoli i dopilnuj, żeby nie spadł z siodła.

Royce pomógł Hadrianowi wsiąść na siwkę, a następnie zaczął chichotać pod nosem.

- O co chodzi? - spytał Hadrian.

- Myszka.

- Słucham?

Royce wskazał na konia, na którym siedział Hadrian.

- Krasnolud miał tyle koni do wyboru, a ukradł akurat Myszkę.

Royce poprowadził wierzchowce przez spaloną ziemię, gdzie popiół tłumiał ich kroki. Nie spuszczał oka z wartowników w oddali. Nikt nie krzyknął na alarm ani ich nie zauważył i niebawem zniknęli w lesie. Wtedy Royce zawrócił

w kierunku rzeki, aby zmylić każdego, kto mógłby szukać ich śladów. Gdy dotarli do płytkiej doliny przy Nidwaldenie, zarządził postój, a sam się cofnął.

Zakradł się na skraj spalonego obszaru. W obozie nic się nie zmieniło. Zadowolony z tego, że udało im się niepostrzeżenie uciec, ruszył z powrotem w stronę rzeki i znalazł się na ścieżce prowadzącej do gospodarstwa Wooda. Z jakiegoś powodu ogień nie dotarł tak daleko i dom stał nietknięty.

Jedno się jednak zmieniło: na środku podwórka, gdzie po raz pierwszy zobaczyli Wooda ostrzącego kosę, stał podłużny kopiec ziemi otoczony kamieniami wyjętymi ze ścian zagrody. U jego szczytu tkwiła szeroka, wbita w ziemię deska, na której wypalono słowa:

Theron Wood Gospodarz

Pod tym napisem wydrapano dodatkowe słowa, które Royce ledwie zdołał odczytać:

Ojciec imperatorki

Gdy tak stał, poczuł chłód jeżący mu włoski na całym ciele.

Ktoś go obserwował. Pośród drzew na skraju zasięgu jego wzroku czaiła się jakaś postać. Kolejna stała po jego lewej stronie. Za plecami wyczuł następnych. Odwrócił głowę, usiłując dostrzec, kto to jest

- i nic. Widział jedynie drzewa. Zerknął w lewo i znowu nic.

Stał nieruchomo, nasłuchując. Nie trzasnęła gałązka, nie zaszeleścił nadepnięty liść, ale Royce wciąż to czuł.

Zszedł z polanki, zagłębiając się w zarośla, i zatoczył koło.

Porusza! się jak najciszej, ale gdy przystanął, był już sam.

Szuka! śladów w miejscach, gdzie dostrzegł postaci, ale nie znalazł żadnych, nawet zgiętego źdźbła trawy. W końcu zrezygnował i wrócił do towarzyszy.

- Wszystko dobrze? - spytał Hadrian.

Siedział na Myszcze z ramionami skąpanymi w blasku słońca i klatką piersiową nadal owiniętą białym płótnem.

- Tak sądzę - odparł złodziej, dosiadając konia. Poprowadził

ich na południowy zachód, wzdłuż

wzgórz okalających wodospad, podążając wydeptaną przez jelenie ścieżką przecinającą knieje. Był to ten sam szlak, który znalazł, gdy szukał przez wiele godzin tunelu prowadzącego do wieży. Wydawało się, że Hadrian i Mauvin czują się lepiej, choć krzywili się z bólu za każdym razem, gdy koń źle stąpnął.

Royce nadal rozglądał się na boki, ale niczego nie dostrzegł.

Około południa wynurzyli się spośród drzew i znaleźli główną drogę prowadzącą na południe do Albur-nu. W tym miejscu się zatrzymali, żeby sprawdzić bandażę Mauvina i Hadriana. Syn Pickeringa znów zaczął krwawić, ale niezbyt mocno, i Magnus okazał się prawie tak dobrą pielęgniarką jak wytwórcą mieczy, przygotowując nowy okład na bok młodzieńca. Royce przeszukał sakwy i znalazł Hadrianowi odpowiednią koszulę.

- Nie powinniśmy mieć problemów - powiedział, przeglądając zapasy. - Przy odrobinie szczęścia dotrzemy do Medfordu za tydzień.

- Spieszysz się? - spytał Hadrian.

- Można tak powiedzieć.

- Myślisz o Gwen?

- Myślę, że czas, żebym jej powiedział kilka rzeczy o sobie.

Hadrian uśmiechnął się i skinął głową.

- Sądziś, że Thrace da sobie radę?

- Tomas chyba nieźle o nią dba.

- Naprawdę zrobią ją imperatorką?

- Mowy nie ma. - Royce pokręcił głową i podał

wspólnikowi koszulę. - Co zamierzasz? - spytał Magnusa.

Krasnolud wzruszył ramionami.

- Przy założeniu, że mnie nie zabijesz?

- Ja cię nie zabiję, ale może to zrobić twój dawny pracodawca - Kościół - skoro się zwróciłeś przeciwko niemu.

Będą cię ścigać tak samo jak Mauvina i Hadriana. A bez poparcia Kościoła długo nie pociągniesz. Miasta w Avrynie nie są zbyt gościnne dla takich jak ty.

- Nigdzie nie jesteśmy mile widziani.

- Właśnie to miałem na myśli - westchnął Royce. - Znam bardzo zaciszne miejsce, w którym mógłbyś się zaszyć.

Kościół na pewno tam nie zajrzy. Mają sporo kamieniarskiej roboty i przydałby im się taki doświadczony rzemieślnik jak ty.

- Jak się zapatrują na krasnoludy?

- Nie będziesz miał kłopotów. To ludzie bez uprzedzeń.

- Mógłbym wrócić do obróbki kamienia - uznał Magnus, kiwając głową.

- Myron doprowadzi go do szalu, żądając przywrócenia klasztoru do pierwotnego stanu - powiedział Hadrian. - Już pięciu budowniczych się na tym potknęło.

- Wiem - odparł Royce, szczerząc zęby w uśmiechu.

Wsiadł z powrotem na Myszkę, gdy Magnus poszedł

sprawdzić, jak się czuje Mauvin. Hadrian potrząsnął koszulą, zanim wsunął rękę w rękaw.

- Arista mi powiedziała, że byliście wczoraj we dwoje w wieży z Esrahaddonem. Podobno potrzebował waszej pomocy, ale nie wyjaśniła, o co chodziło.

- Wykorzystał wieżę do odszukania spadkobiercy Novrona -

odparł Royce.

- Udało mu się?

- Tak myślę, ale znasz Esrę. Trudno być z nim pewnym czegokolwiek.

Hadrian skinął głową i skrzywił się, wciągając koszulę przez głowę.

- Jakieś kłopoty?

- Spróbuj się kiedyś ubrać, mając złamane żebra. To nie takie łatwe.

Royce dalej spoglądał na niego.

- O co chodzi? Bawię cię? - spytał Hadrian.

- Odkąd cię znam, nosisz ten srebrny medalion, ale nigdy mi nie powiedziałeś, skąd go masz.

- Hm? Ten? - spytał Hadrian. - Zawsze go miałem. Dał mi go ojciec.

Table of Contents

[Rozpoczni](#)